

MAGGIE OSBORNE

Północ

Tytuł oryginału

I Do, I Do, I Do

Prolog

10 września 1896 roku, Linda Vista w stanie Kalifornia

- Jeanie Jacques'u Villette, czy bierzesz obecną tu Juliette March za prawowitą małżonkę i ślubujesz...
- Ślubuję.

2 stycznia 1897 roku, Sandy Hollow w stanie Oregon

- Jeanie Jacques'u Villette, czy bierzesz obecną tu Clare Klaus za prawowitą małżonkę i ślubujesz...
- Ślubuję.

30 kwietnia 1897 roku, Seattle w stanie Washington

- Jeanie Jacques'u Villette, czy bierzesz obecną tu Zoe Wilder za prawowitą małżonkę i ślubujesz...
- Ślubuję.

Jean Jacques Villette z pewnością przesłałby nam wiadomość, gdyby mógł. Musiało mu się przytrafić coś złego!

- Jedyne zło, które się wydarzyło, to fakt, że Jean Jacques Villette cię uwiódł, ukradł twoje pieniądze, po czym haniebnie cię porzucił! - Ciotka Kibble odłożyła robótkę na kolana i sięgnęła po wachlarz, którym odganiała roje dokuczliwych komarów. - Wie o tym każdy mieszkaniec okręgu z wyjątkiem ciebie, bo ty odpychasz od siebie tę oczywistą prawdę.

Juliette March skrzyżowała ramiona na piersi i oparła się o słupek ganku. Wbiła wzrok w piaszczystą drogę, która szerokim łukiem okrążała dom ciotki Kibble. Dziewięć długich „miesięcy temu z wybiciem godziny pierwszej po południu Jean Jacques Villette odjechał tą drogą. Oczywiście więc było, że wróci o tej samej porze, pod warunkiem jednak, iż żona będzie czekała na ganku.

I jeśli nie zaniecha zwyczaju stawiania na stole jego nakrycia, a przy wieczornej toalecie nie zaniedba codziennych stu pociągnięć szczotką przez włosy.

Jean Jacques powróci, jeśli ona zawsze będzie wkładać błękitną podwiązkę, którą miała na sobie tego dnia, gdy się spotkali.

Na litość boską! Juliette znużonym ruchem przeciągnęła dłonią po czole. Od kiedyż to zaczęła uprawiać te idiotyczne rytuały? Chyba kompletnie oszalała, dzień w dzień wystając na

ganku o pierwszej, ufna w działanie magii, która miała jej pomóc odzyskać męża.

- Jean Jacques nie jest uwodzicielem, lecz moim małżonkiem. Niczego nie ukradł. Pożyczyłam mu pieniądze, by go wybawić z kłopotliwej sytuacji... i wcale mnie nie opuścił! Wyjechał z zamiarem znalezienia dla nas nowego domu.

Ciotka Kibble zatrzepotała wachlarzem, aż rozwiały się nad jej czołem kasztanowo-siwe pasemka rzadkiej grzywki.

- Tak się kończą pospieszne narzeczeństwa! Wiem, że nie chcesz tego słuchać, ale musisz przyznać, że istnieją na świecie oszuści, którzy żenią się z łatwowiernymi kobietami dla ich majątku!

- Od lat mi to powtarzasz. - Juliette nie spuszczała z oczu drogi. Zza widnokregu wyłonił się ciągnięty przez konie wóz, potem przejechało galopem dwóch jeźdźców, ale żaden nie był Jeanem Jacques'em. Dziś jeszcze nie wróci do domu.

Ciotka Kibble odłożyła wachlarz i marszcząc czoło, przeciągnęła kciukiem po równych ściegach, tworzących rysunek różanego pączka na delikatnym płótnie. Haftowała elegancką poszewkę na poduszkę.

- Czy ci rozum do reszty odjęło? Villette potrafi wkraść się w łaski, bo to zawodowy oszust. Tacy umieją obracać językiem! Dotąd ci prawili gładkie słówka, aż oszalałaś na jego punkcie i ogłuchłaś na głos rozsądku.

W tym punkcie - ostatnio coraz częściej prowadziły podobne rozmowy - Juliette miała żywą ochotę wrzeszczeć, wrywać garściami włosy z głowy i walić pięściami w jakiś łamliwy przedmiot. Lecz w takiej chwili przypląywało do niej

echo matczynych napomnień: „Skoro los odmówił ci piękności, musisz umieć zachować nieposzlakowane maniery damy”. Poczucie własnej wartości Juliette zależało od tego, czy uda jej się pozostać damą niezależnie od okoliczności, więc nigdy nie wpadała w złość.

Przestrzegała też innych zasad: nie rozmawiała z nieznajomymi, nie zadawała się z nieodpowiednimi ludźmi. Poruszała się spokojnie, stąpała statecznie i z gracją. Nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, że podnosi głos, wygłasza nieskromne poglądy czy upiera się przy swoim zdaniu. Zawsze pamiętała o dobroci wobec tych, którym los poskąpił fortuny, i przedkładała zachcianki i wygodę drugich nad swoje potrzeby. Tak postępując, uważała się za damę doskonałą, którą powinny naśladować pozostałe mieszkanki Linda Vista.

Posłuszna tradycji obowiązującej dobrze urodzonych, całe życie spędziła, czyniąc tak, jak nakazuje obowiązek. Dusiła w zarodku każdy samolubny impuls, podpowiadający, by zrobiła nie to, co trzeba, lecz to, na co ma ochotę. Gdy jej własne życzenia kłóciły się z obowiązującymi regułami, odsuwała je na bok i postępowała wedle zasad dobrego wychowania. Tylko raz przymknęła na nie oczy i poszła za głosem serca - i nie pożałowała swojej decyzji zamążpójścia! Kiedy Jean Jacques otoczył ręką jej kibić i popatrzył głęboko w oczy, wszelkie powinności i zasady rozplywały się jak strzępy porannej mgły w promieniach słońca.

- Nigdy, przenigdy nie spodziewałam się, że właśnie ty dasz sobie zamącić w głowie słodkim pochlebstwom

podejrzanego typka, a tym bardziej zgodzisz się na małżeństwo z kimś takim!

Juliette machnięciem dłoni odpędziła dokuczliwego komara. Powietrze tego letniego dnia stało wokół nich nieruchome, drgające od upału, choć zazwyczaj ze stoków gór Klamath spływała rześka oceaniczna bryza i rozpędzała duchotę południa.

- Czy tak trudno uwierzyć, że jakiś mężczyzna mógł mnie pokochać? - Przekreśliła na palcu ślubną obrączkę, która należała kiedyś do babki i matki Jeana Jacques'a. Nie dawałby jej przecież tak cennej sercu pamiątki, gdyby nie zamierzał do niej wrócić.

- Och, Juliette! - Oczy ciotki Kibble zasnuły się troską. - Masz wiele wspaniałych cnót... ale nie znałaś pana Villette'a dostatecznie długo, by i on mógł się z nimi zapoznać. Pośpiech, z jakim dążył do ołtarza, musiał więc mieć inne przyczyny niż szlachetna miłość.

Uwagi Juliette nie umknęło, że ciotka nie starała się wymienić owych licznych domniemanych cnót. Jej słowa, zamiast pocieszyć, tym boleśniej dały odczuć, że każdy mężczyzna, dążący do szybkiego ożenku, miałby na oku jedynie jej pokazną schedę!

Mimo uporu, z jakim Juliette broniła czystych intencji męża, powtarzające się oskarżenia ciotki zaczynały podkopywać wiarę młodej mężatki. Czyżby Jean Jacques naprawdę mógł kierować się chciwością i bardziej interesować jej pieniędzmi niż osobą? Czyżby była ofiarą, a nie aniołem, jak ją nazywał?

Wątpliwości dręczyły ją przez resztę popołudnia. Ostatnio coraz częściej popadała w zwątpienie i wyrzucała sobie, że ulega głupim rytuałom w nadziei, że sprowadzą do niej męża. Równie nedorzeczne było to, iż każdą minutę wypełniały rozmyślenia o razem spędzonych chwilach.

Ale Jean Jacques nie mógł wiedzieć o jej schedzie! Kiedy zderzyli się w drzwiach urzędu pocztowego, przebywał w Linda Vista zaledwie od dwóch dni. Spotkanie było więc trafem, nie wynikiem chłodnej kalkulacji.

Owszem, przyznawała, że mógł się czegoś dowiedzieć o najbogatszej starej pannie z osady - ale w jaki sposób? Mógł kręcić się koło urzędu, czekając na jej wyjście, jak uparcie twierdziła ciotka Kibble, lecz Juliette nie miała ustalonej pory na odbiór poczty. Co więcej, poczmistrz Albertson zauważyłby osobnika, który czaiłby się przez dłuższy czas przy drzwiach, i kazałby mu się niezwłocznie oddalić.

A więc nie mogło chodzić o pieniądze.

Jean Jacques utrzymywał, że zakochał się od pierwszego wejrzenia po pamiętnym zderzeniu w drzwiach. Juliette wierzyła mu. Sama pamiętała, że gdy podniosła wzrok, spostrzegła w jego oczach wyraz, jakiego nie widziała wcześniej u żadnego mężczyzny. Jego twarz zdradzała oszołomienie i zauroczenie. Ciemne oczy błyszczały pożądaniem i... - czy ośmieli się wypowiedzieć to słowo? - miłością. Jakkolwiek byłoby to zdumiewające, on już wtedy ją kochał!

Musiała trwać w wierze, że to była miłość od pierwszego wejrzenia, jak twierdził Jean Jacques. Gdyby odrzuciła tę wersję, pozostałoby jej jedynie przyjąć do wiadomości, że

manipulowano nią i wystrychnięto na dudka, że uwierzywszy w kłamliwe oświadczyzny, dała się wykorzystać.

Uczesała się do kolacji i zaczęła bacznie studiować w lustrze toaletki swoją bladą twarz.

Jean Jacques szeptał Juliette na ucho, że szarość jej oczu przywodzi mu na myśl blask starego srebra. Jego zachwyty sprawiały, że czuła się naprawdę ładna. Wpatrzona w lustrzane odbicie, wspominała piękno, jakim zakwitła w promieniach admiracji ukochanego.

W krótkim okresie małżeńskiego pożycia uśmiech zagościł na stałe na poróżwiałych od pocałunków wargach. Jean Jacques potrafił ją rozśmieszyć, drażnił się z nią, jakby nie była damą, drwił z ograniczeń, które dyktowały jej dotychczasowy styl życia. Dzięki niemu w łóżku pozbyła się wszelkiej skromności i odrzuciła zahamowania; co więcej, udało mu się ją przekonać, iż te zasady nigdy nie miały znaczenia. Och, w małżeńskim łożu nie była damą!

Poczuła na karku gorąco i przycisnęła dłonie do rozpalonych policzków. Niemożliwe, by chodziło mu tylko o pieniądze!

W czasie kolacji ciotka podjęła przerwana wcześniej rozmowę:

- Jak długo jeszcze zamierzasz trwać w płonnej wierze, że pan Villette powróci, rok, pięć lat? Przez resztę życia?

Juliette położyła dłonie na kolanach; obracała na palcu ślubny pierścionek.

- Może ktoś zdzielił go w głowę...? Czytałam kiedyś taką książkę. Kiedy tamten mężczyzna się ocknął, nie pamiętał nic o swojej ukochanej.

- W prawdziwym świecie amnezja nie zdarza się często, moja droga. Głęboko wątpię, by pan Villette przepuszczał twoje pieniądze, nie zdając sobie sprawy, jak wszedł w ich posiadanie.

- Ale tak mogło się zdarzyć! - upierała się żarliwie Juliette, pochylona do przodu w zapale perswazji.

- To oszust, który specjalizuje się w wykorzystywaniu ludzkiego zaufania. Tylko tak można wyjaśnić jego zniknięcie i brak wiadomości... - Ciotka Kibble urwała, czekając, aż służący Howard poda kawę i opuści jadalnię. - Cóż, dla dobra sprawy rozważmy trzy różne możliwości. Pierwsza: pan Villette nie żyje. Druga: błąka się po świecie pogrążony w amnezji. Trzecia: porzucił cię i teraz uwodzi kolejną ofiarę. - Wrzuciła do kawy kostkę cukru. - Jaka jest twoja sytuacja w każdym z tych przypadków?

- Nie wiem - szepnęła Juliette i załamała żałośnie dłonie. Ciotka Kibble odchyliła się w krześle.

- Nie zaprzeczysz, że niewiele wiesz o tym człowieku!

- Ależ wiem! Jest Francuzem, ale jego rodzina już od dwóch pokoleń mieszka w Ameryce. - Kiedy wyszeptał jej imię, miękki akcent zamienił zwyczajne słowo w wyszukaną czułość. - Nie ma żyjących krewnych. Odnosił poważne sukcesy w interesach, ma firmę importowo-eksportową.

Wyraziste brwi ciotki Kibble zawędrowały aż do połowy czoła. Juliette, widząc to, machnęła z rozdrażnieniem ręką.

- Obecnie - ciągnęła - lwią część kapitału zainwestował w towar, mówię ci przecież! Tak się prowadzi podobne interesy.

- Naprawdę?

Młoda kobieta zignorowała sceptyczny grymas ciotki.

- Jean Jacques jest właścicielem dwóch spółek handlowych, jednej w San Francisco, drugiej w Seattle. Uważał, że powinniśmy poszukać domu w Oregonie, gdyż wtedy mieszkalibyśmy w połowie drogi między siedzibami firm.

- A jak ty przyjęłaś tę decyzję? O ile wiem, nigdy dotąd nie wytknęłaś nosa poza granice okręgu. Ale na jego skinięcie byłaś gotowa spakować manatki i wyprowadzić się do Oregonu? Naprawdę mnie zadziwiasz!

Na myśl, że ma opuścić rodzinne strony i wszystko, co znajome, Juliette zalała fala przerażenia. Jean Jacques musiał użyć całej siły perswazji, by przemóc jej opory, lecz daru przekonywania mu nie brakowało.

- Kochanie, za opłotkami rozciąga się wspaniały świat, a ty nie masz o nim pojęcia! - mówił. - Nie brnęłaś w piasku plaży, czując ziarenka przesypujące się między palcami stóp. Nie posmakowałaś palącej słodczy śnieżnych płatków na języku. Nie wsłuchiwałaś się w zgiełkowe bicie serca wielkiego miasta, nie podróżowałaś tramwajem. - Położył Juliette dłonie na ramionach i wpatrzył się w jej oczy. - Chcę, byś zakosztowała tych przeżyć, i nie tylko tych! Świat zmieni cię w sposób, jakiego nie możesz sobie wyobrazić.

Zamierzał rozpocząć dzieło przemiany, wznosząc majestatyczny dom z widokiem na ocean. Doszła do wniosku, że rzeczywiście czas opuścić ciotkę Kibble. Kobieta powinna być

gospodynią na własnych włościach, a każda para potrzebuje odrobiny intymności. Wejście w nowy związek oznacza nowy początek. Jacques'owi trudno byłoby zarządzać interesami z małej miejsciny, jaką jest Linda Vista...

Stopniowo ciężar kolejnych argumentów pokonywał jej wahania. Zgodziła się na rezydencję na skalistym brzegu oceanu w stanie Oregon. Wreszcie wypisała czek bankowy -on uparcie twierdził, że to pożyczka - a potem odjechał.

- Przeprowadzka do Oregonu nie będzie łatwa - przyznała z trudem. Jean Jacques przemógł jej wahania, ale nie rozwiął lęków przed podróżą i obawy przed nieznanym. Nawet jemu nie udało się zamienić wrodzonej trwożliwości Juliette w śmiałość.

- Czy muszę ci przypominać, że żaden z tak zwanych faktów, dotyczących tego mężczyzny, nie znalazł jak dotychczas potwierdzenia? - ciągnęła ciotka. - Masz wyłącznie jego słowo, że jest bogatym biznesmenem, którego majątek został przejściowo, jak się wyraziłaś, zainwestowany w towar. Mógł to wszystko zmyślić.

Juliette nie uwierzyła. Tak czy inaczej znała najważniejszą prawdę: Jean Jacques cenił sobie każdą chwilę życia, rozkoszował się każdym nowym dniem, jakby miał być jego ostatnim - i najlepszym. Nigdy przedtem nie poznała kogoś, kto umiał się cieszyć drobiazgami. Wyśpiewywał rapsodie o promyczkach słońca w jej włosach, a widok uszu Juliette przywodził mu na myśl miłosne poematy. Potrafił je recytować w dwóch językach, a przed snem lubił sobie poczytać.

Przekomarzał się z nią i żartobliwie wytykał przywiązanie do etykiety, ale nie miała mu tego za złe.

Noc poślubna była najlepszym dowodem jego cierpliwości i czułości. W ciągu tygodni, które po niej nastąpiły, wciąż na nowo przekonywała się, że altruistycznie stawia jej przyjemność przed własnymi zachciankami. A najważniejsze było to, że przy nim czuła się kochana i ceniona, ładna i interesująca, godna pożądaniami i zapomniała o tym, że ma już dwadzieścia dziewięć lat. Tylko te prawdy się liczyły! Za nic miała stan jego konta ani urodzenie, nawet gdyby miały nie spełniać wysokich wymagań, które skazały Juliette na los starej panny.

- Tak bym chciała, żeby już wrócił.

- On nigdy nie wróci, złotko. Im szybciej się z tym pogodzisz, tym wcześniej dojdiesz do siebie.

Przecież nie mogła żyć tak, jakby nigdy nie miała męża. Musiała coś przedsięwziąć! To czekanie doprowadzi ją do oblędu.

- Czas wszcząć postępowanie rozwodowe - oświadczyła ciotka Kibble, dolewając kawy. - Od tygodni ci to doradzam.

Juliette zaczerpnęła tchu i wyprostowała plecy, by lepiej stawić czoło doradczyni.

- Porządni ludzie się nie rozwodzą... - Urwała i zebrała odwagę, by głośno poinformować ciotkę o decyzji, która dojrzewała w niej od jakiegoś czasu. - Zastanawiałam się, co powinnam zrobić, i doszłam do wniosku, że jedynym właściwym wyjściem będzie wyruszenie na poszukiwanie Jeana Jacques'a. Być może przesłał mi wezwanie, ale poczta zgubiła

jego list? Może ciężko ranny leży gdzieś na szpitalnym barłogu i zastanawia się, czemu nie przyjeżdżam?

Ciotka Kibble otworzyła szeroko usta i zagapiła się na swoją podopieczną.

- Powiadasz, że wybierzesz się w podróż do Oregonu? Juliette zadrżała na dźwięk słowa „podróż” i wizję zmian,

które taka decyzja musiała za sobą pociągnąć. Nie lubiła nowych doświadczeń.

- Obiorę trasę, jaką najprawdopodobniej podróżował mój mąż. Jeśli w ten sposób zajadę aż do Oregonu, pewnie było mi przeznaczone tam dojechać i pozostać... - Samo mówienie o zamierzonej wyprawie i porzuceniu znajomego świata przyprawiało ją o mdłości.

Ciotka Kibble milczała przez chwilę.

- Nie mogę się zgodzić na takie szaleństwo! - oświadczyła wreszcie. - Twoja matka oponowałaby stanowczo, gdyby jeszcze żyła.

- Z całym szacunkiem, ciociu, nie potrzebuję twego zezwolenia, by pojechać na poszukiwanie męża. - To była najodważniejsza odpowiedź, na jaką Juliette kiedykolwiek zdobyła się wobec ciotki, pomijając powiadomienie o małżeństwie z Jeanem Jacques'em.

- Będziesz potrzebowała towarzyszkę, a ja jestem za stara, żeby się wałęsać po bezdrożach, goniąc za przywidzeniami - oświadczyła starsza pani. - Nawet mnie nie namawiaj.

Juliette spodziewała się tego. Zebrała całą odwagę.

- Nie mogę tu zostać i nic nie robić tylko dlatego, że nie znalazłam towarzyszkę podróży. Jeśli będzie to konieczne, sama wyruszę na poszukiwanie męża. - Cała kurczyła się w środku na myśl o takiej śmiałości, ale nie miała wyboru. Musiała się dowiedzieć, co się przydarzyło Jeanowi Jacques'owi!

Ciotka Kibble sapnęła ze zgrozą i zakryła usta dłonią.

- Popełniasz straszliwy błąd, Juliette! Czy niedawne wydarzenia nie nauczyły cię, jak niedobrze jest słuchać głosu serca, zamiast kierować się słusznymi zasadami?

Nie zdoła unieść ciężaru niepewności! Codziennie o pierwszej stawała na ganku i czuła, że stopniowo popada w obłąd. A słowa dawno nieżyjącej matki... Przez długie tygodnie dogłębnie rozważała tę kwestię. Przyzwoita kobieta nie uganiania się za mężczyzną nawet gdyby chodziło o męża. Juliette wiedziała, że matka poradziłaby jej trzymać głowę wysoko i żyć do końca swych dni, udając, że mąż może wrócić lada dzień. Tak też postępowała przez ostatnie dziewięć miesięcy, ale dłużej już nie wytrzyma. W sercu narastała potrzeba wyjaśnienia, co zaszło, dając jej odwagę, by odrzucić zasady dobrego wychowania i wyruszyć w samotną podróż.

Ach, litościwe nieba! Świat za opłotkami Linda Vista był obcy, zaludniony ludźmi, którzy ani nie znali, ani nie dbali o Juliette March - sama myśl o tym napęłniała ją przerażeniem. Nikt tam nie wie, że jej haft zdobył pierwszą nagrodę i błękitną wstęgę na ostatnim kiermaszu z okazji Czwartego Lipca - Dnia Niepodległości. Ani o tym, że wybrano ją by niosła jeden z czterech rogów odświętnego baldachimu w paradzie w Dniu Założycieli. Nikogo nie obchodziło, że utrzymywała groby

rodziców w nienagannym porządku, wyrrywając każde źdźbło chwastów, i że każdej niedzieli posłusznie wrzucała ćwierć dolara do skarbonki na biednych.

Wyrusza między obcych. Wszystko, co było, przestanie się liczyć. Skąd będzie czerpała wiedzę o sobie, gdy nikt z otaczających ją ludzi nie będzie nic wiedział?

Z okazji odjazdu podopiecznej ciotka Kibble włożyła najlepszą z popołudniowych sukni i upudrowała nos. Juliette musnęła palcami, obleczoneymi w rękawiczkę, policzek starszej pani, która zawzięcie układała fałdy podróżnego kostiumu młodej kobiety, poprawiała kołnierz, prostowała kapelusik i skubała urojone nitki na rękawie.

- Dziękuję, że mnie przygarnęłaś - powiedziała Juliette. Ciotka wyratowała Juliette podczas epidemii żółtej febry, która zabrała dziewczynie oboje rodziców.

- Mówisz tak, jak gdybyś miała nigdy nie wrócić!

- Sama nie wiem czemu. - Ręce Juliette trzęsły się ze zdenerwowania. Gdy odnajdzie Jeana Jacques'a, bez chwili zwłoki zabierze go z powrotem do domu i postara się sama użyć wszelkich mocy perswazji, by go nakłonić do pozostania na dobre w Linda Vista.

- Wiesz, czemu nie jadę z tobą. Chodzi o zasady. - Ciotka Kibble wzięła głęboki oddech. - To do ciebie w ogóle niepodobne. Czemu nie wyślesz kogoś innego na poszukiwania?

Juliette nie mogłaby zaufać nikomu; obawiała się, że w razie odkrycia najgorszego ten ktoś nie utrzymałby sekretu.

Miała swoją dumę i w ostateczności umiałaby o nią zadbać. Co prawda ani przez chwilę nie wierzyła, by Jean Jacques rzeczywiście ją porzucił, ale na wszelki wypadek...

Lepiej w każdym razie będzie, jeśli sama go odszuka.

Ciotka Kibble przytknęła do oczu chusteczkę.

- Jeszcze nie jest za późno, by zmienić zdanie. - Strzeliła oczami w kierunku woźnicy czekającego u schodków powozu.

- Muszę to zrobić - nalegała jej podopieczna.

- Nawet nie wiesz, dokąd jechać!

- Mniej więcej się orientuję. - Juliette przeglądała mapy i wytyczyła szlak, którym powinien podążać Jean Jacques. Nie wspominał trasy kolejowej Northern Pacific, postanowiła więc zrezygnować z podróży pociągiem. Napomykał natomiast kilkakrotnie o zapierających dech w piersi widokach na bezkresne morze. Podąży więc wzdłuż brzegu oceanu. Obrala tę trasę, kierując się wyłącznie przecuciem, ale cóż innego jej pozostało?

- Bardzo mi będzie ciebie brak! - Szczere przyznanie się wywołało na obliczu ciotki wyraz zdumienia i jakby rozdrażnienia.

Juliette przyjrzała się bacznie dobrze znanej, drogiej twarzy. Powierzyła pamięci znajome rysy: mocno zarysowaną szczękę, zdradzającą wrodzony upór, drobniutkie zmarszczki, srebrno-kasztanowe fale włosów nad czołem. Po czym przytuliła ciotkę w zapalczym uścisku, mamrocząc nieco chaotyczne słowa pożegnania, jak gdyby naprawdę miały się widzieć po raz ostatni.

Woźnica odchrząknął, usiłując przywołać je do rzeczywistości, ale Juliette dopiero za trzecim sygnałem otarła łzy i wdrapała się do powozu.

- To mój obowiązek! - zawołała, wychylona z okna. - Muszę go odnaleźć.

- Och, Juliette... - Ciotka Kibble stała na najniższym schodku ganku, wykręcając w palcach chusteczkę i potrząsając głową, jakby ubolewała nad utratą zmysłów podopiecznej.

Młoda kobieta machała z okna, dopóki dom nie skrył się za zakrętem drogi, potem opadła na siedzenie i zaciśnęła powieki. Pożegnanie wyczerpało ją do cna, a sytuacji nie polepszyła myśl o nieznanym, które oczekiwało ją za horyzontem. Pan Ralph dowiezie ją na brzeg oceanu, gdzie przenocuje. Rano czekał ją kolejny etap: nadbrzeżny szlak, wiodący do Oregonu.

Serce boleśnie trzepotało się w piersi Juliette. Już dzisiaj będzie spała w otoczeniu obcych, na łóżku, które przed nią zajmowali inni. Gdyby ktoś jej powiedział, że los wiedzie ją ku zagładzie, nie byłaby chyba bardziej przerażona, niż podążając w nieznaną przyszłość! Nagle uświadomiła sobie, że nie przeszła jeszcze właściwie żadnej próby na drodze życia. Od kiedy wkroczyła w dorosłość, aż do dnia zniknięcia Jeana Jacques'a, nie przytrafiło jej się żadne nieszczęście. Napotykała jedynie niewielkie przeszkody i była za to wdzięczna losowi.

Przez krótką chwilę straszliwej nielojalności wpatrywała się w dłonie złożone na kolanach, płonąć wrogością do człowieka, za którego przyczyną musiała stanąć w obliczu próby. Nie chciała znaleźć się w powozie, podążającym Bóg wie dokąd! Z niechęcią myślała o oczekującej ją konieczności rozmowy z

nieznajomymi, którym będzie musiała wyjawić, że jej mąż zniknął bez wieści.

Odchyliła się na oparcie siedzenia i przycisnęła obleczone w rękawiczki palce do tętniących skroni.

Znajdzie go. Nie do pomyślenia, by miała cierpieć udręki szaleńczej wyprawy bez tej słusznej nagrody. A gdy wpadnie w ramiona męża, zdobędzie się na odwagę, by zadać mu pytanie: czy ożenił się z nią tylko dla pieniędzy? Z rozczuleniem ujrzy wtedy wyraz zdumionego zmieszania na ukochanej twarzy i wysłucha zapewnień, że uczynił to z miłości i nie poświęcił nawet przelotnej myśli jej schedzie.

Jean Jacques kochał ją, a nie jej pieniądze!

SCANDALOUS

Dylizans Petersona, który obsługiwał trasę nadmorską, spóźniał się, więc Clara miała dość czasu, by pobiec na górę i rzucić okiem na pokoje gościnne. W tym, oznaczonym numerem czwartym, na podłodze tuż koło łóżka, znalazła zapinkę do włosów. Wsunęła ją do kieszeni. W szóstce nie zaciągnięto jak należy zasłon w oknach, a bluszcz doniczkowy w siódemce usychał z braku wody.

Oto dowód na to, czego tak bardzo lękała się od chwili, gdy podjęła decyzję o sprzedaży zajazdu: nowy właściciel zaniedba porządku i gospoda zejdzie na psy. Pani Callison nie przeoczyłaby spinki, zasłon ani wyschniętej rośliny, nie ma mowy! Ale nowi właściciele nalegali, by Clara odprawiła dotychczasową służbę i zatrudniła inną zanim przyjadą przejąć zajazd. Chcieli mieć służbę lojalną wobec nich, a nie wobec poprzedniej właścicielki czy jej zmarłego ojca.

Cóż, niełatwo w tych czasach znaleźć dobrą gospodynię. Clara rozmawiała z pięcioma kandydatkami, zanim zdecydowała się na pannę Reeves, która wydała jej się najlepsza z całej wiejskiej gromadki.

Gdyby to od niej, Clary, zależało, gdyby panna Reeves była jej pracownicą - dałaby jej bobu, zbesztala bez litości, wymachując przed nosem zapinką jako dowodem oskarżenia, po czym zwolniłaby ją bez referencji. Nowi właściciele jednak oczekiwali, iż w chwili przejmowania zajazd będzie miał pełną obsługę. Niechlujstwo panny Reeves pozostanie więc ich problemem -oczywiście, jeśli bałagan w pokojach do wynajęcia

będą za takowy uważać. Co do tego Clara miała pewne wątpliwości!

Zagryzła wargi i stłumiła wyrzuty sumienia, jakie ją trapiły od chwili podjęcia decyzji o sprzedaży gospody. Zbiegła do kuchni dopilnować, by przetrzymywano obiad w cieple do chwili nadejścia dyliżansu. Nawet najwygodniejsze łóżka nie zachęcały gości do ponownej wizyty, jeśli jedzenie będzie marne, podane zbyt późno lub zimne. A to dzięki pieniądzom tych, którzy stale się zatrzymywali w gospodzie, opłacała większość rachunków związanych z jej prowadzeniem.

- Wynosić mi się z mojej kuchni! - wrzasnął Herr Bosch, gdy ujrzał Clarę w obłoku wonnej pary.

- Guten Tag, szanowny panie! - odrzyknęła wesoło Clara. Zanurzyła warzachew w smakowicie bulgoczącym bulionie, w którym niebawem miały się gotować knedle nadziewane wątróbką. - Doskonały! - westchnęła z rozkoszą.

Nie można było odmówić nowym właścicielom odrobiny geniuszu, skoro zatrzymali Herr Boscha i ulegli jego żądaniom, by pozostawić mu dawnych pomocników i pomywacza. Na dzisiejszą biesiadę kuchnia przygotowała sznycle po wiedeńsku, pieczone ziemniaki i czerwoną kapustę duszoną z jabłkami i kminkiem. Świeże pieczywo i gorący strudel prosto z pieca wypełniały kuchnię niebiańskim zapachem.

Herr Bosch wyrwał Clarze warzachew i machnięciem ręki pokazał jej, że ma opuścić jego królestwo.

- Precz, precz! - W jego głosie brakowało satysfakcji, z jaką zazwyczaj przekomarzał się z szefową. - Nie mogę znieść myśli, że już jutro pani wyjeżdża - dodał ciszej, wyłącznie dla jej

uszu. Roztargnionym ruchem poklepał kieszenie wykrochmalonego fartucha, którego biel rywalizowała ze śnieżną barwą spodni. - Czekałem na panią. Proszę pójść za mną.

Za jej pamięci Herr Bosch nigdy nie opuszczał kuchni, zanim nie wydano posiłku. Tym razem jednak podążył za nią przez tylne drzwi i poprowadził ją dokoła kuchennego ogrodu. Zatrzymali się w cieniu rozłożystego klonu, skąd mogli widzieć drogę i zbliżający się dyliżans. Kucharz zapalił cygaro i energicznym machaniem zgasił płomień zapalki.

- Robi pani błąd, Claro.

- Co się stało, to się nie odstanie. - Wzruszyła ramionami. - Wiem, że ojciec nie zaaprobowałby mojej decyzji, ale to odpowiedni czas na sprzedaż interesu. Kolej poprowadzono z dala od tego szlaku, a osobiście jestem zdania, że prędzej czy później ten sposób podróżowania wyprze konne dyliżanse. Skąd byśmy wtedy brali gości?

- Nie o to mi chodzi i pani dobrze mnie rozumie. - Utkwił wzrok w ogniku żaru na koniuszku cygara. - Miałem na myśli jego. Popelnia pani błąd, rzucając wszystko i goniąc za tym pani mężulkiem. On nie traktuje pani przyzwoicie. Od kiedy odjechał, nie przysłał pani ani jednego listu. Czy tak się postępuje wobec świeżo poślubionej małżonki?

- Ja też do niego nie pisałam - odparła niedbale. Gdyby nawet wiedziała, pod jaki adres kierować list, na piśmie nie umiałaby sklecić dwóch zdań. Widocznie mąż należał do tej samej kategorii ludzi i niechętnie pisywał listy.

- Nigdy nie zdołam pojąć, czemu go pani wybrała. Ja i pani moglibyśmy wspólnie zamienić tę gospodę w tak atrakcyjne miejsce, że oddalenie stacji kolejowej nie wpłynęłoby na liczbę gości.

Bosch, podobnie jak pozostali konkurenci, ubiegał się nie tyle o jej rękę, co o zajazd. Ona zaś stanowiła w ich oczach część ruchomego inwentarza. Chcąc coś sprawdzić, przymknęła powieki i uniosła ku niemu głowę.

- Jakiego koloru są moje oczy?
- Co takiego?
- Moje oczy... Jakiego są koloru?
- Nno... czarne.

Słyszała w głosie kucharza nutę rozdrażnienia i nie zdziwiła się, gdy uniósłszy powieki, ujrzała mars na jego czole.

- Mam jasnobrazowe oczy! - Niezwykły odcień, przypominający kawę z mlekiem. Z pewnością trudno go było wziąć za czerń.

Jej mąż potrafiłby odpowiedzieć na to pytanie prawidłowo i bez wahania, gdyż był dotychczas jedynym mężczyzną który ujrzał w niej kobietę, a nie właścicielkę dobrze prosperującego zajazdu.

Pierwsze słowa Jeana Jacques'a, gdy podszedł do kontuaru w recepcji, brzmiały:

- *Mon Dieu!* Jeszcze nigdy nie widziałem tak olśniewającej cery!

Przedtem nikt nie zaszczyił Clary Klaus nawet bladym cieniem komplementu. Niespodziewana pochwała wprowadziła zdumioną kobietę w ekstazę i oczarowała do tego stopnia, że

przeszła do porządku dziennego nad francuskim akcentem gościa. Właściwie w głębi duszy od dawna marzyła o spotkaniu Francuza. Jej rodzice, Niemcy, żywo i otwarcie pogardzali tą nacją. W rezultacie wszystko co francuskie nabrało w oczach Clary posmaku tajemnicy, egzotyki, uroku zakazanego owocu. I oto nagle stanął przed nią ów Francuz, pełen zachwytu dla jej cery, wpatrzony w nią maślanymi oczami, jakby była najwspanialszym widokiem, jaki kiedykolwiek im się ukazał.

- To on wpadł na pomysł sprzedaży, prawda? Brutalnie wyrwana z miłych wspomnień, Clara potrzęsła głową i wysiliła pamięć. Kiedy po raz pierwszy przyszła jej do głowy myśl o sprzedaży zajazdu? Nie pamiętała już, które z nich poruszyło ten temat, Jean Jacques czy ona. Pamiętała natomiast wielogodzinne dyskusje, wzmianki o rozwijającym się szybko mieście Seattle w stanie Waszyngton. Tylu mężczyzn trafiało tam w drodze na złotodajne pola Alaski, że brakowało hoteli i pensjonatów, by wszystkich pomieścić. Jean Jacques mówił, że musieli spać na chodnikach i trawnikach, a za koldry służyły im gazety, i to nie dlatego, że nie stać ich było na łóżko w zajazdzie, lecz dlatego, że było ich jak na lekarstwo.

Clara błyskawicznie dostrzegła możliwość zrobienia świetnego interesu. Należała do ludzi nie zasypiających gruszek w popiele, postanowiła więc wysłać męża do Seattle z całym zbieranym przez lata kapitałem na czarną godzinę, by kupić posesję odpowiednią na porządny pensjonat.

- Razem podjęliśmy decyzję o sprzedaży tego zajazdu, ale ja postanowiłam uczynić to bezzwłocznie, zamiast czekać nie wiadomo na co! - Jean Jacques byłby pewnie zły, że nie

czekała z podpisaniem umowy sprzedaży, aż da jej znać o znalezieniu odpowiedniej nieruchomości, jak uzgodnili. Ale jego poszukiwania trwały tak długo, że straciła cierpliwość. Tęskniła za nim bardziej, niż myślała, że to możliwe. Chciała jak najszybciej znaleźć się w jego ramionach!

Na twarzy Hugona Boscha pojawił się wyraz zaskoczenia.

- Jest pani kobietą zamężną i nie powinna była pani podejmować samodzielnych decyzji, a tym bardziej realizować ich bez porozumienia z mężem! Jeśli jest choć w połowie prawdziwym mężczyzną, dostaną się pani niezłe bity za nieposłuszeństwo.

Aha, właśnie! Jasne jak słońce, że gdyby wyszła za Hugona Boscha, następne półwiecze spędziliby, knując plany, jak zabić dokuczliwego współmałżonka.

- Seattle to wielkie miasto. Pani nie ma najmniejszego pojęcia, gdzie się zatrzymał Villette.

To prawda, ale go znajdzie, bo ona i Jean Jacques byli jak dwie połówki magnesu, przyciągające się nawzajem z nieodpartą siłą, zdolną zmieść z drogi wszelkie przeszkody. Ich małżeństwo było radosnym, żywiołowym związkiem dwojga ludzi, zakochanych w sobie namiętnie i bez pamięci. Nie wątpiła, że potrafią się odnaleźć, jeśli tylko przebywali na tej samej półkuli.

Jak większość rudowłosych, Clara mocno się rumieniła. Na widok uniesionych brwi Herr Boscha, zażenowana, spuściła oczy.

- O, dylizans nadjeżdża!

- Claro, błagam panią! Proszę wziąć rozwód z tym Francuzem...

- Rozwód? - Uważała się za kobietę nowoczesną, ale nie na tyle, by choć rozważać coś takiego! Zadrżała ze zgrozy na samą myśl o tym.

- Ja z pewnością potrafiłbym panią uszczęśliwić. Zastawiałbym pani stół najsmakowitszymi ciastami, strudlami, gotowałbym kluseczki na ostro i dusił kapustę z kiełbasą... - Oczy mu zabłysły, gdy wyliczał jej ulubione potrawy.

Kobieta westchnęła. Jej i tak dość obfite kształty przybrałyby groteskowe rozmiary, gdyby Herr Bosch mógł spełnić swoje marzenia. Clara była barczysta, miała rozłożyste biodra i wielkie dłonie, ale kusila apetycznymi krągłościami umiejscowionymi tam, gdzie należało, choć nie zaliczała się do tłuściochów. Jej ojciec mawiał niegdyś, że jest zbudowana wedle najlepszych wzorców niemieckich dziewcząt - postawna, grubokoścista piękność. Niestety, nikt inny nie podzielał jego zdania - aż do pojawienia się Jeana Jacques'a.

- Muszę wyjść na spotkanie dyliżansu. - Łagodnym gestem położyła dłoń na śnieżnobiałym rękawie Hugona Boscha. Wiedziała, że kucharz chce dobrze. Któż to wie? Gdyby Jean Jacques nie zawrócił jej w głowie, może w końcu skusiłaby się na ofertę najsmakowitszych strudli, a kucharz wraz z jej ręką dostałby wymarzony zajazd? Może umiałaby sobie wmówić, że nie przeszkadza jej, iż mąż nie potrafi określić koloru jej oczu ani że, jego zdaniem, każda żona zasługuje czasami na zdrowe baty? Zostawiła niedoszłego ślubnego pod gałęziami kasztanowca, z ponurą miną żującego koniuszek

cygara, a sama pobiegła do domu zdjąć fartuch, wygładzić spódnicę i poprawić niesforne kosmyki wymykające się z koka. Przywoławszy na twarz wystudiowany uśmiech, wyszła na frontowy ganek przywitać gości.

Z dylizansu wysiadła wszakże tylko jedna kobieta. To utwierdziło Clarę w przekonaniu, że wcale nie przedwcześnie podjęła decyzję o sprzedaży zajazdu. Za życia ojca dylizans zatrzymywał się tu dwa razy dziennie i za każdym razem zasiliał grono gości pół tuzinem podróżnych. Clara zdusiła westchnienie i przyjrzała się kobiecie, która, odwróciwszy się plecami do zajazdu, podziwiała bezkres oceanu po drugiej stronie drogi. W postawie nowo przybyłej uderzała płochliwość i obawa, których przyczyn Clara nie umiała dociec. Kobieta miała dobrze skrojony kostium podróżny z tkaniny odpornej na gniece, dłonie obleczone w eleganckie rękawiczki i nieskazitelnie ułożone włosy pod małym, kształtnym kapelusikiem. Stapała pewnym krokiem osoby zamożnej.

- Czy to jedyna podróżna? - spytała Clara Olego Petersona, który stawał torbę przybyłej na ganku.

- Reszta pasażerów nie wysiada - odpowiedział przepraszającym tonem.

Clara skinęła głową i życzyła mu bezpiecznej jazdy. Zawahała się, po czym przecięła trawnik i podeszła do nieznanajomej.

- Piękny widok, prawda? - odezwała się zachęcająco, zerkając w stronę oceanu.

- Zapiera dech w piersiach. Cudowny, wspaniały. Wprost brak mi słów! - Kobieta spojrzała na Clarę, po czym z

powrotem wbiła wzrok w fale. - Tu, w Oregonie, wszystkie barwy są takie żywe. W Kalifornii błękit nie dorównuje tej niebieskości, a zieleń nie jest nawet w połowie tak zielona. A ocean! Mąż obiecywał mi, że raz go ujrawszy, zakocham się w widoku morza, ale nie wiedziałam, że ujrę coś tak wielkiego, bezkresnego, coś, co przytłacza i fascynuje zarazem.

Widok Pacyfiku, rozpościerający się z kuchennego podwórka, towarzyszył Clarze od urodzenia, przyzwyczaiła się więc do niego i nie widziała w nim nic fascynującego. Krajobraz widziany oczami gości zawsze nabierał nowych interesujących aspektów.

- To jest więc pani pierwsza podróż nad ocean?

Smukła sylwetka podróżnej zeszywniała. Kobieta wyprostowała plecy, splotła urekawiczone dłonie na wysokości pasa i lekko zmarszczywszy czoło, posłała niewidzące spojrzenie w przestrzeń. Clara знаła ten wyraz twarzy: widywała go u nudnych, zarozumiałych przyjezdnych, które próby nawiązania przyjacielskiej rozmowy brały za wścibstwo, bo jakieś głupie książki o etykiecie zakazywały roztrząsania prywatnych spraw z obcymi i ostrzegały, by nic o sobie nie opowiadać.

- Cóż... - podjęła Clara, obserwując rumieńce wykwitające na policzkach gościa. - Proszę wejść. Mam pokój, który powinien się pani spodobać. Kolację podajemy w jadalni punktualnie o siódmej. Będzie pani miała dość czasu, by się odświeżyć po podróży.

- Pani jest tu właścicielką?

- Tak. - Do jutra, kiedy przybędą nowi gospodarze. Clara zatrzymała się na frontowym ganku, by podnieść torby podróżne, uszyte z wzorzystej materii.

- Nie zawoła pani kogoś ze służby?

- Nie potrzeba - rzuciła Clara rzeźkim tonem. - Nie jestem taką ptaszyną jak pani. - Niemal słyszała tatkę, jak mówi: „Moja córka jest silna jak wół!” Ojciec pożegnał ten padół już ponad dwa lata temu, ale wciąż go jej brakowało. Jaka szkoda, że nie mogą usiąść razem nad kuflem pianistego piwa! Wyjaśniłaby mu spokojnie, czemu podjęła decyzję o sprzedaży gospody.

Poprowadziła gościa przez salon, w którym wisiał skarb tatki - zegar z kukułką - i stała serwantka z miniaturowymi filiżankami z porcelany, które kolekcjonowała mama. W przytulnej recepcji Clara postawiła bagaże na podłodze i weszła za kontuar. Nowo przybyła najwyraźniej nie podróżowała wiele, gdyż procedura wpisu do księgi meldunkowej wprawiła ją w widoczne zakłopotanie. Zarumieniła się głęboko i unikała wzroku właścicielki zajazdu.

- Zastanawiam się... Wiem, że to niezwykła prośba, ale może... pozwoli mi pani przejrzeć wpisy sprzed dziewięciu miesięcy? - Rumieniec na jej twarzy pociemniał jeszcze bardziej, powieki trzepotały, słowa wylewały się z ust nerwowym potokiem. - Widzi pani, szukam pewnej osoby, która może zatrzymała się w pani zajazdzie w tamtym okresie.

To wszystko wyjaśniało. Clara założyłaby się o wszystkie swoje pieniądze, że kobieta wyjechała w pogoni za mężem, który ją opuścił. Słyszała już podobne opowieści. Niewiele jest

na świecie smutków i krzywd, z którymi właściciele zajazdów nie zetknęliby się wcześniej czy później. Wzrok gospodyni zmiękł; z nową sympatią spojrzała na przybyłą. Pięknością nie była na pewno, ale ile jest na świecie naprawdę pięknych kobiet? Ta mogła się przynajmniej pochwalić nieco wyblakłą urodą, starannie skrywaną, jakby było grzechem przyciągać spojrzenia mężczyzn. Clara stwierdziła, że najmocniejszym atutem kobiety są oczy: urokliwe, ocienione gęstymi rzęsami, nasycone głęboką szarością, pełne zadumy. Były tak przejrzyste, iż można by powiedzieć, że wyzierała z nich dusza. Nieznajoma miała z pewnością bezbłędne wyczucie stylu: umiała dobrać odpowiednie stroje i nosiła je z gracją. Clara wyczuła jednak nieśmiałość i brak doświadczenia, kryjące się za pozorami obycia. Kobieta zdecydowała się na samotną podróż z konieczności, nie z wyboru, a rozpytywanie o męża sprawiało jej wyraźnie bezgraniczną udrękę. Clara starannie ukryła oznaki współczucia i odwróciła rejestr gości na ladzie. Wyciągnęła pióro i odezwała się swobodnie:

- Oczywiście, proszę przejrzeć wpisy z zeszłego roku. Z chęcią pokażę pani... - Urwała, widząc przerażone spojrzenie przybyłej, które zawisło na ślubnym pierścionku na palcu Clary.

Nieznajoma uchwyciła się brzegu kontuaru, by nie upaść, a z jej twarzy odbiegła cała krew, aż policzki zbieły jak płótno.

- Pani pierścionek! - wykrztusiła ostatnim tchem.

- To moja obrączka ślubna - wyjaśniła Clara, wyraźnie oddzielając słowa. Zastanawiała się, czy kobieta nie uległa jakiemuś napadowi. - To pamiątka rodzinna. Dziadek mojego

męża zaprojektował ten pierścionek i dał babce w dniu ślubu, a ona nosiła go przez resztę swych dni. Potem odziedziczyła go jego matka.

Podróżna potrząsnęła głową.

- Nie, to niemożliwe... to nie może być prawda!

- Proszę pani? Czy mam coś pani podać? Może szklanek wody?

- Pani nie rozumie... proszę więc spojrzeć! - Nieznajoma szarpała rękawiczkę na lewej dłoni. - To musi być zbieg okoliczności... Tak, to nic innego, tylko wyjątkowy zbieg okoliczności. - Wyciągnęła drżące palce nad kontuarem.

Światło lampy padło na obrączkę ślubną, Clara zakrzuszyła się i poczuła, że jej serce przestaje bić. Patrzyła oczami otwartymi tak szeroko, że zaczęły ją piec. Pierścionek był taki sam jak ten, który sama nosiła na serdecznym palcu - dwie filigranowe nici oplatały parę złączonych srebrnych serduszek. Jak to możliwe? Jean Jacques powiedział, że to niepowtarzalny wzór, jedyny na świecie!

- Och! - Westchnienie przeszło w jęk, aż Clarze zabrakło tchu. Zatoczyła się do tyłu, potrząsając głową w żywiołowym przeczeniu. - Nie, to niemożliwe. Nigdy w to nie uwierzę!

- Błagam... - szepnęła nowo przybyła. - Proszę mi zdradzić nazwisko męża!

- Jean Jacques Villette... - Słowa utkwily w gardle Clary, gdyż jedno spojrzenie na zszarzałą twarz kobiety potwierdziło najczarniejsze obawy. To jakiś koszmar! - *Mein Gott!* Jesteśmy żonami tego samego mężczyzny! - Jej własne słowa dobiegały jakby z wielkiej oddali, w uszach Clary

dzwoniło, kolana się ugiwały pod nią. Czuła wzbierające mdłości.

Przemknęło jej przez głowę, że to jest z pewnością sytuacja usprawiedliwiająca zemdenie. Ogarnęło ją osobliwe zadowolenie, gdy ujrzała, że druga pani Villette osuwa się na podłogę po drugiej stronie kontuaru.

Clara cudem przetrwała godzinę kolacji: wskazywała wolne miejsca, nadzorowała kelnerów, uśmiechała się i kiwała głową na pożegnanie, gdy goście opuszczali jadalnię. Kiedy ostatni wyszedł, stwierdziła, że nie mogłaby sobie przypomnieć ani jednego słowa z tych, które wypowiedziała podczas posiłku. Nic, co robiła od chwili, gdy Juliette March Villette zemdląła w recepcji, nie zostało jej w pamięci.

Zastygła na środku jadalni ze wzrokiem wbitym tępo w Hansa i Gerharda, którzy nakrywali do śniadania. Rzucali na nią ukradkowe spojrzenia, potem popatrywali na siebie z uniesionymi brwiami - jakby sądząc, że szefowa zwariowała, a oni nie mają pojęcia, co powinni z nią zrobić.

Odwróciła się raptownie na pięcie i wróciła do recepcji. Weszła za kontuar i zaczęła krążyć od ściany do ściany.

Jak powinna się zachować? Czy jest sens jechać do Seattle, jak zamierzała? Ale tutaj też nie mogła zostać! Jutro nowi właściciele wprowadzają się do pokoi, które stanowiły dotychczas jej prywatną kwaterę, a swoje sprzęty i pozostałe rzeczy spakowała już i oddała na przechowanie. Zostawiła jedynie na ostatek miniaturową porcelanową zastawę matki i zegar z kukułką.

Zaraz, chwilę! Zastygła ze wzrokiem wbitym w przestrzeń. Czemu się kłopotowała o to, gdzie złoży głowę jutrzejszej nocy? Umysł w stanie szoku skupił całą uwagę na tym jednym pytaniu: gdzie się podzieje? A przecież nie brakowało innych, równie ważnych kwestii!

Czy była pierwszą, czy drugą żoną? Czy w ogóle była mężatką, czy też nie? A jej pieniądze? Pieniądze! Jean Jacques, jej namiętny, ukochany nad wszystko małżonek - skończony łajdak, złodziejskie nasienie - zabrał wszystkie pieniądze. Czy to kradzież tak ją wzburzyła? Świadomość, że okazało się, iż Jean Jacques w niczym nie różni się od poprzednich konkurentów, zakochanych w majątku Clary, a nie w niej?

Nie, to nie mogła być prawda. Jean Jacques ścigał ją po całym zajeździe i przysięgał, że dopadnie ją po kolei w łózkach wszystkich gościnnych pokoi. A ona śmiała się i pozwalala się schwytać - i rzeczywiście nie było łóżka, w którym by się nie kochali! Przymknęła oczy i zachwiała się na nogach. Mężczyzna nie jest w stanie udawać pożądania. Jean Jacques kochał ją... tak musiało być! Lecz jeśli ją kochał, to nie mógł być zakochany w tej Juliette March Villette.

Odwróciła się i podniosła wzrok na podest na piętrze. Nie mogła tego dłużej odkładać; musiała porozmawiać z tamtą. Panna March zapewne już się otrząsnęła z pierwszego szoku.

Nalała dwa kufle niemieckiego piwa, dość mocnego, by stępić ból sponiewieranej duszy, i zaniosła je pod trójkę. Przez chwilę obawiała się, że kobieta nie zareaguje na pukanie, ale wreszcie usłyszała wypowiedziane zrezygnowanym głosem zaproszenie.

Panna March leżała już w łóżku. Miała na sobie skromną, niczym nie ozdobioną koszulę z cnotliwą wysoką stójką. Zdażyła wyszczotkować włosy i splotła je w warkocze jak osoba, która szykuje się do spoczynku - choć Clara szczerze wątpiła, czy którakolwiek z nich zazna tej nocy błogosławieństwa snu.

- Czy już lepiej się pani czuje?

- Mam złamane serce... - Oblicze drugiej pani Villette pozostało woskowobiałe, przez co tym wyraźniej odcinały się zaczerwienione i napuchnięte od płaczu powieki. - Nie mogę się ruszyć. Nie mogę myśleć. Jakbym miała sparaliżowany umysł i ciało zbyt ciężkie, by je unieść. Nigdy w życiu nie zaznałam takiego cierpienia! Nie mogę znieść myśli, że ciotka Kibble miała jednak rację.

Tyle zostało ze sławetnego przykazania, by nie zwierzać się obcym! Szok i ruina marzeń sprawiły, że wyuczona rezerwa Juliette March Villette prysnęła, a Clara bez szczególnego entuzjazmu zdała sobie sprawę, że nim minie wieczór, ona i druga żona jej męża wymienią bardzo intymne zwierzenia.

- Przyniosłam pani odrobinę piwa.

Nie, Clara nie mogła myśleć o tej kobiecie jako o pani Villette! To byłoby odrażające, całkowicie niemożliwe. Ani jako o „drugiej żonie swojego męża” - to było zbyt bolesne. Zdecydowała się wreszcie, że będzie ją nazywała w myślach panną March.

Brwi panny March wygięły się w niedowierzające łuki, a nos zmarszczył z odrazą.

- Nie tykam trunków.

- Dobra chwila, by zacząć. Obiecuję, że ten kufel lepiej się pani przysłuży niż filiżanka herbaty. - Clara spojrzała z ukosa na imbryczek, który panna Reeves przyniosła tu nieco wcześniej. Postawiła jeden z masywnych kufli na krawędzi łóżka i patrzyła z niezmaconym spokojem, jak panna March łapie za uchwyt, by uchronić naczynie od rozbicia się na podłodze, po czym przyciągnęła krzesło i usiadła.

Teraz, gdy już tu była, nie mogła sobie przypomnieć żadnego z pytań, które zamierzała zadać! Zbyt ją zajęło i przygnębiło przeprowadzanie porównania między sobą i panną March. Sądząc zaś z wyrazu twarzy tamtej, i ona nie mogła się powstrzymać od podobnych porównań.

Clarze nie udało się doszukać ani jednej wspólnej cechy w ich wyglądzie. Ona była postawną kobietą, podczas gdy panna March miała smukłą budowę i drobne kości. Kędzierzawe sploty Clary połyskiwały kasztanowym odcieniem, a panna March była szatynką o włosach gładko zaczesanych. Jej oczy były szare, tęczówki Clary - jasnobrązowe. Puciołowata Clara skora była do uśmiechu, panna March miała, stosownie do nakazów mody, twarz bladą, na której uśmiech pojawiał się z niejakim ociąganiem. Clara wyczuła, że różnice dotyczą nie tylko wyglądu i usposobienia; gdyby zaczęły porównywać swoje życiorysy, okazałoby się, że pochodzą z diametralnie różnych środowisk i prowadziły skrajnie odmienne życie.

- Jemu chodziło o pieniądze! - wybuchnęła panna March drżącym głosem. Walcząc ze łzami, zanurzyła wargi w piwie, zakrztusiła się i odruchowo ściągnęła usta. - Ciotka Kibble ostrzegała, ale ja nie chciałam jej słuchać.

- Drugi łyk pójdzie już gładziej.
- Powiedział, że ma przejściowe kłopoty z kapitałem... że to byłaby tylko pożyczka. - Panna March potrząsnęła głową i przełknęła kolejny łyk piwa. Tym razem zakrzuszyła się tylko odrobinę. - Czy pan Villette i od pani wziął pieniądze? - Spojrzeniem błagała Clare o potwierdzenie.

Ta z ociąganiem kiwnęła głową i wyjaśniła, że oddała Jeanowi Jacques'owi odłożone na czarną godzinę pieniądze na zakup pensjonatu w Seattle i właśnie, sprzedawszy zajazd, zamierzała za nim podążyć. Panna March odwzajemniła się opowieścią o pieniądzach, które dała mężowi na zakup rezydencji w Oregonie. Wreszcie zaczęły porównywać daty i ustaliły chronologię wydarzeń.

Clara spuściła głowę.

- Więc panią poślubił pierwszą... - Umysł miała jak sparaliżowany. Nie czuła bólu, ale wiedziała, że cierpienie przyjdzie później.

- Nie mogę uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę... -W oczach Juliette lśniły niewypłakane łzy. Pochyliła głowę nad kuflem. - Wierzyłam, że mnie kocha.

- I ja tak myślałam. Ani przez chwilę nie zwątpiłam w prawdę i szczerść jego słów. - Clara zmarszczyła czoło i wbiła wzrok w pierścionek, który, wedle Jeana Jacques'a, stanowił pamiątkę rodzinną. Jedyna na świecie, niepowtarzalna obrączka ślubna... A ona łykała jego zapewnienia jak cukierki i nigdy nie przyszło jej nawet do głowy, że może mieć do czynienia z kłamcą. Łajdak!

- Powiedział, że ma firmę importowo-eksportową i zainwestował cały kapitał w towary.

- Mnie zapewniał, że jest w branży hotelarskiej, a wszystkie pieniądze wsadził w kupno szynku w Kalifornii, na który szuka nabywcy.

- Kłamstwa od początku do końca... Chociaż jedno mnie gnębi... - Policzki Juliette zalała szkarłatna łuna, kobieta bezradnym gestem rozłożyła dłonie. - Jak potrafił do tego stopnia stwarzać pozory, jeżeli wszystko, co mówił, było kłamstwem? Jakoś wciąż mi się wydaje, że wyczułabym fałsz. Nabralabym przynajmniej podejrzeń. Coś musiało być szczerze... Może się łudzę, tak jak tonący próbuje złapać się słomki. Ale nie mogę uwierzyć, że mnie nie kochał, przynajmniej odrobinę. To nie była wyłącznie chrapka na moje pieniądze.

Jej słowa odbijały tok myśli Clary. Jean Jacques nie poślubił jej jedynie dla pieniędzy, bo w ogóle nie wiedział o sumie odłożonej jako zabezpieczenie na stare lata. Nie mogło mu też chodzić o przejęcie zysku ze sprzedaży zajazdu, skoro powtarzał z całym naciskiem, by wstrzymała się do czasu, gdy przyśle jej instrukcje. Teraz wiedziała, że nie doczeka się wezwania do jego boku, bo Jean Jacques nigdy nie zamierzał się z nią kontaktować. Odjechał na dobre.

Serce skurczyło się jej boleśnie na myśl, że już go nie zobaczy. Cios był tym dokuczliwszy, że dała się oszukać, wystrychnąć na dudka przystojnemu kobieciarzowi o gładkim języku pochlebcy.

Gdy podniosła wreszcie wzrok, ujrzała pannę March, zakrywającą oczy koronkową chusteczką.

- Nie potrafię zwracać się do pani „pani Villette”! - oświadczyła nieoczekiwanie. Po raz pierwszy w życiu poczuła jadowite ukąszenie zazdrości, gdy w wyobraźni pojawił się obraz Jeana Jacques'a, kochającego się z Juliette. Choć desperacko próbowała, nie udało jej się odegnąć odrażającej wizji.

Juliette zadrżała, wciąż skrywając oczy za skrawkiem jedwabiu.

- Ja też nie potrafię tak pani nazywać!

- Proszę więc mówić mi Clara, a ja się pani odwzajemnię, zwracając się do pani Juliette. Albo używajmy panieńskich nazwisk: panna Klaus i panna March?

Clara zauważyła, że jej rozmówczyni podnosząc kufel do ust, odruchowo odgina mały paluszek, jakby popijała herbatę z filiżanki. Jak, na litość boską, Jean Jacques mógł poślubić tę sztywną skromnisię? Niemożliwe, by ją kochał. To byłoby po prostu przeciwne jego naturze.

- Pan Villette mnie poślubił pierwszą... - odezwała się po chwili ciszy panna March. - Cieszę się, że nie próbuje pani temu zaprzeczać. - Wysunęła podbródek.

Jej ton zaskoczył Clare. Może pod maską sztywnej rezerwy damy kryła się jednak kobieta z krwi i kości?

- Moje małżeństwo jest równie legalne i rzeczywiste jak pani! - odparowała ostro.

- Niepodobna, by tak było, skoro był już moim mężem, gdy pani go uwiodła!

- Ja go uwiodłam? Niechże się pani dowie, że wystarczyło jedno spojrzenie, by Jean Jacques zakochał się we

mnie po uszy! Od pierwszego spotkania uganiał się za mną dopóki się nie zgodziłam zostać jego żoną. To on był uwodzicielem, nie ja.

- Mnie nazywał swoim aniołem i zarzekał się, że dzięki mnie poznał prawdziwe szczęście! Nie wiem, jakich użyła pani sztuczek, by go złapać w sidła, ale wyjeżdżał z Linda Vista jako szczęśliwy i zaspokojony małżonek!

- Cóż, ten stan duszy nie trwał więc długo. W chwili gdy przekraczał próg mojego zajazdu, nie pamiętał już o pani istnieniu!

Juliette wbiła oczy w rywalkę, po czym podniosła je do sufitu, czując wzbierające łzy. Clara dopiła piwo i ze złością powtórzyła sobie, że nie musi za nic przepraszać. Nagle usłyszała słowa przeprosin z ust Juliette i poczuła się jak nędzny robak.

- Przepraszam panią. - Juliette otarła oczy i wysiakała nos. - Jak ja się zachowuję! Musiała sobie pani pomyśleć, że mam maniery prostytutki. Przepraszam, że się na panią rozzłościłam. Ja po prostu bardzo bym chciała, żeby ten koszmar okazał się winą kogoś innego, nie mojego męża. - Spojrzała Clarze prosto w oczy, lekko mrugając. - Powinniśmy współczuć sobie nawzajem. Obie zostałyśmy zdradzone!

Clara rozważała przez chwilę, czy nie ostrzec Juliette, że ma wąsy z piany na górnej wardze, ale podobała jej się myśl o tym, jaki dreszcz wstydu przejdzie elegancką pannę, gdy nieco później sama dokona tego odkrycia.

Clara miała się raczej za poczciwą kobietę, ale ta druga żona Jeana Jacques'a budziła w niej najniższe instynkty.

Okazało się w końcu, że jej natura ma swoją ciemną, złośliwą jak kotka stronę! Wreszcie wykrztusiła:

- I mnie jest przykro. Myślę, że w końcu będziemy musiały złożyć sprawy w ręce władz i wierzyć, że przedstawiciele prawa rozwiążą ten problem.

Juliette spojrzała na nią z prawdziwą zgrozą.

- Mam doprowadzić do tego, że mój mąż znajdzie się w więzieniu?

- Ja osobiście zaczynam wierzyć, że tam jest dla niego właściwe miejsce. Właśnie dotarło do mnie, że okradł mnie z pieniędzy. Zaczynam czuć wściekłość na myśl o krzywdzie, jaką mi wyrządził.

Skrzyżowały spojrzenia.

- Sądzę, że niewykluczone, iż pan Villette cierpi na napady amnezji - odezwała się Juliette. Tym razem taktownie powstrzymała się od nazwania Jeana Jacques'a mężem. Po co zaostrzać sytuację? Z zapalem snuła dalej swoją teorię: - Skoro nie pamiętał przeszłości, mógł sądzić, że wolno mu... związać się z panią.

- To największa bzdura, jaką kiedykolwiek słyszałam - sprzeciwiła się Clara po chwili namysłu. - Poza tym to nie wyjaśnia, czemu nosimy identyczne obrączki ślubne.

Jednocześnie popatrzyły na serdeczne palce swoich lewych dłoni.

- Musi być jakieś logiczne wyjaśnienie - upierała się Juliette. Po długim milczeniu westchnęła. - Przemyslałam wszystko i podjęłam decyzję, że będę kontynuować

poszukiwania. Amnezja czy nie, chcę się dowiedzieć, dlaczego mi to zrobił!

Clara przyjrzała się wąsikowi z piany na ustach Juliette. Miniaturowe banieczki zaczęły obsychać na skórze nad górną wargą.

- Powodem były pieniądze. Okradł nas obie. I ja wiem, co zrobię. Jadę do Seattle odzyskać mój kapitał! - Wiedziała, że gdy odnajdzie Jeana Jacques'a, wybuchnie płaczem, poczuje świeżą falę miłości zaprawionej nienawiścią i zacznie się modlić, by udało mu się jakoś sprawić, że wrócą dawne cudowne dni szczęścia.

Kiedy wstawiała, jej wzrok padł na smukłe palce Juliette, ściskające rączkę kufła. Oczy rozbłysły jej wściekłością na widok pierścionka na palcu kobiety. Nie, nic i nikt już nie sprawi, by wróciły czasy szczęścia i oczarowania!

Juliette oddała jej kufel i potarła czoło.

- Nie wiem, jak w taktowny, godny damy sposób wyznać, że wolałabym nie podróżować do Seattle w pani towarzystwie.

- Dlatego, że się nawzajem nie znosimy?

- Bardziej uprzejmie byłoby ująć rzecz tak, że się nie znamy i nie życzymy sobie bliższej znajomości.

- Niestety, w dniu jutrzejszym odjeżdża tylko jeden dylizans. Może pani, oczywiście, zwlekać jeszcze jeden dzień, ale to jedyne połączenie w kierunku północnym, do Seattle. - Clara podniosła głowę i pomaszerowała do drzwi. - Ja osobiście zamierzam do niego wsiąść. - Przy drzwiach odwróciła się i rzuciła ostatnie spojrzenie. Natychmiast tego pożałowała.

Juliette wyglądała jak uosobienie nieszczęścia, gdy siedziała przygarbiona w łóżku w niczym nieprzybranej panińskiej koszulce i patrzyła przed siebie zaczerwienionymi oczami. Stanowiła obraz przygnębienia i klęski. Clara pomyślała, że trudno pojąć, jak tej kobiecie udało się zebrać siły, by w ogóle wyruszyć na poszukiwanie Jeana Jacques'a. Potrząsnęła głową i markotnie westchnęła. Nie musiała uciekać się do należących niegdyś do jej matki kart tarota, by wywróżyć najbliższą przyszłość. Czy jej się to podoba, czy nie - a wiedziała, że nie! - obie znajdą się w jutrzejszym dyliżansie.

Po pierwsze, tylko ten jeden kursował na północ. Po drugie, nie chciała, by Juliette(udało się pierwszej odnaleźć Jeana Jacques'a. Po trzecie, przekłety los obdarzył Clary opiekuńczym usposobieniem, więc jakiś idiotyczny, niemniej głęboko zakorzeniony instynkt dyktował jej obowiązek, od którego nie było ucieczki: miała się zaopiekować drugą żoną swego męża. On oczekiwałby od niej, że weźmie Juliette za rękę i obejmie przewodnictwo w poszukiwaniach, bo była silniejsza i bardziej obyta ze światem niż ta jaśnie pani. Ponownie potrząsnęła głową i zakryła oczy dłonią. Nie chciała zajmować się tą damulką! Życzyła jej, by spadła z urwiska albo przejechał ją wóz towarowy. Cieszyłaby się szczerze na widok Juliette, zmiażdżonej przez spadający odłam skalny, dziękowałaby losowi za jakąś piorunującą chorobę, która uśmierciłaby niepożądanego gościa jeszcze przed nadejściem poranka.

Na obronę Clary należy dodać, że w każdej z tych wizji śmierć Juliette następowała błyskawicznie. Nie życzyła cierpień

rywalce. Po prostu chciała, by zniknęła bez możliwości powrotu.

- Śniadanie podajemy od siódmej. - Westchnęła ciężko i postąpiła tak, jak od dawna należało. - Ma pani wąsik z piany na górnej wardze. Wygląda to raczej śmiesznie.

Zamknęła starannie drzwi i zeszła po schodach do swoich apartamentów. Dopiero tam pozwoliła sercu wyrzucić z siebie nagromadzony ból w potopie gorących łez.

SCANDALOUS

Osada Newcastle była położona w niecce u podnóża stromej góry. Lesiste niegdyś stoki ogołocili drwale, prowadzący wyrąb dla potrzeb budowniczych przysadzistych domków, porozrzucanych wzdłuż brzegu Węglowego Strumienia. Zbocze usiane było pieńkami, sterczącymi jak pacholki na portowym nadbrzeżu.

Ploty z nieheblowanych desek wyznaczały granice małych podwórek. Tu i ówdzie przywiedły krzak azalii prowadził walkę o przetrwanie, lecz większość domostw zarosła chwastami, między którymi przechadzały się stadka wymęczonych kur, strzeżone przez wychudłe koguty.

Zoe pamiętała zaniedbane podwórka, ale sadza i wszędobylski pył węglowy zawsze na nowo ją zaskakiwały, chociaż każdemu rzuciłyby się w oczy jako najbardziej charakterystyczna cecha osady. Brudzący nalot wkradał się wszędzie, wciskał szparami w oknach, unosił w kurzu między deskami podłóg, pokrywał meble czarną lepką warstwą. Malował na szaro pranie wywieszzone na podwórkowych sznurach, osiadał na kapeluszach i ramionach, krzewach i dachach.

Zoe wytrząsnęła spódnice, zanim zdecydowała się zasiąść do matczyngo stołu. Wiedziała z doświadczenia, że nie wolno jej strzepywać pyłu ręką, gdyż rozsmarowałaby go tylko po tkaninie. Chociaż dokładnie wytarła stół po śniadaniu – niecałe dwie godziny temu - już teraz blat pokrywała cieniutka warstewka sadzy.

Mama przysunęła jej kubek z kawą i zerknęła na zegar zawieszony nad kuchnią.

- Szkoda, że nie możesz zostać trochę dłużej...

- I ja żałuję. - Zoe nie powiedziała prawdy. Czterech z sześciu braci wciąż mieszkało w domu, gnieźdząc się w dwóch sypialniach, więc każda wizyta siostry wprowadzała niezłe zamieszanie, bo trzeba było urządzić przemeblowanie, by miała gdzie przenocować. Zoe miała wyrzuty sumienia, że nie odwiedza częściej rodzinnej osady, ale samodzielny żywot, jaki prowadziła w Seattle, rozpuścił ją - przynajmniej pod tym względem, iż zaczęła sobie cenić luksus, jakiego próżno było oczekiwać w tym zatłoczonym domu: prywatność. W pensjonacie zajmowała dwa pokoiki, w których nie musiała ubierać się za parawanem, wysłuchiwać prostackich przekomarzanek sześciu braci, bezskutecznie chronić uszy przed zgiełkiem rodzinnego życia i przed każdym posiłkiem walczyć o miejsce przy stole. Co więcej, nie musiała dzielić przestrzeni życiowej z nikim - prócz męża, a to jej bynajmniej nie wadziło.

- Jesteś szczęśliwa, prawda? - dopytywała się matka, baczenie studiując twarz Zoe w mdłym świetle z zasnutych sadzą okien.

- Tak - odpowiedziała cicho, uśmiechając się na widok kawy. Mama odżałowała prawdziwej śmietanki, zamiast dolać zwykłego odciągniętego mleka!

- Myślałam już, że nigdy nie wyjdiesz za mąż. Złamałaś chyba serce każdego kawalera w Newcastle. - Alice Wilder wyszczerzyła zęby w uśmiechu, który sprawił, że z jej zmęczonej

twarży ubyło kilka ładnych lat. - Kiedy ja kończyłam dwadzieścia cztery lata, zdażyłam już pogrzebać dwoje dzieci, a dwóch innych smarkaczy czepiało się mojej spódnicy.

Od takiego życia Zoe uciekła dzięki łasce niebios. Nie chciała dać się uwięzić w maleńkim, zatłoczonym domku i urabiać rąk po łokcie jako niewolnica mężczyzn, którzy wiecznie nosili czarną obwódkę pyłu za paznokciami, choćby nie wiedzieć jak zawzięcie szorowali dłonie. Nie chciała pół tuzina bachorów, które przed czasem wyssa z niej wszystkie siły. Przynajmniej zaś miała ochotę doświadczyć w życiu czegoś miłego i zaznać odrobiny wygod, jakich nie mogła oczekiwać od losu żona górnika.

- Słusznie postąpiłam, zwlekając, mamusiu! - Gdyby wyszła za mieszkańca Newcastle, utkwiliby tu na zawsze. Woląłem czekać, wykorzystując panięskie lata na własny rozwój. Nagrodą był Jean Jacques Villette... Zoe nie marzyła nawet o tym, że na świecie istnieją tak doskonali mężczyźni!

Uśmiech na twarzy jej matki pogłębił się.

- Powiadałam twemu ojcu, że jeśli kiedykolwiek się zakochasz, podejmiesz decyzję w mgnieniu oka, ot tak! - Strzeliła palcami. - Mówiłam mu, że zostaniesz mężatką zanim nawet się dowiemy, że spotkałeś kogoś specjalnego.

Zoe odpowiedziała jej uśmiechem.

- To był najbardziej podniecający tydzień w moim życiu, mamó! Najpierw ocaliłam chłopaka van Hootenów, kiedy się topił w bagnie, a potem była ta ceremonia wręczenia nagrody...

- I napisali o tobie w gazecie, tego też nie zapominać! Wycięłam ten artykuł i schowałam w rodzinnej Biblii. Nazwali

cię w nim bohaterką! - Duma przywróciła wyblakłym oczom matki barwy młodości.

- Trzy dni potem do sklepu wuja Milona zawitał Jean Jacques. Czy ci już mówiłam, jakie były jego pierwsze słowa, skierowane do mnie? - Boże, czy mogłaby je zapomnieć? - Napełniałam grochem worki na zapleczu, kiedy usłyszałam głos mężczyzny, mówiącego z takim akcentem, że każde słowo brzmiało jak muzyka. I powiedział, mamó, powiedział: „Pani włosy przywodzą na myśl mrok północy, utkany w jedwabną przedzę”.

- Ojku! - Matka niemal się udławiła z przejęcia i położyła dłoń na piersi. - Tak powiedział?

Zoe musnęła lśniące sploty opadające na szyję i spróbowała sobie wyobrazić miękkość jedwabiu.

- Jakby grom zstąpił z sufitu i trafił mnie prosto w serce! Ten mężczyzna, najprzystojniejszy, jakiego dotąd widziałam, miał czyste paznokcie i w ogóle... Stał przede mną i mówił, że moje włosy są jak jedwab utkany z blasku północy.

- No cóż, łatwo zrozumieć, że chętnie poślubiłaś człowieka, którego dłonie nie noszą odcisków od ciężkiej fizycznej pracy. Z początku myślałam, że robisz wielki błąd. - Matka spojrzała prosto w oczy córki. - Czy prawil ci jeszcze inne komplementy?

O, tak. Z ust męża płynęła czysta poezja; nigdy nie splamił się nieokrzesanym słowem. Uważał ją za prawdziwą damę - ją, która wyrosła, tłukąc się z sześcioma braćmi, walcząc o kawałek przestrzeni, którą mogłaby nazwać własną. Tak wytrwale starała się wybić ponad poziom, przypisany jej z

urodzenia, że nie zauważyła swego zwycięstwa aż do chwili, gdy w jej życie wkroczył Jean Jacques Villette. On pierwszy potraktował ją jak istotę kruchą i delikatną, która nigdy nie musiała walczyć o swoje prawa, aż krew płynęła z rozbitych kłykci.

- Kiedy spodziewasz się jego powrotu?

- Jak już znajdzie złoto. Och, mamusiu, jakie my mamy plany! - Dziewczyna aż pochyliła się do przodu z podniecenia, a w jej oczach zabłyśły iskry. - Kiedy Jean Jacques wróci znad Jukonu, wykupimy sklep wuja albo założymy własny interes... i zbudujemy wielki dom na Denny Hill, w dzielnicy, gdzie stawiają rezydencje najzamożniejsi.

- Ale, Zoe... co zrobicie, jeśli twój mąż nie znajdzie w Klondike żyły złota?

- Jest coś, czego ci nie mówiłam, mamu. - Młoda mężatka obawiała się, że marzenia prysną niczym bańka mydlana, jeśli będzie zbyt wiele paplała o cudach swego nowego życia. Ale minęło już tyle czasu, że Zoe zaczęła się czuć bezpiecznie. - Jean Jacques pochodzi z bogatej rodziny. Został poszukiwaczem złota dla kaprysu, nie z konieczności. Chciałby zbić własną fortunę, by się uniezależnić od rodzinnej schedy, ale jeśli mu się nie uda... - potrząsnęła głową z podziwem - to nic nie zmieni.

- Poślubiłaś bogacza? - Matka pochyliła się ku niej z marszem na czole. Tyle razy Zoe słyszała z jej ust: „Trzymaj się swoich. Jeśli wyjdiesz za mąż za kogoś z niższej czy wyższej sfery, czeka cię zgryzota i rozczarowanie”.

Wyraz matczynego oblicza dawał jasno do zrozumienia, jak ciężką walkę stoczyła ze sobą ta sterana życiem kobieta, by nie powtórzyć ostrzeżenia. Zamilkła tylko na kilka minut, po czym zapytała:

- Czy nie mówiłaś, że musiałaś zapłacić za ekwipunek męża i kupić mu bilet z pieniędzy, które dostałaś za uratowanie tego chłopca?

- Coś poszło nie tak z przekazaniem funduszy z konta Jeana Jacques'a w banku na Wschodnim Wybrzeżu do banku w Seattle. Najpierw wynikły jakieś problemy z jego księgowym, potem zaś zawiódł telegraf. Wszystko poszło nie tak. Wolałam zapłacić za wyposażenie wyprawy i bilet, niżby miał zwlekać i tracić sezon.

Oczy matki stwardniały.

- Ale teraz masz dostęp do jego funduszy?

- Prawdę mówiąc, Jean Jacques wyruszył, zanim sprawy się ułożyły. Musiał, inaczej pogoda uniemożliwiłaby dotarcie na złotodajne pola aż do następnej zimy.

Dziewczynine nie podobało się spojrzenie matki, zwłaszcza że te wyjaśnienia nawet w jej własnych uszach brzmiały jak kwestia z niezbyt wiarygodnej powieści. Im dłużej argumentowała, tym bardziej jej tłumaczenia traciły naiwnością. Poirytowana umilkła. Matka przerwała milczenie:

- Jestem podejrzliwa z natury, więc nie bierz sobie za bardzo do serca tego, co teraz powiem, ale nie uważam, by majątny mąż był w porządku, zostawiając żonę na długie miesiące bez żadnego zabezpieczenia finansowego, nawet bez środków na życie.

- Mam pracę w sklepie wuja Milтона i jeszcze mi zostało trochę pieniędzy z nagrody. Poza tym zaoszczędziłam niezłą sumkę na czarną godzinę. - No i wyszła przecież za bogacza. Już nigdy nie będzie musiała martwić się o pieniądze. Nikt nie będzie spoglądać na nią z wyższością. To prawdziwy cud!

Ale rozumiała, że z punktu widzenia mamy postępowanie Jeana Jacques'a było co najmniej szczególne: odpłynąć w sına dal, nie zatroszczywszy się o los świeżo poślubionej małżonki. Z drugiej strony w chwili, gdy podejmowali tę decyzję, nie widziała w tym nic niezwykłego. Zoe dobrze pamiętała, że sama go nakłaniała do rychłego wyjazdu i zapewniała, że doskonale sobie poradzi z pensji od wuja Milтона. Była dumna, gdy Jean Jacques chwalił jej niezależność i zaradność.

Mama dołała jej kawy z przydymionego imbryka, który zawsze dyżurował na kuchni.

- Masz czas na jeszcze jeden kubek przed odjazdem. Pociągiem towarowym z węglem pojedzie z powrotem do Seattle. Pan Cummings, obsługujący lokomotywę, nie miał zezwolenia na przewóz pasażerów, ale gdy chodziło o górników czy ich rodziny, przymykał oczy i pozwalał przemknąć się do breku.

- Przepraszam, że nie ostrzegłam cię przed przyjazdem o uroczystościach z okazji Dnia Właściciela. Wiem, że nie znosisz tej procesji.

Zoe odwróciła się twarzą do okna i zacisnęła wargi. Miała nie więcej niż pięć czy sześć lat, gdy się zorientowała, że eleganccy panowie i panie w powozach, biorących udział w procesji, spoglądają na gapiów tłoczących się na uliczkach Newcastle z mieszaniną wyższości i odrazy. Tamtego roku

usłyszała, jak jeden z nich mówił do reszty: „Ależ to brudasy, usmoleni od stóp po czoło! Jakże oni mogą tak żyć?” Jakby byli zwierzętami. Jakby mieli jakiś wybór poza duszeniem się w sady w domach należących do spółki węglowej.

Obiecała sobie wtedy, że w przyszłym roku nie rzuci się w pył drogi za cukierkami, które panie sypały z wyżyn wymuskanych powozów. Będzie stała prosto, a jej wychudłe ciało nawet nie drgnie! Wbije dumne oczy w przestrzeń, a nietknięte słodczyce będą się osuwać po fałdach jej spódnicy. Ale kiedy w krytycznym momencie uświadomiła sobie, że przez cały rok, aż do kolejnej procesji, nie będzie miała szansy skosztować cukierków, osunęła się na kolana i chwyciła je, zanim inny dzieciak mógł zagarnąć cenny łup.

Dopiero gdy skończyła jedenaście lat, duma okazała się silniejsza niż tęsknota za słodczymi. Ale wtedy już nic nie zostało z dawnej godności, mogła więc równie dobrze nadal tarzać się w kurzu w walce o cukierek.

Bogaci pasażerowie powozów patrzyli na dzieci i dorosłych mieszkańców Newcastle roześmiani, kiwając głowami, czasami wytykając palcami, jakby oglądali bezrozumne zwierzęta w zoo. Jakby sami należeli do wyższego gatunku i nie wiedzieli przedtem o istnieniu tak nędznych stworzeń ani żalonych nor, które zamieszkiwali. Spoglądali na Zoe mimochodem i przejeżdżali obojętnie dalej, a ona pod pręgierzem tych spojrzeń czuła palący wstyd za polataną sukienkę, z której dawno wyrosła, za bosa stopy i nieheblowane deski domu, przed którym stała. Śmiech bogaczy poniżał ją i ledwo mogła powstrzymać szloch.

- Nienawidzę Dnia Właściciela - odezwała się cicho, nie odrywając oczu od okiennej szyby. - Przyjeżdżają tu jak panowie feudalni, by napawać się widokiem wieśniaków.

- Ignoruj ich, jak i my. - Matka wzruszyła ramionami. - Ostatecznie to świąteczny dzień, mężczyźni mają wolne, a po procesji mamy piknik i tańce. Kiedy zdarza się coś miłego, trzeba chwycić okazję obiema garściami, Zoe.

- Masz chyba rację - zgodziła się apatycznie dziewczyna, by nie sprawiać jej przykrości.

Ta przyglądała jej się badawczo, aż Zoe poczuła rumieniec na policzkach.

- Czasami martwię się o ciebie...

- Nie martw się, mamo. Mam głowę na karku!

- Naprawdę, Zoe? Mam nadzieję, że tak. Ci bogacze na procesji nie różnią się niczym od ciebie ani mnie. Mieszkańcy Newcastle nie mają wiele, nie znają wyszukanej etykiety ani gładkich słówek, lecz są z gruntu poczciwi i dobrzy i całe życie pracują ciężko, ale uczciwie.

Czasami mama w prostych uwagach skrywała subtelna aluzję. Zoe przypuszczała, że właśnie to zrobiła.

- Co chcesz mi dać do zrozumienia, mamo? Czy to dotyczy Jeana Jacques'a?

- Nie dane mi było spotkać zięcia, więc go nie znam. Ale czasem zastanawiam się, czy twój mąż cię nie wykorzystuje.

Oczy osłupiałej z niedowierzania Zoe rozszerzyły się. Z trudem pohamowała obrazę.

- Jak możesz tak mówić?

- Pomyśl sama, córeczko! Twój tatuś nigdy by nie odjechał, zostawiając mnie bez dostępu do wspólnego majątku.

- To zupełnie co innego! Nie potrzebuję jego konta, by się utrzymać. Zarabiam dostatecznie dużo pracą własnych rąk, a ty nie mogłabyś wyżyć z pieniędzy za jajka.

- Dawno temu zaproponowałam twojemu tacie, że kupię mu parę porządnych butów i opłacę składki związkowe, żebyśmy tylko mogli wcześniej się pobrać. Ale on nawet nie chciał o tym słyszeć, bo nie przyjąłby nawet centa od kobiety. Małżeństwo musiało poczekać, aż znalazł stałą posadę jako górnik i dom, w którym mogliśmy zamieszkać. Czułabym się lepiej, gdybym widziała, że podobnie postępuje twój wybraniec. Powinien rozwikłać problemy finansowe, by dać żonie utrzymanie, zanim wyjechał na włóczęgę nad Jukonem!

Gniew pogłębił rumieniec na obliczu Zoe.

- Nie po to odrzucałam wszystkie wcześniejsze oferty małżeńskie i czekałam tyle lat, by wreszcie źle wybrać, mammo! Nie jestem głupia. Gdybyś poznała Jeana Jacques'a, wiedziałabyś, jaki z niego cudowny człowiek i jak mnie kocha. Nigdy by mnie nie skrzywdził!

- Martwię się o ciebie, Zoe, i tyle.

- Bogacze postępują inaczej niż my. Nie myślą w ten sam sposób. Jean Jacques nigdy nie musiał składać grosza do grosza ani troszczyć się o pieniądze, bo gdy ich potrzebował, wystarczyło skinać ręką. Wątpię, czy się zorientował, że zostawia mnie bez dostępu do swoich funduszy, czy w ogóle przeszło mu to przez głowę. Majętni ludzie nie myślą o konieczności płacenia czynszu ani kupnie jedzenia i tym

podobnych przyziemnych rzeczach. Nigdy nie musieli się tym zajmować.

- Jeszcze jedno pytanie i już nic więcej nie powiem, dobrze?

- Zgoda.

- Jaką część swojej nagrody wydałaś na wyekwipowanie pinia Villette'a?

Sporą - przyznała dziewczyna po chwili wahania, czując niechęć do matki za ukryty sens pytania. - Chętnie wydałabym wszystko, bo mężczyzna taki jak on jest przyzwyczajony do rzeczy w najlepszym gatunku, ale on nie chciał o tym słyszeć. Pod wieloma względami przypomina zwykłych, prostych ludzi, mamó. Sama zobaczysz, kiedy się wreszcie spotkacie.

Ale mówiąc te słowa, kurczyła się w sobie na myśl o przywiezieniu Jeana Jacques'a do rodzinnego miasteczka. Nie obawiała się, że będzie spoglądał na jej dom i bliskich w ten znienawidzony sposób jak pyszałki w powozach. Jej mąż był inny. Ale z niechęcią myślała o tym, że jej elegancik zobaczy brud, wyszczerbioną zastawę i całą resztę ich żalosnej egzystencji. Nie mogła sobie wyobrazić Jeana Jacques'a w ciasnej norze, przy zakurczonym stole, jak kieruje cały swój urok na steraną kobietę, która niewiele wagi przywiązuje do czarujących manier.

- Jeszcze jedno... czy opowiedziałaś panu Villette'owi o nas? Czy on zna prawdę o twojej rodzinie?

Zoe wstała i rozejrzała się za kapeluszem i rękawiczkami. Leżały na podręcznej torbie podróźnej, tam gdzie położyła je mama. Dziewczyna zaczęła przypinać kapelusz do włosów

przed zmełniałym lustrem, wiszącym tuż przy oknie, bo tam było najlepsze światło.

- Opowiedziałam mu o Newcastle i o Węglowym Strumieniu, no i o naszej rodzinie. - Nie mogła się przemóc, by spojrzeć matce w oczy, więc uparcie wpatrywała się we własne odbicie w lustrze. - Wie, że nie miałam łatwego dzieciństwa. - Opowiadając mu o swojej przeszłości, nie kłamała, lecz świadomie zataiła pewne szczegóły, wmawiając sobie, że przyjdzie lepszy moment na wyznanie całej historii życia. Wiedząc, że nie postąpiła słusznie, poczuła ukłucie winy.

- Czyjego rodzina cię przyjmie? Nie obawiasz się spotkania z tymi bogaczami?

To było nieuniknione i rzeczywiście ją przerażało. Naciągała rękawiczki palec po palcu. Jean Jacques obiecał, że jego rodzina pokocha ją równie szczerze i bez zastrzeżeń, jak on, ale Zoe była pewna, że krewni męża woleliby, by zawarł małżeństwo we własnej sferze.

- Poradzę sobie, kiedy nadejdzie ten moment! - mruknęła i strzepnęła spódnice, wzbijając w powietrze chmurę smolnego pyłu.

Matka wstała i wyszła zza stołu.

- Odprowadzę cię do pociągu. - Nie wróciła do tematu Jeana Jacques'a aż do chwili, gdy córka podniosła nogę, by wdrapać się do breku. Wtedy matka ujęła jej twarz w splekane dłonie i spojrzała prosto w oczy.

- Jestem z ciebie dumna. Wiem, żeś za sprytna, by pozwolić pomiatać sobą byle chłystkowi, ale mimo to zawsze się

martwię o moje kurczątko. Pamiętaj, że chcę tylko widzieć cię szczęśliwą i bezpieczną!

- Wiem, mamusiu. Nie martw się.
- Ufam, że potrafisz właściwie ocenić sytuację. Jestem pewna, że pan Villette jest naprawdę tak cudownym człowiekiem, jak go przedstawiasz, inaczej byś za niego nie wyszła.

Zoe stała na podeście breku, machając chusteczką, aż ujrzała, jak w oddali mała figurka matki odwraca się i idzie drogą w kierunku kopalnianego sklepu. Wtedy schroniła się do środka wagonu przed wiatrem, który niósł sadzę i duszący dym z lokomotywy.

Po każdym wizycie w domu miała mętlik w głowie. Oczywiście, cieszyła się ze spotkania z bliskimi, ale rodzina nie potrafiła prowadzić rozmowy, nie wydzierając się wniebogłosy, a dom za każdym powrotem wydawał się ciasniejszy. Im bardziej pociąg z węglem oddalał się od osady, tym większą czuła ulgę, co budziło w niej niejasne wyrzuty sumienia. Ale nie mogła ukryć radości, że zostawia za sobą czarny pył, stadka kur, grzebiących w kurzu podwórka w poszukiwaniu skarbu, i gromady mężczyzn, grzebiących w podziemnych korytarzach w masywie góry Cougar w poszukiwaniu węgla, podczas gdy ich kobiety siedzą w domu i drżą o ich bezpieczeństwo.

Dziękowała niebiosom, że zdołała od tego uciec. Udało jej się, bo ciężko pracowała i chodziła do szkoły wieczorowej, by poprawić swoje wykształcenie, a dodatkowo zapisała się na cotygodniowe kursy etykiety u panny Lydii.

Pochyliła głowę, przymknęła oczy i przez tkaninę rękawiczki wymacała obrączkę na serdecznym palcu. Nie opuszczało jej wspomnienie rozmowy z matką. Szkoda, że w ogóle zeszły na temat Jeana Jacques'a. Decyzje, które wydawały jej się racjonalne i właściwe w chwili, gdy je podejmowała, jawiły się w zupełnie innym świetle, kiedy spjrzała na nie trzeźwymi i sceptycznymi oczami matki: jako zagadkowe i osobliwe postępowanie, którego nie uzasadniał zdrowy rozsądek. Ale ponieważ Zoe ani na chwilę nie straciła ufności w racje przedstawione przez męża, doszła do wniosku, że nie umiała odpowiednio przekazać ich matce. Mimo wszystko miała nadzieję, że Jean Jacques wkrótce do niej napisze. List położy kres osobliwej udręce, która z niewyjaśnionych przyczyn zakłócała spokój duszy dziewczyny.

Woznica poinformował je, że Seattle liczy czterdzieści tysięcy mieszkańców, a Juliette po pierwszych spędzonych tu godzinach podejrzewała, że zaniżył rachubę. Przechodnie tłoczyli się na ulicach, sklepy i restauracje wypełniała ludzka ciżba. Wszędzie panował ścisk i wrzawa! A ponieważ nigdy nie widziała tylu ludzi zgromadzonych w jednym miejscu, była spłoszona i wylękniona.

Na szczęście stosunkowo szybko znalazły z Clarą nocleg w hotelu Dillera, wypełnionym po sam dach gośćmi. Właściwie recepcjonista powiedział Juliette, że nie ma wolnych miejsc, ale kiedy jej towarzyszka poszła z nim porozmawiać, pokoje dla nich obu znalazły się w pięć minut. Juliette rozdrażniło to, że

Clara tak łatwo poradziła sobie ze znalezieniem noclegu, podczas gdy jej się to nie udało.

Hotel położony był nieszczęśliwie, blisko stacji kolejowej i doków, ale miały szczęście, że w ogóle znalazły dach nad głową. Jedną z zalet okazała się bliskość dzielnicy handlowej, do której można było dotrzeć piechotą. Właśnie tam rozpoczęła poszukiwania: od próby znalezienia firmy importowo-eksportowej Jeana Jacques'a.

Już po pierwszym dniu objawiła jej się cała daremność początkowych zamiarów. Miasto było po prostu za wielkie i rozciągnięte na zbyt rozległym obszarze. Szukając na chybił trafił, nigdy nie znajdzie jego siedziby. Po czterdziestu ośmiu godzinach wyteżonych wędrówek, zwieńczonych rozczarowaniem, zamknęła się w pokoju i krążyła od ściany do ściany, załamując ręce i gorączkowo rozmyślając. Wreszcie wpadła na inny pomysł: pójdzie do miejskiego archiwum i sprawdzi rejestry mieszkańców i firm. Wizyta w ratuszu i druga, w Sądzie Okręgowym, potwierdziły to, czego rozpaczliwie wzbraniała się przyznać.

- Rada miejska nie wydała żadnego zezwolenia na prowadzenie firmy importowo-eksportowej Jeanowi Jacques'owi Villette'owi i nikt o tym nazwisku nie jest właścicielem nieruchomości w okręgu.

Clara odłożyła na talerz widelczyk, na który nadziała spory kęs smakowitego placka cytrynowego.

- Zmarnowała pani czas na sprawdzanie?

Juliette nie mogła odnaleźć w tej kobiecie ani jednej cechy, która budziłaby w niej szacunek czy sympatię. Na domiar złego

Clara Klaus zdradzała skłonności i nawyki, którymi Juliette gardziła. Na przykład w tej chwili z rozkoszą wyrzeszczałaby na całą jadalnię, że ma po dziurki w nosie tych pełnych domyślnej krytyki odzywek jej towarzyszki. Oczywiście, nie zrobiła tego. Im gwałtowniej chwiały się posady świata, który dotychczas uważała za trwałe i niezmienny, tym bardziej zamykała się w sobie i szukała ratunku w etykiecie i regułach, które stanowiły gwarancję cywilizowanego życia.

- To byłoby niesprawiedliwe przyjmować z góry, że mój mąż kłamał we wszystkich sprawach - odparowała chłodno. - Wolę zachować otwarty umysł. - Zirykowała ją świadomość, że opowiadając o samodzielnej wyprawie do ratusza i do sądu, miała nadzieję usłyszeć pochwałę za pomysłową inicjatywę.

Clara spokojnie kończyła ciasto.

- Teraz przekonała się pani, że kłamał we wszystkim.

Jeszcze jedna cecha, której Juliette nie znosiła - zachowaniu jej towarzyszki przy stole brakowało wdzięku i subtelności. Oczywiście wiedziała, do czego służy ten czy inny sztuciec, i umiała się nimi posługiwać, ale nie zawsze chciało jej się demonstrować oglądę. Poza tym jadła z niepohamowanym, wręcz nieprzyzwoitym apetytem i wymiatała talerz do czysta, czego nie ośmieliłaby się uczynić prawdziwa dama.

- Nie uwierzę, by kłamał we wszystkim - upierała się Juliette. Nie mogła sobie pozwolić na tak czarne myśli!

- No dobrze, powiedział prawdę o wyjeździe do Seattle. - Clara odchyliła się na oparcie krzesła, by ułatwić kelnerowi sprzątnięcie talerza po deserze, podczas gdy drugi nalewał im

kawę. Obsługa zachowywała się wobec Clary z taką samą nieposzlakowaną uniżonością choć brakowało jej nawet pozorów elegancji. Na niesforne, rude kosmyki nałożyła płaski słomiany kapelusik ozdobiony wstążką. Na dworze wciąż mrużyła oczy, bo wąskie rondo nie rzucało cienia. Ciągłe zapominała o parasolce i upierała się, że proste mocne buty doskonale nadają się do pieszych wędrówek, choć w oczach Juliette obuwie jej towarzyszki przypominało męskie robocze buciory. Między pospolitym kapeluszem i topornymi butami nosiła ciemną spódnicę, białą bluzkę o koszulowym kroju i narzutkę, która wyszła z mody kilka pokoleń temu.

Juliette za żadne skarby nie mogła pojąć, jakim sposobem Jean Jacques, mężczyzna o wyrafinowanym guście, mógł się zachwycić tym pospolitym stworzeniem. Ciężko westchnęła i podjęła dyskusję:

- No, dobrze. Skąd pani wie, że Jean Jacques rzeczywiście przyjechał do Seattle? Nie mogła pani zdążyć obejść wszystkich hoteli i pensjonatów.

- W okolicy znajduje się sześć banków. Zaczęłam od najbliższego i powiedziałam kierownikowi, że niejaki pan Villette zamierzał wynająć ode mnie pomieszczenia na swoje przedsiębiorstwo i wymienił ten właśnie oddział banku jako swoje przedstawicielstwo. Prosiłam o potwierdzenie, że ma tu konto i jest znany personelowi.

- Podszywała się pani! - Juliette nigdy nie ośmieliłaby się zrobić czegoś podobnego, ale niechętnie przyznała, że to sprytny wybieg.

Clara przewróciła oczami i podjęła relację o swoim triumfie:

- Znalazłam go w czwartym banku.

Juliette przycisnęła dłoń do serca, by uciszyć rozpaczliwy łomot.

- Więc jest tutaj? - wyszeptała.

- Był. Kierownik powiedział, że zlikwidował konto dwa tygodnie temu. - Clara zgrzytnęła zębami. - Spóźniłyśmy się o dwa tygodnie!

- Och, nie... - Jej towarzyszka podniosła zrozpaczone oczy. - Nie mamy pojęcia, dokąd mógł się udać! - Czując pieczenie łez w oczach, zaczęła zaciekle mrugać, by nie rozplakać się w publicznym miejscu, w dodatku w obecności Clary.

Ta tymczasem dołala śmietanki do kawy i zamieszała płyn.

- Proszę sobie zadać takie pytanie: Po co mężczyzna przyjeżdża do Seattle? Czym się to miasto różni od... chociażby Chicago?

Podczas wędrówek po ulicach miasta Juliette zdażyła zauważyć długie kolejki mężczyzn o twarzach pełnych posępnej determinacji, wystające przed sklepami z podróжным ekwipunkiem. Korzystając z bliskości nadbrzeża, przeszła się tam, by obejrzeć, jak parowce z Alaski odpływają do Klondike.

- Sugeruje pani, że Jean Jacques pojechał nad Yukon na poszukiwanie złota? - Starannie wymawiała każde słowo.

- Zaczynam podejrzewać, że to całkiem prawdopodobne. Nie rozumiem tylko, czemu tak długo zwlekał z odpłynięciem. Późny lipiec to doprawdy ostatnia chwila!

- Ależ wciąż odpływają nowe parowce, pełne pasażerów jadących na złotodajne pola.

- To prawda, lecz spóźnialscy ryzykują, bo zima nadchodzi tam wcześniej. Czemu Jean Jacques nie wyruszył w kwietniu lub maju?

- Może brakowało mu pieniędzy na opłacenie przejazdu i wyposażenie? Ktoś mi mówił, że kanadyjskie władze celne nie wpuszczają do Klondike ludzi, którzy nie mają zapasów na cały rok.

Wargi Clary zamieniły się w cieniutką kreskę.

- Proszę mi wierzyć, miał sporo pieniędzy!

Juliette pojęła, że jej towarzyszka, podobnie jak ona, czuje się zażenowana, bo dała się wystrychnąć na dudka, ale ta myśl nie sprawiła jej wielkiej pociechy. Zaczynała żałować, że ją w ogóle spotkała. Clara stanowiła żywy, namacalny dowód, iż Jean Jacques nie był człowiekiem, za jakiego tak ufnie go brała. Juliette spuściła głowę i wbiła wzrok w dłonie złożone na kolanach. Pośród splecionych palców migotał pierścionek. Poczula nienawiść do kobiety, która nosiła identyczną ozdobę. Z ubolewaniem zdała sobie sprawę, że budzi w niej najgorsze instynkty. Matka i ciotka byłyby zgorszone i zasmucone, poznawszy jej niegodne damy myśli i usłyszawszy ostre słowa, którymi niekiedy obrzucała Clare niczym zatrutymi strzałami. Podniosła oczy i odwróciła wzrok od rudych kosmyków, wymykających się niechlujnie spod kapelusza towarzyszki.

- Co więc pani teraz proponuje?

- Nie wiem, co pani zamierza, ale ja odwiedzę każdy sklep z wyposażeniem w okolicy, aż znajdę potwierdzenie, że Jean Jacques kupował zapasy na wyprawę nad Jukon.

- Może wystarczy zapytać na nadbrzeżu? Kompanie okrętowe powinny prowadzić rejestr pasażerów...

Niestety, nie znały daty odjazdu ani nie miały pojęcia, którą linią popłynął - jeśli w ogóle tak było! W dodatku mógł wejść na pokład pod przybranym nazwiskiem.

Juliette kiwnęła na szefa sali, a ten pospieszył do ich stolika i grzecznie odsunął krzesła, by mogły opuścić jadalnię. Jak każdego wieczoru, wyszły na taras, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Wilgoć przesycona wonią ryb przypomniła Juliette, że niedaleko rozciągają się wody cieśniny. Ich uszu dobiegały uliczne odgłosy: stukot i brzęk powozów konnych, od czasu do czasu punktowany pokaszliwaniem i strzelaniem spalin z silnika nowoczesnych wozów, poruszających się dzięki mechanicznemu napędowi. Miasto demonstrowało cudowną moc elektryczności, migocząc tu i ówdzie jaskrawym światłem żarówek. Każda ulica przystrojona była girlandami drutów elektrycznych i telefonicznych, rozciągniętych między słupami wzdłuż krawężników jak gigantyczne sznury do suszenia bielizny.

W jej duszy otwarła się ponura otchłań. Nigdy nie czuła się do tego stopnia wyobcowana i całkowicie samotna jak w tej chwili, gdy u jej boku stała Clara, a w zasięgu wzroku miała całe tuziny ludzi. Ale żaden z nich, a już szczególnie Clara, nie dbał ani na jotę o nią, Juliette March. Nikogo nie obchodził jej los, nikt nie uważał się, że zgiełk i ruch wielkiego miasta drażni

ją i niepokoi, że jest pogrążona w żałobie, gdyż opuścił ją ukochany mężczyzna. Jak potężna oceaniczna fala nadbiegła z ciemności tęsknota i zmiotła ją z nóg. Oddałaby wszystko, by móc pobiec do domu i ukryć się przed światem w przytulnym salonie ciotki Kibble! Jej miejsce było w sennym miasteczku Linda Vista, gdzie nie bała się przejść przez ulicę, gdzie obcy mężczyźni nie uchylali kapeluszy, udając, iż ów gest uprawnia ich do gapienia się na nią, jakby była manekinem. Nie miała upodobania do podróży i nie znajdowała przyjemności w odwiedzaniu nowych miejsc. Brakowało jej na to odwagi i śmiałości. Właściwie zadziwiła samą siebie, docierając aż do Seattle.

Wiedziała jednak, iż powrót byłby błędem. Wcześniej czy później wszyscy mieszkańcy Linda Vista dowiedzą się, że ich podejrzenia były słuszne: bogata panna dała się wykorzystać sprytnemu łowcy posagów. Tego rodzaju nowiny nieuchronnie rozchodziły się dokoła, nigdy nie udawało się zachować ich w sekrecie. Nie mogłaby stawić czoła skandalowi i plotkom, skoro dotychczas stanowiła wzór zasad i przyzwoitości! Nie wróci więc do domu za żadną cenę.

Nie miała jednak pojęcia, co innego mogłaby z sobą począć. Westchnęła ponownie i rzuciła ukradkowe spojrzenie na Clarę. Podróż u boku kobiety, z którą flirtował jej mąż, zniosła wyłącznie dzięki długim latom spędzonym na wprawianiu się w dobrych manierach w każdych okolicznościach i na sztywnym przestrzeganiu etykiety. Gardziła Clarą Klaus, która jak ona zaznała dotyku Jeana Jacques'a. Wizja ich obojga razem przeszła serce ukłuciem,

które odbiło się bolesnym echem w każdym zakamarku jej ciała.

- Jest pani dzisiaj taka milcząca - przerwała ciszę Clara, pochylając się nad wielkim bukietem w kamiennym wazonie przy balustradzie. - Nie obchodzi mnie to co prawda, rozumie pani, ale... mogę spytać, o czym pani myśli?

- O tym, co pani powiedziała przy stole. - Juliette dotknęła czoła dłonią w rękawicze. Za wszelką cenę chciała oderwać myśli od wizji tej kobiety w objęciach Jeana Jacques'a! Lepiej udawać, że nic tak strasznego się nie wydarzyło. - Co zrobimy, jeśli znajdziemy sklep, w którym mój mąż zaopatrzył się w ekwipunek?

Clara zatrzymała się w rogu tarasu i zwróciła w kierunku swej towarzyszki oczy zwięzione w szparki.

- Za każdym razem, gdy używa pani określenia „mój mąż”, mam ochotę wymierzyć pani tęgi policzek!

Tego rodzaju oświadczenia już dawno przestały Juliette szokować, co samo w sobie było szokujące.

- Jakież to grubiańskie, rzucać komuś pogrózki! -Ta kobieta była pospolita... jak szynkarka.

- Jean Jacques jest również moim mężem. Nie ma pani na niego wyłączności!

Wargi Juliette zacisnęły się, wyprostowała plecy.

- Mnie poślubił pierwszą! - To było ważne. To jej małżeństwo było legalne. Przynajmniej tak zakładała i wydawało jej się, że się nie myli.

Clara wciągnęła głęboko powietrze, a jej puciołowate policzki zapłonęły ogniem.

- Wie pani, co sobie myślę? Że ten pani małżonek znudził się pani świętoszkowatym, pełnym wyższości obejściem i zostawił panią dla prawdziwej kobiety, z którą mógł się śmiać i przy której boku mógł być naprawdę sobą! Właśnie tak!

- Niechże się więc pani dowie, że Jean Jacques i ja nie przestawaliśmy się śmiać! - Nie da się zastraszyć komuś, kto siorbie kawę! Juliette wyprostowała się i obrzuciła swą towarzyszkę płomiennym spojrzeniem. - Gdybym nie była damą, wytknęłabym pani ten drobny szczegół, że mój mąż zostawił panią szybciej niż mnie! Najwyraźniej zníženie się do pani poziomu pospolitości nie dało mu takiej satysfakcji, jak zdaje się pani sobie wmawiać!

- Jeśli przez pospolitość pojmuję pani to, że nie dbam o pozory i nie odchyłam małego paluszka, popijając herbatkę, to przyznaje, że jestem pospolita i dumna z tego!

Porwane wściekłością, jednocześnie okręciły się na pięcie i w poszumie spódnic i halek pomaszzerowały ku drzwiom do salonu. U stóp schodów wiodących do sypialni ponownie skrzyżowały spojrzenia.

- Śniadanie o siódmej - syknęła Clara.

- Nie wyjawiała pani w końcu, co zrobimy, gdy odnajdziemy ten sklep.

- Sama nie wiem! Teraz jest pani zadowolona? Może pani sobie wracać do Kalifornii. Chciałabym, żeby to pani zrobiła. Może sama zdecyduje się kupić tu jakiś pensjonat za pieniądze, które mam ze sprzedaży zajazdu. - Uniosła ciemną, prosto skrojoną spódnice i weszła na pierwszy schodek. - Nie

mogę się doczekać, kiedy się pani ode mnie odczepi, żebym już nie musiała patrzeć na pani fuchy i zadzieranie nosa!

Juliette podniosła wojowniczo podbródek.

- A ja nie mogę się doczekać rozstania z panią! - Nawet w jej własnych uszach te słowa zabrzmiały „świętoszkowato”, jak to ujęła Clara. Miała po dziurki w nosie tej rozmowy. Ta utarczka powtarzała się co wieczór z niewielkimi wariacjami, lecz podobnymi uczuciami i sentymentami. Mój mąż... pani mąż... nie, właśnie, że mój mąż!

Juliette ani razu nie wyjawiała swej towarzysze, co naprawdę leży jej na sercu: „Nienawidzę pani, bo on pani dotykał i kładł się z panią do łóżka, i trzymał w ramionach. Nienawidzę pani, bo śmiała się pani razem z nim, a on prawił pani pięknie brzmiące komplementy. Nienawidzę pani, bo zazdrość mnie skręca i muszę się upewnić, że mnie kochał więcej i głębiej niż panią!”

Zmarszczyła czoło i zamrugła. Spuściwszy głowę, wpatrzyła się w broszkę na klapie kostiumu. Gdyby przypinała ją codziennie i co dzień wkładała błękitną podwiązkę, Jean Jacques wróciłby do niej.

Odczekała, aż Clara dotrze do sypialni i zamknie za sobą drzwi, by nie natknąć się na nią w korytarzu.

Czy on ją w ogóle kiedykolwiek kochał? Choć odrobinę?

Szybkim mruganiem odpędziła gorące łzy wzbierające pod powiekami, drżącymi dłońmi uniosła fałdy spódnicy i zaczęła wspinać się po schodach. Nie sądziła, że można doznawać takiego cierpienia!

Większość sklepów z wyposażeniem podróznym znajdowała się w Pierwszej Alei, niedaleko nadbrzeża. Całe góry sprzedanych towarów i zapasów wylewały się na chodniki, a nawet na bruk uliczny. Nad nimi czuwali rozgorączkowani mężczyźni, gorliwie sprawdzając zgodność listy sprawunków z pokwitowaniem zakupu.

Podchodząc do rogu Pierwszej Alei i ulicy Yesler, Clara stwierdziła, że z wyjątkiem jej i Juliette nie widzi w okolicy ani jednej kobiety. Nie przyciągały jednak niczyjej uwagi. Wizje przyszłych bogactw pochłaniały całą uwagę mężczyzn, którzy kręcili się wzdłuż sklepowych wystaw. Nie mieli czasu ani ochoty myśleć o kobietach. Wielu zdawało się nie dostrzegać zgiełkliwego chaosu wokół siebie, tak bardzo byli skupieni na pakowaniu rocznych zapasów żywności, tak by zajmowały jak najmniejszą przestrzeń.

Clara i Juliette zaczęły poszukiwania na rogu ulicy i powoli zmierzały w kierunku biura, gdzie sprzedawano bilety Northern Pacific. Zatrzymywały się w każdym ze składów z towarami i uparcie przerywały niesłychanie zajętem sprzedawcom pytaniem o przystojnego Francuza, który mógł się u nich zaopatrywać kilka tygodni temu. Jak dotychczas, nikt nie kojarzył nazwiska Jeana Jacques'a Villette'a.

Coraz bardziej zniechęcone, wsunęły się do kolejnego sklepu. Oczom ich ukazał się tak niespodziewany widok, iż obie stanęły jak wryte. Juliette złapała Clarę za ramię.

- Dobry Boże! Tu pracuje kobieta!

Clara była z całego serca poplecniczka prawa kobiet do pracy, ale i ona poczuła szok na widok przedstawicielki jej płci

w sklepie odwiedzanym wyłącznie przez męską klientelę. Uderzyło ją to jako tym mniej właściwe, że pracownica była młoda i całkiem atrakcyjna! Ledwie zdołała sobie przypomnieć, że w oczach niektórych ludzi równie skandaliczna była kobieta wręczająca mężczyźnie klucz do pokoju hotelowego.

Obie, jak przyciągane magnesem, minęły dwóch zaganianych sprzedawców i skierowały się prosto ku subiektce w głębi sklepu. Ta obserwowała ich chłodnymi oczami.

- W czym mogę pomóc? - spytała, odchodząc od stołu, przy którym ważyła mąkę. Otrzepta ubielone dłonie.

Clara pomyślała, że takie zajęcie przynajmniej nie uwłacza kobiecie.

- Chciałybyśmy spytać...

- Och! - Juliette klapnęła ciężko na bezułek z mąką, osłaniając dłońmi usta. Wybałuszyła oczy tak, że musiały ją boleć, a z policzków uciekła cała krew.

Clara zmarszczyła czoło i zmieszana spojrzała na towarzyszkę.

- Co się z panią dzieje?

- Jej dłoń, Claro! Proszę spojrzeć na jej obrączkę!

- Och, nie! - Teraz z kolei Clara wpiła wzrok w ślubny pierścionek, czując, że za chwilę zemdleje pod wpływem przeszywającego bólu. Ośłupienie uniemożliwiło jej oddychanie. Jak to możliwe? Ile jeszcze kobiet poślubił Jean Jacques? Zamrugła, by rozpedzić mgłę sprzed oczu, i chwyciła się brzegu stołu. Nie było wątpliwości - nieznajoma nosiła na serdecznym palcu pierścionek ze srebrnymi serduszkami, ślubną obrączkę babki Jeana Jacques'a!

Kruczowłosa sprzedawczynie przenosiła wzrok z jednej kobiety na drugą, a na jej obliczu malował się wyraz głębokiego niepokoju, jak gdyby się obawiała, że lada chwila zaczną toczyć pianę z ust. Nie odrywając od nich spojrzenia, zawołała:

- Wuju Miltonie! Przydałaby mi się tu pomoc.

- Nie jesteśmy wariatkami ani nie cierpimy na konwulsje - szepnęła Clara. Kącikiem oka widziała, jak Juliette ściąga rękawiczkę. - Proszę spojrzeć! - Razem, jak na komendę, wyciągnęły lewe dłonie ku dziewczynie. Ta zatoczyła się w tył, jakby zadały jej śmiertelny cios. Osłupiała, popatrzyła bez słowa na własną lewą rękę, potem na dłonie Clary i Juliette.

- Mój Boże! - Szczeka sprzedawczynie opadła pod wpływem niedowierzania zaprawionego zdumieniem. Podniosła drżące palce do ust. - Te pierścionki... jak to możliwe?

- Obie wyszłyśmy za niejakiego Jeana Jacques'a Villette'a - oświadczyła Juliette bezbarwnym głosem. - Najwyraźniej to samo przydarzyło się i pani.

Kruczowłosa dziewczyna powtórzyła:

- Mój Boże! Więc miał dwie inne żony? - Uniosła rozszerzone od szoku oczy. - A ja mu tak ufałam. Ja... - W ciszy, która zapadła, Clara niemal słyszała, jak kobieta gorączkowo zbiera myśli. - Wszystko było kłamstwem, tak?

- Przykro mi - szepnęła Clara. - Wiemy, jaka to dla pani ciężka chwila. Doznałyśmy podobnego szoku, niech nam pani wierzy.

- Przez cały ten czas, on... był już podwójnie żonaty! A ja... - Oczy sprzedawczynie zwęziły się w szparki. - Co za

sukinsyn! Mówił mi to, co chciałam usłyszeć, i zrobił ze mnie frajerkę!

- Zoe? - Z zaplecza wyłonił się brodaty mężczyzna w długim do ziemi fartuchu. - Co się tu dzieje? - Ogarnął Clarę i Juliette zaciekawionym spojrzeniem.

- Przykro mi, wuju Miltonie, ale muszę natychmiast wyjść! - Dziewczyna zrzuciła fartuszek i wygładziła spódnicę, po czym rozejrzała się w roztargnieniu, jak gdyby nie mogła sobie przypomnieć, gdzie położyła kapelusz i rękawiczki. - Muszę zamienić słówko z tymi paniami.

Zoe Wilder wcisnęła na głowę odnaleziony kapelusz i porwała niewielką torebkę z krótką rączką.

- Proszę za mną! - rzuciła urywanym głosem Clarze i Juliette, po czym niemal biegiem opuściła sklep.

- Niedobrze mi... - szepnęła Juliette. Jej twarz zmierzchła. - Zapadam się w jakiś koszmar, który staje się coraz gorszy! Obie się w nim pogrążamy...

Clara zrozumiała, co jej towarzyszka ma na myśli. I ją ogarnęło uczucie nierealności, aż zakręciło jej się w głowie. Wyszły ze sklepu za Zoe i podażyły jej śladem w kierunku skrzyżowania Pierwszej Alei i ulicy Yesler.

Clara z ponurą miną śledziła plecy żony numer trzy, która tymczasem skręciła w bramę małego parku, rzuciła się na ławkę i całym ciałem opadła do przodu, zakrywając dłońmi twarz.

Clara i Juliette czekały w milczeniu, ponownie przeżywając znajome męki.

Zoe wysłuchała opowieści obu kobiet, akompaniując im urywanymi okrzykami i jękami, po czym zrelacjonowała im własną historię. Zakończyła, niemal szlochając. Krople ciepłego letniego deszczu jęły się rozpryskiwać na rondzie jej kapelusza i znaczyły wilgotnymi smugami fałdy spódnicy. Zerwała się na równe nogi i popędziła w stronę swojego pensjonatu, kiwając ręką na dwie kobiety, by poszły w jej ślady. Kiedy wszystkie znalazły się w jej kwaterze, pojęła swój błąd. Ból ściagnął twarze rywalek, gdy rozglądały się po ciasnym saloniku i popatrywały ukradkiem na drzwi prowadzące do sypialni. Dopiero teraz Zoe uświadomiła sobie, jak niewiele rzeczy zostawił po sobie Jean Jacques.

Jej spojrzenie zatrzymało się na okrągłym stolyczku koło okna, gdzie leżał album z rycinami kwiatów. Między jego stronicami zasuszyła płatki róż z bukietu, który dał jej w dniu ślubu. Poza tym miała jeszcze jego chusteczkę, spinkę do mankietu, którą znalazła pod łóżkiem, i albumik poezji. Przedmioty, które mogły należeć do kogokolwiek.

Kolana się pod nią ugięły, oparła się więc o ścianę i zakryła oczy dłonią. Jak mogła się okazać tak głupia? Z pewnością dostrzegłaby oznaki jego nieszczerości, drobne potknięcia... gdyby tylko nie była zbyt zaślepią, by trzeźwo patrzeć.

- Nie wolno nam gotować w pokojach, ale wszystkie to robimy. Zrobię kawę.

Gdyby tu była mamusia, załamałaby niechybnie ręce. Nie dość, że Zoe sprowadziła do domu dwie inne żony swego męża, to jeszcze podawała im podwieczorek! Wypisz, wymaluj dama w każdym calu, zupełnie taka, za jaką ją miał Jean Jacques. A może wcale tak nie było?

Otworzyła oczy i popatrzyła na Juliette. Elegancka pani przysiadła na brzeżku sofy z wyprostowanymi plecami, które nie ośmieliły się dotknąć oparcia. Złączyła skromnie kolana i złożyła na nich dłonie. Zoe zdała sobie sprawę, że oto ma do czynienia z niefałszowaną damą. Poczowała, że się zapada. Ona i ta pani tak się różniły! Zoe nie posiadała daru pełnego gracji spokoju ruchów ani wyczucia stylu Juliette. Nie potrafiłaby siedzieć w wystudiowanym bezruchu jak tamta. Każde poruszenie, najdrobniejszy gest, nawet milczenie Juliette zdawało się dawać świadectwo szlachetnemu pochodzeniu. Wprost krzyczała o tym jej postawa, suknie, sposób mówienia, chodzenia i trzymania głowy. A wobec tego łatwo było się domyślić, że w przypadku Zoe musiało być wprost przeciwnie. Wszystko w niej świadczyło o tym, że Zoe Wilder Villette jest dziewczuchą z górniczej osady Newcastle z niebotycznymi pretensjami i odciskami na spracowanych dłoniach. Osoba, która zna smak harówki, umie walczyć i przeklinać. Zapewne te jej umiejętności widać było jak na dłoni, podobnie jak wrodzony szyk Juliette. Z obolałą duszą, zagubiona, przygotowała kawę na żelaznym piecyku. W pokoju zrobiło się gorąco nie do wytrzymania, więc otworzyła okno, nie dbając o deszcz, który siąpił na dywan. Przez długą chwilę patrzyła na wodniste odbicie swojej twarzy w szybcie lufcika. Widziała oblicze frajerki.

Powinna była się zorientować, że Jean Jacques nie może być realny. Przystojni książęta nie spadają z nieba, by złożyć królestwo u stóp dziewcząt pokroju Zoe Wilder. Cóż ją opętało, że uwierzyła w spełnienie fantastycznych mrzonek?

- Och, mamusi... - szepnęła cichutko i przycisnęła czoło do chłodnej szyby. Zdradziła tych, których najbardziej kochała! Pod wpływem arystokratycznych opowieści Jeana Jacques'a o jego majątku i o świetnym życiu, jakie będą wieść, zaczęła się wstydzic własnej rodziny. Przeżywała udrekę, wyobrażając sobie upokorzenie wobec służby, gdy odwiedzi ją matka w wygniecionym kapeluszu i pocerowanych pończochach. Jak mogła...! Ciężar hańby omal nie powalił jej na kolana.

Nigdy mu nie wybaczy, że pod jego wpływem zaczęła się wstydzic rodziny.

- Dziękuję. Bardzo smaczna kawa - wymamrotała Juliette, gdy Zoe nalała brunatny płyn do jej filiżanki. Swobodnie balansowała spodkiem na kolanie, jakby ta sztuka nie wymagała żadnego zachodu.

Brwi Clary wystrzeliły do góry, aż skryły się pod rudą grzywką.

- Cóż pani wyprawia? W tak ponurej chwili wygłasza pani grzeczne komentarze na temat kawy? - Wykrzywiła pogardliwie usta i odstawiła swoje naczynie na podłogę obok jej praktycznych butów.

Zoe z żalem pomyślała, że mogła się jednak wykosztować na stolik, który chciała ustawić koło sofy. Spodziewała się, że po wyjściu od niej pozostałe żony Jeana Jacques'a będą ją

wyśmiewać i obgadywać, wspominając, jak to musiałyby stawiąć filiżanki na podłodze!

- Nawet w stanie najwyższego zdenerwowania czy rozpaczcy nie musimy się wyrzekać właściwych manier - oświadczyła Juliette i uniosła brodę. - Etykieta to zbroja cywilizowanych ludzi. Może wesprzeć człowieka w najtrudniejszych chwilach.

Clara westchnęła głośno i przewróciła wymownie oczami.

Zoe początkowo słuchała tej wymiany zdań z niedowierzaniem, potem poczuła pałący gniew. Jakże musiał się śmiać w duchu Jean Jacques za każdym razem, gdy nazywał ją damą! Upokorzenie ścisnęło jej gardło. Uważała się za mądrą, której nie da się omamić, a pozwoliła się wystawić do wiatru jak żadna inna! W dodatku tak niewiele było potrzeba: wystarczyło kilka pełnych admiracji spojrzeń i gładkich słówek filuta o czystych paznokciach, by sobie wyobrazila wielką miłość.

- Znajdę go! - wyrzuciła zawziętym tonem spomiędzy zaciśniętych szczęk. - A kiedy go dopadnę, przysięgam, że właduję mu kulę w ten zaklamany łeb!

- Byłabym pani wdzięczna, gdyby nie czyniła pani ze mnie wdowy, zanim odzyskam moje pieniądze - rzuciła Clara szorstko.

- Ani zanim się nam nie wytłumaczy - dodała Juliette. Clara rozłożyła szeroko ręce i posłała Zoe pełne irytacji spojrzenie.

- Ona wciąż wzdraga się uwierzyć, że poślubił ją dla pieniędzy!

- Skoro tak, czemu nie wziął więcej? - W oczach Juliette zapłonęło rozdrażnienie. - Gdyby tylko zażądał, dałabym mu dwa razy tyle. Mógł poczekać, aż pani sprzeda zajazd i zabrać wszystko. Pani zaś oddałaby mu chętnie całą nagrodę i dołożyła swój kapitał na czarną godzinę, czyż nie?

- Owszem - wyznała Zoe wstydliwą prawdę.

- Niestety, i ja zdaję sobie sprawę, że głównie chodziło mu o pieniądze. - Juliette ustąpiła i zamrugowała gwałtownie, spuszczając wzrok na filiżankę z kawą. - Ale chciałabym wierzyć, że było w tym coś jeszcze... że choć trochę mnie kochał. Może właśnie dlatego wziął tylko część pieniędzy? Tak czy inaczej jest nam winien wyjaśnienie. Ja muszę usłyszeć prawdę z jego własnych ust!

Na wzmiankę ust Jeana Jacques'a wszystkie trzy umilkły, wspominając płomienne pocałunki, które te wargi wyciskały na ich spoconej od miłości skórze. Każda z nich była przy tym aż do bólu świadoma, że pozostałe mają identyczne wspomnienia.

Zoe pojęła, że nigdy do nikogo nie czuła żywszej niechęci niż do tych dwóch kobiet, które spoglądały na nią przez niewielką przestrzeń skąpo umeblowanego pokoiku. Logika podpowiadała jej, że to nie z ich winy Jean Jacques okazał się kłamliwym oszustem, podłym uwodzicielem i sukinsynem, ale serce mówiło co innego. Skoczyła na równe nogi, podbiegła do drzwi i nacisnęła klamkę.

- Chcę, żebyście sobie poszły. I to już! Rozpaczliwie pragnęła zaszyć się pod kołdrę i rzewnymi łzami splukać jego zapach z poduszki. A gdy zabraknie jej łez, przywoła z pamięci

każde jego słowo i każdy postępek, by gruntownie rozważyć rozmiary swej największej życiowej klęski.

Juliette odchyliła się z dezaprobatą, a kąci jej ust drgnęły. Rozejrzała się i ostrożnie odstawiła filiżankę na podłogę, po czym wstała z gracją i wygładziła spódnicę takim gestem, jak gdyby strzepywała niegrzeczne słowa Zoe. Clara poszła w jej ślady, choć wydała się bardziej rozczarowana niż obrażona.

- Wiemy, jak się pani czuje. My...

- Nie znacie mnie, panie, i nie macie pojęcia, co czuję! Ledwie mogę znieść wasz widok! Nie wyobrażam sobie, jak wy wytrzymujecie swoje towarzystwo. - Zoe zdała sobie nagłe sprawę, że ściany pensjonatu są cienkie jak tektura, a ona krzyczy. Z wysiłkiem zniżyła głos. - Powiedziałyście, panie, co miałyście do powiedzenia, teraz proszę się wynosić! Nie chcę żadnej z was więcej widzieć!

- Dziękuję za kawę - odezwała się martwym tonem Juliette, prześlizgując się obok Zoe, tak by jej nie dotknąć.

Clara zatrzymała się w progu.

- Ale nie omówiliśmy naszych zamiarów. Zoe wbiła w nią oczy.

- Nic nie będzie nasze! Nie obchodzi mnie ani trochę, co sobie tam wymyślicie, możecie się nawet rzucić do morza, a ja nie ruszę palcem. Owszem, mam nadzieję, że się potopicie! - Zatrzasnęła drzwi, nie dbając, co sobie pomyśla pozostałe lokatorki. Cała się trzęsła ze złości i bólu. Pozbierała filiżanki i spodki i wyrzuciła je przez otwarte okno. Wychylona, śledziła, jak rozpryskują się dwa piętra niżej na kamieniach podwórka.

Potem jak furia zakręciła się po pokoju, porwała chusteczkę Jeana Jacques'a i tomik poezji, poszperawszy w szufladzie, znalazła spinkę do mankietu i wytrząsnęła z albumu różane płatki ślubnego bukietu. Wszystko to wyrzuciła przez okno w ślad za zastawą. Zrobiłaby to samo z obrączką, gdyby mogła ją ściągnąć z palca, który spuchł w wilgotnym upale.

Klnąc pod nosem, szarpała i obracała nienawistny klejnot. Wreszcie dała za wygraną i wybuchnęła głębokim, bolesnym szlochaniem. Osunęła się na kolana przed oknem, zakryła twarz i zaczęła się kołysać w przód i w tył, a gorące łzy spływały jej po policzkach.

Kochała go...! Ale kochała kogoś, kto nigdy nie istniał, był jedynie odbiciem jej snów.

Długo szlochała i napawała się własną udręką. Zanim przypomniała sobie wszystkie chwile spędzone z mężem i rozważyła wszystkie krzywdy, docierając do granic wytrzymałości, światło dnia zmierzchno. Nagle Zoe odkryła, że siedzi w ciemnościach na podłodze pod oknem. Jednak bolesne godziny nie poszły na marne. Gniew podsunął jej właściwy kierunek postępowania.

Wiedziała, że powinna wrócić do domu, do Newcastle, wyznać, jak ją skrzywdzono, i poprosić ojca i braci, by znaleźli Jeana Jacques'a. Nie miała ani cienia wątpliwości, że mężczyźni z jej rodziny pomściliby jej splamiony honor. Sprawiliby temu łajdakowi takie cięgi, że pewnie by wyzionął ducha. Tak, zatłukliby go na śmierć. Zasłużył na to!

Nie chciała jednak szukać pocieszenia na łonie rodziny z trzech względów: po pierwsze, spółka węglowa dawała górnikom

wolne tylko z racji połamanych w pracy kości. Gdyby ojciec i bracia pojechali nad Jukon w poszukiwaniu Jeana Jacques'a, straciliby pracę w kopalni. Zoe nie mogła dopuścić, by rodzinę spotkało jeszcze i to nieszczęście. Po drugie, miała swoją dumę. Oczywiście gorzkich wyznań nie da się uniknąć i wszyscy w końcu się dowiedzą, jaka była głupia i łatwowierna, ale mogła choć trochę odwlec ten dzień. Po trzecie, nie zasługiwała na wsparcie rodziny po tym, jak haniebnie zdradziła ich w myślach.

Nie, zdecydowała Zoe: jeżeli pragnie zadośćuczynienia, musi sama się o nie postarać. To ona wyprawi się na Północ!

Świtało już, gdy pojęła swój kolejny błąd: odsyłając z kwitkiem pozostałe żony Jeana Jacques'a, pozbawiła się towarzystwa w planowanej podróży do Klondike, jeśli było prawda, że i one się tam wybierały. Mądrzej i pewniej byłoby podróżować razem. Mogłyby chociaż zaoszczędzić na bagażu, zabierając jeden zestaw kuchenny zamiast trzech! Jedno żelazko, jedną miednicę... Mogłyby dzielić jeden namiot.

Czuła rozpaczliwą potrzebę, by jakimś roztropnym działaniem odzyskać choć odrobinę szacunku do samej siebie i dowieść mamie, że nie na darmo pokładała w córce zaufanie.

Z gardła Zoe wydarł się głuchy szloch udręki. Dziewczyna opadła bezsilnie na podłogę i znieruchomiała, utkwivszy wzrok w płomień na suficie, ledwie widocznej w mętym świetle brzasku. Będzie musiała przyznać się mamusi, jaką była frajerka, a to wydało jej się najtrudniejszym zadaniem w dotychczasowym życiu.

Juliette doznawała wrażenia, że od miesiący nie robi nic innego, tylko załamuje ręce i zwraca się do kogoś o poradę. Najpierw polegała na ciotce Kibble, potem przeniosła nadzieję na Clare, a poprzedniego dnia przez kilka krótkich minut zdawało jej się, że to od Zoe Wilder dowie się, co powinna uczynić. Pogardzała taką słabością; człowiek nie powinien się spodziewać, że inni podejmą za niego decyzje. Ostatecznie dotarła samodzielnie do zajazdu Clary w Oregonie, a potem pokonała całą długą drogę do Seattle. Oczywiście każdy etap podróży przyplacała lękiem i wahaniem, pełną obaw przed nowymi doświadczeniami, które niosła ze sobą taka wyprawa. Obawy zresztą nie były bezpodstawne, bo czyż przyszło jej cokolwiek dobrego z całej tej żalostnej wędrówki?

No, tak... więc co teraz?

Z góry wiedziała, że odpowiedź, jakakolwiek by była, nie przypadnie jej do gustu. W jej sytuacji nie było wygodnych odpowiedzi.

- Przynajmniej wiemy, gdzie jest - odezwała się markotnie, gdy kelner zebrał ze stołu puste talerze po śniadaniu. - Sądzę, że w ten sposób osiągnęliśmy nasz cel.

- Nie ja. Moim celem jest dopaść łajdaka i wyrwać mu moje pieniądze.

Siedziały przy oddzielnych stołach w hotelowej jadalni - plecami do siebie. Poprzedniego dnia po opuszczeniu pensjonatu Zoe wyszły na ulicę, zmierzyły się twardym spojrzeniem i pomaszerowały w przeciwnych kierunkach. Nie było nawet sensu silić się na uprzejmość! Juliette nienawidziła

Clary ze szczerą wzajemnością. Obie zaś równie silnie nienawidziły Zoe.

Juliette upiła łyk kawy, odginając mały palec. Utkwiła w przestrzeni niewidzące spojrzenie.

- Jak zamierza pani odzyskać pieniądze? Usłyszała za sobą parsknięcie.

- Kiedyś przecież wróci do Seattle. Zostanę tu i będę wychodzić na przywitanie każdego statku z Alaski, który zawinie do portu.

Juliette również mogła tak zrobić! Nie czekały na nią przecież żadne pilne interesy, a Bóg jeden wiedział, że nie była gotowa wrócić do Linda Vista, spojrzeć w oczy ciotce Kibble i wyznać jej całą prawdę.

- Czy mnie oczy mylą? Któż to postanowił złożyć nam wizytę?! - zawołała niedowierzającym głosem.

W progu stała Zoe Wilder, wodząc wzrokiem od stolika do stolika, aż dojrzała Juliette. Z miną pełną determinacji i zaciśniętymi ustami dziewczyna postąpiła naprzód. Clara odwróciła się na krześle i obserwowała nadchodzącą.

- Jest bardzo ładna...

Juliette zdała sobie sprawę, że jej towarzyszka ma rację, i poczuła ostre szarpnięcie zazdrości. Szykowny słomkowy kapelusik, ozdobiony sztucznymi stokrotkami, trzymał na uwieży bujne krucze sploty. Dziewczyna miała na sobie śnieżnobiałą bluzkę, na szyi zawiązała czarną aksamitkę, a nieskazitelne fałdy spódnicy zdradzały, jak pieczołowitym poddano je zabiegom z pomocą żelazka i szczotki. Bystre niebieskie oczy nowo przybyłej nie dorównywały głębiam

spojrzenia oczom Juliette, a jej cera nie olśniewała gładkością jak skóra Clary, ale wiele głów obracało się w ślad za nią, gdy maszerowała przez zatłoczoną jadalnię. Zanim kelner podbiegł, by jej pomóc, sama odsunęła krzesło przy stole Juliette.

- Claro, proszę się do nas przysiąść.

- Jeśli chcecie się panie ze mną rozmówić, nic nie stoi na przeszkodzie, byście się przesiadły do mnie.

Oczy Zoe zwięzły się w szparki. Mruknęła coś o dziecinadzie i skinęła na Juliette, by wstała i razem z nią przeniosła się do sąsiedniego stolika. Juliette poczuła ukłucie niechęci na widok triumfalnego uśmiechu Clary. Przywołała spojrzeniem kelnera i zamówiła świeżą kawę dla całej trójki, po czym posłała rywalce złośliwe spojrzenie.

- Siedzimy przy pani stoliku, więc to na pani rachunek pójdzie ta kawa, naturalnie... - zaznaczyła słodko-ironicznym głosem. Zapewne będzie to po pani myśli, skoro dosiadłyśmy się na pani żądanie.

Clara nie odpowiedziała, lecz zwróciła się do Zoe.

- Cóż za niespodzianka! Niedawno oświadczyła pani, że nas nie znosi i nie chce więcej widzieć na oczy. Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale czy nie tak krzyczała pani, gdy nas od siebie wypędzała?

- Nie zaprę się ani słowa, bo nadal tak myślę. Lepiej zgódźmy się wszystkie, że serdecznie się nienawidzimy i mamy po temu powód — odparła Zoe rzeczowym tonem, jakby prowadziła rozmowę o interesach. - Wzajemna nienawiść nie musi nam jednak przeszkadzać w rozsądnym postępowaniu. - Skinieniem głowy podziękowała kelnerowi, gdy postawił przed

nią filiżankę. Obserwowała pijącą Juliette, po czym podniosła napój do ust, tak samo jak tamta, odginając mały palec. Upiła odrobinę, skrzywieniem ust skwitowała zbyt mdły dla niej smak przedniej kawy i z brzękiem odstawiła naczynie na spodek.

Juliette popatrzyła z ciekawością. Zoe Wilder nie była damą i raczej nigdy nią nie zostanie, podobnie jak Clara. Jean Jacques tylko raz ożenił się więc z kobietą pasującą do niego wychowaniem i pochodzeniem.

- Jakież to rozsądne postępowanie ma pani na myśli? - zapytała.

- Kompletnie wyposażenie na wyprawę waży od ośmiuset do tysiąca funtów - wyjaśniła Zoe, pochylając się do przodu i przenosząc wzrok z jednej kobiety na drugą. - Jeśli połączymy siły, możemy uniknąć zabierania tych samych rzeczy i wydatnie zmniejszymy bagaż, a co za tym idzie, łatwiej będzie go transportować. Oczywiście, nie wolno nam pominąć żadnej niezbędnej rzeczy, na wypadek gdybyśmy miały tam utknąć na dłużej, a to całkiem prawdopodobne, gdy się wyrusza tak późno.

Juliette czuła w skroniach pierwsze żądła migreny.

- O czym pani mówi, na litość boską? - Z góry wiedziała, że odpowiedź jej się nie spodoba.

Clara zmarszczyła brwi, pojmując sens słów Zoe.

- Proponuje pani wspólną wyprawę na Alaskę?

Brwi dziewczyny powędrowały do góry w grymasie zaskoczenia.

- A czy nie tak właśnie chcą panie zrobić? Pani sama mówiła, że musi odnaleźć Jeana Jacques'a.

Clara patrzyła w przestrzeń pustym wzrokiem, po czym powoli skinęła głową.

- Ja! To właśnie zamierzam uczynić!

- Wcale nie - wtrąciła Juliette. - Przed chwilą mówiła pani, że zostanie tu i będzie czekała na... na... - Bezradnie rozłożyła ramiona. - Na Jeana Jacques'a.

- Ale ten plan jest lepszy. - Clara spojrzała na nią. Juliette poczuła, że powietrze ucieka jej z płuc, a serce zaczyna kołatać w piersi.

- Ja...? My... miałybyśmy wyruszyć nad Jukon? - Otworzyła usta i spazmatycznie łąpała oddech. Nie mogła uwierzyć, by tamte na serio tak myślały. - Czy przyzwoitym kobietom wypada jechać na złotodajne pola?

- I to bardziej, niż się pani zdaje! - wyjaśniła Zoe. - Oczywiście, kobiety rzadko przyłączają się do poszukiwaczy, ale czasami to się zdarza. - Zmierzyła Juliette krytycznym spojrzeniem. - Szczerze mówiąc, sędzę, że pani powinna zostać. Pani Clara wygląda na osobę dość silną, by wytrzymać trudy podróży, a ja całe życie ciężko harowałam, lecz pani jest za delikatna i wychuchana, by poradzić sobie na trudnym i surowym szlaku.

Juliette aż podskoczyła ze złości, a gniew rozpalił łunę rumieńca na jej policzkach.

- Jeśli wy dwie chcecie pojechać na Alaskę, to ja też mogę! - Jeszcze tego brakowało, by za jej plecami odnalazły Jeana Jacques'a. - Jadę! - Nie wierzyła własnym uszom. Na sam dźwięk czupurnych słów poczuła podchodzącą do gardła falę mdłości.

- Będziemy nocować w namiocie i codziennie pokonywać marszem dziesiątki mil. Tam jest zimniej, niż może to sobie pani wyobrazić. Wędrowcom grożą odmrożenia i trzeba się mieć na baczności przed niedźwiedziami. Tam nikt nie będzie się nad panią rozczulał i nie może pani liczyć na żadne wygody. Będzie pani musiała wykonywać taką samą pracę ja my dwie... Czy nadal ma pani ochotę na tę wyprawę?

Jasne, że nie miała ochoty! Ale czemu miała by znosić pełen wyższości ton z ust Zoe Wilder czy pogardliwy wzrok Clary Klaus, która spoglądała na Juliette jak na bezradne chuchro?

- Proszę się o mnie nie martwić. Potrafię o siebie zadbać! Och, Boże! Cóż ona najlepszego wygadywała? Pożałowała nieopatrznych słów, gdy tylko wypsnęły jej się z ust. Ogrom własnej śmiałości przygwoździł ją do oparcia krzesła. Gdyby w tej chwili musiała wstać, nogi by jej nie utrzymały i upadłaby. Pomyślała, że to nie ona, lecz jakaś inna, nieznana istota przemawia przez jej usta.

Zoe wzruszyła ramionami i wyjęła z torebki notes.

- U schyłku lata kolejka po bilety na parowce jest krótsza, ale i tak nie dostaniemy miejsca bez czekania. Powinnyśmy więc bez zwłoki zapisać się na listę. - Naskrobała coś w notesie i popatrzyła na Clarę. - Poradzi sobie pani z załatwieniem rezerwacji?

- Można na mnie bezwzględnie polegać - oświadczyła opryskliwie Clara. - Ale kto pozwolił się pani rządzić?

- Czy pani się zna na organizowaniu i ekwipowaniu wyprawy na Alaskę?

- Mogę się nauczyć.
- Proszę pani, ja już to umiem!
- Niech pani kontynuuje, jeśli łaska. Co jeszcze musimy zrobić? - spytała piskliwym głosem Juliette. Ból głowy potężniał z każdą minutą.

- Pani proponuję, by zaczęła robić codziennie wycieczki po górach otaczających miasto, żeby wzmocnić nogi - poradziła Zoe i rzuciła jej tak sceptyczne spojrzenie, że rozdrażniona Juliette uniosła się.

- I co jeszcze?

Gdyby Jean Jacques mógł ją teraz zobaczyć, chybaby jej nie poznał! Jej oczy już nie lśniły miękko jak stare srebro; przypominały raczej twardością stalowe kulki. Popatrzyła na Clarę i zdała sobie sprawę, że jej cera też utraciła nieskalaną biel. Płomienny rumieniec gniewu klócił się z barwą rudych splotów. A krucze sploty Zoe wcale nie wyglądały jak jedwab - cóż za śmieszne porównanie!

- Wuj Milton na pewno sprzeda nam wszystko po najniższej cenie, ale i tak koszty wyprawy będą spore. - Zoe zapisała kolejną pozycję. - Poza tym trzeba mieć na opłaty celne na granicy z Kanadą. Czy panie stać na te wydatki?

- A panią? - odparowała Clara.

Juliette słyszała już wczoraj o nagrodzie, którą dostała Zoe, lecz dzisiaj dziewczyna opowiedziała o całej historii bardziej szczegółowo. Kiedy skończyła, Juliette skomentowała:

- To musiała być pokaźna sumka.

- Van Hootenowie zaliczają się do najbogatszych rodów w naszym okręgu. Pan Van Hooten był niezmiernie wdzięczny

za ocalenie syna. Poza tym mam odłożone co nieco na czarną godzinę. - Przełknęła łyk kawy. - Ale ta wyprawa огоłoci mnie do cna.

Juliette niechętnie przyznała, że Zoe wykazała dużą odwagę, skacząc w bagienne rozlewiska na ratunek małego chłopca. Ciekawe, czy na jej miejscu potrafiłaby zrobić to samo?

Jeszcze przez pół godziny roztrząsały konieczne szczegóły i robiły listę sprawunków. Potem Juliette przeprosiła towarzyszkę i poszła do siebie. W sypialni przyłożyła do czoła wilgotny ręcznik i opadła na łóżko. Utkwiła w suficie zmętniała z bólu oczy. Ojejku, jej! A więc udaje się nad Jukon... Na samą myśl sparaliżowało ją przerażenie.

Słońce, odbite od witryny Kompanii Handlowej Wildera, rzucało złociste światło na praktycznie odzianą kobietę i podkreślało podniecenie błyszczące w jej oczach. Clara wprost nie mogła uwierzyć - nim się skończy tydzień, znajdzie się na morzu, płynąc na Alaskę! To będzie najbardziej ekscytująca wyprawa jej życia.

Od najwcześniejszych lat młodości zajmowała się zaspokajaniem potrzeb podróżnych, którzy wkrótce żegnali się i znikali, jadąc do dalekich egzotycznych miejsc. San Francisco, Meksyk, Kanada, Missouri... ale sama nie ruszyła się z zajazdu i nie spodziewała się, że życie podaruje jej taki los. Nagle wszystko się odmieniło! Poznała ruchliwe pełne zgiełku Seattle, a teraz wybierała się odkrywać tajemniczą Alaskę. Ależ będzie miała kiedyś do opowiadania wnukom!

Czarowna wizja przygód zbladła. W sklepowej witrynie Clara zobaczyła, jak kąciki jej warg opadają w dół. Nigdy nie doczeka się wnuków, bo nie może spodziewać się dzieci, skoro mąż nie był właściwie jej mężem!

Rozżalona na taką niesprawiedliwość losu, przeniosła markotne spojrzenie na odbicia Juliette i Zoe. Obie stały za nią na ulicy, mierząc wzrokiem górę zapasów i ekwipunku i rozważając, jak najlepiej popakować toboły i worki. Właściwie to Zoe się tym zajmowała, Juliette załamywała jedynie ręce i wbijała oszołomione spojrzenie w spiętrzoną stertę sprawunków.

Clara westchnęła. Obok dwóch pozostałych pań Villette czuła się jak masywny bernardyn przy śmigłych, gibkich chartach. W minionym tygodniu przestała o sobie myśleć jako o osobie postawnej, z goryczą zdając sobie sprawę, że jest nieprzyzwoicie wielka – wprost zwalista. W sekrecie przed tamtymi zadreślała się wątpliwościami, co właściwie widział w niej Jean Jacques, którego pozostałe żony miały filigranowe figurki. Czuła się jak żaloszny wybryk natury. Nie była smukła jak one, jej włosy nie dawały się ułożyć w porządne fale, lecz wymykały się na wszystkie strony. Przedkładała rzeczy wygodne nad takie, jakie dyktowała moda. Chętniej szorowała by schody, niż ślęczała nad robótką. Lubiła okopywać warzywne grządki i polerować srebra. Największą przyjemność sprawiał jej suto i smacznie zastawiony stół. Była z natury i upodobań chłopką.

Westchnęła jeszcze raz i popatrzyła, jak Juliette i Zoe pochylają głowy nad listą ekwipunku. Po chwili zauważyła

mężczyznę, który stał oparty o stertę towarów po przeciwnej stronie ulicy i palił cygaro, wpatrzony w Juliette zwięzonymi w szparki oczami. Napięte spojrzenie nieznanego nie opuszczało jej nawet na chwilę, gdy w ślad za Zoe dreptała wokół pakunków. Clara zebrała się na odwagę i odwróciła się od szyby, by mu się przyjrzeć. Jak większość poszukiwaczy, zaopatrujących się w sklepie Wilderów, był brodaty, lecz w odróżnieniu od tamtych jego zarost był świeżej daty i ledwie pokrywał policzki. Miał na sobie drelichowe spodnie na tanich szelkach, odcinających się burością od śnieżnej bieli koszuli z rozchełstanym kołnierzykiem. Przekrzywił kapelusz w obronie przed sierpniowym słońcem. Był wysoki i przystojny, ale od reszty wędrowców, tłoczących się na ulicy, odróżniało go zachowanie: podczas gdy tamci kręcili się dokoła z wyrazem rozgorączkowania, czasem nawet desperacji na obliczach, ten stał spokojnie i popatrywał niedbale. Inni skupiali uwagę na swoich zakupach, nie zwracając uwagi na resztę świata, ten interesował się otoczeniem, a w każdym razie Juliette, z której od kilku minut nie spuszczał wzroku. Clara upewniła się, że nie uległa złudzeniu, i zrobiła krok przez stertę paczek.

- Juliette - odezwała się zniżonym głosem. - Po drugiej stronie ulicy jest mężczyzna, który gapi się na ciebie, jakbyś była kluską, a on od tygodni nie miał nic w ustach.

Juliette nawet nie podniosła głowy znad listy Zoe.

- Ma szerokie bary i jest całkiem przystojny? Pali cygaro, a wokół runda kapelusza ma zieloną chustkę?

Clara aż do tej chwili nie zauważyła chustki. Mężczyzna przechwycił jej podejrzliwy wzrok i z uśmiechem uchylił kapelusza, po czym wrócił spojrzeniem do jej towarzyszki.

- Znasz go?

- Oczywiście, że nie! - Juliette zerknęła spod kapelusza. - Ale wciąż na niego wpadam. W zeszłym tygodniu, kiedy rozmawialiśmy z Zoe, był w parku. Mam wrażenie, że mieszka w tym samym hotelu co my.

Clara mogłaby przysiąc, że nigdy przedtem nie widziała go na oczy.

- Cóż... wydaje się tobą szczególnie zainteresowany.

- Jeśli chcesz powiedzieć, że go w jakikolwiek sposób zachęcałam, to zapewniam cię, że nie. Jestem ostatecznie mężatką! - Juliette wyprostowała się i prychnęła z obrazą.

- Och, na litość boską, niczego ci nie insynuuję! Ja po prostu... Ach, już nic! - Rozdrażniona Clara rozłożyła ręce i odwróciła się nadasana, wpadając na największego olbrzyma, jakiego kiedykolwiek widziała. Gdy się zachwiała, podtrzymały ją dłonie niczym bochny.

- Przepraszam panią bardzo!

- Nie, nie... to moja wina.

Miał prawie dwa metry wzrostu, musiała więc odrzucić głowę do tyłu, by spojrzeć mu w twarz. Mocno zarysowaną szczękę ocieniała masa złocistych kędziorów, gdyż mężczyzna trzymał kapelusz w ręce zamiast na głowie. Nikt nie mógłby powiedzieć o nim, że jest przystojny; na obliczu rysowały się ślady przeżyć, a złamany nos i blizna przecinająca brew świadczyły o jego bogatej przeszłości. Dopiero gdy się

uśmiechnął, sroga twarz zmieniła wyraz i wydała się Clarze całkiem pociągająca.

- Czy nadepnałem pani na nogę?

Jak ostatnia kretyńka zerknęła w dół, na swoje masywne buciory.

- Nie sędzę.

- Cóż za ulga... - Skłonił się lekko i zamiótł powietrze kapeluszem. - Bernard T. Barrett, do pani usług! - Szeroki uśmiech odsłonił zęby białe jak śnieg. - Wszyscy przezywają mnie Niedźwiedź.

Clara rozumiała sens tego przydomka. Miał tors pękaty jak beczka, gromki głos i brązowe niedźwiedzie oczka. Już miała się przedstawić, gdy nagle cisza za plecami zdradziła jej, że Juliette i Zoe bacznie obserwują cały incydent. Jeśli nie Zoe, to przynajmniej Juliette chyba by umarła ze zgorzenia, gdyby zameżna Clara wyjawiała swoje imię i nazwisko obcemu mężczyźnie! Olbrzym jeszcze raz uśmiechnął się do niej, ponownie uczynił dworny gest kapeluszem i włożył nakrycie na głowę.

- Cóż, w takim razie... jeśli jest pani pewna, że nie zraniłem pani...

- Nie, nic się nie stało. Naprawdę. To ja odwróciłam się, nie patrząc i zbyt gwałtownie - Clara skłoniła głowę.

Pan Barrett nie spuszczał z niej wzroku. Właściwie gapił się na nią.

- Jakaż z pani kruszyna - zauważył donośnym głosem, aż kilku przechodniów obrzuciło ją zaciekawionym spojrzeniem. Zanim zdążyła wyrazić oburzenie, Bernard T. Barrett ponownie

wyszczerzył zęby w uśmiechu, ukłonił się i odszedł. Brnął między stosami pakunków i skrzyń, stawiając długie kroki, godne tak olbrzymiej sylwetki.

Godzinę później, podczas demonstracji mającej je poinstruować o niebezpieczeństwach związanych z używaniem kuchenki spirytusowej, Clara zarzuciła wreszcie wysiłki, by oderwać od niego myśli. Wciąż od nowa przeżywała niedowierzanie, z jakim przyjęła jego słowa tam, na ulicy, kiedy nazwał ją kruszyną. Przez całe dwadzieścia sześć lat jej życia nikt nigdy nie powiedziałby o Clarze, że jest kruszyną! To słowo ją oczarowało. Za każdym razem, gdy powtarzała je w myślach, przez ciało przebiegał dreszcz rozkoszy, zdławiony kurczem żalu. Gdzie podziewali się mężczyźni w rodzaju Bernarda T. Barretta, gdy była do wzięcia? To jasne, że ten człowiek nie ciągnął za sobą sznureczka pań Barrettowych. Jej serce przejrzało go na wskroś i pojęło z niewzruszoną pewnością, że nie należy on do gatunku podstępnych nicponiów.

- Claro, chyba nie uważasz? - Zoe popatrywała na nią gniewnie. - Wszystkie musimy umieć obsługiwać maszynkę, bo będziemy gotować na zmianę.

- Chwileczkę! - Szare oczy Juliette zaokrągliły się ze zgrozy. - Nie sądzisz chyba, że ja zajmę się gotowaniem? Och, na litość boską! Tego już za wiele! Ty naprawdę tak myślisz...

Clara nieuważnie słuchała uszczypliwej odpowiedzi Zoe. Spostrzegła, że Juliette nie przejmuje się faktem, iż jest obserwowana przez przystojnego mężczyznę po drugiej stronie ulicy i że najwyraźniej nie poświęciła mu nawet przelotnej myśli. To by znaczyło, że jest porządniejszą kobietą niż ona.

Clara poczuła, że ogarnia ją fala rozdrażnienia. Rzuciła jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie w kierunku, w którym poszedł Bernard T. Barrett. Nigdy już go nie zobaczy... to i lepiej! Przecież była w pewien sposób zameżna.

Wzięła się w garść. Powróciła myślą do swojego złodziejskiego małżonka i czekała na skurcz bólu, który zazwyczaj przyginał ją do ziemi, gdy wspominała Jeana Jacques'a.

Ból nadszedł, ale nie tak dotkliwy jak poprzednio. Odkąd z pojawieniem się Juliette życie Clary legło w gruzach, pierwszy raz uwierzyła, że nadejdzie chwila, gdy będzie mogła pomyśleć o Jeanie Jacques'u bez owej udreki - ni to tęsknoty, by znaleźć się w jego ramionach, ni to mściwego pragnienia, by go zabić.

To jest więc możliwe i kto wie, czy któregoś dnia nie nastąpi?

Na molo załadunkowym biegnącym wzdłuż Pierwszej Alei panował ścisk nie do opisania, gdy mężczyźni przepychali się łokciami w wyścigu na pokład „Annasett”. Zoe wymachiwała jak szalona biletami, w nadziei, że przyciągnie uwagę uzbrojonego marynarza na nadbrzeżu, strzegącego trapu. Krzyk nic by nie dał, bo przyszedli pasażerowie wydzierali się jeden przez drugiego i wokół panował niemiłosierny zgiełk. Dziewczyna zdała sobie sprawę, że jest zbyt niska, by samym wymachiwaniem biletami cokolwiek zdziałać w tym chaosie. Zerknęła przez ramię na Juliette i Clare i krzyknęła, by trzymały się blisko niej, po czym pochyliła głowę i zaczęła torować sobie drogę łokciami. Gdy szturchnięty mężczyzna odsuwał się na bok, zaskoczony lub rozgniewany, Zoe wślizgiwała się przed niego i wbijała łokieć pod żebro kolejnego. Kiedy wreszcie dotarła do trapu, miała przekrzywiony kapelusz, plamy z soku tytoniowego na spódnicy i łokcie obolałe od szturchańców, ale triumfalnym gestem wyciągnęła bilet do marynarza.

Uniósł brwi aż pod linię włosów, gdy ujrzał trzy pasażerki, lecz uśmiechnął się i uprzejmym gestem zaprosił je na trap. Znalazłszy się na pokładzie, Juliette uchwyciła się kurczowo relingu i patrzyła w dół, na molo, gdzie wciąż wrzeszczała i walczyła ciżba mężczyzn. Wszyscy mieli nadzieję, że uda im się zająć jedno z nielicznych wolnych miejsc na statku.

- A jeśli nie załadowano naszych bagaży?! - krzyknęła prosto do ucha stojącej obok Clary.

- Dlatego właśnie posłaliśmy je do portu już wczoraj, żeby uniknąć tego rodzaju niespodzianek - przypomniła jej Clara.

- Czy ten statek jest bezpieczny? - Juliette poprawiła kapelusz i płaszcz, zmierzyła oczami komin i krytycznym spojrzeniem omiotła pokład. - Powiedziano mi, że „Annasett” może zabrać sześćdziesięciu pasażerów, a na pokładzie widzę co najmniej dwa razy tylu!

- Szacuję, że razem z nami popłynie ze trzystu. - Zoe wzruszyła ramionami. - Nie dziwię się armatorowi, że próbuje zgarnąć tyle grosza, ile się da, póki można.

Juliette zaparło dech; zbladła jak płótno.

- A jeśli zatoniemy...?

Zoe podniosła oczy ku majaczącym na widnokręgu góróm okalającym Seattle i żarliwie, choć milcząco, wyraziła żal, że jej towarzyszka nie stoi na wierzchołku którejś z nich. Cały miniony tydzień słyszała tylko: „Tego nie mogę”, „A jeśli się okaże, że zabraliśmy za mało żywności?”, „A jeżeli zamarzniemy na śmierć?” A jeśli to... a jeśli tamto... Zoe miała ochotę krzyknąć na całe gardło.

Naprawdę nie rozumiała, czemu Juliette wyruszyła w podróż, która najwyraźniej przerażała ją do szpiku kości. Widocznie bardzo kochała Jeana Jacques'a, skoro robiła coś, czego tak się obawiała - w nadziei, że go odnajdzie.

Zazdrość jak zatrute żądło szarpnęła trzewia dziewczyny. Przez kilka ostatnich dni udało jej się odpierać wizję Jeana Jacques'a, całującego Juliette i Clare. Nie przychodziły tak często jak na początku, gdy wystarczało, że spojrzała na którąś

z nich. Ale w nieoczekiwanych momentach obraz wracał jak okrutna tortura, której ból niemal oślepiął.

Ogarnęła ją wściekłość. Tak bardzo chciała, by myśl o nim budziła jedynie nienawiść i wizję jej, wyciągającej pistolet i ładującej kulkę w łajdackie serce. Nie chciała mu zadawać pytań jak Juliette, nie dbała o pieniądze jak Clara. Pragnęła jedynie zemsty. Marzyła, że unicestwi swojego krzywdziciela.

Patrzyła na molo, gdzie Bernard T. Barrett wielkimi susami sadił przez wyjący tłum, roztrącając na boki wtlejszych rywali. To określenie odnosiło się bez wyjątku do wszystkich mężczyzn walczących o wstęp na statek. Znała go przelotnie, bo raz czy dwa w roku zaglądał do sklepu wuja Miliona i zamawiał towary do wysyłki na swój adres w Dawson City. Teraz wspinał się po trapie, a za nim podążał mężczyzna, który okazywał zainteresowanie Juliette tego dnia, gdy sprawdzały ekwipunek. Zieloną chustkę zadzierzgnął dzisiaj w szlufkę na skórzanym pasie.

Zoe rzuciła ukradkowe spojrzenie swoim towarzyszkom i zauważyła, że i one obserwują trap. Nagle przyszło jej na myśl, że kiedy dzięki niej zostaną wdowami, każda będzie mogła znaleźć nową miłość, nowego mężczyznę. Ale ona...? Jaki mężczyzna potrafiłby wzbudzić jej zainteresowanie po tym, jak znała Jeana Jacques'a? Tacy jak on tylko raz pojawiają się w życiu dziewczyny z górniczego Newcastle, a w jej przypadku nawet ten jedyny nie był prawdziwy.

- Pójdę poszukać naszego apartamentu - oznajmiła i raptownie odepchnęła się od relingu.

„Apartament” był zbyt szumnym określeniem dla klitki, którą znalazła głęboko w trzewiach parowca. Wyposażenie kajuty składało się z polowego łóżka i piętrowej koi, a jedynym ustępstwem na rzecz ich płci był popękany nocnik i zmętniałe lustro przymocowane nad półką, na której królowała wyszczerbiona miednica.

- Och, na litość boską! - wyjąkała Juliette, stając w progu. Świetliste szare oczy rozszerzyły się pod wpływem szoku i bezsilności. Ten wyraz Zoe znała już doskonale.

- Nawet jedna osoba miałaby tu ciasno, a co mówić o nas trzech - wycodziła przez zaciśnięte zęby Clara, wchodząc do środka. Jej postawne kształty przesłoniły nagle światło kopcającej lampki oliwnej.

Juliette opadła na dolną koję i pojękiwała cicho.

- Trzy tygodnie tej męki? Nie zniosę...!

Zoe pomyślała, że niewykluczone, iż po załatwieniu Jeana Jacques'a zrobi sobie przyjemność i zastrzeli również tę kobietę. Potem sprzątnie Clare - na dokładkę. Z drugiej strony, gdyby usunęła pozostałe żony, może nie musiałaby zabijać Jeana Jacques'a. Może udałoby im się...

O czym ona myślała? Potrząsnęła głową, czując niesmak. Postawiła na podłodze torbę, do której zapakowała przybory toaletowe, kilka koszul nocnych, drugą spódnicę, ciepły płaszcz i wełnianą bieliznę w przewidywaniu chłódów u wybrzeży Alaski.

Juliette pierwsza to powiedziała. Oczywiście!

- Nie ma miejsca na nasze rzeczy.

- Możemy powpychać torby pod koje i pod łóżko - zaproponowała Clara rześkim głosem. Pochyliła się nad swoją torbę i wyjęła młotek oraz gwoździe.

Zoe ze zdziwienia opadła szczęką.

- Zabrałaś młotek w rejs? - Niechętnie, ale musiała przyznać, że ta zapobiegliwość wywarła na niej wrażenie. Clare stać było na więcej, niż dotychczas dała po sobie znać!

- Tylko ostrożnie, żebyś nie przebiła gwoździem burty, bo zatoniemy! - W oczach Juliette zapłonęła panika. - Nie umiem pływać!

- Jeśli jeden mały gwóźdź w burcie miałby zatopić tę łajbę, to i tak jesteśmy skazane na zagładę! - wymamrotała Clara niewyraźnie, bo w ustach trzymała kilka gwoździ. W kilka minut uporała się z robotą: w przepierzeniu tkwił szereg zaimprovizowanych haczyków. - To wewnętrzna grodz - uspokoiła Juliette. - Złaz z łóżka! Muszę wyjąć jedną z desek spod materaca. Jeśli każda wyjmie tylko jedną deskę ze swojego posłania, chyba się nie zawalą?

Zoe w lot zrozumiała jej zamiary.

- Oczywiście, dodatkowe półki!

Clara pokiwała głową i przyłożyła deskę do listwy, biegnącej wzdłuż grodzi. Kilka uderzeń młotka i każda miała osobną półkę.

- Nie będzie przez to żadnych kłopotów? Oczywiście, jestem wdzięczna za te udogodnienia, ale... - Juliette urwała i przycisnęła dłoń do żołądka. - Czy już odpływamy?

- Jeszcze nie. - Zoe z obawą przyjrzała się współtowarzyszce podróży. - Czemu pytasz? Słabo ci?

- Sama nie wiem... - odrzekła Juliette powoli. Clara oparła się o grodz i ukryła twarz w dłoniach.

- Nawet nie chcę o tym myśleć! Mam dzielić maciupenką kajutę z kimś, kto cierpi na chorobę morską?

Z odległego pokładu dobiegł je przenikliwy gwizd okrętowej syreny. Statek szarpnął i zakołysał się pod ich stopami. Juliette zachłysnęła się i kurczowo chwyciła brzegu koi.

- Nigdy jeszcze nie byłam na statku.

Dla każdej z nich, jak się okazało, miało to być pierwsze tego rodzaju doświadczenie.

- Nie waż się chorować! - syknęła Zoe. W ciasnocie kajuty odór tytoniowych płam na ich spódnicach był tak przytłaczający, że nie mogła oddychać. Ciepło trzech ciał podniosło temperaturę pomieszczenia, aż czoło dziewczyny powlekło się lśniąca warstewką wilgoci. Tłustawy zapach kopcia z lampy skreślił jej wnętrzości falą mdłości.

- Juliette, przysięgam, że jeśli ośmielisz się wymiotować, wyrzucę cię za burtę!

- Z moją pomocą - obiecała Clara stanowczo.

Osobliwe bujanie i niespodziewany przechył podłogi zdradziły Zoe, że „Annasett” odbija i wypływa na środek portowej zatoki. Nigdy przedtem nie doświadczyła czegoś tak nieprzyjemnego; straciła poczucie ciężkości i kierunku. Płaszcz, który powiesiła na jednym z gwoździ Clary, zaczął się przechylać delikatnym wahadłowym ruchem. Oliwa w zbiorniczku lampki zachlupotała cicho, a Zoe wyobraziła sobie nagle, że to samo dzieje się z zawartością jej żołądka. Zimny pot wystąpił jej na czoło, w gardle poczuła metaliczny smak.

Słyszając kolejny świst syreny, przerażona, szeroko otworzyła oczy. Wyruszały w rejs! Żołądek skurczył się i osunął w dół brzucha.

- O, Boże! - upadła na kolana i gorączkowo wyszarpnęła torbę spod koi, sięgając głębiej, po nocnik. Znalazła go w samą porę, by zwrócić do splekanego wnętrza całe śniadanie, podczas gdy Juliette i Clara patrzyły zdjęte przerażeniem.

Między jedną i drugą falą mdłości dziewczyna miała dość czasu, by poczuć miazdzący ciężar upokorzenia. Potem przestała myśleć i zgięła się w pół nad zbawiennym nocnikiem.

Juliette i Clara robiły to, co czyniły za każdym razem, gdy mogły uciec z ciasnoty kajuty: przechadzały się po pokładach niewiarygodnie zatłoczonego parowca. Z każdą zmianą kierunku wiatru twarze owiewał im czarny dym, a jeśli nawet nie siąpił deszcz, miały suknie przemoczone od mgiełki, która unosiła się poszarpanymi pióropuszcami z rozkołysanych fal. Na domiar złego nie mogły uciec spod pręgierza spojrzeń pasażerów płci męskiej, znudzonych nieróbstwem, szukających więc rozrywki w gapieniu się na współtowarzyszy podróży.

Juliette wolala zatrzymać się przy relingu, zamiast w wędrówce po pokładzie zbliżyć się do grupy gapiów, kibicujących bijatyce. Nikt z podnieconego wianuszka obserwatorów nie myślał nawet o przerwaniu waśni, tak byli zajęci robieniem zakładów o to, kto zwycięży. Skrzywiła się z dezaprobatą usiłując jednocześnie wyobrazić sobie Jeana Jacques'a biorącego udział w takim wulgarnym zbiegowisku. Przecież był na to zbyt wyrafinowany!

Clara potrząsnęła głową.

- Widzę „wyraz Jeana Jacques'a” na twojej twarzy!
- Naprawdę chciałabym, żebyś przestała to tak nazywać. Przecież to chyba nic niezwykłego, że myślę o mężu?
- Ja usiłuję tego nie robić.

Utkwiły wzrok w falach, siekanych porannym szkwałem. Morze nieustannie zmieniało swe oblicze, choć Juliette oczekiwała, że ujrzy to samo co poprzedniego dnia. Tymczasem rano witała ją inna gra wodnych barw. Czasami otchłań była szklistozielona. Kiedy indziej figlarne błękitne fale pluły pod niebo pióropuszcami piany. Trzy razy udało jej się ujrzyć wygięte w łuk grzbiety delfinów, które śmigały po wodzie jak wielkie szare igły, ciągnące niewidzialny ścieg na powierzchni oceanu.

- Czas sprawdzić, co słychać u Zoe. Clara wykrzywiła się w grymasie wstrętu.

- Boże mój, jakże ja nienawidzę schodzić tam na dół! Ciasna kajuta zdawała się zbierać cały przesycony ciepłem i potem smród statku. Tonęła w oparach koszmaru choroby i cierpienia. W nocy sen przerywały odgłosy krztuszenia się i jęki współpasażerki. Juliette jeszcze nigdy nie widziała, by ktoś był tak chory jak Zoe Wilder. Skręcona w spazmach mdłości, błagała o śmierć, a Juliette zdawało się niekiedy, że naprawdę przywitałaby ją z radością.

- Pamiętajsz, co radził kapitan: trzeba wmusić w nią trochę stawy.

- To akurat mi nie przeszkadza, ale wypróżnianie nocników... - Clara skrzywiła się markotnie. Zamiast jednego, miały teraz aż trzy niezbędne naczynia. - No i sprzątanie po

niej. Obmywanie jej... i samo oddychanie w tej śmierdzącej norze.

Odrzuciła głowę i zaczerpnęła pełne płuca świeżej morskiej bryzy, po czym wyprostowała ramiona i z ociąganiem, lecz bez oglądania się za siebie, pomaszerowała w stronę luku.

W rzadkich chwilach refleksji Juliette przychodziło na myśl, jakie ma szczęście, że to nie ona okazała się podatna na morską chorobę, że nie ona leży we własnych wymiocinach i błaga o łaskę śmierci. Gdy ktoś zapyta ją u schyłku życia o chwilę największej chwały, odpowie bez wahania: dzień, w którym Zoe Wilder zachorowała, a ja nie. Ha!

Bez prawdziwego przekonania zgaśniła się milcząco za tanią satysfakcją kosztem biednej Zoe i przelotnie rozważyła, czyby nie skręcić do mesy, by uniknąć duszącego dymu z komina i wrzasków bijatyki. Ale mesa będzie jak zwykle zatłoczona mężczyznami! Większość umiała się zdobyć na szacunek należny jej płci. Na jej widok próbowali powstrzymać się od przeklinania czy przynajmniej je zlagodzić, ale Juliette widziała, że w jej obecności czują się skrępowani. Ponadto wyraźnie nie pochwalali jej wyprawy na Alaskę - a ona podzielała ich opinię.

Nagle usłyszała za plecami łagodny głos.

- Piękne.

Zesztywniała i zerknęła spode łba na mężczyznę, który stanął koło niej, opierając się o reling. Kątem oka dojrzała zielony rozek, wystający z kieszeni koszuli, i doszła do wniosku, że zarost nieznanego zgęstniał, nabierając tego samego głęboko brązowego odcienia co czupryna. Najbardziej jednak rzucił jej się w oczy niezwykle błękit oczu, barwą zaćmiewający

nawet ostróżki, chlubę ogrodu ciotki Kibble, zdobywczynię nagród na wszystkich festynach.

- Morze... przepiękne, nieprawdaż?

W normalnym stanie rzeczy nawet nie śniłoby się jej podtrzymywać rozmowę z nieznanym, lecz sytuacja nie była normalna. Po dwóch tygodniach spędzonych na parowcu, gdzie wszyscy byli ściśnięci razem jak szpilki w pudełku, określenie nieznanomy traciło sens, bo człowiek rozpoznawał wszystkie twarze współpasażerów.

- W rzeczy samej - odmruknęła z ociąganiem, czując się jednak niezręcznie. Konwersacja z nowo poznanymi, szczególnie osobami płci męskiej, nie była jej mocną stroną. Zawsze w takich chwilach zdawało jej się, że pomniejszona za sprawą cudu ciotka Kibble siedzi na jednym jej ramieniu, a równie miniaturowa matka przycupnęła na drugim. Obie z krytycznym wyrazem twarzy przysłuchiwały się wymianie zdań, czyhając na jej najmniejsze potknięcie.

- Pani pozwoli, że się przedstawię: jestem Benjamin Dare z San Francisco w Kalifornii. - Zdjął kapelusz, przycisnął go do piersi i utkwił w niej baczne, wyczekujące oczy.

Małeńka ciotka Kibble cmoknęła z dezaprobatą na dźwięk głosu Juliette, która z zażenowaniem wyjawiała swoją tożsamość, podając się wszakże za pannę March. Rywalki przed wyruszeniem w rejs uzgodniły, że zamiast występować jako trójka pań Villette powrócą na czas wyprawy do panieńskich nazwisk, by uniknąć plotek i obelżywych spekulacji.

- Czy pozwoli pani, że zapalę, panno March?

Nie zamierzał więc się oddalić, a ona nie mogła kontynuować przechadzki po pokładzie, na którym wciąż kotłowali się pięściarze.

- Proszę bardzo! - Ojciec palił cygaretki, których korzenna woń pozostała najżywszym wspomnieniem z dzieciństwa. Poza tym sprzeciw byłby dowodem zwykłej zawziętości, skoro pokład spowijały kłęby smolistego dymu z komina.

Mężczyzna energicznym machaniem dłoni zgasił zapalkę i zauważył:

- Dość często się mijamy, zauważyła pani?

- Czyżby? - Prędzej dałaby się spalić żywcem, niż przyznała, że zauważyła ten fakt.

Od rozmówcy dolatywał zapach mydła, niebiańsko przyjemny w kontraście ze smrodem wymiocin dwóch pozostałych żon Villette. Z rozkoszą słuchała też głębokiego basu. Mężczyzna miał na sobie flanelową koszulę i spodnie z drelichu - ulubiony strój większości pasażerów. Na nim jednak ów „mundur” poszukiwacza złota wydawał się egzotycznym przebraniem i miał pewien nieodparty powab.

- W Seattle mieszkaliśmy w tym samym hotelu - ciągnął wyjaśniającym tonem. - Później widziałem panią w parku Yeslera, a potem ponownie przed sklepem. Teraz zaś podróżujemy tym samym statkiem. To dość interesujący ciąg zbiegów okoliczności, nie sądzi pani?

Owszem, sądziła, lecz powstrzymała się od komentarza i nie odrywała spojrzenia od fal, chociaż obserwowała rozmówcę kątem oka. Pochlebiało jej, że ją spostrzegł i zapamiętał. Czuła

się natomiast zaskoczona, że sama zauważyła i zapamiętała jego osobę. Nie mogła jednak udawać, że tak nie było.

- Zdumiewa mnie obecność damy takiej jak pani na pokładzie statku płynącego na północ. Proszę mi wybaczyć tę uwagę, jeśli narusza pani prywatność, ale nie wygląda pani na osobę, która szukałaby fortuny na złotonośnych polach.

- Na litość boską! - Spojrzała prosto w błękitne oczy. - Nie myśli pan chyba, że ja... - Cóż za absurdalny pomysł! -Nie, naprawdę, panie Dare... nie zamierzam wywijać patelnią nad strumieniem ani grzebać w ziemi w pogoni za złotem.

Zazwyczaj ludzie na statku spoglądali na siebie jedynie przelotnie i wystarczały im bardzo powierzchowne wrażenia, ale Ben Dare mierzył ją wzrokiem tak przenikliwym i uważnym, iż wydawało się, że przejrzy ją na wylot. Zmieszana Juliette ledwie powściągnęła się, by nie przygłodzić włosów i nie zwilżyć warg. Nawet Jean Jacques nie spoglądał na nią z takim zaabsorbowaniem! Poczuli w żołądku miłe ciepło. Pospiesznie spuściła wzrok, zmarszczyła czoło i zagryzła wargi.

Miniaturka matki z wysokości ramienia szeptała jej do ucha, by skinęła grzecznie, lecz chłodno głową i oddaliła się, podczas gdy ciotka Kibble ostrzegała, że nikogo prócz niej nie powinno obchodzić, iż podjęła podróż nad Jukon w poszukiwaniu zbiegłego małżonka. Jej przestroga i matczyzna porada były całkowicie zbędne: Juliette chętniej dałaby się złapać na poprawianiu gorsetu na oczach współpasażerów, niż powierzyłaby swoje sekrety obcemu mężczyźnie, nawet takiemu, który wpatrywał się w nią czarująco błękitnymi oczami i miał tak pięknie wykrojone usta, że czuła mrowienie

na całym ciele. Zakryła usta dłonią odkaszlęła i spytała uprzejmie:

- Czy pan zamierza szukać złota, panie Dare?

Mimo brody i ubrania nie wydawał jej się tego typu człowiekiem. Miał postawę osoby przyzwyczajonej do wydawania rozkazów i podejmowania decyzji. Gdyby się ogolił i zmienił strój, mógłby się obracać w świecie interesów. Jak na zwykłego robotnika zbyt gładko umiał się wyrażać. W odróżnieniu od pozostałych poszukiwaczy fortuny brakowało mu gorączkowego rozedrgania, owej osobliwej mieszaniny żarliwości i desperacji.

- Oczywiście!

- Ach, tak... - Rozczarowanie sprawiło, że odezwała się ostrzejszym tonem, niżby wypadało. Nieświadomie dla samej siebie oceniła go wyżej niż pozostałych pasażerów. Pragnęła, by się okazało, że ma cele wznioślejsze od tamtych, goniących za fortuną. Zaskoczyło ją odkrycie, że w ogóle o nim myśli. Mimowolnie zmarszczyła czoło. Rozmówca, widząc to, wybuchnął śmiechem. Wysłuchała się w bogactwo odcieni jego głosu. Nie mogła oderwać wzroku od harmonijnych rysów, gęstej czupryny, niebieskich oczu i szerokich barów. Przylapawszy się na nieprzystojnym zachwycie, splonęła rumieńcem i pospiesznie odwróciła się bokiem do mężczyzny, udając nagle zainteresowanie zwojem liny leżącej na pokładzie.

- Z wyjątkiem pani i zapewne pani towarzyszek wszyscy na pokładzie tego parowca wyruszyli nad Jukon na zew złota. Mają zamiar zbić fortunę w Klondike.

- Zamiar czy nadzieję?

- Nadzieja to bardziej odpowiednie słowo. I większość dozna rozczarowania. Słyszałem, że każda pięć Klondike już dawno znalazła właściciela. Ziemia jest usiana palikami, wyznaczającymi złotodajne działki. - Oparł przedramiona na relingu i wydmuchnął kółko dymu na skrzydła morskiej bryzy. - Tylko pionierzy i pierwsza fala idących w ich ślady zbiora owoce. Ci, którzy wyruszają rok później... Wątpię, czy znajdą coś złota, by zwrócić im się koszta wyprawy.

Zdumienie zaokrągliło oczy Juliette.

- Czemu więc w ogóle pan wyruszył, jeśli to prawda?

Natychmiast pożałowała pytania, które jako zbyt bezpośrednie stanowiło obrazę dobrych zwyczajów. Nie miała pojęcia, co ją opętało... A może miała? Nabierała nieokrzesanych nawyków w towarzystwie tych dwóch pozostałych żon Jeana Jacques'a!

- Rok temu moja żona zmarła na zapalenie opon mózgowych. - Jego palce musnęły zieloną chustkę wystającą z kieszeni.

- Przykro mi... - szepnęła Juliette.

Nigdy przedtem nie prowadziła podobnej rozmowy! Dobrze wychowani ludzie nie wyjawiają szczegółów prywatnego życia po tak krótkiej znajomości. Owszem, niebywale pochlebiało jej zaufanie współtowarzysza podróży, ale przecież tak nie przystało! Z drugiej strony tego rodzaju łatwość w nawiązywaniu kontaktów jest opisywana w książkach podróżniczych jako bardzo powszechne zjawisko. Pasażerowie, którzy spędzają długie tygodnie stłoczeni na małej przestrzeni, zaczynają się sobie zwierzać z najintymniejszych przeżyć. Nic w

tym złego, bo przecież u kresu podróży wszyscy się rozchodzą, by się już nigdy więcej nie spotkać.

- Od ponad roku pierwsza rzecz, która wzbudziła moje zainteresowanie, to wyjazd do Klondike. - Wyprostował się . i spojrzał na nią szczerym wzrokiem. - Muszę się sprawdzić, odnaleźć mężczyznę, którym niegdyś byłem... - Ta szczerosc i jego zdawała się zbijać z tropu, gdyż wzruszył ramionami i nieoczekiwanie się uśmiechnął. - Kto wie, może nawet znajde samorodek albo i dwa?

- Mam nadzieję, że tak! -żarliwie potaknęła Juliette, czując osobliwe pokrewieństwo dusz. Oboje niedawno utracili współtowarzysza życia, drogą sercu osobę. Jego żona zmarła; jej tak zwany małżonek uciekł i ją zdradził. Choć nie powiedziała tego głośno, łączyła ich więc doznanego cierpienia. Tyle że pan Dare wyrwał się i podązał naprzód, a ona utkwiała w ruinach starego życia.

Mężczyzna stracił niedopalek w morze.

- No, tak. Czy panna Wilder ma się lepiej?

Ojej... więc rozpytywał o nie, wiedział, jak ona się nazywa, znał nazwiska jej towarzyszek, zanim podjął rozmowę. Na myśl o jego zainteresowaniu poczuła trzepot motyli skrzydeł w żołądku. Zaczerpnęła tchu i nie bez wysiłku przywołała smutek na oblicze.

- Obawiam się, że panna Wilder umiera...

To niemożliwe, by ktokolwiek wyszedł z życiem z tak gwałtownej choroby! Juliette ze wstydem przyznawała, że nie czuje żalu na myśl o rychłym zgonie Zoe. Ta dziewczyna od początku nie wzbudziła jej sympatii, a teraz, gdy musiała

ocierać jej twarz z wymiocin, kąpać ją i na okrągło prać jej koszule, lubiła ją tym mniej! Oczywiście, rozumiała, że żadna kobieta, umierając, nie jest w stanie zachowywać się jak przystało, ale Zoe wykazywała szokujący brak wdzięczności za opiekę, którą roztaczały nad nią Juliette i Clara. Wprost przeciwnie, besztła je, wrzeszczała, przeklinała i wypędzała obie z kajuty. Dwukrotnie zwymiotowała prosto na nie... Brak współczucia świadczył o tym, jak szybko psuje się jej charakter - zauważyła ponuro Juliette. Ale jedna żona mniej nie złamie jej serca!

Serdeczny męski śmiech przebił się przez przygnębienie, które ogarnęło ją na myśl o oczekującym niebawem koszmarze samarytańskiego dyżuru przy chorej.

- Ludzie raczej nie umierają od choroby morskiej, chociaż założę się, że teraz panna Wilder głośno wzywa kostuchę! Kiedy w przyszłym tygodniu przybijemy do Dyea, jej stan polepszy się w mgnieniu oka.

Nie mogła uwierzyć ani w to, że Zoe przeżyje, ani że ona i Clara przetrwają jeszcze tydzień bezsennych nocy i długie godziny opieki nad dziewczyną próbując nie oddychać w śmierdzącej klitce, gdzie umierająca jęcza dawała upust swoim humorom.

- Miło mi było panią poznać, panno March. - Oboje dojrzelili Clare. Miała ciemną plamę na spódnicy i żalospny wyraz twarzy. - Czy pozwoli pani, że jeszcze z nią kiedyś pogawędzę?

- Ach, ależ... - Juliette w ostatniej chwili ugryzła się w język. Mało brakowało, by mu zdradziła, że jest w rzeczywistości panią Villette! Ale obiecywała nie wyjawić

prawdy nikomu. Nie bardzo wiedziała, jak się zachować w tej kępującej sytuacji. W sprawach dotyczących stosunków męsko-damskich była nowicjuską, nie miała więc pojęcia, czy prośba pana Dare'a była przyzwoita, czy też należało ją bezpardonowo odrzucić. Uważał ją wszak za kobietę wolną. Poza tym to chyba nic zdroźnego, taka niezobowiązująca pogawędka? Ostatecznie już się sobie przedstawili. Zarumieniona i zmieszana, dziękowała niebiosom, że jej towarzyszka podeszła do nich, zanim zwłoka w udzieleniu odpowiedzi wydała się zbyt długa.

- Wciąż dychał - prychnęła Clara. - Ale tylko dlatego, że nie miałam czym jej dobić. - Kiwnęła głową Benjaminowi Dare'owi. - Ja jestem Clara Klaus, a pan się nazywa Benjamin Dare, prawda? Słyszałam, że tak się zwracał do pana kapitan. - Odwróciła się do Juliette. - Twoja kolej na dyżur w piekle!

- Claro, jak ty się wyrażasz?

- Wybacz pan, panie Dare, że po tak krótkiej znajomości proszę pana o przysługę, ale może wie pan, czy na pokładzie tego statku nie znajdzie się jakiś trunek? A jeśli tak, czy mógłby pan postarać się dla mnie o łyceczek?

Łobuzerski uśmieszek pogłębił dołek na jego policzku, w miejscu zetknięcia wąsów ze świeżą brodą.

- Sądzę, że uda mi się znaleźć buteleczkę whisky.

- Doskonale! Dzieląc kajutę z pewną wyjątkowo chorą jedzą, znajduję się w wielkiej potrzebie kropelki pokrzepienia. Prowadź pan!

Ben Dare ze śmiechem podał Clarze ramię i ruszyli w stronę mesy, zostawiając Juliette samą. Patrząc w ślad za

odchodzącymi, ze zdumieniem poczuła w sercu ukłucie do złudzenia przypominające zazdrość. Nagle przez głowę przemknęła jej nie mniej zdumiewająca myśl: nie pozwoli Clarze Klaus odebrać sobie drugiego mężczyzny!

Dobry Boże, skądże u niej takie pomysły? Potrząsnęła głową, zebrała siły i z postanowieniem, że przetrwa koszmar dyżuru, ruszyła w stronę schodni.

Wszyscy pasażerowie wiedzieli już, że nazajutrz kapitan spodziewa się ujrzeć ład. Rosnące podniecenie zastąpiło dotychczasową nudę, która podkopywała cierpliwość i dobry humor. Wrzawa męskich głosów przyciągnęła uwagę Clary. Podniosła wysoko kołnierz, by osłonić policzki przed podmuchami mroźnego wiatru, i skierowała się w stronę mesy, chcąc wypełnić czas, jaki dzielił ją od kolejnego dyżuru przy Zoe. Jeszcze nie przekroczyła progu zadymionego, przegrzanego pomieszczenia, gdy usłyszała tubalny głos pana Bernarda T. Barretta, wznoszący się ponad zgiełk. Stała się jak wryta, niepewna, czy chce wejść, i zaskoczona własnym wahaniem.

Co najmniej pół tuzina razy natykała się na niego na pokładzie. Za każdym razem uchylał kapelusza i pożerał ją wzrokiem jak mannę na pustyni, lecz nie próbował nawiązać rozmowy ani dopaść ją w chwili, gdy była sama, jak to już dwa razy zrobił pan Dare wobec Juliette. Oczywiście, z ulgą przyjmowała chwalebna powściągliwość pana Barretta. Nie miała mu przecież nic do powiedzenia - przez Jeana Jacques'a, złodziejskiego mężulka! Mimo to nie byłaby przeciwna

towarzyskiej wymianie zdań z kimś, kto nie rzyga i nie skarży się bezustannie.

Wślizgnęła się przez drzwi, kurcząc się w sobie w nadziei, że zrobi się mała i niezauważalna. Przysiadła przy jednym z długich stołów pod ścianą i przysłuchiwała się panu Barrettowi, który przemawiał do zebranego wokół siebie tłumu.

- Zrobimy tyle rund, aż zostanie dwóch rywali do zwycięstwa! - Brązowe oczy natrafiły na twarz Clary, zawisły na niej na chwilę, po czym olbrzym oparł się o tablicę zawieszoną za nim na grodzi. - Wrzucimy do kapelusza karteczki z nazwiskami i będziemy ciągnąć po dwie, aż wszyscy dobiorą się w pary do pierwszej randy zawodów.

- O jakich zawodach on mówi? - spytała sąsiada z lewej, który grzał dłonie o kubek kawy.

- Będą walczyli na ręce, proszę pani. Zastanowiła się chwilę.

- Czy wyznaczono jakąś nagrodę?

- Sto dolarów i bezpłatne trunki przez cały miesiąc w gospodzie Pod Gołym Misiem. - Widząc jej nierozumiejące spojrzenie, wyjaśnił: - To karczma w Dawson City.

Więc pan Barrett był właścicielem zajazdu! W pojęciu Clary było to o wiele mądrzejsze zajęcie niż poszukiwanie niepewnego złota. Nie można źle wyjść na sprzedaży trunków, stawy czy noclegu! Patrzyła zainteresowana, jak jeden z mężczyzn ciągnie losy, a Ben zapisuje nazwiska na tablicy.

Sto dolarów...?

Sporo grosza za taką niewielką robótkę. Hugo Bosch musiał przez dwa miesiące stać nad rozprażonymi garami, by

zarobić stówę. W Seattle sto dolarów to była przeciętna płaca za trzy miesiące ciężkiej fizycznej pracy. Bezpłatny poczęstunek podnosił stawkę niemal dwukrotnie - a wszystko to za zwycięstwo w marnych zawodach na ręce!

Po kilkuminutowych rozważaniach wstała i zaczęła wiercić oczami plecy Niedźwiedzia Barretta, aż poczuł jej spojrzenie i się odwrócił. Przesadnie wyraźnie poruszając wargami, posłała mu bezgłośnie:

- Czy mogę zadać pytanie?
- Zamknijcie się, żółtodzioby! Ta mała dama w kącie chce coś powiedzieć!

Mała dama? Clara rozkoszowała się dźwiękiem tych słów.

Reszta mężczyzn nie była jednak zachwycona jej wtrącaniem się, o czym świadczyły zmarszczone czoła i posępne pomruki. Barrett nie przejął się jednak dezaprobatą tłumu. Brązowe niedźwiedzie oczka powędrowały ku rozchyłonym połom jej płaszcza, ześlizgnęły się ku biodrom, by wreszcie z powrotem utkwic wzrok w jej obliczu. Cóż za śmiałek!

Clara też przyjrzała mu się dokładnie. Drelichowe spodnie trzymały się na czerwonych szelkach, skrzyżowanych na szerokich barach. Biała koszula była tak obszerna, że tkaniny wystarczyłoby na obicie fotela. Z pewnością nie był ułomkiem, a w dodatku to wielkie ciało składało się głównie z mięśni - widziała je wyraźnie. Muskularna klatka piersiowa z łatwością odbiłaby kulę armatnią!

Gdy Clara stwierdziła, że wzajemne oględziny trwają o ułamek sekundy zbyt długo, otworzyła usta do pytania:

- Czy wszyscy pasażerowie mogą przystąpić do zawodów? Wargi wielkoluda rozciągnęły się w uśmiechu, odsłaniając mocne zęby.

- Chciałaby pani zaproponować kogoś?

- Ja, ja... tak, owszem: siebie.

Śmiech zamarł na ustach mężczyzn, gdy zorientowali się, że Clara nie żartuje. Dwa tuziny głów zwróciło się ku Niedźwiedziowi.

- To kobieta!

- To nie byłoby sprawiedliwe. Jej przeciwnik miałby zwycięstwo w kieszeni, jakby dostał darmową przepustkę do kolejnej rundy!

- Ja tam nie będę się siłował z kobietą.

Niepomny wrzawy, Niedźwiedź skrzyżował wzrok z Clara. Widać było, że się namyśla. Wreszcie dostrzegła iskierkę, która zwiastowała jej zwycięstwo.

- Trzeba dać piątaka wstępny - oświadczył zwięźle, zaciekawiony, czy wysoka opłata jej nie zniechęci. Wśród uczestników turnieju wybuchła istna burza protestów, Clara tymczasem przeliczyła błyskawicznie nazwiska na tablicy i zorientowała się, że pan Barrett mógł zaoferować sto dolarów nagrody i mimo to zarobić niezłą sumkę na organizacji zawodów. Szkoda, że sama wcześniej o czymś takim nie pomyślała!

Niedźwiedź odgarnął złociste kędziory z czoła i podniósł kąciki ust w sardonicznym grymasie.

- Co, słabeusze, siusiumajtki?! Lękacie się stanąć w pojedynkę wobec takiej kruszyny?

Kruszyna! Clara niemal zemdląa.

Rozgorączkowni oponenci zamilkli i spojrzeli na nią spode łba. Usłyszała dość uwag, by nie mieć wątpliwości, że niechętnie przyjmują ją w szranki. Jedno z dwojga: uważali, że rywal będzie miał zbyt łatwą robotę, albo lękali się przegranej w pojedynku z kobietą. Żaden nie godził się stanąć przeciw niej.

- Pozostaję więc tylko ja, panno Klaus. - Niedźwiedź wyszczerzył zęby w pewnym siebie uśmiechu. - Z góry proszę o wybaczenie, że biorę od pani pieniądze za to, że sprawię pani cięgi.

- Przecież pan nie miał brać udziału! - warknął któryś z zawodników i splunął na podłogę ze złością.

Przyłączył się do niego drugi:

- Nie możesz brać udziału we własnych zawodach!

- Mam szczerzy zamiar. - Podniósł dłonie jak bochny, by uspokoić wrzawę. - Kiedy ją zwyciężę, wycofam się.

Miała nadzieję wylosować jednego z chuderlaków. Cóż, trudno; poradzi sobie z najsilniejszym przeciwnikiem.

Przekrzywiła głowę i przymrużywszy oczy, mierzyła go badawczym spojrzeniem. Siła grała oczywiście rolę w zapasach, ale równie ważna była strategia. Jej przeciwnik był potężny, umięśniony i pewny siebie, ale to mężczyzna, a Clara umiała ich przechytrzyć.

- Kiedy zaczynamy? - spytała i zauważyła, że pochlebili jej równie uważnymi oględzinami jej postury.

- Pierwsza runda odbędzie się jutro po śniadaniu.

Doskonale. Miała dość czasu, by się przygotować. Kajuta wyglądała i cuchnęła równie ohydnie jak w chwili, gdy z niej

wyszła. Zoe leżała bezwładnie na dolnej koi. Jęczała, krztusiła się i przedstawiała godny pożałowania widok. Juliette zapadła w czujną drzemkę na polowym łóżku.

- Potrzebuję waszej pomocy - oświadczyła Clara, klękając przy posłaniu i sięgając po torbę podróżną. Opowiedziała im o turnieju i o tym, że ma jutro startować jako pierwsza.

- Coś ty zrobiła?

Nawet Zoe usiadła na posłaniu.

- Oszalałaś! - mruknęła i opadła bezsilnie z powrotem. Clara wyszarpnęła z czeluści torby zapasową suknię i strzepnęła fałdy spódnicy, by rozprasować pogniecioną tkaninę.

Potem przysunęła ją do płomyka lampy. Tak, świetnie się nadawała.

- Zoe ci nie pomoże, choćbyś nie wiem co zamierzała. Wciąż jeszcze twierdzi, że umiera. - Ton Juliette świadczył o tym, że jej cierpliwość wkrótce może się wyczerpać.

- Skoro tak, dobrze się będzie prezentować na jej nagrobku epitafium: „Umarła z igłą w dłoni”. Wstawaj, Zoe! Musimy połączyć nasz spryt i poszperać w dobytku, żeby odpowiednio przerobić tę sukienkę!

Pod osłoną mroźnej nocy na horyzoncie zmaterializowały się jak za sprawą magii zarysy Alaski. Nieśmiało chłodne promienie słoneczne rozświetlały śniegowe czapy na wierzchołkach odległych gór, które wydawały się wyrastać wprost z morza.

Bliskość celu przyprawiała Clarę o gęsią skórkę. Zobaczy Alaskę, odwiedzi miejsca, które mogła sobie przedtem tylko wyobrażać; będzie robiła rzeczy, o których dotychczas mogła zaledwie śnić. Wiedziała, że tak będzie. Majestatyczna rzeźba brzegu przepowiadała najwspanialszą życiową przygodę. Miała chętkę rozpostrzeć ramiona i objąć wszystko, co chłonęły oczarowane oczy.

Ostatni raz ogarnęła wzrokiem olśniewającą panoramę wybrzeża, zatarła ręce, strzeliła palcami, podniosła głowę i rezolutnie wkroczyła do zadymionej mesy.

Pierwsza runda zawodów trwała już od jakiegoś czasu, sądząc po liczbie pustych miejsc na tablicy. Mężczyźni mocowali się przy wszystkich stołach pod czujnym okiem zawodników, których kolej miała dopiero nadejść, i tych, którzy już zakończyli zmagania.

Złociście kędzierzawa głowa Niedźwiedzia Barretta górowała ponad tłumem, Clara zauważyła go więc bez trudności. Od wczorajszego wieczoru znalazł czas i sposobność, by umyć i przystrzyć włosy, a ze szczęki zniknął każdy złotawy włos zarostu, który jeszcze wczoraj ocieniał podbródek. Zmienił również strój, przywdziewając ciemne wełniane spodnie i dobrze

skrojoną kamizelkę w ciemnozłote prążki. Pod szyją zawiązał czarną muszkę.

Nikt poza nim nie zdecydował się zrzucić drelichów, więc Clarze przemknęło przez głowę, że przeciwnik wystroił się specjalnie ze względu na nią. Chyba że uznał, iż rola gospodarza turnieju wymaga świetniejszego przyodziewku niż ten, w jakim dotychczas występował. Lecz gdyby chodziło o podkreślenie oficjalnego charakteru okazji, włożyłby raczej marynarkę, zamiast paradować w koszuli z podwiniętymi rękawami.

Patrzyła, jak wyjmując z ust cygaro i pochyla się bacznie nad stołem, by krytycznie ocenić odległość między białym a ramieniem spoconego zawodnika, któremu z wysiłku żyły wystąpiły na czoło.

- Mamy zwycięzcę! - obwieścił przy wtórce aplauzu kibiców z tamtego końca stołu. Mężczyzna przy tablicy dodał kolejne nazwisko do listy uczestników drugiej rundy.

Wtem Niedzwiedz zauważył Clarę. Otworzył szeroko usta i wybałuszył oczy. Miał ku temu powód, gdyż Clara całkowicie odmieniła prezencję. Zamiast praktycznie i bez ozdóbek ubranej niewiasty stała przed nim elegantka, wystrojona tak, jak na pewno nie przystało przyzwoitej kobiecie o tak wczesnej porze dnia.

Po pierwsze, nie zakryła kapeluszem misternej fryzury, godnej występu na uroczystym przyjęciu. Juliette i Zoe spiętrzyły jej włosy jak fontannę żywiołowej radości. Za pomocą gorących żelazek zakręciły anglezy i kunsztowne loczki nad

uszami. Całość ukoronowały czarnym strusim piórem, przytwierdzonym zdobną zapinką z brylantami.

Czarna narzutka Juliette nieco zbyt ściśle opinała kształty Clary, lecz sztywny wysoki kołnierz ujmował jej twarz w elegancką ramę i podkreślał świetność długich kolczyków z migotliwych cejlońskich brylantów - również stanowiących własność Juliette.

Spod narzutki wyzierały fragmenty sukni, należącej do zawodniczki, ale na pantofelkach wystających spod spódnicy pyszniły się róże, które Zoe zgrabnie wycięła z kawałka chustki. Pasowały jak ulał do sztucznej różyczki zdobiącej szykowny woreczek - najlepszą z torebek Zoe.

Clara zapłonila się lekko pod przeciągłym spojrzeniem Barretta, otworzyła torebkę i wyjęła złotą pięciodolarówkę.

- Czy to panu mam wręczyć opłatę za udział? - spytała, podchodząc do Niedźwiedzia.

- Mamy przepis, że kobiety uczestniczą za darmo. - Spojrzenie olbrzyma wędrowało z wolna po jej włosach, roziskrzonych kolczykach, ześlizgnęło się w dół i zatrzymało na kokardzie pod szyją, która spinała poły narzutki.

- Wczoraj nie było mowy o takim przepisie. Przecież...

- Przepis jest nowy - przerwał jej i spojrzał na nią z wysokości niemal dwóch metrów wzrostu. - Pięknie pani dzisiaj wygląda, panno Klaus. Zdecydowanie przepięknie!

- Ależ dziękuję panu, panie Barrett! - Wrzuciła monetę z powrotem do torebki.

Niedźwiedź nie spuszczał z niej oczu, promieniejących podziwem, aż ciepło rozeszło się jej po żyłach.

- Pewnie dziwiła się pani, czemu aż do wczoraj nie odezwałem się do pani?

- Nie, bynajmniej! - skłamała. Miała nadzieję, że ton jej głosu wyraża wyłącznie zdziwienie, iż choć przez chwilę mógłby ją posądzać o coś tak karygodnego jak przyjmowanie z aprobatą słów zaczepki ze strony kogoś, kto praktycznie nie został jej przedstawiony. Właściwie nadał nie dokonał tej formalności, ale cóż...

- Aż do wczoraj, kiedy ktoś powiedział mi pani nazwisko, sądziłem, że jest pani osobą zamężną.

- Ach, tak? - Taka więc okazała się wymowa milczących, pełnych napięcia spojrzeń, które rzucał jej spod rzęs: „Chciałbym wszcząć rozmowę, lecz jest pani mężatka”... Ni stąd, ni zowąd poczuła przyływ radości.

- Chodzi mi o to, że wygląda pani na kobietę porządną, godną szacunku, która nie wdaje się w przypadkowe pogaduszki z mężczyznami. Robiła pani wrażenie osoby nieprzystępnej.

Teraz sama doświadczyła rozterki, o której opowiadała jej Juliette: nie była właściwie zamężna, ale nie mogła z czystym sumieniem powiedzieć o sobie, że jest wolna. Nie wolno jej było zachęcać pana Barretta, nie powinna nawet mieć na to ochoty. To jest, jeśli w ogóle ją miała, bo tego nie była wcale pewna. Niezależnie jednak od własnych chęci w tej mierze, w jego oczach była kobietą wolną. Decydując się wrócić do „panny” przed nazwiskiem nie przewidziały tego rodzaju komplikacji.

- Nie chcę przez to powiedzieć, by wygląd zamężnej kobiety był czymś gorszym... proszę nie brać moich słów za

krytyczne! -pospiesznie dodał Niedźwiedź. - Chciałem tylko rzec, że nie wydawała się pani gotowa na... och, do diabła! Sam nie wiem, co chciałem powiedzieć. - Wyszczrzył zęby w rozbrajającym uśmiechu. - Jest pani gotowa do pojedynku?

- Chyba tak, ja. - Spuściła rzęsy i zaczęła ściągać rękawiczki, powoli, ceremonialnie, odsłaniając jeden palec za drugim. Pierścioneł, z którego była niegdyś tak dumna, nie imponował jej już czarem unikat. Poza tym obrączka powinna być ze złota, nie ze srebra. Jej ślubny pierścioneł był taką samą błagą jak całe to małżeństwo.

Niedźwiedź bezwiednie potwierdził jej obawy, gdyż nie mrugnął nawet okiem na widok świecidełka. Widział w nim ozdóbkę, a nie dowód, że pasażerka ukrywa istnienie męża.

- Czy jest pani praworeczna? - dopytywał się, prowadząc ją do stołu, gdzie czekała już spora grupka mężczyzn ze wzrokiem wbitym w nadchodzących.

- Ja. Jestem praworeczna.

Ojej, ojej! Kiedy tak szła tuż obok niego, wydało jej się, że jest drobną istotką. Nawet pantofelki na podwyższonym obcasie nie zdołały zmienić sytuacji: spiętrzona fryzura sięgała czubkiem zaledwie ponad jego bark. Nigdy przedtem nie spotkała mężczyzny, przy którym czułaby się mała.

Kibice obserwowali, jak Niedźwiedź ostentacyjnie przedstawia przeciwniczkę Benowi Dare'owi, który miał sędziować ich zapasom.

- Panna Klaus i ja poznaliśmy się już - rzekł pan Dare i posłał jej uśmiech, a na widok fikuśnych loków i ozdobionych brylantami uszu Clary brwi wystrzeliły mu aż pod linię włosów.

Juliette będzie nie lada zgorszona, kiedy się dowie, że Benjamin Dare sędziował na tych zawodach! Cóż, Clara nie była temu winna. Pan Dare grzecznie podsunął jej krzesło. Usiadła tak, że od krzesła przeciwnika dzielił ją róg stołu.

- Niedźwiedziu, do dzieła! Szczejniesz ze wstydu, jeśli ona cię pobije! - rzucił ktoś z tłumy, a reszta wybuchnęła śmiechem.

Olbrzym porozumiewawczo mrugnął do Clary.

- Jestem dość duży, by umieć się pogodzić z przegraną.

Ton głosu i mrugnięcie dały jej do zrozumienia, że ani przez sekundę nie dopuszcza takiej ewentualności. Ten mecz z góry uważał za wygrany. Jasno widziała, jakie ustępstwa poczynił w stosunku do niej: nikt inny nie został zwolniony z opłaty wstępnej, nikogo nie przedstawiono sędziemu, nikt przy innych rogach nie wyjaśniał zasad walki - zawodnicy po prostu siadali i brali się do dzieła.

- Zasady? Jakie zasady? - zapytała Benjamina Dare'a. - Walka na ręce nie wymaga żadnych reguł.

- Może pani oprzeć łokieć na tej książce. - Sędzia kiwnął głową w kierunku opasłego tomu. - W ten sposób pani ręka znajdzie się na tym samym poziomie, co ramię Barretta. Nie wolno pani jednak oderwać łokcia nawet na centymetr.

Clara pomyślała z pogardą, że o tym wie każdy, kto ma choć najbledsze pojęcie o walce na ręce, ale nie odezwała się, tylko skrzyżowała nogi, tak że spódnica zadarła się, odsłaniając czarną pończoszkę. Sama uznała, że ma smukłą, miłą dla oka kostkę. Obok masywnej goleni Niedźwiedzia jej stopka w pantofelku z różyczką wyglądała iście filigranowo. Jak się

spodziewała, jej przeciwnik odruchowo zerknął w dół. Szybko podniósł oczy, w których ujrzała oczekiwany wyraz, jaki pojawia się w oczach mężczyzny, który ujrzał zakazaną część kobiecego ciała i widzi, że owa kobieta o tym wie i że jest świadoma jego pragnienia, by zerknąć tam ponownie. Było w tym spojrzeniu poczucie winy i zaskoczenie, przyjemność i zażenowanie, zaprawione ekstatycznym triumfem, że udało się zapuścić żurawia w zawzięcie przed nim chronione tajniki kobiecego piękna.

- No, dobra, cofnijcie się! - zarządził Ben Dare, zwracając się do kibiców. - Dajcie zawodnikom trochę przestrzeni, żeby się mogli skoncentrować, bo teraz trudno im nawet oddychać! - Jedynie na pokaz odgrywał rolę sumiennego sędziego, gdyż nikt nie brał osobliwego pojedynku na tyle poważnie, by obstawiać wygraną. Pan Dare skinął zawodnikom głową. -Wszystko gotowe, możecie zaczynać!

Clara wyciągnęła okryte narzutką ramię i umieściła łokieć na opasłym słowniku. Obawiała się, że jej palce utoną zupełnie w masywnej pięści Niedźwiedzia, ale miała stosunkowo szerokie dłonie i różnica okazała się nie tak wielka.

Jego dłoń była ciepła i jędrna w dotyku. Tam, gdzie ich pięści stykały się w nadgarstkach, poczuła szybko bijący puls. Podwinął rękawy koszuli i meszek na obnażonych ramionach zapłonął w świetle wiszącej nad stołem żarówki jak fascynująca, matowa złota zbroja. Clare dobiegła woń, stanowiąca mieszaninę męskich zapachów: wykrochmalonego kołnierzyka koszuli, mydła, dobrze wyprawionej skóry, dymu z cygara i przyjemnie łaskoczącej nos brylantyny. Co prawda

mogłaby przysiąc, że pan Barrett nie musi namaszczać włosów, mając z natury lśniąca czuprynę. Podniosła wzrok i ujrzała jego oczy niecałe piętnaście centymetrów od swoich.

- Cóż to za perfum pani używa? - spytał dudniącym basem.

- To oryginalna niemiecka Woda Kolońska Hoyta - odrzekła z dumą, gdyż ta część przybrania stanowiła jej własność. Jean Jacques zaklinał się niegdyś, iż zapach wody kolońskiej doprowadza go do szaleństwa, tak silne budzi w nim pożądanie. Błyskawicznie zanalizowała błysk w oczach Niedźwiedzia i doszła do wniosku, że woń oddziałuje podobnie na innych mężczyzn. Tym lepiej!

Z tej bliskości dostrzegała złotawe iskierki w niedźwiedzim brzoju tęczówek. Mogła bez przeszkód podziwiać gęste złotawe rzęsy. Przeciwnik wpatrywał się w nią z natężeniem, a na skroniach zauważyła kropelki potu. Miała wrażenie, iż wczytuje się w jego myśli i wczuwa w jego doznania, które, jak pełna nadziei mniemała, koncentrują się na smukłych kostkach, żyłce pulsującej na nadgarstku, roziskrzonych kolczykach, kołyszących się na wysokości kształtnych kości policzkowych, i na upojnej woni wody kolońskiej, której producent zapewniał, że doprowadza mężczyzn do oblędu.

- Gotowi? - spytał pan Dare.

- Właściwie to jeszcze nie - zatrzymała go Clara, wypuściła dłoń Niedźwiedzia i odchyliła się na krześle. - Tu jest tak strasznie duszno, że zrobiło mi się za gorąco - pociągnęła wstażkę przy kołnierzu płaszcza i uśmiechnęła się do Bena Dare'a. - Czy byłby pan tak uprzejmy...

- Z najwyższą przyjemnością! - Ben zdjął jej narzutkę z ramion. Przez tłumek kibiców przebiegł szmer przypominający syczenie pary ze zbyt przegrzanego kotła, po czym zapadła pełna napięcia cisza. Niedźwiedź wybałuszył oczy. Szczeka mu opadła i nie próbował nawet ukryć kierunku zniewolonego spojrzenia. Wszystkie trzy panie spędziły poprzedni wieczór na fastrygowaniu i przycinaniu, a rezultatem był tak nieprzyzwoicie głęboki dekolc, że jego rąbek niemal ocierał się o wsparte gorsetem sutki. Sama Clara miała wrażenie, że - wydane na żer zachłanne spojrzenia - ze stanika wyzierają całe akry jasnej skóry. A cerę miała nieskazitelnie gładką, kuszącą jak pokryta meszkiem powierzchnia dorodnej brzoskwini. Pod nią zaś okrągłe piersi, które jakby błagały, by ktoś je gładził i całował. Jean Jacques powtarzał jej to nie raz, lecz ze sto razy! Pochyliła się ku przeciwnikowi, odsłaniając jego spojrzeniu pełnię wdzięków, i ponownie oparła łokieć na książce. Otoczyła dłonią palce, które sflaczały, jakby miał rękę pozbawioną nagle kości.

- Och... mój... Boże - wykrztusił ochryłym szeptem ze wzrokiem utkwionym w jej dekolcie.

Sama przyznała, że widok był olśniewający. Dobry Bóg dał jej wspaniałe biust, by wynagrodzić zbyt rozłożyste biodra. Clara skinęła głową sędziemu i odezwała się ugrzecznionym głosikiem:

- Jesteśmy gotowi!

Ben z wysiłkiem oderwał wzrok od jej piersi, sprawdził prawidłowe ustawienie łokci i przełknął ślinę.

- Do startu...

Oszołomiony Niedźwiedź zamrugał i wyprężył przegub.

- Walka się zaczyna?

- Za chwilę - szepnęła Clara i zatrzepotała uwodzicielsko rzęsami.

- ...gotowi...

- Te perfumy... i te... ja niemal...

- ...start!

Clara ścisnęła dłoń przeciwnika ze wszystkich sił. Pochylili się ku sobie nad sękatym blatem, każde wpatrzone z napięciem w oczy drugiego. Clara powoli, rozmyślnie wysunęła koniuszek języka i zwilżyła rozchylone wargi. Niedźwiedź ze zduszonym świstem wciągnął powietrze. Ze skroni oderwała się kropelka potu i zaczęła spływać w dół. Lecz Clara jeszcze z nim nie skończyła! Zaczerpnęła głęboko powietrza, aż piersi się uniosły do góry i widocznie napęczniały. Niedźwiedź przywiedziony do granic wytrzymałości, opuścił wzrok prosto na niewiarygodny dekollet.

I tu go miała! Wyczekała właśnie tej chwili, by gwałtownym ruchem przyprzeć jego przedramię do stołu i przytrzymać, aż podniósł na nią oczy. Ich brązowy płomień sprawił, że jej policzki ogarnął rumieniec. Poczula mrowienie w takich zakątkach ciała, jakich przyzwoita kobieta nawet czuć nie powinna! Tkwili nieruchomo, niemal dotykając się nosami, wpatrzeni w siebie. Żadne nie drgnęło, by rozdzielić splecione palce.

Kiedy jakiś czas później Clara próbowała sobie przypomnieć tamtą chwilę, przemknęło jej przez głowę, że kibice prawdopodobnie ryczeli, choć ona nie słyszała żadnych

odgłosów z wyjątkiem szumu wzburzonej kiwi, gdy ona i Niedźwiedź pochylali się ku sobie, przywodząc twarze tak blisko, że wzajemnie czuli ciepło swoich zdyszanych oddechów. Jakby byli sami, uwięzieni w bańce zapachów i spojrzeń, gorąca i krwi pulsującej w przegubach, tam gdzie stykały się ich ręce. On pochłaniał ją namiętnym spojrzeniem, a ona nie pozostawała mu dłużna.

Niech się niebiosa nade mną zmiłują... - pomyślała. Gdyby w tej chwili do sali wkroczył Jean Jacques, nie poświęciłaby mu nawet jednego przelotnego spojrzenia.

- Na litość boską, zdejmij z siebie tę suknię! Jesteś właściwie naga! - syknęła Juliette, podczas gdy Clara, licząc, kładła na jej wyciągniętą dłoń osiemdziesiąt dolarów. Podług jej triumfalnego sprawozdania dodatkowe pieniądze pochodziły z zakładów, które robiła w czasie swoich kolejnych meczów. - Wciąż nie mogę uwierzyć, że zdecydowałaś się pokazać tak całemu tłumowi mężczyzn. To... nieprzyzwoite!

- Ale praktyczne. Trzeba robić to, co konieczne, a nie zaprzeczysz, że wygrałam turniej. - Zaczęła jeszcze raz od początku relacjonować przebieg wydarzeń: jak po zwycięstwie z Niedźwiedziem przygoździła do stołu pięciu następnym przeciwników, wygrywając każdy pojedynek w niespełna pół minuty.

- To doprawdy nieprzyzwoite - przerwała jej leżąca na koi Zoe, wyciągając dłoń po swoją działkę, i uśmiechnęła się słabo. - I niezwykle sprytne.

Juliette wetknęła banknoty do torebki. Clara zostawiła ją na cały ranek przy Zoe, więc teraz nie pragnęła niczego innego, jak uciec z zatechłego odoru maleńkiej kajuty na świeże powietrze. Spojrzała na ciemne smugi zmęczenia pod oczami, widoczne w mętным odbiciu w lustrze, naprędce nasadziła kapelusz i wzięła od Clary płaszcz.

- Jej wysokość jest dzisiaj w wyjątkowo złym humorze - ostrzegła. Zadziwiła ją, że potrafiła tak niegrzecznie wyrażać się o Zoe. Ale dzieląc przez trzy niekończące się tygodnie ciasną kwatere, przestały być sobie obce i zarzuciły pozory uprzejmości.

- Do jasnej cholery! Sama nie miałabyś lepszego, gdybyś umierała!

Juliette zazgrzytała zębami. Ta dziewczyna wyrastała w otoczeniu sześciu nieokrzesanych chłopaków i przejęła od nich wiele nieznośnych manier. Przez chwilę rozważała, czyby nie wytknąć rywalce niestosowności, jaką jest używanie przekleństw, ale zrezygnowała, wiedząc, że wszelkie napomnienia byłyby jak groch o ścianę. Obrzuciła tylko swoje towarzyszki wściekłym spojrzeniem i majestatycznym krokiem opuściła kajutę. Świeże powietrze na pokładzie pachniało i smakowało niczym ambrozja.

Na widok panoramy stanęła zdumiona. Najbardziej zaskoczyły ją góry, choć wiedziała, że potężny łańcuch wznosi się u wybrzeża Alaski. Nawet wtedy, gdy kupowała ciepłą wełnianą bieliznę, nie potrafiła sobie wyobrazić śniegu i mrozu. Cóż, dzisiaj miała okazję po raz pierwszy zobaczyć biel śniegu, a mroźne powietrze szczypało ją w policzki, aż poróżowiały.

Nagle jej spojrzenie padło na Bena Dare'a, który opierał się o reling niedaleko drzwi schodni, jakby czekając na jej przyjście. Po jej krzyżu przebiegł przelotny dreszcz zadowolenia, zaprawiony poczuciem winy.

Dzięki Bogu, że jutro skończy się rejs, a wraz z nim nadmierna przyjemność, jaką dawało jej towarzystwo pana Dare'a! Oboje pójda swoimi ścieżkami, a ona nie będzie musiała więcej spędzać bezsennych nocy, wysłuchując napomnień ciotki Kibble i pouczeń matki o niebezpieczeństwach, jakie grożą męzatkom, spędzającym niepotrzebnie czas z przystojnymi, czarującymi młodymi męzczyznami. Ciotka Kibble mruczała coś o igraniu z ogniem. Matka przypominała jej do znudzenia, że szanująca się dama gotowa jest raczej umrzeć męczeńską śmiercią, niż się narazić na najlżejsze podejrzenie o niestosowne zachowanie.

- Dzień dobry, panno March! - Zdjął kapelusz i ukłonił jej się z uśmiechem. - Czyż nie piękne popołudnie? Udaje się pani na przechadzkę? Czy mogę ofiarować pani swoje towarzystwo?

Nawet nie próbowała udawać, że się zastanawia; bezwstydnie wyraziła natychmiastową zgodę. W duchu miała nadzieję, że nie naraża się na powolną i bolesną śmierć.

Uśmiech na twarzy pana Dare'a pogłębił się jeszcze.

- Wie pani już zapewne o zwycięstwie panny Klaus w turnieju? Nowina rozchodzi się błyskawicznie i zamienia w legendę.

Poczuła płomień na policzkach. Głęboko pożałowała, że pomogła swej towarzyszyce przerobić stanik sukni.

- Cóż za wspaniały dzień - zmieniła temat. Nie zamierzała zepsuć ostatniego spotkania z panem Dare'em, wysłuchując, jak komentuje niestosowne wybryki Clary!

- Więc rejs dobiega końca. Czy pani zatrzyma się w Dyea, czy podaży dalej?

- Jedziemy do Dawson City. - Powietrze istotnie orzeźwiało i upajało. Z drugiej strony zawsze się tak czuła, gdy rozmawiała z tym mężczyzną. Serce biło jej szybciej, uśmiech częściej pojawiał się na twarzy. A kiedy siedziała w dusznej kajucie z wymiotującą Zoe, przebiegała w pamięci każde słowo rozmów z panem Dare'em i to pomagało jej przetrwać uciążliwy dyżur. Ponadto jego admiracja leczyła rany, jakie jej dumie zadała zdrada Jeana Jacques'a.

- Z pewnością nie musi pani szukać tam fortuny - rzekł jej towarzysz żartobliwym głosem. - W Dyea dołączają panie do większej kompanii?

- Nikt na nas nie czeka.

Zatrzymał się raptownie i odwrócił ku niej z zatroskaną twarzą.

- Chcą panie samotnie pokonać szlak do Klondike?

Na widok marsa na jego czole w duszy Juliette zakiełkowało ziarenko przerażenia.

- Czemu to pana tak dziwi? - spytała, widząc, że jej towarzysz poważnieje coraz bardziej.

- Czy ktoś objaśniał paniom szlak z Dyea do Dawson?

- Mówiono nam, że to uciążliwa wyprawa.

- Tak to można ująć...

Na krótką chwilę oderwała uwagę od tematu rozmowy, rozważając, jaką właściwie barwę mają tęczęwki jego oczu. Początkowo skłonna była przyrównać ją do intensywnego błękitu ostróżek, lecz teraz pociemniały, odcinając się ostro od ogorzalej od morskiego słońca twarzy. Kiedy się odezwał, jego głos utracił beztroskę i nabrał pewnej szorstkości, której aż do dziś nie zauważyła.

- Czy panie wiedzą, że cały szlak trzeba przejść piechotą, przenosząc bagaże na własnych plecach?

- Nie będziemy szły, tylko wynajmiemy powóz. Zauważyła, że jego zarost staje się coraz gęstszy i dłuższy.

Kiedy raz w kajucie rzuciła uwagę, iż broda znamionuje męskość i żywotność, Zoe zrobiła zgorzsną minę. O takich rzeczach nie powinna myśleć przyzwoita kobieta - szczególnie, gdy ów mężczyzna stał tuż obok. Mimo to...

- Do diabła! - Ujął jej ramię i podprowadził do relingu, a ona zdała sobie sprawę, że pierwszy raz jej dotknął. Zaskoczona, spojrzała na swoje ramię, i zmarszczyła czoło, jakby oczekiwała zobaczyć na nim ślady gorącego mrowienia, które przebiegło jej rękę od palców po bark. Jak to możliwe, by pod zwykłym dotknięciem nerwy ramienia zdawały się nabierać własnego życia i napierać na skórę, jakby chciały się przebić na powierzchnię? Nie przypominała sobie takiej reakcji, gdy jej dotykał Jean Jacques.

Już stali przy relingu, gdy Ben zorientował się, że wciąż trzyma jej ramię, i natychmiast opuścił dłoń. Juliette uświadomiła sobie, że najwyższa pora, by się rozstali. Ten

mężczyzna był niebezpieczny, a ona zaczynała za bardzo go lubić.

- Panno March... na szlaku do Klondike nie ma powozów, pociągu ani dylizansu. Przełęcz Chilkoot nie da się przejechać nawet konno.

Alarmujące słowa oderwały jej uwagę od ust mężczyzny. Spojrzała oczami rozszerzonymi z niedowierzania.

- Jeśli to prawda, to w jaki sposób ludzie transportują bagaże przez przełęcz do Dawson?

- Na własnych plecach... Zaśmiała się.

- Ekwipunek i zapasy? To przecież całe setki kilogramów!

- Zabiera się naraz tyle, ile człowiek może unieść, i idzie tak daleko, jak się da. Potem trzeba wrócić po następny ładunek i jeszcze raz, aż po ostatnie pakunki. Później wszystko zaczyna się od początku. W ten sposób każdy odcinek szlaku przebywa się z dziesięć razy albo i więcej.

Uśmiech spełznął z warg Juliette.

- Ależ to będzie trwać wiecznie!

- Kilka miesięcy, jeśli się haruje bez dnia odpoczynku - rzekł. - Dlatego przyjąłem, że panie wyruszą w większym towarzystwie, gdyż w ten sposób można zmniejszyć ilość rzeczy, które służą całej grupie. No i można wtedy zabrać sanie i psy. - W jego oczach pojawiła się troska. - Czy są panie świadome, że grozi im przymusowe zimowanie nad Jeziorem Bennetta? To zaś oznacza mieszkanie w namiocie. - Nie spuszczał z niej oczu.

Juliette dosłownie zatkało. Podniosła dłoń do ust.

- Miałabym całą zimę spędzić w namiocie? - Głos ją zawiódł, przechodząc w przerażony skrzek. Już dość okropna była wizja spędzania dni pod gołym niebem, ale w zimie... Tego nie potrafiła nawet sobie wyobrazić, a biorąc pod uwagę to, co usłyszała o minusowych temperaturach, nie spodziewała się, by mogła zasmakować w pionierskim życiu.

To nie była przyjemna rozmowa. Nie spodobało jej się ani to, co mówi pan Dare, ani obrazy, które jego słowa przywołują.

- Niektórzy czekają, aż rzeka zamarźnie, potem wyruszają lodem z psim zaprzęgiem - powiedział powoli. - Inni wybierają podróż wiosną, kiedy kra spłynie i można płynąć łodzią. Oba warianty mają swoje wady i zalety.

Juliette w żadnej z tych propozycji nie mogła dopatrzeć się zalet. Poczula pierwsze ukłucia migreny, która zawsze sygnalizowała konieczność dokonania nieprzyjemnego wyboru. Zaczęła skubać palcami rękawiczki.

- Wiele mi pan dał do myślenia - odezwała się wreszcie słabym głosem. Zoe co prawda usiłowała je przekonać, że na Alasce nie ma powozów, lecz ona i Clara nie chciały dać wiary, by ta mroźna kraina okazała się tak mało cywilizowana. Biorąc pod uwagę, iż Zoe stykała się z mężczyznami, którzy dopiero wyruszali do Klondike, a nie z takimi, którzy stamtąd wrócili, powtarzały sobie, że dziewczyna nie może wiedzieć wszystkiego. Zoe umiała po prostu mówić takim tonem, że jej słowa nabierały wagi autorytetu. Juliette pomyślała, że gdyby znały wszystkie trudności, o których przed chwilą opowiedział jej pan Dare, żadna z pań Villette nie wytknęłaby nosa z Seattle. Te przeszkody były wszak nie do pokonania dla kobiety!

Nagle poczuła, że zbiera się jej na płacz. Raz czy dwa, rozmyślając o nadchodzącej wyprawie, z euforią widziała siebie jako nieustraszoną podróżniczkę, która stawia czoło wrogiej krainie, by dotrzeć do politowania godnego małżonka, który zszedł na manowce. Podobał jej się ten obraz. Teraz dyszała ciężko, zdając sobie sprawę z jego absurdalności. Alaska pobiła ją zanim jeszcze postawiła stopę na brzegu!

- Czy są tacy, którzy zawracają na wieść o tych przeszkodach? - szepnęła.

- „Annasett” nie wróci do Seattle bez pasażerów - zapewnił ją i machnął dłonią w stronę mesy. - Niektórzy już teraz przebakują o powrocie!

- Rozumiem... - I ona będzie na pokładzie, gdy ten statek wyruszy w powrotny rejs. Wszystko, co osiągnęła, to wycieczka u schyłku lata, spędzona w ciasnej, cuchnącej kajucie w towarzystwie dwóch kobiet, które jak i ona wołałyby się nigdy nie spotkać.

Musiała im przekazać świeżo usłyszane nowiny.

- Pan wybaczy - mruknęła, czując, jak pilną misję ma do spełnienia. - Muszę pomówić z moimi towarzyszkami.

To nie było sprawiedliwe! Przez dwa dni niemal każdą chwilę spędzała, układając gorzko-słodkie słowa ostatecznego pożegnania i wyobrażając sobie, co też od niego usłyszy. A teraz wszystko, o czym potrafiła myśleć, to przerażająca wieść, że będą musiały dźwigać bagaże na własnych barkach!

Błyskawicznie przeliczyła w myślach: siedemset mil z Dyea do Dawson, a trzeba będzie każdy krok powtórzyć dziesięciokrotnie, transportując zapasy, co oznaczało, że

wyruszają na wyprawę o długości siedmiu tysięcy mil! Szok zaokrąglił jej oczy. Pomyślała o Zoe i pierwszy raz w życiu zrozumiała pojęcie zbrodni w afekcie. Z wielką rozkoszą rzuciłaby się na tę dziewczuchę i ją zadusiła! Nie powinna nawet przez chwilę jej słuchać ani zgodzić się brać udział w tej bezcelowej wyprawie.

- Muszę iść - rzuciła, mruganiem usiłując odpędzić łzy i rozebrać mgłę bólu za oczami. - Ta znajomość... było mi miło...
- Zaniechała pożegnalnych formułek, a nie znajdując słów, dzięki którym mogłaby pozostać w jego pamięci, odwróciła się z szelestem spódnic i ruszyła przed siebie.

Kiedy pędzelkowate kępki puchu, zdobiące kapelusik panny March, zniknęły w otchłani schodni, Ben zmarszczył czoło, zapalił cygaro i odwróciwszy się twarzą do morza, utkwił wzrok w coraz bliższej linii brzegu.

Instynkt go nie zawiódł - ta kobieta nie miała najmniejszego pojęcia o trudnościach, jakie na nią czekały na szlaku. Nie po raz pierwszy zadał sobie pytanie, czemu w ogóle wyruszyła do Dawson.

Była niezwykle interesująca. Od pierwszej chwili, gdy ją ujrzał, wpadła mu w oko smukła figurka i patrycjuszowska postawa. Podziwiał jej wyczucie stylu i ruchy, świadczące o tym, iż otrzymała staranne wychowanie. Wiedział, że prowadziła dotychczas bezpieczne życie uprzywilejowanej istoty, chronionej przed surowymi realiami tego świata. I oto znalazła się w miejscu, do którego docierało niewiele pań z jej sfery.

Nie miała u swego boku krewnego płci męskiej, który by ją otaczał opieką, a przecież ktoś musiał ją uprzedzić, czego ma się spodziewać - lub zgoła powstrzymać od wyruszenia na karkołomną wyprawę. Teraz, gdy wszystko jej wyjaśnił, porzuci szaleńczy zamiar i wróci do Seattle... Z drugiej jednak strony nie było to zupełnie pewne. W Parku Yeslera też robiła wrażenie osoby, która nie z własnej chęci tam się znalazła, która lada chwila zerwie się z ławki i ucieknie od dwóch pozostałych kobiet - panien Wilder i Klaus, jak się okazało. Lecz nie zrobiła tego. To samo dziwne zachowanie zauważył przed sklepem Wildera: dreptała wokół stosu pakunków zrzuconych na chodnik, wykręcała dłonie i krzywiła twarz w grymasie świadczącym o rozpaczliwej niechęci do swoich planów. A mimo to nie zrezygnowała z nich. Na pokładzie powtarzała wciąż: „Nie mogę tam wrócić”, mając na myśli kajutę, w której się gnieździły, i chorą pannę Wilder; a przecież za każdym razem wracała do ciasnoty kłitki i obowiązków pielęgniarki.

Panna March sama się nie doceniała. Podejrzewał, że jej opór przed każdym nowym wyzwaniem rodzi się z niewiary w powodzenie; albo też cel, który sobie stawiała, napępiał ją obawą czy troską. Potem jednak prostowała rezolutnie ramiona i brała się do dzieła. Właśnie dlatego nie potrafił przewidzieć, czy zawróci do Seattle, czy też porwie się jednak wraz z towarzyszkami na zdobycie przełęczy Chilkoot.

One też stanowiły tajemnicę. Nie pojmował charakteru więzi, jaka ich łączyła. Panna March nie raczyła mu nic wyjaśnić. Raz, gdy panna Wilder zdołała zwlec się z koi i wdrapać na pokład, pilnie studiował rysy jej twarzy,

doszukując się rodzinnego podobieństwa, ale na próżno. Nie łączyły ich też podobne zainteresowania czy usposobienie. Panna Klaus, ku jego wielkiemu zaskoczeniu, przystąpiła do turnieju zapaśniczego i go wygrała! Juliette nigdy w życiu by tak nie postąpiła.

Oczywiście, znał wszystkie panie przelotnie i zapewne bardzo powierzchownie, lecz uderzyło go to, że każda z nich podróżuje z różnych powodów. Panna Wilder postanowiła dotrzeć do Dawson dla załatwienia jakiejś mrocznej sprawy osobistej natury, podczas gdy panna Klaus oświadczała wesoło, że jak wszyscy inni jedzie tam na poszukiwanie fortuny. Nie miał pojęcia, po co wyprawiła się Juliette. Zmarszczył czoło, stracił niedopałek w fale i zamyslił się głęboko. Czy ona zdaje sobie sprawę, jaką jest zagadkową zajmującą i zabawną, pełną sprzeczności istotą? Nagle z bezmiernym zaskoczeniem uświadomił sobie, że gorąco chciałby się przekonać, czy jej włosy są tak miękkie, na jakie wyglądają...

Niech to diabli! Nie był gotów na to, by w jego życiu znowu pojawiła się kobieta.

- Ja nie wracam do Seattle! - Stanowczy ton Zoe dorównywał determinacji na jej twarzy, gdy wpatrywała się w swoje odbicie w zmętniałym lustrze nad prowizoryczną toaletką.

- Przysięgam, że już nigdy nie postawię stopy na pokładzie żadnego statku! Jeśli nie istnieje powrotna droga lądem, zostanę na Alasce do śmierci.

W pierwszej chwili nie rozpoznała samej siebie - z lustra patrzyła na nią ściągnięta twarz o policzkach zapadniętych tak, że kości aż sterczały pod napiętą skórą. Chudość podkreślała ciemne półksiężyce pod oczami, które wyglądały, jakby ktoś podbił je pięścią. Wargi miała blade i spierzchnięte, a gdy włożyła kapelusz, poczuła pod palcami wiotkie i suche kosmyki włosów. Na domiar złego w czasie rejsu straciła na wadze i teraz suknie wisały na niej, jakby odziedziczyła je po kobiecie o dużo pełniejszej figurze. Wyglądała sto lat starszej niż trzy tygodnie temu, kiedy wyruszała w tę piekielną podróż.

Clara wcisnęła do swojej torby ich wspólne szczypcy do fryzowania włosów, wstała i otrzepała dłonie.

- Słabo mi się robi, gdy słyszę zewsząd, że nie uda nam się przedostać do Dawson City! Przed nami wyruszyło już wielu ludzi i dotarło do celu. Czemu więc nie my?

Juliette, która jako pierwsza ubrała się i przygotowała do opuszczenia statku, siedziała na polowym łóżku, załamując rękę.

- Jak mam was przekonać? Widocznie niedostatecznie jasno tłumaczę wszystkie niebezpieczeństwa i pułapki szlaku.

- Wyjaśniłaś wszystko aż za dobrze. - Zoe nie odrywała oczu od żalostnej twarzy w lustrze. - Od wczorajszego popołudnia nie robisz nic innego. Nawet w nocy nie dałaś nam spać, a kiedy się zbudziłaś, podjęłaś tę samą śpiewkę.

Gdyby nie czuła się tak słaba, o krok od śmierci, z rozkoszą wcisnęłaby rywalce szalik do gardła. Wykrzywiła się szpetnie do lustra i odwróciła do Clary.

- Niechętnie proszę o jeszcze jedną grzeczność, ale próbowałam i okazało się, że jestem zbyt słaba. Czy mogłabyś ponieść moją torbę na górę?

- Skoro muszę... - Clara zwróciła się do Juliette: - Masz zamiar zejść ze statku czy zostajesz na pokładzie i wrócisz do Seattle, kiedy „Annasett” wyruszy w powrotny rejs?

Zoe poznała już swoje towarzyszki dostatecznie dobrze, by móc przewidzieć, co zrobi Juliette. Razem z nimi wsiądzie na barcę, która przewoziła pasażerów na nadbrzeże, zaklinając się, że powróci na „Annasett” przed odpłynięciem statku, ale w końcu, po wielu żalostnych gierkach, postanowi wyruszyć razem z nimi do Dawson: oczywiście nie obędzie się bez jęków i biadolenia, wyrzekania i załamywania rąk na każdym kroku i tak uciążliwej drogi. Zwróciła gniewne spojrzenie na polowe łóżko, gdzie siedziała Juliette.

- Jeśli zdecydujesz się iść do Dawson, lepiej pamiętaj, żebyś nie wycofała się w pół drogi! Musisz przejść cały szlak. Nie mam zamiaru odprowadzać cię do Dyea, kiedy się załamiesz. Jeśli wytniesz taki numer, zostawię cię po prostu na szlaku i pójdę dalej.

Juliette zeszytniała i przybrała chłodny wyraz twarzy.

- Cóż! Twoja wdzięczność mnie oszłamia. Słyszac, że mnie zostawisz w potrzebie, czuję się niezmiernie szczęśliwa, że trzy tygodnie spędziłam, sprząając wymiociny, wynosząc kubły nieczystości, pielęgnując cię, karmiąc i myjąc jak niańka.

- Obie aż piszczycie, bym się wam odwdzięczyła, wysługując się i płaszcząc do końca życia, co? Ile jeszcze razy mam wam dziękować?

- Byłoby całkiem miło, gdybyś zrobiła to raz - wtrąciła Clara, patrząc dziewczynie prosto w oczy.

Normalnie Zoe wyklócałaby się i odszczekiwała, aż wyszłaby z potyczki zwycięsko i z poczuciem triumfu, ale była zbyt osłabiona, żeby stawiać rywalkom czoło. Ten przeklęty statek, nawet zakotwiczony na redzie, kołysał się i kiwał, a ona czuła się zaledwie odrobinę lepiej niż na pełnym morzu. Marzenie o stałym ładzie pod stopą szarpało jej trzewia, nie dając myśleć o czymkolwiek innym, jakby tęskniła za brakującym członkiem ciała.

- No, dobrze - wycedziła przez zaciśnięte zęby. - Dziękuję, żeście się mną zaopiekowały, kiedy umierałam. Jestem pewna, że już wam to mówiłam, ale teraz mówię jeszcze raz i więcej nie mam zamiaru się powtarzać.

W gruncie rzeczy szczerze doceniała wszystko, co dla niej zrobiły. W głębi duszy była pewna, że gdyby nie ich opieka, dawno by umarła. Ale nie będzie się płaszczyc i krygować przed nimi, tak jak nie czyniłaby tego przed nikim innym na świecie! Rozejrzała się, by sprawdzić, czy czegoś nie zapomniała, po czym podniosła głowę i powłócząc nogami, wyszła z kajuty, ufając, że Clara zajmie się jej bagażem. Gdy tylko znalazła się

na pokładzie, owionęło ją mroźne powietrze. Unikała spojrzenia na deski pod nogami, pewna, że na widok przechyłu ulegnie atakowi mdłości i dozna upokorzenia, wymiotując na oczach mężczyzn tłoczących się do trapu. Właściwie wcale się nie dziwiła, że się na nią gapią. Clara mówiła jej, że w oczach pasażerów statku uchodzi za tajemniczą istotę, którą niewielu widziało od czasu, gdy weszli na pokład w Seattle.

Zanim z luku wynurzyła się Clara objuczona torbami, swoimi i Zoe, chora miała czoło mokre od potu i przełykała spazmatycznie ślinę. Stopniowo ogarniała ją rozpacz. Musiała zejść ze statku, i to natychmiast! Ale przed nią na przeprawę barką czekała długa kolejka mężczyzn... Wtedy właśnie pojawił się Niedźwiedź Barrett: złocisty olbrzym spieszący z pomocą. Wyjął bagaże z rąk Clary, podszedł do czoła kolejki i odepchnął pasażera, który właśnie stawiał nogę na trapie zwisającym wzdłuż burty.

- Te damy płyną pierwsze - oznajmił, nie zważając na wściekłe łypnięcia czekających. Mrugnął do Zoe. - Za dziesięć minut będzie się pani czuła jak nowo narodzona!

Ku jej bezmiernej uldze, nikt nie odważył się sprzeciwić. Usłyszała kilka mruknięć pod nosem, ale linia mężczyzn cofnęła się posłusznie, a Niedźwiedź wsunął poręcz trapu w jej dłoń. Na dole inny mężczyzna chwycił ją w pól i postawił na dnie łodzi.

Maleńka barka kołysała się i podskakiwała na falach tak gwałtownie, że Zoe nie wytrzymała. Wyjąkała ostatkiem sił:

- Przepraszam... - Przechyliła się za burtę i poddała upokarzającej słabości. Boże, czy to się nigdy nie skończy?

Kiedy się wyprostowała, Juliette wsunęła jej chusteczkę w dłoń, by Zoe miała w co wytrzeć usta.

- Więc jednak postanowiłaś jechać z nami! - Dziewczyna nie czuła się specjalnie uradowana faktem, że trafnie odgadła.

- Ostatecznie mogę zwiedzić Dyea, zanim wrócę do Seattle.

- Spójrzcie tylko na te góry! - wykrzyknęła Clara, gdy barka odbiła od statku i skierowała się w stronę kamienistej plaży.

Zoe jęknęła i zacisnęła oczy, ale zdążyła przedtem spostrzec szereg białych namiotów tworzących pierścień wokół naprędce skleconej osady. Pod zbitymi z desek szopami próżno było szukać śladów pierwotnej indiańskiej wioski rybackiej. Zwieńczone śniegiem góry, które przyciągnęły uwagę Clary i wyrwały jej z ust okrzyk zachwytu, wyrastały wprost z dna doliny, ale tego Zoe już nie widziała ani jej to nie obchodziło.

Przeprawa wlokła się w nieskończoność. I wreszcie, Bogu dzięki, jakiś mężczyzna pomógł jej wysiąść i w lodowatej wodzie do pół łydki zaczęła brodzić do brzegu. Była tak wdzięczna, że dotarła na ląd, iż nie obeszła jej przymusowa kąpiel, o której nikt ich nie uprzedzał. Kiedy stanęła na kamienistej plaży, opuściła fałdy spódnicy i zamknęła oczy. Woda ściekała strumyczkami z jej butów.

Błogosławiony bezruch sprawił, że żołądek przestał się buntować, a mózg objąć po czasie jak pijany. Nogi trzęsły się pod nią, kolana uginały, ale tylko wskutek długiej choroby.

W trzewiach nic już nie chlupotało, wirowało, kolebało się czy ześlizgiwało... Poczowała łyzy w oczach i chęć, by osunawszy się na kolana, całować nieruchomą ziemię.

- Lepiej się czujesz? - spytała Clara, stawiając torby na plaży. Podparła się rękami pod boki i spojrzała ku osadzie, która z daleka wyglądała jak chaotyczna zbieranina frontonów zbitych z surowych desek.

- To cud! - Cud, który wypełnił się błyskawicznie i całkowicie. Mroźne, rześkie powietrze z każdym oddechem dodawało Zoe nowych sił. Policzki i szyja nabrały kolorów, a z języka zniknął gorzki, metaliczny posmak. Wreszcie poczuła niebiańską pewność, że nie grozi jej już niespodziewany atak wymiotów.

- Wiedziałam, że tak będzie. Po prostu wiedziałam! - Juliette podbiegła, niemal we łzach. - Widzicie te barki? Załadowali na nie wszystkie bagaże i zrzucą je teraz prosto na brzeg, a my będziemy musiały je przenieść!

- Gdzie? - spytała Clara.

- Rozejrzyj się tylko!

Teraz dopiero Zoe zauważyła, że kręcący się dokoła mężczyźni wbijają już paliki do namiotów i jeden po drugim chwytają swoje bagaże. Na wyścigi przenosili je w głąb łądu. Stosy pakunków rosły między sterczącymi w niebo tyczkami, wyznaczając terytorium każdego nowego obozowiska. Juliette przycisnęła dłonie w rękawiczkach do skroni.

- Powiedzieli, że musimy natychmiast zabrać bagaże, zrobić miejsce na następny ładunek. Już płynie nowa barka! Zapomniałam uprzedzić, by nie wyładowywano moich rzeczy...

- Z błagalnym wyrazem oczu odwróciła się do Clary. - Nie wiem, co robić. Czy sądzisz, że pan Barrett pomoże nam przenieść pakunki?

- Sam jest zajęty swoimi. - Clara rzuciła zasepione spojrzenie w stronę Zoe. - Jeśli o ciebie chodzi, widzę sprawy jasno jak na dłoni: nie zdołasz nam pomóc. Musimy przenieść wszystko, włączając w to twoje torby.

- Wielce bym pragnęła oświadczyć, że po trzech tygodniach poważnej choroby, w której o mały włos nie umarłam, wyskoczyłam z łóżka pełna wigoru i siły. Niestety, ledwie trzymam się na nogach.

- Okropne, po prostu okropne! - jęczała Juliette. - Powinni nam przynajmniej pozwolić zrobić coś z mokrymi butami i pończochami... obrębek spódnicy też mam mokry. Tak przemarzłam, że będzie cud, jeśli nie umrę! Stopy już zamieniły mi się w bryły lodu.

Zoe klapnęła ciężko na czyjaś skrzynkę. Gdyby mogła zebrać choć trochę sił, przeniosłaby ich bagaże dalej na brzeg, ale czuła się do cna wyczerpana. Owszem, wnętrzności już nie chlupotały i się nie skręcały, ale była zbyt słaba, by ustać na nogach, a co dopiero dwadzieścia razy obracać z ciężkimi pakunkami.

- Znow będę potrzebować waszej pomocy - wykrztusiła, spoglądając spode łba na swoje towarzyszki. Prośba drogo ją kosztowała. Wilderowie nie należeli do ludzi, którzy szukali pomocy u innych czy prosili o względy i w ten sposób się od nich uzależniali. Oto jednak znowu musiała zdać się na łaskę

dwóch osób, które darzyła niechęcią jak nikogo innego w świecie!

- Och! - Juliette zgięła się w pół i podparła pod boki. - Chyba nie wiesz, o co prosisz! Jak długo jeszcze... Przecież ja nie mogę dźwigać tych...

Pierwszy raz Juliette całkowicie straciła kontrolę nad sobą. Nawet Clara popatrzyła zafascynowana, po czym wyprostowała plecy, zmrużyła oczy i zaczęła przewiercać twarz Zoe spojrzeniem.

- Przeniesienie trzech kompletów bagaży zajmie dużo czasu, zwłaszcza że jedna z nas zdoła unieść nie więcej niż kilogram naraz. - Wskazała głową na Juliette, która wciąż obracała się w kółko jak rozdrażniony bąk. - Znajdź miejsce na obozowisko. Tyle chyba zdołasz zrobić?

Jak daleko sięgnęła wzrokiem, Zoe widziała szare płachty namiotów i sterty pakunków.

- Zdołam! - syknęła.
- A jak się dowiemy, gdzie to jest?
- Jestem słaba na ciele, nie na umyśle. - Zastanawiała się przez chwilę. - Przywiążę różową chustkę na paliku, żeby oznaczyć nasze miejsce. - Tysiące palików tworzyło jednostajne morze, więc plama różowości na jednym z nich szybko zidentyfikuje właściwe obozowisko.

- Poza tym musisz zająć się kolacją - dorzuciła Clara. - Nie spiesz się, rób wszystko powoli. Ale my, kiedy skończymy robotę tragarzy, nie będziemy w nastroju do gotowania. Oczekujemy, że dasz nam jakąś strawę, a potem pewnie

padniemy ze zmęczenia. Możesz więc również pomyśleć o rozbiciu namiotu i urządzeniu obozowiska.

- Pewnie jeszcze mam ściąć drzewa, które zostały na zbocz, i zbudować dla nas chatę? - Zoe odparła atak Clary równie twardym spojrzeniem.

- Musisz tylko znaleźć miejsce i rozbić namiot. Chodź już, Juliette. Im prędzej zaczniemy i im szybciej będziemy się ruszać, tym wcześniej będziemy mogli wysuszyć buty i stopy.

Bez dalszych dyskusji podeszły do stosu skrzynek i worków, który tymczasem wyrósł na brzegu. Juliette szła koło Clary, potykając się i ślaniając na nogach. Miała wygląd kobiety, która lada chwila padnie pod wpływem szoku. Clara parła do przodu z zaciętą miną. Zoe zakłęła pod nosem i zgarbiła ramiona. Wciąż przykucnięta na czyjeś skrzyni, była jedyną istotą w ruchliwym kłębowisku, która siedziała nieruchomo. Zbierała siły, by się podnieść i wyruszyć na poszukiwanie miejsca na obozowisko. Każdy skrawek plaży w bezpośrednim sąsiedztwie był już zajęty, o czym świadczyły wszechobecne paliki. Będzie musiała przejść przynajmniej milę, zanim natrafi na wolną działkę. Pociuszające było natomiast to, że jej drżące nogi tylko raz będą musiały przemierzyć tę odległość, podczas gdy Clare i Juliette czekały tuziny nawrotów. Była jednak zbyt wyczerpana, by docenić tę łaskę losu.

- Zoe... Zoe Wilder?

Po plaży kłębiły się setki mężczyzn, nie od razu więc dostrzegła tego, który zawołał ją po imieniu, ale gdy już go odnalazła, od razu przypomniała sobie znajomą twarz. Tom Price z Newcastle! Przyjaciel Jacka, drugiego w kolejności

starszeństwa brata Zoe. Gdyby czuła się lepiej, zdobyłaby się pewnie na uśmiech na myśl, że tak daleko od Newcastle spotkała chłopaka stamtąd. Teraz jednak zastanowiła się tylko, jak zdołał ją poznać, skoro jej wygląd tak bardzo zmienił się na gorsze.

On również nie był już tym chłopcem, którego zapamiętała. Patrzyła, jak zmierza ku niej wśród krzątający się mężczyźni i stert pakunków. Uśmiechał się szeroko. Ma mniej więcej tyle lat co Jack - trzydzieści trzy. Kiedy widziała go po raz ostatni? Jakież dziesięć lat temu? Nie była pewna, gdyż zazwyczaj nie zwracała większej uwagi na hałaśliwych, kłótniowych towarzyszy braci. Nie miała z nimi nic wspólnego; nawet wtedy wiedziała już, że żaden na nic jej się nie przyda. Nie chłopak z Newcastle.

- Cóż za niespodziewane spotkanie! - Ściągnął z głowy kapelusz o szerokim rondzie i trzepnął się nim po udzie. - Czy przypłynęłaś na „Annasett”?

Jakie bzdury wygadują ludzie na widok kogoś dawno nie widzianego! Czy siedziałaby na tej skrzynce w butach i spódnicy ociekających wodą gdyby właśnie nie zeszła z pokładu tego statku?

- Czy i ty byłeś na pokładzie?

Dziwne, ale jej pamięć nie przechowała informacji, że Tom Price był ładnym chłopcem. Wyrósł w każdym razie na uderzająco przystojnego młodego człowieka. Miał mocne rysy i postawę człowieka solidnego i pewnego siebie. Spieszący tam i z powrotem mężczyźni omijali go szerokim łukiem, jakby jedno spojrzenie wystarczyło za ostrzeżenie, iż tego osobnika lepiej nie zaczepiać. Podobne wrażenie robili na otoczeniu jej bracia i

ojciec oraz większość górników z Newcastle. Należeli do ludzi, którzy ciężko harują, tego piją łatwo się obrażają i walczą zawzięcie. To się widziało już z daleka.

Tom Price podniósł obutą stopę i postawił ją na skrzyni tuż obok siedzącej dziewczyny, pochylił się do przodu i oparł ramię na udzie, przypatrując jej się z bliska.

- Nie, ja tu jestem już od kilku lat. Jack ci nie wspominał, że otworzyłem własny interes? Mam firmę załadunkową.

- Nie, nic takiego nie mówił. - Na pierwszy rzut oka zauważyła ciemną zielenią tęczówek, na drugi cień rozczarowania, który po nich przeleciał. - Na pewno zapomniał mi o tym powiedzieć. Ja mieszkam teraz w Seattle i pracuję u wuja. Gdy przyjeżdżam do domu z wizytą, tyle mamy rozmaitych rzeczy do obgadania, że nie zawsze starcza czasu na wszystkie nowiny o znajomych. Czasami w ogóle mijam się z Jackiem... Ożenił się, wiesz?

- Jack się ożenił?! - Mężczyzna rozpromienił się w uśmiechu, z którym bardziej przypominał dawnego chłopca. - Ale się zakreślił, patrzcie no! Czy wziął sobie tę dziewczynę od Snodgrassów? Mają już przychówek?

- Ożenił się z najmłodszą córką Abe'a McGrawa i mają dwuletniego syna, a koło Bożego Narodzenia oczekują następnego.

- Moja siostra wyszła za jednego z MacGrawów, ale zginął w zeszłym roku w kopalni.

- Słyszałam o tym wypadku. - Kiwnęła głową. - Mama mi opowiadała, że damy ze spółki węglowej zorganizowały

potańcówkę, żeby zebrać fundusze dla wdowy i jej dzieci... A więc to chodziło o twoją siostrę?

- Carrie mieszka teraz w Seattle i pracuje w jednym z hoteli. To twarda dziewczucha, da sobie radę! - Stanowczy komentarz niejako uświadomił mu, że Zoe siedzi na skrzyni w samym środku chaotycznej bieganiny, a sama się nie krząta. - Może ci w czymś przeszkadzam...?

- Trochę mnie wzięło na pokładzie statku - rzuciła niedbale. - Reszta towarzystwa zgodziła się przenieść nasze bagaże do obozowiska... kiedy tylko znaję na nie miejsce.

Pogodne czoło Toma zachmurzyło się przelotnie, a stopa w wysokim bucie przeniosła się ze skrzyni na ziemię.

- Słyszałem, że wyszłaś za mąż - wyrzucił z ociąganiem, starannie oddzielając słowa.

Znała Toma Price'a niemal przez całe życie. Wspomnienia napłynęły falą: jak siedzi przy ich stole, przekrzykując jej ojca i braci; jak wpada mimochodem, żeby przyłączyć się do mężczyzn Wilderów w drodze do kopalni. Przypomniała sobie mgliście, że raz pożyczył jej książkę, a innym razem pomógł latem zrywać polne kwiaty. Instynktownie poczuła chętkę, by zwierzyć mu się z wszystkich kłopotów i opowiedzieć o tym zatraconym oszuście Jeanie Jacques'u. Tom by zrozumiał, w jaki sposób dziewczyna z szarego Newcastle dała się omotać Francuzowi, który mienił się wszystkimi barwami tęczy. Ale nie rozumiałby pewnie, czemu nie otworzyła szeroko oczu i nie zadała kilku prostych pytań. Może nie powiedziałaby tego otwarcie, lecz miałby ją za naiwną frajerkę.

Co gorsza, pisząc następny list do domu, wspomniałby, że natknął się na Zoe Wilder, biedaczkę, która wyszła za bigamistę, a teraz podróżuje z pozostałymi żonami oszusta. Jakiż to byłby smakowity kąsek dla kumoszek z Newcastle! Pani Price nie oparłaby się pokusie, by przekazać plotkę dalej. Pobieglaby prosto do górniczego sklepu i w ten sposób rozgłosiła nowinę na całą osadę. Mama usłyszałaby całą historię ze szczegółami wyolbrzymionymi, może przekreconymi przez kolejne plotkarki, i przeżyłaby niemałe upokorzenie, że dowiaduje się prawdy o córce od sąsiadki, a nie od Zoe.

Dziewczyna wzięła głęboki oddech i podniosła głowę, jakby podziwiając ośnieżone wierzchołki gór okalających plażę.

- Zamierzałam wyjść za mąż... ale jakoś nie wyszło. - Bóg nie weźmie jej za złe kłamstwa, które miało na celu chronienie matki! W oczach Toma coś drgnęło.

- Nie jesteś więc mężatką...

- Nie. - To z pewnością była prawda.

- Do diabła, Zoe! Wciąż siedzisz tam, gdzie cię zostawiłyśmy! - Clara postawiła taczki, które pchała po plaży, i posłała dziewczynie gniewne spojrzenie, a Tomowi skinęła głową. - Niech mi pan wybaczy, że przeklinam, nie mam takiego zwyczaju, ale to, co się dzieje tu na plaży, przechodzi ludzkie pojęcie i nawet święty straciłby cierpliwość! - Otarła czoło. - Nikt nie działa z rozmysłem ani nie rozumie pojęcia organizacji. Mieszają wszystkie bagaże, co za bałagan!

- Gdzie Juliette? - spytała Zoe.

- Myślałby kto, że pchanie taczek to prosta rzecz, prawda? Przynajmniej na taką wygląda. Nie wiem, co robi

Juliette, ale jej taczki ciągle się przechylają i pakunki z nich spadają. Trzy razy zatrzymywałam się i pomagałam jej się przepakować! Wreszcie ją zostawiłam, żeby sama się pozbierała. - Klapnęła na skrzynię obok Zoe i zaczęła wachlować policzki. - Jestem Clara Klaus - zwróciła się do Toma. - Jedyna zdrowa i rozsądna osoba w naszej trójce.

Młody mężczyzna roześmiał się i skłonił głowę.

- Tom Price, przyjaciel Wilderów.

- Skąd wzięłyście taczki? - Zoe z początku nie rozumiała, co w Clarze pociągało jej męża, bo mimo olśniewającej cery i bujnych kształtów nie wydawała się należeć do kobiet, które zwracają na siebie męską uwagę. Stopniowo zaczęła spostrzegać prawdziwy dar Clary: przedsiębiorczość. Przemknęło jej przez głowę, że mogła trafić o wiele gorzej z wyborem towarzyski wyprawy do surowej krainy śniegów.

Clara zaśmiała się lekko.

- Och, to było zupełnie łatwe! Jeden z mężczyzn, których pokonałam na turnieju, domagał się rewanżu... - Oczy Clary zaiskrzyły się triumfalnie. - Pobiłam go po raz drugi i dostałam jego taczki!

Zoe otworzyła usta.

- A co sama postawiłaś?

- Lepiej nie pytaj!

- To pani jest tą Amazonką, o której tyle się opowiada? - wtrącił Tom z szerokim uśmiechem.

Zoe jęknęła, przypominając sobie nieprzyzwoity dekolt i piersi, które sterczały nad koronką jak śmietankowo-

brzoskwińskie pagórki. Ta historia będzie się za nimi wlokła przez całą Alaskę!

Na twarzy Toma malowało się uznanie.

- Gratulacje! Spotykałem nieraz mężczyzn, którzy stali się żywą legendą tej krainy, ale pani udało się to jeszcze przed zejściem ze statku! Jestem zaszczycony, mogąc panią poznać.

- Pomocy! Pomóżcie mi!

W rozbieganym tłumie Zoe spostrzegła Juliette i załadowane z czubem taczki, które właśnie zaczęły się przechylać i niechybnie przewróciłyby się, wysypując zawartość na ziemię, gdyby Juliette w ostatniej chwili nie porzuciła rączek i własnymi plecami nie podparła chwiejnej sterty. Przez chwilę Zoe oczekiwała, że Juliette upadnie pod ciężarem, który spoczął na jej barkach, ale kobieta zacisnęła zęby i wparła obcasami w zryty żwir plaży. Brakowało jej siły, by na powrót wyprostować ładunek, a gdyby spróbowała odskoczyć, pakunki zasypałyby ją zanim zdążyłaby uciec na bezpieczną odległość. Juliette March tkwiła w pułapce.

Tom ruszył do przodu i chwycił bagaże, które zaczęły się osuwać z wierzchołka sterty, przygniatając Juliette do ziemi. Mimo jego interwencji upadła, a jej spódnica rozłożyła się skłębionym wachlarzem na mokrym gruncie. Zakryła twarz dłońmi, podczas gdy Tom ponownie układał ładunek na taczkach.

- Nie potrafię, nie mogę! To nie jest zajęcie dla kobiety!

- Ależ do tej pory jakoś to pani szło, prawda? - Tom pomógł jej się podnieść i chwycił rączki tacek. - Dopchała pani cały ładunek tam, gdzie pani chciała.

- Na łaskę niebios! - Spojrzała na niego olśniona. - Zajęło mi to dużo czasu i kilka razy się wywróciłam, ale rzeczywiście dopchałam ładunek do celu!

Zoe niechętnie, ale uczciwie przyznała jej w duchu rację, choć równocześnie poczuła żywą przyjemność, widząc Juliette rozchełstaną i spoconą. Kapelusz przekrzywił się i zwiślał jej nad uchem, zgubiła rękawiczkę, a na spódnicy wyraźnie odcinały się ubłocone odciski kolan. Bynajmniej nie przypominała schludnej, eleganckiej Juliette, którą Zoe dotąd знаła i często miała chętkę zabić. Rozkosz dziewczyny pogłębiło zdumienie w oczach Bena Dare'a, który właśnie się zbliżał, ciągnąc za sobą wyladowany wózek. Jej uważnym oczom nie umknął fakt, iż Juliette na jego widok zarumieniła się po szyję i zaczęła gorączkowo poprawiać kapelusz i zdrapywać błoto zaschnięte na sukni. Clara mówiła jej, że Parma Dobre Maniery spędzała czas na pokładzie statku na przechadzkach w towarzystwie pana Dare'a, ale miło było na własne oczy ujrzeć potwierdzenie. Tymczasem nad głową dziewczyny toczyła się zwyczajna w takich sytuacjach rozmowa. Clara w swój zwykły zwięzły sposób dokonała wzajemnych prezentacji i wyjaśniło się, że skrzynia, na której przycupnęła Zoe, stanowi własność pana Dare'a. Obaj mężczyźni wzięli sprawy pań w swoje ręce i wszczęli dyskusję, jak najsprawniej zorganizować transport ich bagaży i dokąd je zanieść. Zoe przymknęła oczy i pełną piersią wdychała świeży zapach morskiej bryzy i dymu ze smolnych szczap. Nasłuchiwała pokrzykiwań i przekleństw, a z oddalonej osady Dyea dobiegała jej uszu skoczna muzyka z karczmy.

Tak bardzo pragnęła przebyć podróż o własnych siłach i nic nikomu nie zawdzięczać. Nie udało się i wiedziała, że jutro będzie wściekła na myśl, iż jest zobowiązana panu Dare'owi i Tomowi, lecz dziś była zbyt znużona, by się przejmować. Skoro ci dwaj z własnej chęci pomagali im przenieść bagaże i założyć obóz, niech im Bóg błogosławi. Pragnęła jedynie paść na swoje składane łóżko polowe, odpocząć i odzyskać siły.

Kiedy znowu otworzyła oczy, ujrzała, że Clara zdążyła wygrzebać ze swojej torby garść suszonych owoców, a Juliette pytała, czy może zrobić herbatę na maszynie pana Dare'a. Pośród całej tej wrzawy i bieganiny, nie zważając na pilną konieczność transportu ładunku, jej towarzyszki urządziły przyjęcie!

Właściwie czemu nie? W końcu panowie ofiarowali im bezcenną pomoc. Poza tym miło było odkryć, że w tym nieznanym surowym miejscu nie są całkiem opuszczone, lecz mają znajomych, którzy się o nie troszczą.

Przeniosła spojrzenie na Toma. Mieszkańcy Newcastle często gadali o tym, że wyjadą z osady, przeniosą się do Seattle czy gdzie indziej, gdzie życie jest łatwiejsze, ale niewielu naprawdę wyjeżdżało, a większość uciekinierów wracała z podkulonym ogonem, gdy tylko się przekonali, że równie ciężko żyć w wielkich miastach, w tłumie obojętnych obcych.

Doskonale rozumiała powody, dla których Tom Price opuścił Newcastle i porzucił pracę w kopalni. Co do tego nie było dwóch zdań; ale jak znalazł się na Alasce, zamiast próbować się zaczepić bliżej domu? W dodatku dorobił się firmy załadunkowej - cokolwiek to było.

Kiedy zauważyła, iż rozmawiając z panem Dare'em, spogląda na nią ukradkiem, odwróciła głowę w stronę osady, nad którą unosiła się mgielka dymu z licznych ognisk i palenisk węglowych. Nie zmieniła swoich poglądów: nie chciała mieć nic wspólnego z mężczyznami z Newcastle, zupełnie nie! Poza tym była mężatką, żoną Jaśnie Łajdaka.

Ale jakże to miło spotkać kogoś z rodzinnych stron...

Mimowolnie zerknęła w jego stronę. Jej uwagi nie umknęło, że ciemne kędziory Toma spadają na kołnierz grubej kurtki, uda opina spłowiwały drelich, a stopy ma obute w sznurowane robocze buciory. Pan Dare był ubrany podobnie, ale jego odzież była nowiutka jak spod igły, podczas gdy Tom miał na sobie rzeczy nieco znoszone, lecz dzięki temu wygodne - takie, do jakich sama była przyzwyczajona.

Kiedy obaj mężczyźni oddalili się, by zacząć realizować wspólnie ułożone plany, Zoe przemknęło przez głowę pytanie, czy jeszcze kiedyś zobaczy Toma Price'a. Nie było po temu żadnego konkretnego powodu, ale mama złożyłaby jej skórę, gdyby w liście do domu wspomniała o tym spotkaniu, a nie dodała żadnych konkretnych wiadomości o jego losie. Tak, musiała się pofatygować i porozmawiać z nim jeszcze raz - dla świętego spokoju, tylko ze względu na matkę.

Niedźwiedź stał niedbale oparty o słup w stajni Toma, patrząc, jak gospodarz wkłada juki na grzbiet muła. Przyjemnie było obserwować kogoś, kto zna się na swojej robocie! Kiedy Tom ładował juki, nie zostawiał ani cala wolnej przestrzeni, tak że bezpiecznie opatulone skrzynki z trunkami dotrą do Dawson w nienaruszonym stanie. Ani jedna się nie stłucze na długim szlaku od Dyea do Skagway, przez Przełęcz Martwego Konia i dalsze sześćset mil łodzią albo saniami.

- Pięćdziesiąt jeden centów za transport funta towarów to rabunek na prostej drodze!

Tom wzruszył ramionami.

- Indianie Nosa Malleya zrobią to taniej. - Zaciągnął sprzączkę na uprzęży. - Te skrzynie z whisky wyruszają do Skagway za mniej więcej dwie godziny, więc jeśli chcesz go zatrudnić, powiedz od razu, bo w takim razie muszę ci policzyć za załadunek i rozładunek wszystko na nowo.

Nos Malley był znany z tego, że zrzucił ładunek klienta gdziekolwiek przy szlaku, jeśli napatoczył się ktoś oferujący wyższą stawkę. Większość firm załadunkowych uprawiała ten sam proceder - z wyjątkiem Toma Price'a. Gdy ten przybił dłoń na zgodę, dotrzymywał warunków, jakby je zapisano na kamiennych tablicach. Dobra docierały na miejsce przeznaczenia nietknięte i po uzgodnionej cenie. Poza tym Tom nie cofał się przed wyjątkowo trudnymi zleceniami. Raz podjął się przetransportować fortepian do szynku Niedźwiedzia. Instrument przybył do Dawson City w doskonałym stanie.

Wielu innych przewoźników porzuciłoby skrzynię w połowie drogi albo beztrąsko wrzuciło ją do rzeki.

Niedźwiedź milczał, zamiast polecić Tomowi rozładować muła, więc ten odstał o krok i zmierzył juki krytycznym okiem.

- Czy jedziesz z ładunkiem do Skagway?

Juki wyglądały na stabilne; olbrzym potrząsnął głową.

- Tym razem wybiorę się przez przełęcz Chilkoot. Kto poprowadzi tabor, ty czy Davidson?

- Davidson to godny zaufania przewodnik, dowiezie twoje towary bezpiecznie do Dawson.

Niedźwiedź skinął głową.

- Czy panie wynajęły cię, żebyś im zapakował bagaże na szlak przez Chilkoot?

Nie musiał wyjaśniać, o jakie panie mu chodzi, gdyż po pierwsze w Dyea nie było wielu kobiet, a jeszcze mniej zasługiwało na miano pań. Po drugie Benjamin Dare wspominał, że Price jest znajomym panny Wilder.

- Panna Wilder umówiła się ze mną na dziś na rozmowę.

- Kiedy będziesz z nią uzgadniał warunki, powiedz, że weźmiesz od niej i jej towarzyszek trzydzieści centów za funt ładunku. - Tom podniósł wymownie brwi, na co Niedźwiedź milcząco zazgrzytał zębami. - Pokryję różnicę i dodam premię za dowieszenie nietkniętych bagaży do Dawson.

- Musisz mieć wysokie obroty w szynku - zauważył Tom. - To cię będzie kosztować niezłą sumkę!

Niedźwiedź wiercił pięta w pyle stajni.

- Nie mów im, że dopłacam do ich transportu. - Nie bez zdumienia słuchał własnych słów. Prośba o anonimowość zaskoczyła go nie mniej niż Toma. Nie był tym kobietom nic winien, nie znał ich nawet, z wyjątkiem panny Klaus - a i z nią znajomość pozostawała na płaszczyźnie zdawkowych przywitań przy przypadkowym spotkaniu. Mimo to w Dyea powszechnie łączono ich nazwiska. Clara Klaus, rudowłosa Amazonka, pokonała Niedźwiedzia Barretta w niespełna trzydzieści sekund - na oczach dwóch tuzinów świadków! Niesłychane i niemożliwe stało się oto faktem dokonanym: Bernard T. Barrett został publicznie pokonany przez kobietę. Całe miasto nie mówiło o niczym innym, a olbrzym nie mógł przejść ulicą pięciu kroków, by ktoś nie rzucił mu znaczącego uśmiechu czy nie zaśmiał się prosto w nos. Musiał już walczyć z pięcioma mężczyznami w obronie swego męskiego honoru - a to dopiero dwa dni, odkąd przybili do Dyea! Panna Clara Klaus ściągnęła na niego same kłopoty.

Mimo to patrzcie tylko, co się z nim działo: nie dość, że zachowywał się po rycersku w stosunku do niej, to otoczył szcudrobliwą pomocą również i jej towarzyszki i gotów był wybulić królewską sumkę, byle choć trochę ułatwić im przeprawę. Nie miał pojęcia, czemu się tak zachowuje. Do tego jeszcze nie zależało mu na zbieraniu laurów za swoją szlachetność!

Suchy komentarz Toma brzmiał:

- Zaczyna tu wkraczać cywilizacja! - Po czym podszedł do Niedźwiedzia, stojącego w otwartych wrotach stajni, i zaofiarował mu cygaro. Obaj zapalili w milczeniu.

- Kiedy zaczynają tu przyjeżdżać szlachetne damy na wycieczki dla rozrywki, to można stwierdzić z całą pewnością, że dotarła do nas cywilizacja.

Tego dnia olbrzym podjął dwie niezwykle dla niego decyzje. Zazwyczaj towarzyszył swoim towarom na szlaku do Dawson. Nie było to konieczne, ale wołał jechać przez Skagway, któredy chodziły tabory mułów. Przed chwilą zaś poszedł za wewnętrznym głosem, który mu podszepnął, by wybrać szlak przez przełęcz Chilkoot, zamiast Martwego Konia. Zaraz potem wydał kupę forsy na wsparcie trzech kobiet, które ledwie znał. Może jego męskość rzeczywiście była zagrożona? Zaczynał zachowywać się jak mięczak!

- Kto tam strzela za stajnią? - spytał, słysząc niespodziewany huk.

- To panna Wilder wprawia się w strzelaniu do celu.

- Ona umie posługiwać się bronią? To zaiste bardzo interesujące panie, niech mnie kule biją! - Cała trójka nie zachowywała się, jak prawdziwym damom przystało, ale Niedźwiedź, jak większość mężczyzn, umiał na pierwszy rzut oka odróżnić przyzwoite kobiety od rozmaitych latawiczek. Panny Klaus, Wilder i March bezsprzecznie należały do pierwszej kategorii.

- Według ciebie, one wybierają się do Dawson dla rozrywki? - spytał Tom ze wzrokiem utkwionym w żar na końcu cygara.

- Czy może istnieć inne wyjaśnienie? - Niedźwiedź spodziewał się, że jego rozmówca, jako znajomy panny Wilder,

będzie wiedział coś bliższego o powodach ich podróży. - Jakos nie moge sobie ich wyobrazić szukających złota!

- Jeśli myślą że wyprawa do Dawson to rozrywka odpowiednia dla takich delikatnych dam, to żadna z nich nie ma ani krztyny rozsądku!

- Cóż więc sądzisz? Tom potrząsnął głową.

- Nie ma pojęcia...

Stajnia znajdowała się w ślepych zaułku, odchodzącym od głównej ulicy Dyea. Prowadziły do niej głębokie koleiny wyżłobione w lepkiem błocie. Z miejsca, w którym stali, mieli doskonały widok na ruchliwy szlak przecinający centrum osady. Droga zatłoczona była wozami, końmi i pieszymi, ciągnącymi obok pospiesznie wzniesionych drewnianych szop i szeregu namiotów na tyle obszernych, że mogły pomieścić sklepy, hałaśliwe szynki, domy hazardu i prymitywne pensjonaty. Przed oficyną Składu Towarów Hanrahana Niedźwiedź spostrzegł rudowłosą kobietę w kapeluszu, którego wąskie rondo źle chroniło przed jaskrawymi promieniami słońca Północy przepyszną skórę twarzy i dekoltu...

Boże litościwy! Choćby dożył setki, nigdy nie zapomni chwili, gdy Ben Dare zdjął z jej ramion narzutkę i oczom olbrzyma ukazał się niewiarygodny biust, obleczonej tą nieskazitelną kremową skórą! W swym pełnym przygód życiu widywał damskie wdzięki, ale żadne nie mogły się równać z tymi. Nie dość, że były to przyzwoite piersi, należące do porządnej kobiety, innymi słowy, posiadaczka nie wystawiała ich raczej na widok publiczny, a sam ten fakt wystarczył, by mężczyzna, widząc je, odchodził od zmysłów z ekstazy

zaprawionej rozkosznym poczuciem winy. Ponadto były to piersi majestatyczne, wyniosłe, uskrzydłające męską wyobraźnię, która snuła wizje niebotycznych gór i cienistych dolin, i wędrówki ku całkowitemu zatraceniu w rozkosznym cieple kobiecości. Co więcej, gładki jedwab skóry lśnił takim zdrowiem, wigorem i pięknem, że tylko nieboszczyk wytrzymałby ten widok, a każdy żyjący spłynąłby gorącym potem - tak jak on...

Od tamtej pory widywał te piersi nocą we śnie i na jawie - w marzeniach, a nie miałby nic przeciwko temu, by ujrzeć je jeszcze raz w ich cielesnej powłoce. Cóż, to było tylko próżne życzenie. Clara Klaus dowiodła sprytu i mądrości, wymyślając fortel, który pomógł jej wygrać turniej. Ani przedtem, ani potem nikt nie mógł się pochwalić, by udało mu się ujrzeć choćby skrawek jej ciała.

Wsadził ręce do kieszeni i patrzył, jak kobieta pochyła się ku sklepowej witrynie, by lepiej obejrzeć jakiś towar. Nie była najpiękniejszą niewiastą, jaką spotkał na swej drodze, ale z pewnością należała do nielicznych, obdarzonych nieodpartym powabem. Podobało mu się jej bezpośrednie, otwarte spojrzenie. Miał wrażenie, że uda jej się osiągnąć każdy cel, jaki by sobie postawiła. Zachwycaly go jej bujne kształty i pełna figura. Podobała mu się nawet śmiałość, z jaką przekraczała granice zakreślone przez płęć.

- Powiedz swoim chłopcom, że wyruszam jutro z samego rana. Spotkam się z nimi przy obozowisku Sheena. - Będzie podróżował jedynie z podręcznym bagażem do chwili, gdy w umówionym miejscu dogoni niosących większość jego ładunku

Indian z plemienia Chilkat, których Tom zatrudniał jako tragarzy.

Na widok panny Wilder, która wyłoniła się zza rogu stajni z winchesterem pod pachą, uchylił kapelusza i powiedział kilka zdawkowych słów, po czym ruszył główną ulicą. Jeśli natknie się na pannę Klaus, być może zaprosi ją na filiżankę kawy lub herbaty. Podejrzewał, że bardziej miałyby ochotę na kufel mocnego bawarskiego piwa, ale w Dyea nie było szynku, do którego mogłaby wstąpić dama bez obrazy swojej przyzwoitości.

Bernard T. Barrett nie był z natury skłonny do refleksji; postępował zgodnie z własnym wyczuciem, robiąc to, co w danej chwili wydało mu się mądre, właściwe czy słuszne, i nigdy nie deliberował nad swoimi poczynaniami. Ale od poznania Clary Klaus wciąż analizował swoje myśli i postęпки, by doszukać się ich przyczyn i móc je zrozumieć.

Upokorzyła go przed całą gromadą kompanów i przygodnych pasażerów. W opowieściach, które krążyły dokoła, występowała albo jako potężna Amazonka, albo jako filigranowa kruszyna, ale w obu przypadkach o Niedźwiedziu mówiono tonem wzgardy, jak o karykaturze mężczyzny, jakim niegdyś był.

Kiedy się rzeczywiście na nią natknął, czuł już tylko bezmierną wściekłość, że przez nią doznał uszczerbku na swej reputacji.

- Nie wiedziałem, że tak lubisz strzelać. - Tom przejął winchestera. Zważył w rękę ciężką broń, sprawdził lufę i oddał strzelbę Zoe.

- Braciszek Pete mnie nauczył.
- Dobrze jest mieć strzelca w grupie, na szlaku wszystko się może zdarzyć.

Tamtego dnia na plaży przeraził go jej wygląd, wychudła sylwetka i wycieńczona twarz, lecz potem dowiedział się o skłonnościach do morskiej choroby i z ulgą widział, jak stan dziewczyny szybko się polepsza. Dzisiaj stała przed nim z zaróżowionymi zdrowiem policzkami, a dłonie trzymały strzelbę mocno i pewnie. Wciąż jeszcze była chuda jak szczapa, lecz oczom wrócił blask. Tańczyły w nich błękitne iskierki, które tak dobrze pamiętał. Młodsza siostrzyczka Jacka była najładniejszą dziewczyną w Newcastle. Dwudziestodwuletni Tom pobił się z Harve'em O'Dayem, który ośmielił się przydzielić palmę pierwszeństwa za piękność niejakiej Tilly White. Tom był bardzo stanowczego zdania, że żadna dziewczyna w osadzie nie dorasta Zoe do pięt. Panna Wilder zaćmiewała wszystkie wdziękiem i urodą. Patrząc, jak stoi przed nim z masywną strzelbą w rękach, pomyślał, że wciąż jest najpiękniejsza. Żadna inna nie miała tak długich rzęs, rzucających miękki cień na policzki. Nie miała tak powabnych wargi, wyciętych w kuszący łuk. Zawsze podziwiał kruczoczarne sploty, w których blask słońca zapalał czerwone iskry. Kiedy gościł u Wilderów na kolacji, spoglądał na nią przez stół i marzył, że wyciąga szpilki z grubego węzła na karku i czuje, jak lśniąca fale przelewają mu się przez palce.

- Czy coś się stało? - spytała, marszcząc czoło. - Patrzysz tak jakoś dziwnie, jakbyś był setki mil stąd.

- Przepraszam! - Wciąż kusiło go to samo marzenie... rozpuścić ciężki warkocz i owinać jedwabiste kosmyki wokół palców. - Chciałaś, zdaje się, wynająć moich ludzi do załadunku swoich bagaży na szlak do Dawson?

- Pytałam w mieście i wiem, że masz najlepszą reputację wśród wszystkich firm załadunkowych, ale jesteś też najdroższy.

Uśmiechnął się, widząc, jak dziewczyna unosi brew i milknie znacząco. Wciąż była nieodrodną córą Newcastle, gdzie ludzie o wszystko się zawzięcie targowali. Podziwiał tę cechę, którą zresztą sam posiadał.

- Są wśród tutejszych przedsiębiorców spekulanci, którzy gorączkowo budują linię kolejową w kierunku Przełęczu Martwego Konia. Inni głośnią się nad ułatwieniem przeprawy przez Chilkoot. Z drugiej strony gorączka złota może wygasnąć, gdy wyczerpią się bogate złoża. Ja postępuję w myśl maksymy: zbieraj, ile możesz, kiedy możesz, bo ten bum nie potrwa wiecznie! - Wzruszył filozoficznie ramionami.

Oczy Zoe pojaśniały, gdy zamigotała w nich iskra szacunku. Tom poczuł, że pierś wydyma mu duma. Człowieka nie może spotkać nic miłszego niż zdobycie uznania krajania...

- Podobno bierzesz pięćdziesiąt jeden centów za funt? - Nie miała zwyczaju załatwiać interesów flirtem, więc i teraz nie przyszło jej na myśl, by go kokietować, chociaż nieświadomie dla siebie przechyliła głowę na ramię i rzuciła mu spod obszernego ronda kapelusza zagadkowe spojrzenie, które wznieciło w jego umyśle prawdziwy zamęt. - Na tyle mnie nie stać!

Pstryknał palcami, posyłając niedopałek cygara w błotnistą kałużę, i przeniósł wzrok na juczne muły w stajni.

- Jestem gotów udzielić tobie i twojej kompanii znacznego rabatu. Powiedzmy, że moi Chilkaci spakują was i przetransportują bagaże do Dawson za trzydzieści centów od funta...?

Wyraz jej twarzy, gdy odruchowo wciągnęła powietrze przez zęby, zdradził mu, że Zoe orientuje się, jaka to niewiarygodnie niska stawka.

- Wydawało mi się, że pięćdziesiąt jeden centów pokrywa transport ładunku tylko do przełęczy Chilkoot. Nie zdawałam sobie sprawy, że to załatwia cały szlak aż do Dawson.

- Bo i tak nie jest. - Oczywiście poniesie stratę, przenosząc ich ekwipunek darmo dodatkowe sześćset mil, ale skoro Niedźwiedź mógł okazać taką hojność, to wypadało mu dorównać. - Starzy przyjaciele zasługują na specjalne stawki i szczególne traktowanie.

Zoe dumnie wyprostowała plecy, aż zafalowały poły jej płaszczka.

- Nie mogę przyjąć twojej oferty - oświadczyła wprost. - Nie chcę zaciągać długów wdzięczności... nawet gdyby nie było rzeczą niestosowną przyjmować tak wartościowy podarunek od mężczyzny. - Na jej policzkach odcinały się jaskrawe krążki rumieńców. Odwróciła się, by odejść.

- Zoe, poczekaj! - Złapał ją za łokieć.

Patrzyła na niego bez wyrazu, oczami przejrzystymi jak błękitne szkiełka, ale zatrzymała się, gotowa go wysłuchać.

- Po pierwsze, rabat to nie żaden podarunek, bo i tak musisz zapłacić. Przyjęcie mojej oferty do niczego cię nie zobowiązuje, więc nie ma mowy o długach wdzięczności czy innych. Tak się po prostu ubija interesy. - Jej spojrzenie nieco zmiękło. - Po drugie, ja sam wybieram się do Dawson, bo muszę dopilnować niewielkiego transportu dla ważnego klienta, więc łatwo będzie dorzucić wasze bagaże do tego taboru. Poza tym nie tracę ani centa na rabacie, bo jest ktoś, kto pokrywa różnicę...

- Co ty powiesz? - Zmarszczyła czoło. - A któż to taki?

- Owa osoba nalegała, bym nie ujawniał jej tożsamości. Chyba w ogóle nie powinienem o tym wspominać! - Miał świadomość, że spaprał sprawę.

Oczy Zoe rozjarzyły się gniewem, a wargi zacisnęły w wąską linię.

- To Juliette, prawda? Powiedz jej, że może się wypchać! Nie chcę od niej jałmużny!

Błyskawicznie pojął, że nie powinien prostować błędnego przypuszczenia. Jeśliby to zrobił, dziewczyna zaczęnie wymieniać nazwiska, jedno po drugim, i w końcu dojdzie do tego, któremu nie mógł zaprzeczyć bez grzechu kłamstwa. Niech to diabli! Ograniczył się więc do niezdarnego:

- Na twoim miejscu nie wyciągałbym pochopnych wniosków.

- A któż by to mógł być inny? - parsknęła. - Ty byłbyś gotów obniżyć cenę o kilka centów na funcie w imię starej znajomości, ale nie przypuszczam, byś posunął się tak daleko, by oferować usługę za połowę ceny! - Zwęziła oczy w szparki,

które obiegły bystrym spojrzeniem morze białych namiotów wokół miasta. - Któż więc nam pozostaje? Tylko jaśnie dziedziczka!

- Zoe... Mogę się tak zwracać do ciebie?

- Tak właśnie do mnie mówiłeś wtedy, gdy praktycznie biorąc, mieszkałeś pod naszym dachem.

- Chyba rzeczywiście spędzałem u was mnóstwo czasu!
- Zaśmiał się krótko, ale zaraz spoważniał. - Nie odrzucaj propozycji, która tak bardzo ułatwi ci podróż! Nie pozwól, by duma pokrzyżowała ci szyki. Ktoś pragnie przyjść tobie i twoim przyjaciółkom z pomocą, więc przyjmij ją!

- Ty nic nie rozumiesz... - Z marszem na czole wbiła oczy w ziemię.

- Podobno umiem słuchać, więc...

Przez chwilę wydawało się, że zacznie mu się zwierzać, ale stopniowo rysy jej twarzy stężały. Potrząsnęła głową.

- Po prostu nie chcę zaciągać długów wdzięczności. Szczególnie w stosunku do Juliette.

Niewątpliwie właśnie dlatego Niedźwiedź nalegał na anonimowość. Nie chciał, by musiały czuć się zobowiązane.

- Gdyby temu dobroczyńcy zależało na wdzięczności, nie zachowałby swej tożsamości w tajemnicy.

- Juliette oczywiście wie doskonale, że obie z Clarami odgadniemy, kto płaci, i bardzo mi się to nie podoba - oświadczyła z pasją, zaciskając dłonie na winchesterze, aż zbieleły kłykcie. - Mam wielką ochotę cisnąć jej w twarz tę nieproszoną wielkoduszność!

Tom spojrział na nią niedowierzająco. Gdyby nie wiedział, że Zoe i panna March podróżują razem, wziąłby wyraz twarzy dziewczyny i gniewny ton za dowód, że są śmiertelnymi wrogami.

- Zanim postąpisz tak głupio, zastanów się, czy masz ochotę dziesięć czy dwanaście razy powtarzać wspinaczkę na przełęcz Chilkoot, podczas gdy pannom Klaus i March wystarczy jeden raz. - Usłyszał, że mówi głosem ostrzejszym, niż zamierzał. - Pomyśl, że musisz przebyć dwanaście razy dłuższą drogę niż one, zanim ujrzysz Dawson. Drogo zapłacisz za dzisiejszą dumę.

- Nie jestem głupia i wiem, że w końcu skorzystam z tej oferty! - Syknęła gniewnie, aż zakotyssało się pióro na jej kapeluszu. - Ale... wolałabym odrzucić jej łaskę!

- Przecież to niekoniecznie panna March jest owym anonimowym dobroczyńcą, nie wzięłaś tego pod uwagę?

Rzuciła mu smętne spojrzenie, jakby ją rozczarował, i westchnęła przeciągle.

- Och, już dobrze. Jak to organizujesz? Kiedy wyruszamy i czy powinniśmy jakoś przygotować ekwipunek do załadunku?

Od dnia, gdy przybył na Alaskę, nie miał do czynienia z kobietami. Zapomniał, jak potrafią człowieka zirytować.

- Każda chwila zwłoki grozi, że na szlaku zostanie was zła pogoda, więc radziłbym wyruszyć już jutro rano. Przygotujcie sobie podręczne bagaże z rzeczami, których możecie potrzebować w czasie marszu, a moi ludzie zajmą się resztą. Tylko jedno: na szlaku tragarze nie zajmują się

rozpakowywaniem i ponownym pakowaniem, więc zorganizujcie się tak, by mieć łatwy dostęp do rzeczy potrzebnych przy noclegu: namiotu, piecyka, zapasów żywności...

Odwróciła się, gotowa do odejścia. Strzelbę zatknęła pod ramię swobodnym gestem, który świadczył o obyciu z bronią. Tom nie miał wątpliwości, że ta dziewczyna potrafi stawić czoło każdemu, kto by próbował jej zaszkodzić.

- Zoe...?

Zerknęła na niego przez ramię.

- Kiedyś dużo się śmiałaś. Co się stało, że już nie jesteś taka radosna?

Pryśło sztuczne opanowanie, które nadawało jej pozory nadętej pannicy. Podbródek Zoe zadrżał.

- Och, Tom... - szepnęła i oddaliła się niemal biegiem. Zamyślony, patrzył w ślad za nią ze zdziwieniem. Nie była tą samą dziewczyną, którą znał w Newcastle. Stała się kobietą, i to zupełnie odmienioną. Zamknięte, czujne spojrzenie kryło w głębinach cierpienie i bolesny sekret. Jakże bardzo chciałby się dowiedzieć, czego szuka w Dawson City!

- Czemu się tak gapicie? Czy znowu coś zrobiłam nie tak? - Clara i Zoe wróciły do namiotu w posepnych humorach, ale Juliette też nie było szczególnie lekko na duszy.

„Annasett” odpłynął tego ranka bez niej na pokładzie. Nikt nie wiedział, kiedy przyplynie następny parowiec, ale nawet gdyby znała termin, nie mogłaby na niego czekać, bo dzieliły we trójkę jeden namiot. Clara i Zoe na pewno zechcą go zabrać na szlak do Dawson, a wtedy Juliette straci dach nad głową, gdyby

zdecydowała się zostać w Dyea. Los popychał ją nieubłaganie do Dawson. Nie miała właściwie nic przeciw celowi wędrówki, to tylko trudy szlaku śmiertelnie ją przerażały.

Początkowo zaciekał ją polarny klimat i niskie temperatury. Wmawiała sobie, że mróz szczypiący policzki orzeźwia i dodaje energii, ale po kilku dniach miała dość chłódów. Już nie wydawało jej się fascynujące spędzanie nocy na wilgotnym łóżku polowym, trzęsąc się pod cienkim kocem. Nawet w łagodniejszym klimacie wąskie i twarde posłanie pozostawiałoby wiele do życzenia. A już najgorsza była konieczność mieszkania w namiocie. Dwa dni obozowania wystarczyły, by stracić wszelkie złudzenia na temat uroków życia za pan brat z naturą, jeśli w ogóle kiedykolwiek je miała. Wiedziała, że na szlaku niewygody spiętrzą się wielokrotnie. Wszyscy rozmówcy mieli w zanadrzu co najmniej pół tuzina mrozących krew w żyłach anegdot o okropieństwach, na jakie narażeni są wędrowcy na Alasce. Każda rozsądna kobieta drżałaby z lęku!

Clara naląła po warzączwi cienkiej zupki do trzech misek, które przygotowała Juliette. Popatrzyła niezyczliwie na spaloną na węgiel skórkę chleba wypieku Juliette. Z rozłamanego bochenka posypały się okruchy.

- Uprzedzałam, że nie umiem gotować! - Łzy czały się tuż pod powiekami Juliette, gotowe wytrysnąć przy lada okazji. Jakże nienawidziła dyżurów przy kuchni! Najpierw trzeba było rozpalić ognisko na ziemi, potem ustawić nad ogniem obozowy piecyk, wreszcie umieścić na wierzchu kuchenną płytę. Oczywiście, nie było to takie proste, jak się zdawało. Ogień raz

po raz wygasiał. Płyta nie nagrzewała się równomiernie, w wyniku czego chleb się przypalał, podczas gdy warzywa wciąż były twarde, a zupa wodnista.

- Jutro ja ugotuję obiad! - oznajmiła Clara.

- Mam dla was nowiny. - Zoe usiadła na składanym krzeselku i ostrożnie postawiła na kolanach miskę z zupą. - Dzisiaj rozmawiałam z Tomem Price'em. Nie zgadniecie! Ktoś, nie wiadomo kto, opłaca za nas prawie połowę kosztów transportu, więc firma Toma spakuje nas i przeniesie przez przełęcz Chilkoot za trzydzieści centów za funt, a w dodatku doniesie nasze bagaże aż do Dawson! - Cały czas nie spuszczała oczu z Juliette.

Clara zamruwała gwałtownie.

- Niech Bogu będą dzięki! Strasznie mnie gnębiła świadomość, że będę musiała dziesięć czy dwanaście razy włączyć na tę przełęcz i z niej złączyć. Ale trzydzieści centów to cena, którą mogę zapłacić. I to za cały szlak do Dawson!

Zoe wbiła w nią płonące gniewem spojrzenie.

- Ależ, Claro, przecież to jałmużna! Ktoś się nad nami lituje, nie pojmujesz? Ktoś, kto uważa się za lepszego, z uśmiechem pełnym wyższości ułatwia nam podróż!

- Ja i tak byłam zdecydowana wynająć tragarza - wtrąciła Juliette. Po doświadczeniach z taczkami zdała sobie sprawę, że samodzielnie po prostu nie zdoła donieść ekwipunku. -Uważam, że to niesłychanie uprzejme ze strony tego kogoś, kto się wszystkim zajął i oszczędził nam mnóstwo pieniędzy.

- Och, naprawdę? Kimże jest ów ktoś, jak uważasz? - spytała Zoe wściekłym tonem.

- Pojęcia nie mam! - Juliette nie pojmowała również, czemu dziewczyna gapi się na nią przenikliwie i przemawia opryskliwym tonem.

- Ja zaś podejrzewam, że masz pojęcie!

Clara zmarszczyła czoło.

- Zaraz, zaraz. Chyba nie podejrzewasz Juliette, że pokryła różnicę?

- Och, a czemuż to miałabym ją o to podejrzewać? - zapytała słodkim głosikiem Zoe. - Może dlatego, że ma najwięcej pieniędzy z ludzi, których znamy, i stać ją, by się zlitować nad maluczkimi? Może dlatego, że nie znamy na Alasce nikogo poza naszą trójką, więc to musi być jedna z nas?

- Juliette, co ty na to? - Clara patrzyła jej w oczy. - Zapłaciłaś Tomowi Price'owi, żeby nas przetransportował za śmiesznie niską stawkę?

Oszupiała Juliette przenosiła spojrzenie z jednej na drugą.

- To nie ja! Przyznaję, wychodzę w ten sposób na samolubną i bezmyślną egoistkę, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby wynająć firmę załadunkową dla was dwóch.

Chociaż podróżowały do tego samego miejsca, i to jednocześnie, nie stanowiły wędrownej wspólnoty i nie były przyjaciółkami. Można by je co najwyżej uznać za powinowate przez małżeństwo, ale przecież ta więź była źródłem wzajemnej niechęci.

- Któż więc to zrobił, jeśli nie ty? - spytała Zoe.

- Może twój przyjaciel, pan Price? - Juliette nie miała pojęcia, kogo stać na podobną szcudrobliwosć.

- Od lat nie widziałam Toma i nigdy nie był moim przyjacielem, tylko kumplem brata. Poza tym sędzę, że choć powodzi mu się tu wcale nieźle, nie jest ani dość zamożny, ani naiwny, by marnować pieniądze na pomoc dla trzech naiwnych kobiet.

- Poza nim znamy jedynie Niedźwiedzia Barretta i Bena Dare'a - wyliczała Clara. - Czy pan Dare jest majątnym człowiekiem?

- Wątpię... - Juliette zastanowiła się głęboko. - On wybiera się nad Jukon na poszukiwanie złota. Nie wydaje mi się, by majątny mężczyzna chwycił się czegoś takiego.

- A mnie się nie wydaje, by Niedźwiedź Barrett dopłacał do kosztów wyprawy dwóch kobiet, których nie zna, i jednej, która go publicznie upokorzyła - uzupełniła Clara i ściągnęła brwi. - Gniewa się, że go pobiłam w zawodach. Natknęłam się dzisiaj na niego, ale nawet nie powiedział mi „dzień dobry”, tylko przechylił się ku mnie i tak jakby zawarczał: „Jeszcze będzie rewanż i tym razem nie zdoła mnie pani zwyciężyć!”

- Któż więc zostaje? - Głos Zoe zachował twarde tony, a spojrzenie utkwione w Juliette nie straciło na surowości.

- Zaklinam się, że nie jestem tajemniczym dobroczyńcą ale czemu tak cię gniewa myśl, że mogłabym nim być?

- Bo wiem, do czego zmierzasz! Chcesz powiedzieć Jeanowi Jacques'owi, że tylko dzięki tobie nie zagoniłyśmy się na śmierć, dźwigając bagaż na własnych plecach! Chcesz, żeby myślał, że to był twój pomysł, żeby go odnaleźć, i że zdołałyśmy

do niego dotrzeć wyłącznie dzięki tobie! No i chcesz się czuć lepsza od nas dwóch. Jeszcze czego!

Juliette wprost zatkało.

- To nieprawda! Do chwili, gdy „Annasett” odplynął beze mnie, planowałam wrócić do Seattle!

Zoe przewróciła oczami.

- Ty niczego nie planujesz, Juliette! Ty się pozwalasz unosić losowi. Ale w głębi duszy podejrzewam, że od początku wiedziałaś, iż nie będzie cię na pokładzie tego statku w drodze powrotnej do Seattle. Równie gorąco jak my pragniesz odnaleźć Jeana Jacques'a.

Prawie wszystko, co mówiła Zoe, było prawdą i ta myśl nie poszła Juliette w smak. Rzeczywiście dawała się nieść losowi i pozwalała innym podejmować za siebie decyzje. Nie mogła też zaprzeczać, że czasami czuje wyższość w stosunku do Clary i Zoe. Uważała, że Jean Jacques, żeniąc się z każdą z tych dwóch, popełniał megalomanię.

- No, więc dowiedz się, że przyjmuję twoją łaskę! - ciągnęła Zoe, a jej oczy zmieniły się w dwa kawałki błękitnego lodu. -Przyjmuję, bo nie wiem, na jak długo wystarczy mi pieniędzy, a skorzystanie z usług tragarzy tysiącrotnie ułatwia podróż. Nigdy jednak nie podziękuję ci za jałmużnę! I gardzę tobą, bo chciałaś się ukryć pod płaszczykiem anonimowości i postawiłaś mnie w sytuacji, w której muszę albo przyjąć twoją dobroczynność, albo wyjść na głupka i żałować, znosząc wielkie trudy na szlaku. - Zoe odstawiła miskę tak gwałtownie, że połowa zupy wylała się na ziemię, i skryła się w namiocie, z rozmachem zasłaniając za sobą wejściową płachtę.

Juliette zamrugnęła i zwróciła się do Clary:

- Ja naprawdę nie zapłaciłam Tomowi Price'owi nawet centa za transport ekwipunku! To musi być ktoś inny.

I ona straciła apetyt ze zdenerwowania. Życie z ciotką Kibble nie było nawet w drobnym ułamku tak burzliwe i wyczerpujące emocjonalnie jak obcowanie z pozostałymi żonami męża. Nikt dotychczas nie mówił do niej tak szczerze i bez osłonek ani tak obraźliwie, jak to potrafiły Clara i Zoe! Sama zresztą też kiedyś nie zwracała się do nikogo tak bezpośrednio, a czasami nawet - musiała to przyznać! - nieuprzejmie jak obecnie do Clary czy Zoe. Cóż za koszmar, być zmuszonym przebywać w towarzystwie ludzi, których się nienawidzi. W tych okolicznościach wychodziła na jaw najgorsza strona jej natury!

- Nie mam pojęcia, czemu Niedźwiedź tak się wściekł. - Clara wbiła wzrok w spieczoną skórę kromki, którą z roztargnieniem kruszyła w palcach. - Przed zawodami sam mówił, że przyjmie porażkę z godnością. - Zmarszczyła czoło i podniosła oczy na swą towarzyszkę. - Przecież mógł przypuszczać, że uda mi się go pokonać? Nawet gdyby to miał być czysty cud, powinien wiedzieć, że to nie jest wykluczone!

- Któż inny mógł za nas zapłacić? - Juliette nie spuszczała oczu z wejściowej klapy namiotu, poruszona głębią gniewu Zoe. - Ben... to znaczy pan Dare mówi jak człowiek na poziomie i ma nienaganne maniery, ale trudno uwierzyć, by ktoś majątny wybrał się w taką daleką podróż, żeby grzebać w zmrożonej ziemi za grudkami kruszcu. Przecież on nawet sam nie wierzy, że coś znajdzie!

W gruncie rzeczy nie pojmowała, czemu w ogóle wybierał się nad Yukon. Chyba że był równie zdesperowany, jak reszta poszukiwaczy, tylko nie chciał, żeby ona się o tym dowiedziała.

Clara upuściła kromkę chleba do miski.

- Nigdy nie zamierzałam go upokorzyć ani poniżyć, wcale o tym nie myślałam. Chciałam po prostu wygrać nagrodę.

Minionej nocy Juliette przyśnił się Benjamin Dare. W jej śnie spacerowali razem wzdłuż brzegu, który nie był już pełen kamieni, bo przeobraził się w piaszczystą plażę. Nad nimi rozciągało się niebo Alaski, rozświetlone polarnym zmierzchem, lecz jednocześnie pełne gwiazd. Zniknęły namioty, nie było śladu miasta ani gór - tylko brzeg, niebo i Benjamin. Wziął ją w ramiona i obrócił twarzą ku sobie, a kiedy ją pocałował, oboje osunęli się na kolana w miękki, biały piasek. Gdy zaczął rozpinać guziki koszuli, Juliette straciła zmysły i zapadła w omdlenie...

Spuściła głowę i przelknęła łzy. Mrugając, wbiła wzrok w zupe, która z każdą chwilą stawała się coraz zimniejsza. Przez wiele miesięcy marzyła, że przyśni jej się Jean Jacques, ale nigdy się to nie zdarzyło. A oto już po raz drugi przyszedł do niej we śnie niechciany i nieoczekiwany Ben Dare i zaczynał się do niej zalecać! To na pewno nie było stosowne ani przyzwoite.

Po chwili spojrzała na spuszczoną płachtę u wejścia do namiotu i zastanowiła się, co robi Zoe.

- Czy sądzisz, że ona naprawdę zabije Jeana Jacques'a?
- spytała Clary.

- Co? Och, tak. Ja. Myślę, że naprawdę to zrobi.

Przez chwilę Juliette czuła się w osobliwy sposób zagubiona. Czyżby to naprawdę ona spędzała noce na Alasce, śniąc o mężczyźnie, o istnieniu którego jeszcze przed pięciu tygodniami w ogóle nie wiedziała, dzieląc namiot z potencjalną morderczynią i kobietą, która zarabiała na życie, mocując się na ręce? Jak to możliwe, na litość boską?! Podniosła głowę i spojrzała na wieczorne niebo, powleczone bladym światłem. Marzyła o powrocie do Kalifornii, gdzie noce są ciepłe, dni podobne do siebie jak krople wody i nudnawo monotonne, gdzie nie znano mężczyzny o nazwisku Ben Dare, który wprowadził w jej myśli tyle zamętu. W jej snach nie pojawiał się Jean Jacques, przychodził tylko Ben. Świat tonął w błękitcie wpatrzonych w nią oczu, a ona tonęła w jego ramionach.

Wiedziona poczuciem winy, musnęła ślubny pierścionek. Jak to się działo, że jej sny wypełniała tęsknota za jednym mężczyzną, chociaż była żoną innego? Kim właściwie była Juliette March Villette?

Szlak przez Chilkoot - znany również pod nazwą Szlaku Nędzarza - przez dwadzieścia pięć mil wił się po nierównym, pełnym pułapek terenie. Kiedy po przejściu pierwszych pięciu mil zatrzymali się na odpoczynek, Clara ocierając czoło z potu, zdjęła plecak i doszła do wniosku, że na razie nie jest jeszcze tak źle.

Dzień był słoneczny i rześki, jakby wymarzony, żeby podejmować nowe dzieło czy rozkoszować się naturą. Porywało ją dzikie piękno gór, które wypiętrzały się stromymi ścianami z płaskiego dna doliny, a widok długiego węża ludzkich postaci, maleńkich niczym mrówki i jak one pracowicie pełznących ku przełęczy, nappełniał ją poczuciem, że jest częścią ważkiego, wiekopomnego wydarzenia.

Wyszukała odpowiedni odłam skalny na skraju ścieżki, przycupnęła i zaczęła grzebać w plecaku, aż znalazła kanapki z konserwową szynką które przygotowała wcześniej rano. Miała jeszcze jabłko, kawał twardego sera i butelkę niemieckiego piwa - jedną z ostatnich z cennego zapasu. Te delikatesy postanowiła jednak zachować na następny popas. Odwinęła kanapkę z papieru, dziwując się nieprzerwanemu strumieniowi wspinaczy, którzy ją mijali. Niektórzy pchali przed sobą taczki ze spiętrzonymi workami i skrzyniami, ale większość dźwigała pakunki na własnych plecach. Juczne zwierzęta prowadzili nieliczni, bo przełęcz była zbyt stroma, by mógł ją pokonać muł czy koń. Clara zastanawiała się, co wędrowcy zrobią ze

zwierzętami, gdy dotrą do pierwszego przystanku - Obozu Owcy u stóp przełęczy.

- Och, cóż za spotkanie! Przecież to panna Klaus.

Niedźwiedź Barrett wystąpił z krętego węża piechurów i podszedł do skałki, na której siedziała. Złote kędziory spływały spod znoszonego kapelusza z szerokim rondem, które doskonale chroniło twarz przed jaskrawym słońcem. Miał na sobie gruby zielony sweter i luźne spodnie wetknięte w solidne buty piechura.

- Czy pozwoli się pani przyłączyć? - Nie czekając na odpowiedź, postawił plecak obok jej torby. - Co tam pani ma? Szynkę? Ja zaś jajko sadzone i bekon... Chciałaby się pani zamienić?

Clara przyjęła propozycję wymiany i zgarnęła fałdy sztruksowej spódnicy, by zrobić mężczyźnie miejsce na głazie.

- Jak pani sądzi, ilu z tych cheechako pokona cały szlak do Dawson? - zapytał i wbił zęby w plaster szynki na kanapce Clary. Byстрыm wzrokiem szacował przechodzących mimo.

- Wciąż słyszę słowo cheechako. Co to właściwie znaczy?

- W języku Chinooków oznacza kogoś niedawno przybyłego.

- Zdaje się, że znaczy coś więcej, że to określenie głupiego żółtodzioba albo wprost idioty, w każdym razie nic pochlebnego.

Olbrzym wyszczerzył zęby w uśmiechu i jego posępne, nieco złowieszcze oblicze złagodniało i stało się niemal

pociągające. Clara bez powodzenia próbowała sobie wyobrazić, jak by wyglądało z całym nosem i bez blizny przecinającej czoło. Skrzywiony nos i zryta twarz stanowiły część jego istoty i jeden z powodów, dla których Clara rumieniła się, gdy zbyt długo na niego patrzyła.

- Po roku spędzonym nad Jukonem, ale nie wcześniej, można rościć sobie prawo do miana „kwaśniaka”, czyli zjadacza przaśnego chleba ze szlaku - ciągnął Niedźwiedź.

Uśmiechnęła się i przytaknęła. Czuła jego bliskość niemal tak namacalnie, jak powiew chłodnego wiatru na zapłonionych policzkach. Olbrzym posturą i energią jakby zagarnia ludzi ku sobie, niemal ich przytłacza - pomyślała Clara. Ona osobiście nie czuła się przytłoczona ani onieśmielona, lecz silnie reagowała na jego rozmiary, wigor i ciepło, które od niego promieniowało. Był jak góra, a góry istnieją po to, by się na nie wspinać... albo zrównywać do swego poziomu.

Jedli w przyjaznym milczeniu, obserwując sznur piechurów, wspinających się po zboczu. Nagle Niedźwiedź się odezwał:

- Wczoraj zachowałem się haniebnie. Nie mam pojęcia, co we mnie wstąpiło. Do diabła! Chciałem panią zaprosić na kawę, a zamiast tego wściekłem się i przygryzłem pani nieuprzejmie! - Urwał, a po chwili podjął: - Widzę, że ciągle się pani z czegoś tłumaczę, co mi się nie przydarza wobec nikogo innego. Ale ile razy panią widzę, czuję potrzebę wyjaśnienia czegoś, co powiedziałem czy zrobiłem przy ostatnim spotkaniu.

- Takie wyjaśnienia pomagają uniknąć nieporozumień.
- Clara nie ośmieliła się odwrócić twarzą ku niemu, by nie

utonąć spojrzeniem w przepastnym brązie niedźwiedziich oczu. Lękała się, że jej żołądek wykonałby pełne salto, a głowa zawirowała.

- A gdybym poprosił, dałaby się pani wczoraj skusić na filiżankę kawy?

- Nie wiem... - Chyba taki niewinny poczęstunek nikogo jeszcze nie zwiódł na manowce? W każdym razie nie widziała w tym nic złego. Jej białe zęby błysnęły w szerokim uśmiechu, a oczy zwęziły się w szparki, otoczone pękami wesołych zmarszczek, które nieodparcie zapraszały do odwzajemnienia uśmiechu.

- Wobec tego jeszcze kiedyś panią zaproszę!

Posilali się i przypatrywali pełznącemu wężowi chechako, a Clara ze wszystkich sił starała się zignorować ciepło, które promieniowało od mężczyzny siedzącego u jej boku, i znieczulić nozdrza na rzeński zapach włosów i odzieży, świadczący o tym, że olbrzym wiele czasu spędza na świeżym powietrzu.

- Od jak dawna przebywa pan na Alasce? - spytała, głównie po to, by odwrócić myśli od nieprzepartej pokusy oparcia głowy na jego barczystym ramieniu.

- Czasami mam wrażenie, że od kiedy sięgam pamięcią, zawsze mieszkałem w jakiejś dzicy. Lubię surową witalność, jaką kipią nowo powstające osady poszukiwaczy złota. No i cóż za bogactwo okazji, by się dorobić! Są tacy, co zbili majątek, podążając za poszukiwaczami fortun.

- Więc i pan szuka złota?

Zaśmiał się swobodnie.

- Nie, szanowna pani. Jedna sprzedana butelka trunku przynosi większy profit niż całotygodniowy zarobek większości tych, co kopią w ziemi za kruszcem. Można powiedzieć, że kopacze są dla mnie kopalnią...

Clara skinęła głową z aprobatą. Doskonale rozumiała ten tok myślenia. Dostarczanie jadła, napitków i schronienia to dla ambitnego człowieka doskonały sposób, by się dorobić - mawiał jej ojciec. On jednak lubił osiadły tryb życia i tym różnił się od Niedźwiedzia, który wędrował za okazją, dokądkolwiek go prowadziła. Pomyślała, że ona sama - skoro tak szybko sprzedała zajazd, by podążyć do Seattle - bardziej przypomina tego olbrzyma niż własnego ojca.

Poczuwszy, że jej towarzysz raptownie sztywnieje, powróciła uwagę do rzeczywistości w porę, by ujrzeć mężczyznę, który zatrzymał się tuż przed nimi i wpatrywał w Niedźwiedzia z ponurym grymasem na twarzy. Miał w oczach tyle nienawiści, że Clara aż się cofnęła.

- Kto to? - spytała. Nieznajomy splunął na ziemię pod stopy olbrzyma, jakby na jego widok zrobiło mu się niedobrze. Potem warknął coś nieuprzejmego pod nosem i ruszył dalej. Niedźwiedź zmarszczył czoło, wpatrzony w chmury na zachodnim widnokręgu.

- To niejaki Jake Horvath. Od niego wygrałem w pokera szynk Pod Gołym Misiem. Facet utrzymuje, że oszukiwałem.

Jego twarz stężała i przemknął przez nią osobliwy cień, gdy zamilkł, bacznie wpatrując się w Clarę. Po długiej chwili zorientowała się, że czeka na pytanie, czy oskarżenie było zasadne. Kiedy nie odezwała się ani słowem, kiwnął głową, a

jego spojrzenie nabrało głębi i wniknęło aż do jądra jej duszy. Nie miała pojęcia, jak długo siedzieli, wpatrzeni w siebie.

W końcu zamrugła i odwróciła się twarzą do szlaku, przyciskając dłonie do rozpalonych policzków.

- Och, och... - jęknęła półgłosem, oddychając ciężko.

- Wiesz co? Sprawa byłaby dużo łatwiejsza, gdybyś nie była przyzwoitą kobietą i damą!

- Co proszę? - Raptownie wróciła do równowagi i zdrowych zmysłów. Chyba się przesłyszała!

- Tyle chciałbym ci powiedzieć, ale nie umiem rozmawiać z przyzwoitymi kobietami. Muszę ostrożnie dobierać słowa i uważać, żeby się nie zagalopować ze spojrzeniem.

Policzki Clary zapłonęły jeszcze bardziej, gdy wyobraziła sobie, z jakim rodzajem kobiet musi mieć zwykle do czynienia jej towarzysz.

- Cóż, przykro mi, że będąc przyzwoitą kobietą, narażam pana na kłopoty. - Co za pomysł! Wsunęła ręce w paski plecaka, nie pozwalając sobie pomóc. - Pan wybaczy...

- Proszę chwilkę zaczekać!

Clara jednym susem włączyła się w sznur chechako i pomaszzerowała po zboczu, które przestało być gładkie i z każdym metrem sprawiało więcej trudu. Tylko raz się obejrzała i zobaczyła, że Niedźwiedź wciąż stoi na skraju ścieżki i gapi się za nią spojrzeniem zdradzającym irytację i bezsilność. Te same uczucia kłębiły się w jej duszy.

Ile razy się spotkali, nieodmiennie udawało mu się rozczarować ją do siebie albo zagniewać. W rezultacie nie wiedziała, czemu tak często o nim myśli. Nie było co

zaprzeczać: myślała o nim ciągle. Ale iskra, która między nimi przeskoczyła, miała charakter powierzchowny. Za żadne skarby nie przyznałaby się nikomu, że większa część jego nieodpartego powabu jest natury fizycznej. Kiedy przechodząc obok, niechcący go dotknęła, czuła mrowienie na całym ciele, a gdy ich oczy się spotkały, jej żołądek miotał się jak przy trzęsieniu ziemi, a w piersi narastał zapierający dech ucisk. Odblask słońca na złocistym meszku, pokrywającym jego dłonie i nadgarstki, sprawiał, że w ustach jej zasychało.

Podobnie, choć nie tak silnie, reagowała na bliskość Jeana Jacques'a i patrzcie, dokąd ją zawiodły tamte uczucia! Zmarszczyła czoło, chwyciła gałąź krzewu, rosnącego przy szlaku, i z wysiłkiem podciągnęła się wyżej. Stok był usiany wystającymi korzeniami, trzeba było wysoko podnosić nogi.

Co za ironia, że po latach czujnego wypatrywania łowców posagów poszła za głosem impulsu i poślubiła właśnie kogoś takiego! Wiedziała, że przyczyną było to osobliwe mrowienie w trzewiach, którym jej ciało reagowało na bliskość Jeana Jacques'a. Żalśnie śmieszne!

Cóż, nie popełni ponownie tego błędu. Nie da się zwieść na manowce dreszczom i gorącym spojrzeniom. Mimo to musiała przyznać, że rozumie uwagę olbrzyma, że gdyby nie była przyzwoitą kobietą, wszystko stałoby się łatwiejsze. Spędziliby upojną noc na zmysłowych igraszkach, a wtedy zapewne uwolniłaby się spod jego uroku i odzyskała spokój wewnętrzny. Jako kobieta przyzwoita musiała jednak odebrać jego słowa jako obrazę! Drżąc na całym ciele z moralnego zacierzwienia, nie zdawała sobie sprawy, że szlak robi się coraz trudniejszy.

Gdyby Juliette umarła - a szczerze sądziła, że nie jest od tego daleka - winien byłby Jean Jacques. To z jego powodu w ogóle tu się znalazła, z trudem pokonując stromiznę, przedzierając się przez kamienie i szczeliny, dysząc jak pies, spływając potem jak zwykły robotnik, a nie dama.

Gwałtownym szarpnięciem wydobyła stopę z grzędawiska zrytej ziemi i końskiego łajna, pochyliła się i oparłszy dłonie na kolanach, rozpaczliwie usiłowała zaczerpnąć do płuc życiodajnego powietrza. Cóż za szaleństwo! Tutaj w górze trudno było już mówić o szlaku - ludzie i zwierzęta wybierali najlepiej, jak umieli, między głazami rozmaitej wielkości. Porzrucane gęsto kępy kolczastej cykuty i gałęzie karłowatych świerków szarpały ubrania i zdierały z głów kapelusze. Ze słów mijających ją piechurów wynioskowała, że są dopiero w połowie drogi do pierwszego obozu.

Osunęła się na zwalony pień, zerwała plecak i zaczęła rozcierać obolałe barki. Nie niosła nawet dziesięciu kilogramów, ale po przeszło trzech godzinach wspinaczki czuła się tak, jakby dźwigała na plecach kawał marmuru. Nie miała pojęcia, jak to znosili mężczyźni, zgarbieni pod worami o wadze co najmniej pięćdziesięciu kilo. I pomyśleć, że gdy dotrą do Canyon City, pierwszego noclegu, zawrócą do Dyea po kolejne pięćdziesiąt kilo zapasów... i jeszcze raz, i jeszcze, dopóki nie zgromadzą całego ekwipunku. Dreszcz przebiegł jej wzdłuż grzbietu.

- Trzęsiesz się? Nie mów, że ci zimno! - sapnęła Zoe, omijając potężny odłam skalny, który dzielił ją od Juliette. Zgięta w pół, chwyciła łąpczywie ustami hausty powietrza. Spod zadartej z tyłu spódnicy widać było łydki, które - jak z

satysfakcją zauważyła Juliette - drżały równie mocno, jak jej nogi.

- Kiedy posiedzisz minutkę, zaczniesz marznąć.

Kołnierz sukni Zoe był mokry od potu, a policzki zarumienione od słońca. Juliette przypuszczała, że sama wygląda równie nieporządnie, ale nic jej to nie obeszło.

- Gdybym miała wspinać się tym tak zwanym szlakiem z tuzin razy, jak większość tych mężczyzn, zrezygnowałabym i zawróciła do domu! - W myśli zaniosła niebiosom dziękczynną modlitwę za anonimowego dobroczyńcę.

Zoe przytaknęła jej skinieniem głowy i klapnęła na pień obok.

- Tym razem zgadzam się z tobą w zupełności... I nie dbam o to, że zapłaciłaś za tragarzy. Jestem wdzięczna, że nie muszę dźwigać grama więcej ponad te dwie tony, jakie czuję na grzbiecie.

Juliette nawet nie próbowała zaprzeczać, jakoby to ona zapłaciła za transport ich ekwipunku; wiedziała, że darmo traciłaby słowa, bo nic nie mogło przekonać Zoe. Z westchnieniem przymknęła oczy.

- Chyba nie będę miała nawet siły zjeść obiadu.

- Ani ja. Ale jedno ci powiem: jutro zrzucam gorset! Nawet gdyby z tuzin plotkarskich ust miało donieść mamuśce, nic mnie to nie obchodzi! Jutro nie będę się sznurować.

Juliette zamarzyła, by zasnąć i obudzić się w Linda Vista, mając to wszystko poza sobą. Żałowała, że w ogóle spotkała Jeana Jacques'a.

- Czasami sobie myślę, że i ja wpakuję Jeanowi Jacques'owi kulkę w łeb! Gdyby nie on, siedziałabym teraz wygodnie w domu i byłoby mi tak ciepło... - Cóż, raczej nie umiałaby nikogo zastrzelić, nawet łajdaka, który zniszczył jej życie! W tej chwili wydało jej się to raczej skazą niż zaletą charakteru. - Czy ty naprawdę byłabyś zdolna zabić kogoś, kogo kochasz?

Zoe nie odpowiedziała od razu.

- Właściwie nie jestem pewna, czy go kiedykolwiek kochałam. Może byłam zakochana w wizji życia, którą przede mną roztoczył? Nie jestem z tego dumna, ale tak chyba było. - Pogrzebała w plecaku i wyciągnęła jajko na twardo, lecz rozbicie skorupki i obranie jej wydało jej się wysiłkiem ponad siły.

Juliette podważała paznokciem odłamki szorstkiej kory z pnia, na którym siedziały.

- Kiedy sobie przypomnę, jak szybko to wszystko się działo, jestem zdumiona, że mogłam wyjść za kogoś, kogo tak mało znałam. - Potrząsnęła głową. - Czy to dlatego, że bałam się zostać sama?

Wciąż powracała w myślach do tego pytania. Być może związek z Jeanem Jacques'em był rozpaczliwą próbą ucieczki od widma staropanieństwa? Zaczynała stopniowo wątpić, czy miłość w ogóle grała w tym jakąś rolę. Jak mogła kochać kogoś, kto w granie rzeczy nie istniał? Nie był tym, za kogo go miała, reprezentował natomiast wszystko to, czym ciotka Kibble nauczyła ją pogardzać. Był złodziejem, wykorzystującym kobiety - oto naga prawda. Człowiekiem, który miał za nic

sakrament małżeństwa. Był jak błędny ogień z próchną, obdarzony powierzchownym wdziękiem i talentem do wsączania w kobiece uszy słów, które najbardziej pragnęły, usłyszeć. Łgarz i oszust!

- Gdybym w tej chwili natknęła się na niego, wygarnęłabym mu tak, że popamiętałby do końca życia! - Mięśnie łydek Juliette wciąż drżały, ramiona piekły, pot zasychał na skórze. Z głęboką niechęcią pomyślała, jaki okropny przedstawia sobą widok i jak mamie się czuje. - Żałuję, że tu przyjechałam.

- Ja też. - Zoe westchnęła.

Później Juliette nie wiedziała, co ją naszło: może nieprawdopodobna sytuacja, w jakiej się znalazła, siedząc na zwalonym pniu wśród dzikiej przyrody Alaski? A może to wysokość zakręciła jej w głowie? Albo gwałtowne wychłodzenie ciała, które przez cały ranek płonęło od gorąca wywołanego trudami wspinaczki, spowodowało przejściowe zachwianie równowagi umysłowej? A może uszczypliwy komentarz Zoe zerwał urok wzajemnych zwierzeń? Cokolwiek było przyczyną, uwaga towarzyszkę poruszyła humorystyczną stronę jej natury.

- Sama nie chcę tu być i nikt mnie tu nie chce, a jednak jestem! - Ciałem Juliette wstrząsnął wybuch głośnego śmiechu, stanowczo niegodnego damy. - Nienawidzę całej tej wyprawy, z całego serca nienawidzę! Więc czemu, na litość boską, siedzę tu, na Alasce?!

Zoe popatrzyła na nią bez słowa. Nagle kąciki jej warg powędrowały do góry w mimowolnym uśmiechu.

- Jesteś tu z tego samego powodu co ja. Przez tego sukinsyna, Jeana Jacques'a.

- Och, to rzeczywiście nie lada sukinsyn! - Nigdy przedtem nie powiedziała takiego słowa. Zawsze oddalała się w popłochu od mężczyzn, którzy przeklinali czy posługiwali się nieokrzesanym językiem, i do czasu, gdy spotkała Zoe i Clare, nie знаła kobiet, które by używały podobnych wyrażań. Dobrze było wyrzucić z siebie całą wściekłość i pogardę, które się w niej kotłowały.

Z trudem dźwignęła się na nogi, złożyła dłonie wokół ust i krzyknęła w przepastną dolinę:

- Jean Jacques Villette to skończony sukinsyn! - Tak jest! Niech cały świat wie, co o nim myśli!

Zoe wybuchnęła śmiechem.

- Wykorzystałeś nas i odrzuciłeś każdą po kolei ! Nienawidzę cię za to! Nienawidzę z całego serca! - Twarz Juliette płonęła, ręce drżały jak w napadzie gorączki, ale nie miała dłużej zamiaru sama przed sobą ukrywać prawdy. Gorzkie słowa wyrywały się z trzewi i paliły gardło. Nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać, zdobywszy się w końcu na przyznanie, że Jean Jacques jest łajdakiem bez skrupułów, jak od dawna utrzymywała ciotka Kibble. Dla jego postępków nie było wytłumaczenia ani usprawiedliwienia. Wreszcie zrozumiała, że choćby nie wiadomo jak się starał, żadne wyjaśnienia jej nie zadowolą. Odwróciła się ku Zoe: - Chyba jeszcze nie słyszałam twojego śmiechu. Kiedy się uśmiechasz, jesteś bardzo ładna.

- Uroda jakoś mi się w życiu nie przysłużyła. - Uśmiech na ustach Zoe przeszedł w grymas. Postukała jajkiem w pień i odłupała kawałek skorupki. - Kiedyś myślałam, że uroda mnie wybawi od konieczności ciężkiej pracy i wychowywania dzieci. Tymczasem spójrz tylko: przyniosła mi nicponia, który mnie zrujnował do szczytu. Tak, naprawdę mam zamiar go zastrzelić, a jeśli potem powieszą mnie za morderstwo, to i cóż z tego? Nie wybiegam myślą w przyszłość poza chwilę, gdy go zabiję, nie mam żadnych planów. Mogą mnie równie dobrze powiesić i nic mnie to nie obejdzie!

- I ja nie mam żadnych planów na potem. - Co pocznie, gdy już odnajdą Jeana Jacques'a i Zoe go zastrzeli? Spędzi resztę życia, wysłuchując wypominań ciotki Kibble, jaką się okazała idiotką?

- Czy wszystko u pani w porządku? - Ben Dare przedarł się przez kępę świerków i niespokojnym wzrokiem omiół łączkę, na której się zatrzymały. Stał na mocno rozstawionych nogach i przeżył mięśnie, jakby szykując się do walki.

- Oczywiście! - Juliette pospiesznie poprawiła potargane włosy i otrzepała spódnicę z okruchów kory. Mimo tych zabiegów wzdłuż twarzy wciąż zwisały nieposłuszne kosmyki, poza tym podejrzewała, że roztacza dokoła woń potu. Niestety, na to nic nie mogła poradzić!

- Zdawało mi się, że słyszę pani krzyk. - Zmierzył ją bacznie spojrzeniem od stóp po głowę, sprawdzając, czy nie jest ranna.

Na policzkach Juliette wykwitły rumieńce. Jean Jacques mierzył ją takim samym powolnym spojrzeniem przed

miłosnym interludium. Odcień oczu Francuza był nieco bledszy od błękitu tęczówek Bena, który poza tym górował nad tamtym wzrostem. Ale sposób, w jaki na nią patrzył, przywołał wspomnienie gorących pieścizot. Wzdłuż ciała Juliette przebiegły dobrze znane dreszcze.

Przycupnięta na pniu Zoe zerknęła na przybysza.

- Być może słyszał pan, jak Juliette krzyczy do mnie, żebym ją mogła znaleźć.

- Nie brzmiało to jak tego rodzaju okrzyki... - Podszedł bliżej. - Ale cieszę się, że nic pani nie jest.

- Zupełnie nic! - upierała się Juliette. Nic... poza tym, że jest zagubiona, wyczerpana do szpiku kości, pogardzana przez swoje towarzyszki i porzucona przez męża. - Czuję się świetnie!

I osunąwszy się na jego szeroką pierś, wybuchnęła serdecznym szlochem.

Zanim Zoe dojrzała palik ich namiotu, zwieńczony różową wstążką, Clara zdążyła nastawić gulasz, który perkotał wesoło w kociołku, i ugotowała imbryk kawy. Zoe zaczęła się przedzierać przez cudze obozowiska, rozrzucone chaotycznie dokoła.

- Nie mamy jeszcze namiotu ani stołków- oznajmiła radośnie Clara - ale tu się aż roi od pniaków. Weź sobie któryś i siadaj. Muszę powiedzieć, że wyglądasz nieszczególnie!

- Tak też się czuję. - Stopy piekły dziewczynę, mięśnie z tyłu łydek za każdym krokiem przeszywał nieznośny ból, a plecak obcierał do żywego wrażliwe miejsca na barkach. - Czy donieśli już apteczkę?

- Pojęcia nie mam! - Clara machnęła ręką w kierunku zrzuconych na kupę skrzyń i worków. - Pomyślałam, że najpierw zabiorę się za gulasz.

Zoe nigdy jeszcze nie czuła się tak zmęczona.

- Gdzie namiot? - zapytała, zebrawszy resztkę energii. Jedyne, czego pragnęła, to paść na posłanie, by rozluźnić zbolące i drżące z wysiłku mięśnie.

- Jeden z jucznych mułów padł - poinformował Tom Price, podchodząc do ognia. Clara wręczyła mu kubek kawy, który nalała dla Zoe. - Moi ludzie przenoszą bagaż na plecach. Niedługo powinni już tu być.

- Wiedziałaś, że indiańscy tragarze zabierają naraz pięćdziesiąt kilogramów, a ich kobiety potrafią udźwignąć trzydzieści? - Wciąż ten sam wesolutki ton!

Zoe poczuła chętkę, by cisnąć w nią kamieniem. Nieświadoma niebezpieczeństwa Clara pokazała dłonią niebotyczne ściany kanionu.

- Spójrz na tę scenierię! Czyż to nie zapierający dech w piersi widok? A to orzeźwiające powietrze!

Zoe czuła jedynie zapach dymu ze smolnych szczap, który mieszał się z wyziewami tabaki, końskiego i psiego łajna oraz rozmaitych woni kuchennych.

- Widziałaś języki lodowca, spływające z tych wysokich dolin na horyzoncie? - Entuzjazm Clary zdawał się nie mieć granic. - A kiedy nagle szlak skrzył i odsłonił się widok na rzekę... Czy to nie było piękne?

Ten zapach wywołał uśmiech na twarzy Toma i Zoe poczuła chętkę, by i jego dzielić.

- Jutro ujrzycie śnieżne pola. - Popatrzył na chmury. - Dzisiejsza noc będzie mroźna. Chilkaci przepowiadają opady śniegu przed świtem.

Zoe jęknęła. Tom i Clara roześmiali się z jej rozpaczy. Potem zapadła między nimi cisza, lecz ich towarzysz jakoś nie zamierzał odejść. Nagle Clara wyprostowała się i spojrzała na nich oboje.

- Wiecie co? Chyba pójde rozejrzeć się za Juliette albo poszukam namiotu. - Cofnęła się o krok, owinęła płaszczem i poprawiła rondo kapelusza. - Nie zapomnij od czasu do czasu zamieszać w kociołku, dobrze?

Gdy Clara zniknęła wśród gęstwy namiotów, Tom spojrzał na Zoe znad brzegu kubka i uśmiechnął się łagodnie.

- Jak przeszedł pierwszy dzień?

Nie mogła uwierzyć, że to dopiero pierwszy dzień na szlaku.

- Nie sądziłam, że będzie tak ciężko. - Widząc, że brwi Toma wędrują do góry, podniosła rękę. - Wiem, wiem... wszyscy nam to mówili. Ale ja osobiście spodziewałam się, że pójdzie mi równie gładko jak Clarze... - Zadarła głowę i zerknęła na niego. Zwróciła uwagę, że stoi na rozstawionych nogach tak pewnie i swobodnie, jakby nie miał za sobą całodziennej harówki przy popędzaniu kopniakami i szturchańcami taboru mułów po ciężkim i stromym terenie, porośłym gęsto drzewami i usianym głazami.

- Łatwiej nie będzie. Trzeba mieć pieruńsko mocne postanowienie, by przetrwać całą podróż.

Coś w jego tonie podszeptnęło dziewczynie, że Tom bardzo chciałby poznać powód, dla którego porwała się na wędrowkę do Dawson. I przez krótką, szaloną chwilę miała chęć wyznać mu całą prawdę. Ale uświadomiła sobie, że wtedy poczułby się w obowiązku próbować ją odwieść od zamiaru zabicia Jeana Jacques'a; albo jeszcze gorzej, jako długoletni przyjaciel rodziny nalegałby, że ją wyręczy. Nie chciała o tym rozmawiać! Nic, co mógł powiedzieć, nie zmieniłoby jej postanowienia zabicia łajdackiego oszusta. A już na pewno nie chciała, by ktoś ją wyręczał i drogo za to płacił.

Tom zauważył, że Zoe nie ma kawy, i nalał jej pełen kubek. Jean Jacques też potrafił być tak uważający, ale w ostatecznym rozliczeniu jego troska okazała się niewarta funta kłaków. Wolałaby raczej szczerść. Wtedy w ogóle nie wyszłaby za niego, nie zniszczyła sobie życia, nie przyjechała na Alaskę, żeby robić z siebie morderczynię!

- A czemu ty jedziesz do Dawson? - Popatrzyła na swego rozmówcę i pomyślała, że podoba jej się gest, jakim zawadiacko przekrzywia kapelusz na głowie. - Czy naprawdę oplaca ci się przewozić czyjeś bagaże przez całą tę drogę aż za przełęcz?

Sącząc kawę, potoczył zamyślnym spojrzeniem po gęstwinie rur od piecyków, wystających z setek namiotów.

- Moim głównym rywalem w interesie jest gość, który się zowie Nos O'Malley. Ostatnio trochę za często wadzimy się ze sobą pomyślałem więc, że lepiej spędzić jakiś czas daleko od niego. Przezimuję w Dawson.

Ta nowina, nie wiedzieć czemu, uradowała Zoe, która powoli zaczynała pojmować, że i ją czeka zima w Dawson.

Miło będzie mieć tam przyjazną duszę! Zerknęła na Toma spod rzęs, potem opuściła wzrok na kubek parującej kawy.

- Śmieszne, jak się układa życie... Nigdy nie przypuszczałam, że wyjedziesz z Newcastle. Sądziłam, że pójdziesz do pracy w kopalni jak twój ojciec.

- A ja zawsze wiedziałem, że ty wyjedziesz - odrzekł cichym głosem, nie odrywając wzroku od obozowiska. - Wiedziałem, że Zoe Wilder przypadnie w udziale specjalny los.

Ta uwaga zaskoczyła ją i zasmuciła.

- Sprawy potoczyły się inaczej...

- Nie bądź taka skromna! Pewnego dnia będziesz opowiadać wnukom, że uczestniczyłaś w wielkiej gorączce złota w Klondike. - Zielone oczy zaślniły, gdy na nią spojrział. - Niewiele kobiet będzie miało takie wspomnienia!

Humor nieco jej się poprawił.

- Wiesz co, Tom? Cieszę się, że się spotkaliśmy!

- Ja też.

Przez długą chwilę siedzieli wpatrzeni w siebie, poznając się po raz drugi jako para dorosłych. Zoe ujrzała przed sobą dojrzałego mężczyznę, który czerpał pewność siebie z wewnętrznego spokoju, jakiego nie pamiętała u czupurnego chłopaka z Newcastle. Zacięta linia szczęki znamionowała upór, a stanowcze czoło kryło siłę determinacji. To, co widziała, budziło jej sympatię. Miała nadzieję, że i jemu spodoba się to, co w niej ujrzy - cokolwiek to było.

Nagle zauważyła, że do obozowiska zbliża się Juliette w towarzystwie Bena Dare'a. Zamrugła, jakby nie mogła uwierzyć w to, co jej oczy widziały: szli ramię w ramię, jak na niedzielnej przechadzce. Nastrój Zoe zmienił się radykalnie, jej nowo odzyskana pewność siebie pękła niczym bańka mydlana. Dziewczyna przetarła oczy i spojrzała ponownie, ale nic się nie zmieniło.

Coś musiało się z nią dzieć złego. Każdy centymetr ciała sprawiał jej ból, a w dodatku zaczynała sztywnieć od chłodu. Była straszliwie wyczerpana. Na samą myśl o pracy przy rozbijaniu namiotu chciało jej się płakać. Nie miała ani odrobiny energii.

Tymczasem Clara podskakiwała rażno, jakby mogła maszerować jeszcze z pięć mil, jakby była niezadowolona, że musi się zatrzymać i czekać na juczne tabory. Juliette nadchodziła swobodnym krokiem, uśmiechnięta, wymieniając żarciki z towarzyszem przechadzki, jakby nie przedzierała się przez kłujące chaszczki i nie miała w nogach dziewięciu mil skalistej stromizny, po przebyciu której nawet zaprawione muły ledwie łapały oddech!

Zoe zastanowiła się, czy nie powinna przemyśleć swojej sytuacji. Spodziewała się, że ona, jako osoba przyzwyczajona do ciężkiej pracy, jest odpowiednim kandydatem na szlak, a oto okazywała się wręcz najsłabsza z ich trójki; fakt ten nappełnił ją zdumieniem i upokorzył.

- Dobry wieczór, panie Price! - Juliette skinęła głową Zoe, puściła ramię Bena, podniosła pokrywkę i zerknęła na

gulasz, który zachęcająco bulgotał w kociołku. - Gdzie jest namiot?

Zoe postanowiła, że jeśli Juliette zaprosi Toma i Bena na kolację, czując się dostatecznie silna, by organizować towarzyski wieczór, ona potraktuje to jako znak z niebios. Odda Clarze winchestera, pokaże jej, jak strzelać, by zabić Jeana Jacques'a Villette'a, a sama zawróci do Dyea, rezygnując z wyprawy do Dawson. Ale Juliette nie wspomniała nic o kolacji, tylko pomachała do Clary, która zjawiła się, prowadząc za sobą dwóch Chilkatów. Już z daleka wołała:

- Mamy namiot!

Juliette zrobiła nieokreślony gest dłonią i zatrzepotała rękami, spoglądając na Bena i Toma.

- Mam wrażenie, że musimy się zabrać za rozbijanie obozu. Szkoda, że to trwa tak długo.

Dla Zoe było jasne jak słońce, że Juliette manipuluje panami, w dodatku niezbyt subtelnie, ale mężczyźni zdawali się nic nie zauważać. Rzucili się do skrzyń, które zwałili na ziemię Indianie. Głośno zapewniali, że błyskawicznie się z tym uporają. Zoe wiedziała, co teraz nastąpi: Juliette zachłyśnie się podziwem i w kwiecistych frazach podziękuje im za uprzejmość, a w rewanżu zaprosi na kolację. Wtedy Zoe wyciągnie strzelbę i odda ją Clarze. Tymczasem Juliette nie pisnęła ani słówka zachwyty, tylko zaczęła się krzątać między pakunkami, rozstawiając stołki i polowe łóżka, wyciągając koce i energicznie je wytrzepując. Miała ruchy niespieszne, lecz zręczne i dziarskie. Gdyby Zoe nie wiedziała, że jej towarzyszka spędziła

dzień na znoej wspinaczce, mogłaby przypuszczać, iż leniuchowała od samego rana.

Clara zerknęła na Juliette i porozumiewawczo skinęła głową w stronę kociołka i mężczyzn, po czym podniosła pytająco brwi. Podobnie jak Zoe, uznawała Juliette za eksperta w kwestii towarzyskiego protokołu i jej zostawiała wystosowanie zaproszenia. Juliette odpowiedziała jej przeciągłym spojrzeniem, ale kiedy namiot już stał, a panowie dociągali ostatnie liny, ani słówkiem nie wspomniała kolacji, ignorując ich wymowne zerknięcia w stronę ognia. Tom zauważył nawet, że para unosząca się znad kociołka pachnie niezwykle smakowicie...

Zoe czuła, że nie wytrzyma dłużej. Namiot został rozbity, łóżka rozłożone - wreszcie mogła się poddać zmęczeniu! Jęcząc, podźwignęła zeszywniałe członki. Nienawidziła się za to, że ona jedna z całej trójki ma obolałe mięśnie. Skinęła obojętnie głową Tomowi i Benowi i pokuściła do namiotu, pozostawiając towarzyszkom misję bardziej stosownego wyrażenia wdzięczności za pomoc przy rozbiciu obozu. W którejś ze skrzyń znalazłaby apteczkę, a w niej maść, ale teraz nie miała siły o tym myśleć. Padła jak długa na swoje łóżko i zagapiła się na brezentowy sufit, myśląc, iż serdecznie nienawidzi Clary i Juliette. Nagle poła namiotu odchyliła się pod energiczną dłonią i do środka chwiejnie wsunęła się zgięta wpół Juliette.

- Och, Jezu! Myślałam, że już nie doczekam, kiedy sobie pójdą! - Klapnęła na posłanie bezwładnie jak wór. - Umieram... krzyż mi pęka, nogi palą jak żywym ogniem, gdziekolwiek się dotknę, wszystko boli! - Wtuliła twarz w poduszkę, tłumiąc

rozdzierający jęk. - Jutro nie zrobię ani kroku, nie wiem nawet, czy dam radę wstać! Taka jestem obolała, że płakałabym, gdybym znalazła dość energii na łyż. Jeśli koniecznie chcesz kogoś zastrzelić, weź mnie na muszkę, a zrobisz mi przysługę.

Zoe dźwignęła się na łokciu, patrząc na nią z niedowierzaniem.

- Ale kiedy tutaj szłaś, nawet się nie skrzywiłaś. I rozstawiałaś łóżka gracko, jakbyś nie była nawet zmęczona!

Juliette wtuliła twarz w koce. Ramiona zwisały jej bezwładnie ku ziemi. Leżała nieruchomo, jak sparaliżowana.

- Nie chciałam, żeby Ben pomyślał, że jestem słaba czy się nie nadaje... - wybełkotała w poduszkę. - Nie masz pojęcia, jakie to było trudne.

Zoe w lot zrozumiała, jak bardzo Juliette zależy na opinii Bena Dare'a. Jeszcze jaśniej pojęła, że jej rywalka wykazała żelazną siłę woli i samodyscyplinę, o którą dziewczyna jej nie podejrzewała; wątpiła, czy byłaby w stanie ją naśladować. Powoli opadła z powrotem na posłanie, walcząc z mimowolnym odruchem podziwu. Nie chciała ani trochę podziwiać tej kobiety!

Poła namiotu ponownie frunęła na bok i w wejściu pojawiła się Clara.

- Chyba nie macie zamiaru spać w kapeluszach i butach? Rozbierzcie się, a natrę wam ramiona i nogi maścią.

- Nie mogę się ruszyć - jęknęła Juliette.

- A ciebie nic nie boli? Nie obtarłaś sobie niczego? - zapytała Zoe. Na myśl o konieczności wstawania i zwlekania sukien niemal się rozbeczała.

- Owszem, ale nie tak bardzo jak wy. - Clara wzruszyła ramionami. - Zdaje się, że bieganie w tę i we w tę po schodach zajazdu wzmocniło mi nogi. Kto wie? Słuchajcie, zanim się rozbierzecie, wyjdźcie na dwór zobaczyć śnieg. Kilka minut temu zaczęło padać.

SCANDALOUS

Juliette podziwiała uroki śniegu przez całe pół dnia, po czym buciory i kopyta zdeptały do szczytu cienką warstewkę bieli, która zamieniła się w błotną zawiesinę, śmierdzącą odpadkami i tytoniowym sokiem. Naprędce sklecone wychodki zamarzały, gdy temperatura w nocy spadała poniżej zera, w dzień zaś nadchodziła odwilż i zawartość dołów wylewała się na ziemię cuchnącym potokiem.

Juliette miała już szczerze dosyć zimna i wilgoci, a najbardziej nużyło ją robienie dobrej miny do złej gry.

- Chcę tylko znaleźć Jeana Jacques'a i skończyć z tą sprawą - oświadczyła wieczorem trzeciego dnia, który spędziły w Canyon City. Nieco wcześniej namioty spowiła gęsta, przyziemna mgła, teraz znowu zaczął padać śnieg. Kalifornia nigdy nie wydawała jej się odleglejsza.

Zoe podsunęła się do piecyka i wyciągnęła dłonie.

- Tom powiada, że tragarze dziś wieczorem doniosą resztę bagażu, więc jutro o świcie wyruszamy do Obozu Owcy.

Nie musiały dwanaście razy zawracać po swój ekwipunek, ale i tak nie mogły iść dalej, zanim Indianie się z tym nie uporają. I tak były w dobrej sytuacji, bo drużyna tragarzy potrzebowała zaledwie trzech dni wypełnionych dwunastogodzinnym marszem, podczas gdy poszukiwaczom, którzy taszczyli wszystko na własnych plecach, przebycie tego odcinka zajmie co najmniej dwa lub trzy tygodnie.

Dni oczekiwania nie poszły na marne. Wypoczynek i lecznicza maść sprawiły, że mięśnie Juliette odzyskały

sprawność i prężność, a przenikliwa woń medykamentów maskowała nieprzyjemny odór ludzkiego zbiorowiska. Juliette co kilka minut zerkała na kurtynę śniegu dokoła namiotu w nadziei, że zobaczy Bena, chociaż wiedziała, że jeszcze za wcześnie, by zdążył wrócić z Dyea. Chociaż miał opłacony transport bagaży na całym szlaku, nalegał, by osobiście wziąć na siebie część tragarских trudów. Juliette sądziła, że w ten sposób łątał budżet nadszarpnięty wysokimi opłatami za usługi firmy załadunkowej Toma. Niewielu poszukiwaczy stać było na wynajmowanie tragarzy, więc może Ben utopił w ten sposób cały swój kapitał?

- Chciałam o coś zapytać. Jak wtedy, na szlaku, wyjaśniłaś panu Dare'owi swój wybuch płaczu? - Zoe otrzepała śnieg z kapelusza i płaszcza.

Clara wsunęła do ognia trzymane w ręku szczapy i podniosła głowę znad piecyka.

- Wybuchnęłaś płaczem na szlaku?

No, tak... Zoe radośnie prychnęła i wypaplała Clarze o jej załamaniu.

- Powiedziałaś, że mam „kobięcy dzień” - prychnęła poirytowana Juliette. Gdy kobieta rzucała to hasło, mężczyźni pospiesznie zmieniali temat i przestawali się dziwić jakimkolwiek dziwnemu zachowaniu pań.

- A jaki był prawdziwy powód? - nalegała Clara, podnosząc sardonicznie brwi.

- Byłam zmęczona, wszystkie mięśnie mnie bolały i czułam, że absolutnie nie chcę wlec się po szlaku. Ogarnęła mnie wściekłość na Jeana Jacques'a...

- Najwyższy czas!

- I właśnie wtedy pan Dare wybiegł zza drzew, myśląc, że potrzebuje pomocy. - Juliette zapatrzyła się na wirujące płatki śniegu. Wszystko wydawało się blade i bezbarwne: niebo, śnieg, ziemia... - Byłam taka wściekła! I taka smutna, że nie poznałam Bena, zanim... Poczułam złość, że wyszłam za łajdaka, który mnie okłamał, zabrał mi pieniądze, a w końcu porzucił. - Spuściła głowę. - Nie rozmawiamy o tym wiele, ale ja wciąż rozmyślam o Jeanie Jacques'u i o tym, co zrobił, i doszłam do wniosku, że nie mam już dla niego ani śladu sympatii.

Clara zerknęła na nią, a potem na Zoe.

- Wiecie co? Czasami wciąż czuję zazdrość i gniew, kiedy patrzę na którąś z was i wyobrażam ją sobie z Jeanem Jacques'em, ale za żadną cenę nie chciałabym, żeby do mnie wrócił, nawet gdyby mnie błagał na kolanach. Chcę tylko odzyskać moje pieniądze.

- I ja go nie chcę z powrotem! - przytaknęła zapalczywie Zoe. - Nie zmieniłam jednak zdania i wciąż jestem zdecydowana go zastrzelić. Moja rodzina... przez niego ja... Nie chcę o tym mówić, ale musi zapłacić za to, co mi zrobił.

- Ja! On musi zapłacić.

Juliette wreszcie przyznała, że i ona przekroczyła magiczną granicę i bynajmniej nie pragnie powrotu niewiernego małżonka. Już całe tygodnie minęły, odkąd ostatni raz odprawiała idiotyczne rytuały, mające jej niegdyś zapewnić odzyskanie Jeana Jacques'a.

- Musi zapłacić! - zgodziła się z pozostałymi kobietami.

- Twoja kolej. - Zoe spojrzała na nią przez kłębiący się śnieg. Dla rozrywki zaczęły po kolei opowiadać o swoich rodzinach i dzieciństwie. Dziś wieczorem Juliette opowiedziała, jak utraciła matkę i ojca i wychowywała się w domu ciotki Kibble. Wcześniej obie rywalki wymieniały imiona kawalerów, którzy ubiegali się o ich rękę, więc duma казаła i jej wspomnieć o licznych adoratorach, których nie aprobowała ciotka. Opowiedziała o kółku robótek ręcznych i o chórze. Z przyjemnością opisała rytuał składania wizyt i popołudniowe herbatki w ciotczynym saloniku.

- W Newcastle kobiety cerują i naprawiają odzież - odezwała się Zoe, gdy Juliette umilkła. - Żadna nie ma czasu na haftowanie. I nie mają dni wizytowych, bo w domu wciąż jest coś do zrobienia. Można by powiedzieć, że każdy dzień jest dniem domowym!

- Czemu wspominasz Newcastle z taką goryczą w głosie?

- Nie słuchałaś mojej opowieści? Mama urabia sobie ręce po łokcie, niemal jej palce odpadają, a wciąż jest coś do sprzątnięcia, bo pył węglowy nieustannie wdiera się w każdą szparę. Życie każdego z nas jest związane z kopalnią. Nieustannie nasłuchujesz syreny, która obwieszcza zawał albo gaz w szybie, albo jakąś inną katastrofę. U nas nikt nie ma czasu na leniuchowanie, a kobiety nie urządzają herbatek. Jeśli wspominam z goryczą Newcastle, to dlatego, że tam wyrastałam...

- Twoje dzieciństwo brzmi dla mnie jak bajka! Strasznie chciałabym mieć takich rodziców jak twoi - szepnęła Juliette. -

Braci... - Uwielbiała słuchać o hałaśliwych wieczornych biesiadach przy stole Wilderów, gdzie wszyscy głośno się śmiali i przekrzykiwali nawzajem, o kłótniach rodzeństwa i rodzicielskich reprimendach. Lubiała słuchać wspomnień Zoe o karkołomnych eskapadach jej braci, o tym, jak Pete uczył ją strzelać, a Jack łowić ryby i jak Cal pomagał jej odrabiać lekcje. Bliźniaki bronili Zoe przed zaczepkami starszych dzieciaków, a nieco później niepożądanych adoratorów. Jimmy wciąż wszystkich rozśmieszał swoimi figlami...

Zoe popatrzyła na nią zdziwiona.

- Ależ to ty miałaś życie, o jakim ja zawsze marzyłam! Własną sypialnię, gdzie mogłaś być sama, kiedy tylko chciałaś, służbę, która za ciebie gotowała, sprzątała i prała. Nie wstydzisz się przyznawać, skąd pochodzisz!

- Wszystko bym oddała za taką matkę jak twoja.

Policzki Zoe powlekły się rumieńcem i przez chwilę Juliette oczekiwała, że dziewczyna wybuchnie płaczem. Zdumiona zamrugła i rozłożyła dłonie.

- Czy powiedziałam coś złego? Zrobiłam ci przykrość?

- Jestem zmęczona... pójde spać.

Juliette patrzyła za nią dopóki nie opadła płachta namiotu, po czym zwróciła się do Clary:

- Co ja takiego powiedziałam?

- Czasami myślę, że Zoe ma trudniej niż ja czy ty. -

Clara z zasepioną miną popatrywała w stronę namiotu. - My nie musimy się zastanawiać, co czujemy do własnej rodziny, ani martwić, że ludzie, których kochamy, dowiedzą się, jakie

byłyśmy głupie, skoro zwariowałyśmy na punkcie Jeana Jacques'a.

- Ciotka Kibble z pewnością uważa mnie za taką idiotkę.

- Ale twoja ciotka patrzyłaby z dezaprobatą na każde twoje małżeństwo, z kimkolwiek... choćby było poprzedzone nie wiem jak długim narzeczeństwem. Mam rację? - Clara spojrzała bystro.

- Owszem, nie akceptowała żadnego z moich adoratorów - przyznała zamyślona Juliette.

- Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że w gruncie rzeczy twoja ciotka po prostu nie chce, żebyś wyszła za męża i ją opuściła. Podejrzewam, iż widziała w tobie towarzyszkę na swoje stare lata...

- Och, na litość boską! - Juliette nieraz skrycie rozważała, czy przesadny krytycyzm ciotki w stosunku do kolejnych kandydatów do ręki podopiecznej nie miał egoistycznych pobudek, ale w miarę upływu lat dobrowolnie przyjęła punkt widzenia opiekunki: żaden mężczyzna nie zainteresowałby się nią samą, tylko jej majątkiem.

Clara wstała i kilkakrotnie tupnęła, by otrzepać spódnicę ze śniegu.

- Teraz ja zdenerwowałam ciebie.

- Nie... - Juliette przerwała na chwilę. - Dałaś mi sporo do myślenia.

Ciotka Kibble posłużyła się przykładem Jeana Jacques'a argumentując, że mężczyźni widzą w Juliette tylko pokaźny spadek. Tego obwiesia oceniła trafnie, ale czy miała rację w

przypadku takiego Roberta Wrighta? Albo jeszcze wcześniej, Forresta Braithwaite'a?

Juliette przygryzała w zamyśleniu wargę z oczami utkwionymi w wirujące śnieżynki, wspominając dwóch zalotników -jedynych, którzy na serio ubiegali się o jej rękę. Polegając na osądzie ciotki, odrzuciła obu, niedwuznacznie dając im do zrozumienia, że nie jest zainteresowana ich względami. Patrząc wstecz, jasno widziała, że działała wówczas pod wpływem namów ciotki, a nie własnych przemyśleń czy życzeń. Oto jeden więcej powód, by nie wracać do Linda Vista! Juliette nie zważyła w szczerą przywiązania ciotki, która troszczyła się o nią i pewnie ją kochała. Zrozumiała jednak, że decyzje opiekunki zawsze będą miały za pierwszy cel jej własne dobro, a dopiero potem samej Juliette.

Dobrze, nie wróci do Linda Vista... Gdzież więc miała się udać po ostatecznym sfinalizowaniu małżeńskich perypetii? Całym sercem żalowała, że nie może wyznać Benowi prawdy i poprosić o radę. Jeszcze goręcej zaś sobie życzyła zapomnieć, jak dobrze było poczuć jego ramiona wokół siebie, kiedy przytulił ją do swej szerokiej piersi.

Jej pamięć zachowała woń krochmalonej koszuli i dymu z cygara, zmieszanych z lekkim zapachem męskiego potu. Wspomnienie mocnego dotyku i znajomego zapachu przeniosło ją w bezpieczne i beztroskie lata dzieciństwa. Do tych dawno zapomnianych uczuć przyłączyły się jednak inne emocje, pod wpływem których Juliette zaczęła się niespokojnie wiercić na obozowym stołku.

Ścieżka, szumnie nazywana szlakiem, wiodła wzdłuż rzeki Taiya, wypływającej z Canyon City, w kierunku rozpadliny w skalnym masywie, która otwierała się na płaskowyż ochrzczonej Obozem Owcy. Na ograniczonym urwistymi zboczami skrawku terenu tłoczyły się ze dwa tysiące namiotów, a przed każdym z nich piętrzyła się sterta pakunków. Nad obozowiskiem wisiała gęsta warstwa dymu z setek ognisk.

W oczekiwaniu na Chilkatów Toma, którzy podążali za mmi z ekwipunkiem, Zoe szukała ucieczki przed dokuczliwym dymem i tak zawędrowała na brzeg rzeki. Stamtąd miała dobry widok na nieprzerwany korowód wyczerpanych mężczyzn, którzy dreptali tam i z powrotem po szlaku. Pod podeszwami buciorów mlaskał mokry śnieg. Piechurzy nie odrywali oczu od ziemi, zgięci pod ciężarem pakunków. Niekiedy odróżniała drepczącą za mężczyzną kobietą sylwetkę, również objuczoną plecakiem na miarę skromniejszych sił jej płci. Dwie z obserwowanych niosły w ramionach otulone w kocyki dzieci.

Zoe wiedziała już, że nie jest brzemienna, ale pamiętała bezsenne noce zaraz po spotkaniu Clary i Juliette, kiedy rozmyślała o koszmarnej ewentualności, że jest w ciąży. Dzięki Bogu uniknęła jeszcze i tej komplikacji! Gdyby spodziewała się dziecka, nieszczęście zamieniłoby się w prawdziwą tragedię.

- Grosik za twoje myśli...

Podniosła wzrok na Toma Price'a, który spoglądał na nią z grzbietu zwinnego kasztanka. Miał ręce skrzyżowane na łęku siodła, jakby już od jakiegoś czasu stał na uboczu szlaku, obserwując dziewczynę przycupniętą na nadrzecznym głązie.

- Czy kiedykolwiek zabiłeś człowieka? - spytała nagle. Podniósł brwi w grymasie zaskoczenia, który stęzał w osobliwym uśmiechu.

- Kilku poturbowałem, ale jeszcze nikogo nie zabiłem. Czemu pytasz?

- Tak się tylko zastanawiałam. - Odwróciła głowę ku równinie usianej głazami, ledwie widocznymi spod pokrywy śniegu. Tego ranka opady ustały i zza kurtyny płatków wyłonił się świat skąpany w bieli i szarości. Rzeka toczyła się ku morzu jednostajną falą płynnego grafitu, w którym odbijało się popielate niebo. W bieli śniegu odcinały się przyprószoną siwizną głazy. Nawet ciągnący szlakiem mężczyźni wydawali się dzisiaj szarzy. Z burych kurtek wylaniały się twarze wyprane z koloru. W przygaszonej palecie barw jedynie wierzchowiec Toma odcinał się miedzianą plamą na zgaszonym tle krajobrazu.

- I ja się zastanawiam... tak tylko.

- Nad czymże to? - Diabelnie był przystojny, bez dwóch zdań! Czasami patrzył na Zoe w szczególny sposób, a wtedy fale iskiek spływały jej po krzyżu. Pytające spojrzenie oczu, ślących w jej stronę zielonkawe ogniki, wprowadziło dziewczynę w zakłopotanie.

- Tragarze na szlaku, wszystko idzie gładko... Zdaje się, że mam wolne popołudnie. - Wierzchowiec pod nim zatańczył, wprawiając ciało jeźdźca w płynny ruch, jakby człowiek i zwierzę stanowili jedną istotę. - Zastanawiam się, czy nie pojechałabyś ze mną na piknik u stóp lodowca?

Mężczyźni nie wyprawiali się na samotne pikniki, więc zaproszenie nie było kwestią impulsu z ostatniej chwili. Starannie to zaplanował i przygotował zapasy. Czy miała prawo przyjąć zaproszenie? Ścięgnęła usta w zamyśleniu i dotknęła pierścionka pod rękawiczką. Właściwie do jakiego stopnia była mężatką? Nie знаła się na zawilosciach prawnych, ale fakt pozostawał faktem: wymieniła przysięgę małżeńską z mężczyzną, który wciąż żył i z którym nie wzięła rozwodu. Miała męża, błądzącego gdzieś po bezdrożach Klondike w poszukiwaniu złota.

- Zoe...?

- Zastanawiam się!

Kącki jego ust podniosły się w figlarnym uśmiešku.

- To chyba nietrudna decyzja?

- Wprost przeciwnie.

- Masz inne pilne sprawy? Umówione spotkania?

Zobowiązania... robotę niecierpiącą zwłoki?

Wiedział doskonale, że dziewczyna nic nie ma do roboty z wyjątkiem czekania, aż Indianie doniosą resztę bagaży z Canyon City do Obozu Owcy.

- Czy jeszcze ktoś wybiera się z tobą podziwiać lodowiec?

- Nie.

Obciągnęła palce rękawiczki i wygładziła fałdy spódnicy. Nie była już na tyle młoda i niewinna, by potrzebowała przyzwotki. Z drugiej strony mężatce, dbającej o reputację, nie wypada przebywać na osobności z niezonatym mężczyzną. Ale... nikt z wyjątkiem Clary i Juliette nie wiedział o jej stanie

cywilnym, a nawet one nie orientowały się do końca, jak stoja sprawy w świetle prawa. Wszystkie trzy małżeństwa nie mogły być ważne, więc może jedyne legalne było to pierwsze - z Juliette? A jeśli liczyło się właśnie to ostatnie...?

- Mam świeżutką rybę, dziś rano pływała jeszcze w rzece. I ziemniaki do pieczenia. Biszkopyt pieczone według mojego sekretnego przepisu, a na deser budyń z rodzynkami. Czy to menu pomoże ci podjąć decyzję?

Spojrzała w uśmiechnięte zielone oczy i sama mimowolnie się zaśmiała, wiedząc, jak głupiotki musi się mu wydawać jej wahanie. Był przecież starym przyjacielem rodziny, znali się od dzieciństwa. Cóż komu szkodzi, że spędzą razem popołudnie?

Mógł ją równie dobrze zaprosić na wycieczkę, wiedząc, że jest panią Villette. To zaproszenie było gestem przyjaźni, nie zalotów!

- Z przyjemnością obejrzę lodowiec z bliska!

- Dobrze. Co ostatecznie przeważało szalę? Legendarne biszkopyt mojego wypieku czy mój porywający uśmiech?

- Żadne z tych dwóch... - Zaśmiała się beztrąsko. - Zaczęłam pisać list do domu i oczywiście wspomniałam o spotkaniu z tobą. Mamusia nie przepuści mi, jeśli nie napiszę jej czegoś więcej o twojej firmie załadunkowej, o tym, od kiedy siedzisz na Alasce i jakie masz plany na przyszłość. Bez tych nowin nie odważę się wysłać listu!

Napisała o Tomie w nadziei, że wzmianka o nim złagodzi szok, jaki sprawi matce wiadomość, że jej córka wędruje nad Jukon za mężem nicponiem. Co prawda w swojej relacji pominęła nicponia, ale wiedziała, że matka potrafi czytać

między wierszami i szybko się zorientuje, iż w małżeństwie córki coś nie gra. Zoe spodziewała się, że aluzje i częściowe niedomówienia pomogą przygotować grunt pod późniejsze wyznania.

- Wyślij list przed opuszczeniem Obozu Owcy, bo od tego punktu poczta funkcjonuje w najlepszym razie w kratkę. - Tom podprowadził wałacha do skały i poinstruował Zoe, że ma wstać i wskoczyć na koński grzbiet za jego plecami. Wahala się tylko przez chwilę, po czym uniosła wysoko spódnicę, zadarła nogę i wspięła się na konia. Tom skrupulatnie patrzył przed siebie i nawet, jeśli kątem oka dostrzegł lydkę w wełnianej pończosze, nie dał tego po sobie poznać. Zawrócił wierzchowca od rzeki i skręcił w górę zbocza, skąpo porośniętego kępami drzew. Niegdyś musiał tu rosnąć gęsty las, lecz od kiedy zaczęła się gorączka złota, został przetrzebiony na potrzeby tysięcy obozowych ognisk.

Początkowo Zoe trzymała się sztywno i unikała bliskości, ale kiedy raz omal nie spadła z konia, zrezygnowała ze zbytnej skromności i mocno objęła Toma w pasie. Kiedy poczuł jej ramiona, odruchowo zeszywniał, lecz natychmiast rozluźnił ciało, jak gdyby jej objęcia były najnaturalniejszą rzeczą na świecie. W gruncie rzeczy nie był to bezpośredni kontakt ciał, bo przytulała się głównie do grubej nieprzemakalnej kurtki.

Wspinali się zygzakami coraz wyżej, aż namioty i słupy telegraficzne zniknęły pod warstwą dymu i chmur.

- Słyszysz? To lodowiec! - odezwał się cicho Tom.

- Tak, chyba słyszę... - Niesamowite skrzypienie sprawiło, że Zoe poczuła gęsią skórkę na ramionach. Wiedziała,

że nie byłaby w stanie opisać widmowego zawodzenia, jakby lodowiec, nieubłagane prac naprzód, skarżył się cichutko. Przejęta ogromem zastygłej masy lodu, dziewczyna nie odważyła się przemówić pełnym głosem, gdy Tom zatrzymał konia w błękitnym cieniu szklistej ściany i pomógł jej zsiąść.

- Jak długo istnieje ten lodowiec?

- Czemu szepczesz?

- Sama nie wiem. - Wzięła od niego obrus i rozpostarła go na wielkim, płaskim głazie nieopodal. Kiedyś, za wiele, wiele lat, pochłonie go pracy naprzód lodowiec i nie zostanie nawet ślad po miejscu ich pikniku.

Klejąc ognisko z przywiezionych z dołu szczap, Tom opowiadał jej, co wie o lodowcach, a Zoe pilnie słuchała, by przekazać wszystko w liście do mamy.

- Nie zimno ci? - spytał, widząc, jak dziewczyna przytupuje nogami.

- Troszeczkę - przyznała.

- Rozetrzyj nos, zrobi ci się ciepłej.

Roześmiała się, ale go posłuchała.

- Mogę ci pomóc przygotować jedzenie, jeśli chcesz - zaofiarowała się.

- Nie ma mowy. Czuj się gościem! - Dodał, że dwa duże ziemniaki są już częściowo upieczone, i wepchnął je głęboko pod warstwę gorącego żaru. - W manierce mam grzane piwo.

Nie sądziła, że polubi ten napitek, ale okazał się wcale smaczny, chociaż podejrzewała, że w tych okolicznościach smakowałby jej każdy gorący napój. Stuknęli się kubkami i Tom powiedział:

- Za starą przyjaźń, oby trwała wiecznie! - Spojrzał jej w oczy i pociągnął długi łyk piwa, nie spuszczać z dziewczyny wzroku. - Wciąż jesteś najurodziwszą panną w Newcastle!

- Nie jesteśmy w Newcastle - przypomniała mu, lecz zarumieniła się, mile połaskotana. - Mama zawsze mówiła: „ten chłopak Price'ów potrafiłby namówić anioła, żeby oddał skrzydła”. To miał być komplement, ale częściowo chyba i ostrzeżenie dla mnie.

Niezwłocznie pożałowała, że zdradziła mu uwagę mamy, bo te słowa zdawały się łączyć ich osoby w sposób, jakiego wołała unikać. Zmieszana dziewczyna zaczęła pospiesznie rozkładać talerze i sztućce.

- Przywiozłeś sól?

- Sól, masło do pieczonych ziemniaków... Znajdziesz je w torbie przy siodle.

- Masło?

- Częstuj się, póki możesz! Masło to wielki delikates w okolicach, w które się wybierasz. Jeśli nawet uda ci się je dostać, będzie cię kosztowało fortunę.

Czekali, aż upieką się ziemniaki, siedząc na gładkich w cieniu lodowca i popijając grzane piwo.

- Opowiedz mi, co porabiasz na Alasce - poprosiła Zoe.

- Pewnie wiesz, że zacząłem pracować w kopalni mniej więcej w tym samym czasie co twój brat Jack. Przez kilka lat byłem górnikiem. - Dolał piwa do kubków. - Zawsze sobie obiecywałem, że wydostanę się z Newcastle i poszukam szczęścia i fortuny w szerokim świecie, ale kiedy przyszło co do czego, zostałem, bo tam byli moi przyjaciele i to wydawało mi

się ważniejsze. Po jakimś czasie przeprowadziłem się do jednego z domów przy ulicy wiodącej do szybu „D” i zacząłem popadać w długi w sklepie kopalni. Zwykła kolej rzeczy...

- Moja rodzina wie coś o tym.
- Pamiętasz sobotnie wieczory?
- Dzień wypłaty.
- Wieczór pijatyk, bójek i hulanek. - Uśmiechnął się

bezradnie i wzruszył ramionami. - Kiedyś całą bandą poszliśmy do knajpy Neda. Przyznam bez bicia, że miałem tego w czubie. Potem przyszło paru gości z administracji spółki węglowej. Po kilku kolejkach spytali, czy to my jesteśmy te łachudry, co gadają o strajku. Poszło jedno za drugim...

- I wybuchła rozróżba - dokończyła Zoe. Jako dorastająca dziewczyna w górniczej osadzie słyszała podobne, przygnębiające relacje w każdy dzień wolny od pracy. Pomagała mamie smarować maścią podbite oczy, opatrywać rozcięte wargi, siniaki i poobtlukiwane kłykcie.

Tom kiwnął głową.

- Okazało się, że nieźle im dałem do wiwatu. Omal nie zabiłem jednego ze sługusów spółki, co automatycznie oznaczało koniec mojej kariery w kopalni. Straciłem tygodniówkę, odebrali mi dom i pod groźbą więzienia dali trzydzieści dni na spłacenie długów w górniczym sklepie.

- Jack mi chyba opowiadał o twoich perypetiach. - Teraz przypominała sobie całą historię.

Tom siedział wygodnie, wyciągnawszy nogi, podparłszy się łokciami o głaz. Kapelusz zsunął mu się na tył głowy, na czoło opadły ciemne kędziory.

- Czasy były ciężkie, ludzie gadali, że zbliża się kryzys. W Seattle nie mogłem znaleźć pracy, więc kiedy minęło trzydzieści dni, ukryłem się pod pokładem rosyjskiego kutra jako pasażer na gapę. Sądziłem, że wyląduję gdzieś na Wschodzie, ale jak się okazało, Rosjanie płynęli tutaj. - Ponownie wzruszył ramionami. - Przez jakiś czas łowiłem z nimi ryby, zaoszczędziłem pieniądze na spłatę długu, wreszcie kupiłem kuter i zacząłem pracować na własną rękę.

Zoe próbowała sobie wyobrazić Toma jako rybaka, kapitana własnego kutra. Bez trudu ujrzała go, jak stoi przy sterze. Był typem człowieka, który odnosi sukces we wszystkim, czego się podejmie, szczególnie jeśli to on obejmie kontrolę. Podejrzewała, że lepszy z niego pracodawca niż podwładny.

- Kiedy zaczęła się gorączka złota i ludzie pociągnęli nad Jukon, dojrzałem swoją szansę, nie jako jeden z poszukiwaczy, lecz przy obsłudze ich wędrowni. Odnająłem kuter i założyłem tę firmę. - Spojrzał dziewczynie w oczy. - Zoe, zbiłem na tym majątek! - Pokręcił niedowierzająco głową i się roześmiał.

- Majątek... - powtórzyła cicho.

- No, może nie taki, jaki mają Van Hootenowie. Nie powiedziałbym o sobie, że jestem bogaczem, ale odłożyłem dość, by kupić dom i założyć interes, kiedy skończy się gorączka złota albo kiedy powstanie linia kolejowa przez przełęcz Skagway, co nastąpi prawdopodobnie w przyszłym roku. Mam kuter, mam własny interes i porobiłem pewne inwestycje. Jestem z tego dumny.

- I ja jestem dumna z ciebie - szepnęła ledwie dosłyszalnie, wpatrzona w jego paznokcie. Były czyste, bez śladu czarnej obwódki, charakterystycznej dla górników. Oderwał się od Newcastle i odniósł sukces w świecie. Być może to los postawił go na jej szlaku, by tym wyraźniej ujrzała głupotę ślepej pychy i głębie swej naiwności? Przez całą młodość patrzyła na niego i widziała żużel tam, gdzie kryło się czyste złoto!

- Zostań tu, a ja sprawdzę, co z ziemniakami. Przepraszam, że cię zanudziłem pełną wersją historii pana Toma!

- Wcale mnie nie zanudziłeś. - Patrzyła, jak układa rybę na ruszcie. Sprawność kucharską zdobył pewnie podczas długich dni na szlaku. - Tom? Jak myślisz, czy gdyby nie zdarzyła się tamta bójka, wyjechałbyś z Newcastle?

- Wątpię. Czemu miałbym to robić? Tam zostało wszystko i wszyscy, którzy są mi drodzy. - Powoli obracał rybę nad płomieniami. - Mama i dwie siostry wciąż mieszkają w tej dziurze. Ojciec leży na kopalnianym cmentarzu. Nie, gdyby dali mi wolny wybór, zostalibyśmy w Newcastle.

Zdumienie odebrało jej dech. Wyprostowała się z niedowierzaniem.

- Masz takie osiągnięcia, dorobiłeś się i mimo to mówisz, że wolałbyś zostać w Newcastle i harować w kopalni?

- Warunki pracy górników poprawiają się z każdym rokiem. Oczywiście wiem, że to ciężkie życie, ale tam nikt nie pracuje sam, masz u boku przyjaciół na przodku i kompanów po fajrancie. Masz sobotnie wieczory w knajpie Neda, czasami

potkańcówki, a w niedzielne poranki siadasz w ławce Price'ów w kościele albo gęsto się tłumaczysz wielebnemu Greerowi, dlaczego się nie pojawiłeś na mszy. - Zaśmiał się radośnie.

- Nie wierzę własnym uszom! Wszyscy w Newcastle tylko marzą o tym, żeby się wyrwać w daleki świat, z wyjątkiem ciebie! - Szeroko otworzyła oczy, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu.

Odwzajemnił jej nieprzeniknione spojrzenie.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Oczywiście! Jesteś znakomitym przykładem, co można osiągnąć poza Newcastle i czemu ludzie woleliby wyrwać się z tej dziury. Nie zbiłbyś majątku, gdybyś tam został!

Tom ułożył rybę na talerzach, dodał po pieczonym ziemniaku i po garści biszkoptów. Podał talerz Zoe i rozlał resztę piwa z manierki do kubków, po czym usiadł naprzeciw dziewczyny na płaskim glazie.

- Cieszę się ze swoich sukcesów - odezwał się po chwili milczenia. - Mogę kupić to czy tamto, prowadzić życie, na jakie nie byłoby mnie stać, gdybym został w Newcastle i pracował w kopalni. Ale musiałem zapłacić wysoką cenę, Zoe. To były samotne lata. Nie mam żony ani rodziny, jak Jack i inni przyjaciele. Owszem, znam tu wielu, ale nikogo na tyle dobrze, by wyjawić im historię, którą właśnie opowiedziałem tobie. A nawet gdybym to zrobił, słuchaliby obojętnie, bo ja ich nie obchodzę.

- Ale doszedłeś do czegoś, jesteś kimś! - upierała się Zoe.
- Jesteś kimś lepszym, niż gdybyś został w domu!

Podniósł brwi i przechylił głowę na ramię.

- Jestem inny, ale czy lepszy? Zmieniły mnie doświadczenia i przeżycia, jakich nie miałbym w Newcastle, lecz wciąż jestem tym samym człowiekiem i byłbym nim, gdziekolwiek by mnie rzucił los. Tak samo jak ty!

Tego właśnie nie chciała, przed tym tak się zaciekle broniła! Usiłowała wyrwać z siebie Newcastle, odrzucić spuściznę dzieciństwa, zmyć ją z siebie. Ale ona zawsze pozostanie, jak pył węglowy wżarty głęboko w ciało!

- Już zapomniałeś Dzień Właściciela i procesję? Tom, oni wciąż ją urządzają! Przyjaciele i znajomi właściciele kopalni przejeżdżają ulicami osady, gapią się na każdego jak na śmiecia, bawią się widokiem brudnych górników! - Po jej krzyżu przebiegł bolesny dreszcz. - Nie chcę być śmieciem, chcę być kimś lepszym, żeby nikt się ze mnie nie śmiał ani nade mną nie litował!

- Czemu tak bardzo zwracasz uwagę, co myślą inni? Nikt nie jest w stanie cię upokorzyć, chyba że ty sama im na to pozwolisz, Zoe!

- Mylisz się - powiedziała bezbarwnym głosem. - Ale nie w tym rzecz. Chodzi o to, by się stawać coraz lepszym, by iść do przodu. Wierzę, że każdy potrafi wyrosnąć ponad swoje urodzenie, wyrwać się z dna. Wierzę, że ludzie stają się lepsi dzięki wykształceniu albo ciężkiej pracy, albo dzięki... małżeństwu. - Poczowała płomień na policzkach. W jej przypadku taktyka poprawy poprzez małżeństwo się nie sprawdziła, ale niewykluczone, że ktoś inny mógłby ją zastosować z powodzeniem. Taktyka? Nie, to nie było wyrachowanie! Poślubiła Jeana Jacques'a z miłości - tego była pewna!

Tom rozważał jej uwagi.

- Owszem, można poprawić sytuację materialną albo zdobyć lepsze stanowisko, ale nie sędzę, żeby człowiek stał się lepszy dzięki temu, że zbił majątek, zdobył wykształcenie czy wszedł w korzystny związek małżeński. Jesteśmy, kim jesteśmy: tworzą nas zasady moralne, z jakimi wyrastaliśmy, doświadczenia, które zebraliśmy w życiu, filary naszej wiary i to, co uważamy za naprawdę ważne. Te wartości nie zmieniają się w wyniku wykształcenia czy poprzez ciężką pracę albo małżeństwo.

Rzucił jej uważne spojrzenie.

- Zalety człowieka nie zmieniają się wraz ze zmianą miejsca zamieszkania. Kto był lojalny w Newcastle, pozostanie lojalnym przyjacielem w Nowym Jorku. Uczciwy mieszkaniec Newcastle nie zaczyna kraść na Alasce. Ani ty, ani ja nie lubimy robić długów. Na zawsze zapamiętamy, jak nasze rodziny oszczędzały każdy grosz, żeby spłacić należność w kopalnianym sklepie. Ta pamięć pozostanie w nas, gdziekolwiek los nas rzuci, cokolwiek będziemy robić, kogokolwiek poślubimy. A to tylko jedno oblicze naszej istoty, przykład spuścizny Newcastle, którą na zawsze zachowamy. Nie uważam, by to była zła spuścizna, Zoe! Tam wyrastają ludzie, którzy hołdują dobrym wartościom. Nie uważam Newcastle za miejsce, z którego trzeba się wyrwać, a swojego pochodzenia za ciężar, który należy odrzucić, żeby „wyrosnąć ponad urodzenie”, jak to ujęłaś.

- Chcesz mi wmówić, że nie obchodzą cię ludzie, którzy patrzą na ciebie jak na bezwartościowego śmiecia?

- Chcę ci wytłumaczyć, że nie zgadzam się z ich opinią jeśli taka jest. Te fircyki, które przyjeżdżają na świąteczną paradę, to goście właściciela kopalni, którzy poza nim nie znają nikogo w Newcastle. W moim przekonaniu liczy się opinia tych, których znam, czyli mieszkańców Newcastle, moich kolegów i sąsiadów.

- Skoro tak gorąco zachwalasz uroki naszej osady, tam właśnie powinieneś kupić dom i założyć interes, kiedy skończy się gorączka złota i bum gospodarczy nad Jukonem. - Głos jej zachrypił, pewnie od mroźnego powietrza. - Ja nigdy nie wrócę do Newcastle!

Tom zaśmiał się krótko.

- Do końca życia zachowam więzi łączące mnie z Newcastle, ale cała osada jest praktycznie własnością spółki węglowej, a ja nie zamierzam ponownie napychać im kieszeni! - Skończyli posiłek w milczeniu, po czym Tom zwrócił się do Zoe: - Cóż, teraz kolej na ciebie. Czemu znalazłaś się na Alasce?

On tak żarliwie wierzył, że człowiek, który nie oszuka w Newcastle, pozostanie uczciwy na Alasce, tymczasem wszystko, co mogła mu zaofiarować, to półprawdy i przemilczenia. Po namyśle powiedziała:

- Szukam mężczyzny.

- Ach, rozumiem... - rzucił zdawkowo, ale z tonu jego głosu wywnioskowała, że niczego nie rozumie. - Chodzi o kogoś konkretnego? Czy też masz na myśli mężczyznę jako takiego, na przykład kandydata na męża?

- Konkretnego - wyjaśniła niechętnie, wiedząc, że nie może mu zdradzić więcej, nie łamiąc obietnicy milczenia

złożonej Clarze i Juliette. Poza tym nie chciała, by Tom się dowiedział, że skłamała w sprawie swojego małżeństwa ani że szuka zbiegłego męża.

- Jak się nazywa? Może go znam!

Jeżeliby miał znać Jeana Jacques'a, ten musiałby wybrać szlak przez Dyea, a nie przez przełęcz Skagway. Ponadto musiałby wynająć tragarzy na odcinku przez Chilkoot, i to korzystając z firmy Toma, zamiast którejkolwiek z tuzina innych. Musiałby wreszcie załatwić usługę osobiście u niego, a nie u kogoś z jego przewodników. Oczywiście, taki łańcuch wydarzeń nie był wykluczony, lecz Zoe wątpiła, by właśnie tak było... Miała nadzieję, że tak nie było.

- Nie sądzę, byś go znał. - Szkoda, że w ogóle poruszyła ten temat!

- Zoe, spójrz na mnie. - Posłusznie popatrzyła w jego szczerze zielone oczy. - Mnie możesz ufać.

- Nie chodzi o to, że ci nie ufam. - Podniosła się z kamienia i otrzepała ręce. - Po prostu nie mam ochoty rozmawiać na ten temat z nikim, nie tylko z tobą.

- Innymi słowy, mam się odczepić. - Wyszczrzył zęby w dobrodusznym grymasie, który przeszedł w swobodny śmiech. - Takie ujęcie sprawy potrafię zrozumieć!

- Słuchaj, robi mi się zimno i obawiam się, że moje towarzyszkę mogą się martwić, gdzie się podziałam.

Podniósł się i zaczął zbierać zastawę.

- Różnimy się w sposobie patrzenia na świat, prawda? - rzekł. - To śmieszne, bo wydawało mi się, że się zrozumiemy!

Dziwne, ona również zakładała, że będą się zgadzać we wszystkim, i była zawiedziona, nawet rozczarowana. Wyraz na twarzy Toma zdradził, że czuje podobnie.

Rozrzucili popiół z ogniska przed czołem lodowca, jakby składali ofiarę, potem włożyli do juków talerze i kubki. Zoe zaczekała przy koniu, aż Tom starannie zakopie odpadki jadła.

Wyłonił się zza załomu skały i szedł w stronę dziewczyny stanowczym krokiem, nie spuszczając z niej wzroku. Zanim pojęła, co zamierza; ujął w zimne od śniegu dłonie jej twarz i uniósł lekko jej głowę.

- Przez całe lata obiecywałem sobie, że jeśli kiedykolwiek będę miał okazję pocałować Zoe Wilder, zrobię to, albo do końca życia będę sobą pogardzał. Ale nie przypuszczałem, że naprawdę zdarzy mi się okazja!

Dał jej chwilę, by zrozumiała, co zamierza uczynić, i mogła się cofnąć, gdyby chciała. Ale zaskoczenie i... coś w rodzaju ciekawości - jak sądziła - sprawiły, że nie ruszyła się z miejsca. Utkwiła w nim szeroko otwarte oczy i rozchyliła wargi.

Nie spieszył się. Kiedy się upewnił, że dziewczyna nie ma zamiaru się cofnąć, pogładził jej policzek grzbietem dłoni i delikatnie przesunął kciukiem wzdłuż dolnej wargi. Rozchylił poły kurtki i przyciągnął ją do siebie, po czym sięgnął pod jej płaszcz i otoczył ramionami w talii.

Zoe zapało dech w piersiach. Wiedziała, że nie wolno tego robić, że powinna się odsunąć, zanim przekroczą niedozwoloną granicę. Lecz tkwiła jak skamieniała w siódkach zielonego spojrzenia, niezdolna do najmniejszego ruchu.

Jego dłonie zacisnęły się wokół talii dziewczyny. Bardzo powoli zaczął przyciskać ją do siebie, aż całym ciałem poczuła naprężone mięśnie. Każdy jego ruch był płynny, wyważony i celowy, bez odrobiny niezdatności czy wahania. Pasowali do siebie jak za sprawą magii. Tom przytrzymał ją blisko, aż poczuli wzajemnie ciepło swoich bioder i brzuchów. Cały czas patrzył jej w oczy, a Zoe miała wrażenie, że jego spojrzenie roznieca setki drobnych ogników, które przebiegają wzdłuż nerwów, aż obojgu zaschło w ustach.

Zaczęła się lękać, że dłużej nie zdoła ukryć wewnętrznego napięcia i zacznie drżeć na całym ciele, a serce, łomoczące o żebra, wyrwie się z piersi. Wreszcie Tom zbliżył usta do jej warg. Gorący dreszcz podniecenia przeszył ją całą, aż zapomniała, że stoją w cieniu lodowca. Zapłonęła pod dotykiem jego warg i ciała. Powodowana nieoczekiwanym pragnieniem, podniosła ramiona i zarzuciła mu na szyję. Czuły i delikatny z początku pocałunek stopniowo przechodził w pieszczotę, jakiej Zoe się nie spodziewała. Raptem całe jej ciało wybuchło wielkim krzykiem namiętności. Dłonie Toma wokół jej talii stężały, przysuwał się coraz bliżej, jak człowiek wiedziony głęboką potrzebą. Niebiosy były świadkiem, że ona czuła równie palące pragnienie bliskości.

Kiedy wreszcie zdołali się od siebie oderwać i spojrzeć sobie w oczy, oboje ciężko dyszeli.

- Mój Boże! - szepnęła Tom.

Zoe w ogóle nie mogła wydusić z siebie słowa. Zwisła bezwładnie w jego ramionach, opierając czoło o masywny bark. Dusila się łkaniem.

Wszystko było nie tak! Tom był chłopakiem z Newcastle, który dumnie twierdził, że zawsze nim pozostanie. Ona była mężatką. Okłamała go, mówiąc, że jest wolna, i nie mogła ujawnić prawdy: że podążyła nad Yukon, by odnaleźć i zabić mężczyznę, którego poślubiła i który się sprzeniewierzył przysiędze małżeńskiej.

- Proszę... - szepnęła i wysunęła się z jego ramion. - Proszę, nie rób tego więcej!

Wydawało jej się, że mija wieczność, a on wciąż patrzy na nią bez słowa. Wreszcie jego rysy stwardniały i zaczął ją przeproszać. Położyła mu palec na ustach.

- Nie, przestań. Jestem równie winna co ty. Mogłam i powinnam się cofnąć. Mogłam i powinnam powiedzieć, że tego nie chcę.

- Ale czemu?

To nie umowa z pozostałą dwójką, zobowiązująca do zachowania tajemnicy ich małżeństw, lecz duma i nic poza nią hamowała jej język. Poturbowana kobieca duma pragnęła ponad wszystko, by Tom widział w niej kobietę godną pożądaną, a nie głupią, naiwną frajerkę, oszukaną i porzuconą bez skrępowań.

- Wolę, żebyśmy pozostali przyjaciółmi. - Odsunęła się nieco.

- Zawsze nimi będziemy.

- Przyjaciele się tak nie całują. Lepiej udawajmy, że nic między nami nie zaszło.

Przez długą chwilę milczał, wreszcie dotknął ramienia dziewczyny.

- Ale coś zaszło, Zoe. Nie wyobrażałem sobie, że tak będzie. Ty też tego nie przewidywałaś. Nie zmienimy naszych uczuć, udając, że nic się nie stało.

- Sądzę, że powinniśmy już jechać - nalegała i mrugając, ruszyła w stronę kasztanka. Chciał, żeby przyznała, że i ona coś czuła, ale Zoe za żadną cenę nie mogła tego zdradzić!

Może jeszcze pamiętała o resztkach lojalności w stosunku do mężczyzny, któremu przysięgała wierność. Może dotkliwie odczuwała niestosowność swojego zachowania. Bo przecież wciąż nosząc na palcu symbol związku z jednym, przytulała się do drugiego? A może po prostu nie chciała przyznać, że pożąda chłopaka z Newcastle...?

Tom w milczeniu dosiadł wierzchowca i wyciągnął dłoń, by pomóc jej wskoczyć na siodło. Po chwili wahania Zoe owinęła go w pasie ramionami i oparła policzek o szerokie plecy.

Oczy ją piekły od niewypłakanych łez. Gdyby Jean Jacques Villette w tej chwili pojawił się przed nimi, zastrzeliłaby go bez namysłu i bez najłżejszych wyrzutów sumienia!

Od obozu Owcy szlak skręcał ostro pod górę i przecinał krótki odcinek, który ze względu na swoje płaskie ukształtowanie przed końcową stromizną znany był jako Szala Wagi. Clara pokonała trzymilowe podejście, brnąc w głębokim śniegu, którego warstwa zaczęła maleć dopiero, gdy dotarła do szali. Tam zatrzymała się, pomna wcześniejszej umowy: w tym punkcie szlaku miała się spotkać z Juliette i Zoe.

Kiedy uspokoiła oddech, podniosła wzrok na przełęcz Chilkoat i serce w niej zamarło. Piechurzy gęsiego pięli się pod kątem czterdziestu pięciu stopni po trzystumetrowym zboczu. Nagi stok bez jednego nawet drzewka, cały pokryty śniegiem, z miejsca, gdzie stała Clara, wydawał się niemal pionowy. Tu i ówdzie z monotonnie pełznącego naprzód węża wyłamywała się figurka wyczerpanego do cna wspinającego się i w tumanie śnieżnego pyłu toczyła się prosto w dół w niekontrolowanym i ryzykownym pedzie. „Kontrolowane” zejście leżało daleko na prawo od szlaku wspinaczki. Niezliczeni wędrowcy, którzy po dotarciu do szczytu zjeżdżali w dół na siedzeniach spodni, by na dnie doliny załadować na plecy nową porcję ekwipunku, wryli w śniegu koryto, popularnie zwane „jak po smarze”. U stóp stoku oryginalni saneczkarze wstawali, otrzepywali się i podejmowali od nowa niewiarygodną wspinaczkę...

- Stąd mamy jeszcze trzy do sześciu godzin do celu - usłyszała mrukiwy głos. - Niestety, o tempie decyduje najsłabszy wspinający się.

Zsunęła gruby szal, osłaniający usta i nos, za wszelką cenę starając się nie dać po sobie znać, że na dźwięk tego głosu jej puls zerwał się do szaleńczego biegu.

- Jak udaje im się utrzymać na nogach na tej stromiźnie? Nie spuszczała wzroku z ludzkiego węża, który z tej odległości wyglądał jak pochód nieustępliwych, pracowitych mrówek.

- Widzi pani tych ludzi stojących tam na dnie? Wycinają w śniegu schody, półtora tysiąca stopni. Kto chce z nich skorzystać, a wszyscy to robią musi zapłacić.

Skinęła głową. W tej dzikiej, niegościnniej krainie roilo się od spryciarzy, którzy umieli wykorzystać każdą okazję, by złupić poszukiwaczy złota, prących w ślepym pędzie na wymarzone złotodajne pola. Bogacił się i rząd, którego przedstawiciel - członek Kanadyjskiej Policji Konnej - ścigał podatek celny z wszystkich towarów na przełęczy Chilkoot. Dopiero wówczas cheechako mogli wkroczyć na ziemię Kanady. Żeby przetrwać tę podróż, trzeba było mieć dobrze wypchaną sakiewkę!

Clara, nie spoglądając na twarz rozmówcy, pomyślała, że poszarpana linia gór okalających dolinę przypomina jego kanciaste, srogie oblicze. Cofnęła się o krok, lecz Niedźwiedź podążył za nią przysuwając się jeszcze bliżej. Zapadło między nimi wymowne milczenie.

- No, dobrze... - przerwał je wreszcie mężczyzna. Z jego ust uleciał w mroźne powietrze obłok pary. - Przepraszam, że głośno powiedziałem, że łatwiej by było, gdybyś była kobieta

łatwego prowadzenia... czy jak tam się wyraziłem. Nie chciałem cię obrazić, przysięgam!

Trwała niewzruszona jak kamienny posąg, choć stopy marzły nieznośnie mimo butów na futrze i grubych wełnianych pończoch. Wreszcie otworzyła usta.

- Przyjmuję pańskie przeprosiny. - Ustąpiła, co było do przewidzenia dla obojga.

- Gdyby chociaż raz udało nam się zakończyć rozmowę bez sprzeczek!

Odwróciła głowę, by móc na niego spoglądać przez rzadniejącą kurtynę śniegu, i gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Czym pan sobie wysmarował całą twarz, na Boga?!

- Tłuszcz zwierzęcy zmieszany z drzewnym popiołem. Polecam pani i jej towarzyszkom. Doskonale chroni przed mrozem i wiatrem.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki Clara uświadomiła sobie, że policzki wystawione na arktyczne temperatury i silny wiatr z lodowca palą ją niczym ogień, ale jakoś nie mogła sobie wyobrazić, że nakłada na twarz tę wstrętną packę. W brązowych niedźwiedzych oczach wyzierających z popielatych obwódek pojawiły się iskry rozbawienia; drgnęły usta, które, jak nagle zauważyła, w masce z tłuszczu i smolnego pyłu wydawały się jeszcze bardziej wydatne. Czując suchość w ustach, pospiesznie skierowała wzrok z powrotem na wędrowców, wspinających się po lodowych schodach.

- Czy myślała już pani o naszym rewanżowym pojedynku?

- Nie przypominam sobie, bym się w ogóle na taki godziła!

- Wydaje mi się, że moglibyśmy grać trzy razy. Komu dwa razy udałoby się pokonać przeciwnika, ten zostałby zwycięzcą.

Czuła tuż przy sobie jego silne, mocne ciało. Patrzyła, jak obłoczki pary z ust olbrzyma owiewają jej kapelusz i rozplývają się w nicość.

- Może... pomyślę o tym - rzuciła z uśmiechem.

- Przepysznie! - Radość w jego głosie wzbudziła jej ciekawość. Czyżby musiał znowu walczyć w obronie honoru, nadwątłego przegraną w pojedynku z kobietą, albo znosić uszczypliwe docinki kompanów? - A teraz gotowa jest pani rozpocząć wspinaczkę? Pójdę za pania.

Gdyby się zgodziła, czułaby przez następne trzy do sześciu godzin jego oczy na swoich pośladkach i dręczyła domysłami, co chodzi mu po głowie, oraz własnymi niestosownymi myślami. Westchnęła, a w powietrze uleciał kolejny obłoczek. Ten kudłaty olbrzym doprowadza ją do szału! Najlepszy dowód, że w tej chwili miała nieprzepartą chętkę przewrócić go w śnieg i skoczyć na niego całym ciężarem. Wstyd, że obecność tego mężczyzny wypierała wspomnienia o Jeanie Jacques'u, złodziejskim obwiesiu, mężu od stu boleści!

Raptem wyteżyła wzrok, próbując przebić kurtynę śniegu.

- Czy to nie Juliette jest wśród wspinających się tam na dole?

Niedźwiedź przymrużył oczy, spojrział bystro i przytaknął:

- Wygląda jak ona.

- Ale umówiliśmy się, że wszystkie trzy spotkamy się na szali i razem zaczniemy podejście!

Po kwadransie przepychania przez czekających, ignorując płynące w ślad za nimi oburzone okrzyki, Clara i olbrzym dotarli do Juliette.

- Co ty wyrabiasz? Miałaś poczekać na mnie i Zoe! - Juliette nie przestawała jej zadziwiać. Jeszcze przed kilkoma dniami Clara gotowa była postawić cały swój kapitał, że razem z Zoe będzie musiała ją taszczyć na przełęcz Chilkoot, a tu, patrzcie tylko, pierwsza dołączyła do czekających na rozpoczęcie wspinaczki!

Juliette podniosła na nią zażławione oczy i szarpnęła oszroniony szal, osłaniający jej brodę i szyję.

- Jeśli zatrzymam się i zacznę myśleć, nigdy się nie odważę! Muszę iść bez przystanku, bez namysłu... - Ścisnęła dłoń. - Och, Boże, ja... och, Panie litościwy! To będzie...

Szereg oczekujących drgnął i postąpił krok do przodu, popychając Juliette bliżej pobierających opłatę. Clara obrzuciła zamyślnym spojrzeniem filigranową sylwetkę towarzyszkę i jej delikatną twarzyczkę. Spódnice już teraz utyłaną miała w śniegu, jej pokryty lodem rąbek zeszywniał. Policzki płonęły od mrozu żywą czerwienią. Plecak z drugim śniadaniem i manierką gorącej herbaty zdawał się ją przytłaczać; aż lęk brał, że przy kolejnym kroku kobieta upadnie. Wydawało się niepojęte, iż owa mała postać porusza się na wspinaczkę, przed którą cofali się o wiele silniejsi mężczyźni.

Jakby w odpowiedzi na refleksje Clary za ich plecami rozległ się przeraźliwy okrzyk. Odwróciła się w porę, by ujrzeć

upadek kolejnego śmiałka, który przed chwilą wycofał się z pełzającego pod górę węża. Koziółkował, odbijając się od pokrytych śniegiem kamieni, aż wylądował na samym dole, nieopodal skupiska czekających. Kilka osób ruszyło na pomoc, gdy stało się jasne, że niedoszły zdobywca przełęczą połamał sobie kości.

Clara nie znalazła słów na odpowiedź, z wyjątkiem nieporadnego:

- Spotkamy się na szczycie... z panem również. -
Skinęła głową Niedźwiedziowi i ruszyła na poszukiwanie Zoe.

- A więc na szczycie zapraszam panią na tę obiecaną kawę! - Olbrzym pomachał do niej na pożegnanie, jakby dodając otuchy, po czym z niejakim sceptycyzmem obrzucił spojrzeniem wąż sylwetkę Juliette i odszedł swobodnym krokiem.

Clara znalazła wreszcie Zoe na szali, wpatrzoną osłupiałym, bojaźliwym wzrokiem w niebotyczne wzniesienie.

- Wołałabym pożeglować dokoła świata, niż wyruszyć na ten stok - wyszeptła w odpowiedzi na pytanie Clary, czy jest gotowa do wspinaczki.

Towarzyszka wiedziała, jak ją zachęcić.

- Juliette jest już w szeregu.

- Co? - Zoe określiła się gwałtownie i zmrużyła oczy, patrząc pod słońce na długi wąż śmiałków. Przez całą minutę mamrotała pod nosem przekleństwa, wreszcie odetchnęła.

- Do licha! Czy towarzyszy jej Ben Dare? Czy ona usiłuje wyrzucić na nim wrażenie?

- Nie widziałam go.

- Cholera! - W tym krótkim okrzyku Zoe zawarła całą głębię niekoniecznie pozytywnych uczuć, tupnęła w śnieg i zazgrzytała zębami. - Nawet nie potrafię wyrazić, jak nienawidzę Jeana Jacques'a! Mam szczerą nadzieję, że będzie się całą wieczność smażył w piekle, kiedy już odstrzelę mu łeb!

- Żeby go zastrzelić, musisz go najpierw znaleźć, a to oznacza wspinaczkę na przełęcz Chilkoot. - Clara utkwiała wzrok w wężu pełzającym do góry z mrówczą cierpliwością i serce w niej zadrżało. Jakże przydałoby jej się teraz słowo otuchy z ust Niedźwiedzia! Cóż, kiedy on - jak jej towarzyszyki - zdawał się z góry zakładać, że lęk jest Clarze nieznany. Stara, poczciwa Clara, silna jak koń pociagowy, poradzi sobie ze wspinaczką bez trudu, nie ma obaw! Tymczasem paraliżował ją śmiertelny lęk, że nogi zawiodą w połowie drogi, że ulegnie panice albo pośliznie się i spadnie na dno doliny, łamiąc wszystkie kości. Wspinaczka nie należała do jej ulubionych zajęć. W milczeniu obserwowała mężczyznę, zmierzał w górę, trzymając na barkach psa. Stromizna zbocza uniemożliwiała wspinaczkę zwierzętom, więc psy pociagowe trzeba było wnosić na przełęcz na plecach. Większość będzie musiała powtórzyć ten manewr siedem czy osiem razy - z obciążeniem co najmniej pięćdziesięciu kilogramów. Zoe zacisnęła pięści z determinacją.

- No, dobrze, ruszajmy na tę cholerną przełęcz! - zawołała Zoe.

- Idź przodem... ja dołączę za chwilę - obiecała Clara i patrzyła, jak dziewczyna dziarskim krokiem zmierza do kolejki oczekujących na wspinaczkę. Została sama ze swymi ponurymi myślami.

Prędzej rozebrałaby się do naga i tarzała w śniegu na oczach wszystkich zebranych, niżby przyznała, że boi się bardziej niż Zoe i Juliette! Wzięła się w garść i ruszyła w stronę czekających na swoją kolej do lodowych stopni.

Wspinaczka na przełęcz Chilkoot okazała się dla Juliette najgorszym doświadczeniem dotychczasowego życia. Absolutnie, niezaprzeczalnie najgorszym! Powietrze na tej wysokości było tak rozrzedzone, że płuca walczyły o każdy jego łyk. Stopy i dłonie aż swędziały od mrozu. Przed oczami przez cały czas kołysał się pięćdziesięciokilogramowy bagaż Indianki, która ją poprzedzała w szeregu wspinających się na przełęcz. Jej plecy zasłaniały Juliette widok, nigdy więc nie wiedziała, czemu pochód się zatrzymuje czy rusza dalej. Jak wszyscy inni, korzystała z każdej takiej chwili wytchnienia, by nabrać sił i uspokoić oddech. Wtedy jednak do jej świadomości docierały sygnały z mięśni łydek, które bolesnymi skurczami protestowały przeciw wysiłkowi monotonnej wspinaczki. Po chwili wąż ruszył, ale jej nogi drżały konwulsyjnie, plecy pękały z bólu, gardło wyschło do szczytu, płuca rozpaczliwie łapały powietrze. Nie zdoła iść dalej.

Chwiejnie wystąpiła z szeregu i usiadła w śniegu, zapierając się obcasami, by nie upaść. Przedstawiałaby widok uchybiający godności damy, koziółkując w dół zbocza z nieprzystojnie zadartą spódnicą. Opuściła głowę na kolana i z trudem łapała oddech, czując drżenie wszystkich części ciała. Nie miała pojęcia, jak długo tak siedzi. Obok przesuwiał się niestrudzenie wąż wspinających się, napelniając ją mglistym

poczuciem winy. Mimo że wypła całą gorącą herbatę z manierki, zesztyniała z zimna. Siedziała tak do chwili, gdy tuż koło niej osunęła się wyczerpana do szczętu Zoe. Zasapana i zadyszana dziewczyna ledwie wykrztusiła:

- Umieram! Wszystko mnie boli. Ten plecak waży milion funtów. Przysięgałam sobie, że nigdy nie podziękuję ci za pomoc w opłaceniu tragarzy, ale... dziękuję! Gdybym miała jeszcze raz pokonać tę trasę, zastrzeliłabym się chyba.

- Już ci mówiłam, że ja nie...

- Pamiętaj: powiedziałam, że jestem ci wdzięczna!

Beznadziejny sprzeciw! Juliette zmieniła temat:

- Przynajmniej przestało padać.

Nie wiedziała, czemu akurat te słowa przysły jej do głowy. Śnieg nie miał przecież najmniejszego wpływu na uciążliwość wspinaczki czy stromiznę lodowych schodów. Siedziały w milczeniu przez całe pięć minut. Juliette modliła się w duchu, by Zoe zaproponowała: „Ześlizgnijmy się na dół i wracajmy do domu. Zapomnijmy o istnieniu Jeana Jacques'a Villette'a!” Tymczasem jej towarzyszka zawołała:

- Patrz! Tam idzie Tom i niesie dwa psy, na każdym ramieniu jednego!

Kiedy Tom spostrzegł odpoczywające panie, zatrzymał się, zmuszając do postoju wszystkich idących za nim mężczyzn. Milcząco wskazał im miejsce przed sobą w szeregu piechurów. Zoe mruknęła coś pod nosem, ale posłusznie weszła na schody. Tom utkwiał spojrzenie w Juliette i czekał.

To duma dźwignęła ją w końcu na nogi i kazała włączyć się do szeregu. Humor poprawił jej nieco widok mijanych

mężczyzn, którzy też wycofali się bez tchu. Więc nie tylko ona miała trudności! Mimo wszystko zaczęła poważnie wątpić, czy uda jej się dotrzeć do celu. Płuca bezskutecznie walczyły o tlen, mięśnie nóg paliły żywym ogniem, stopy stały się ciężkie jak ołów i coraz ciężiej było odrywać je od ziemi. Uszła, ile zdołała, po czym znowu wypadła z szeregu i rzucając Tomowi przeproszające spojrzenie, osunęła się na śnieg, cała spocona i zdyszana, nieomalże pewna, że ma atak serca. Z tego miejsca odległość od dna doliny była już spora i Juliette poczuła przerażenie na myśl o karkołomnym zjeździe, ale uznała, że nie ma innego wyjścia, bo nie starczy jej sił, by dotrzeć na przełęcz. Nagle usłyszała wydany tubalnym głosem rozkaz:

- Wstawaj, kobieto! Jeśli będziesz siedziała na mrozie cała spocona, przyplacisz do życia!

- Nie mogę... - Pokręciła głową płacząc z wyczerpania.

- Pomogę ci. - Mężczyzna ujął jej dłoń, szarpnięciem postawił ją na nogi i wciągnął do szeregu.

Poczuła na pośladkach rozłożyste dłonie; popychał ją przed sobą do góry. Policzki, i tak już czerwone od mrozu, zapłonęły rumieńcem zażenowania. Zbyt była przemarznięta, by czuć męskie dłonie przez warstwy halki, spódnicy, płaszcza i jego rękawiczek, ale to z pewnością było niestosowne - mimo to nie sprzeciwiła się osobliwej pomocy, która ułatwiła jej krok, jeszcze jeden i kolejny... Wreszcie nawet asysta Niedźwiedzia okazała się niewystarczająca. Juliette wyczerpała już wszystkie siły i doszła do kresu.

- Przepraszam... - szepnęła i potykając się, wypadła z szeregu.

Jej zbawca zmarszczył czoło, pokryte warstwą zmieszanego z popiołem tłuszczu, potem wzruszył ramionami i poszedł dalej. Chciało jej się płakać. Stromy zjazd - jedyna droga w dół - napełniał ją przerażeniem, wiedziała jednak, że ołowiane stopy nie zdołają uczynić ani kroku dalej, utrudzone płuca nie wciągną już ani łyku powietrza, drżące ciało już jej nie posłucha. Utkwiła na dwóch trzecich trasy na przełęczy. Nie mogła iść dalej i za bardzo się bała, by zaryzykować zjazd w dół. Nie wierzyła, że wyjdzie z niego cała. Szlochając, zjadła kanapkę i ostatnie jabłko. Nie z głodu, lecz by zmniejszyć ciężar plecaka.

- Ty żałosny mięczaku!

Otworzyła oczy, dławiąc się własną bezsilnością, i ujrzała przed sobą Clare, która zatrzymała się na lodowych stopniach i patrzyła na nią oczami rozjarzonymi gniewem.

- Wstawaj i do szeregu! - syknęła. - Pozwalasz każdemu mężczyźnie, który cie mija, utwierdzać się w przekonaniu, że nad Jukonem nie ma miejsca dla kobiet. Należymy do płci słabej i nie nadajemy się do niczego! - Za każdym słowem tyrady musiała nabierać oddechu, sapiąc ciężko z umęczonych płuc. - Dołącz do szeregu, zanim do reszty zhańbisz swoją pleć. Bądź mężczyzną!

- Nie jestem mężczyzną - zaprotestowała Juliette słabym głosem i zamruła. Rzęsy sklejał jej szron, łyżki zamarzały. -Przyznaję, że nie jestem dość wytrzymała. Maja rację: jesteśmy słabsze.

- Jeśli ja mogę wytrzymać, to i ty potrafisz! Do diabła, na nogi i ruszaj naprzód! I to już!

Cały szal i spódnicę Juliette miała utyłane w śniegu, który zamienił się w lód, usztywniając fałdy tkaniny. Nie była zdolna wstać i włączyć się w szereg, nie mówiąc już o wysiłku pokonywania kolejnych lodowych stopni. Poczowała przelotne ukłucie goryczy na myśl, że Zoe i Clara zwyciężą, gdy ona uległa. Gniew dodał jej siłę, zasilił mięśnie świeżą falą energii i odnowił pierwotne postanowienie. Wysiłkiem woli dźwignęła się na nogi i podjęła mozolną wspinaczkę, tym razem trzymając się za Clara, wsłuchana w jej urywane sapanie i wpatrzona w drżące łydki pod spódnicą zadzieraną wiatrem. Szereg pełną naprzód metr po metrze, powoli, lecz nieustępliwie.

Niebawem znów nadszedł moment, w którym nie znalazła dość siły, by unieść stopę. Wiedziała, że to koniec. Mięśnie, nadwątłone godzinami wspinaczki, odmówiły posłuszeństwa, wyschnięte gardło paliło przy każdym bolesnym łyku lodowatego powietrza. W każdej chwili groził jej upadek do tyłu pod ciężarem plecaka. Jak zwierzę, ślepo szukające ulgi, po omacku wystąpiła z szeregu i usiadła na kamieniu zagrzebanym w kilkucentymetrowej warstwie śniegu. Przeklinała się za głupotę, która wyniosła ją tak wysoko, zamiast pozwolić się wycofać i zjechać w dolinę tam, gdzie do podnóża było jeszcze niedaleko. Teraz, gdy spojrzała w dół, ujrzała trzystu-metrową przepaść. Miała przeczucie, że przy karkołomnym zjeździe połamie sobie wszystkie kości, a może nawet zginie. Mimo to nie widziała innego wyjścia; do szczytu nie dotrze na pewno! Po ściągniętych mrozem policzkach spływały bezradne łzy lęku.

- Doskonały pomysł, taka chwila odpoczynku - pogratulował Ben i przysiadł na głazie koło niej. Nie widziała, że się zbliża; pojawił się jak za sprawą magii. Tak się cieszyła, że go widzi! Obróciła się oślepiona łzami, spuściła głowę i przycisnęła czoło do jego piersi.

- Już dalej nie mogę... - poskarżyła się głosem wstrząsanym szlochaniem.

Trzymał ją mocno, jakby lękając się, że ześlizgnie się w dół stromizny.

- Jesteśmy prawie u celu. Jeszcze ze dwadzieścia metrów do szczytu!

Cóż, dwadzieścia metrów czy mila - nie robiło jej to żadnej różnicy. Nie mogła zrobić ani kroku. Wyznała mu tę straszną prawdę, płacząc, aż zabrakło jej łez. Wtedy nagle uświadomiła sobie, że na oczach setek piechurów wlokących się po lodowych schodach siedzi na śniegu w objęciach mężczyzny, który zanurza usta w jej włosach. Niestosowność sytuacji wstrząsnęła nią do głębi. Odsunęła się.

- Nie ruszaj się tak gwałtownie - ostrzegł Ben z wyrazem troski w ciemnych oczach. Z każdym słowem z popękanych ust ulatywał obłoczek pary, muskając jej policzki dawno zapomnianym ciepłem. - Mogłabyś wywołać lawinę albo zsunąć się za krawędź. Gdybyś zaczęła się zsuwać, zatrzymałabyś się dopiero na dnie. - Silne palce obejmowały jej ramiona przez rękawy płaszcza, chroniąc ją przed katastrofą.

Broda Bena wyrosła już do normalnej długości. Zwyczajem innych poszukiwaczy złota dbał o to, by była nieco zmierzwiona. Jak inni, miał na sobie spodnie z mocnej tkaniny,

odpowiedniej na każdą pogodę, obszerny sweter i płaszcz z drelichu. Na czas wspinaczki odpiął z niego futrzaną podszewkę.

Musnęła czubkami palców w rękawiczkach zieloną chustę, którą przewiązał przez dziurkę od guzika płaszcza.

- Czy twoja żona wytrzymałaby to? - Dobry Boże! Skąd przyszło jej do głowy takie pytanie? Dotychczas unikała jak ognia myśli o jego zmarłej żonie, tak jak usiłowała nie wracać wspomnieniem do swojego jeszcze żyjącego małżonka.

- Helen? Wątpię. - Uśmiechnął się i ostrożnie przekreślił pasy plecaka, przesuwając go na piersi. Wyjął z niego manierkę. - Gorąca kawa - zaoferował.

Juliette podniosła blaszany pojemnik do ust, niepomna ludzi mijających ich żółtym krokiem ani przepaści ziejącej tuż za czubkami butów. Okropne, że nie mieli filiżanek i musiała łykać wprost z manierki na oczach obcych, ale gorący płyn był jej potrzebny bardziej niż przestrzeganie dobrych manier.

- Helen dowiedziałyby się wszystkiego o Chilkoot, Jukonie i poszukiwaniu złota. Umiała dotrzeć do najmniejszego strzępka informacji i uwielbiała je zbierać. Podobałby się jej bardzo pomysł, by tu przyjechać, ale nigdy nie wyruszyłyby w drogę.

- Podczas gdy mnie od samego początku odstręczał pomysł tej wyprawy, a jednak znalazłam się tutaj - skomentowała ponuro. Ponownie przyjęła manierkę i pociągnęła łyk kawy, czując, jak ciepło spływa przez wyschnięte gardło do ściśniętego z wyczerpania żołądka. - Opowiedz mi o coś o żonie - podjęła. Złapała już oddech i mogła mówić tonem

swobodnym, jakby prowadzili salonową rozmówkę. -To znaczy... jeśli nie sprawia ci to bólu i jeśli masz ochotę o niej mówić.

W tej chwili nie widziała nic dziwnego w tym, że siedzi w śniegu tuż pod wyniosłym szczytem Alaski, patrząc w otchłań pod stopami, a setki mężczyzn obarczonych bagażem przesuwiają się o niecały metr od niej. Wprost przeciwnie - to było dla niej jedyne możliwe miejsce: brakowało jej sił, by dowiec się do przełęczy, a powrót na dół skończyłby się pewnie tragicznie.

- Helen była godną podziwu kobietą - odezwał się Ben po chwili milczenia. - Niestrudzona w wysiłkach promowania sprawy sufrażystek, zwolenniczka równouprawnienia kobiet, pomogła obnażyć haniebne cierpienia Chinek, sprzedawanych w niewolę i zmuszanych do prostytucji.

Otwarte z wrażenia usta Juliette zaokrągliły się ze zdumienia. W jej obecności wypowiedział słowo „prostytucja”! I to rzeczowym tonem, jakby nie zdawał sobie sprawy z całej niestosowności tej rozmowy! Powinna zatkać uszy palcami obciągniętymi w wełniane rękawiczki i odejść w popłochu, by nigdy więcej się do niego nie odezwać. Ale czy rzeczywiście byłaby to właściwa reakcja? Czy to możliwe, by zasady przyzwoitości ciotki Kibble były sztywniejsze niż przyjęte ogólnie? Powinna o tym pomyśleć... później.

- Mieliście dzieci? - Zafascynowana, nie odrywała od niego wzroku. Wyobraziła sobie Bena żywo rozprawiającego z żoną na tematy tabu. Najwyraźniej, według niego, nie uwłaczało jej zainteresowanie kwestiami, o których prawdziwe

damy nawet wiedzieć nie powinny. Umysł Juliette nie potrafił ogarnąć wizji swobody, jakiej można doświadczać w tak otwartym związku.

- Nie mieliśmy dzieci.

Popijali kawę, a Ben opowiadał o zmarłej żonie. Juliette cały czas zerkała na zieloną chustkę. Wreszcie zamilkł. Siedzieli na śniegu w przyjacielskiej ciszy.

Juliette rozmyślała o Helen Dare. Nie wiedziała nic o prostytutce i nie byłaby zdolna rozprawić o praktycznych stronach tej kwestii, nawet gdyby od tego zależało jej życie. Nie miała też dostatecznego pojęcia o ruchu sufrażystek, by formułować opinię na ten temat. Jedyne, co mogła zrobić, żeby zdobyć uznanie tego mężczyzny, to wspiąć się na ten diabelski szczyt. Och, Boże...

Pochyliła głowę, ukryła twarz w dłoniach i skrzywiła się z rozpaczą. Doszło do tego, że przeklinała - całe szczęście, że tylko w myślach. Co dalej? Czy zacznie pić trunki, palić cygara i przeklinać na głos? Trafiła w złe towarzystwo - i oto rezultat. Przejmowała haniebne nawyki od Clary i Zoe.

- Cóż... - Włożyła manierkę do plecaka Bena. - Jesteś gotów iść dalej?

Jakaż z niej hipokrytka! Jakby nieporna niedawnych łez i protestów, zachęcała go do podjęcia wspinaczki z entuzjazmem gorliwego poszukiwacza złota, jakby nie marzyła o niczym innym, tylko o powrocie do owej niewyobrażalnej tortury. Starła się odepchnąć od siebie refleksję, że oto zmusza się do przekroczenia granic swojej wytrzymałości, stawia się nawet w

obliczu realnego zagrożenia - dla rywalizacji ze zmarłą kobietą. Ben podniósł się i przekręcił plecak.

- Jeśli ty jesteś gotowa... - Spojrzał jej prosto w oczy. Stali wpatrzeni w siebie przez chwilę długą jak wieczność, nieświadomie nachylając się do siebie, coraz bardziej sobą pochłonięci. Wreszcie Juliette odwróciła się z płonącymi z zażenowania policzkami. Nie była niewinna, niedoświadczoną panną i dobrze wiedziała, co oznacza trzepotanie motyli skrzydeł w żołądku, płomień w wyschniętych ustach i słodko--gorzki smak tęsknoty. Równie łatwo odczytywała pożądanie w oczach Bena.

- To wstyd... - szepnęła.

- Proszę?

Nie powinien patrzeć na nią w ten sposób zaraz po tym, jak jej opowiadał o zmarłej żonie! Co więcej, Juliette sama była mężatką. Żadne z nich nie powinno rozmyślać o przeciągłych pocałunkach i słodkich pieszczotach. Podniosła się - szybko, ale ostrożnie - gnana sprzecznymi pragnieniami: umknąć temu, co wyczytała w jego spojrzeniu, a jednocześnie mu zaimponować. Uśmiechnęła się do pierwszego mężczyzny w szeregu, który podniósł na nią umęczony wzrok, i powiedziała:

- Przepraszam pana! - Kiedy nieznajomy zatrzymał się zaskoczony, gestem wskazała Benowi, by zajął miejsce przed nią, i sama weszła na stopień, po czym grzecznie podziękowała. W ciągu kolejnych czterdziestu pięciu minut odległość między Juliette a poprzedzającym ją mężczyzną zwiększała się stopniowo, lecz niepowstrzymanie, w miarę jak wyczerpana zwalniała kroku. Poruszała się w ślimaczym tempie i tak

musieli iść wszyscy za nią. Ale wreszcie nadeszła chwila, że Clara i Zoe wciągnęły ją na ostatnie cztery stopnie, na chłostany wiatrem i śniegiem płaskowyż na szczycie. Podtrzymały ją by nie upadła, aż mięśnie nóg przestały drżeć i mogła ustać o własnych siłach.

- Zaraz zemdleję - szepnęła, czepiając się ich pomocnych rąk.

- Jesteś głodna, zmęczona i zmarznięta. Wichura tnie jak nóż nawet przez ciepłą odzież - wyjaśniła Clara, przywitała Bena i podciągnęła szalik Juliette wyżej wokół zbiegających od zimna policzków. - Funt szczap kosztuje tu pięćdziesiąt centów... ogień to ekstrawagancja. Ale Niedźwiedź i Tom złożyli się i kupili dość opału, by przez godzinę palić ognisko. Czekaliśmy tylko na ciebie i pana Dare'a.

- Skąd wiedzieliście, że przyjdziemy razem?

Clara przewróciła oczami, dając do zrozumienia, że to się rozumiało samo przez się. Oczy Juliette zaokrągliły się ze zdumienia i szoku. A więc jej rosnące uczucie do Bena Dare'a było aż tak widoczne? Co sobie o niej myślały Clara i Zoe? Czy uważały ją za kobietę upadłą za rozwiązłą ladacznicę?

W posępnym nastroju podążyła za nimi. Brnęli między stertami towarów, przecinając mleczne smugi mgły. Ben chciał ją podeprzeć, chroniąc przed upadkiem, ale czując jego dotyk, zeszywniała i odsunęła się grzecznie, lecz stanowczo. Kiedy Niedźwiedź dostrzegł nadchodzących, uśmiechnął się triumfalnie i powitał ich tubalnym:

- Hura! Dotarła pani! Tom, można rozpalać. Obiecałem pewnej damie filiżankę kawy i już zbyt długo każe jej czekać.

Clara, która zdążyła już całkowicie odzyskać siły po piekielnej wspinaczce, zaśmiała się swobodnie i rzuciła żartobliwą uwagę na temat maski Niedźwiedzia z sadzy i tłuszczu. Zoe otrzepała śnieg z pieńka i usiadła, spierając się zaciekle z Tomem, jak ułożyć szczapy, by otrzymać najlepszy płomień. Ben przerzucał bagaż Niedźwiedzia w poszukiwaniu składanych stołków. Nieoczekiwanie oczy Juliette zaszyły mgłą łez. Zdołała dotrzeć na szczyt wyłącznie dzięki tym wszystkim ludziom, którzy krzatali się wokół niej... Oto ona - osoba, która niechętnie zapuszczała się na odległość pół mili od Linda Vista, stała na przełęczy Chilkoot na Alasce. Ona, która nie lubiła nowych doświadczeń i bała się ich, porwała się na przygodę, na jaką odważyłoby się niewiele kobiet i która przerosła nawet wielu mężczyzn. Zdumiona i oszołomiona, szeroko otworzyła szkliste od łez oczy. Z tego osiągnięcia będzie dumna do końca życia: wspięła się na przełęcz Chilkoot. Ale nigdy nie zapomni, że nie dotarłaby tu bez wsparcia Benjamina, Toma, Niedźwiedzia i dwóch żon swojego męża.

Rozkleiłaby się zupełnie i pewnie zaczęłaby im wylewnie dziękować, gdyby nie rosnąca irytacja, że nikt jej nie gratuluje ani nie bije braw. Jakby było dla nich oczywiste, że w końcu dotrze na szczyt. Jakby nie było w tym nic nadzwyczajnego. Wyciągnęła dłonie w rękawiczkach nad ogniskiem i pomyślała rozczarowana, że może z drugiej strony mają rację; nie była tym samym człowiekiem co kiedyś. Dawno temu inną Juliette na myśl o przeprowadzce do Oregonu z Jeanem Jacques'em ogarnęła panika i niemoc tak wielka, że musiała leżeć w łóżku.

Dzisiaj nie pamiętała, czemu właściwie tak bardzo się obawiała tamtej podróży.

Kiedy wszyscy zostali już obdzieleni kawą, Niedźwiedź podniósł kubek w toaście.

- Jeszcze tylko sześćset mil z hakiem! - Zaśmiał się, słysząc w odpowiedzi chóralny jęk.

Juliette poczuła, że pęka bez śladu wątła bańka pewności siebie. Ben spojrział na jej pobladłą twarz i się uśmiechnął.

- Wiem... znowu się boisz, że nie potrafisz tego dokonać.

Otworzyła usta, by przytaknąć, ale zmieniła zamiar i podniosła wojowniczo brodę.

- Może potrafię!

Towarzystwo zaśmiało się wesoło, tylko Ben skinął głową i szepnął:

- Ja wiem, że potrafisz.

Chciała go ucałować za tę wiarę. Chciała go ucałować dlatego, że marzyła o tym dzień i noc, ale, naturalnie, nie mogła tego zrobić. Odtąd nie pozwoli sobie ani przez chwilę zapomnieć, że jest mężatką. Spróbuje odzyskać szacunek Zoe i Clary.

Patrzyła w jego oczy, czuła jego ciepły oddech na policzkach i... Och, jakże żałowała, że nie jest wolna!

Ben poprawił ciężki plecak i kolejny raz powtórzył sobie, że jednym z celów wyprawy jest trening - dla poprawienia nadwątłej kondycji. Niósł wyłącznie niezbędny ekwipunek podróży: dziesięciokilogramowy śpiwór polarny, zapalki, manierkę z kawą, suszoną wołowinę i jabłka; do bocznej kieszonki wsunął zapasową parę rękawiczek i skarpet, nóż traperski i ogarek świecy.

Szli przez teren, który nawet latem byłby dostatecznie trudny, a teraz, gdy jednolita warstwa śniegu ukryła przed ludzkim wzrokiem kamienie i ustępy, okazywał się miejscami zdradziecki. Ben przywykł już do trudów szlaku. Mięśnie pleców wzmocniły się i po całodziejnej wędrówce nie czuł, jakby ramiona miały mu odpaść pod własnym ciężarem, ale na każdy kolejny nocleg wciąż docierał wyczerpany i z obolałymi kończynami.

Jak się spodziewał, brak czucia, który od roku był jego zwykłym stanem, powoli ustępował pod naporem trudów wędrówki i piękna dzikiej okolicy. Wczoraj o zmierzchu obserwował rodzinę karibu, a dziś rano, gdy wygrzebywał się ze śpiwora, spłoszył grupkę królików, które merdając ogonkami, uciekały po śniegu. Nawet najbardziej otępiały z nieszczęścia człowiek nie mógł tutaj zignorować mrozu kłusającego policzki i szyję ani uczucia satysfakcjonującego wyczerpania pod koniec dnia, które pomagało zapaść w zdrowy i głęboki sen.

Zapomniał już, jaką rozkosz sprawia zapach kawy o poranku, a po całodziejowej pracy na szlaku mógłby przysiąc, że

fasola z puszki z bekonem jest najsmakowitszą potrawą w jego dotychczasowym życiu. Stawał się coraz bardziej świadom wszystkiego, co działo się dookoła, i nierzadko miewał nawet wrażenie, że słuch mu się wyostrzył.

Nie wszystkie zmiany były na lepsze: czasami wieczorem naciągał śpiwór na głowę i uświadamiał sobie, że przez cały dzień ani razu nie wspomniął Helen. Kiedy wydarzyło się to po raz pierwszy, wyskoczył z legowiska, zbyt poruszony, by spać. Za drugim razem wybrał się na długi spacer, by się rozgrzać i przemóc uczucie winy. Jak mógł przez cały dzień ani razu o niej nie pomyśleć, nie poczuć smutku, że odeszła? To pytanie spowodowało lawinę kolejnych, na które nigdy nie znajdzie odpowiedzi: czy rzeczywiście zapewnił jej najlepszych lekarzy, którzy zastosowali najwłaściwszą kurację? Czy uczynił wszystko, by ostatnie dni spędziła najwygodniej, jak tylko to było możliwe? Czy mówił właściwe słowa, gdy leżała na śmiertelnym łożu? Wreszcie: czy dobrze zrobił, opuszczając San Francisco, czy też powinien zostać w pobliżu cmentarza, na którym ją pogrzebano?

Co powiedziałyby Helen, gdyby się dowiedziała o pannie March? Czy czułaby się zdradzona, widząc zainteresowanie, jakie jej okazuje? Czy uważałaby, że rok to wystarczająco długi okres żałoby? A może oczekiwałaby po nim, że resztę życia spędzi samotnie?

Juliette... Zmarszczył czoło, wypowiadając w myśli jej imię. Powtarzał je, szukając swoich bagaży w stercie pakunków, które tragarze poprzedniego wieczoru zwalili na bezładny stos.

Odnalazł je i zaczął rozstawiać namiot. Panna Juliette March była zagadkową intrygującą osobką.

Od dnia wspinaczki na przełęcz Chilkoot trzymała się z dala od niego, a gdy udało mu się tak urządzić sprawy, że przez chwilę znaleźli się sam na sam, odgradzała się od niego barierą ozięblej uprzejmości, jak gdyby tamta niespodziewana chwila bliskości nigdy nie miała miejsca. Jakby nie szlochała w jego ramionach, jakby nie siedzieli zapatrzeni w siebie na ośnieżonym górskim zboczu, czując, jak rośnie wzajemne pragnienie. Był pewien, że dobrze zrozumiał sygnały, które wysyłały jej rozchylone usta i przyspieszony oddech. Równie dobrze zapamiętał fałę pożądania, która go ogarnęła, pierwszy raz od chwili, gdy lekarze rozpoznali u Helen nieuleczalną chorobę.

Ale ku jego zdziwieniu Juliette odsunęła się od niego. Całymi dniami, wypełnionymi zejściem do bezdrzewnej doliny po drugiej stronie przełęczy, wyteżał pamięć w poszukiwaniu słowa czy postępu, które mogły ją urazić. Jedyne, co przychodziło mu do głowy, to rozmowa na temat Helen, którą prowadzili podczas wspinaczki na Chilkoot. Ale słuchając, jak wspomina zmarłą żonę, panna March nie okazywała zdenerwowania. Być może dopiero po jakimś czasie wróciła pamięcią do tamtej rozmowy i poczuła urazę. Niektóre kobiety tak reagują, gdy mężczyzna w ich obecności zbyt pochlebnie wyraża się o innej przedstawicielce płci pięknej. Jeśli panna March należała do tej kategorii - a jedynie taki powód obecnej oziębłości przychodził mu do głowy - to odkrył to w samą porę, gdyż wiedział, że wspomnienia o Helen zawsze będą częścią jego

życia i za żadną cenę się ich nie wyrzeknie. Skoro więc kilka słów o utraconej miłości wystarczyło, by odepchnąć Juliette, to trudno. Mimo to czuł dotkliwie rozczarowanie.

Szlak schodził po stromiźnie, równoległe do skutego lodem wodospadu, ku brzegom Crater Lake, jeziora rzeczywiście przypominającego krater. Wystające głazy utrudniały zejście nawet sprytniej Clarze. Ktoś jej powiedział, że za niecały miesiąc cały stok wyrówna się pod jednolitą warstwą śniegu, ale dziś zejście było karkołomne, lada chwila grożące upadkiem.

- Słyszałyście już o panu Colemanie? - spytała towarzyszek przy kolacji, składającej się z suchego prowiantu. Na stromych zboczach próżno by było szukać nawet jednego drzewka, a przedsiębiorczy spryciarze żądali fortuny za wiązkę szczap. Wszystkie zgodziły się na jej propozycję, by kupować drewno co drugi wieczór, a dziś właśnie przypadała kolej na noc bez ogniska.

- Czy to prawda, że zginął? - zapytała Juliette, nie podnosząc zmęczonego spojrzenia znad talerza, na którym piętrzyła się górka mało apetycznej stawy: wołowina z puszki, namoczona w zimnej wodzie suszona kapusta i placki. Te ostatnie były wczorajszego wypieku i stanowiły dzieło Clary, według przepisu od pani Eddington, którą poznały w Obozie Owcy. Woreczek mąki trzeba było wysypać na śnieg, dodać sól i proszek do pieczenia, wymieszać i formować zlepieniem szronem kulki, które następnie smażyło się w tłuszczu wytopionym ze słoniny. Clara uważała, że rezultat przypomina smakiem klej,

ale musiała przyznać, że placki wypełniały żołądek i zapewniały uczucie sytości. Zoe odgryzła kęs i spytała zdumionym głosem:

- Pan Coleman nie żyje? Ten gość, który kilka dni temu dał nam po garści landrynek? Taki miły człowiek...

Clara przysunęła placek do chwiejnego płomyczka latarni i posmarowała go dżemem, który odrobinę poprawiał smak potrawy.

- Szedł jakieś pięćdziesiąt metrów poniżej jednego z tych kretynów, którzy ładują sanie z czubem, chociaż warstwa śniegu nie jest jeszcze wystarczająco gruba. Płozy przebijają ją i wrzynają się w glebę.

- Tom mi o tym mówił - przytaknęła Zoe. - Kiedy płozy zaczepią o płytko zagrzebany kamień, sanie mogą stanąć na sztorc, przewrócić się i spaść w dół stoku.

Juliette skinęła głową.

- Mąż pani Eddington twierdzi, że powinno się zakazać używania sań z płozami i zezwolić jedynie na te na gładkim spodzie.

- Ale te z kolei ugniatają śnieg, który zamienia się w długie odcinki niebezpiecznej lodowej zmarzliny. - Zoe potrząsnęła głową. - Wtedy łatwo o upadek i złamania.

- Chcecie usłyszeć o panu Colemanie czy nie? - zgryźliwie wtrąciła Clara.

Zoe rozłożyła ręce.

- Pewnie najechały na niego wyładowane sanie, spadające ze zbocza? Nietrudno zgadnąć! Żal mi to słyszeć.

Rozpoznawały już wiele twarzy innych cheechako, którzy wraz z nimi pokonywali szlak. Często znały też ich nazwiska.

Clarę irytowało nie tyle to, że poznawała nowych ludzi, co było według niej interesujące, ile to, że nie spotykała już poznanych, a właściwie chodziło jej o jedną osobę, pana Bernarda T. Barretta.

- Słuchajcie, coś ostatnio nie widzimy zbyt często panów Dare'a, Price'a i Barretta. Czyżby nas porzucili? - zażartowała.

- Ja osobiście myślę, że to dobrze, iż nie spotykamy się za często z tymi samymi dżentelmenami. - Świętoszkowaty ton Juliette doprowadził Clarę do wściekłości. - Kiedy na przełęczy wyraziłaś się, że było do przewidzenia, iż ja i pan Dare zjawimy się u celu razem, zdałam sobie sprawę, że spędzam z nim zdecydowanie zbyt wiele czasu. Przecież mimo wszystko jestem mężatką... jak i wy.

Zoe skończyła jeść i wymyła talerz w śniegu.

- Sądzę, że powinniśmy o tym porozmawiać.

- Nie chcę rozmawiać o Jeanie Jacques'u! - syknęła Clara. Na samą myśl o tym zdradzieckim nicponiu dostawała białej gorączki i czuła w sobie energię dość wielką, by bez odpoczynku wejść na przełęcz Chilkoot. Kiedy Zoe zastrzeli drania, ona zamierzała bić brawo i krzyczeć z radości.

- Chciałabym móc wyjawić Tomowi całą prawdę. - Zoe podniosła rękę. - Poczekajcie, pozwólcie mi skończyć! To przyjaciel jeszcze z dzieciństwa i źle się czuję, ukrywając przed nim prawdę. Spytał mnie wprost, czy jestem mężatką, więc musiałam skłamać. To nieuczciwe i nie mam zamiaru wmawiać sobie, że jest inaczej. No, i zdarzyło się jeszcze coś... - Policzki

dziewczyny zarumieniły się bardziej niż od mrozu - ...co by się nie zdarzyło, gdyby wiedział, że mam męża.

Interesujące - pomyślała Clara. Nietrudno zgadnąć, jaki rodzaj wydarzenia miała na myśli Zoe - musieli się całować! Ogarnęła ją fala gorącej zawiści: Ta dziewczyna pocałowała innego mężczyznę, a ona nie! Ale przecież sama nie chciała; tego była absolutnie pewna. Och, do diabła! Gdyby tylko wiedziała, że tamte wymieniają całusy z mężczyznami, którzy nie są ich mężami...

- Czy całowałaś się z Benem? - Zwróciła płonące spojrzenie na Juliette, która spiekła raka równie gorącego jak Zoe.

- Oczywiście, że nie! Zoe, czy to właśnie miałaś na myśli? Całowałaś się z panem Price'em? Jak mogłaś! Nawet jeśli Jean Jacques jest łajdakiem bez czci i wiary, pozostaje naszym prawnym małżonkiem. Nie przestałaś być jedną z jego żon.

Zoe wrzuciła blaszany talerz do skrzyni z zastawą.

- Nie powiedziałam, że całowałam się z Tomem Price'em. Gdyby tak było, pamiętajcie, mówię gdyby... to zdarzyłoby się to niechcący. I o to właśnie mi chodzi! Jeślibym mogła wyznać mu prawdę, nie byłoby więcej takich przypadków!

Clara zatoczyła ręką łuk, wskazując tysiące namiotów wzdłuż brzegu jeziora.

- Jeśli opowiesz naszą historię Tomowi, to jak ci się zdaje, ile czasu upłynie, zanim staniemy się pośmiewiskiem

ogółu? Smakowita ploteczka obiegnie cały obóz w mgnieniu oka!

- Ufam mu, że zachowa dyskrecję.

- Może się jednak mylisz? Albo coś mu się wymknie niechcący? I ja wolałabym opowiedzieć o wszystkim Niedźwiedziowi Barrettowi. Miałam okazję wyznać, że jestem mężatką ale z niej nie skorzystałam. Ja również nie czuję się z tym dobrze, ale byłoby stokroć gorzej przyznać się teraz, że go okłamałam! Poza tym nie chcę ryzykować, że wszyscy dokoła będą wtykać nos w moje prywatne sprawy!

- Ja też chętnie opowiedziałabym całą prawdę panu Dare'owi, bo zdaje się, że całkowicie nieświadomie i wbrew własnej woli zrobiłam na nim wrażenie osoby odrobinę zainteresowanej jego towarzystwem - przyznała Juliette.

Clara westchnęła i pociągnęła łyk kawy z manierki.

- Jeśli teraz odkryłby, że jestem mężatką, co by sobie o mnie pomyślał? - ciągnęła Juliette. - Że jestem rozwiązłą żoną! Że mam moralność suki!

- Nie byłoby to prawdą - odezwała się Clara po dłuższej chwili napiętego milczenia, lecz przemknęło jej przez głowę pytanie, czy Niedźwiedź nie miałby podobnego zdania o niej. - Jean Jacques miał moralność zwierzęcia, ale my nie byliśmy rozwiązłe i nadal nie jesteśmy! W gruncie rzeczy nie orientujemy się nawet, jak wygląda nasza sytuacja od prawnej strony. Powinniśmy były spytać adwokata, lecz za bardzo nam się spieszyło przyjechać tu i znaleźć tego wszarza! Przyszło mi do głowy, iż niewykluczone, że żadna z nas nie jest prawnie zameżna.

- Jesteśmy mężatkami, bo złożyłyśmy przysięgę małżeńską. No, i miałyśmy noc poślubną. - Policzki Juliette znowu spłonęły rumieńcem zażenowania.

- Ale czy taka przysięga zobowiązujące? Kto wie, czy nie jesteśmy wolne i możemy ponownie wyjść za mąż, za kogo zechcemy! Kto wie, czy nie mamy prawa ułożyć sobie życia wedle własnych życzeń, niezależnie od tego, czy dopadniemy Jeana Jacques'a, czy też nie! Być może mamy pełne prawo spędzać dowolną ilość czasu z panem Barrettem... i z panami Price'em i Dare'em! - dodała pospiesznie.

- A może nie. - Zoe pokręciła głową. - Może to Juliette ma rację i tego rodzaju obcowanie z mężczyznami czyni z nas rozwiązłe kobiety?

- Nie zniosę tej myśli! - Juliette podniosła dłonie w rękawiczkach do skroni. Wszystkie zatonęły w ponurym milczeniu.

Nagle Zoe skoczyła na równe nogi, zaklęła i kopnęła kubek, aż naczynie z brzękiem poleciało w mrok.

- Dobrze, więc nic mu nie powiem! Ale będę nadal czerpała przyjemność z jego... przyjaźni. I będę spędzała z nim tyle czasu, ile zechcę! Nie dbam, co wy obie o mnie pomyślicie. - Podniosła rozjarzony gniewem wzrok na Juliette. - Kiedy znajdziemy Jeana Jacques'a, możecie mu powiedzieć, że mam moralność suki, a ja na to powiem, że on akurat w tym względzie nie ma prawa nikogo osądzać!

Juliette wyprostowała ramiona.

- Kiedy go znajdziemy, to ja osobiście powiem mu tylko: Nienawidzę cię! Potem się odsunę, żebyś miała lepszą pozycję do strzału.

- Po czym jedna z nas ogłosi się wdową po nim, przejrzymy jego rzeczy, żeby sprawdzić, czy zostały mu jeszcze jakieś pieniądze, zatrudnimy adwokata dla Zoe i podzielimy się resztą, jeśli jakaś zostanie - wycodziła Clara. - Co do naszej obecnej dyskusji: kobietom zamężnym wolno mieć za przyjaciół mężczyzn. Zawsze tak uważałam. - Właściwie miała niegdyś wprost przeciwne zdanie, ale ostatnie wydarzenia zmieniły je gruntownie.

Juliette przytknęła oczy i westchnęła.

- Zgubiłam się... Czy podjęliśmy jakąś decyzję?

- Nie powiemy nikomu, że Jean Jacques się z nami ożenił - wyjaśniła Zoe. - Ale znajomości z innymi mężczyznami nie będą miały wpływu na opinię, jaką każda z nas ma o pozostałych.

- Tak zadecydowałyśmy?

Clara skinęła głową na zgodę.

- To w tych okolicznościach jedyna rozsądna decyzja!

Chętnie skoczyłaby na równe nogi i pobiegła w ciemność na poszukiwanie Niedźwiedzia, a kiedy by go znalazła, dałaby mu serdecznego całusa, który powaliłby go na kolana. Na samą myśl o tym czuła palące dreszczyki na całym ciele. Ależ... w ten sposób objawiała się zawiść do Zoe, która odważyła się pocałować Toma, podczas gdy ona, Clara, nie ośmieliła się tego zrobić z Niedźwiedziem! Pozostawało jednak faktem, że żadna z nich nie powinna się całować z mężczyznami; to było nadal

niestosowne i niewłaściwe. Tyle że nie musiała się czuć winna czy martwić się, co sobie pomyśla Juliette czy Zoe, widząc, jak rozkoszuje się towarzystwem Niedźwiedzia i zacieśnia ich - platoniczne, rzecz jasna - stosunki. A gdyby przypadkiem zdarzył się jakiś całus... No, skoro Zoe mogła sobie pozwolić? Wprost nie mogła się doczekać, kiedy go znowu spotka!

Po ostatniej dyskusji Juliette czuła się swobodniej na myśl o spotkaniu Bena. Rozwiał się jej poczucie winy, choć od tamtego wieczoru jeszcze się z nim nie widziała. Wciąż zmagala się z własnym pojmowaniem tego, co właściwe i dobre, bo granice nagle przestały być jasne. Za każdym razem, gdy lekceważyła wyuczone nakazy i szła za głosem serca, działo się jedno z dwojga: niszczyła sobie życie albo popadała w nie lada dylematy moralne. Musiała odnaleźć właściwą ścieżkę!

Wydawało jej się, że ma prawo cieszyć się towarzystwem Bena, który był przecież wyłącznie przyjacielem. Poza kilkoma niezręcznymi momentami - przyznawała w cichości ducha, że były wyjątkowo podniecające! - nic między nimi nie zaszło. Nie padło ani jedno słowo czulego wyznania, którego mogłaby się powstydić przed Bogiem. Prowadziła się jak dama - i jeśli nawet Ben jest zwykłym poszukiwaczem złota, umiał się zachować jak dżentelmen.

Wsunęła dłonie w rękawiczkach do kieszeni płaszcza, kopnęła kamyk i śledziła jego podskoki po zlodowaciałej powierzchni Crater Lake. Żaden ze spotkanych w czasie tej podróży mężczyzn nawet się nie zbliżył do wzorca, który ciotka Kibble uważała za godny miana dżentelmena. Mężczyźni o

odpowiednim pochodzeniu i wychowaniu nie wiązali nadziei na przyszłą fortunę z kopaniem czy płukaniem złota. Prawdziwy džentelmen podróżował z całą świtą służby i nawet nie przyśniłoby mu się, by własnoręcznie rozbijać namiot czy rozpalać ognisko - jeśli w ogóle zgodziłby się na tak szokujące ustępstwa w zakresie komfortu, by obozować na zmrożonej ziemi, spożywać dzień w dzień tę samą potrawę - fasolę z puszki na bekonie - i wypruć z siebie żyły, wędrując pieszo nad odległy Jukon.

Nie wiedziała dokładnie, z jakiej sfery pochodzi Ben Dare, ale, choć niechętnie, przyznawała, że gdyby był džentelmenem, nie przyjechałby na Alaskę. Z drugiej strony miał niezwykle liberalne poglądy i uznawał wysoką pozycję społeczną kobiet. Juliette dotychczas nawet o takiej nie śniła. Co więcej, przy nim wydawała się sobie interesująca i zaczynała podejrzewać u siebie potencjalne możliwości, z jakich nie zdawała sobie dotąd sprawy. To ją nieco przerażało, ale jeszcze bardziej pochlebiało jej.

Tęskniła za nim, brakowało jej jego towarzystwa, lecz musiała przyznać, że sama jest sobie winna. Odpędziła go barierą lodowatej grzeczności. Jego łatwa rezygnacja trochę ją rozczarowała, lecz nic nie zmieniało faktu, że to ona była przyczyną ich oddalenia - jeżeli to było stosowne słowo.

Nie przestając myśleć o Benie, wstąpiła na lód skuwający jezioro. Śliską taflę pokrywała warstwa śniegu dwucentymetrowej grubości, lecz dawało się pod nią wyczuć gładkość, na której ślizgały się podeszwy butów. Tu i ówdzie śnieg przecinały tropy zwierząt. Osobliwość tej wędrowki po

tafli zamrożonej wody oderwała ją od dotychczasowych rozważań. Gdyby jeszcze rok temu ktoś jej powiedział, że będzie spacerować po lodzie, zaśmiałyby się i odparła, że to czysta fantazja.

Uszy pochwyliły ostry trzask i uśmiech spelzł z ust Juliette, przegnany odruchowym lękiem. Nie wiedziała, co oznacza ów odgłos, ale brzmiał złowieszczo, niemal groźnie. Zauważyła, że oddaliła się spory kawałek od zwierzęcych tropów. Zalała ją gorąca fala strachu, aż serce stanęło jej w piersiach. Poczula, że lód pod stopą ugina się lekko, lecz wyraźnie. Przez chwilę stała nieruchomo, jak sparaliżowana, i nie potrafiła się zdobyć na trzeźwą ocenę sytuacji. Zdjęta panicznym lękiem, zadarła spódnicę, wbiła oczy w odległy brzeg i rzuciła się do przodu.

Wypadki potoczyły się błyskawicznie. Oto jeszcze przed sekundą stała na solidnej powierzchni, a teraz tkwiła już po szyję w wodzie tak lodowatej, że mózg i serce odmówiły posłuszeństwa. Czarna otchłań wessała ją całą w głąb, przenikała przez grube warstwy odzieży...

Juliette nie umiała pływać.

Rzucała się rozpaczliwie i wymachiwała rękami, usiłując mimo nasiąkniętego płaszcza, który stopniowo ciągnął ją na dno, wydzwignąć się do góry. Zaczepiła palcami o lód od spodu, ale tafla okazała się niezbyt gruba i pękła, gdy Juliette uderzyła w nią głową chronioną kapeluszem. Wychylnęła na powierzchnię, rozpaczliwie łapiąc powietrze. Wynurzyła się, odwrócona plecami do brzegu, nie mogła więc stwierdzić, czy ktokolwiek zauważył jej wypadek. Wyrzuciła ramiona do góry z

zamiarem podciągnięcia się w bezpieczne miejsce, ale lód ponownie się pod nią załamał i znowu zanurzyła się w wodzie. Tym razem dotknęła palcami stóp piaszczystego dna i zdołała się odepchnąć - niestety, nie dość mocno, by wypłynąć na powierzchnię. Nasiąknięte suknie bezlitośnie wciągały ją w dół i Juliette przemknęło przez głowę, że pewnie utonie. I to w wodzie tak płytkiej, że wysoki mężczyzna mógłby w niej swobodnie stanąć!

Walczyła jak szalona, by jeszcze raz wychylić głowę z wody, lecz ciało sztywniało od chłodu i siły ją opuszczały. Za chwilę się podda, otworzy usta i wciągnie do płuc lodowatą wodę.

Umrze. A na wieść o jej śmierci nikt nie uрони nawet jednej łzy... Smutna myśl, w dodatku ostatnia! Nie było jednak czasu, żeby układać stosowne pożegnanie z życiem. Przepelnione wodą buty pogażały się coraz niżej. Zamknęła się nad nią czern.

Zoe nie wierzyła własnym oczom: przed chwilą jeszcze widziała Juliette, spacerującą po jeziorze, i nagle zniknęła! Nagle przyszło jej do głowy coś strasznego: jej towarzyszka chodziła po lodzie, który, jak słyszała, jeszcze przez co najmniej tydzień będzie zbyt kruchy na takie spacerunki!

- Och, mój Boże! - Rozejrzała się oszalałym wzrokiem, szukając pomocy. - Ona chodziła po lodzie! - Wrzeszcząc, by zwrócić na siebie uwagę pobliskich mężczyzn, pobiegła do brzegu i natychmiast spostrzegła ślady stóp Juliette pomiędzy tropami drobnej zwierzyny. - Pomocy! Pomóście mi!!

- Przynieś koce i ręczniki, szybko! - krzyknął Ben i niemal zbił ją z nóg, pędząc na lód. Udało mu się zrobić

zaledwie kilka kroków i sam wpadł po kolana. Brnął naprzód, łamiąc lodową taflę pięściami, znacząc za sobą zygzakowaty czarny szlak.

Zoe stanęła jak sparaliżowana. Rozszerzonymi z przerażenia oczami obserwowała jego zmagania. Woda sięgnęła mu na wysokość ud, potem pasa, wreszcie doszła do piersi. Serce waliło jej jak oszalałe, a każde uderzenie wołało: Pospiesz się! Pospiesz się, na litość boską!

Dopiero, gdy pani Eddington pociągnęła ją za ramię, pytając z niepokojem, co się stało, Zoe wróciły zmysły.

- Szybko, trzeba przynieść koce i ręczniki! - rozkazała. - Szybciej! - W oddali widziała Clare, która szykowała kilka sztuk odzieży do prania, bo właśnie przypadał dzień ogniska. Zaczęła głośno wykrzykiwać jej imię.

Stopniowo na brzegu zbierało się coraz więcej ludzi. Kolejny mężczyzna rzucił się za Benem, a za nim jeszcze jeden. Zaczęli się przedzierać w jego stronę. Nagle pojawił się Tom, wyciągając ramiona, krzykiem przywołując pozostałych do opamiętania.

- Zbyt wielu ludzi w wodzie wprowadzi tylko zamieszanie. Dajcie tamtym szukać. - Spojrzał na Zoe. - Kto to?

- Juliette... ona nie umie pływać!

Twarz Toma spochmurniała.

- Anderson! Przynieś dość drewna, by rozpalić uczciwe ognisko. Później pogadamy o zapłacie. Ruszaj się, człowieku!

Jeden z gapiów na brzegu skrzywił się niechętnie i splunął na przybrzeżne kamienie.

- Któż to okazał się tak głupi, żeby spacerować po kruchym lodzie? Wszyscy wiedzą że jeszcze nie jest na to dość gruby.

Biegąca ku brzegowi Clara stanęła jak wryta i krzyknęła w tłumie:

- Ona jest z Kalifornii... pierwszy raz widziała lód, więc lepiej przymknij jadaczkę!

Dotarła do Zoe i, z trudem łapiąc oddech, spytała:

- Jak długo jest już pod wodą?

- Nie mam pojęcia... - Zoe załamała ręce. Chciała sama rzucić się w lodowatą wodę. Ale Tom miał rację, zbyt wielu ratowników przeszkadzałoby sobie nawzajem.

Wreszcie zauważyła, że Clara dźwiga stos koców, i zdała sobie sprawę, że towarzyszka musiała zorientować się w sytuacji natychmiast, gdy usłyszała, że Zoe ją woła. Bogu dzięki, że ich wspólny mąż wybierał bystre narzeczone!

Czas zwolnił biegu. Daleko na jeziorze głowy ratowników pojawiały się gwałtownie nad lodem, rozbijając kruchą taflę, usta nabierały pełne płuca powietrza i głowy znowu znikwały. Z tej odległości nie widać było, która należy do Bena, a które do dwóch innych mężczyzn.

- Nie traktowałam Juliette szczególnie dobrze - odezwała się nagle Zoe, nie odrywając wzroku od błękitnawego lodu. - Czułam do niej zawiść, bo była prawdziwą damą i miała takie łatwe życie. Nienawidziłam jej, bo ją pierwszą Jean Jacques poślubił. No i dlatego, że opłaciła lwią część usług firmy Toma.

- Często miałam chętkę jej przyłożyć, tak mnie irytowała jej postawa grzecznej dziewczynki i ten świętoszkowaty głosik, którego czasami używała. - Clara, podobnie jak jej towarzyszka, wbiła wzrok w jezioro. - Nie ma pojęcia, jak być pożyteczną!

- Jeśli Juliette umrze, będę się czuła winna przez resztę swoich dni za wszystkie chwile, kiedy życzyłam jej śmierci albo marzyłam, by zniknęła. Może to Bóg karze mnie za grzeszne myśli, spełniając to życzenie... Nie zniosę tego!

- Mogłam je pokazać, jak gotować i prać, ale nawet jej tego nie zaproponowałam, bo nie przyszłoby mi do głowy, że byłaby chętna się nauczyć. Większą satysfakcję sprawiało mi krytykowanie lenistwa i wyszydzanie jej nieporadności.

- Och, Boże, patrz! Ben ją odnalazł!

Na poły płynął, na poły odpychał się od dna, by wyciągnąć Juliette za kołnierz płaszcza. Gdy wyszedł na płytszą wodę, wziął ją w ramiona i potykając się, brnął do brzegu. Wszyscy czekali w milczeniu. Kiedy wyszedł z wody, obrócił bezwładne ciało Juliette, ukląkł na jedno kolano i przerzucił ją sobie przez podniesione udo. Z jej ust wystrzeliła wielka fontanna wody, ale pierś pozostała nieruchoma. Juliette nie oddychała.

Zoe kurczowo wczepiła się w ramię Clary.

- Nie żyje!

Kiedy zebrała siłę, by ponownie spojrzeć na brzeg, Ben i Tom położyli Juliette na ziemi i odwrócili jej głowę na bok, a Tom ugniatał jej plecy. Za każdym pchnięciem nowa fala wody tryskała z jej ust. Pozostali ratownicy wyszli tymczasem z wody i pospieszyli do ogniska, które zgodnie z poleceniem Toma

rozpalono nieopodal. Krzątała się tam pani Eddington, rozdając koce i ręczniki. Mężczyźni zrzucili przemoczoną odzież i wykruszali lód, który zakrzepł im we włosach i na wąsach. Tom podniósł wzrok i gestem dłoni nakazał Clarze i Zoe podejść bliżej.

- Żyje, ale ledwo dycha. Zdejmijcie z niej szybko te mokre łachy. Ben, ciebie to też dotyczy. Wyskakuj z nich, zanim na tobie zamarzną!

Clara podciągnęła Juliette do pozycji siedzącej. Niedoszła topielczyni miała twarz białą jak płótno, głowa bezwładnie opadała jej na boki. Z każdym słabym kaszlnięciem z kącików ust wyciekał strumyczek wody i śliny. Była oszołomiona i zdezorientowana, ale oddychała. Z gardła Zoe wyrwał się szloch. Dziewczyna z ulgą chwyciła płaszcz Juliette i zaczęła go ściągać, podczas gdy Clara szarpała buty i sięgnęła pod spódnicę, by ściągnąć przemoczone pończochy. Tom odsunął się na bok i pomagał Benowi zdjąć ubranie, które już zaczęło sztywnieć od lodu. Ben trząsał się tak, że okruchy lodu sypały się z jego brody i włosów. Kiedy był już niemal nagi, podbiegła pani Eddington i wcisnęła mu do ręki ręcznik i koc, po czym pospiesznie odwróciła głowę.

- Mein Gott! - wykrzyknęła Clara, rozdarłszy mocnym szarpnięciem stanik sukni Juliette. Guziki tak mocno przymarzły do tkaniny, że ich odpinanie trwałoby stanowczo za długo. - Ona ma na sobie gorset! Przecież postanowiłyśmy ich nie nosić!

Tylko Juliette mogła się upierać przy gorsecie nad Jukonem. Gdyby sytuacja była inna, Zoe skręcałaby się ze

śmiechu, ale jej towarzyszka była bliska śmierci. Dziewczyna nie potrzebowała lekarza, by ocenić jej stan jako krytyczny.

Ściągnęły już z niej wszystko prócz koszulki i majtek, gdy Zoe ze świstem wciągnęła powietrze i powstrzymała rękę Clary, która miała właśnie rozedrzeć materiał stanika.

- Nie rozbierzemy jej chyba do naga na oczach kilkuset mężczyzn? To prawdziwy koszmar!

Clara przez chwilę wytrzymała jej spojrzenie, po czym krzyknęła do pani Eddington i Toma, by przytrzymali przed nimi koc, zapewniając Juliette choć odrobinę dyskrecji.

- Dobra myśl! - mruknęła Zoe i z zapalem zaczęła szarpać resztki mokrej bielizny. Ciało Juliette było całe w sinych cętkach od mrozu. Wstrząsały nią silne dreszcze, aż zęby jej szczykały w rytmicznym stakato. Dziewczyna wycesała zakrzeplony lód z długich włosów Juliette, a Clara wycierała ją energicznie ręcznikiem.

- Czy możesz wstać?

Juliette patrzyła na nie martwym wzrokiem, jakby ich nie rozpoznawała i nie rozumiała, co się do niej mówi. Clara cofnęła się, chwyciła ją pod pachy i dźwignęła do pionu. Nagle u jej boku pojawił się Ben, przewiązany w pasie ręcznikiem. Wełniany koc okrywał go całego, łącznie z głową. Rozchylił poły tkaniny i przyciągnął Juliette do swojego nagiego torsu, potem zacisnął fałdy koca. Zoe nie przyszło do głowy, by się sprzeciwić jego niezwykłym poczynaniom, wyjąkała jedynie:

- Jesteś sam dość ciepły, żeby ją ogrzać?

Clara narzuciła drugi koc na wilgotne włosy Juliette.

- Rozetrzyj jej ramiona i plecy.

Teraz dopiero do uszu Zoe zaczęły docierać głosy gapiów. Kiedy później starała odtworzyć kolej wydarzeń, przypomniała sobie kilka dobronudusznycch czy współczujących komentarzy, ale w owej gorącej chwili słyszała wyłącznie sprośne i sugestywne zawołania:

- Co oni tam kombinują pod kocami? - Okrzykowi towarzyszył głośny wybuch śmiechu.

- Ja tam bym nie miał nic przeciw temu, by przytulić mokrą kobitkę...

- Ja bym sprawił, że jeszcze by zwilgotniała!

To jej wystarczyło. Zatrzęsła się z wściekłości i pobiegła w stronę mężczyzny, z którego ust padła ostatnia uwaga. Jeśli dobrze pamiętała, nazywał się Jake Horvath.

- Mówisz o porządnej kobiecie, nie o jakiejś ladacznicy, ty wieprzu!

Bracia ją nauczylil, by nie zwiijać pięści wokół kciuka, jeśli się nie chciało skończyć walki ze złamanym palcem. Trzeba go mocno zacisnąć na kłykcicach.

Odchyliła się dla lepszego zamachu i wyrznęła pięścią w twarz żartownisia, aż usłyszała odgłos pękającej kości. Z jego nosa buchnęła krew. Popatrzył na nią w osłupieniu.

- Brawo, mała damo! Zasłużył sobie na to i na więcej!

- Ach, tak? Przecież powiedział tylko głośno to, co myśleliśmy wszyscy!

Na prawo od Zoe wybuchła bijatyka; za chwilę okładali się pięściami gapie po lewej. Nie minęła minuta, a rozpętało się prawdziwe piekło. Trzystu mężczyzn wrzeszczało i walczyło zapamiętale na brzegu Crater Lake.

Konieczność przetrwania w nieprzyjaznej krainie, i to w skrajnie prymitywnych warunkach, nie sprzyjała dobrym nastrojom i poważnie nadszarpnęła cierpliwość znużonych wędrowców. Łatwo wybuchały sprzeczki i waśnie. W ciągu lat spędzonych na Alasce Niedźwiedź widział braci, którzy znieawidzili się do tego stopnia, że usiłowali się pozabijać. Patrzył, jak dwaj wspólnicy, skłóceni po wielu latach zgodnego działania, dzieląc pozostały dobytek, przepiłowali na pół kanoe - aby żaden nie dostał więcej niż rywal. Był świadkiem, jak rozsądnych do tej pory ludzi ogarniał obłęd na szlaku, ale nigdy jeszcze nie dane mu było ujrzeć widoku, który powitał go po powrocie z polowania na króliki.

Tuż nad brzegiem jeziora podrygiwało dwoje ludzi, szczelnie okrytych kocami. Jego zdumionym oczom wydało się, jakby dziwacy zawzięcie trzepotali zgiętymi w łokciach ramionami. Tymczasem nikt nie zwracał na nich specjalnej uwagi. Nikt też nie korzystał z luksusu, jakim było płonące nieopodal ognisko; zebrany na brzegu spory tłumek okładał się bez pamięci kulakami, kopał, szarpał i gryzł. Ze trzystu mężczyzn walczyło wręcz, jak piechota rzucona do bitwy. Niedźwiedź nie widział w swym pełnym przygód życiu większej bijatyki i spieszo mu było przyłączyć się do walczących. Rzucił upolowane króliki, strzelbę i rękawice jednemu z gapiów, którzy przełożyli rozkosz kibicowania nad własnoręczne uczestnictwo, i wkroczył śmiało w tumult. Cały czas rozglądał się za Jakiem Horvathem, doskonale wiedząc, że ten będzie szukał jego.

Doskonała okazja, by załatwić porachunki. Jak się jednak okazało, nieprzyjaciel siedział na uboczu i z trudem tamował krew, płynącą ze złamanego nosa. Niedźwiedź musiał się zadowolić wytarposzeniem kilku krzykaczy, którzy podpadli mu, kiedy wykpił go jako maminsynka na wieść o jego porażce w zapasach z kobietą. Właśnie położył drugiego na łopatkę, kiedy ujrzał Zoe Wilder. Dziewczyna wymachiwała zapamiętałe smolną szczapą a każdy, kto dostał się w zasięg jej ciosu, padał jak długi. Potem jego oczom ukazała się Clara - w samym środku największego zamieszania! Nieprzyzwocie wysoko zadarta spódnica pozwalała jej swobodnie wymachiwać nogami. Jeśli ktoś nieopatrznie się zbliżył, dostawał tęgiego kopniaka między nogi. Pięciu leżało już pokotem wokół niej, trzymając się za intymną część ciała. Wszyscy jęczeli i wymiotowali.

Niedźwiedź zadecydował, że obowiązek musi wziąć górę nad niewątpliwą przyjemnością uczestnictwa w udanej bójce. Ktoś musiał odciągnąć te kobiety w bezpieczne miejsce, zanim stanie im się coś złego. Wykrzyknął imię Clary, ale nawet jego tubalny głos utonął w bitewnym zgiełku. Ruszył w jej stronę, roztrzając walczących jak trzciny. Zanim do niej dotarł, jeszcze jeden napastnik wił się u jej stóp, belkocząc nieartykułowane klątwy.

Olbrzym klepnął ją w ramię i zawołał prosto do ucha jej imię. Odwróciła się jak błyskawica i jednym płynnym ruchem przysunęła się bliżej, podniosła kolano i wyrznęła do góry. Zwalił się jak kłoda, aż grunt zatrzęsł się pod jego ciężarem. Przed oczami Niedźwiedzia eksplodowały fajerwerki bólu, lecz zanim całkowicie mu w nich pociemniało, zdążył ujrzeć jej

rozszerzone ze zdumienia oczy i dłoń zakrywająca usta. Do diabła! Znowu mu to zrobiła!

Zasepiony Niedźwiedź siedział zgarbiony przed swoim namiotem, wpatrzony w płomień ogniska. Nigdy dotąd nie spotkał tak niewiarygodnej kobiety jak panna Clara Klaus! Cóż za pech, że ta wspaniała osoba należała do kategorii przyzwoitych kobiet. Takim Niedźwiedź nie mógł nic zaoferować. Mimo to nie potrafił wybić sobie z głowy myśli o niej, a kiedy ją widział, nie mógł oderwać wzroku. Nabrał dziwnego zwyczaju spędzania coraz dłuższych wieczorów: stawał w mroku blisko ich obozowiska i śledził ją i jej towarzyszkę, jak jedzą wieczorną strawę. Wyszukiwał takie miejsce obserwacji, by ogień latarni czy płomień ogniska oświetlały jej olśniewającą cerę. Zdażył już zaobserwować, że Clara przedkłada własnoręcznie ugotowane potrawy nad posiłki przygotowane przez pozostałe panie. Zauważył wdzięczny, choć mimowolny gest, kiedy przesuwiała nieposłuszny kosmyk za lewe ucho. Kiedy ona się śmiała, on uśmiechał się w ciemności. Gdy marszczyła czoło czy wzdychała, zastanawiał się, co ją trapi, a czasami ogarniała go nadzieja, że to myśl o nim.

- Musimy się rozmówić!

O wilku mowa... Stała nad nim, ubrana tak, jak najbardziej mu się podobała: w zielonym płaszczu z wołoku, narzuconym na długi wełniany szal, którym zakryła głowę i szyję. Spod ciepłej tkaniny wymykały się na czoło filuterne kosmyki rudej grzywki. Nastroszył się, jakby wciąż się na nią gniewał, i spytał naburmuszonym głosem:

- Czemu sądzisz, że mam wielką ochotę rozmawiać z tobą? - Ale jednocześnie gestem wskazał jej składane krzeselko. Z przyjemnością patrzył, jak układa obfite fałdy drelichowej spódnicy w odcieniu ciepłego brązu, idealnie dopasowanym do koloru jej oczu.

- Przyszłam ze szczerymi przeprosinaми. - Brzoskwiniowe policzki Clary zalała fala rumieńca. - Nie wiedziałam, że to ty. Kiedy złapałeś mnie za ramię, zareagowałam instynktownie i po prostu... - Trzepnęła mitenką o kolano. - Dwa dni zbierałam odwagę, by przyjść do ciebie i wszystko wyjaśnić.

Spodziewał się jej wizyty. To dlatego zrujnował się na sześć butelek przedniego niemieckiego jasnego piwa. Wyciągnął dwie z nich zza poły namiotu.

- Przeprosiny to właściwa okazja, by się napić.

- Dziękuję... - Brwi zawędrowały jej aż pod grzywkę w wyrazie zdumienia. - Mein Gott! Gdzież to wygrzebałeś, u licha?

Zapatrzył się na nią, żałując, że różnią się urodzeniem. Gdyby on wywodził się z kręgów ciut szacowniejszych albo ona z ciut mniej... - Ach! Żałował, że nie potrafi o niej zapomnieć. Że w ogóle ujrzał te olśniewające piersi.

- Będę jeszcze przez długie lata wysłuchiwał przycinków o tym, jak mnie najpierw pokonałaś na rękę, a potem rozłożyłaś na ziemi w bójce.

- Naprawdę strasznie mi przykro.

- Żaden mężczyzna nie zdołał mnie jeszcze zwyciężyć w żadnym rodzaju walki! - Clara Klaus była jedyną osobą której się to udało, i to dwukrotnie. Nie wiedział, czy się śmiać, czy

smucić, czy rzucić jej się do nóg z uwielbieniem. Jednej rzeczy był w każdym razie pewien ponad wszelką wątpliwość: będzie musiał się bić z każdym mężczyzną w Klondike, żeby odzyskać reputację! Cóż, sprawi mu to sporą przyjemność, w gruncie rzeczy więc może jej przebaczyć, ale nie tak od razu!

- Jak się czuje panna March?

- Z każdym dniem przybywa jej sił. Już czuje się na tyle dobrze, by być wstrząśnięta na myśl, że setki mężczyzn miały okazję ujrzeć choć cal jej obnażonego ciała. - Uśmiechnęła się i pokręciła głową. - Oczywiście, niewiele z tego pamięta. Gdyby nie pomocna relacja pani Eddington, nie przypomniałaby sobie wcale, że pan Dare ogrzewał ją pod kocami, kiedy była całkiem naga, podobnie jak on. Nie chce go widzieć, odmawia stanowczo, kiedy ją namawiamy, żeby wyszła z namiotu. Ale jest w dobrym zdrowiu, choć jeszcze trochę kicha, z nosa jej cieknie i cierpi męki upokorzenia.

W milczeniu dopili piwo, popatrując przyjaźnie na siebie, wsłuchani w obozowe odgłosy. Niedźwiedziowi spodobało się, że Clara nie poprosiła o szklankę, lecz pije z butelki, jak ktoś zupełnie zwyczajny. Jak na dobrze urodzoną kobietę, przejawiała niezwykłą cechę prostoty. Mimo to dla mężczyzny takiego jak on oznaczała same kłopoty. Dlatego jej unikał i czuł wściekłość do samego siebie, ilekroć przemykał w ciemności ku obozowisku pań, by ją śledzić. Nie potrafił trzymać się z dala!

- Muszę ci powiedzieć kilka rzeczy - odezwał się wreszcie, myśląc z rozpaczą, że jeśli ona nie przestanie wpatrywać się w niego tymi jasnymi szczerymi oczami, a on nie porzuci szalonych fantazji, osnutych wokół ponętnych

poziomkowych ust, to zrobi coś, czego potem będzie żałował. Skoro brakowało mu siły woli, by o niej zapomnieć, musiał się postarać, by to ona przejęła inicjatywę i przejrzała na oczy. Czas uświadomić jej, że nie jest odpowiednim materiałem na męża. Niech wie, że ich znajomość nie ma przyszłości.

- Zamieniam się w słuch.

Jakie to dziwne, że tak często kojarzyła mu się z jedzeniem! Miała oczy jak mleczna kawa, skórę gładkości i barwy brzoskwini, pachniała jak jabłko. Kiedy patrzył na jej wargi, na myśl przychodziły mu słodkie poziomki. Piersi przypominały soczyste melony. Chciał pochłonąć ją całą, lizać, smakować, kąsać i wachać każdy cal jej ciała. Długo będzie trwało, zanim zdoła uwolnić pamięć od wspomnień!

- Nie przestaję o tobie myśleć... - Nie spuszczał z niej oczu. Wszystkie mięśnie ciała olbrzyma dygotały z napięcia. - Muszę ci wyznać, że często wieczorem przemykam w ciemnościach i staję koło waszego obozu.

Zamrugła.

- Szpiegujesz mnie?

- Chyba można to tak nazwać. Nie chciałem, żebyś wiedziała, bo jesteś dla mnie zbyt dobra, a ja nie jestem odpowiednim mężczyzną dla takiej jak ty.

- Czemu tak sądzisz? - Pociągnęła z butelki, nie spuszczając z niego wzroku.

- Jestem właścicielem szynku, Claro!

- Wiem. Pod Gołym Misiem. Wygrałeś go od Jake'a Horvatha.

- Co powiedziałyby twój ojciec na wieść, że zadajesz się z szynkarzem? - Znał odpowiedź: każdy ojciec byłby przeciwny. Ale Clara, ku jego zaskoczeniu, wzruszyła tylko ramionami.

- Tatko był właścicielem zajazdu. Po jego śmierci odziedziczyłam go. Myślę, że zdołałby dojrzeć podobieństwo twojego szynku do naszej gospody.

- Jesteś właścicielką zajazdu?

- Byłam nią niegdyś. - Uniosła wojowniczo brodę. W jej oczach zamigotał błysk podejrzliwości. Nie, to niemożliwe, on nie mógł mieć pojęcia... - Teraz nie mam nic.

- Jaki to był zajazd? - Właściwie nie odczuwał wielkiego zaskoczenia. Nigdy nie potrafił sobie wyobrazić tej kobiety siedzącej po próznicy, marnującej czas na jakieś robótki czy malowanie porcelany.

- Jeden z najlepszych w swoim rodzaju. Nie prowadziliśmy wyszynku, ale usługi hotelowe i restauracyjne. Z dumą mogę powiedzieć, że nasza kuchnia była najlepsza na całym wybrzeżu Oregonu.

Dopił resztę piwa i pogrążył się w zadumie. Wreszcie, przygnębiony, zgarbił plecy.

- To nie to samo... W twoim zajeździe nie odbywały się nocne bijatyki, prawda? Nie miałaś kiepskiego pianisty, żeby przygrywał do pokera lub innego hazardu. Pewnie nie zatrudniałaś również dziwek, żeby podniosły obroty w interesie - dodał, bacznie ją obserwując. Siedziała nieruchomo. Wiedział, że Clara szykuje się, by porwać się na równe nogi i odmaszerować, obrażona na wzmiankę o dziwkach w jego szynku.

- Zastanawiam się... Powiedz, czy te dziwki oddają ci procent od swoich zarobków? - zapytała głosem tak opanowanym, że drgnął.

Kiedy odzyskał mowę, wyjąkał:

- Nie... liczę im tylko pięćdziesiąt centów od klienta, kiedy wynajmują pokoje na zapleczu baru.

- A ilu takich... klientów ma każda z nich co wieczór? Nie wierzył własnym uszom, że prowadzą podobną rozmowę!

Clara nie umknęła w popłochu od ogniska, by nigdy już się do niego nie odezwać. Obrachował w myślach.

- To zależy... Od większości z nich dostaję około dolara za noc. Od Sadie więcej, ze sześć dwudziestocentówek.

- Poczekaj, niech policzę... - Wciągnęła policzki i podniosła oczy na szarzejące przedwieczne niebo. - Za sprzątanie i pranie pościeli płacisz pewnie z pięćdziesiąt centów, biorąc pod uwagę wygórowane stawki nad Jukonem?

Jego umysł nie mógł ogarnąć tego, co się tu działo. Nie dowierzał własnym uszom!

- Chyba tak - odpowiedział wreszcie.

- Niedźwiedziu! - Skierowała wzrok prosto na niego. - Musisz przestać wynajmować pokoje dziwkom. Niech chodzą gdzie indziej.

- Nie, Claro - odparł cicho, głosem pełnym smutku. Oczywiście trwało to nieco dłużej, ale w końcu miarka się przebrała i kobieta poczuła się urażona. Od początku wiedział, że to się musi tak skończyć. - Jestem człowiekiem interesów, a mój interes to szynk. Dzwinki stanowią nieodłączną część tego rodzaju przedsiębiorstwa. Nie oczekuję, by osoba twojego

pokroju to zrozumiała, ale byłbym ostatnim głupcem, gdybym zlikwidował tę część interesu, która przynosi dochody.

- Mylisz się, sądząc, że nie rozumiem. Wprost przeciwnie, rozumiem doskonale, bo sama jestem człowiekiem interesu i też prowadzę zajazd. - Zdecydowanym ruchem wepchnęła pustą butelkę w śnieg i pochyliła się ku rozmówcy: - Przecież one ci nie przynoszą dochodu! Ty na nich tracisz.

- Co? Jak to? - Mniej byłby zaskoczony, gdyby skoczyła na nogi i zaczęła tańczyć kankana.

- Policz dobrze! Na wszystkich z wyjątkiem Sadie zarabiasz około pięćdziesięciu centów na wieczór. Ona daje ci nieco więcej.

- Ależ nie, na każdej dziwce mam dolara na wieczór!

- Po odliczeniu wydatków zostaje tylko pół dolara. Gdybyś odnajmował te pokoje na regularny hotel, mógłbyś brać za nie pięć lub sześć dolarów za nocleg przy tych samych wydatkach. Pomyśl, pięć dolarów dziennie zysku na każdym pokoju!

Szczęka mu opadła i patrzył na nią jak zaczarowany. Nagle zerwał się na równe nogi i zaczął okrażać ognisko, mamrocząc pod nosem przekleństwo. Oczywiście, miała rację! Niech go diabli porwą! Że też sam nie zakwestionował absurdalnej sytuacji, którą odziedziczył po Jake'u Horvacie. Tamten zawarł pakt z dziewczynami, a jemu nie przyszło do głowy, że coś w nim nie gra! Jedynym błędem w kalkulacji Clary były ceny pokoi hotelowych w Dawson City, które obecnie sięgały nawet dwunastu dolarów za nocleg tej klasy, jaki mógł oferować bez żadnych zmian. Gdyby natomiast zrobił pewne

ulepszenia w wyposażeniu i odmalował wnętrze, mógłby śmiało żądać i dwudziestu dolarów za noc! Do diabła! W hotelu Grand -dwie przecznice od jego szynku - trzeba było wysupłać z sakiewki trzydzieści pięć dolarów za jednoosobowy pokój. Kiedy zajazd otwierał podwoje, wszyscy w mieście śmiali się do rozpuku i przewidywali rychłą ruinę, bo któż przy zdrowych zmysłach płaciłby trzydzieści pięć dolarów za miejsce do spania? Tymczasem wszyscy się mylili, a właściciel miał rację, bo hotel pękał w szwach. Nie było wieczoru, by choć jeden pokój stał wolny.

- Na tym pomysłe zbiję majątek! - wykrztusił, a gdy jego wzrok padł na Clare, która uśmiechała się i miała oczy błyszczące zadowoleniem, jego głos nabrał gardłowych tonów. - Mógłbym cię ucałować z wdzięczności! - Mój Boże, cóż za zachwycająca, niepowtarzalna kobieta! Ale jak on się zachowywał. Co on płó! Znowu okazał się nieokrzesanym prostakiem!

Uśmiech na twarzy Clary pogłębił się. Przechyliła głowę ruchem niemal kokieteryjnym.

- Zbyt wielki z ciebie dżentelmen, aby niszczyć moją reputację publicznym pocałunkiem. Tu wszyscy gapia się drugiemu w talerz!

Dobry Boże... Kolana ugięły się pod nim. Ona nie uniosła się gniewem, nie zerwała wzburzona, nie odmawiała. Zastrzegła tylko: nie całuj mnie w miejscu publicznym.

Przed oczami eksplodowały mu fajerwerki radości, podczas gdy mózg robił błyskawiczny przegląd rozmaitych obozowych zakątków, które można by uznać za odosobnione. Po kolei je

odrzucał. Owszem, mogli pójść do jego namiotu, ale gdyby tylko przekroczyła próg, obóz zawrzałyby od plotek i jej dobre imię okryłoby się nieodwracalną hańbą. Zauważono by też, gdyby zabrał ją na przechadzkę. Poza tym nie można było uciec podglądaczom, bo stoki okolicznych wzgórz pozbawione były drzew i zarośli. Nie potrafił wymyślić żadnego miejsca, które zapewniałoby prywatność, nie kompromitując jej jednocześnie.

Clara stała przez chwilę nieruchomo. Uniosła brwi w wyrazie oczekiwania, na widok którego zabrakło mu tchu i czuł, jak sztywnieje mu męskość. Do czegoż potrafiła go doprowadzić jednym spojrzeniem...! Powinno się tego zabronić w majestacie prawa! Miał ochotę rzucić się na nią, przewrócić na ziemię i tarzać się w śniegu, całując ją zapamiętale - i nie tylko całując...

Wreszcie Clara spuściła oczy, uśmiechnęła się zagadkowo i wolnym krokiem odeszła do swojego obozowiska.

Obojętne oczy ujrzałyby tylko osobę opatuloną w stertę ciepłych okryć, z butami wystającymi spod fałd wołkowego płaszcza. On widział kobietę w każdym calu: miała krągłości we właściwych miejscach, a tam, gdzie powinny być mięśnie, nie brakowało ich. Jedyna kobieta, która sprawiła, że tracił równowagę i spokój ducha. Dwa razy go pobiła w pojedynku -to również czyniło ją najbardziej fascynującym stworzeniem na ziemi.

Opadł na składane krzeselko, czując zamęt w myślach. Wbił wzrok w szyjkę butelki, którą wepchnęła w śnieg, i wspominał usta, które jeszcze niedawno ją okalały. Boże! Z

wysiłkiem stłumił ponętą wizję i powrócił do kwestii odosobnienia. Gdzie by znaleźć takie miejsce...?

Nagle przyszła mu do głowy traperska chata, którą sobie zbudował z bali u zbiegu szlaków z Skagway i Dyea. Tyle razy przemierzał szlak z towarami, że dostrzegł korzyści, kryjące się w posiadaniu schroniska, gdzie mógłby przespać noc wygodnie, zamiast na wąskim i przykrótkim polowym łóżku. Do Jeziora Bennetta, gdzie stała chata, docierał zazwyczaj doszczętnie wyczerpany, więc ów luksus był wręcz niezbędny. W chacie znajdują upragnione odosobnienie. Wyszczerył zęby w szerokim uśmiechu, odrzucił głowę i wykrzyczał radosne uniesienie wprost w rozgwieżdżone niebo Alaski.

Musiał tylko poczekać, aż lód na jeziorze Crater będzie dostatecznie gruby, a wtedy pospieszy z Clarą w dół, do Jeziora Długiego i dalej, wzdłuż Głębokiego, aż dotrą do Jeziora Lindermana, które łączyło się przesmykiem z Jeziorem Bennetta. Za cztery, góra pięć tygodni zakosztuje rozkosznej słodczych poziomkowych ust!

- Czy przychodził do nas Ben?
- Sama zapowiedziałaś, że nie chcesz go tu widzieć - przypomniała swej towarzyszce Zoe z iście anielską cierpliwością.

Juliette opadła na posłanie i zapatrzyła się w otwór w suficie namiotu, którym wychodziła na zewnątrz rura od piecyka. Opuszczone ręce kołysały się po obu stronach wąskiego łóżka.

- Powinnam mu wyrazić wdzięczność za uratowanie, ale kiedy myślę, że muszę się z nim zobaczyć, ogarnia mnie straszne zażenowanie. Czy sądzicie, że to by było bardzo niegrzeczne i niewłaściwe, gdybym mu po prostu wysłała kartkę z podziękowaniem? Tym dwóm pozostałym już je wysłałam. I ty znajdziesz na swoim łóżku podobną, a druga leży na łóżku Clary.

Tylko Juliette mogła pomyśleć o zabraniu kart okolicznościowych w polarną dzicz!

- Nie mienię się ekspertem w dziedzinie etykiety, ale Ben uratował ci życie, choćby było niewiele warte. I to nie miałym kosztem. Ryzykował utonięcie, mógł się nabawić zapalenia płuc i umrzeć. Zdaje mi się, że zasługuje na coś więcej niż bezosobowa kartka z podziękowaniem!

W gruncie rzeczy Zoe nie poczuła zaskoczenia na widok dziękczynnej karty od Juliette, gdyż już wcześniej obserwowała u swojej rywalki ów zwyczaj rozdawania na prawo i lewo grawiuirowanych podziękowań wszystkim, którzy w czymkolwiek jej się zasłużyli albo zaskarбили jej wdzięczność. Posłała taką panu Colemanowi, który niedawno w tak smutnych okolicznościach zszedł z tego padolu, za poczęstowanie cukierkami na szlaku. Podobną dostał mężczyzna, który ustąpił jej miejsca przed sobą na lodowych schodach na przełęcz Chilkoot. Adresatką innej była pani Eddington po obdarowaniu wędrowniczek przepisem na placki, dostał też taką Indianin Chilkat, nadzorujący ich tragarzy. Ten ostatni nie potrafił nawet czytać! Juliette odezwała się smętnym głosem:

- W głębi serca wiem, że powinnam podziękować mu osobiście, ale on widział mnie naga!! - Zakryła oczy dłonią. - Jak mogliście do tego dopuścić, ty i Clara?

- Ojej, pewnie dlatego, że usiłowałyśmy ocalić ci życie. A może sądzisz, że wybrałyśmy się na spacer, rozważyłyśmy sprawę i postanowiłyśmy uczynić, co w naszej mocy, by narazić cię na najgorsze upokorzenie? Oczywiście, doszłyśmy do wniosku, że najlepiej będzie nie pozwolić ci jednak zamarznąć na śmierć na tym brzegu, lecz zedrzeć zlodowaciałe suknie i odsłonić twoje ciało, by Ben Dare mógł je rozetrzeć, wlewając odrobinę ciepła i życia w ponętne kształty. Jeśli sprawi ci to jakąś ulgę, dowiedz się, że ja głosowałam za pierwszą opcją: pozwolić ci zamarznąć wydawało mi się łagodniejszym wyrokiem, niż narazić cię na najłżejsze zażenowanie! - Zoe wykrzywiła się w kpiarskim grymasie i westchnęła. Wtedy na brzegu jeziora, gdy sądziła, że Juliette umiera, przysięgła sobie nigdy więcej nie tracić w stosunku do niej cierpliwości i traktować ją łagodnie. Od tamtego dnia już z tuzin razy złamała tę przysięgę. W imię sprawiedliwości należało przyznać, że Clara też ją irytowała, a sądząc po pewnych oznakach, ona z kolei denerwowała współtowarzyszki. Już od prawie tygodnia gniotły się w maleńkim namiocie, co niewątpliwie nie poprawiało żadnej z nich nastroju i prowadziło do częstych spięć; tak zwykli nazywać to jej ojciec i bracia: popędliwość prowadziła do „krótkich spięć”.

Westchnęła ponownie, czując przyływ tęsknoty za domem, zamieszała kociołek z praniem wiszący nad paleniskiem, które przeniosły do wnętrza namiotu. Za cienkimi

ściankami już od niemal tygodnia brzegi jeziora chłostała śnieżycą, a temperatura na dworze spadła dużo poniżej zera. Wewnątrz namiotu polowy piecyk grzał tak silnie, że panie zrzuciły wierzchnie odzienie, siedząc w koszulkach i majtkach - i nawet wtedy pocily się niemiłosiernie. Nieróbstwo przysparzało im innego rodzaju cierpień.

- Zdaje się, że burza minęła. - W głosie Juliette nie słyhać było większego zainteresowania pogodą. Od dnia, gdy niemal zginęła pod lodem, nic nie mogło jej rozruszać.

- Wiatr i śnieżycą zelżały nieco od ostatniej nocy - przytaknęła Zoe i ponownie zamieszała pranie. Gotowanie ubrań w kotle nie stanowiło większego problemu, kłopoty zaczynały się dopiero, gdy stawały przed koniecznością suszenia, ograniczały więc pranie do mniejszych sztuk, chusteczek, skarpet i bielizny. Te mogły rozwiesić na ramach łóżek przy ogniu. Cokolwiek większego sięgałoby ziemi, poza tym para z mokrych ubrań czyniłaby przebywanie w i tak dusznym wnętrzu nieznośną męką. Z dworu doszło je wołanie Clary:

- Zoe! - Musiała krzyczeć, gdyż kłapa wejściowa była spuszczone i starały się nie uchylać jej bez koniecznej potrzeby. - Przyszedł Tom i pyta, czy pójdziesz z nim nad jezioro, żeby cię mógł nauczyć prowadzić sanie?

Dziewczyna wyjęła warzachew i rozważyła naprędce, czy chce się jej ubierać, co w zatłoczonym wnętrzu stawało się sztuką wymagającą cierpliwości i akrobacji. Piecyk zajmował całą przestrzeń, zostawiając jedynie tyle miejsca, że ubierać musiały się po kolei, pilnując bezustannie, czy rąbek spódnicy

nie zaczepia o piecyk, grożąc pożarem. W ciągu kilku ostatnich dni w obozie spaliły się w ten sposób cztery namioty.

Juliette położyła dłoń na czole.

- Idź, idźże! Nie potrzebuję już opieki.

Zoe bynajmniej nie ociagała się ze względu na Juliette, bardziej myślała o Tomie, którego właściwie nie widywała od pikniku pod lodowcem. W pewnym sensie dzień, kiedy się pocałowali, wydał jej się odległy o setki lat, ale przychodziły chwile, gdy odczuwała go równie wyraźnie co sen minionej nocy. Poczwała, że płomień rumieńca zalewa jej twarz i kark. Ze zmarszczonym czołem wpatrywała się w mydliny pływające po powierzchni kotła. Tom przedstawiał dla niej pewnego rodzaju niebezpieczeństwo. Przy nim zaczynała stawiać pod znakiem zapytania niektóre z dawna wyznawane poglądy. Kiedy o nim myślała, czwała się zagubiona, bo nie umiała uporządkować uczuć, jakie w niej budził. W jednej chwili czwała do niego pociąg, w drugiej odrazę. I choć próbowała ze wszystkich sił, nie mogła zapomnieć tamtego elektryzującego dreszczu podniecenia, gdy pocwała jego wargi na swoich ustach i prężne ciało przyciskające się do jej ciała.

- Przekaż mu, że zaraz się ubiorę! - Wcale nie to chciała powiedzieć, ale teraz musiała dotrzymać słowa.

Kiedy wreszcie, opatulona po czubek głowy, wynurzyła się z namiotu, spostrzegła, że Clara zmiotła śnieg z jego ścianek i odrąbała lód pokrywający stos ekwipunku, by dostać się do zapasów żywności. Zoe pocwała się osobiście dotknięta energią swej towarzyszki, która zdawała się promienieć radością i optymizmem. Jeszcze bardziej zdenerwowało ją spojrzenie,

jakim Tom ogarnął liczne warstwy ciepłego przyodziewku, które Zoe na siebie włożyła: na wełniane halki ledwie naciągnęła grubą sztruksową spódnicę, a od góry wcisnęła się w zimową kamizelkę na podwójnej podszewce i wełniany sweter. Stroju dopełniał płaszcz, szalik, para rękawiczek pod wełnianymi mitenkami i chusta, którą okręciła kapelusz i zawiązała pod brodą. Przez to wszystko nie mogła nawet dojrzeć czubków butów. Rozzłoszczona, syknęła przez fałdy szalika:

- Wyśmiewasz się ze mnie?

- Wcale nie... - Ale widziała, jak drgają mu wargi.

Zwrócił się do Clary: - Prawda, że wcale się nie śmieję?

- Nie. To ja się śmieję! - Zmrużyła oczy nad wełnianą chustą, zakrywającą jej usta po uszy. - Przypominamy tłuste pingwiny, kiedy tak kiwamy się z boku na bok, a ręce wystają nam na boki!

- A cóż ty możesz wiedzieć o pingwinach?

- Oho, humorek nie dopisuje - skomentował Tom uszczypliwą uwagę dziewczyny i podniósł znacząco brwi. Odciągnął szalik z ust. Zoe ujrzała, że się uśmiecha.

- Jest mi albo za gorąco, albo za zimno. Od tygodnia tkwię w ciasnym namiocie. Juliette doprowadza mnie do szału. Zaczynamy się powtarzać. Nie mamy okazji rozruszać kości i mam już tak dość tych „truskawek Alaski” i placków, że chce mi się wyc!

„Truskawkami Alaski” ochrzczono różową, niedogotowaną fasolę, na którą wszyscy w obozie narzekali, chyba że akurat żartowali na temat tej potrawy. Nikt nie miał siły gotować nic

innego, nawet gdyby udało im się znaleźć bardziej nęcące przysmaki w oblodzonych stosach skrzyń i worków.

- Kiedy wreszcie się stąd wydostaniemy? - Już co najmniej setka wędrowców zrezygnowała i zawróciła. Gdyby nie późna pora, może wytrwaliby; jeszcze kilka miesięcy wcześniej po dotarciu do jeziora mogliby rozpocząć spływ szlakiem wodnym do samego Dawson. Teraz pozostawała zniechęcająca perspektywa nieznośnych mrozów i dłużej się wędrowki po lodzie. Zoe z bolesnym kurczem zazdrości w sercu obserwowała kolejne grupy, które związały obóz i zawracały do Dyea.

- Dzisiaj kilku wyruszyło do Dawson. - Tom zrównał z nią krok. W jego wykonaniu marsz w rakietach śnieżnych wyglądał jak wdzięczny, niemal elegancki taniec. - Nie ma powodu, by nasza grupa nie mogła wyjść jutro rano.

- Dobrze! - Chciała już dotrzeć do Dawson, znaleźć Jeana Jacques'a, zrobić to, po co przyjechała, i wrócić do domu, zanim ją nie powieszą - co ją prawdopodobnie czekało. Z całego serca tęskniła do przytulnej kuchni matki i do szczerej rozmowy, żeby mogła wylać wszystkie smutki i słuchać, jak rodzina ją pociesza. Chciała odzyskać dawne życie: to, które wiodła, zanim poznała Jeana Jacques'a i zanim ponownie spotkała Toma Price'a. Ten pierwszy ją oszukał i zrujnował, ale przynajmniej dzięki niemu przez chwilę czuła się jak dama. Ten drugi tymczasem wprawiał ją w kontuzję i przypominał o środowisku, z którego tak bardzo chciała się wyrwać. Rozsądek podpowiadał, by zapomnieć o obu! Szła ze spuszczoną głową, wsłuchana w skrzywienie śniegu pod swoimi butami i rytmiczny poświst raket śnieżnych Toma. Nie znajdowała żadnych słów

dla podtrzymania konwersacji. Kiedy doszli do jeziora, jej towarzysz zatrzymał się i odsunął z czoła futrzany kaptur. Obłoczki mgły ulatywały z jego warg, gdy mówił:

- Niezłą rozróżbę rozpoczęłaś wtedy nad jeziorem! Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś podobnego. - Pokręcił głową z pełnym uznania uśmiechem.

Zoe zamknęła oczy i skuliła się pod warstwami ciepłego przyodziewku. Za każdym razem, nie będąc pewna, jak powinna się zachować, zadawała sobie pytanie: jak postąpiłaby Juliette? Czy zrobiłaby to czy tamto? Jej rywalka nigdy, przenigdy nie rąbnęłaby mężczyzny w nos, dając tym sygnał do ogólnej bijatyki. Tak mogła postąpić tylko osoba ze społecznych nizin!

- Byłem z ciebie dumny, Zoe. - Tom wepchnął ręce do kieszeni i spojrzał na nią ciepłym wzrokiem. - Gdybyś nie dosięgła Horvatha pierwsza, byłbym go chyba zathłuk!

Odwróciła się i zatrzymała spojrzenie na grupie mężczyzn, zajętych załadunkiem sani na zamarznętej powierzchni jeziora.

- Wstydę się za siebie - wyznała niemal szeptem. Jakże mogła marzyć, że wzniesie się ponad swoje nieszczęsne pochodzenie, skoro nie potrafiła kontrolować odruchów rodem z Newcastle?

Tom ujął ją za ramiona i odwrócił twarzą do siebie.

- Nie masz powodu się wstydzić, że stanęłaś w obronie przyjaciółki.

Juliette nie była przyjaciółką! Ledwie się nawzajem znosiły... A chociaż Zoe dotychczas właściwie się nad tym nie zastanawiała, nie wiedziała, czemu rzuciła się na Jake'a

Horvatha jak anioł zemsty. Nic ją przecież nie obchodziło, że jakiś grubianin robił nieprzyzwoite uwagi pod adresem Juliette. Ale kiedy się to zdarzyło, dotknęło ją głęboko, do tego stopnia, że rozkwasiała nos winowajcy. Wciąż nie mogła pojąć, co ją naszło.

- Damy nie wdają się w bójki!

- Ach, więc to cię martwi? - Nawet przez grube warstwy odzienia poczuła, jak jego palce zaciskają się na jej ramionach. -Tutaj obowiązują inne zasady, Zoe. Nad Jukonem, jeśli nie okażesz się zdolna walczyć o swoje prawa, zginiesz nędznie. I to czasami dosłownie! Tu ceni się takie cechy jak zawziętość, wytrzymałość i lojalność.

- Tak właśnie mnie postrzegasz? - spytała z odcieniem zgrozy. - Według ciebie, jestem zawzięta?

- Pewnie! Dość zawzięta, by dążyć ze wszelkich sił do swojego celu. By walczyć w obronie tego, w co wierzysz. Utrzymałaś się o własnych siłach w Seattle, twardym, okrutnym mieście. Do tego potrzeba nie lada wytrzymałości. I wciąż walczysz o przetrwanie. Ktoś słaby nigdy nie dotrze do Dawson, bo nie zniesie trudów samej przeprawy!

Poczuła się nieco lepiej, słysząc jego pochwały, lecz wnet znowu zatoneła w otchłani rozpacz, zdając sobie sprawę, za co wychwala ją Tom; wszczynanie bójek nie było niczym godnym podziwu. On jednak nie przestawał się do niej uśmiechać.

- Ty i Clara stajecie się obozową legendą! Nie ma na szlaku mężczyzny, który by chciał z wami zadrzeć. Każdy wie, jak celnie strzelasz z tej strzelby, którą trzymasz w namiocie, a teraz jeszcze dowiedzieli się, że masz niezły prawy sierpowy.

Więc można wyrwać się z Newcastle, lecz nie da się wyrwać Newcastle ze swej natury! Była głupia, sądząc, że Jean Jacques naprawdę uważa ją za damę. Wiedział przez cały czas, jaka jest nieokrzesana.

- Nie chcę o tym mówić - oświadczyła i weszła na lód. Clara doniosła niedawno, że grubość lodowej warstwy sięgnęła trzydziestu centymetrów. Ta kobieta zdawała się pierwsza dowiadywać o wszystkich obozowych nowinach i to wprawiało Zoe w irytację. - Powiedz mi, co mam robić.

Tom ruszył za nią. Czuła na plecach jego zatroskany wzrok.

Przez całą godzinę trudził się, by nauczyć ją kierować psim zaprzęgiem. Kilku jego klientów zawróciło w połowie drogi do jeziora Crater, zostawiając mu sanie, miał więc teraz dodatkowe dwie pary.

- Mniej klientów i bagażu oznacza, że będziemy mogli poruszać się szybciej.

Wyjaśnił jej, co zamierza: Chilkaci przymocują do sań płócienne żagle, by wiatr pomógł transportować stopy ekwipunku przez jezioro. Przy odrobinie szczęścia Indianie zdążą rozbić obóz, zanim Zoe z towarzyszkami dotrze do miejsca następnego noclegu. One miały podróżować saniami ciągnionymi przez psy.

- Czemu więc uczysz mnie, jak stawiać żagle?

- Każda umiejętność, która pomoże przetrwać w tej głuszy, jest więcej warta niż złoto w banku.

To brzmiało rozsądnie.

- Czemu nasze sanie mają drewniane płozy, podczas gdy na wielu z tamtych widzę metalowe? - Skinęła głową ku niedalekiej grupce.

- W niskich temperaturach metalowe płozy przywierają do lodu.

Pokazał jej, jak polewać wodą drewniane płozy, by pokryły się równomierną warstwą lodu. Potem zademonstrował trudną sztukę zaprzęgnięcia psów. Następnie nauczyła się, gdzie stanąć i jak kierować zaprzęgiem. Po godzinie czuła, że wszystkie wskazówki zaczynają zlewać się w chaos. Jedyne, co naprawdę utkwilo jej w pamięci, to ostrzeżenie, żeby woźnica sań nie dodawał swojego ciężaru do ładunku. Powinien biec za saniami, pilnując, by trzymały się szlaku.

- Nie ma się o co martwić. Psy będą pędzić za zaprzęgami, które jada z przodu. Ja poprowadzę pierwsze sanie, a Niedźwiedź Barrett zgodził się pojechać z tyłu. W ten sposób będzie miał na oku sanie, które poprowadzi Juliette. Ty i twoje towarzyszkę nie powinnyście mieć żadnych trudności.

Gapiała się na niego w oszołomieniu.

- Pozwól, że się upewnię, czy dobrze pojęłam. Mam biec za saniami przez całą drogę do Jeziora Długiego. Potem mam przebiec całe Jezioro Długie do Głębokiego. Później pokonać biegiem Jezioro Głębokie, by dotrzeć do Jeziora Lindermana, a stamtąd dalej biegiem do Jeziora Bennetta...

Zaśmiewał się do rozpuku, widząc jej minę.

- Masz inny wybór: obozować tutaj, aż lody stopnieją, a wtedy wyprowadzić się w dół szlaku łodzią albo tratwą.

- Żadna z tych możliwości mi się nie podoba - wyznała, lecz kiedy przypomniła sobie doświadczenia z rejsu na „Annasett”, poczuła, że perspektywa stumilowego biegu po lodzie brzmi niemal pociągająco. - Wiesz co? Zaraz się wścieknę! - Policzki płonęły jej od mrozu, lecz pod ciepłym płaszczem ociekała potem. Spłoszona patrzyła na psy, których się trochę bała. Nie wiedziała, czy trzydziestocentymetrowa warstwa lodu rzeczywiście zapewnia bezpieczeństwo wędrowki. No i po prostu nie mogła sobie wyobrazić, że biegnie sto mil za saniami. Wiedziała tylko, że to będzie uciążliwe przeżycie. - W Stanach nikt o takich rzeczach nie mówi, nie ostrzega cię, zanim wyruszysz! - Machnęła ręką w kierunku mężczyzn na jeziorze. - Założę się, że połowa tych ludzi nie zdecydowałaby się pojechać, gdyby wiedzieli, co ich czeka.

Tom odciągnął szalik od jej ust, pochylił się i wycisnął błyskawicznego całusa na wargach dziewczyny.

- Jesteś zawzięta, pamiętaj o tym!
- Pocałowałaś mnie! - Zaskoczona i zagniewana, odepchnęła go i wbiła w niego płonące złością oczy. - W miejscu publicznym! Na oczach wszystkich! - Przetarła wargi wierzchem dłoni w wełnianej mitence i z sykiem wypuściła powietrze z płuc. - Jak śmiesz mnie kompromitować!

- Myślałem o tym, co powiedziałaś wtedy, pod lodowcem. Zastanawiałem się nad tym, jak los nas ku sobie przywiódł. Chcę być dla ciebie kimś więcej niż przyjacielem, Zoe. Postanowiłem rozpocząć zaloty. - Posłał jej szczere spojrzenie zielonych oczu. - A co do tego, że cię pocałowałem w miejscu publicznym, zrobiłem to świadomie. Zaznaczam swoje

terytorium. Wątpię, bym tylko ja jeden widział w tobie nader ponętny kąsek, w dodatku kobietę z ikrą i duchem walki. Wysyłam więc wszystkim potencjalnym rywalom wyraźny sygnał: nie pozwolę, by cię ktoś inny podrywał.

Chyba postradał zmysły!

- Nie chcę niczyich zalotów! - wykrztusiła, niemal bełkocząc ze wzburzenia. - Sądziłam, że powiedziałam to dostatecznie wyraźnie.

- Owszem. - Odpiął psy od sań i oddał lejce jednemu z Chilkatów. - Jednym z zasadniczych celów moich zabiegów będzie wpłynięcie na ciebie, byś zmieniła zdanie.

- Jednym z celów? - Wciąż poruszała z irytacją wargami, z których pryskały kropelki śliny. Była wściekła, że ją skompromitował przed wszystkimi mężczyznami obecnymi na jeziorze. Potraktował ją po grubiańsku, jakby była kimś pospolitym, jakby była... łatwa! - Gdyby nie rękawice i mitenki, dałabym ci w twarz!

Zaśmiał się poczcziwie.

- Ale charakterek. To mi się podoba w kobiecie!

Zła i zmieszana, odwróciła się i poszła do brzegu. W duchu modliła się, by poślizgnięciem nie zniszczyć efektu dumnej odprawy, która, jak sądziła, w ten sposób mu dawała.

- Naucz swoje towarzyszkę tego, co ci dzisiaj pokazałem! - krzyknął w ślad za nią. - Aha, jeszcze jedno, Zoe! - Nie odwróciła się. Jeszcze czego! - Ja dokonałem wyboru: musimy być razem, nie ma innego wyjścia! Lepiej od razu się z tym pogódź.

- Nigdy! - odkrzyknęła przez ramię.

Już raz zrobiła kolosalny błąd, drugi raz się to nie powtórzy.

SCANDALOUS

W ulubionej powieści Juliette tonącej bohaterce staje przed oczami całe życie. Jej nic takiego się nie przytrafiło. Dopiero później, gdy rozpalona leżała pod stosami koców i wstrząsana dreszczami, usiłowała przemóc szok, jaki przeżywa każdy, kto otarł się o własną śmierć, doświadczyła owego osobliwego przeżycia. Przesuwały się w jej pamięci sceny bezpiecznej egzystencji, chronionej przed wstrząsami i niespodziankami, łatwej do przewidzenia i jakże monotonnej. Całe lata tak dryfowała, każdy dzień wypełniała ta sama rutyna, wszystko powtarzało się miesiąc po miesiącu - żadnych przeszkód, żadnego wyzwania. Nie przeżyła ani szaleńczego lęku, ani podniecenia. Jak we śnie wykonywała dobrze znane zadania i cofała się przed wszystkim, co nowe i nieznanne. Patrząc wstecz, lepiej rozumiała impuls, który popchnął ją do szybkiego małżeństwa. Przypomniła sobie skrywaną rozpacz, która narastała w miarę upływu pustych lat, i świadomość, że marnuje życie. Przypomniła sobie myśli, że kiedy, jak zawsze nienagannie i spokojnie, zejdzie z tego padołu, jedynie ciotka Kibble zauważy i uroni łzę nad jej śmiercią. Jednym z ulubionych zajęć było komponowanie stosownego epitafium na własny nagrobek!

„Panna Juliette March nigdy nie postąpiła niewłaściwie”?
„Tu spoczywa jak-jej-tam-było... odeszła, lecz pozostała w naszej pamięci”?

„Nigdy nigdzie nie doszła, niczego nie dokonała”?

Poślubiając wreszcie Jeana Jacques'a, sprowokowała niemałe zmiany, które w gruncie rzeczy były takie powierzchowne!

Dalej się nieustannie przejmowała zasadami i pozorami. Wciąż nie pojawił się nikt, kto by ją kochał i szczerze żałował, gdyby naprawdę utonęła w jeziorze. Owszem, udało jej się wyrwać z Linda Vista, dotarła nad Jukon i wspięła się na przełęcz Chilkoot, lecz nie zrobiła tego z własnej chęci, a po drodze skarżyła się i narzekała, nienawidząc każdego kroku. Złamała monotonię, lecz nie potrafiła cieszyć się urozmaiceniem. Co gorsza, wiedziała, że mając już za sobą konfrontację z Jeanem Jacques'em, stoczy się ponownie w tę samą otumaniającą rutynę życia, która określała jej egzystencję, zanim wzięła rozbrat z konwencjami.

Nie, na to absolutnie nie mogła pozwolić!

- Juliette! Wyłaż wreszcie, musimy związać namiot! Wszystko już gotowe.

Rozejrzała się po wnętrzu w kształcie trójkąta. Skape wyposażenie zostało dawno wyniesione i spakowane, ale łatwo mogła sobie wyobrazić wąskie polowe łóżka, żelazny piecyk, stertę okryć w kącie, przybory toaletowe i inne niezbędne przedmioty, poniewierające się wszędzie wokół. Jakże nienawidziła nocy spędzanych w ciasnym śpiworze, ciasnoty i skoków temperatury tak skrajnych, że wciąż albo dotkliwie marzła, albo pociła się niemiłosiernie! Dzień po dniu nosiła tę samą odzież i głuszyła głód tym samym wstrętnym jadłem: plackami, fasolą i tłustym bekonem. Nie miała możliwości porządnie umyć włosów, a wieczorna toaleta polegała na

obmyciu twarzy i ramion w miedniczce wielkości spluwaczki. W dodatku niemal cały czas znosiła obecność Zoe i Clary, które nieźle działały jej na nerwy! Gdyby nie te niedogodności, mogłaby uznać, że wędrówka po tej dzikiej krainie nie jest tak straszna. Przynajmniej wyruszyła gdzieś, coś robiła i dokądś zmierzała. Uczyniła pierwszy krok, by zmienić swe życie. Lecz wciąż pozostawało tyle do zrobienia...

- Juliette, do diabła! Co ty tam robisz?!

- Już idę!

Odchyliła klapę i wynurzyła się na świat olśniewający perłowym blaskiem. Zlodowaciałe zasy zeszłotygodniowego śniegu przyprószył świeży puch, niebo przybrało odcień starego srebra. Cóż, skoro już musiała spędzić dzień, biegnąc za psim zaprzęgiem, ten dzień mógł być równie dobry jak każdy inny, może nawet lepszy. Pomyślała o wędrówce po lodzie i serce na chwilę podeszło jej do gardła, lecz zacisnęła zęby i odpędziła lęk. Nie będą pierwszymi w tym sezonie, którzy wyruszają przez tafle jeziora Crater, a wszyscy poprzednicy zakończyli przeprawę pomyślnie. Większość wędrówców postanowiła jednak zostać w obozie aż do wiosny i przez chwilę Juliette z całego serca życzyła sobie przyłączyć się do nich. Podniósłszy głowę, spojrzała na Clare i Zoe. Nie mogła uwierzyć własnym oczom!

- Litościwe niebios! Cóżecie ze sobą zrobiły?! - wykrzyknęła na widok ohydnych masek na twarzach towarzyszek.

- To popiół zmieszany z tłuszczem - wyjaśniła Clara i zanim Juliette zdołała wydać słowo protestu, posmarowała

osobliwą maścią jej oblicze. - To chroni skórę twarzy, wystawionej na uderzenia wiatru i ujemne temperatury. Tom zaopatrzył nas też w okulary przeciwsłoneczne.

Juliette popatrzyła na błękitnawe szkła, które Zoe nasadziła na posmarowany obrzydliwą mazią nos. Obramowany futrem kaptur z foczej skóry tworzył stosowną ramę dla oblicza potwora z nocnego koszmaru. Juliette uświadomiła sobie, że teraz i ona wygląda podobnie. Zgarbiła posępnie ramiona. Wnet okazało się, że jeszcze nie koniec upokorzeniom, gdyż nadszedł Ben Dare, zawiadacki i całkiem przystojny w lamowanej futrem kurtce i ciężkich buciorach po kolana. Będzie więc zmuszona odezwać się do niego i podziękować za ocalenie życia, w dodatku wyglądając jak obłąkane monstrum! Ben obejrzał ją z zaciekawieniem, a w jego oczach pojawiły się iskierki rozbawienia.

- Czy moglibyśmy porozmawiać, zanim wyruszymy? - spytał.

Pod maską z popiołu czuła palące rumieńce. Nie zachowała świadomych wspomnień chwil, gdy trzymał ją naga w ramionach, ale doskonale mogła to sobie wyobrazić. W gruncie rzeczy cały miniony tydzień nie robiła nic innego, tylko widziała siebie, jak Ben przyciska jej obnażone piersi do swojego torsu, jak rozciera dłońmi jej barki i plecy, i te wizje sprawiały, że skręcała się i drżała, a po całym ciele przebiegały gorące dreszcze. W najgłębszych zakamarkach duszy chowała żal, że nic nie pamięta z tego najhaniebniejszego przeżycia swoich dotychczasowych dni! Los mógł jej przynajmniej pozostawić wspomnienia.

Ben odezwał się zniżonym głosem:

- Juliette...

Za ich plecami Zoe i Clara kończyły zwijanie obozu, a Chilkcaci ładowali skrzynie i worki na sanie.

- Kiedy pomyślałem, że i ciebie straciłem... - Bezwiednie zacisnął pięść w futrzanej rękawicy. - Musimy to wszystko rozważyć. Helen przez osiem lat stanowiła nieodłączną część mojego życia, nie mogę udawać, że tego małżeństwa nie było czy że ona mnie nie obchodziła.

Głowa Juliette uniosła się jakby wbrew jej woli, oczy napotkały wzrok Bena. Całymi godzinami wyobrażała sobie pierwsze słowa, jakie mogą paść między nimi, gdy znowu się spotkają, ale ani razu nie przyszło jej na myśl, że Ben zacznie mówić o zmarłej żonie. Sądziła raczej, że powrócą w rozmowie do dnia wypadku. Na samą myśl o tym czuła się skrępowana i zażenowana.

- Czemu wspominasz żonę? - Bezpośredniość tego pytania zaskoczyła nawet ją.

- Wiem, że nie chcesz o niej mówić, ale...

- Ben, posłuchaj: lubiłam słuchać, kiedy mi o niej opowiadałeś. To musiała być wspaniała kobieta. Po prostu nie mogę zrozumieć, czemu właśnie teraz powróciłeś do tych wspomnień.

Usiłował zajrzeć w jej oczy, przysłonięte błękitnymi szklami.

- Gdy o niej mówiłem ma przełęczy Chilkooot, wyglądałaś na nieprzyjemnie poruszoną.

- Skąd ci to przyszło do głowy, na litość boską? Czułam dla niej tylko podziw i zazdrościłam wam wspólnego życia. - Zazdrość? Z tego nie zdawała sobie dotąd sprawy, lecz teraz wiedziała, że właśnie takie były jej uczucia. Ben kochał żonę i stał przy niej do końca, inaczej niż pewien mąż, którego nazwiska nie mogła tu wymienić!

Teraz na Bena przyszła kolej dziwić się temu, co usłyszał.

- Od tamtej wspinaczki na przełęcz byłaś taka... niedostępna. Czułem, że wolisz mnie nie spotykać, i przyjąłem, że powodem były moje opowieści o Helen, które cię w jakiś sposób dotknęły czy uraziły.

Ta rozmowa była niemal równie zenująca jest roztrząsanie jej niedawnej nagości! Zacisnęła wargi i wbiła wzrok w zaśnieżoną ziemię.

- Ja... sądziłam, że zbyt wiele czasu spędzamy razem. Czułam, że Clara i Zoe tego nie aprobują.

Przechylił głowę do tyłu i spojrzał w niebo.

- Czasami jestem taki głupi! Oczywiście, musiałaś dbać o pozory.

- I ja kogoś straciłam. Rozumiem, że człowiek pragnie wspominać bliską osobę, która odeszła. Przypomnij sobie, że to ja poprosiłam, byś mi opowiedział o żonie.

Brwi zbiegły mu się w wyrazie zdumienia.

- Nie wiedziałem, że kogoś straciłaś.

Rozmowa schodziła na niebezpieczne tory! Zmieszana Juliette ledwie wykrztusiła:

- Już niemal rok, odkąd odszedł.

- Przykro mi... kto to był, ojciec, brat?

Mogła powiedzieć, że straciła ojca, co w gruncie rzeczy nie było kłamstwem. Ale za bardzo jej zależało na Benie, by go zwodzić przemilczeniami. Rozejrzała się, gorączkowo szukając pretekstu do przerwania rozmowy.

- Nie... Och, widzę, że Zoe i Clara skończyły pakować sanie!

Mars na czole Bena pogłębił się, a jego oczy zwięzły w szparki. Niemal namacalnie poczuła bijącą od niego falę zazdrości. Nagle ujrzała się jako femme fatale, całkiem nowe doświadczenie! Głęboko żałowała, że nie potrafi przypomnieć sobie owej chwili nagości na brzegu jeziora; femme fatale powinna kolekcjonować takie wspomnienia!

Clara i Zoe przekazały zwinięty namiot Chilkatowi, nadzorującemu załadunek, i zaczęły przenosić wymowne spojrzenie z lodowej tafli jeziora na Juliette. Ta odezwała się pospiesznie:

- Ben, dziękuję ci za uratowanie mnie. Ryzykowałeś życie! - Mógł utonąć albo dostać paraliżu w zimnej wodzie. - Będę ci wdzięczna na zawsze. Ja... Zanim wpadłam do wody, myślałam o tobie. - Cóż za odwaga i szczerłość drzemały w nowo odkrytej osobowości femme fatale!

Niebieskawe szkła powlekły jego oczy czystym kobaltem. Wydał jej się tak przystojny, że oddech uwiązał jej w gardle.

- Myślałam o tym, jaka byłam głupiutka, bardziej się troszcząc o to, czy nasze spotkania wydadzą się komuś stosowne, czy nie, niż o naszą przyjaźń. Bo jesteśmy przyjaciółmi, prawda? - dodała zmieszana, jeszcze nie przyzwyczajona do pewności siebie, typowej dla femme fatale.

Jego ramiona drgnęły, a Juliette przemknęło przez oszołomioną głowę, że miał chęć ogarnąć ją zachłannym uściskiem.

- Jeśli wszystko ułoży się po mojej myśli, zostaniemy kimś więcej niż parą przyjaciół - usłyszała gardłowy szept i o mało co nie zemdląca.

- Ben? Juliette? - Clara zawiązywała mocniej szal, chroniący usta i nos. - Czekamy!

Jej ingerencja przypomniała Juliette, że nigdy nie może być dla Bena kimś więcej niż przyjacielem.

- Przyjaźń mi wystarcza - mruknęła z żalem w głosie. Szkoda, że nie mogła marzyć o większej bliskości! Tak bardzo podobała jej się jego swobodna postawa i szerokie ramiona, podkreślone jeszcze krojem futrzanej kurtki. - Zastanawiam się, jak byś wyglądał bez tej okropnej kudłatej brody - wymknęło jej się, zanim pomyślała, co mówi. Jej usta zaokrągliły się z zakłopotania. - Och, nie chciałam... Myślałam tylko...

Zaśmiała się dobrodusznie.

- Jeśli moja broda nie przypadła ci do gustu, natychmiast się ogolę!

- Ojej ku, tego nie mówiłam! Ja tylko...

Clara ujęła ją pod jeden łokieć, Zoe pod drugi.

- Ruszamy! - Clara rzuciła Benowi spojrzenie przez ramię. - Panie Dare, czy i pana mamy ciągnąć siłą?

- Mam nadzieję, że panie dobrze się wyspały. - Ruszył za nimi dziarskim krokiem. - Mamy przed sobą długi i ciężki dzień!

Kiedy Zoe po raz pierwszy opisała im sztukę jazdy saniami, przerażona Juliette słuchała w osłupieniu. Lecz kiedy towarzyszka powtórzyła instrukcje, postarała się dokładnie je zapamiętać i odtąd mówiła sobie bezustannie, że bieg za saniami okaże się nie taki straszny, jak go malują.

Niestety, okazał się jeszcze gorszy! Po pierwsze, ledwie cokolwiek widziała nad ponad dwustukilową stertą pakunków. Dopóki nie zorientowała się, że psy naprawdę podążają za poprzednimi saniami, zamartwiała się, że mając ograniczoną widoczność, nie potrafi nimi kierować jak należy, jeśli w ogóle była do tego zdolna. Błyskawicznie przekonała się, że ważniejszą i trudniejszą sztuką była umiejętność dotrzymania tempa pozostałym.

Kiedy po raz pierwszy sanie wyskoczyły do przodu, poręcz przewodnika wyskoczyła jej z uchwytu i Juliette upadła jak długa na zlodowaciały szlak. Tom pokazał jej jeszcze raz właściwy krok: musiała biec nie na palcach, jak usiłowała, lecz stąpając po śniegu całą podeszwą rytmicznie kołysząc się z boku na bok i szurając butami. Kiedy się nieco wprawiała, przekonała się, że potrafi posuwać się naprzód szybciej, niżby sądziła, że to możliwe. W czasie pierwszej godziny marszu krążyła myślami między obawą o grubość lodu i skrępowaniem, które odczuwała, widząc, że Ben nieustannie ją obserwuje. W czasie drugiej patrzyła, jak sanie pod żaglami przemykają koło nich świszczącymi smugami, i zazdrościła sternikom, którzy mogli stać na tylnej płozie, podczas gdy wiatr za nich pracował. Kiedy w południe zatrzymali się na kawę, zapytała Toma, czemu i one nie mogły podróżować pod żaglami.

- Kiedy wiatr ucichnie, przekona się pani, że na dłuższą metę psie zaprzęgi lepiej służą do takiej wędrówki. - Wsadził w płomienie małego ogniska wiosło, na którym zatknął chleb z serem. - W razie braku wiatru sternik musi pchać sanie z całym ładunkiem.

- Jak tam sobie radzą maleńkie damy? - Dudniący głos Niedźwiedzia Barretta rozszedł się po lodowej tafli, aż z oddali inni zaczęli oglądać się w kierunku ich grupy. - Nogi wytrzymują?

Dżentelmeni nie wymieniali tego słowa w obecności dam! Mimo to Juliette nie przestała lubić Niedźwiedzia; początkowo onieśmiała ją zwałista sylwetka olbrzyma, lecz teraz widziała w nim dobrego człowieka i wesołego kompana na szlaku. Przywodził jej na myśl kudłatych złotowłosych wikingów, pełnych wojennego zapału i radości życia, lojalnych nad życie wobec swych współplemięnców.

Tom machnął ręką ku drugiej grupce i okrzykiem zaprosił ich do ognia. Serce Juliette ścisnęła obawa, gdyż znajdowali się w niej wyłącznie mężczyźni. Pewnie niejeden z nich widział ją nagą na brzegu jeziora, a na pewno wszyscy o tym słyszeli! Niedźwiedź przyjrzał się jej uważnie i położył olbrzymią łapę na ramieniu Juliette.

- Nikt nawet słówkiem nie piśnie o tamtym wydarzeniu - obiecał łagodnym głosem, zaskakująco taktownie dobierając słowa. Jej wargi zdrząły i wydusiła szeptem:

- Ale jeśli jednak...? - Umarłaby z upokorzenia!

- Jeżeli komukolwiek się coś wypsnie, Ben Dare osobiście go wypatroszy. Ogłosił to wszem i wobec: niech no

ktoś panią zdenerwuje, a odpowie krwią i siniakami, jeśli nie gorszym dopustem. Wziął Boga za świadka swej przysięgi. Tom i ja będziemy stać u jego boku i wesprzemy go w razie potrzeby!

- Ben tak zrobił? - Obróciła się ku saniom i patrzyła, jak wkłada na psie łapy jutowe osłony, które chroniły wrażliwe podeszwy zwierząt przed ostrymi jak brzytwa krawędziami spękanego lodu.

Grupa zbliżająca się do ogniska składała się z innych klientów Toma. Juliette widziała ukradkowe spojrzenia, rzucane w swoim kierunku, ale jak przepowiedział Niedźwiedź, nikt nie odważył się jej ubliżyć ani sprawić przykrości nieopatrzny przycinkiem. Więc Ben był gotów walczyć z każdym, kto ją obraził? To czyniło z niego w jej oczach jeszcze większego bohatera. Była zaskoczona biegiem własnych myśli. Zanim wyruszyła w tę podróż, nie znała tego rodzaju mężczyzn, którzy posługują się siłą, nie miałyby ochoty poznać kogoś takiego. Była pewna, że Jean Jacques za żadne skarby nie przyłączyłby się do bijatyki na brzegu jeziora. Ale mężczyźni, którzy ją otaczali, bynajmniej nie stronili od rękoczynów i fizycznej konfrontacji, przeciwnie, wydawali się do niej skorzy. Obrazę karali bezzwłocznie i bez wahania stawali w obronie swoich kobiet. Juliette podobała się taka gotowość, czuła się bezpieczna, uwielbiana i szanowana w stopniu, jakiego nie zapewniało samo przestrzeganie nienaganych manier.

- Powinam się wstydzić! - mruknęła pod nosem. Niektóre zmiany w jej upodobaniach wcale jej nie zachwyciły.

- Czego? - wtrąciła Zoe, markotnie przypatrując się noskom swoich butów. - Chyba mam pęcherze.

- Powinnam się wstydzić, że popieram przemoc jako sposób rozwiązywania konfliktów.

Zoe miała w jednej ręce dzbanek kawy, w drugiej przysmażoną nad ogniem kromkę chleba z serem.

- Ty miałabyś popierać przemoc? Niechże mnie! Czyżby zalecały to podręczniki dobrych manier?

- Och, przestań. Skąd masz tego tosta?

- Upiekłem go dla niej! - zawołał Tom znad ogniska.

Zoe parsknęła:

- Wcale cię nie prosiłam!

Tom uśmiechnął się do Juliette.

- Panna Wilder i ja jesteśmy na etapie zalotów. Właśnie staram się jej dowieść, że stać mnie na troskę i że mogę być pomocny w robotach domowych.

Juliette i Clara odsunęły się o krok, wpatrzone z osłupieniem w Zoe. Nawet maska z popiołu nie ukryła rumieńca gniewu na policzkach dziewczyny.

- Nie ma mowy o żadnych zalotach! Słyszysz, Tomie Price? Nie ma mowy, nigdy nie będzie mowy, wybij to sobie z głowy!

Juliette zerknęła na Bena schylonego nad psami, a Clara strzeliła oczami w kierunku Niedźwiedzia, zatopionego w ożywionej rozmowie z nowo przybyłą grupą. Obaj panowie byli zwróceni twarzami do pań. Juliette zdała sobie nagle sprawę, że zawsze tak stają. Tom wyszczerzył zęby w bez troskim uśmiechu.

- Jeszcze tosta z serem, kochanie?

Zoe zaczęła się krztusić, potrząsnęła gwałtownie głową i odeszła dumnym krokiem w kierunku Bena i psów.

- Cudownie się składa, że uwielbiam w kobiecie upór, bo Bóg jeden wie, jak uparta jest dama mojego serca! Nie byłaby warta zachodu, gdyby dała się od razu wziąć na lep zalotów. - Puścił oko do Juliette i zatknął kromkę chleba z serem na wiośle, które zanurzył w płomieniach.

Clara zamrugwała.

- Zaloty? Kiedy zdążyli się dogadać? Czyżby Zoe nagle zmieniła stan cywilny? Już nie jest mężatką? Ciekawe, jak to zrobiła!

Przez całe popołudnie Juliette rozmyślała o Zoe i Tomie i ich domniemanych zalotach; mimo głośnych protestów dziewczyny, nie sposób było nie zauważyć namiętnych spojrzeń, jakie wymieniała ta para. Clara i Niedźwiedź też krążyli wokół siebie jak przyciągani niewidocznym magnesem. Juliette zaczęła myśleć o sobie i Benie.

- Nie ma mowy o żadnych zalotach! - upierała się Zoe, kiedy po kolacji udały się na spoczynek do namiotu.

- Nic mnie to nie obchodzi, byleś nie zapomniała, po cośmy tu przyjechały. - Clara ziewnęła. Czerwień wełnianej bielizny klóciła się z radością włosów, które otaczały jej głowę płomienną aureolą kędziorów. - Nie zapomnij tylko o tym, że masz zastrzelić tego nicponia, naszego pożał się Boże małżonka, a możesz mieć zalotników, ilu chcesz! Mnie tam wszystko jedno.

- Co ci się stało? - Zoe podniosła wzrok znad igły, którą przekłuwała pęcherze na pięcie. - Juliette, wygłoś przemowę o

tym, że jesteśmy zamężne, przypomnij jej o powinnościach i zasadach dobrego prowadzenia się i o tym, że nie wolno nam rozporządzać własnym życiem. Ja jestem na to zbyt zmęczona.

Juliette ścierała szmatką smugi tłustego popiołu z twarzy.

- Zanim wpadłam do jeziora, pewnie byłabym gotowa to zrobić, ale nie jestem pewna, że jeszcze w to wierzę.

Zoe i Clara zastygły nieruchomo, wpatrzone w swą towarzyszkę. Obie wyglądały nieco śmiesznie w workowatych kalesonach i bezkształtnych koszulach, na które spływały rozpuszczone fale włosów. W świetle pelgającego płomyczka obozowej lampy ich twarze wydawały się równie czerwone i zakłopotane co oblicze Juliette.

- Myślę, że ludzie powinni chwycić okazję do szczęścia, gdzie i kiedy mogą. - Cisnęła ręcznik do wiadra z brudami. - Tom to uczciwy i dobry człowiek. Jest ogólnie szanowany, ciężko pracuje i odnosi sukcesy w tym, co robi. Wy dwoje pochodzicie z tej samej sfery, dzielicie te same wartości i zasady i sposób patrzenia na świat. Pomyśl tylko o naszym mężu, który nie tylko zmył się bez śladu, lecz do tego okazał kłamcą oszustem, uwodzicielem i złodziejem. Jego jedyną zaletą było to - spojrzała twardo na Zoe - że nie pochodził z Newcastle!

- Juliette March! Nie wierzę własnym uszom! Ty to mówisz? Clara posypała głowę talkiem i zaczęła przeciągać szczotką przez bujne rude kędziory. Puder wchłaniał nieco brudny tłuszcz na niemytych włosach, lecz jednocześnie wysuszał je i pozbawiał blasku. Słyszała trzaski, gdy pojedyncze włoski naładowane elektrycznością unosiły się wokół jej głowy, nieposłuszne szczotce.

- Każdy głupiec widzi, że Tom cię kocha! - powiedziała. - I to prawdopodobnie od bardzo dawna. Gdyby nie twój upór, gdybyś dała upust swoim uczuciom, odpowiedziałabyś mu miłością.

Zoe z rozmachem wetknęła igłę w poduszczyk.

- Obie zwariowaliście! To pewnie śnieżne szaleństwo, przed którym nas ostrzegano. Zapomnieliście, że mam zastrzelić Jeana Jacques'a? - Poklepała podłużny zarys lufy pod kocem. - Potem zostanę pewnie powieszona przez kanadyjską policję konną albo stanę przed plutonem egzekucyjnym... Nie wiem, jak tutaj postępują z mordercami. W każdym razie ja nie mam przyszłości.

- Jeden powód więcej, by chwytać szczęście, póki się da. Zgadzasz się z Juliette.

- Ależ nie mogłabym! Tom jest z Newcastle!

Juliette złożyła dłonie na kolanach okrytych czerwoną wełną.

- Pamiętasz, jak nam opowiadałaś o paradzie w Dniu Właściciela? - spytała miękko. - O gościach w powozach, którzy patrzyli na was z góry?

- Nie myślisz chyba, że mogłabym zapomnieć?

- Powiedz mi, Zoe, czym się różnisz od tych ludzi z powozów? - Juliette patrzyła, jak kąciki ust dziewczyny wyginają się w dół, a w oczach pojawia się błysk gniewu. - Według mnie, i ty patrzysz na swoją rodzinę i innych mieszkańców Newcastle jak na kogoś gorszego, śmiecie, wywołujące w tobie odrazę i pogardę.

- Mój Boże! - Zoe zachłysnęła się.

- Jeśli ty i Tom stanowicie przykład mieszkańców typowej górniczej osady, powinniście chyba być dumni, bo jesteście żywym dowodem, jacy to uczciwi, ciężko pracujący, lecz wielkiego serca ludzie. Czemu się tego wstydzisz? Dlaczego słuchasz opinii panów i pań z eleganckich powozów, zamiast głosu własnego serca? - Juliette sięgnęła ku poślaniu Zoe i ujęła drżącą dłoń towarzyszki. - Nie tylko pasażerowie eleganckich powozów okazują się snobami. Proszę, pomyśl o tym, gdy jutro spotkasz Toma!

- Ja... przecież ja... O, mój Boże! - szepnęła Zoe.

Clara ziewnęła.

- Ja tam mam zamiar spać - oświadczyła i zdmuchnęła płomyk lampy.

Juliette leżała w ciemnościach wpatrzona w Zoe, która wciąż siedziała, podkuliwszy kolana pod brodę, ze wzrokiem wbitym w gasnący żar piecyka. Czy źle zrobiła, popychając dziewczynę w ramiona Toma? Nie sądziła. Ostatnią myślą w lodowej otchłani jeziora było: nigdy nie będę z Benem. Kiedy dobrze wszystko rozważyła, musiała dojść do wniosku, że przestrzeganie stosownych manier zabija spontaniczność i okrada człowieka ze zdolności przeżywania tego, co przynosi życie, a nawet z samej radości istnienia. To dobre dla starych, którzy już mają życie za sobą a nie dla oszukanych żon! Usłyszała cichutki szept z poślania Clary:

- Posłuchaj, Juliette...

Na litość boską! Niemal usiadła na łóżku.

Chciały słuchać jej rad? Cud nad cudy!

Przygotowując się do przeprawy lądowej od jeziora Crater do Długiego, Indianie Toma pozdejmowali ze swych sań żagle z koców. Każdy z nich zarzucił linę przez pierś lub zaczepił o specjalną uprząż na czole i pociągnął wyładowany pojazd zmarzniętym szlakiem. Zoe uznała, że też zdoła dokonać tej sztuki, i ku swemu zdumieniu, przekonała się, że oblodzone płozy umożliwiają ruszenie ciężaru naprzód.

- Mogłabym uciągnąć, ale tylko przez kilka metrów. Cieszę się, że nie muszę tego robić. - Oddała Tomowi skórzane lejce. Im dalej się zapuszczali, tym mniej miała za złe Juliette, że wspaniałomyślnie zafundowała im luksusowe usługi tragarzy; wciąż jednak nie potrafiła się przemóc i powiedzieć jej tego głośno i wyraźnie.

Kilkumetrowa warstwa śniegu pokryła stromizną zboczy gór okalających Jezioro Długie, zasłaniając przed niedoświadczonym okiem szczeliny i nierówności terenu. Wczoraj Clara w poszukiwaniu opału zawędrowała w leśną gęstwinę i wpadła w zaspę sięgającą jej do ramion. Niedźwiedź wy dostał ją ze śnieżnej pułapki bez szwanku, lecz wydarzenie to odbiło się szerokim echem, przypominając wszystkim o koniecznej ostrożności w polarnej głuszy. Nie wolno było oddalać się od szlaku -a właśnie to robili teraz Zoe i Tom, choć dla uczciwości należy dodać, że nie zdawali sobie sprawy, jak daleko są od obozu.

- Która to godzina?

Listopadowy zmierzch zaskakiwał ich coraz wcześniej. Codziennie musieli dłużej czekać na brzask, by rozpocząć pochód, a obóz rozbijali już koło czwartej. Krótsze dni oznaczały mniej godzin uciążliwej wędrówki i ulgę w wysiłku fizycznym, z drugiej strony spowalniały pochód i oddalały dzień, w którym dotrą do celu. Jasne już było dla wszystkich, że Dawson City ujrzą w najlepszym razie dopiero wczesną wiosną.

- Do kolacji mamy jeszcze jakąś godzinę. Czy czas ci się dłuży?

Uśmiechnęła się. Tom Price był najmniej nudnym towarzyszem, jakiego mogła sobie wyobrazić. Znał zapierające dech opowieści o niedźwiedziach grizzly i polarnej głuszy, o ekscentrycznych poszukiwaczach złota i o awanturach, w które obfitowało życie w nowo powstających osadach złotodajnej krainy. Umiał nazwać okoliczne szczyty i jeziora, znał wszystkie tajniki szlaku i potrafił niemal wszystko. Jakikolwiek temat poruszali, miał wyrobioną opinię i zachęcał Zoe do wygłaszania swoich sądów.

- Nie o to chodzi, ale zaczynam się trochę niepokoić. Jest już ciemno, śnieg zasypuje nasze ślady. Nie powinniśmy wracać do obozu?

- Chciałem to właśnie zaproponować. - Tom oparł się o wyładowane sanie. Płomyk latarni padał na pobrużdżone trudami życia, wysmagane wiatrem i mrozem policzki. Migotliwe światło zmiękczało surowe rysy. Skrzyżował ramiona i uśmiechnął się łobuzersko. - Jesteś taka ładna, wspaniale gotujesz, no, i chcę cię przeprosić. Tak mi przykro!

- Co? - Wystarczyło, by na niego spojrziała, a myśli zaczynały biegać niebezpiecznymi szlakami. Gdyby miała dostać grosz za każdy raz, gdy wspominała ich pocałunek spod lodowca, byłaby już bogaczka.

- Mój ojciec zwykł mawiać, że najlepszy sposób na zgodne życie z kobietą to codziennie powtarzać jej te trzy rzeczy: że jest ładna, że dobrze gotuje i że przepraszasz za wszystko, cokolwiek by to było.

Zoe zaśmiała się i oparła o pachnący żywicą pień sosny. W ostatnich dniach Tom jął jawić się jej w nowym świetle; doszła do wniosku, że Juliette miała całkowitą rację, przypisując mu zalety godne rycerza i bohatera. Dziewczyna zrzuciła skorupę uprzedzeń i przekonała się, że dostrzegła w nim te same rzeczy, które tak ceniła u ojca i braci: siłę charakteru, wierność zasadom, uczciwość, upór i zdolności przywódcze. Podobała jej się też jego szczera dumą z własnych osiągnięć. Uosabiał męczyznę jej marzeń... z tym jednym, jedynym wyjątkiem: pochodził z Newcastle.

Wreszcie jednak przestało ją to obchodzić, i właśnie tak powinno być zawsze!

Zaskakująca uwaga Juliette o tym, że Zoe przypomina snobizmem gości, paradujących w powozach uliczkami Newcastle w Dniu Właściciela, wprawiła dziewczynę w niemały szok; lecz mimo odruchowego buntu Zoe natychmiast rozpoznała niezaprzeczną prawdę tego spostrzeżenia. Zdecydowała się patrzeć na świat oczami ludzi z powozów i w rezultacie miała w pogardzie bliskich, przyjaciół i siebie samą. Wstyd za swe pochodzenie popychał ją do desperackich

wysiłeków, by wyrwać się ze znieawidzonej sfery i odciąć od wszystkich, którzy się z niej wywodzili. Ta myśl prześladowała ją jak zły sen. Co gorsza, Zoe pamiętała, jak zamartwiała się, że służba Jeana Jacques'a wyszydzi ją i jej rodzinę!

Kiedy o tym myślała, żołądek kurczył jej się z poczucia winy i hańby. Jakaż była płytka i nic niewarta! Będąc dzieckiem w połatanej sukieneczynie i z kołtunem we włosach, nie postąpiłaby tak podle, by spoglądać na kogoś z politowaniem tylko dlatego, że jest w gorszej od niej sytuacji. Nie wstydziłaby się ludzi, którzy ciężko i uczciwie zarabiają na życie, tylko dlatego, że muszą brudzić ręce pracą. Ale jako dorosła popełniała ten grzech.

O, tak! Strząsnęła z siebie Newcastle, bez dwóch zdań. Wywyższyła się i wmówiła sobie, że jest lepsza od ludzi, których kochała. Przy pierwszej okazji opuściła rodzinne miasteczko, chodziła na wieczorowe kursy, by móc zadzierać nosa dzięki wykształceniu i umiejętności gładkiej wymowy, i gratulowała sobie, że odrzuciła gminne pochodzenie, które ją poniżało i żenowało.

- ...tym razem wiem, za co przepraszam, i naprawdę bardzo mi przykro.

Potrząsnęła głową i zogniskowała spojrzenie na oświetlonej złotawym blaskiem latarni twarzy Toma. Jej oczy bezwiednie powędrowały ku jego wargom.

- Przepraszam, zamyśliłam się. Mówiłeś...
- Źeśmy się zgubili.
- Co? - Oderwała się gwałtownie od pnia.

- Właściwie nie tyle zgubili, bo mam dość dokładne pojęcie, gdzie się znajdujemy, ale byłoby głupotą i wyzywaniem losu próbować szukać szlaku w ciemnościach.

Podczas gdy myśli Zoe wędrowały własnymi ścieżkami, śnieżycy bardzo się wzmogła i zakryła ich ślady. Puch powłókł białą warstwą rondo kapelusza Toma i stertę pakunków na saniach. Serce Zoe ścisnął kurcz lęku. Mimo ciepłej odzieży, którą miała na sobie, żądła przejmującego chłodu poczęły dotkliwie kąsać policzki i stopy. Usiłowała zachować spokój przynajmniej w głosie.

- Co pocniemy?

Poszukiwacze złota uwielbiali mrozące krew w żyłach opowieści o zagubionych podczas zawiei, których ciała odnajdywano dopiero po nadejściu wiosennej odwilży. Równie przerażające były historie o odmrożeniach i odciętych członkach. Dziewczyna wiedziała, że to realne zagrożenie, bo nie dalej jak trzy dni wcześniej spotkali mężczyznę, któremu musiano amputować odmrożony nos. Pamiętała odruch zgrozy na widok straszliwie zdeformowanej twarzy.

Tom podszedł do niej i położył ręce na jej ramionach, uśmiechając się z otuchą.

- Nie twierdzę, że sytuacja nie jest poważna, ale zapewniam cię, że przeżyjemy tę noc bez większych szkód. Ostatecznie to tylko jedna noc.

Jedna noc pod gołym niebem? Z przerażenia zaschło jej w ustach. Niemal nie potrafiła wydusić słowa ze ściśniętego łękiem gardła, ale chwyciła Toma za kłapy płaszcza i z wysiłkiem uspokoiła oszalały łomot serca.

- Zamarzniemy! Nigdy nie zdołają nas odnaleźć!

Pogładził ją po plecach, a dotyk jego dłoni był jak delikatna pieśczota.

- Zobaczysz, że wszystko dobrze się skończy, a nam nic się nie stanie. Nie martw się!

Poczuła jednocześnie przyływ otuchy i irytacji na dźwięk pewności w jego głosie. Potem zebrała myśli i przypomniała sobie, że Tom nie po raz pierwszy znalazł się na szlaku i zapewne wie, co robić. Podniosła głowę i zauważyła, że jej usta znajdują się zaledwie kilka centymetrów od jego warg. Zaczerpnęła tchu i pospiesznie się cofnęła, otrzepywaniem rękawic pokrywając nagłe zmieszanie.

- W porządku - zgodziła się. Widziała, że jej towarzysz spogląda na nią z płomieniem w oczach, jakby i on przypominał sobie tamten pocałunek. Miała nadzieję, że nie usłyszy w jej głosie drżenia. - Co mam robić? Jak mogę ci pomóc? -Spędzi najgorszą noc swego życia, na mrozie i w ciemnościach, ale przynajmniej spędzi ją z mężczyzną, któremu ufała, o którym wiedziała, że pomoże jej wyjść cało z niefortunnej przygody.

- Zobaczmy, co my tu mamy. - Rozwiązał liny przytrzymujące pakunki. - To jedne z moich sań, jeśli więc szczęście nam dopisze... Doskonale! - Wyciągnął siekiere, potem wygrzebał z worka toporek i wręczył go Zoe. - Zbuduję szalasy, a ty postaraj się naciąć gałęzi, tylko nie oddalaj się zbyt daleko.

Najpierw wyszukał stosunkowo suchą i osłoniętą od wiatru niszę między dwoma wyniosłymi świerkami, po czym wziął się do ścinania mniejszych drzew. Pracując przy świetle latarni,

sklecił prymitywny, lecz wcale solidny szkielet budowli, przypominającej kształtem indiańskie tipi, który pokrył gałęziami odrąbanymi od pni. Zanim Zoe wróciła z naręczem drobnych gałązek na podściółkę szałas, Tom zdążył odgarnąć śnieg, wyciął w ziemi dziurę i rozpałił ogień.

- Ogrzej się, a ja przyniosę piecyk.

- Mamy piecyk? - Bogu dzięki za wyładowane sanie!

- Nie brak nam również zapasów żywności. Kiedy piecyk będzie gorący, usmażę steki z mięsa karibu. - Podał jej stos koców i poprosił, by rozesała je na świerkowym materacu, podczas gdy sam ustawiał piecyk przy szczelinie w ścianach szałas, która służyła za wejście.

- Reszta grupy będzie się martwić. - Zoe rozwiesiła w szczelinie jeden z koców jako prowizoryczne drzwi. - Czy nie wyruszą na poszukiwania?

- Dopiero za dnia. - Tom wyłowił z pakunków patelnię i parę talerzy. Wymachiwał świeżym łupem z miną zdobywcy złotego kruszcu. - Wciąż się martwisz, że musisz spędzić noc pod gołym niebem?

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Owszem, jeszcze trochę jestem niespokojna, ale mamy prawie wszystko, żeby urządzić się wygodnie, jak w domu. - Słowo dom przypomniało jej wcześniejsze rozmyślania. - Czy pamiętasz, o czym rozmawialiśmy w czasie pikniku pod lodowcem? - Usiadła na jednym z dwóch pniaków, które Tom ustawił koło paleniska.

- Pamiętam każde słowo i każdą sekundę tamtego dnia. - Podniósł oczy znad ognia, a zielone tęczęwki zawisły przez

chwilę na wargach dziewczyny, po czym powędrowały w dół, ku jej szyi, i wróciły do oczu.

Przez długi czas siedzieli wpatrzeni w siebie jak zaczarowani. Zoe niemal zapomniała, o czym chciała powiedzieć.

- Myślałam się co do wielu rzeczy - zaczęła wreszcie. Podczas gdy Tom starannie rozgrzewał patelnię, ona opowiedziała mu dokładnie, co myślała o Newcastle i jego mieszkańcach, nie wyłączając siebie samej.

- Przykro mi, że tak to widziałas - rzekł, układając paski mięsa na patelni.

- Już tak nie myślę. Zmieniłam się. - Nie potrafiła powiedzieć, kiedy nastąpił ten moment, w którym zaczęła utożsamiać się z ludźmi z powozów, zamiast z bliskimi z górniczej osady. Wiedziała natomiast, że nigdy nie zapomni chwili oświecenia. Powtórzyła Tomowi słowa Juliette i opisała mu przejmujące doznanie prawdy, kiedy ujrzała wszystko we właściwym świetle.

- To zgroza, że sama do tego nie doszłam! - Ponownie fala gniewu i żalu skręciła jej żołądek. - Gdybym mogła, zaraz pognałabym do domu i na klęczkach błagała mamę o przebaczenie. - Zamrugowała, by odpędzić łzy. - W ciągu minionych lat powiedziałam jej tyle krzywdzących słów, tyle razy zraniłam ją swoim postępowaniem! Patrzyłam, jak łapczywie chwytają jedzenie przy kolacji i myślałam: „Dobrze wychowani ludzie nie jedzą w ten sposób, tylko prymitywy z Newcastle!”. Tata żartobliwie mawiał, że zadzieram nosa, ale musiał wiedzieć, co naprawdę myślę... wszyscy pewnie to

widzieli! - Jakże ciężko było wyznać winę! - Mieszkaliśmy razem na kupie, nosiliśmy połatane koszule i halki. Węglowy pył wdzierał się wszędzie... - Spuściła głowę. - Osądzałam ludzi po paznokciach! Jeśli miały czarną obwódkę sadzy, nie chciałam mieć do czynienia z takim człowiekiem. Ale ktoś, kto miał czyste paznokcie, mógł być złodziejem, oszustem, uwodzicielem, a ja już brałam go za uosobienie wszelkich cnót, za kogoś lepszego od ludzi z Newcastle - zakończyła z bezbrzeżną goryczą.

- Nie sądzi się za surowo, kochanie! - Tom przysiadł na piętach i przypatrywał się jej przez leniwie wirujące płatki śniegu. - Chyba nie ma w Newcastle człowieka, który by tak nie myślał. Tyle tylko, że tobie zabrało więcej czasu, zanim doszłaś do prawdy - dodał z uśmiechem. - Każdy przechodzi to samo i nienawidzi parady w Dniu Właściciela. Trzeba po prostu ignorować tych pyszałków, cieszyć się darmowym piwem, muzyką i cukierkami dla dzieciaków. Bogacze zamieszkują inny świat, nie rozumiemy ich, a oni, jak Bóg na niebie, nie rozumieją nas. Nie mogą pojąć, że nam nie trzeba ich litości i jałmużny!

- Chciałam być jedną z nich - wyznała niemal szeptem.

- Kto by nie chciał jeździć paradnym powozem, nosić pięknych ubrań i dawać się obsługiwać przez rzesze lokai? - Wzruszył ramionami, rozpryskując śnieżny puch, który osiadł na jego szerokich barach. - Marzenia to nie zbrodnia. Jeśli nie tracimy z oczu tego co dobre, a co mamy w zasięgu ręki.

- Tak strasznie chciałam stać się jedną z nich, że zrobiłam coś bardzo głupiego... - Jakże chciała powiedzieć mu

wszystko o Jeanie Jacques'u! Teraz była stosowna chwila. Wyznanie zawisło na końcu języka... i tam pozostało. Duma zamknęła jej usta, zanim zdążyła mu powiedzieć o mężczyźnie, którego poślubiła tylko dlatego, że miał czyste paznokcie i nie pochodził z Newcastle. Nie wierzyła, by Tom nadal wielkodusznie ją rozgrzeszał, wiedząc, jak daleko zawiodła ją ślepa chęć ucieczki przed własnym pochodzeniem.

Patrzyła, jak zręcznie podrzuca steki na patelni. Mięso karibu należało tu do największych delikatesów, a najsmaczniejsze było krótko smażone nad ogniem. Tom zsunął steki na talerze i polał sosem z patelni.

- Chyba rozumiem, co masz na myśli. - Podał jej sztućce. - I dlaczego mi o tym opowiadasz.

- Naprawdę? - Przecież nie była nawet pewna, czy sama siebie rozumie!

- Chcesz mi dać do zrozumienia, że zmieniłaś zdanie o moich zalotach i przyjmujesz moje starania.

Spojrzała na niego z osłupieniem, po czym wybuchnęła śmiechem.

- Ależ z ciebie uparciuch! Nigdy nie odpuszczasz, co?

- Przecież to właśnie mi tłumaczysz: że Newcastle przestało być przeszkodą która nas dzieli?

Uśmiech zniknął z jej twarzy, oczy posmutniały. Narzeczeństwo tak czy inaczej było wykluczone; miała już męża i nie widziała przed sobą przyszłości. Obie okoliczności uniemożliwiały snucie jakichkolwiek planów. Ale Juliette i Clara nie myliły się: miała prawo do odrobiny szczęścia, zanim krótkie życie dobiegnie końca!

Odłożyła talerz i spuściła wzrok na splecione na kolanach dłonie.

- Zaloty zazwyczaj prowadzą do małżeństwa. Ale jedno musisz zrozumieć, Tom: w żadnym razie nie mogę cię poślubić.

Jej stanowcze oświadczenie bynajmniej nie zbiło go z tropu. Wciąż miał na twarzy zadowolony uśmiezek.

- Nie zaprzęgajmy karety przed konie, Zoe! Na razie nie proszę cię o rękę, tylko proponuję, byś pozwoliła mi się do ciebie zalecać. To okres, dzięki któremu ludzie mogą się nawzajem lepiej poznać i podjąć decyzję o ewentualnych zaręczynach.

- My już się dobrze znamy. - Spojrzała na niego zwięzonymi oczami. - Znam cię na tyle dobrze, że wiem, iż nie zaczynasz, nie mając zamiaru dokończyć dzieła.

Szczery uśmiech otoczył zielone oczy siateczką drobnych zmarszczek.

- Może nie chcę cię płoszyć zbytym pośpiechem...?

- Mam swoje powody... - Zagryzła wargę. - Są pewne sprawy, o których nie mogę ci powiedzieć.

- Wiem. Mam nadzieję, że kiedy przyjdzie odpowiedni czas, zaufasz mi do końca.

Owszem, Tom dowie się wszystkiego - kiedy odnajdą Jeana Jacques'a i Zoe go zastrzeli. Teraz jednak nie chciała psuć wspólnych chwil. Niech ten drań nie stanie między nimi - jeszcze nie, nie dzisiejszej nocy...

- Skoro zgadzasz się na zaloty, które donikąd nie wiodą i są czystą komedią...

Potrząsnął głową.

- Na nic takiego się nie zgadzam. Popatrz, jak daleko już zaszliśmy, a to dopiero początek. - Uśmiech spelzł mu z twarzy, ustapiwszy miejsca wyrazowi takiej powagi, że dziewczyna przestała oddychać. - Jesteśmy sobie przeznaczeni, Zoe! Ja chyba zawsze o tym wiedziałem. Gdybyś nie przyjechała nad Jukon, odszukałbym cię, gdziekolwiek byś była. Inaczej być nie mogło.

- Och, Tom... - Juliette i w tym miała rację! Jakże głęboko mogłaby go pokochać... - Nie mów tak.

- Mówię i będę to powtarzał bez końca... bo cię kocham. Zawsze cię kochałem.

Patrzyli na siebie przez dogasające płomienie. Zoe zastanawiała się, czy na jej twarzy czytelne są emocje, które ją ogarnęły: radość, rozpacz, zaskoczenie, żal... Co widział Tom i jak to zinterpretuje? Wyszeptała suchymi wargami:

- Tyle chciałabym ci powiedzieć, ale nie mogę.

Zapadło milczenie.

- Nie jest ci zimno? - odezwał się w końcu Tom. Zapomniała o mrozie, śniegu i coraz głębszej nocy.

- Chyba tak, troszkę...

- Ja posprzątam, a ty włącz do szalasu i ogrzej się.

- Szybciej pójdzie, jak oboje się za to weźmiemy. - Zadowolona, że może się czymś zająć, zaczęła myć talerze śniegiem. - Nie sędzę, by w szalacie było dużo cieplej niż tu.

- Zaczekaj tylko!

Gdy spakowali talerze i sztućce do skrzyni, dziewczyna wsunęła się do pachnącego świerkiem szalasu, a za nią Tom. Postawił latarnię na ziemi i wychylił się przez otwór wejściowy,

trzymając w ręku długie szczypce. Wyłowił nimi z ognia kilka kamieni i wrzucił je na patelnię, którą zabrał ze sobą. Powietrze w szałasie ociepliło się, mróz przestał szczypać policzki Zoe. Rozejrzawszy się, stwierdziła, że jej towarzysz przesunął koce i poduszki, które poprzednio ułożyła w dwa posłania, bliżej siebie.

- Będzie nam cieplej - wyjaśnił, zdejmując kapelusz i gruby płaszcz. - I ty zdejmij okrycia, to będzie ci wygodniej. - Widząc wahanie na jej twarzy, dodał: - Zawsze możesz włożyć je z powrotem.

Z ociąganiem rozwiązała szalik, który przytrzymywał kapelusz na głowie, wyjęła z niego szpilki i ściągnęła rękawice. Aż do tej chwili nie dopuściła do siebie myśli o tym, że musi spędzić tę noc razem z Tomem w ciasnym szałasie. Skoro Juliette sądziła, że wywołała taki skandal swoją nagością, co będzie, jak ona i Clara zorientują się, że Zoe i Tom nocowali w jednym pomieszczeniu, niemal koło siebie! Na myśl o reakcji towarzyszek na twarz dziewczyny wypłynął łobuzerski uśmiech. Usłyszała gardłowy szept:

- Jakaż ty jesteś piękna!
- Chuda jak szczapa, twarda jak stary but, pamiętasz?
- Tak się składa, że gustuję w szczapowatych, lykowatych kobietach, pamiętasz? - Poklepał koc leżący tuż przy nim.

Nagle Zoe zaschło w ustach z napięcia. W obozie zbywało na prywatności, podobnie jak niegdyś w ciasnocie rodzinnego domu, ale być sam na sam z mężczyzną - w dodatku z takim, który sprawiał, że przebiegały ją dreszcze, a skóra płonęła - to

było dla niej nieznanе doświadczеnie, podniecające i niepokojące zarazem.

- Boisz się mnie? - zapytał, powoli cedząc słowa.

Wydało jej się, że uchwyciła w jego głosie ton wyzwania. Zwilżyła wargi i uznała, że nie jest to odpowiednia pora na brawurę.

- Przerażasz mnie śmiertelnie!

- Dobrze... to znaczy, że zaczynam na ciebie działać.

Wciąż wzdragała się usiąść koło niego, więc przesunął się bliżej niej. Nagle stwierdziła, że w szalasiе panuje upał, którego nie mogły wywołać same gorące kamienie. Przyglądziła spódnicę, która zadarła się nieco, odsłaniając skrawek wełnianej pończochy.

- Ale będzie gadania o naszej wspólnie spędzonej nocy!

- Martwi cię to? - Czułym gestem przyglądził kosmyk jedwabiście czarnych włosów, który wyslizgnał się jej z za ucha.

Dziewczyna powstrzymała oddech, czując muśnięcie opuszków jego palców na policzku. To będzie bardzo długa noc!

- Trochę mnie to obchodzi - przyznała, myśląc o Juliette i Clarze.

- Nic się nie zdarzy, chyba żebyś sama tego chciała - wymruczał pieszczotliwie i obrócił ją twarzą do siebie. Płomyk lampy liznął blaskiem jego tęczówki, które w miękkim świetle nabrały barwy wiosennej trawy.

- To znaczy, że nie będziesz próbował mnie pocałować? - Mgła ich oddechów zmieszała się ze sobą. Zoe wydała z siebie cichutki, mimowolny jęk. Tom pachniał śniegiem i drzewnym dymem, dobrze wyprawioną skórą i mydłem.

- Nie pocałowałbym cię, nawet gdybyś była ostatnią kobietą na ziemi - obiecał, a jego wargi dotknęły jej czoła. Delikatnie przyciągnął ją do siebie.

Jego ramiona zamknęły się wokół niej z siłą stalowej obręczy; twarde tors napał na pierś dziewczyny. Kiedy posadził ją sobie na kolanach, wyczuła przez fałdy spódnicy i halki mięśnie ud, sprężyste jak postronki. Przymknęła oczy z jękiem:

- Och, Tom... nie mogę, nie mogę tego zrobić!

- To przecież nie ty, ty nic nie robisz... to tylko ja! - Gorące wargi przesunęły się ku dziewczęcej skroni. Całował jej powieki...

- Obiecałeś, że mnie nie pocałujesz! - Wprost nie mogła uwierzyć temu, co zrobiła: zarzuciła mu ręce na szyję i przekręciła się lekko na jego kolanach, by łatwiej mu przyszło dosięgnąć jej ust.

- Przecież cię nie całuje. - Obsypywał deszczem lekkich jak puch pocałunków jej twarz, kąciki warg, koniuszek nosa.

- Owszem, całujesz!

- Chyba ci się śni...

Jeśli to był sen, to miała go nie po raz pierwszy. Ujęła jego twarz i zajrzała mu w oczy. Na ciemnych rzęsach migotały jak diamenty krople topniejącego śniegu. Rozchyliła wargi i oddała pocałunek. W tej samej chwili poczuła, jak rośnie w nim żądza i jak w niej wzbiera fala podniecenia. Zacisnęła ramiona wokół szyi Toma i całym ciałem napała na niego, a pocałunek, który zaczął się jako niewinna pieszczota, przeszedł w grę, w której oboje na równi brali i dawali. Ogarnęło ich zapamiętanie. Jego dotyk wypalał piętno w najtajniejszych zakamarkach duszy

dziewczyny, gdzie nie sięgnął dotychczas żaden mężczyzna. Kiedy wreszcie oderwali się od siebie, oboje dyszeli ciężko, ale nie wypuszczali się z ramion. Tom wyszeptał ochryplym głosem:

- Och, Boże... Zoe, nie wiesz, co ze mną wyprawiasz.

Pocałował ją znowu, tym razem śmiało i namiętnie, tak żarliwie, jakby odnalazł niebo w jej ustach i ramionach. Wiedziała, że tak to odbiera, bo sama znalazła szczęście w dotknięciu jego warg i rąk, a gdy dłoń Tom powędrowała ku jej piersi, aż zachłysnęła się i zakołysała, uniesiona falą nieopisanych doznań.

- Przepraszam... - wyszeptał i odsunął się odrobinę, by spojrzeć jej w oczy. - Chciałem cię tylko pocałować. Nie zamierzałem cię urazić ani wykorzystać sprzyjającej sytuacji.

Z gardła Zoe wydarł się zduszony odgłos, stanowiący skrzyżowanie jęku, szlochu i śmiechu.

- Och, Tom...! - Przez długą minutę nie zdołała wydusić z siebie nic więcej. Możliwe, że już nigdy nie dane im będzie zakosztować luksusu odosobnienia. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ta noc jest jedyną kiedy może zaznać uścisku jego ramion: ramion mężczyzny, który ją kocha. W oczach Zoe załśniły łzy. Zawsze ją kochał! Gdyby okoliczności ułożyły się inaczej, gdyby nie spotkała tego łajdaka Jeana Jacques'a Villette'a, wolno by jej było odpowiedzieć na jego miłość i uczyniłaby to całym serce i duszą!

Oto była odpowiedź na pytanie, które tkwiło w zakamarkach jej umysłu od chwili, gdy pojęła, że tej nocy będą dzielić koce, które rozłożyła na świerkowych gałązkach. Patrząc

w oczy pełne skruchy, powzięła decyzję. Nie musiał jej za nic przepraszać; pragnęła go, potrzebowała!

Podniosła jego dłoń i delikatnym jak jedwab dotykiem warg ucałowała ją, po czym ułożyła palce Toma na swojej piersi, tak by obejmowały gorącą wypukłość. Usłyszała, jak gwałtownie zaczerpnął tchu i patrzyła, jak jej drżące palce zaczynają rozpinać rząd guziczków, biegnących od szyi w dół sukni.

- Zoe... nie wiesz, co robisz! - Tom przełknął z wysiłkiem ślinę i jego wzrok powędrował niżej, ku szczelinie między kremowymi pagórkami piersi, wyzierających ze stanika. Wydał z siebie nieartykułowany jęk. - Ja cię tylko tak drażniłem. Nie myślałem, że sprawy zajdą tak daleko. Zoe, proszę cię! - Unieruchomił jej dłoń i zajrzał głęboko w oczy. - Wolałbym kulę w pierś, niż zhańbic twój honor!

- Wiem - wyszeptwała i utkwiała wilgotne spojrzenie w ukochanej twarzy. - Jutro... jutro może oboje pożałujemy, ale dzisiejszej nocy jesteś mi potrzebny, Tomie. - Musiała poznać smak prawdziwej miłości, dar mężczyzny, którego słowa nie kłamały i którego ciało należało tylko do niej. Chciała poznać dotyk jego ciała równie dobrze, jak poznała już jego serce.

Twarde ramiona otoczyły ją zachłannie. Przycisnął dziewczynę do piersi tak mocno, że czuła, jak wali mu serce, olśniona, poddała się bez reszty. Tak! Tak...

Trzęsącymi palcami rozpiął stanik do końca, podczas gdy ona w wielkim pośpiechu trochę nieporadnie zajmowała się guzikami jego koszuli. Kiedy indziej roześmiałyby się pewnie, widząc parę kochanków w bezkształtnych kalesonach z ciepłej flaneli. Dzisiaj widziała jedynie potęgę prężnego,

wygimnastykowanego ciała, które wylaniało się przed jej oczami, gdy Tom usuwał ostatnią dzielącą ich barierę.

- Jakież ty jesteś piękny! - wyszeptala, patrząc na niego w pełgającym świetle latarni. Pierś pokrywał mu kędzierzawy trójkąt zarostu. Szerokie bary zwężały się ku wąskiej talii. Na udach wyraźnie odznaczały się ścięgna i mięśnie jak grubo plecione sznury. Nigdy dotychczas nie przyszło jej do głowy oceniać mężczyznę w kategorii piękna, lecz ta twardość, kontrastująca z miękkością jej kobiecych kształtów, urzekła ją bez reszty. Był zachwycająco kanciasty tam, gdzie ona była zaokrąglona. Przypominał posąg, który wyszedł spod dłuta prawdziwego mistrza.

Pomógł jej zrzucić z siebie bieliznę, a gdy patrzył na nią wyczytała w jego wzroku taki sam zachwyt.

- Jesteś nieskalanie doskonała!

Nie widziała przedtem nagiego mężczyzny w świetle i sama nigdy nie pozwoliła, by Jean Jacques oglądał ją obnażoną ale przed Tomem stała, jak ją Pan Bóg stworzył, bez cienia zawstydzenia czy skrepowania. Nawet nie ruszyła palcem, by się zasłonić przed jego pożądlwym wzrokiem. Gdy w oczach mężczyzny płonie prawdziwa miłość, którą kobieta szczerze odwzajemnia, nie ma nic niezręcznego w nawzajem ofiarowanej nagości.

Tom łagodnie popchnął ją w dół, aż uklękła na kocach, i zaczął wyjmować szpilki z długich splotów, chwytając między palce krucze pukle.

- Odkąd cię pierwszy raz ujrzałem, marzyłem, by móc wyjmować szpilki z twoich warkoczy... - Przymknął oczy i wtulił usta w jedwabisty lok.

Zoe opadła na posłanie i wyciągnęła do niego ręce, a on przypadł ku niej z przeciągłym jękiem i nakrył ją całym ciałem. Mieli przed sobą całą długą mroźną noc i nie musieli się spieszyć. Całował ją bez końca, a szorstkie odciski na spracowanych dłoniach ocierały się drażniącą pieszczotą o jej gładkie ciało. Ciekawskie, wszędobylskie palce drażyły do samego dna głębiej jej pragnienia, aż paląca potrzeba przeszła przez nią potężną falą odebrała jej oddech i wstrząsnęła ciałem. Powtarzała w kółko jego imię - jedyne słowo, które pozostało w pamięci. Kiedy wreszcie w nią wszedł, miała uda mokre od tęsknoty i gotowości na jego przyjęcie. Aż do tej chwili nie wiedziała, że nosi w sobie pustkę - lecz Tom odnalazł ją i wypełnił po brzegi. Ujrzała w jego oczach niezaspokojony głód i jednocześnie rozpaczliwe postanowienie, by obejść się z nią łagodnie, by zachować wstrzemięźliwość i łagodność pieszczoty, ale głód okazał się silniejszy. Spleceni, poruszali się zgodnym rytmem, schwytni w sieć pocałunków i posuwistych ruchów; dyszeli sobie prosto w usta, wymieniali urywane szepty, chwytni jedno drugie rozedrganymi dłońmi. Kiedy było po wszystkim, padli sobie w objęcia i leżeli cisi i nasyceni. Tom palił, Zoe umościła się jak w gniazdku w ciepłe jego szerokich barów i nasłuchiwała osobliwego szelestu padającego śniegu.

- Teraz nie chciałabym się znaleźć nigdzie indziej - wymruczała, pieśczeniwie łaskocząc wargami jego nagi tors. W szalasy było ciepło i przytulnie. Czysta woń świerkowych igieł

mieszała się z zapachem ciał i miłości. Odtąd byle świerkowa szyszka, byle krok w głąb zagajnika będzie jej przypominał tę radosną noc!

- Kocham cię, Zoe. - Gładził jej włosy czuлыми, niemal nabożnymi palcami. - Twój sekret nie ma znaczenia.

Zesztywniała. Jean Jacques był ostatnią osobą, o jakiej chciałyby teraz myśleć.

- Mylisz się, ma znaczenie. Nawet nie wiesz, o co w nim chodzi!

- Zdaje się, że wykombinowałem to sobie. Zawrócił ci w głowie ktoś poznany w Seattle, ale coś się wydarzyło i nie doszło do małżeństwa. On wyjechał do Dawson, a ty przyjechałaś, by go odszukać.

Zoe usiadła wyprostowana na posłaniu. Poczowała gęsią skórkę z przerażenia, że udało mu się niemal trafić w dziesiątkę.

- Chcę ci powiedzieć dwie rzeczy. - Zielone oczy Toma patrzyły na nią bez mrugnienia, otwarte i szczerze. - Znam cię dość dobrze, by pojąć, że dzisiaj w nocy przyszłaś do mnie, bo powzięłaś ważką decyzję, że to ja cię naprawdę obchodzę, a nie tamten. Twoje poszukiwania się skończyły.

Nie mogła wydusić słowa. Nie chciała ponownie kłamać.

Wiedziała, że kocha Toma, lecz to nie kończyło jej poszukiwań Jeana Jacques'a.

- Co do twojego sekretu, Zoe, to nieważne, że nie byłem pierwszy. Popęłniać błędy to ludzka rzecz. Masz silne poczucie honoru. Wiem, że jesteś kobietą uczciwą, domyślałam się więc, że wierzyłaś, iż go kochasz. Nie chcę nic wiedzieć, ani kim był, ani

co się między wami wydarzyło. Pragnę jedynie, byś uwierzyła, że to już nie ma znaczenia. Odwracamy świeżą kartę, ty i ja.

Więc sądził, że jej cały sekret to to, że nie jest dziewczcą! Och, Boże łaskawy! W dodatku miał ją za kobietę, która wie, co to honor i uczciwość! Złamana, opadła na posłanie i ukryła twarz na jego ramieniu, mruganiem starając się odpędzić łzy, które wzbierały pod zaciśniętymi powiekami. Oddałaby dziesięć lat życia, gdyby mogła wymazać z niego Jeana Jacques'a! I dorzuciłaby jeszcze dziesięć, byle się okazać godną zdania, jakie miał o niej Tom.

Zapadło długie milczenie. Wreszcie ujął jej dłoń i ucałował koniuszki palców. Wpatrzył się z zaciekawieniem w ślubny pierścionek.

- Niezwykły klejnocik! Zauważyłem, że Clara i Juliette mają takie same. Czy to biżuteria klubu?

- Co? - Zmusiła się do odezwania, lecz głos miała martwy i zduszony.

- Zastanawiałem się, czy należycie do jakiegoś kobiecego stowarzyszenia.

- Można tak powiedzieć - rzuciła z goryczą i wysunęła dłoń z jego ręki.

Tom dawno już zasnął, temperatura w szalasię poczęła opadać, a Zoe wciąż leżała z szeroko otwartymi oczami w ciepłe jego objęć i w duchu biczowała się za swoje złamane życie.

Tom wierzył, że tym, co się między nimi stało tej nocy, przypieczętowali pewien układ - tak też powinno być. I byłoby, gdyby nie fakt, że jest mężatką. Odnależliby rozkosz w swoich ramionach, radość we wzajemnych deklaracjach szczerzej

miłości, pasją w planowaniu wspólnej przyszłości. Ich rodziny przyklasnęłyby z całego serca temu związkowi.

Tymczasem sprowadziła na niego hańbę, gdyż dałaby sobie głowę uciąć, że Tom Price nigdy w życiu nie zgodziłby się na miłość fizyczną z zamężną kobietą. On zapewne dałby sobie równie łatwo uciąć głowę, że Zoe Wilder nie złamie przysięgi małżeńskiej.

Kiedy dotrą do Dawson i dopadną Jeana Jacques'a - niech piekło pochłonie tego nędznego drania! - Tom niechybnie wszystkiego się domyśli.

Kiedy nieznaczna szarość brzasku zapowiedziała nadejście poranka, Zoe pochyliła się i ucałowała go żarliwie. Jakże go potrzebowała przez te krótkie chwile, jakie im jeszcze pozostały! Nie pojmowała, jak może być tak samolubna, ale potrzebny jej był choć przelotny moment szczęścia. Tom ujrzał w rzedniejącym mroku ślady łez na jej policzku.

- Płaczesz?
- Kochaj mnie, Tom. Nic nie mów, kochaj mnie! - Póki jeszcze możemy być razem. Zanim strzelając do Jeana Jacques'a nie dokończy dzieła ruiny swego życia.

Tym razem poczynali sobie powoli i z czułością, przedłużając pieszczoty po krańce wytrzymałości. Sycili się sobą, nie wiedząc, czy zdarzy się jeszcze okazja, by być sam na sam.

Nie śmiała wyznać tego głośno, lecz w duszy powtarzała raz po raz: Kocham cię, Tom. Kocham cię całym sercem!

Rozważali, czy nie rozbić obozu nad Jeziorem Głębokim, by choć trochę wypocząć, gdyż wszyscy w grupie byli wyczerpani; w końcu przeważyło zdanie, by przebijać się dalej i spędzić Boże Narodzenie nad Jeziorem Lindermana, gdzie zazwyczaj zatrzymywała się większość ekip i wokół prowizorycznych chałup powstawało spore obozowisko.

Juliette potykając się, biegła za saniami. Po ściągniętych mrozem policzkach płynęły łzy, żłobiąc koleiny w masce z sadzy i tłuszczu. Nigdy jeszcze nie zaznała chłodu, który przenikał do szpiku kości i obezwładniał ciało i duszę, ani wysiłku, który wyczerpywał siły do cna. Każdego ranka budziły ją konwulsyjne dreszcze. Leżała w wyziębionym spiworze, szczękając zębami, zarzekając się w myślach, że nie zwlecze się z posłania, zanim ogień rozpalony przez Clare czy Zoe nie ogrzeje nieco wnętrza namiotu. Kiedy wypadła jej kolej, by przygotować kawę i śniadanie, przeklinała samą siebie za pomysł wyjazdu ze słonecznej Kalifornii.

Stężały mróz przewyższał nawet najśmielsze wyobrażenia o okropnościach Alaski: wdzierał się pod przydziewek, choćby składał się on z wielu sztuk narzuconych jedna na drugą. W rezultacie nie było jej ani ciepło, ani wygodnie. Lodowate szpony wiatru szarpały ciało i ziębiły krew, a kiedy pociła się w biegu, wilgoć zamarzała na skórze, grożąc odmrożeniami. Gdy o zmierzchu rozbili już namioty, wszyscy pospiesznie zdzierali z siebie przepocone sztuki odzieży, wycierali się do sucha ręcznikiem i natychmiast wkładali ubranie na następny dzień,

w którym udawali się na spoczynek. Nie na wiele zdawało się siedzenie przy ogniu albo obozowym piecyku; kiedy płomienie ogrzewały twarz i pierś, plecy marzły niemiłosiernie.

Czasami wracała pamięcią do dawnych dni i dziwiła się, ileż wygod przyjmowała za zrozumiałe same przez się: ciepło, czyste odzienie, codzienną kąpiel, smaczną i urozmaiconą strawę... Niegdyś zaśmiewałaby się do rozpuku, gdyby ktoś jej zaproponował, by spędzała dnie, brnąc w śniegu w wielomilowym pościgu za saniami! Albo słysząc, że przez wiele dni nie będzie miała możliwości umyć się do czysta lub że stanie twarzą w twarz z grozą śnieżnej zawiei albo...

Psy przed nią zaczęły ujadać, co oznaczało, że wiodące sanie stanęły. Widocznie nadeszła pora południowego posiłku. Juliette starła łyż z twarzy, rozmazując rękawicą tłuszcz i popiół. Nie miało to znaczenia, bo rękawice i tak były brudne. Wzięła ze sobą dwie pary; nosiła je na zmianę - ale żadnej nie można by nazwać czystą. Na myśl o wypoczynku nieco poweselała. Zanim dotrze do miejsca przystanku, Chilkaci Toma zdążą rozpalić ognisko, a na obozowym piecyku będzie już bulgotać kawa i pożywna zupa. Wieczorem powinni rozbić namioty nad brzegiem Jeziora Lindermana. Niedźwiedź mówił Clarze, że znajduje się tam nawet hotel. Juliette miała stanowczy zamiar zatrzymać się w nim na prawdziwy nocleg. Od wielu dni ta perspektywa podtrzymywała ją przy życiu!

Pozwoliła swoim psom zrównać się z wyprzedzającym ich zaprzęgiem i zaciągnęła hamulec. Dwóch Chilkatów, Henry i Luc, zamachali rękami w pozdrowieniu, zanim nachylili się nad swoimi psami, by zmienić im jutowe ochraniacze na łapach.

Juliette przeciągnęła się i zaczęła wyginać na boki, by rozruszać przemarznięte członki. Już dawno odstawiła masć, bez której nie przetrwałyby pierwszych, koszmarnych dni wędrówki, ale mięśnie po wielu godzinach wysiłku wciąż dawały o sobie znać. Z tyłu zatrzymały się kolejne sanie. Henry, opiekun psów, przejął lejce od Bena.

Ten zgoilił zarost następnego dnia po rozmowie, podczas której zastanawiała się, jak wyglądałby bez brody. Niestety, trudno jej było ocenić wynik, gdyż maska tłuszczu i popiołu skutecznie zakrywała rysy. Juliette do tego stopnia przywykła do widoku lepkiej mazi na wszystkich obliczach, że właściwie przestała ją dostrzegać. Żałowała jednak, że nie jest w stanie ocenić, jak wygląda Ben bez brody.

- Zauważyłaś łosia, którego minęliśmy jakąś milę stąd? - zrównał z nią krok i jak zawsze, przyjrzał się Juliette uważnie, jakby chcąc się upewnić, że nic jej nie jest.

- Cały czas rozmyślałam o hotelu nad Jeziorem Lindermana i niewiele widziałam ze szlaku - przyznała częściowo zgodnie z prawdą, choć większość ranka spędziła, jak zwykle, rozmyślając o nim. Czasami miała wrażenie, że częśćka Bena Dare'a wkradła się do jej umysłu i zagnieździła w nim jako stały lokator, by ją dręczyć i drażnić swoją obecnością. Całe godziny biegła za saniami, rozpamiętując każde słowo rozmowy z minionego wieczoru, zastanawiając się, czy też Ben kiedykolwiek przypomina sobie dotyk jej nagiego ciała w ramionach, rozważając, co by zrobiła, gdyby usiłował ją pocałować. Szczególnie o całowaniu nie mogła przestać myśleć!

- Nie wyobrażaj sobie za dużo, jeśli chodzi o ten hotel - uprzedził ją, kiedy przelknęli już codzienną dawkę kwasu cytrynowego przeciw skorbutowi i zasiedli koło ognia z kubkami parującej kawy. - Niedźwiedź powiada, że to nie jest porządny zajazd, po prostu obszerne pomieszczenie przedzielone kocem, jedna strona męska, druga przeznaczona dla kobiet. Polowe łóżka, które wynajmuje właściciel, niewiele są lepsze od tych, na których śpimy, a za całe oświetlenie służy ogarek świecy w butelce ustawionej na nocnym stoliku z paczki po mące. A co do jakości podawanego tam jedzenia... - Wzruszył szerokimi barami.

Poczuła rozczarowanie, jakby ktoś jej zadał cios pięścią.

- To nie do pomyślenia! - Ułożyć się na nocny spoczynek w bezpośrednim sąsiedztwie obcych mężczyzn, oddzielonych jedynie zasłoną z koca? To zaprzeczało wszelkim regułom przyzwoitości! - Wyobrażałam sobie prawdziwy hotel... - Zacisnęła zęby, bo postanowiła sobie kiedyś, że nie dopuści, by Ben ujrzał jej łzy. - Miałam nadzieję na nocleg w normalnym łóżku i kolację przy prawdziwym stole! - Sądziła, że przynajmniej tam naprawdę się ogrzeje i zażyje luksusu kąpieli w wannie.

- Trudy wyprawy nieźle dają ci się we znaki - rzekł łagodnie. Och, Boże! Współczucie zawsze ją rozbrajało. Mimo przysięg nie potrafiła utrzymać obojętnego wyrazu twarzy, choć usiłowała zachować odwagę w głosie.

- Marzyłam po prostu o chwilowym oderwaniu się od surowej rzeczywistości. Potem byłabym jak nowa, gotowa do dalszych trudów.

Zaczynała pojmować, co miała na myśli Zoe, mówiąc o piekle dorastania w domu pozbawionym możliwości odizolowania się od współmieszkańców. Niepodobna zachować choćby pozory intymności, tłocząc się w maleńkim namiocie z dwiema lokatorkami! Wiedziała o znamieniu na biodrze Clary i o tym, że Zoe co wieczór sto razy szczotkuje włosy. Clara chrapała, Zoe wydawała z siebie przez sen osobliwe mruczenie. Clara płukała gardło roztworem soli, gulgocząc jak indor; Zoe była fanatyczką czystości paznokci. Juliette znajdowała włosy obydwu towarzyszek podróży na szczypcach do kręcenia loków. Żadna z pań nie pamiętała o obcinaniu knota w olejnej lampie. W dotychczasowym życiu nie zwykła znać tak intymnych szczegółów o innych kobietach i teraz też nie gustowała w zdobywaniu tej jakże krępującej wiedzy. Czyż to zbyt wielkie żądanie, jedna noc w odośobnieniu?

- Może uda mi się coś zorganizować. Pomyślę o tym - obiecał Ben i rzucił jej dziwne badawcze spojrzenie, a przynajmniej tak jej się zdawało. Trudno było odczytać wyraz na obliczu zaszmarowanym od linii włosów po brodę czarną mazią.

Juliette zatrzymała się przy piecyku, grzejąc dłonie nad ogniem. Niebawem dołączyła do niej Clara i obie patrzyły, jak Ben zmierza ku grupce rozdyktowanych mężczyzn. Clara trzymała miskę z zupą i siorbała gorącą potrawę.

- Pocałował cię już czy nie?

- Czy zawsze musisz tak siorbać przy jedzeniu? A w odpowiedzi na twoje wścibskie pytanie, nie, jeszcze mnie nie pocałował. I wcale nie chcę, żeby to zrobił!

- Kłamaczucha! A w odpowiedzi na twoje wścibskie pytanie, owszem, muszę siorbać przy jedzeniu. Tylko ty potrafisz pić zupę z miski bez siorbania. - Clara wykrzywiła się szpetnie. -Nie przyszłam tu, żeby roztrząsać dworską etykietę. Martwię się o Zoe.

Przynajmniej co do tej dziewczyny znajdowały wspólny język. Juliette okręciła się, aż dojrzała Zoe rozmawiającą z Tomem.

- Jakoś wydaje mi się szczęśliwsza niż przed wyruszeniem na szlak, ale raz w nocy, kiedy sądziła, że zasnęłyśmy, słyszałam jej szlochanie.

- To z powodu Toma - oświadczyła Clara bezdyskusyjnym głosem. - Zakochała się. Mówiłam jej, że mnie tam nie będzie przeszkadzało, jeśli odstąpi od zamiaru zastrzelenia naszego mężulka. Mogłybyśmy rozbić obóz nad Jeziorem Bennetta i przeczekać do wiosny, a potem wrócić do domu. Ty i Zoe możecie opowiedzieć krewnym, że Jean Jacques zmarł, i na tym zamknąć całą sprawę. Każda z nas mogłaby rozpocząć nowe życie!

Juliette popatrzyła poprzez oślepiająco białą śnieżną równinę na Bena, a w jej oczach zalśniła tęsknota. Clara odmalowała iście kuszący obraz przyszłości!

- Ależ tego się nie da tak załatwić. Co będzie, jeśli postanowimy ponownie wyjść za mąż? To byłoby małżeństwo oparte na fałszu. A gdyby Jean Jacques wrócił? Miałybyśmy wtedy dwóch mężów i gotowa jestem się założyć, że żadnemu z nich nie podobałaby się ta sytuacja. Oszaleliby z wściekłości!

- Ja... to samo powiedziała Zoe. - Clara westchnęła ciężko. - Mówiła, że lepiej mieć pewność, że ten nicpoń i zdrajca nie żyje. Myślę, że ona nienawidzi go do tego stopnia, że nie może się doczekać zemsty.

- Nigdy nie sądziłam, że poznam to uczucie, ale i ja go nienawidzę. - Juliette patrzyła na Bena przez łyż. - Sprawy mogłyby ułożyć się tak cudownie, gdyby nie to zatracone małżeństwo!

Clara przeniosła wzrok na Niedźwiedzia, który odwzajemnił jej spojrzenie.

- Kiedy ty omal nie utonęłaś, a ja nie udusiłam się w śniegowej zaspie, zaczęłam inaczej patrzeć na wiele rzeczy. Zoe ma rację, chwytając szczęście, dopóki ma po temu czas i okazję. - Ścisnęła dłoń Juliette. - Powinnaś i ty o tym pomyśleć, jeśli jeszcze tego nie zrobiłaś. Wszyscy widzą, że Ben Dare szaleje za tobą!

- O czym ty właściwie mówisz? - wycodziła Juliette.

- Pamiętasz, cośmy sobie myślały tamtej nocy, gdy Zoe i Tom zgubili drogę w zawiei?

- O niczym takim nie myślałam! - Własne kłamstwo i sam przedmiot rozmowy sprawiły, że Juliette spiekła raka pod warstwą tłuszczu.

- Pewnie, że myślałaś, i ja też. Cóż, mam nadzieję, że całą noc spędzili na miłosnych igraszkach! - Clara rzuciła swej towarzyszce wojownicze spojrzenie. - A jeśli takie myśli czynią ze mnie rozpustnicę, to widocznie nią jestem, bo myślałam o tym bezustannie i jestem zdania, że nie powinnyśmy dopuszczać, by Jean Jacques Villette zrujnował nasze życie

bardziej, niż już to zrobił. Zaslugujemy na odrobinę szczęścia i miłości!

- Claro Klaus! - Juliette otworzyła szeroko oczy i cofnęła się w popłochu. - Ty... ty chcesz uwieść Niedźwiedzia! - Doskonale się orientowała, że jej towarzyszka nie będzie miała trudnego zadania. Zdaniem Juliette, pan Barrett wyskakiwał ze skóry, by zostać uwiedzionym. Nie potrafił oderwać od Clary maślanych oczu. Nagle zdała sobie sprawę, że to samo można powiedzieć o Benie, i okręciła się na pięcie, by odszukać go wzrokiem. Oczywiście, gapił się na nią jak zgłodniały wilk! Zwilżyła językiem wargi i przełknęła ślinę.

Clara uniosła wyzywająco brodę.

- Owszem, mam pewne plany i wiesz co? Tutaj nikogo to nie obchodzi! Tu panują inne zasady.

Juliette zmarszczyła pogardliwie nos.

- Zasady stosownego zachowania dla przyzwoitych kobiet pozostają niezmienione, gdziekolwiek byś się znalazła!

- Mylisz się, Juliette! W tej dziczy panuje inny kodeks: żyj i daj żyć innym. Nikogo nie obchodzi, co robisz, jeśli im to nie zagraża. Po twoim wypadku ludzie trochę gadali, ale...

- A nie mówiłam?

Clara pokręciła głową strząsając okruchy lodu, zaplątane w futrzaną lamówkę kaptura.

- Ale nie plotkowali o tobie i Benie, bo wszyscy rozumieli, że musiałyśmy cię rozebrać, a on cię nacierał, żeby uratować ci życie. Całe gadanie to było zgadywanie, co cię napadło, że w ogóle wylazłaś na kruchy lód. Nikt też nie robił lubieżnych przytyków Zoe i Tomowi, kiedy wrócili po nocy

spędzonej we wspólnym szalasiu. Długo tego nie mogłam pojąć, ale wreszcie wszystko stało się dla mnie jasne... chyba. To świadomość wolności i swobody jest tak podniecająca! - Szeroki uśmiech podniósł kąciki jej warg. - Pomyśl tylko, tutaj każdy robi to, co mu się podoba, a jedyne zasady to ograniczenia narzucone przez naturę i nas samych.

Przez całe popołudnie Juliette, biegnąc za saniami, rozmyślała o słowach Clary, która najwyraźniej uważała, że Zoe kocha Toma. Myślała o tym, co zaszło podczas tamtej zawiei, i roztrząsała niedwuznaczną zapowiedź swej towarzyszki, że uwiedzie Niedźwiedzia. Ogarnęła ją fala rozżalenia i litości nad sobą. Jej rywalki chwyciły szczęście całymi garściami i wyzywały diabła, by porwał całą resztę. Nie dopuszczały, by taki drobiazg jak posiadanie męża krzyżował im szyki... jeśli w ogóle miały męża. Prawdopodobnie, że żadne z tych małżeństw nie miało mocy prawnej, a w takim razie nie miało znaczenia, że kochały i pozwalały się kochać drugiemu mężczyźnie. Czemu więc Juliette nie potrafiła się zdobyć na to samo? Dlaczego nie umiała zerwać z własnymi zasadami?

Ponieważ wydało jej się w najwyższym stopniu niestosowne wpaść w ramiona jednego mężczyzny, mając na palcu ślubną obrączkę otrzymaną od drugiego!

Drepczące myśli przyprawiły ją o ból głowy. Czy kobiety typu femme fatale zamartwiają się do obłędu takimi drobiazgami? Czy jej troska to powód do chluby, czy też wierność zasadom jest tylko wyrazem głupoty? Znała odpowiedź, jakiej udzieliłyby jej ciotka Kibble i matka; ale ciotka nie widziała w siostrzenicy urody, dzięki której ta

mogłaby przyciągnąć i oczarować mężczyznę. Wobec tego uważała, że ewentualny adorator mógł się nią zainteresować wyłącznie dla jej schedy. Jakże łatwo jest trwać niewzruszenie przy zasadach przyzwoitości, rządzących wzajemnymi stosunkami przedstawicieli odmiennych płci, gdy w pobliżu nie widać żadnego mężczyzny!

Ben nie wiedział nic o jej majątku. Uważał ją za piękną. Czytała to w jego oczach i za każdym razem drżała. Sam jego widok wystarczał, by rozkoszny dreszcz podniecenia przebiegał jej po plecach. Wystarczył dźwięk jego głosu, sposób, w jaki się poruszał. Kiedy patrzyła, jak się nie oszczędza i przykładą rękę do pakowania, chociaż wszystko miał opłacone. Lubiła jego delikatność i odruchowy takt, miękła na wspomnienie odwagi, z jaką się rzucił, by ją odszukać w lodowatych wodach jeziora. Pokochała go za lojalność wobec zmarłej żony i za to, że nie widział w kobietach istot podlegających większym ograniczeniom niż mężczyźni. Kochała jego spojrzenie, dotyk i zapach.

Och, Boże litościwy! Kochała go!

Nagle pierścionek od Jeana Jacques'a boleśnie wpił się w jej palec i sumienie. Małżeńskie ślubowanie było niczym dla tego łajdaka, ale dla niej oznaczało wszystko. Przynajmniej tak wtedy sądziła. W myśli wdarł się jak sztylet ból i przesywająca wściekłość zamazała kontury wspomnień. Jean Jacques był zapewne przystojny, lecz nie potrafiła przywołać w pamięci jego rysów, a gdy próbowała, przed oczami stawał portret mężczyzny uderzająco podobnego do Bena Dare'a. W jej wspomnieniach Jean Jacques przemawiał jego głosem - a przecież tych dwóch

nie mogło się bardziej różnić! Ben był uosobieniem uczciwości i lojalności; Jean Jacques, cóż...

Kochała Bena!

Boże! Co miała teraz począć?

Pierwszy z dwóch dni spędzonych nad Jeziorem Lindermana minął w zamięcie pilnych zadań, dyktowanych koniecznością rozbijania obozu i odnawiania starych znajomości. Pani Eddington przyniosła im ciasto z melasą, inne panie, które poznały na szlaku, wstępowały do ich obozowiska z powitaniem i opowieściami z własnej przeprawy.

Juliette pomogła Zoe i Clarze stopić śnieg w wielkich garach i zagotować wodę na pranie. Wszystkie trzy niemal podnosiły do nieba oczy zażawione wdzięcznością za łaskę czystej bielizny, skarpetek i swetrów. Wywietrzyły porządnie śpiwory, koce, płaszcze i szale, zacerowały dziury w przyodziewku i poprzyszywały oderwane guziki. Kolejno umyły włosy i zajmowały miejsce przy piecyku, szczotkując je i susząc. Dłuższy postój pozwalał na rozstawienie go wewnątrz namiotu, więc po raz pierwszy od wielu dni było w nim naprawdę ciepło. Dla uczczenia tej okazji Clara ugotowała gulasz z kilogramowej puszki wołowiny z dodatkiem suszonej kapusty, Zoe upiekła chleb kukurydziany, a Juliette ukoronowała ucztę szarlotką z której była skrycie niezwykle dumna. Jeszcze trzy miesiące temu nie byłaby zdolna upiec ciasta, nawet gdyby zależały od tego losy świata. Siedziały na posłaniach w długich, wełnianych niewymownych i czuły się tak świetnie, jak jeszcze ani razu od dnia, gdy zdobyły przełęcz Chilkoot.

- Marzyłam o kromce chleba z masłem - opowiadała Zoe. - Wiecie, jak trudno je kupić... wreszcie udało mi się je znaleźć i wiecie co? Gość żądał dwudziestu dolarów za funt! Pomyślałam, że obejdziemy się smalcem i dżemem.

- Smakuje cudownie! Gulasz wołowy zresztą też.

- Pospiesz się z tym obiadem. Marzę o kawałku szarlotki, pachnie jak ambrozja. Tym razem udało ci się nie zwęglić skórki. - Clara uśmiechnęła się.

Z zewnątrz dobiegło je wołanie: ktoś domagał się Juliette. Zaskoczona, zmarszczyła czoło.

- Przypomina głos Luca. O co mu może chodzić?

Indianie Chilkat nie mieli zwyczaju składać im wizyt.

- Wystaw z łaski swojej głowę z namiotu i sprawdź - poradziła jej Clara.

Juliette spojrzała na swoje rozpuszczone włosy, spadające na ramiona okryte czerwoną flanelą.

- Przecież w tym stanie nie mogę dać się zobaczyć!

- Więc się nie dowiesz, po co przyszedł!

- Cholera! - Proszę, znowu wychodziły na jaw skutki przebywania w niewłaściwym towarzystwie...

Niewłaściwe towarzystwo spojrzało na nią i zaśmiało się wtórem.

- Czego chcesz?! - krzyknęła przez spuszczoną klapę wejściową do namiotu.

- Mam wiadomość dla panny Juliette March.

Uniosła brwi.

- Co to za wiadomość?

- Jest w kopercie, panienko, a ja nie umiem czytać!

Nie posiadając się z ciekawości, wytknęła głowę przez otwór. Lodowaty wiatr smagnał obleczone jedynie flanelą koszuli ramię, na którym natychmiast wyskoczyła gęsia skórka.

- Dziękuję! - krzyknęła i pospiesznie spuściła klapę. Na kopercie widniało jej imię i nazwisko, skreślone zamaszystym, męskim pismem. - Kto mógł mi to przysłać?

- Nie mamy najmniejszego pojęcia! - Clara i Zoe padły na swoje łóżka i zgodnie przewróciły oczami.

- Ach, któż to może być? Pewnie pani Eddington... albo ten szczur Jake Horvath?

- Nie, to królowa angielska wizytuje Kanadę i ubiega się o audiencję u tutejszej rodziny królewskiej - przygadywały jedna przez drugą.

- To wcale nie jest śmieszne - powiedziała Juliette głosem skromnisi, którego tak dawno nie używała, że nawet w jej własnych uszach zabrzmiał fałszywie. Obracała kopertę w rękach i zaciekawiona badała inicjały wyciśnięte w czerwonym wosku pieczęci: BJD.

Clara zaczęła wachlować zarumienioną od ciepła i żartów twarz.

- To Ben przysłał list? Patrzcie państwo, kto by to pomyślał?

Zoe trzymała się za boki ze śmiechu.

- A co pisze?

- Nie wasz interes! - Juliette nie mogła jednak oprzeć się chęci, by przeczytać list na głos: „Benjamin Dare uprasza o zaszczyt towarzystwa Pani przy kolacji, która odbędzie się osiemnastego grudnia o godzinie siódmej wieczorem w

rezydencji pod numerem dwunastym przy ulicy Głównej”. - Zamrugła. - Zaprasza mnie na kolację! Co mam mu odpowiedzieć?

- Ważniejsze, co na siebie włożysz? - zastanowiła się Zoe. - Nie możesz iść w ciuchach ze szlaku!

Clara przytaknęła jej energicznie.

- Musimy przejrzeć skrzynie i znaleźć coś lepszego. - Oczami zwięzonymi w szparki przyjrzała się Juliette. - Maską z tłuszczu z popiołem trochę pomogła, ale wciąż masz cerę wysuszoną i popękaną. Mamy jakieś dwadzieścia cztery godziny, by cię doprowadzić do porządku... Słonina! Nie ma lepszego środka, by zmiękczyć skórę!

- Ja utłukę trochę ryżu na puder i przygotuję cytrynową płukanę do włosów z tabletek kwasu.

- Panno March? - Luc wciąż czekał przed namiotem. - Polecono mi poprosić o odpowiedź.

- Chwileczkę, Luc! - Niemal pofrunęła do podręcznej walizeczki i zaczęła gorączkowo wygrzebywać ze spodu plik papeterii. Zerknęła na towarzyski spod zmarszczonych brwi. - Sądzicie, że powinnam przyjąć to zaproszenie?

Spojrzały na nią jakby postradała rozum. Potem wróciły do omawiania toalety i fryzury, stosownych na tę okazję. Przypomniała sobie o odmienności zasad rządzących życiem Północy. Nikt nie weźmie jej za złe kolacji w towarzystwie Bena, nikogo to nie obejdzie. Wyłowiła z torby atrament i pióro i napisała karteczkę: „Panna Juliette March z przyjemnością przyjmuje łaskawe zaproszenie pana Benjaminą Dare'a na

kolację w dniu osiemnastym grudnia o godzinie siódmej wieczorem”.

Och, jakże jej brakowało tych drobnych grzeczności i rygoru towarzyskiej etykiety! Przebiegła przez nią fala zadowolenia i podniecenia. Jak miło było otrzymywać listowne zaproszenia i odpowiadać na nie w tym samym eleganckim tonie! Podała liścik Indianinowi, czekającemu na zewnątrz, i usiadła na łóżku, łowiąc uchem fragmenty dyskusji towarzyszek. Ciekawe, gdzie ktoś, kto został poszukiwaczem złota, nauczył się układać tak gładkie zaproszenia? Przysięgłaby, że dość dobrze zna Bena i jego możliwości, a tu okazało się, że w jej wiedzy są spore luki.

- Czy na Głównej dwanaście mieści się hotel? - Nagle się zatroskała. Po przybyciu do osady natychmiast pobiegła sprawdzić słowa Bena, nie dowierzając mu do końca... Okazało się, że bynajmniej nie przesadził, a nawet nieco przemilczał. W szynku na parterze rozstrojone pianino wydawało z siebie nieznośne, lecz ogłuszające zgrzyty. Zebrawszy całą odwagę, wetknęła głowę do środka i natychmiast zauważyła szpary w suficie zbitym z nieheblowanych desek, przez które przezierają nogi polowych łóżek, ustawionych rzędami na pięterku. Myśl, że goście hotelowi mogą zerkać przez szczeliny na to, co dzieje się w speluncie na dole, wzbudziła w niej odrazę nie mniejszą niż stęchły odór piwa i kwaśne wyziewy tabaki. Nie mogła sobie wyobrazić noclegu w tak prymitywnych warunkach.

- Kto to wie? Te pozał się Boże chałupy nie mają numerów - rzuciła Clara i wróciła do dyskusji z Zoe. Planowały

całą kampanię, która miała na celu upiększenie Juliette na jutrzejszy wieczór.

Ta popatrzyła na nie z niespodziewanym przyływem sympatii. Pozostawiona sama sobie, pewnie doszłaby w końcu do przekonania, że nie wypada przyjąć zaproszenia Bena. Zdumiała się, jak wiele znaczyła dla niej ich aprobatą. Zdanie towarzyszek wpływało na jej decyzje i pomagało zachować spokój. Zaczerpnęła głęboki oddech i przysiadła się do Zoe.

- Więc co mi radzicie? Mam włożyć mój komplet biżuterii z brylantami?

Dwie godziny później Zoe robiła jej manikiur, a wszystkie trzy z zapalem omawiały rozmaite warianty wieczorowego stroju. Nagle Juliette uświadomiła sobie, że sama dotąd nie wiedziała, jak bardzo brakowało jej w dotychczasowym życiu siostr!

Luc przyszedł po nią za kwadrans siódma, pomógł jej wsunąć stopy w rakiety śnieżne i odebrał podręczną torbę, do której spakowała wieczorowe pantofelki, zapasową chusteczkę, wachlarz i przeróżne przybory toaletowe. Podczas przeglądu tych ostatnich, zebranych wspólnie przez Zoe i Clare, wybuchła sprzeczka.

- Co to jest? - zapytała Juliette z ciekawością, obracając na wszystkie strony osobliwy elastyczny pierścień, do którego przymocowana była różowa wstążka. Zoe i Clara spojrzały po sobie, a ta druga wyszeptala ledwie dosłyszalnie:

- To pesarium!

Zaszokowana Juliette upuściła krążek i wpatrzyła się na niego wybaluszonymi oczami. Czasami, bardzo rzadko... szacowne mężatki wymieniały dyskretnym szeptem pogłoski o takowych przedmiotach, ale porządnej kobiecie nawet nie przysłało orientować się w zasadach antykoncepcji.

- Skąd to macie?

- Pani Eddington okazała się bardzo pomocna... - Na widok twarzy towarzyszki Clara zamachała pospiesznie rękami. - Ona myśli, że to dla mnie!

- Jak śmiałaś! - Ręce Juliette trzęsły się z gniewu i upokorzenia. Krztusiła się i jąkała. - Nie potrzebuję tego i nigdy bym nie potrzebowała!

Poczuła dłoń Zoe na ramieniu.

- Najprawdopodobniej masz rację - odezwała się zgodnym, uspokajającym głosem. - Ale, na wszelki wypadek...

- Nie ma czegoś takiego jak wszelki wypadek! Pan Dare i ja zjemy wspólnie kolację, i to wszystko! - Ogień ogarnął jej policzki i szyję. - Jak w ogóle przyszło wam do głowy, że mogłabym... Za kogo mnie macie, za łatwą panienkę?

- Za kogokolwiek byśmy cię miały, jednym na pewno nie jesteś: świętą. - Clara żwawo podniosła pesarium i wsunęła je z powrotem do torby Juliette. - Żadna z nas nią nie jest!

Oblicze Zoe niemal dorównywało czerwienią policzkom Juliette.

- Gdyby... mówię tylko gdyby!... Gdyby sprawy potoczyły się w kierunku, jakiego teraz nie przewidujesz, to... powinnaś, powinnaś... - Zerknęła na Clarę z niemą prośbą o wsparcie.

Ta zakończyła tonem niedopuszczającym sprzeciwu:

- Powinnaś się zabezpieczyć.

Zoe przytaknęła.

- Jestem pewna, że wiele kobiet żałuje, iż nie zdobyło się na podobną przezorność, zanim okoliczności ułożyły się tak, że... - Przycisnęła dłonie do płonących policzków. - ...No, wiesz, co mam na myśli.

Juliette popatrzyła uważnie i zrozumiała, że Zoe i Tom spali ze sobą. W oczach Clary wyczytała, że i dla niej dotychczasowe przypuszczenie zamieniło się w pewność. Wobec tego niezaprzeczalnego faktu poczuła się jeszcze bardziej zagubiona. Jeśli dziewczyna, którą dotychczas ceniła i szanowała jako przykład kobiety cnotliwej, potrafiła dopuścić do siebie męzczyznę w związku pozamałżeńskim...

- Rozumiem - wycedziła, niepewna, co począć. - Cóż, dziękuję, że się o mnie troszczycie, ale nie będę potrzebowała tego... eee... - Nie potrafiła wypowiedzieć tego słowa. - Tych rzeczy też nie potrzebuję! — Zmarszczyła czoło i przeniosła wzrok na pozostałe drobiazgi: grzebień i zapasowe szpilki do włosów, ściereczkę do mycia, puder toaletowy, zapasowe guziki... Na litość boską! Oczywiście zestaw miał służyć, by doprowadzić się do porządku ze stanu całkowitego rozchełstania!

- Juliette... - Clara twardo spojrzała jej prosto w oczy. - Nie bądź taką krótkowzroczną idiotką. Jeśli te przedmioty okażą się zbędne, to doskonale. Nie stanie się nikomu krzywda. Ale jeśli będziesz ich potrzebowała, i to będzie wyłącznie twoja

decyzja, no to są pod ręką! - Zatrzasnęła zameczek torby, nie pozostawiając Juliette szansy odmowy.

Ta zdała sobie sprawę, że wiedząc o tym, co zaszło między Zoe i Tomem, nie może wpaść w ton urażonej moralności, nie wychodząc na sędziego cnót, wydającego wyrok na towarzyszkę ze szlaku. Namyslała się, zagryzając wargi, i w końcu podniosła głowę. Lepiej nie spierać się dłużej.

- Nie będę ich pewnie potrzebowała, ale dziękuję za troskę i przezorność. Jak wyglądam? - zmieniła temat.

- Prześlicznio! - usłyszała entuzjastyczną opinię i uśmiechnęła się, zadowolona.

Nigdy dotąd Juliette nie uważała, by naprawdę zasłużyła na taki komplement, lecz tego wieczoru szczęście sprawiło, że naprawdę czuła się niemal piękna. Towarzyszki wyszczotkowały jej włosy tak, że czarowały połyskliwym brązem, po czym upięły je wysoko i ozdobiły spinkami z brylantami, a opadające na ramiona pukle zakreśliły żelazkami w długie anglezy. Pod ciepłym płaszczem miała na sobie czarną wieczorową narzutkę i jedyną suknię, którą wzięła na Alaskę: elegancką kreację z czarnego aksamitu ze wstawkami z kremowej satyny. Kreacja miała głęboko wycięty dekolt, odsłaniający więcej, niż było stosowne w czasie wieczornego sam na sam z mężczyzną ale Juliette bardziej martwiła się bufiastymi rękawami. Były tak krótkie, że między nimi a wieczorowymi rękawiczkami przeziarało nagie ciało ramienia. Nie prezentowała się najlepiej, trzęsąc się z zimna i szcękając zębami! Z drugiej strony pocieszała się, że nie musi pamiętać o podtrzymywaniu trenu, by nie taplał się w topniejącym śniegu, zmieszanym z Bóg wie

jakimi nieczystościami, który zalegał jedyną uliczkę osady. Zoe wykorzystwała swoją zręczność szwaczki i wydatnie skróciła tren, by suknia nadawała się do spaceru w plenerze. Brnąc teraz ulicą, Juliette przesuwiała wzrokiem po plamach tytoniowego soku i żółtawych kałużach na śniegu i milcząco podziękowała Zoe. Dzięki Clarze zaś prezentowała światu zaróżowione zdrowym blaskiem policzki bez śladu spierzchniętej skóry, którą zmiękczyła i wygładziła maska ze słoniny.

Luc minął ostatnie prowizoryczne zabudowania i poprowadził ją w górę szlaku. Juliette pomyślała, że musiał się pomylić, wkraczając na ścieżkę ledwie przetartą płozami, oświetloną mdłym blaskiem półksiężyca na czarnym niebie. Właśnie otwierała usta, by przywołać Indianina do przytomności, gdy doszli do zakrętu drogi i ujrzała w oddali blask światła z okien. Luc doprowadził ją do samych drzwi niewielkiej traperskiej chaty i zastukał. Drzwi otworzyły się niezwłocznie i w progu stanął uśmiechnięty Ben. Przez długą chwilę oszołomiona Juliette nie poznała go. Bez skołtunionej brody poszukiwacza złota wyglądał całe lata młodziej. Pomyślała, że zapewne nie tak dawno przekroczył trzydziestkę, podczas gdy brała go do tej pory za mężczyznę sporo po czterdziestce. Rzadko przedtem widywała go z gołą głową. Dzisiaj jednak ciemnej czupryny nie zakrył ani kapturem, ani kapeluszem, lecz starannie przycesał z przedziałkiem na środku głowy. Miał na sobie trzyczęściowy czarny garnitur jak spod igły i wykrochmalony kołnierzyk oraz mankiety - jedyne, jakie widziała, odkąd opuścili Seattle! Przez dobrą minutę nie

mogła złapać tchu. Ten nowy Ben Dare stał przed nią jak uderzająco przystojny obcy młodzieniec.

Nagle ogarnęło ją skrępowanie, stała więc, milcząc, podczas gdy gospodarz odebrał od przewodnika jej torbę i podziękował mu.

- Dzisiaj nie będę cię już potrzebował, Luc - odesłał go przyjaznym, spokojnym głosem, po czym zwrócił na swego gościa tak niewiarygodnie błękitne oczy, że serce podeszło jej do gardła. - Pozwól, że pomogę ci zdjąć rakiety.

Ukląkł przed nią, a ona oparła dłoń na jego barkach, by zachować równowagę. Pod kosztowną wełnianą materią marynarki poczuła plecy solidne jak opoka i stwierdziła, że ma do czynienia z tym samym ciężko pracującym, uczciwym Benem, jakiego знаła. Ustawił jej rakiety tuż za progiem i wprowadził ją do ciepłego wnętrza chaty. Podłogę z desek wyścielał dywanik z kolorowych skrawków, a na kominku weselo trzaskał ogień. Z ulgą stwierdziła, że w czasie kolacji nie będzie się trząść i szczekać zębami z chłodu.

- Okna! - Oczy rozszerzyły się jej ze zdziwienia.
- To bloki lodu - wyjaśnił z uśmiechem.

Juliette obróciła się powoli, obejmując wzrokiem całe pomieszczenie. Chatą była umeblowana oszczędnie, lecz wydawała się wygodna. Ściany dekorowały kolorowe okładki czasopism, a w niskiej biblioteczce stały rzędem książki. Pod ścianą urządzono spartańską, lecz całkowicie wyposażoną kuchnię, którą wysoki kontuar oddzielał od stołu na wygiętych nogach. Pomieszczenie sprawiało wrażenie skromnego, lecz przytulnego, a nawet wdzięcznego.

- Czyj to dom? - Nie śmiała spojrzeć mu prosto w twarz, bo bała się zdradliwego rumieńca zachwytu.

- Należy do niejakiego Billa Prathera, właściciela faktorii. Wynajął mi tę chatę na trzy dni.

Juliette domyślała się, jak wysoką cenę ma taki luksus w tej części świata. Jeśli za funt masła żądano dwudziestu dolarów...

- Musiałeś wydać fortunę!

Całe trzy dni. Raptem zaschło jej w ustach, a dłonie zaczęły drżeć niepowstrzymanie. Trzy dni... a on nie uprzedził Luca, by czekał i odeskortował ją z powrotem do namiotu!

- Ben...

- Sypialnia jest za tymi drzwiami. - Włożył w jej bezwładne palce rączkę torby z przyborami toaletowymi. - Jeśli chciałabyś się odświeżyć...

Byli sami w chacie z sypialnią, w dodatku wynajętą na całe trzy dni! Oblizwała wargi, miotana sprzecznymi uczuciami.

„Cnotliwa kobieta bezzwłocznie wycofałaby się z tak kompromitującej sytuacji!” - przypomniała maleńka, lecz rozwścieczona ciotka Kibble z lewego ramienia.

„Natychmiast!” - dodała równie miniaturowa matka z prawego.

- Kiedy wrócisz, wypijemy sherry przed kominkiem - zapowiedział Ben, przerywając strumień wyimaginowanych napomnień. Po czym... nachylił się ku niej i lekko musnął wargami jej usta.

Poczuła, że całe ciało przeszywają jej elektryczne iskry. Przez chwilę nie mogła się poruszyć, oddychać ani myśleć, jakby trafił w nią piorun i sparaliżował ją swoją mocą.

„Odejdź stąd w tej chwili!” - zażądała ciotka Kibble w napadzie furii.

„Ten mężczyzna nie jest dżentelmenem!” - wysapała zaogniona matka.

„Interesuje się tobą wyłącznie dla spadku!”

„Zamknijcie się!” - Juliette rozkazała w duchu głosem swoich doradczyń. Zbyt wiele wieczorów i okazji zmarnowała, czyniąc zawsze to, co należało, zdaniem innych ludzi i zgodnie z ich wyobrazeniami o przyzwoitości. Dzisiejszy wieczór będzie jej triumfem. Odrzuci więzy, które kępowały nieśmiałą, zastraszoną pannę Juliette March. Dzisiaj stanie się kobietą nowoczesną, śmiałą, wyzwoloną z ograniczeń dotychczasowego życia. Sama podyktuje zasady i reguły!

Dotknęła palcami ust, podniosła głowę i pomaszerowała ku drzwiom do sypialni.

Dzisiaj była kobietą światową z pesarium w torbie... niech ją niebiosy mają w swej opiece! Cóż była przecież femme fatale - gotowa i otwarta na wszystko, co może się wydarzyć.

Ben ją pocałował...! Jej świat się odmienił.

Ben przewidująco zostawił w sypialni zapaloną lampę, żeby ułatwić Juliette toaletę. Zdjęła gruby płaszcz, mitenki i szal i ułożyła je na łóżku, zasłanym wielobarwną pikowaną kołdrą. Pokoik był wypieszczony jak prawdziwy klejnot: ściany z potężnych bali, starannie odartych z kory i wypolerowanych, zachowały jeszcze ulotną woń świerkowej żywicy, a umeblowanie, choć skąpe, stłoczone na niewielkiej powierzchni, dodawało domowej przytulności. Wzrok Juliette przyciągnął jednak przede wszystkim przedmiot stojący w kącie: wanna. Staromodna, na smoczych łapkach - jak u ciotki Kibble -i trzeba było do niej nosić wodę wiadrami z kuchni, ale mimo wszystko niefałszowana, autentyczna wanna! Pozazdrościła Benowi trzech dni takiego komfortu. Wyobraziła sobie, jak leży nagi w parującej wodzie, z cygarem w zębach, mrużąc oczy przed kłębamii dymu. Nagle przebiegła ją fala gorąca. Obróciła się i stanęła twarzą do lustra ustawionego na blacie toaletki. Uważnie przyglądała włosy, zawiązała na nowo czarną aksamitkę na szyi i skubnęła bufki na ramionach, by przywrócić im puszystą świetność. Pochylona do przodu, ze zmarszczonym czołem oceniła głębokość dekoltu i przez chwilę pożałowała decyzji włożenia wieczorowej sukni. Z drugiej strony ta kreacja wydawała się wymarzona na ten wieczór, w którym miała dać świadectwo nowo odnalezionej niezależności i odwagi. Była kobietą która postanowiła dyktować swoje własne zasady - a jedna z nich głosiła: wolno jej spożywać kolację sam na sam z mężczyzną w wynajętym przez niego domu. On godnie

zapoczątkował nową epokę w życiu Juliette, całując ją... Och, litościwe niebiosa!

Wyciągnęła z torby wachlarz i zaczęła zamazywać chłodzić rozpaloną twarz, aż przemogła przyływ nagłej nieśmiałości. Szukając w torbie pantofelków na wysokich obcasach, przypadkowo dotknęła pesarium, wyciągnęła je i przyjrzała się w świetle lampy. Serce zabiło jej żywiej, kiedy dotykała przedmiotu, o którym dawna Juliette March nie śmiała mieć pojęcia. Jej nowe wcielenie nie tylko znało się na antykoncepcji, znajdowało się nawet w posiadaniu narzędzia zapobiegania ciąży - które kto wie, czynie okaże się jej potrzebne! Boże, Boże... Rumieniec wrócił na policzki.

Naturalnie, że nie będzie go potrzebowała! Jakże to byłoby jednak podniecające, widzieć siebie jako osobę postępową i śmiałą aż do granic rozsądku - na tyle śmiałą, by nosić owo wyzywające wszelką moralność narzędzie szatana! Oznaczałoby to, iż Juliette March, nieustraszona podróżniczka, jest przygotowana na wszelkie niebezpieczeństwa, na każdą przygodę, jaką może przynieść przewrotny los... Och, tej Juliette March nikt jeszcze nie znał, ale ona istniała. Kiwnęła poważnie głową swemu odbiciu w lustrze, czując, jak jej niezaprzeczalnie tchórzliwe jeszcze serce tłucze się w piersi.

A może po prostu samą siebie przekonywała do czegoś, co naprawdę było...

Ale taki wieczór już się nie powtórzy! Impulsywnie podjęła ostateczną decyzję, usiadła na łóżku, zadzierając spódnicę, i po kilku nieudanych próbach umieściła pesarium tam, gdzie należało. Zażenowanie, jakie czuła, dotykając się w intymnych

miejskach - co dotychczas uważała za nieprzyzwoite - było niczym w porównaniu z grzeszną przyjemnością zakazanego czynu.

Drżała pod wrażeniem własnej śmiałości, ale z determinacją wygładziła spódnicę, zaczerpnęła tchu i zsunęła z palca pierścionek Jeana Jacques'a. Ben nie miał dzisiaj na sobie zielonej chustki, więc i jej wypadło mu dorównać. Wrzuciła klejnocik do torby, mruknęła coś lekceważącego, podniosła bródkę i wróciła do głównego pomieszczenia - salonu, jadalni i kuchni zarazem. Z jakąż niezrównaną śmiałością i pewnością siebie poruszała się kobieta nosząca perarium!

Ben zareagował jeszcze lepiej, niż mogłaby sobie życzyć: wciągnął ze świstem powietrze, a błękitne oczy przesłoniła mgielka rozmarzenia.

- Nie mam słów... - wykrztusił ochryple. - Powiedzieć, że jesteś olśniewająca, byłoby tu obrazą!

On sam zrobił na niej nie mniejsze wrażenie. Ktokolwiek by go ujrzał dzisiejszego wieczoru, nie odgadłby, że widzi poszukiwacza fortuny, znajdującego się w drodze na złotodajne pola. Stał przed nią dżentelmen w każdym szczególe - od złotej dewizki zegarka, zwisającej z kieszonki kamizelki, do zapinek przy mankietach i przy śnieżnobiałym żabocie koszuli. Ujął ją pod łokieć, przycisnął go do swego boku i z gracją eskortował do foteli ustawionych naprzeciw siebie przed ogniem buzującym w kominku. Delikatnie przytknął brzeg kieliszka z sherry do jej naczynia z trunkiem, odchylił się na oparcie i pożerał ją wzrokiem, nawet nie próbując ukryć podziwu.

Juliette zarumieniła się i spuściła oczy.

- Czy mogę ci zadać osobiste pytanie? - spytał, a kiedy kiwnęła głową na zgodę, ciągnął: - Jesteś tak urodziwą kobietą że zastanawiam się, czemu nie wyszłaś za mąż. Przyjmuję, że to z własnego wyboru?

- Owszem, był ktoś... - Jego pytanie zawisło w powietrzu, brzemiennie wieloznacznością ale wołała tego nie roztrząsać. Odwróciła się twarzą do ognia i rozmyślała o takich kwestiach, jak miłość i szczerłość. Nie mogła powiedzieć Benowi o Jeanie Jacques'u, na pewno jeszcze nie dzisiaj, lecz był zbyt ważny, by dać mu wymijającą odpowiedź.

- Widzisz, jestem dziedziczką znacznej fortuny - zwierzyła się po krótkim wahaniu. Gdyby nie zdecydowany cios wymagowanej pięści, którym rozpląszczyła miniaturową ciotkę Kibble, przycupniętą uparcie na lewym ramieniu, doradczynie dostałaby ataku apopleksji. To najgorsza rzecz, jaką mogła wyjawic mężczyźnie szukającemu fortuny - że upragniony majątek siedzi właśnie przed nim! - Moja ciotka usiłowała mnie ochronić i upatrywała we wszystkich adoratorach łowców posagu. Niestety, było wśród nich wielu podobnych obwiesiów...

Ben przytaknął.

- Tak właśnie myślałem...

- Naprawdę? - Uniosła brwi.

- Usłyszałem kiedyś niechcący pannę Wilder, jak mówiła, że zapłaciłaś Tomowi pełną cenę usług tragarzy do Dawson za nią i pannę Klaus. Panna Wilder nie wydawała się szczególnie zadowolona - dodał z uśmiechem. - Tylko majątna osoba mogłaby sobie pozwolić na tak szczodry dar. - Zamyślone

spojrzenie ześlizgnęło się ku jej piersiom, powędrowało w dół ku wiotkiej kibici i dalej, do obrąbka eleganckiej sukni. -Twoja garderoba też wskazuje na kogoś zasobnego.

- Wiedziałeś przez cały czas! - Krew uciekła z jej twarzy. W konfuzji zapomniała nawet wyjaśnić, że to nie ona zapłaciła Tomowi. Myślała, że Ben okazuje jej zainteresowanie, nie wiedząc o jej majątku. Teraz miała powody, by podejrzliwie oceniać dowody jego uwagi. Oczy Juliette poszerzyły się pod wpływem straszliwej myśli. Więc znowu dała się zwieść! Znowu wpadła w sidła mężczyzny, który widział w niej wyłącznie majątek!

Ben zaśmiał się na widok wyrazu jej twarzy.

- Droga Juliette! Jeśli myślisz, że interesuję się tobą ze względu na twoje pieniądze, zapewniam, że tak nie jest.

- Niestety, właśnie tak myślę - szepnęła.

Przyciągnął swój fotel bliżej, wyjął z jej bezwładnych palców szklaniczkę i ujął dłonie kobiety.

- Muszę ci coś wyznać... Twoja sytuacja finansowa nie była dla mnie tajemnicą, lecz nie dlatego, bym podsłuchiwał uwagę panny Wilder czy odgadywał cokolwiek z twego stroju. Zapytałem po prostu kierownika hotelu w Seattle o twoje nazwisko. -No i rozpoznałem je.

Nie rozumiała.

- Jak mogłeś je rozpoznać? Jestem pewna, że nigdy przedtem nie przedstawiono nas sobie.

- Masz rację. - Jego uśmiech zamienił się w prawdziwą pieśczętę spojrzenia. - Znam twoje nazwisko, bo twoimi pieniędzmi zarządza bank Bay City w San Francisco, którego

jestem właścicielem. Twój kapitał nie jest największy, jakim obracamy, ale znajduje się w pierwszej pięćdziesiątce.

Usta zaskoczonej Juliette ułożyły się w okrągłe „o”.

- Dobry Boże! Słyszałam, jak ciotka o tobie opowiadała. Nazywała cię „awanturnicznym bankierem”...

Wybuchnął szczerym śmiechem.

- Zawód bankiera nie cieszy się na Zachodzie estymą, jaką otaczają go mieszkańcy Wschodniego Wybrzeża.

- Sądziłam, że ty... że... - Nie podejrzewała, by mógł być kimś innym niż człowiekiem, na jakiego wyglądał: jeden z tłumu bezimiennych śmiałków, którzy, gnani żądzą kruszcu, jechali na złotodajne pola Północy.

- Szczerze mówiąc, byłem zadowolony, że nie rozszyfrowałaś mojej tożsamości, bo nie chciałem, by stała się ona szerzej znana. Większość poszukiwaczy złota jest w desperackiej potrzebie finansowej. Wątpię, czy pozwoliliby pozostać na szlaku człowiekowi, którego nie obchodzi, czy kiedykolwiek natrafi na choć jeden samorodek. Był jeszcze jeden powód, dla którego zatailem przed tobą moją bankierską profesję... -Zawahał się i spoważniał. - Odziedziczyłaś całkiem przyzwoity spadek, Juliette, ale...

- Ale twoja fortuna jest nieporównanie większa! - Potrzebowała dłuższej chwili, by dotarło do niej całe znaczenie niedopowiedzianego wyznania. - Mój Boże! Obawiałeś się, że kiedy ja poznam prawdę o tobie, bardziej zainteresuję się twoim majątkiem niż tobą - Popatrzyła niedowierzająco i wybuchnęła śmiechem. - Och, Ben...!

Ledwie zdołała odzyskać oddech, gdy odwrócił jej dłoń w palcach i powiódł kciukiem wzdłuż obleczonego rękawiczką ciała.

- Owszem, coś podobnego przemknęło mi przez głowę, ale nie od razu. Kiedy zobaczyłem cię na pokładzie „Annasett”, uważałem to za niezwykley zbieg okoliczności. Pierwsza kobieta od roku, która zwróciła na siebie moją uwagę, i oto wciąż się na nią natykam! Wtedy jeszcze nie spodziewałem się, że ty i ja... - Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Ale czemu wybrałeś się nad Jukon?

- Chciałem zacząć żyć na nowo - powiedział po prostu. - Pragnąłem czegoś odmiennego od rutyny codziennej egzystencji, czegoś wyczerpującego fizycznie. Przygody, która zaznaczyłaby koniec pewnej epoki w moim życiu i początek nowej.

- Czy udało ci się to osiągnąć? - Położyła dłoń na jego ramieniu.

- Och, tak. - Spojrzał jej w oczy z rozbijającą szczerością, a gdy splonęła jaskrawym rumieńcem, wypuścił jej drugą dłoń i sięgnął po kieliszek sherry. - Czemu ty przywędrowałaś na Północ? Nigdy mi tego nie wyjaśniłaś.

Trudno byłoby dać szczerą odpowiedź na to pytanie.

- Początkowo wyruszyłam na poszukiwanie pewnej osoby. Teraz wiem, że nie chcę jej odnaleźć. - Zniżyła głos do szeptu i czym prędzej przedstawiła nieco enigmatyczne wyjaśnienie: -Pozwoliłam się jakoś w to wciągnąć... To Clara pierwsza rzuciła pomysł wyprawy nad Jukon. - Poczula ulgę,

znalazłszy się na pewniejszym gruncie. - Zoe nalegała, żebyśmy pojechały razem.

- Czy i one kogoś szukają?

- Naprawdę strasznie mi przykro, Ben, nie jestem upoważniona do dalszych wyjaśnień.

Podniósł brwi na znak niezaspokojonej ciekawości, ale skinął głową na zgodę.

- Może pewnego dnia, gdy będziesz mi bardziej ufała, zawierysz mi swój sekret?

W kącikach jej ust pojawił się nieco żalorny uśmiech.

- Przykro mi, że nie mogę ci się zwierzyć, ale chodzi o cudze tajemnice.

W milczeniu dopili wino. Juliette uznała, że Ben walczy z rozczarowaniem, wywołanym jej powściągliwością, gdy tymczasem ona stara się przemoc zahamowania i przybrać postawę kobiety wyzwolonej, jak sobie to przyrzekła. Stanowczo nie mogła dopuścić do siebie myśli o Jeanie Jacques'u, zasadach moralności czy niestosowności przebywania sam na sam z Benem Dare'em. Kiedy przerwał milczenie, z ulgą pojęła, że jednak nie zepsuła wspólnego wieczoru. Zmienił temat, dając jej znak, że nie zamierza nalegać na dalsze zwierzenia ani nie ma do niej pretensji o skrytość.

- Rozważałem, czy nie wynająć kogoś z Chilkatów do usługiwania przy posiłku, ale uświadomiłem sobie, że nie chcę niczyjej obecności. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciw temu? Odlóżmy na bok kanony etykiety na rzecz mniej formalnej kolacji, dobrze? Osobiście nakryję do stołu i będę podawał.

Wykazał prawdziwy takt. Chata stała na tyle daleko od głównej uliczki osady, że nikt nie zauważył przyjscia Juliette i nie spostrzeże jej odejscia. Nikt nie będzie mógł potem rozsiewać plotek, co robili i o czym rozmawiali.

- Chętnie pomogę, potrafię przecież nakryć do stołu.

Podnieśli się równocześnie i zastygli, świadomi nagłej bliskości. Juliette wdychała cierpki aromat wody kolońskiej i krochmalu, zaprawiony słodkawym zapachem sherry z oddechu Bena. Wyczuwała emanującą z niego siłę i męskość. Intensywność, z jaką się jej przypatrywał, jeszcze pogłębiała oszołomienie Juliette, a gdy już myślała, że zemdleje, pochylił się nad nią i pocałował równie przelotnie jak poprzednio. Delikatne dotknięcie warg sprawiło, że poczuła płomień na ustach i gorące iskry w żyłach. Ale tym razem niezwykłym doznaniem towarzyszyło ukłucie rozdrażnienia, bo chciała więcej, tęskniła do prawdziwego pocałunku, żarliwego i zachłannego. Ben przesunął palcem po jej policzku, zostawiając na nim niewidzialny szlak łaskotliwych ogników.

- Jesteś moim gościem, więc nie chcę, byś musiała się trudzić domowymi zajęciami. Rozsiądź się wygodnie i zażywaj wszelkich rozkoszy wieczoru!

Była pewna, że nie zrobi kroku, bo kolana się pod nią ugiwały, ale jakoś udało jej się dotrzeć do okrągłego stołu. Patrzyła, jak Ben rozpościera na dębowym blacie obrus z adamaszku. Uwielbiała dotykać tej tkaniny - eleganckiej i zmysłowej zarazem. Ben starannie wygładził zmarszczki na śnieżnobiałym obrusie i z milimetrową dokładnością wyrównał ze wszystkich stron zwisający obrębek. Kiedy podniosła wzrok,

zauważyła, że przypatruje jej się uważnie i odczytuje zadowolenie w rozszerzonych oczach Juliette. Uśmiechając się, postawił na środku stołu wazon z kompozycją suszonego kwiecica: łubinu, irysów i orlików, a po obu jego stronach dwie wysokie białe świece. Juliette przycisnęła dłoń do bijącego serca. Bukiet był niski, więc będą się swobodnie mogli widzieć. To właśnie w podobnej staranności w szczegółach leżała różnica między niedbałym a prawdziwie artystycznym urządzeniem przyjęcia, z którego gość może czerpać samo zadowolenie. W dodatku pierwszy raz od początku podróży widziała bukiet na stole! Wciągnęła oddech, drżący jak westchnienie, i przysunęła się bliżej.

- Wiosną i latem musi tu być pięknie - zauważył Ben, wskazując głową suszone kwiaty.

- Co mówisz? Ach, tak... przypuszczam, że masz rację - szepnęła i z zaskoczeniem odkryła, że brak jej tchu. Dobry Boże, nic dziwnego, skoro tak dawno już nie miała okazji przebierać się do kolacji ani zasiadać przy stole zasłanym eleganckim obrusem, ze świecami i obowiązkowym bukietem, zdobiącym całość! Kącki ust drżały jej z podniecenia. Nie spuszczać z niej wzroku, gospodarz strzepnął serwetkę. Od razu zauważyła, że biały kwadracik ma brzeg o rozmiarach dokładnie pięćdziesięciu centymetrów... och, rozkosz prawdziwej serwety, niemal dreszcz ekstazy przebiegający po plecach! A potem, ruchem tak zręcznym, że żołądek ścisnął jej kurcz rozkoszy, Ben złożył serwetki i rozmieścił je dokładnie tam, gdzie powinny się znaleźć - po lewej stronie nakryć, gdzie

niebawem znajdą się w ich sąsiedztwie widelce. Zawinał je... znowu tak, jak należało. Z zachwyconą miną wyszeptła:

- Nie ma nic piękniejszego nad prawidłowo nakryty stół.

Okazało się w dodatku, że nie ma nic bardziej podniecającego nad widok przystojnego mężczyzny, odprawiającego bezbłędnie ten rytuał, dającego świadectwo doskonałego opanowania etykiety. Cóż za erotyczne doznanie! Nikt nie mógłby się oprzeć fali podniecenia. Obrus zwisał na właściwą długość, rozmiar serwetek odpowiadał zaleceniom podręczników savoir-vivre'u, a ich obrębek wywinęty został na zewnątrz. Na poły omdlała z nadmiaru emocji, Juliette otworzyła wachlarz i zaczęła nim lekko poruszać, chłodząc pulsujące policzki. Przez niemal minutę patrzyli na siebie ponad bukietem i świecami, chłonąc oznaki podniecenia w zarumienionej twarzy, rozchylnych wargach i przyspieszonym oddechu partnerów. Niemal namacalnie wyczuwało się rosnące napięcie.

- Czy obrazisz się, jeśli rozluźnię krawat? - spytał Ben gardłowym głosem.

- Ależ proszę bardzo! - Głos Juliette wibrował niewypowiedzianym zaproszeniem.

Jej towarzysz zwięził oczy w taki sposób, że ujrzała wizję skłębionej pościeli i wyraźnie poczuła ciepły, piżmowy zapach miłości. Zerwał z szyi krawat, sięgnął za siebie i postawił na stole dwa porcelanowe talerze.

- Prawdziwa zastawa! - Juliette zacisnęła palce na krawędzi stołu, porwana prawdziwym uniesieniem. Od czasów hotelu w Seattle nie widziała talerzy z porcelany! Jej oczy

zasnuła podejrzana wilgoć, gdy patrzyła, jak Ben przesuwa zmysłowo palce wokół złożonych rąbków i stawia talerze na adamaszkowym obrusie.

- Jakie masz piękne oczy! - Ben nie przerywał precyzyjnego ustawiania talerzy. - Czasami ich barwa przypomina mi kolor nieba tuż przed burzą, kiedy indziej patrzę w nie jak w srebrzystą otchłań.

- A tobie jest bardzo do twarzy bez brody - odwzajemniła się. Gładkie policzki i mocno zarysowana szczęka wprost zapraszały, by je odkrywać. Jakże pragnęła poczuć twarz tego mężczyzny pod palcami, wtulić nos w pachnącą skórę, wdychać delikatną woń wody kolońskiej... Nagle w pokoju wydało jej się tak gorąco, że mogłaby ulec złudzeniu, iż ich biesiada odbywa się w upalny sierpniowy wieczór w Linda Vista. Jego oczy przesuwały się po jej obliczu, a wszędzie, gdzie zawędrowały, czuła dotknięcie płomiennego spojrzenia. Strumyczek wilgoci spłynął jej między piersiami. Dyskretnym ruchem zniżyła wachlarz, by chłodził spocony dekol, i rozpaczliwie usiłowała odzyskać zachwianą równowagę. Zwilżyła wargi.

- Co teraz? - mruknęła niemal do siebie.

Boże, jakież miała zduszony głos, jak człowiek, który tonie!

- Teraz kolej na kryształę.

- Kryształę? Och! - Ledwie zdołała zachować przytomność. Nie jakieś tam obozowe blaszanki, nawet nie toporne szklanki codziennego użytku. Nie, będą popijać z kryształów. Patrzyła na usta Bena i wyobrażała sobie dotyk kryształę na miękkich wargach... jego wargi na swoich

ustach... Kryształ... Samo brzmienie tego słowa przywoływało niebywale cielesne wizje, wilgoć ust, opuszki palców, pocierające przezryste szkło. W gardle narodził się łaskotliwy dreszczyk, który stopniowo ogarniał całe ciało.

Ben tymczasem drażnił się z nią bezwstydnie, pobudzał jej zmysły, podnosząc pucharek z wodą na wysokość piersi i delikatnie stukając w krawędź. Czysty kurant kryształu zawisł w powietrzu, wprawiając je w wibrację. Po ciele Juliette przebiegły delikatne dreszcze, wznecając na skórze ramion i dekoltu płomyki podniecenia. Takiej reakcji nie wywołały dotąd dźwięki nawet najpiękniejszej symfonii! Łapczywie chwyciła oddech i machała wachlarzem, by ochłodzić czoło pokryte drobnymi kropelkami potu. Na skroniach Bena również zauważyła wilgotne lśnienie. Nie spuszczać z niej oczu, postawił pucharki obok talerzy i zaprezentował kieliszki do wina. Stuknięcie palcem, melodyjne wibrowanie... Juliette drgnęła i głęboko wciągnęła powietrze, a Ben ostrożnie ustawił kieliszki na prawo od pucharków na wodę.

- Wybacz, czy pozwolisz, że zdejmę marynarkę? - Przeciągnął dłonią po wilgotnym czole i karku.

- Ależ oczywiście! - Sama żałowała, że nie może niczego zdjąć. Wprost płonęła z nadmiaru wrażeń!

Kiedy ujrzała go stojącego po drugiej stronie stołu w samej kamizelce i koszuli, doznała uczucia, jakby wszystkie nerwy jej ciała zapłonęły żywym ogniem. W świetle, w którym się zazwyczaj obracała, kobiety rzadko widywały mężczyzn bez marynarek. Bez owej zbroi Ben zamienił się w podniecający obiekt wyzwania, ucieleśnienie wyzywającego bezwstydu.

- Kolej na srebra - wyszeptła drżącymi ustami.

Ben przeciągał ceremonialne chwile do granic wytrzymałości, aż kolejny dreszcz spłynął jej po krzyżu. Patrzyła, jak pociera trzonek noża między kciukiem i palcem wskazującym, budując napięcie. W tym punkcie wielu nie uniknęłoby potknięcia, niewłaściwie umieszczając sztuciec, lecz on, ogarniając ją płomiennym spojrzeniem, pochylił się i położył nóż ostrzem do talerza.

Serce w piersi Juliette podskoczyło niemal do gardła, aż się przestraszyła, że naprawdę zemdleje. To była wcielona doskonałość. Wilgotna fala rozkoszy wypełniła najintymniejsze zakątki jej ciała palącą tęsknotą. Och, jakże on znał język stołu! Niemal nie mogła tego znieść. Patrzyła, jak układa kolejne sztuce, zapowiadając danie rybne i potrawę z mięsa. Bała się, że serce wyskoczy jej z piersi.

Zaczął obracać między palcami trzonek łyżki, a pod skórą zaciśniętych jego szczęk przeżyły się mięśnie, kiedy wpił w nią oczy. Zamyślenie w spojrzeniu Bena ustąpiło miejsca wyzwaniu, gdy przesunął wzrokiem w dół dekoltu, w szczelinę między półkulami piersi. Jakże zmysłowe usta miał ten mężczyzna! Serce Juliette łomotało w szalonym pędzie, kolana drżały jak galareta. Nie wiedziała, czy dotrwa na nogach do chwili, gdy zacznie układać widelce.

- Sałatka będzie po przystawce... - wyszeptła ze ściśniętego gardła, patrząc w ekstazie, jak jej towarzysz umieszcza wokół talerza łyżki do zupy i widelce. Już wiedziała, że nie pójdą za nowomodnym zwyczajem jedzenia sałatki przed

przystawką. Tego nie zdołałaby znieść żadna kobieta!
Zapra gnęła go z siłą ognia, który trawił jej ciało.

Ben spojrział na nią uważnie i napiął mięśnie.

- Juliette...

Jego głos, nabrzmiący żądzą, skruszył ostatnie więzy. Rzuciła się ku niemu, a on obiegł stół na jej spotkanie. Padli sobie w ramiona zdyszani, zgłodniali; całowali się bez pamięci. Jej dłonie krążyły nieprzytomnie po jego ciele, palce Bena dotykały jej wszędzie, gładziły, drażniły samymi opuszkami. Pokrywał pocałunkami jej oczy, wargi, szyję, aż z gardła kobiety wydarł się zduszony odgłos ni to szlochu, ni jęku.

- Tak, tak, tak! - powtarzała beładnie. - Och, Ben, tak!
Chwyił ją w ramiona, zaniósł do sypialni i tam łagodnie postawił na nogach.

- Czy jesteś zupełnie pewna? - spytał głosem surowym od ledwie powściąganej żądzy. W odpowiedzi odwróciła się do niego plecami i uniosła ciężkie pukle znad karku, by mógł rozpiąć suknię:

- Pospiesz się!

Zręcznymi palcami pewnie manipulował przy niezliczonych guziczkach, haczykach i tasiemkach damskiego stroju. Po kilku zaledwie sekundach wynurzyła się z fałd sukni jak klepsydra obciągnięta jedynie koronkową koszulką i gorsetem. Ucałował wzniesienia jej piersi i zdarł z siebie koszulę, aż zapinki odskoczyły od mankietów i ze stukotem potoczyły się po podłodze. Zrzucił kamizelkę, zzuł buty i szarpnął nogawki spodni.

- Zaczekaj! Zdmuchnij lampę!

Było już za późno. Patrzyła oszołomiona widokiem, jakiego nigdy przedtem nie widziały jej oczy: stał przed nią nagi mężczyzna. Jakże wspaniale się prezentował, wysoki, smukły, o sylwetce przypominającej klin dzięki szerokim barom i wąskim biodrom - niczym posągi z albumów z wizerunkami arcydzieł greckiej rzeźby. Temu arcydziełu brakowało jednak figowego listka... I właśnie tam padł jej wzrok, a policzki zapłonęły rumieńcem wstydu.

- Och, na litość boską!

Przyciągnął ją do siebie i pocałował zachłannie, pozbawiając tchu. Potem posadził ją na brzegu łóżka, ukląkł, zsunął z jej stóp pantofelki, ściągnął podwiązki i pończochy. Czują gorące palce na skórze ud. Podniósł się i usiadł koło niej, odwrócił ją delikatnie i zwinnymi palcami odwiązał sznurówkę. Gorset zsunął się na podłogę. Juliette otworzyła usta, by ponownie poprosić o zdmuchnięcie lampy, ale przypomniała sobie, że Ben już widział jej nagość. Nietrudno zaś było się domyślić, że pragnie ją ujrzyć ponownie. Pociągnął ramiączka koszulki w dół, a ona dźwignęła się chwiejnie i stanęła przed nim, pozwalając mu zsunąć koronkowe cacko w dół - przez piersi, kibić i biodra. Jedwabne fałdy koszulki otuliły jej stopy. Juliette zamknęła oczy i stała przed nim z płonąca twarzą, wsłuchana w jego urywany oddech. Pragnęła zakryć swą nagość, lecz zmusiła się do bezruchu.

- Jesteś taka piękna... taka krucha i doskonała!

Nie pamiętała, jak do tego doszło, że odrzucił kołdrę i koce, nie mogła sobie potem przypomnieć, jak to się stało, że w jednej chwili stała przed łóżkiem, a w drugiej leżała w jego ramionach.

Całowali się i pieścili z rosnącą zachłannością, aż myślała, że tęsknota rozerwie ją na strzępy. Dygotała na całym ciele z napięcia, gdy ujrzała, jak sylwetka Bena unosi się i góruje nad nią rozrzuconą na prześcieradle.

Potem zrobiło się tak dobrze... Był delikatny i czuły, całował ją za każdym poruszeniem i nie przestawał jej pieścić, szeptał do ucha słowa miłości i uwielbienia. A ona, jako kobieta wyzwolona i pozbawiona zahamowań, sięgnęła palcami w dół jego pleców i dotknęła obnażonych pośladków. Miała nadzieję, że ta śmiała pieszczota nie zaszokuje go i nie odstręczy. Lecz jeśli nawet był zdziwiony, nie okazał tego. Ani na chwilę nie przestawał jej całować i pieścić. Ośmielona, uchyliła powieki, by złowić ukradkowe spojrzenie... i nie mogła uwierzyć własnym oczom, widząc, że obserwuje ją pilnie. Była pewna, że podobnie jak ona zamyka oczy w czasie miłosnego aktu!

- Czy coś jest nie tak? - szepnął, kiedy znieruchomiała pod nim.

Lampa nie dawała jasnego światła, lecz w migotliwym blasku płomyka Juliette dostrzegła zmierzwione włosy i krople potu na czole Bena. Odszepnęła pytająco:

- Czy to przyzwicie trzymać otwarte oczy?
- Moja kochana Juliette... wszystko jest przyzwicie, jeśli sprawia ludziom przyjemność. - Uniósł się na łokciach, ogarnął ją spojrzeniem i ucałował tak jak nikt przedtem. Pożądliwy język przedarł się przez barierę warg i wsunął głęboko w usta, kradnąc ich smak, aż Juliette szeroko otworzyła oczy, ale nawet zacisnęła powieki i oddała się cała na pastwę nieznosnie rozkosznych doznań.

- Zrób tak jeszcze raz... skoro uważasz, że nie ma w tym nic złego! - Pieszczota wydała jej się co prawda zbyt egzotyczna i stymulująca, by mogła być przyzwoita, lecz ta kwestia przestała ją jakoś obchodzić. Ten nowy sposób całowania podniecał ją do szaleństwa, wzniecał w jej zmysłach ogień zapamiętania, aż całe ciało zadygotało, a pod zaciśniętymi powiekami rozbłysło światło wszystkich gwiazd. Kiedy oszalałająca chwila minęła, Juliette leżała, drżąc, mokra od potu. Zerknęła nieśmiało na Bena.

- Nie wiem, co to było, ale... było cudownie. Czy to twoja sprawka?

- Mam nadzieję. - Uśmiechnął się i odsunął wilgotny kosmyk z jej twarzy.

- A czy ty... To znaczy, wiem, że ja... ale czy ty też...?

- To nie ma znaczenia.

Och, jakże go kochała.

- Jeśli chciałbyś jeszcze trochę, nie mam nic przeciw temu.

- Wobec tego sędzę, że chciałbym jeszcze trochę. - Pocałował ją ponownie. Doznała dziwnego wrażenia, że Ben tłumi śmiech, ale nie mogła sobie wyobrazić, co mogłoby go rozśmieszyć. Musiała się mylić.

Już po wszystkim naciągnął spodnie, a ona narzuciła na siebie koszulkę. Nalegał, że pierwsze danie poda jej do łóżka. Siedzieli ramie przy ramieniu, jedząc zupę z suszonych grzybów, i patrzyli na płomyk lampy, odbijający się w bloku lodu w oknie. Była to z pewnością najbardziej intymna chwila

całego dotychczasowego życia Juliette. Nagle spojrzała w oczy swego towarzysza.

- Ben...?

Bezbłędnie rozszyfrował wyraz jej twarzy, odstawił talerze i otworzył ramiona. Ten drugi raz był jeszcze bardziej zadziwiający. Posadził ją sobie na biodrach. Zagubiona, nie bardzo wiedziała, co ma robić, dopóki nie położył dłoni na jej biodrach i nie zakolysał nią w tył i w przód, a potem do góry i w dół. Pojęła, czego od niej oczekuje, i niebawem poznała urok sprawowania kontroli. Najbardziej spodobało jej się to, że w tej pozycji może przez cały czas obserwować jego twarz i sprawdzać, co sprawia mu największą przyjemność.

Kiedy w przerwie między daniem rybnym i mięsnym ponownie się złączyli, Ben ujął jej palce i zamknął je wokół swej męskości. Myślała, że zemdleje z rozkoszy dotykania aksamitnie miękkiego i prężnego zarazem organu, i podziwiała swoją śmiałość.

Między daniem mięsnym a sałatką wykapał ją w wannie, wytarł do sucha ręcznikiem i znowu położył do łóżka, całując od stóp po czubek głowy. Nie pominął żadnego zakątka ciała, a ona krzyczała najpierw z przerażenia, potem z rozkoszy.

Po winie i deserze kochali się leniwie i powoli, jak para kochanków, którzy znają się od dawna i wiele razy już mieli okazję cieszyć się sobą. Potem owinęli się kocami i wybiegli z chaty, by podziwiać spektakl niebieskawych świateł, przecinających polarny nieboskłon. Wciąż otuleni kocami, ogrzali się przed kominkiem w salonie, popijając koniak z pękatych kieliszków.

- Nie spodziewałam się, że przeżyję tak zadziwiającą noc
- wyznała Juliette i ogarnęła go zamglonym spojrzeniem prawdziwie nasyconej kobiety. Jako mężatka uważała się dotąd za osobę z doświadczeniem, a nawet bez zahamowań. Teraz już wiedziała, jak skromne były jej doświadczenia erotyczne. Ledwie skosztowała bogactwa doznań, a o znaczeniu określenia „bez zahamowań” wiedziała tyle co nic! Dzisiejszy wieczór stanowił pierwszą odsłonę zdumiewającego, olśniewającego, niewiarygodnego spektaklu.

- Tysiące razy wyobrażałem sobie, że oglądam cię taką jak teraz - wyznał Ben z sekretnym uśmiechem. Rozpuszczone włosy spływały jej na plecy, policzki miała zaróżowione, oczy półprzymknięte i sennie. Koc zsunął się nieco, odsłaniając ramiona i przepaścistą szczelinę między półkulami piersi.

- Kocham cię, Juliette. Teraz jesteś już moja.

Pochyliła się ku niemu i ucałowała go serdecznie. Zakryła usta dłonią, by ukryć ziewnięcie, a Ben wybuchnął śmiechem.

- Kiedy dopijemy koniak, położę cię do łóżka i pójdę sobie.

- Jako to pójdziesz sobie?

Kiwnął głową.

- Pamiętajsz, jak się skarżyłaś na brak odosobnienia i prywatności na szlaku? Chata jest do twojej dyspozycji: ofiaruję ci dwa dni samotności w prezencie na Boże Narodzenie. Luc i Henry będą tu zaglądać kilka razy dziennie. Jeśli czegoś będziesz potrzebowała, wystaw rakiety za drzwi, a zapukają i spełnią twoje polecenie.

Klasnęła w dłonie.

- Chata jest moja? Całe dwa dni mogę tu zostać?
- Powiadomiłem wcześniej panny Klaus i Wilder, spakowały twoje rzeczy. Torbę znajdziesz pod łóżkiem.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i ucałowała go z całego serca.

- Ben, to najmiłszy podarunek bożonarodzeniowy, jaki kiedykolwiek dostałam! - Pocałowali się jeszcze raz przy drzwiach, kiedy wychodził. - Nie wiem, co powiedzieć o naszym wieczorze... - szepnęła, wtulając twarz w futrzaną lamówkę jego kaptura.

- Masz całą resztę życia, żeby coś wymyślić. - Roześmiał się. Jego słowa przeszły serce Juliette jak sztylety. Kiedy doszedł do drogi, odwrócił się, by jej pomachać, i ujrzał, że nadal stoi bez ruchu w progu chaty.

Zamiast wrócić do łóżka, usiadła przed kominkiem i patrzyła w gasnące płomienie, mruganiem powstrzymując łzy. Ben tak doskonale do niej pasował, pod każdym względem! Pochlebiała sobie, że i ona świetnie pasuje do niego...

Teraz rozumiała, czemu Zoe szlochała w nocy w poduszkę.

Rozkoszowała się samotnością i odosobnieniem przez kilka godzin. Potem zamęt panujący w jej umyśle począł drażniaco kłócić się z niezmaconym spokojem otoczenia. Wracala myślą do Zoe i Clary, pomna, jak bardzo jej towarzyszki ucieszyłyby możliwość prawdziwej kąpieli, luksus odpoczynku w fotelach przed kominkiem i posiłków spożywanych przy stole. Kiedy więc przyszedł Luc, posłała go po nie. Wniosły do wnętrza kłab

wirujących śnieżynek i chłód zaróżowionych policzków. Tupiąc nogami, otrzepały buty ze śniegu i rozejrzały się po chacie.

- Prawdziwy cud! - powtarzała Zoe. - Patrzcie, mogę się obrócić dokoła i nie wpadam na skrzynkę przy łóżku Clary!

- Co za piec! - wołała Clara z kuchni. Podniosła pokrywkę garnka, pod którą bulgotał pachnący gulasz. - Wcale nieźle, Juliette. Robisz postępy, ale naprawdę smaczny to on będzie dopiero wtedy, gdy go doprawię, Zaczekajcie no!

- Wiedziałam, że to powiesz. - Roześmiana Juliette wzięła od nich płaszcze i rękawice i powiesiła na wieszaku w przedsiionku, zrobionym z sękatego pnia. - Nie widziałyście jeszcze najlepszego. - Skierowała je do sypialni i poprosiła, by zasłoniły oczy. Dopiero gdy weszły, powiedziała: - Teraz możecie spojrzeć!

- Wanna! - krzyknęły zgodnym dwugłosem. - Ja pierwsza! - pospieszyły dodać... równie zgodnie.

- Mamy mnóstwo czasu - uspokajała je Juliette. - Całe dwa dni.

- Patrzcie no! - Clara pochyliła się i podniosła z podłogi niewielki przedmiot. Podniosła go do światła, sączącego się przez blok lodu osadzony we framudze okna. - Spinka do mankietów... Och, tam leży druga! Tu chyba spadła ulewa spinek, czy jak? - Znacząco podniosła brwi.

Uśmiech spełził z ust Juliette.

- Ja...

- Niczego nie musisz wyjaśniać. - Zoe obrzuciła Clare rozwścieczonym wzrokiem, po czym wróciła spojrzeniem do

zarumienionej Juliette. Objęła ją serdecznie, po czym skierowała się do kuchni. - Nastawię wodę na kąpiel.

Clara padła na wznak na łóżko, rozrzuciła szeroko ramiona i wpatrzyła się w sufit.

- To niesprawiedliwe! Wy obie dostałyście to, czegoście chciały, podczas gdy ja nadal czekam na marny pocałunek! - Cisnęła spinką o lód w oknie. - Niech to diabli!

Juliette przysiadła obok niej i złożyła ręce na kolanach okrytych podomką, którą dla niej spakowały. Spuściła głowę.

- Claro, Ben mnie kocha... i ja go kocham. Wychodził stąd pewien, że należymy do siebie. - Łza stoczyła się po jej policzku i rozprysła się na zaciśniętych kurczowo dłoniach. - On wierzy, że czeka nas wspólne życie...

Clara długo milczała, wreszcie westchnęła i poklepała ją po plecach.

- Przykro mi... może się jeszcze jakoś ułożyć.

- Nic się nie ułoży - powiedziała cicho Zoe, stając w drzwiach. - Nawet gdyby Tom i Ben wybaczyli, że przemilczaliśmy prawdę o Jeanie Jacques'u, nie zdołają nigdy przebaczyć, że nie okazałyśmy się przyzwoitymi kobietami, za jakie nas mają. Och, Juliette, wiem, co czujesz, i tak mi bardzo, bardzo przykro!

Opadła na łóżko koło niej, oślepienie łzami objęły się po omacku i wybuchnęły płaczem.

Kilkunastu mężczyzn, brnąc w głębokich zaspach, wspięło się na zbocze jednej z gór okalających Jezioro Lindermana i przyniosło do obozu strzelisty świerk, wymarzony na bożonarodzeniową choinkę. Dodatkowo przydźwigali dość chrustu, by starczyło na wielkie ognisko. W wigilijny wieczór wesołe płomienie strzelały pod niebo aż do północy. Wszyscy hucznie świętowali. W rozgwieżdżone miliardami odległych iskier niebo wznosił się chóralny śpiew polarnych wędrowców.

W pierwszy dzień Bożego Narodzenia Niedźwiedź ze swoją drużyną wygrał zawody w przeciąganiu liny, Tom zaś zajął drugie miejsce w wyścigu sań. Czekoladowy tort Clary bezapelacyjnie zwyciężył w konkurencji wypieków; w tej rywalizacji deptała jej po piętach Zoe, której szarlotka zajęła drugie miejsce. Kiedy obozowicze szykowali się do startu wyścigu par w workach, Juliette, stojąca z Benem, zawołała wesoło:

- Wszyscy już zwyciężyliście, teraz na nas kolej!
- Na pewno wygramy - obiecał uśmiechnięty Ben.
- Przykro mi, ale zwycięstwo będzie nasze! - odkrzyknął

Tom, lecz zaplątawszy się w worek i fałdy spódnicy Zoe, upadł, pociągając ją za sobą. Turlali się po śniegu i zaśmiewali do rozpuku. Nie wiadomo było, czy w ogóle usłyszą strzał, dający sygnał do biegu. Niedźwiedź tymczasem zawołał gromkim głosem:

- Nikt nie pobije mnie i mojej kruszyny! - Objął łapą jak bochen kibić Clary i uśmiechnął się do niej. - Lubię być z tobą związany!

- I mnie się to podoba - odpowiedziała mu, nieco roztargniona, gdyż właśnie spostrzegła w tłumie widzów złowieszczo zacięte oblicze Jake'a Horvatha. Kilka dni wcześniej, idąc ze świeżo wypieczonym chlebem do namiotu pani Eddington, podsłuchiwała go, gdy perorował w grupce mężczyzn. Przechwalał się głośno, że załatwi Niedźwiedzia, nawet gdyby miało go to kosztować życie. Kiedy ją ujrzał, podszedł bliźutko i napluł jej pod nogi, omal nie trafiając w rąbek spódnicy. Zaskoczona Clara otworzyła szeroko oczy, pojmując, że groźby dotyczą i jej.

Człowiek, dający sygnał do rozpoczęcia zawodów, podniósł pistolet.

- Do biegu gotowi... start!

Rozległ się strzał i dwa tuziny par skoczyło do przodu, kuśtykając pociesznie na związanych nogach. Podtrzymywali opadające jutowe worki, które dodatkowo krępowały ruchy, zagrzewani do boju okrzykami kibiców po obu stronach trasy. Clara nie mogła oderwać myśli od Horvatha i nie zwracała uwagi na to, co dzieje się wokół. Już po pięciu krokach poślizgnęła się na lodzie i upadła, pociągając za sobą Niedźwiedzia. Roześmiani wylądowali na ubitym śniegu. Clara nie kwapiła się wstać. Położyła dłoń na szerokiej piersi partnera i spojrzała prosto w oczy w obwódkach mazi z popiołu i tłuszczu.

- Niedźwiedziu Barretcie! Kiedy mnie wreszcie pocałujesz? - Wiedziała, że może mówić pełnym głosem, bo wśród wiwatów i aplauzu gapiów mógł ją usłyszeć tylko on.

Zagapił się na jej usta, nie odrywając ręki nadal opasującej jej kibić. Wreszcie odezwał się głosem pogrubiłym z przejęcia:

- Och, niewątpliwie chwila ta niebawem nadejdzie. Potrzeba nam do tego nieco intymniejszych warunków, ale zdołałem już coś wymyślić!

Ach, więc zwlekał, szukając odosobnienia? Clara przewróciła oczami z rozpaczą. Ci mężczyźni potrafiały doprowadzić kobietę do szału! Długie noce dawały znakomitą okazję do intymności, jeśli tylko potrafiło się ją wykorzystać! Tom z Zoe i Juliette w towarzystwie Bena co wieczór znikali w ciemnościach wokół obozu, by wymienić kilka ukradkowych całusów. Clara też chciała tego zakosztować! Niedźwiedź zdawał się czytać jej myśli.

- Nie, szanowna pani! - Leżał tak blisko, że jego ciepły oddech owiewał jej policzki. - Nie mam zamiaru bawić się w pocałunki kradzione za namiotem pod osłoną zmroku. Pierwszy pocałunek powinien być wyjątkowy, żeby można go było zapamiętać na całe życie. Oboje musimy odpowiednio się prezentować i pięknie pachnieć. Chciałbym, żebyś na tę okazję wystroiła się w suknię, w której pokonałaś mnie w zapasach na statku. - Wyszczrzył zęby w nieco złośliwym uśmiechu. - Kiedy cię wezmę w ramiona, chcę poczuć w nich kobietę, a nie tłumoczek ciepłego przyodziewku.

Popatrzyli sobie w oczy, nic nie robiąc sobie z tego, że przedstawiają dość nieprzyzwoity widok, turlając się po ziemi w

jutowym worku. Podobne do nich pary przegranych zalegały całą trasę wyścigu, zaśmiewając się do utraty tchu. Dopiero zwycięski okrzyk Juliette i Bena przywrócił Clarze przytomność. Usiadła i rozwiązała worek, po czym pochyliła się, by rozplatać konopny sznur, którym jej prawa noga przymocowana była do kostki lewej Niedźwiedzia.

- Ciekawa jestem, jakie właściwie masz plany i kiedy nastąpi ich realizacja!

Olbrzym zamrugał.

- Czyżbym nic ci nie mówił?

Tego było już za wiele! Zdzieliła go po karku, aż się przewrócił z powrotem w śnieg.

- Nie!

Leżał na wznak i szczyrzył zęby do nieba.

- Tyle o tym rozmyślałem, że wydawało mi się, że o wszystkim ci mówiłem!

- Skoro tak, to przynajmniej powiedz mi teraz, a ja się przekonam, czy twoje plany przypadną mi do gustu!

Usiadł.

- Nie wiem, czy ci wspominałem, że mam własną chatę nad Jeziorem Bennetta? Zamierzam zaprosić cię na rewanż w zapasach, kiedy tam dotrzemy.

- Mam się tam pojawić wystrojona i pachnąca? - Wyciągnęła nogi z worka.

- Tej części imprezy nie mogę się doczekać. Kiedy nadejdiesz, zmierzymy się na ręce. Ja wygram. Potem zjemy uroczystą kolację.

- Ty wygrasz? - Przymrużyła oczy.

- Wiem, skąd wziąć kurczaka. Będzie mnie to kosztować siedemdziesiąt pięć dolarów, ale do diabła z kosztami! Zapłacę komuś za kucharzenie, żebyśmy nie musieli się tym zajmować. Kolacja będzie więc na nas czekała.

- Przecież ja doskonale potrafię upiec kurczaka!

- Kiedy ty zaprosisz mnie, będziesz sobie mogła kucharzyć - rzekł twardo i machnął nogami, zrzucając z nich worek. - Kiedy ja zapraszam, to do mnie należy organizacja wieczoru. Nawiasem mówiąc, jeśli jeszcze cię nie skusiłem dostatecznie, to dowiedz się, że do picia będzie wyśmienite niemieckie jasne piwo.

Zaśmiała się.

- Cóż, ta ostatnia nowina powinna przeważać szalę, bo przyznam, że aż do tej chwili się wahałam. Jedźmy dalej: wszystko organizujesz do najmniejszych szczegółów, co więc nas czeka po kolacji? - Nie mogła przestać myśleć o zakończeniu biesiady, na którą dostała zaproszenie Juliette.

- Usiądziemy przy kominku, gadając sobie o wszystkim i o niczym, potem zaś, zanim cię odprowadzę do twojego namiotu, wezmę cię w ramiona i...

Clara wstrzymała oddech, zapatrzona w miodowobrazowe niedźwiedzie oczy.

- ...przycisnę cię do piersi tak mocno, że nie będziesz mogła oddychać.

Już teraz trudno jej było złapać oddech!

- Wyznam ci, że jesteś najśliczniejszym małym stworzonkiem, jakie spotkałem... - ciągnął.

- Małym! - Osunęła się na wznak w śnieg i uśmiechnęła do błękitnego nieba.

- Potem będę cię całował, aż ugną się pod tobą kolana.

- Och, Boże, ta część planu bardzo mi się podoba!

Podobała jej się do tego stopnia, że później odszukała Toma ze stanowczym pytaniem, kiedy zamierza ruszyć do Jeziora Bennetta.

Ten uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Jak właśnie wyjaśniałem Niedźwiedziowi, odjeżdżamy jutro rano. Będziemy poruszać się w takim tempie jak najsłabszy w grupie. I nie, nie wolno wam wysuwać się do przodu na własną rękę. Jestem odpowiedzialny za całą ekipę, a to znaczy, że również za was, i nie pozwalam wam się odłączać.

Westchnęła z rozczarowaniem i poszła na poszukiwanie Juliette, która była zajęta pakowaniem do jutrzejszej podróży.

- Jak się czujesz? - spytała Clara, siadając na swoim łóżku. Ogarnęła uważnym spojrzeniem policzki towarzyszki, jeszcze zaróżowione od biegu i podniecenia spowodowanego wygraną w wyścigu w workach.

- Świetnie. Czemu pytasz?

- Bo bardzo zależałoby mi na tym, żebyś jutro nie wlokła się w żółwym tempie.

- Ja się nigdy nie wlokę! Biegnę najszybciej, jak mogę.

- To spróbuj biec jeszcze szybciej. Trochę mi spieszno do Jeziora Bennetta.

- Czemuż to? - Zaciekawiona Juliette porzuciła bieliznę, którą układała w schludny tobołek, i unosząc brwi odwróciła

się do towarzyszki. - Co takiego czeka cię nad Jeziorem Bennetta?

- Nie twoja sprawa! - rzuciła zwięźle Clara, lecz w jej głosie zadźwięczał uśmiech.

- Claro Klaus! - Juliette zagapiła się na nią i nagle wybuchnęła śmiechem. - Następne pytanie powinno chyba brzmieć: „Co zamierzasz włożyć?”

- Tyle mogę ci chyba zdradzić: zostałam zaproszona na kolację w stroju, jaki miałam na sobie w czasie zawodów na statku.

- Wybór wydaje mi się bez zarzutu! - Juliette usiadła tuż przy niej. - Claro, czy jesteś pewna? Naprawdę pewna? - spytała zniżonym głosem. - Od czasu, gdy ja i Ben... no wiesz... jestem nieszczęśliwa jak nigdy przedtem.

- Ale również szczęśliwa jak nigdy przedtem, prawda? Juliette odrzuciła głowę do tyłu.

- Wiesz co? Czasami zastanawiam się, czy nasza trójka nie wpływa źle na siebie nawzajem! Może w jakiś sposób dajemy jedna drugiej niewyrażone w słowach przyzwolenie na postęпки, o jakich w innych warunkach nawet by nam się nie śniło.

- Ja marzyłabym, żeby być z Niedźwiedziem, niezależnie od towarzystwa twojego i Zoe - wyjaśniła Clara, wspominając, jak tęskniła do dotyku tego mężczyzny od chwili, gdy wpadła na niego na ulicy.

- Tak jak ja z Benem, ale nie wiem, czy zdobyłabym się na odwagę, by do niego pójść, gdyby nie wy.

Clara ujęła jej dłoń.

- Myślę, że tak. Nie jesteś tą samą osobą, jaką byłaś, gdy cię poznałam. Żadna z nas nie jest już taka sama. Ta podróż zmieniła nas w sposób, jakiego nie mogłyśmy przewidzieć.

- Może masz rację. Ale pozwól, Claro, że powiem jeszcze jedno: wiesz, że twoja miłość do Niedźwiedzia nie skończy się szczęśliwie. - Szare oczy Juliette wypełniły się współczuciem.

- Nie powiedziałam, że go kocham.

- Nie musisz...

Juliette miała rację; po tych wszystkich tygodniach, które spędziły stłoczone w ciasnym namiocie, poznały się na wylot i każda umiała odczytać nastroje towarzyszek z przelotnego wyrazu twarzy, skrzywienia czy uśmiechu. Clara wiedziała o uczuciach Zoe i Juliette, jeszcze zanim same zdały sobie z nich sprawę. Teraz one nieomylnie czytały z jej oczu.

Nazajutrz, uważnie ławirując saniami między lodowymi nawisami Wodogrzmotów Lindermana, zadała sobie pytanie: czy rzeczywiście kocha Niedźwiedzia Barretta? Przecież już raz tak straszliwie się pomyliła!

Odpowiedź nadeszła z głębi serca bez wahania: kochała go! Kochała jego masywne bary i pobrużdżoną, lecz pełną surowego piękna twarz. Na dźwięk gromkiego głosu uśmiech sam pojawiał się na jej twarzy. Niedźwiedź uśmiełby się zapewne, gdyby mu wyznała, że uważa go za szlachetnego, choć należał do kategorii mężczyzn obdarzonych instynktowną łagodnością, opiekuńczych wobec kobiet i wszystkich słabszych od siebie istot. Podziwiała zaradność, dzięki której o własnych siłach dochrapał się pokaźnego majątku, i doceniała prostotę, z jaką

gotów był rozmawiać z nią o interesach i wysłuchiwać jej rad. No i rzecz najważniejsza: nie widział w niej okazji ani ofiary, którą należało wykorzystać, nic od niej nie chciał z wyjątkiem przymiotów jej umysłu i ciała. I jedno, i drugie była gotowa ofiarować mu bez zastrzeżeń.

Postanowiła, że kiedy już zasiądą przed obiecany kominkiem, muszą odbyć małą rozmówkę o przyzwoitości...

Nad Jeziorem Bennetta leżał największy obóz na trasie od Dyea. Tutaj łączyły się szlaki przez przełęcz Chilkoat i Skagway, wylewając fale podróżników na kręty brzeg jeziora. Nad skupiskiem ponad tysiąca namiotów wisiała błękitnawa chmura dymu z tyłuż ognisk.

Wielu z wędrownej cizby wyruszy jeszcze przed zimą do Dawson, ryzykując zawieje, odmrożenia, stada wygłodniałych drapieżników i zejście ze szlaku, niezawodnie kończące się śmiercią. Większość z tych, którzy dotarli właśnie do obozu, zostanie do wiosny nad skutym lodem jeziorem, wykorzystując zimowe miesiące na budowę łodzi czy tratw. A kiedy lody stopnieją wielu utonie w wezbranych nurtach Jukonu. Ta historia powtarzała się co roku i nikt nie przejmował się tym zbytnio.

- Miałymy sporo szczęścia, że dotarliśmy aż tutaj, nie tracąc nikogo z grupy - powiedziała Clara. Ale też nikt nie uniknął powierzchownych potłuczeń czy otarć, siniaków czy bólu wykręconej kostki. Lecz żadne z uszkodzeń nie należało, dzięki Bogu, do poważnych.

- Stój spokojnie! - skarciła ją Juliette, belkocząc przez usta pełne szpilek. Kończyła właśnie upinać na niej suknię, w talii i na ramionach, bo okazało się, że trzeba ją zwięzić. Clara, jak wszyscy, straciła na wadze w czasie mozolnej wędrówki.

Kłapa namiotu uniosła się i do wnętrza wpadła Zoe, wnosząc ze sobą kłęb śnieżnej zawieruchy.

- Mam! - krzyknęła triumfalnie, zdejmując szalik, mitenki, płaszcz i dwa swetry. Słupek rtęci w termometrach opadł do kreski oznaczającej dwadzieścia stopni poniżej zera i tam utknął. - Co prawda obawiam się, że ofiarą padnie twoja przyjaźń z panią Eddington. Jakoś zniosła, że kupiłaś pesarium, ale kiedy przyszedłam po drugie, widziałam w jej oczach ogromne zgorszenie. Pewnie nie może sobie wyobrazić, po co ci aż dwa!

- Czemu jej nie powiedziałaś, że to dla ciebie?

- Dla mnie? - Zoe przycisnęła rękę do piersi i zatrzepotała rzęsami. - Ja jestem kobietą zamężną, więc może mam już ten użyteczny przyrząd?

Clara przewróciła oczami.

- O tym, że jesteś mężatką, nie wie nikt prócz nas. Wszyscy natomiast wiedzą, że migdalicie się z Tomem na całego. Wystarczy na was popatrzeć! Więc przestań z łaski swojej pleść androny o swoim małżeńskim stanie!

Juliette przesunęła się o krok, by zebrać talię sukni z drugiej strony.

- Jak to się dzieje, że pani Eddington ma niewyczerpane zapasy tych... przyrządów? To wprost nieprzyzwoite!

- To przedsiębiorcza kobieta. Wykombinowała sobie, że jeśli przywiezie zapas pesariów, mogą się przydać do „obsługi” romansów, które się nawiążą na szlaku. Już zgarnęła niezły grosz na sprzedaży!

Zoe i Juliette utkwily w niej zafascynowane spojrzenie, a Zoe spytała:

- Czy zdradziła ci tożsamość pozostałych klientek?

- Pani Eddington gwarantuje dyskrecję. Daj obejrzeć to pesarium, dobrze? No, tak! Właśnie tego się spodziewałam... różowa wstażka! - Zaczęła odplatywać supełek.

- Co robisz? - Juliette chwyciła jej dłoń. - Przecież wstażka jest potrzebna! - W jej oczach pojawiła się zgroza na samą myśl, że okazuje doświadczenie w tych sprawach.

- Owszem, ale nie ten kolor. Jeśli już musi mi coś zwisać z... no, wiesz, czego... to przynajmniej nie różowe! Chcę błękitu, jak wstęga zwyczajcy, żeby podkreślić, że to najlepszy towar.

Zagapiły się na nią, opadły na posłanie i jednocześnie wybuchnęły szalonym śmiechem. Z trudem odzyskały oddech. Siedziały w ciszy, ocierając łzy radości. Nagle Clara zdała sobie sprawę, że będzie jej brakować tych kobiet, gdy skończy się ich wspólna wyprawa. I to dotkliwie!

Niedźwiedź przyszedł nazajutrz o zmierzchu. Spod nasuniętego głęboko na czoło kapelusza ledwie widać było błyszczące oczy, a usta i nos chroniła gruba warstwa szala. On również niewiele mógł dostrzec w jej okutanej szalem twarzy, a kobiece kształty zginęły w tobołku ciepłych okryć. Olbrzym

zadbał o transport - zaprzężone w parę psów małe sanie, na których wymościł leże jak w lektyce. Usadawił na nim Clarę i krzyknął w stronę opuszczonej kłapy namiotu, że odstawi ją do domu przed świtem, po czym skierował sanie przez zatłoczony obóz i wzdłuż brzegu jeziora, drogą wiodącą łagodnie pod górę zbocza. Za zakrętem Clara ujrzała jego chatę w całej krasie, oświetloną blaskiem księżyca. Kontury ścian odcinały się widmowym cieniem od świerkowego lasu. Konstrukcja sprawiała wrażenie, że unosi się w powietrzu, gdyż zrąb osadzono na potężnych palach o dobre trzydzieści centymetrów nad zmrożoną ziemią. Okna jarzyły się światłem, a z komina ulatywały w gwieździste niebo pokrzepiające kłęby dymu. Zapobiegliwy gospodarz starannie odsłoniął drózkę prowadzącą do drzwi. Pomógł wsiąść Clarze i poradził:

- Wejdz już do środka i się ogrzej, a ja wyprzęgnę psy, dam im jeść i zaraz do ciebie przyjdę.

Z drzwi wchodziło się wprost do obszernego salonu pod belkowanym sufitem. Centralną pozycję zajmował wielki stół bilardowy, a wokół niego czekały wygodne skórzane fotele. Na ścianach wisiały poroża karibu i łosi, dwa potężne łby niedźwiedzi grizzly, kilka wilczych i rozdziawiona w grymasie wściekłości paszcza rysia. Jakby po namyśle między myśliwskimi trofeami zawieszono dwie czy trzy fotografie nad niskimi stolikami przysuniętymi do ścian. Na jednej Niedźwiedź stał przed szynkiem Pod Gołym Misiem w towarzystwie kilku kompanów. Z prawej strony widać było zaspę, sięgającą roslym mężczyznom wyżej ramion. Inne zdjęcie ukazywało go ze strzelbą w rękę i stopą opartą na truchle niedźwiedzia -

najpewniej tego samego, którego zagasłe oczka patrzyły z sękatą ścianą.

Kuchnia w chacie była więcej niż skromna. Clara wsunęła głowę do środka i ujrzała najbardziej niezbędne naczynia i sztuce, ale tak ciasnej klitki kuchennej nie zaprojektowałaby żadna kobieta. Z kolei sypialnia była całkiem obszerna. Pobieżne oględziny z progu pomieszczenia ujawniły obecność przyborów do golenia na toalecie i butów, ustawionych w starannym rzędku pod hakami obwieszonymi męską odzieżą. Spodobał jej się porządek panujący w pokoju, bo zawsze ceniła schludnych mężczyzn, a pogardzała typowo męskim upodobaniem do bałaganu. Rozpromieniona, wróciła do wieszaka na płaszcze w przedsionku w chwili, gdy powrócił ośnieżony Niedźwiedź.

- Pozwól... - Wyplątał się z okryć i odebrał od niej rękawiczki, szal i kapelusz. Pomógł jej zdjąć płaszczy i ciężkie śniegowce. Ściągał z niej kolejne warstwy odzieży, aż doszedł do czarnej wieczorowej narzutki - własności Juliette. Spojrzał prosto w oczy Clary i nabrał w płuca powietrza, zanim zapytał: - Czy mam zabrać narzutkę?

Uniosła ramiona, by doprowadzić do porządku płomienne pukle, które opadły nieco pod ciężarem kapelusza. W przedsionku nie było niestety lustro, nie mogła więc ocenić, czy nie potargała kunsztownej koafiury, chociaż nie przypuszczała, by Niedźwiedziowi miało to szczególnie przeszkadzać. I tak patrzył na nią olśniony! Odwróciła się, ruchem ramion wskazując, by zdjął narzutkę, po czym powoli zwróciła się ponownie twarzą do niego.

- Och, mój Boże... - wyszeptał i wybałuszył oczy pod wrażeniem zuchwałego dekoltu. - Więc to nie był sen! - Stał nieruchomo jak skała, wpatrzony w śnieżną biel piersi, a topniejący śnieg kapał mu z płaszcza na podłogę, tworząc niewielką kałużę u jego stóp. - Nigdy nie widziałem czegoś podobnego, moja słodka pszczołko! - W chrapliwym głosie zabrzmiał nieskrywany podziw. - Na twój widok serce mi podchodzi aż do gardła!

Mimo ochronnej maski z popiołu i tłuszczu, którą nosiła na szlaku, skóra policzków Clary poczerwieniała i spierzchła. Od kilku dni próbowała przywrócić jej świetność za pomocą maseczki ze słoniny, ale policzki wciąż miała ogorzałe, więc olbrzym nie mógł zauważyć rumieńca zadowolenia.

- I pachniesz tak, jak powinna pachnieć piękna kobieta.

Skropiła się niemiecką wodą kolońską. Wycięcie dekoltu sięgało głęboko, nie pozostawiając niemal pola dla domysłów, w uszach kołysały się brylantowe kolczyki Juliette, na nadgarstku wisiała wizytowa torebka Zoe, a z innego, niewidocznego, miejsca wyglądała błękitna wstęga - symbol, jakim dekorowano najlepsze.

- Pozwól, że ci pomogę zdjąć przemoczoną odzież. - Sięgnęła do jego szalika, a Niedźwiedź uśmiechnął się i rzeczywiście pozwolił jej powiesić na haku swój płaszcz. Usiadł na ławce pod ścianą i zzuł śniegowce, zamieniając je na parę eleganckich półbutów. Kiedy wstał, ujrzała, że na dzisiejszy wieczór wybrał garnitur z ciemnej wełny i dopasowaną odcieniem kamizelkę. Starannie przystrzygł bujną złocistą czuprynę, a nawet próbował przyczesać niesforne kędziory.

Pachniał przednim rumem, cygarami i mrozem i przedstawiał sobą wspaniały widok, gdy stał przed nią w całej krasie surowej męskiej urody. Nie mogła i nie chciała oderwać od niego oczu. W końcu uświadomiła sobie, że przeciąg ze szczeliny po drzwiach owiewa jej łydki.

- Cóż, może udamy się...

- Ależ gdzie ja podziałem dobre maniery! - Złapał się za głowę. - Wejdz, wejdzże... witaj w moim królestwie nad Jeziorem Bennetta! Niewielki to pałac i pewnie niezbyt przypadnie ci do gustu jego urządzenie, bo budowałem go z myślą wyłącznie o sobie. Jesteś pierwszą kobietą, która przekroczyła ten próg. - Uśmiechnął się.

- Czuję się zaszczycona. - Podeszła do stołu bilardowego i pogładziła zielony filc. - Jak udało ci się wydźwignąć to na przełęcz?

- Okreźnym szlakiem przez płaskowyż. Mój Boże, jesteś wprost zachwycająca! Kiedy na ciebie spoglądam, przychodzą mi na myśl świeżo zerwane brzoskwinie i aromatyczny miód. Mógłbym cię zjeść!

Zarumieniła się i podeszła do kominka, zadzierając głowę, by lepiej przyjrzeć się zwierzęcym łbom.

- Za każdym trofeum kryje się pewnie podniecająca opowieść?

Podążył za nią i stanął tak blisko, że czuła gorąco bijące od masywnego ciała.

- Te opowieści nie nadają się dla delikatnych uszu damy.

- Ja... - zdecydowanie będą musieli porozmawiać o kwestiach stosowności i niestosowności!

- Jesteś gotowa na rewanż?

Odwróciła się i spojrzała w miodowobrazowe niedźwiedzie oczka.

- Ustępuję dobrowolnie pola. Nie musimy ponownie próbować się na ręce. Zwycięstwo jest twoje! Wolę napić się obiecanego piwa i pogawędzić.

W jego oczach pojawiła się panika.

- Zmieniasz plany!

Jakże on zachwycająco się prezentował! Prawdziwy złocisty olbrzym. Przyjrzała mu się z bezwstydną uwagą i przyznała, że nie pojmuje, czemu nie rzucają mu się na szyję wszystkie kobiety na szlaku. Ją osobiście szczególnie ujmowała siateczka blizn na pobrużdżonym obliczu. Nadawały mu wyraz godności i charakteru. Miała mocne postanowienie, że nim wieczór dobiegnie końca, pozna historię każdej z nich.

- Nie zmieniam planów, tylko proponuję, żeby nie zawracać sobie głowy zapasami. Poza tym wszystko pozostanie po dawnemu i po kolacji usiądziemy przed kominkiem, żeby porozmawiać. Tak, jak zamierzałeś.

Nagle pojęła, że staranny plan miał na celu ulżyć napięciu gospodarza, niepewnego, czy potrafi stosownie zabawiać damę. Uśmiechnęła się, rozczulona, że ten olbrzym denerwuje się takimi drobiazgami, uniosła się na palce i śmiało musnęła wargami gładko ogolony policzek. Niedźwiedź błyskawicznie zeszywniał, patrząc na nią spod przymrużonych powiek.

- Przynieś to obiecane piwo, ja zaczekam przy kominku. Pomacał się po brodzie, nie odrywając wzroku od kremowo-brzoskwiniowych wzgórków piersi, kipiących znad rąbka stanika, potem skinął głową i pospieszył do kuchni. Clara rozważyła odległość, w jakiej ustawione były fotele przed kominkiem, i przysunęła je odrobinę bliżej siebie. Korzystając z tradycyjnego przywileju swej płci, podsunęła do nich jeden ze stolików i odstąpiła, by ocenić rezultat. Tak było o wiele lepiej, przytulniej i intymniej.

Niedźwiedź zauważył przemeblowanie, gdy tylko wrócił do salonu. Ogarnął bystrym wzrokiem fotele, lecz nic nie mówiąc postawił na stoliku butelki z piwem i naczynia.

- Pomyślałem, że dzisiaj pewnie zechcesz pić ze szklanki. - Zerknął na nią z ukosa i zaczął ponownie odsuwać od siebie fotele.

- Czemu to robisz?

- Cukiereczku mój, już i tak ledwie utrzymuję ręce przy sobie! - Wyczytała skruchę w jego głosie. - Dzisiejszy wieczór ma być bez skazy. Przestałby taki być, gdyby pewien nieokrzesany dureń zapomniał się i zrobił w stosunku do ciebie coś, co mogłoby cię urazić.

Clara potrząsnęła lokami i wyprostowała plecy, patrząc na niego z gniewem, potem rozkazującym gestem wskazała mu fotel.

- Siadaj!

- Co, proszę?

- W tej chwili!

Wahał się przez chwilę, ale w końcu usiadł i sięgnął po piwo. Pociągnął długi łyk, wciąż nie spuszczać z niej oczu. Clara przycupnęła na brzeżku drugiego fotela i złożyła dłonie na kolanach. Tak dawno już nie miała na sobie gorsetu, że zdażyła zapomnieć, jaki jest niewygodny i jak bardzo ogranicza ruchy. Gdyby zechciała się oprzeć wygodnie, stalowe fiszbiny wbiłyby się boleśnie w kibić.

- To prawda, że jestem kobietą przyzwoitą - odezwała się po długim milczeniu.

- Och, niech to piekło pochłonie! Skoro znowu mi o tym przypominasz, widocznie zdażyłem już coś spsocić! Przepraszam... - Pochylił się żarliwie do przodu i trzymał dłonie między kolanami, niedbale kołysząc butelkę piwa między dwoma palcami prawej ręki.

- Niedźwiedziu... niczym mnie nie obraziłeś, ale rzeczywiście musimy o tym porozmawiać.

Jakby jej nie słyszał.

- Chciałem ci coś powiedzieć, jeszcze nie teraz, później, po przyjemnie spędzonym wieczorze. Ale chyba powinienem to powiedzieć już dawno temu. - Odrzucił głowę do tyłu, pociągnął jeszcze jeden łyk, odstawił piwo na stolik i spojrzał jej w oczy. - Moja matka była dziwką, Claro. Nie wiem nawet, kim był ojciec. Wyrosłem w chicagowskim burdelu.

- Och, Niedźwiedziu... - Oczy Clary zwilgotniały i wypełniły się współczuciem, ale olbrzym szybkim gestem powstrzymał ją od dalszych uwag. Nagle pojęła, czemu czasami jej obecność wprawia go w takie zmieszanie.

- Ogólnie biorąc, nie miałem złego dzieciństwa. Matka i jej przyjaciółki bardzo się mną przejmowały i pilnowały, żeby mi nie zabrakło ptasiego mleka. Ale kiedy większość dzieci z dobrych rodzin spała smacznie w łóżeczkach, ja włóczyłem się po ulicach i grałem w cymbergaja z rówieśnikami, takimi jak ja obwiesiami. Wcześniej nauczyłem się bić i radzić sobie sam w każdej sytuacji. Moja edukacja obejmuje mnóstwo spraw, o których nie wspominają szkolne podręczniki. Takiego dzieciństwa pozazdrościłoby mi pewnie wielu chłopców...

- Niedźwiedziu...

- Zaczekaj. - Podniósł ostrzegawczo dłoń. - Matka i jej koleżanki... to były wszystko dobre, łagodne, szczodre aż do przesady istoty. I na swój sposób uczciwe. - Spojrzał na nią zadziornie, jakby wyzywając, aby się sprzeciwiła, lecz zmilczała, więc ciągnął: - Ale już jako chłopiec zdawałem sobie sprawę, że większość ludzi nie żyje jak my i nie pochwała naszego życia. Wiedziałem, że kobiety tego pokroju co matka są potępiane w społeczeństwie, że często najplugawszymi obelgami obrzucają je ci sami mężczyźni, którzy wieczorem pukają do ich drzwi. Nie chcę powiedzieć, że się jej wstydzilem, bo tak nie było, ale pojmowałem, że wybrała niewłaściwą ścieżkę.

- Twoja matka...

- Była zaprzeczeniem tego wszystkiego, co ty reprezentujesz. Pociła się, przeklinała, piła jak dragon i nie szukała wykrętów dla swoich przyjemności. Nie miała wykwintnych gustów i nie dbała o dobre maniery, a za kulturalną rozrywkę miała, na przykład, farsę w podrzędnym teatrzyku na przedmieściu.

Clara powoli zaczynała rozumieć. Niedźwiedź uważał, że przyzwoita kobieta musi stanowić dokładne przeciwieństwo jego matki - we wszystkich szczegółach. Kobiety przyzwoite stawał zaś na wyniosłym piedestale.

- Kiedy spotykam kobietę z twojej sfery, Claro, uchylam kapelusza, kłaniam się grzecznie i idę dalej. Żadna dama nie zechciałaby utrzymywać znajomości z człowiekiem mojego pochodzenia i wychowania. I miałyby rację! Choćbym nie wiem jak zawzięcie starał się powstrzymać, potrafię się zapomnieć i przekląć głośno, podrapać w intymne miejsce albo zrobić niestosowną uwagę. Policz, ile razy cię obraziłem, a uwierz mi, że ze wszelkich sił usiłowałem zachować się godnie.

- Jeśli uważasz, że przyzwoita kobieta nie dostrzeże w tobie nic godnego szacunku, czemu zaprosiłeś mnie tutaj? - spytała spokojnie.

Olbrzym zmarszczył czoło.

- Nie wiedziałaś o mojej przeszłości.

- Kimkolwiek była twoja matka, gratuluje jej, że tak wspaniale wychowała syna. Jesteś ambitny i twardo dążysz do celu, ale nie tracisz przy tym uczciwości i szczodrości serca, a twoją radość życia należałoby stawiać innym za przykład. Ze swoją siłą i wzrostem mógłbyś stać się brutalnym osiłkiem, tyranem, ale nim nie jesteś. Wyrastając w takim otoczeniu, mogłeś skończyć jako nicpoń czy oszust.

- Jesteś inna niż większość kobiet - przerwał milczenie, które zaległo w saloniku, gdy zakończyła perorę. - Początkowo nie znalazłem cię z tej strony, schodziłem ci więc z drogi, chcąc nam obojgu oszczędzić nieuniknionego rozczarowania, ale jakoś

nie mogłem wciąż cię unikać i krążyłem wokół ciebie jak ćma wokół świecy, a ty posyłałaś mi niedwuznaczne, choć dyskretne sygnały, że nie masz nic przeciwko znajomości ze mną.

- Niedźwiedziu... ja wcale nie jestem inna.

- Ależ jesteś. Kto cię pozna, widzi od razu, że jesteś szacowną damą z dobrego domu. - Uśmiechnął się filuternie. - Aż tu wkręcasz się na turniej zapaśniczy i wygrywasz! Potem zaś kogóż widzę w samym środku bijatyki, jak nie ciebie, kładącą pokotem przeciwników? Masz niesamowitą umiejętność zachowywania się chwilami jak kobieta z krwi i kości.

Zaśmiała się swobodnie.

- Z krwi i kości? A z czego, u licha, jest według ciebie zrobiona przyzwoita kobieta?

Palnął prosto z mostu:

- Taka damulka prowadzi bezpieczne życie, chroniona od wszelkiego zła i znoju. Jest cnotliwa do przesady, ani na chwilę nie traci wdzięku małej kobietki i wykwintnego obejsia. Ma nieskalaną reputację i nie zadaje się z podejrzanymi typami. Nie przeklina, a jej zasady moralne wyrastają nad najwyższy szczyt w kraju. To osoba wyrefinowana, o wybrednym guście. To...

- Niedźwiedziu! Przyzwoite kobiety też przeklinają, poca się, pracują, kłócą i tracą opanowanie, jak wszyscy normalni ludzie. Jak twoja matka i jej koleżanki. Są wśród przyzwoitych kobiet dobre i uczciwe oraz wredne zołzy, szczodre i skąpiradła... Niektóre przyzwoite kobiety parają się interesami i popijają prosto z butelki, nie umieją odróżnić sztuczka do ryby

od widelca do mięsa i nie kręca nosem na znajomość z takim uczciwym, pracowitym mężczyzną jak ty.

- Claro...

- Pozwól, że skończę. Przyzwoite kobiety przestrzegają kodeksu postępowania, który je nierzadko krępuje, ogranicza i zmusza do sztuczności. Wiele jego zasad zasługuje na uznanie, gdyż służą dobru samej kobiety i społeczeństwa. Ale niektóre to czysta głupota. Czemu, na przykład, miałabym dawać powód do skandalu, decydując się na samotną podróż? Czemu musimy wszywać ciężarki w obrąbek spódnicy, żeby się nie zadarła i nie odsłoniła kostki? Kostki! Dlaczego kobieta mocująca się na ręce miałaby budzić zgorszenie? Albo czemu nie miałaby prowadzić własnej firmy? Dlaczego małżeństwo z bubkiem, który może okazać się kłamcą złodziejem i kobieciarzem, miałyby być bardziej stosowne od związku z mężczyzną który wyrastał w burdelu?

Wpatrywał się w nią jak skamieniały, dosłownie spijając słowa z jej ust.

- Nie różnię się od reszty przyzwoitych kobiet w tym co najważniejsze. Może ci się wydaje inaczej, bo nie znałeś wielu kobiet tego pokroju. Ale wierz mi, jesteśmy ludźmi jak inni, myślimy i czujemy, można nas zadziwić, oczarować albo zranić... - Pochyliła się ku niemu i spojrzała mu głęboko w oczy. - Niedźwiedziu, jeszcze jedno musisz wiedzieć: przyzwoite kobiety mają takie same potrzeby jak te, wśród których wyrosłeś.

Wciągnął świszczący oddech, a pusta butelka po piwie wyslizgnęła się ze zmartwiałych palców olbrzyma. Jego wzrok,

jak przyciągany magnesem, opadł na wznórki jej piersi zerkające z wycięcia sukni. Niedźwiedź przełknął ślinę i skoczył na równe nogi.

- Przyniosę jeszcze piwa.

Westchnęła smętnie, patrząc, jak znika w kuchni. Może udało jej się przemówić mu do rozsądku, może choć trochę jej uwierzył, ale nie łudziła się. Mur wyobrażeń, który wznosił w dzieciństwie, wciąż stał mocno. Nie miała wyjścia - będzie musiała wziąć sprawę we własne ręce.

Wstała i zaczęła się rozbierać...

SCANDALOUS

Niedźwiedź wyłonił się z kuchni, trzymając dwie nowe butelki piwa.

- Myślę, że rozumiem, co chcesz mi powiedzieć, ale... - To, co zobaczył, sprawiło, że stanął jak wryty i przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu. Butelki wymknęły mu się z rąk i roztrzaskały na podłodze, rozpryskując dokoła fontannę piany i złocistego płynu. - O mój Boże!

Oświetlona płomieniami Clara nie miała na sobie nic poza pończochami, białymi flanelowymi niewymownymi i gorsetem obszytym koronką, który wspierał obfite półkule piersi. Żaden mężczyzna nie miałby też kłopotu z odczytaniem zmysłowego przesłania jej twarzy. Niedźwiedź zrobił chwiejny krok i zatrzymał się, czując, jak uginają się pod nim kolana. Powtórzył zduszonym głosem:

- Och, mój Boże! - I nie spuszczać z niej oczu, powolnym ruchem ściągnął marynarkę, spod której wyłonił się śnieżnobiały gors koszuli, opięty na muskularnym torsie.

- Chyba nie słuchałeś zbyt uważnie, co ci tłumaczyłam, Niedźwiedziu Barretcie. Nie pozostało mi nic innego, jak ci naocznie udowodnić, że przyzwoita kobieta jest również stworzona z krwi i kości.

Jego oczy ześlizgły się w dół, ku udom Clary, po czym obiegy łuk bioder, powędrowały wyżej i zatrzymały się na piersiach. Odchrząknął głucho.

- Ptaszyno... udowodnij mi więc!
- Przygotuj się, bo idę do ciebie!

Myślał, że obdarzy ją całusem, który zapamięta po kres swoich dni? Nie, to ona podaruje mu taką noc, jakiej nie zdoła zapomnieć, choćby żył trzy razy! Skoro spadać, to z wysokiego konia - powtarzała sobie. Decydując się na zbeczeszczenie małżeńskiej przysięgi danej tamtemu obwiesiowi, musiała odrzucić wszelkie wyrzuty sumienia i radować się rozkoszą, jakiej zazna z Niedźwiedziem. Zaczepnęła głęboko powietrza; piersi uniosły jej się dumnie. Skupiła wzrok na jego ustach i żwawym krokiem ruszyła przez pokój. W ostatniej chwili zebrała się w sobie, podskoczyła i owinęła się mu nogami wokół bioder, a ramiona zarzuciła na masywny kark. Zachwiał się i zatoczył na stolik pod ścianą, który z głośnym hukiem roztrzaskał się w drobne szczapy. Ratując się przed upadkiem, wyrzucił o ścianę, aż z haczyka zleciała fotografia. Clara jak przez mgłę słyszała brzęk tłuczonego szkła. Wielkie łapy Niedźwiedzia otoczyły jej pośladki. Nawet przez flanelę czuła ciepło jego palców. Okrecił ją i przycisnął do ściany, a jej warg dopadły zachłanne i zaborcze usta. Całował ją, jakby nie mieli nadziei na nadejście jutra. Clara wczepiła palce w złote kędziory i oddawała pocałunki z żarliwością grzesznika spragnionego zbawienia. Ku swej radości, poczuła przyływ żądz, a sygnały, które wysyłało jego ciało, świadczyły o tym, że siła pragnienia Niedźwiedzia nie jest mniejsza. Twardniejący organ napierał na tkaninę majtek. Była bliska omdlenia. Chwyciła go mocniej i całowała zapamiętale, wdzierając się językiem w głąb jego ust, szarpiąc go za włosy, gładząc po policzku - jakby nie mogła się nim nasycić.

- Boże drogi, kobieto! - Niedźwiedź wybałuszył oczy i z trudem łapał oddech. Rozejrzał się dziko i jego wzrok padł na stół bilardowy. Posadził ją na krawędzi i zamasztył mchem dłoni zmiotł kule z zielonego filcu, aż ze stukotem pospadały na podłogę. Nie spuszczać z niej wzroku, gorączkowo zdierał z siebie resztki przyodziewku. Kamizelka pofrunęła w kierunku kuchni. Rozległ się trzask i rękaw koszuli pękł na dwoje, potem kłębek zszarganego płótna poleciał śladem kamizelki. Serce podeszło Clarze do gardła, gdy ujrzała złocisty meszek na szerokim torsie. Tak, ponad wszelką wątpliwość miała do czynienia z wikingiem! Olbrzym o złocistej skórze, pysznie rzeźbionych mięśniach i ścięgnach mocnych jak powrosła. Nie było w nim ani cala miękkości... z wyjątkiem serca.

Zanim wspiął się obok niej na stół bilardowy, zdążyła zauważyć złote włoski na łydkach i udach i gęstwinę miodowych kędziorów, z której wyrastał strzelisty członek. Otworzyła szeroko oczy.

- Och, jakież to wspaniałe! Ojej, ojej! - powtarzała, wachlując dłonią rozplomienione policzki.

W następnej sekundzie Niedźwiedź był już na stole i przyciągnął ją do siebie. Najpierw oszołomił ją pocałunkiem, który zdawał się sięgać głębi jej istoty, aż zwiotczała w jego ramionach, niezdolna do najmniejszego ruchu czy tchnienia. Skupiła się cała na odczuwaniu: łomotu serca o żebra, ognia w dole brzucha, ucisku torsu na swoim ciele i prężnej nogi na swoim udzie... i twardości wciskającej się w jej miękkie ciało. Owinęła go ramionami i przycisnęła mocno, a on pokrywał bezładnymi pocałunkami twarz, szyję i piersi Clary. Przetoczyła

się i zakryła go swoim ciałem. Teraz na nią przyszła kolej, by go obsypać tysiącem pocałunków, trafiających w rozchylone wargi, niesforne włosy, bliznę przecinającą brew, szyję i pulsujące zagłębienie pod obojczykiem. Czula w ustach smak jego skóry: sól i mydło; niezwykła mieszanka spotęgowała jej pragnienie do szaleństwa.

Kiedy nie mógł powstrzymać jęku rozkoszy, który wydarła mu pieszczotami, chwycił ją by zająć miejsce na górze. Spleceni mocno, potoczyli się po stole i spadli na podłogę z hukiem, od którego chata zadrżała w posadach. Po pierwszym uderzeniu rozległa się seria kolejnych, nieco cichszych.

- Nic ci się nie stało? - spytał, spoglądając na nią z niepokojem.

- Wylądowałam na tobie. Ale czy ty...? - Jutro zapewne ujrzy na ciele kilka siniaków, ale w tej chwili nie obeszło jej to w najmniejszym stopniu.

Niedźwiedź wyszczerzył zęby.

- Ściągnij tylko majtki, a pokażę ci, w jakiej jestem formie!

- Co to były za huki?

Podniósł głowę nad jej ramię.

- Grizzly, dwa łosie i ryś... zleciały ze ściany.

- Ach, więc zaliczyliśmy połamany stolik, rozbita fotografie, piwo i kule bilardowe na podłodze, a teraz zwierzęce łby zlatują ze ściany. Czy nie powinniśmy...

- Nie zawracaj sobie głowy, kruszyno. Mamy co innego do roboty. - Opadł na nią i zaczął całować tak żarliwie, że

niebawem oboje z trudem łapali oddech. Lśnili od potu i zapomnieli o całym świecie.

Clara czuła, że jeśli zaraz nie wyskoczy z majtek i nie dopadnie tego mężczyzny, oszaleje... Dygotała na całym ciele tak konwulsyjnie, że zdawało jej się, iż rozpadnie się na kawałeczki. Wtedy dopiero Niedźwiedź zgarnął ją w ramiona i zaniósł do sypialni. Położył ją na łóżku, serdelkowatymi palcami rozsypując koronkową sznurówkę. Ciągnął i szarpał, aż rozluźnił więzy gorsetu na tyle, że mogła się wyswobodzić.

- Maleństwo moje... - rzekł głosem ochryplym z napięcia. - Żebyś ty wiedziała, ile razy wyobrażałem sobie tę chwilę!

Usiadł przy niej i ogarnął ją spojrzeniem tak zgłodniałym, jakby miał przed sobą krwisty befsztyk. Opuszkami palców obwiodł piersi u samej podstawy, po czym stwardniałymi kciukami zaczął drażnić pączki sterczących sutków. Ujął obie piersi i pochylił się nad nimi, całując, liżąc i pieszcząc językiem, aż w gardle Clary rozległ się bulgoczący dźwięk rozkoszy. Opadła na łóżko i wygięła się w łuk.

- Majtki... pomóż mi je zdjąć!

Zdarł je i cisnął przez ramię na podłogę, po czym zapatrzył się na rozciągnięte przed nim obnażone ciało.

- Jesteś olśniewająca! - szepnął zachwycony, a miodowe niedźwiedzie oczka zamgłyły się ze wzruszenia. Niemal z nabożną czcią położył dłoń na trójkacie kędzierzawej radości u zbiegu jej ud.

Ciepło jego dotyku przeniknęło ją do głębi. Rozwarła ramiona i wykrztusiła ze ściśniętego gardła:

- Chodź do mnie...

Prężne, gorące ciało nakryło ją całą, a zaborcze usta wzięły w posiadanie jej wargi. Wplótł palce w rudą gęstwinę jej loków. Zmysły Clary rozprzęgły się pod natarczywym pocałunkiem. Niemal nie mogła znieść dotyku meszku na jego torsie, który z jedwabistą miękkością ocierał się o jej piersi. Serca obojga waliły głośno, łącząc się w coraz spieszniejszym rytmie. Opletli się nawzajem udami, a spragnione dłonie szukały najwrażliwszych miejsc na ciele partnera.

Zacisnęła palce wokół jego męskości, a on wcisnął twarz w poduszkę i jęknął:

- Claro, Claro!

Nie przerywając głaskania, odwróciła głowę i tchnęła mu rozpalonym oddechem prosto w ucho, czując, jak jego męskość podskakuje w jej dłoni, a całe ciało dygocze. Niedźwiedź uniósł się nad nią i delikatnie ujął pod kolana, zadzierając je do góry. Zakrył jej usta długim pocałunkiem, po czym powoli, ostrożnie, niemal z wyrachowaniem wchodził w nią, nie spuszczać z niej oczu. Westchnęła i wygięła się w łuk, a wtedy w jego oczach zapłonęła radość i zastygł na chwilę bez ruchu.

- Moja maleńka Clara!

Kochałaby go tylko za to, że uważał ją za drobną, nawet gdyby nie było dziesiątek innych powodów! Pociągnęła go do siebie w pocałunku, w który włożyła całą duszę, całe wytęsknione serce. W następnej chwili oboje ulegli namiętności. Płynęli na skrzydłach żądy silnej jak pasja bogów na niebotycznym Olimpie, pośród błyskawic i grzmotów, aż zatrzęsły się niebiosa. Kiedy dosięgli szczytu ekstazy, sznury

podtrzymujące materac pękły jeden po drugim z ostrym trzaskiem, przypominającym strzał z bicia. Posłanie zapadło się na podłogę, a oni potoczyli się na dywanik przy łóżku. Ledwie to zauważyli... Clara wy dostała się na wierzch, odrzuciła głowę do tyłu i kołysała całym ciałem, czując gorące dłonie na biodrach i zachłanne wargi na piersiach. Przenikały ją jedna po drugiej fale dreszczy, w głowie wirowało, odjęło jej wzrok i słuch. Przestała myśleć, skupiona wyłącznie na jednym: wznosić się i opadać, wznosić i opadać, akompaniując sobie bezwstydną pieśnią składającą się z jednego tylko słowa: jego imienia. Kiedy opadła bez sił, położył ją na plecach i wszedł po sam trzon, pchając tak szybko i mocno, że czuła, jak Ziemia wypada z orbity i wirując, leci na oślep w kosmiczną otchłań.

Ale to nie była Ziemia, tylko ich chata: w tej samej chwili, gdy Niedźwiedź wykrzyknawszy po raz ostatni jej imię, znieruchomiał, zawieszony nad nią na fali rozkoszy, południowy róg konstrukcji zsunął się z podpierających ją dźwigarów i roztrzaskał się na zlodowaciałej ziemi. Z salonu doszedł potężny huk, gdy stół bilardowy ruszył po pochyłości i zderzył się ze ścianą z której jak deszcz posypały się pozostałe trofea. Stoły i fotele tańczyły jak oszalałe i jeden po drugim roztrzaskiwały się na szczapy na rosnącym stosie odłamków. Połamane łóżko minęło ich o kilka zaledwie centymetrów i z rozmachem uderzyło w ścianę, tam gdzie wcześniej stała toaleta, która teraz znalazła się w salonie i z trzaskiem obijała się o stół bilardowy. Clara i Niedźwiedź, mocno spleceni, potoczyli się po pochyłej podłodze i zatrzymali na brzegu

rozbitego łóżka. W oczach olbrzyma zamigotała powoli wracająca przytomność. Podniósł głowę i się rozejrzył.

- Chryste! Zniszczyliśmy moją chatę! - Przestrach rozszerzył mu oczy. - Dobry Boże, kobieto! Jesteś najwspanialszą istotą, jaka kiedykolwiek żyła na świecie! Uwielbiam cię. Błogosławię ziemię, po którym stąpasz.

Roześmiana Clara odsunęła włosy, które opadły jej na oczy, i usiłowała usiąść prosto.

- Podaj mi którąś ze swoich koszul, dobrze? Musimy zobaczyć szkody i sprawdzić, czy któraś z przewróconych lamp nie zaprószyła ognia.

- Zdaje się, że dom dla nas będzie musiał osadzić w betonie! Nigdy przedtem nie przeżyłem niczego, co by choć trochę przypominało to, co działo się między nami. Moja chata zrujnowana, ja cały w siniakach... Chyba trudno by mi było przeżyć, gdybym chciał cię kochać częściej niż raz dziennie! - Wyszczerył zęby i z wysiłkiem dźwignął się z podłogi. Sięgnął do ubrań, kołyszących się na haczykach w przechylonej ścianie, rzucił Clarze koszulę, sam naciągnął spodnie. Nagle drgnął, zaskoczony, i pochylił się nad nią.

- Czyżbym widział błękitną wstążkę?

- Chyba tak. - Ze wszelkich sił starała się, by to zabrzmiało skromnie. Wyciągnęła dłoń, a gdy pomógł jej wstać, włożyła koszulę.

Roześmiany Niedźwiedź pokręcił głową i wycisnął na jej wargach siarczystego całusa:

- Droga dziewczyno! Jeśli ktokolwiek ma tyleczek zasługujący na błękitną wstęgę zwycięzcy, to tylko ty!

- Sam też sprawiłeś się gracko - odwzajemniła się Clara, trzepocząc rzęsami i rzucając mu kokietyjne spojrzenia spod rzęs. Kiedy jednak zaczął się do niej zbliżać z wymownym wyrazem oczu, położyła mu dłoń na piersi: - Lepiej sprawdźmy najpierw rozmiary szkód.

Pocałował ją tak zachłannie, jak gdyby miał to być ostatni pocałunek, po czym pogrzebał w kącie sypialni i wy dobył ze stosu drobiazgów buty na gumowej podeszwie, dobrze trzymające się podłoża. Razem doszli na próg sypialni i wytknęli głowy. W południowym rogu niegdysiejszego salonu zalegała kupa szczap i desek - szczątki umeblowania. Kominiek szczęśliwym zbiegiem okoliczności był zainstalowany od strony południowej. Ani jedna iskra nie przeskoczyła z płonących polan na drewnianą podłogę, ale koło drzwi do sypialni tlił się niewielki ogień z przewróconej lampy. Niedźwiedź ugasił go bez trudu dywanikiem, a tymczasem Clara podreptała w stronę kuchni. Palenisko zaklinowało się w drzwiach. Powiadomiła o tym olbrzyma.

- Nie martw się, dawno w nim nie paliłem. Planowałem kolację na zimno. Kurczaka upiekłem już wcześniej. Czy zdołasz się dostać do spiżarni?

- Wdrapałam się na przełęcz Chilkoot, więc chyba potrafię się wspiąć na piec kuchenny!

Po całej kuchni wały się skorupy naczyń, potłuczone garnki i słoiki. Podłogę pokryły tumany mąki i cukru. Poczują cierpki aromat pikli z rozbitego glinianego dzbana. Udało jej się przebrnąć do spiżarni i do salonu wróciła z pełnym koszykiem piknikowych specjałów. Tymczasem Niedźwiedź ugasił jeszcze

jeden ogień wśród szczątków. Clara obserwowała go z pewnym niepokojem, przypominając sobie, że właśnie w tym kącie poniewiera się jej odzienie. Cóż, sprawa się wyjaśni, gdy przyjdzie pora się ubierać!

- W dachu zrobiła się szczelina, a pomiędzy kłód w ścianach powypadały uszczelniające konopie, niebawem więc zrobi się tu chłodno - poinformował ją olbrzym. - Myślę, że mamy jeszcze czas, by zjeść w spokoju kolację i zrujnować przeciwny kąt chaty, zanim zaczniemy zamarać na sople!

Clara odwzajemniła jego uśmiech i poczołgała się do sypialni. Odepchnęła połamane łóżko i ułożyła materac przy wewnętrznej ścianie. Mogli siedzieć na połówce ułożonej na podłodze, opierając się o osłoniętą drugą połówką deski.

Zadbawszy o legowisko, zajęła się sobą: podwinęła zbyt długie rękawy do nadgarstków. Rąbek koszuli sięgał jej za kolana, więc była prawie cała zakryta, ale już czuła lodowate smagnięcia wiatru, wdzierającego się do chaty przez szczeliny w konstrukcji. Najbardziej dotkliwie odczuła brak szczotki do włosów, które zmierzwioną masą kędziorów opadły na plecy i sterczały dokoła twarzy. Niestety, nie miała nadziei na odnalezienie szpilek w morzu szczątków pokrywających salon!

- Czemu się śmiejesz? - Niedźwiedź trzymał oburącz framugę drzwi, wciągając się do sypialni. Osunął się na materac koło niej i otworzył przykrywkę koszyka.

- Wyobrażam sobie wyraz na twarzach Zoe i Juliette, kiedy wrócę do domu potargana i w pożyczonej od ciebie koszuli! - Och, chyba nigdy nie przestaną jej tego wypominać! - Czy opowiesz wszystkim, w jaki sposób zniszczyliśmy chatę?

Podał jej kurze udko i jajko na twardo.

- Gdybym to zrobił, musiałbym walczyć z każdym mężczyzną w tej krainie, bo wszyscy tłoczyliby się u twych drzwi!

Clara uniosła brwi.

- Winisz mnie za tę ruinę?

- Do diabła, nie! - Nie przestawał się śmiać. - To raczej chwala! - Wgryzł się w swoją porcję kurczaka. - Claro, dziewczyno droga, bez trudu zbuduję drugą chatę. Mogę ich zbudować setki, a gdy uda ci się je wszystkie rozwalić, nadal będę najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem!

Nadeszła chwila, przed którą ostrzegały Zoe i Juliette: ukłucie bólu tak ostre, że Clara złamała się w pół i przyłożyła rękę do boku.

Oczywiście Niedźwiedź przyjął za sprawę bezdyskusyjną, że dzisiejszego wieczoru dali sobie nawzajem słowo. Już drugi raz poczynił aluzję do domu, który dla nich wybuduje, w którym będą mieszkać szczęśliwie aż do śmierci.

Popatrzył na nią zaniepokojony.

- Nic ci nie jest?

- Nie. - Mruganiem odpędziła z oczu łzy. - Och, Niedźwiedziu! Byłeś zawsze szczery i uczciwy w stosunku do mnie, a ja... - Urwała. - Czujesz dym?

- Dym? - Odłożył kurczaka, podniósł głowę i wciągnął powietrze. - Jestem pewien, że zagasiłem ogień!

- Zapach jest coraz mocniejszy.

- Masz rację. I ja go czuję.

Sięgał właśnie po serwetkę, gdy przeciwległy róg sypialni stanął w płomieniach. Przez krótką chwilę żadne z nich nawet się nie poruszyło. Siedzieli ze wzrokiem utkwionym w płomienie. Olbrzym zmarszczył czoło.

- To niemożliwe. W tamtym rogu nie było żadnej lampy!

Clara zaczęła się zbierać z podłogi. Tego ognia raczej nie zdołają zagasić, bo płonął zbyt mocno i rozprzestrzenił się błyskawicznie. Gorączkowo rozejrzała się za jakimś przyodziewkiem.

- Musimy natychmiast uciekać!

- Masz! - Niedźwiedź rzucił jej dwa buty nie do pary, spodnie i kamizelkę. - Idź prosto do drzwi i wylaz z chaty! Ja wyjdę, gdy tylko odnajdę pod szczątkami nasze płaszcze.

Zerknęła na ogień, po czym przeniosła spojrzenie na niego. Płomienie lizały już belki sufitu.

- Jeśli nie znajdziesz płaszczy, wychodź zaraz!

- Przyrzekam. Teraz uciekaj!

Złapała buty i odzież i chwiejnie pobrnęła w kierunku salonu.

- Niedźwiedziu! Rozbity róg chaty też stanął w płomieniach!

Przez dym kłębiący się w kącie strzeliły żółte języki płomieni i zaczęły żarłocznie pochłaniać szczątki mebli.

- To po prostu niemożliwe. Ja nie... Idź, skarbie, ruszaj!

Potykaçąc się i ślizgając, gramoliła się do drzwi wejściowych, które teraz znajdowały się w najwyższym położonym punkcie przechylonej konstrukcji. Wiedziała, że próg jest z półtora metra nad ziemią i będzie musiała skakać, ale nie to ja

martwiło, tylko przejmujący ziąb, który czekał na zewnątrz. Usiłowała odpędzić od siebie pytanie, jak długo przeżyją bez odpowiedniego przyodziewku. Czy starczy im czasu na milowy marsz do obozu nad Jeziorem Bennetta? Teraz nie było sensu o tym myśleć. Musiała wydostać się z płonącej chaty.

Na najbardziej stromym odcinku stopy obsuwały się pod nią i pewnie ześlizgnęłyby się przez całą długość salonu w szalejące płomienie, gdyby Niedźwiedź jej nie chwycił i nie zatrzymał. Złapała go za ramiona i patrzyła z rozpaczą jak buty i reszta odzienia turla się prosto w ogień. Spojrzała na olbrzyma szeroko otwartymi oczami. Czy miała wyskoczyć z chaty na mroź, ubrana jedynie w koszulę? Zrozumiał jej wahanie.

- Wszystko po kolei - uspokoił ją. - Najpierw wyjdźmy stąd, potem na pewno znajdziemy zapasowe koce w psiej zagrodzie.

Skinęła głową na zgodę, odwróciła się i po części pełznąca, po części podciągając się na wystających deskach, ruszyła w górę. Ledwie dotknęła skobla, drzwi otworzyły się i wpadły do wewnątrz, a za nimi prąd mroźnego powietrza. Natychmiast poczuła gęsią skórkę na ramionach i szyi. Wystawiła głowę i ujrzała, że szalejące płomienie rzucają na śnieg chwiejny cień chaty. Powściągnęła impuls, który nakazywał jej zatkać nos, jak gdyby skakała z płonącego domu nie w śnieżną zaspę, lecz do wody. Gdy tylko dotknęła ziemi, potoczyła się na bok, by zrobić miejsce Niedźwiedziowi. Słyszała głuche uderzenie, kiedy wylądował, i zaczęła się gramolić na równe nogi, czując, jak śnieg przestaje ziębić, a zaczyna palić podeszwy stóp.

- Clara! Wszystko pojąłem! To zasadzka! Schyl się, na ziemię!

Usłyszała głuchy trzask i osłupiała ujrzała, że od rogu chaty odpryskuje wielka świerkowa drzazga. W następnej chwili Niedźwiedź nakrył ją całym ciałem, mocarnymi ramionami przygważdżając do ziemi. Zesztywniał i wpił palce jak szpony w jej plecy, po czym powoli stoczył się z niej i upadł na wznak w śnieg. Przerażona, ujrzała na jego plecach plamę czerwieni. Oszołomiona i niemal sparaliżowana lękiem, podniosła głowę i zerknęła w stronę lasu.

Usłyszała strzał i poczuła pchnięcie w ramię. Było tak mocne, że okręciło ją dokoła własnej osi. Zanim upadła, dostała jeszcze jedną kulę w bok.

SCANDALOUS

Pewien Kanadyjczyk, Dilly Dame, wielkodusznie oddał swoją chatę na użytek Clary w okresie jej rekonwalescencji. Pani Eddington z mężem przyjęli do siebie Niedźwiedzia. Obie ofiary napaści miały rany poważne, lecz nie krytyczne. Zanim znaleźli ich mężczyźni z obozu, gdzie zauważono odbłask pożaru, oboje stracili wiele krwi i doznali powierzchownych odmrożeń. Na szczęście grupa ratowników wyruszyła z pomocą natychmiast po wszczęciu alarmu, inaczej dla Clary i Niedźwiedzia przygoda mogła się skończyć tragicznie - zamazliby lub wykrwawili się na śmierć.

Zoe odchyliła się na oparcie bujanego fotela i przymknęła oczy, zastanawiając się, czy czegoś nie przeoczyła. Tom wyjął kulę z ramienia Clary. Pocisk, który trafił Niedźwiedzia, i druga kula, która przeszła bok Clary, nie utkwily w ciałach ofiar. Poszarpane rany wylotowe przysparzały Zoe najwięcej troski. Oczyściła już rany Clary spirytusem i posmarowała je maścią leczniczą. Na zmianę z panią Eddington regularnie podawały obojgu pacjentom spore dawki nalewki z tojadu dla zapobieżenia infekcji. Odmrożone miejsca nacierały miksturą z nafty i uparły się, by podwiązać ramiona zarówno Clary, jak i Niedźwiedzia, by mimowolne ruchy ich kończyn nie zakłócały procesu gojenia się. Zoe cały czas powtarzała sobie, że jej pacjenci są ogólnie silni i zdrowi i rzeczywiście dzisiaj, pięć dni po podstępnej napaści, oboje znajdowali się na dobrej drodze do całkowitego wyzdrowienia.

- Właściwie mogłabym już wstać - nalegała Clara, ale nie minęła minuta, jak ukradkiem ziewnęła, a rzęsy opadły bezwolnie na znużone oczy.

Zoe pomogła jej usiąść i podała kubek z wodą.

- Teraz przede wszystkim potrzebujesz wypoczynku.

- Gorączka opadła i czuję się dobrze. Jestem tylko zmęczona. Jak się ma Niedźwiedź?

- Wyśmienicie - zapewniła ją Zoe. - Chociaż pani Eddington skarży się, że z niego iście nieznośny pacjent! Nie sądzi, by zdołała go utrzymać w łóżku jeszcze przez dobę. Narzeka poza tym, że zdiera sobie nogi, przychodząc tu cztery razy dziennie, ale jeśli nie przyniesie Niedźwiedziowi aktualnego sprawozdania z przebiegu twojej rekonwalescencji, ten zrywa się z posłania, by samemu tu przylecieć!

Clara osunęła się z powrotem na poduszki, uważając, by nie urazić przestrzelonego boku.

- Teraz już wiem, czemu ty i Juliette płakałyście nocami - szepnęła, przymykając oczy. - Och, Zoe, tak bardzo go kocham, ale cała sprawa jest beznadziejna! Co mamy począć?

To samo pytanie zadawała sobie jej towarzyszka przynajmniej tuzin razy dziennie. Kiedy Tom powiedział cokolwiek, co wskazywało na jego niezachwianą wiarę, że pewnego dnia wezmą ślub, kurczyła się wewnątrz i coraz bardziej traciła sympatię do siebie. Wreszcie niechętnie wyznała:

- Żałuję, że od razu nie powiedziałyśmy im całej prawdy. Może stałybyśmy się pośmiewiskiem na szlaku i przedmiotem plotek, może Tom, Ben i Niedźwiedź nie zalecaliby

się do nas... - Zamrugła i wbiła wzrok w sufit z potężnych kłód. -Ale nie czułybyśmy się jak oszustki za każdym razem, gdy oni na nas spoglądają tym rozkochanym spojrzeniem. Może uratowałybyśmy nieco szacunku dla samych siebie... - Kiedy dziewczyna spuściła głowę, odkryła, że mówi do siebie, bo Clara zdążyła zasnąć snem człowieka, który dochodzi do zdrowia. Wciąż jeszcze spała, gdy do sypialni wsunęła głowę Juliette, która poszła dowiedzieć się o zdrowie Niedźwiedzia. Przyjrzała się pobieżnie Clarze i skinęła na Zoe.

- Musimy pogadać - poszła w kierunku małej kuchni pana Dame'a.

- To chyba coś ważnego, jeśli nie możesz nawet zaczekać, aż zdejmiesz płaszcz i szal!

Juliette skrzywiła się i rzuciła kapelusz i wełniane rękawice na kredens, po czym naląła dwa kubki mocnej kawy, zdjęła płaszcz i usiadła przy stole.

- Po pierwsze, Niedźwiedź wciąż jest bardzo osłabiony i wściekły na siebie jak szalona kwoka. Mimo to codziennie coraz dłużej siedzi podparty poduszkami.

- Clara też dzisiaj usiadła i rozmawiała ze mną przez jakiś czas... - Zoe bacznie zajrzała w błyszczące gniewem szare oczy Juliette. - A teraz powiedz wreszcie, co leży ci na wątrobie!

- Chodzi o Jake'a Horvatha, przechwalała się po całym obozie, jak to pokonał potężnego Niedźwiedzia i jego dziwkę. - Juliette wzdygnęła się z odrazą. - Powiada, że strzelał, bo uważa, że Niedźwiedź oszukał go przy grze, w wyniku której utracił szynk Pod Gołym Misiem, a co do Clary, to chciał

pokazać Niedźwiedziowi, jak się czuje człowiek, tracąc coś lub kogoś drogiego sercu.

Zoe zmarszczyła czoło.

- Przechwała się? Chodzi i mówi o tym głośno?

Juliette zerwała się od stołu i zaczęła krążyć po ciasnym pomieszczeniu.

- To nie wszystko! Przysięga, że skończy swe dzieło, że zabije oboje! Pan Eddington słyszał to na własne uszy. Opowiedziałam Benowi o tych pogroźkach, ale on już wiedział i mówi, że posłali wiadomość na posterunek policji konnej w Fort Herchmer, ale to bardzo daleko, prawie przy Dawson -co najmniej pięć tygodni drogi stąd i drugie pięć z powrotem. - Więc nawet przyjmując, że konni wyruszą niezwłocznie i nie zatrzyma ich niepogoda, upłyną prawie trzy miesiące, zanim tu dotrą i aresztują Horvatha. Jeśli w ogóle przyjadą bo możliwe, że zlekceważą wezwanie. - Spojrzała w oczy Zoe. -Ben mówi, że zaledwie dwustuosobowy oddział Kanadyjskiej Konnej Policji musi pilnować porządku w całym okręgu. Na pewno mają na głowie o wiele poważniejsze sprawy niż zasadzka i usiłowanie zabójstwa.

- Horvath groził, że skończy dzieło? - Zoe poczuła, że serce w niej zamiera. Już wcześniej zastanawiała się, czy ten zbir poprzestanie na krwawej napaści, w czasie której omal nie zabił Clary i Niedźwiedzia, i czy nie będzie próbował znowu się mścić.

Juliette przytaknęła. Usiadła przy stole i zaczęła rytmicznie stukać pięścią w blat.

- Pomyśleć, że nikt nie robi nic, by mu przeszkodzić!

- Tom mi mówił, że wielu ludzi w obozie jest przeciwko wymierzaniu sprawiedliwości obywatelskiej. Twierdzą, że nic się nie stało i że to prywatna sprawa pomiędzy Niedźwiedziem i Horvathem. - Wiedziała, że Tom jest rozdarty między chętką schwytania Horvatha a potępieniem samosądu. Ten sam konflikt przekonań trapił samą Zoe.

Juliette ujęła oburącz kubek i pochyliła się do przodu.

- Posłuchaj, Zoe, Horvath zabije Clarę i Niedźwiedzia, a nikt nie kiwnie nawet palcem, by mu przeszkodzić! Nie możemy do tego dopuścić. Clara jest... ona jest jak nasza siostra, a Niedźwiedź to nasz przyjaciel.

Lepszy, niż Zoe mogła sobie kiedykolwiek wymarzyć! Tom wyjawiał jej wreszcie, że to właśnie on zapłacił niemal połowę kosztów transportu ich bagaży do Dawson. Niedźwiedź! Nigdy by sama nie odgadła! Odchrząknęła i zmieniła temat:

- A nieco z innej beczki... wiem, że dyskutowaliśmy o tym już z tuzin razy w ciągu minionych dni, ale, Juliette... Naprawdę mi przykro z powodu tych wszystkich obrzydliwości, które ci nagadałam, wierząc, że to ty opłaciłaś tragarzy Toma. Nigdy nie odżałuję swojego zachowania wobec ciebie! Tak bardzo się myliłam.

Juliette machnięciem dłoni zbyła jej przeprosiny.

- Zoe, błagam, skup się! Jeśli czegoś nie zrobimy, Clara i Niedźwiedź zginą z ręki tego oprycha!

Dziewczyna z ociąganiem skłoniła głowę, bo Juliette mówiła tylko to, o czym sama wiele razy myślała.

- Co proponujesz?

- Myślę, że mogłybyśmy zastosować wobec Jake'a Horvatha areszt obywatelski, wiesz, że można to zrobić w razie niemożności przywołania policji na czas, by zapobiec ewentualnej zbrodni. Ograniczyłoby to wolność ruchów tego zbira Horvatha do jego własnego namiotu aż do przybycia policji. A jeśli nikt nie zechce nam pomóc, będziemy musiały same trzymać straż, na zmianę.

- Tylko my? - Tego się Zoe nie spodziewała! O mało co nie wybuchnęła śmiechem, ale na widok poważnej twarzy Juliette odeszła jej ochota do kpin. - Naprawdę sądzisz, że Jake Horvath potulnie się zgodzi na areszt domowy?

- Jeśli się będzie stawiał, zastrzelisz go.

- Co?

- Przyjechałaś tutaj zastrzelić pewnego mężczyznę, prawda? No więc zastrzel tego, Zoe! Pomyśl: jeśli Niedźwiedź zabije Horvatha, to kanadyjska policja zaaresztuje jego, bo uzna ten czyn za zwykłą zemstę. Ale jeśli zrobisz to ty, możemy powiedzieć, że opierał się aresztowaniu. Wiesz dobrze, że Niedźwiedziowi nie przyszłoby do głowy aresztować drania, tylko podejdziesz prosto do niego i strzeli mu w łeb! Jego obrona będzie więc słaba, podczas gdy my mamy szansę wykaraskać się ze sprawy, szczególnie jeśli Horvath będzie się nam odgrzązał.

- Na to możesz niewątpliwie liczyć. - Głos Zoe kipiał sarkazmem. Przymrużyła oczy. - Ciągłe powtarzasz my... Ty też zamierzasz zastrzelić Horvatha?

- Jasne, że nie, przecież nawet nie umiałabym pociągnąć za spust! Ale chętnie przyznam się do udziału. Pójdę

razem z tobą i nie opuszczę cię w żadnym wypadku. Nie dbam, czy mnie zaaresztują. Lepiej dać się zamknąć w więzieniu, niż patrzeć bezradnie, jak ten oprych zabija Clarę! Jeszcze jedno, Zoe, nie mamy pojęcia, kiedy Horvath zamierza uderzyć ponownie, ale obie wiemy, że nie będzie długo czekać. Gdybyś była na jego miejscu, nie zwlekałabyś przecież, aż Niedźwiedź odzyska siły?

Zoe gapiła się bez słowa na towarzyszkę. Jej argumenty brzmiały logicznie, czas rzeczywiście naglił.

- Kto wie, może ten bandyta właśnie skrada się do chaty. Zakładam, że w pierwszej kolejności rozprawi się z łatwiejszą ofiarą, jak sądzisz?

Spłoszona i zatroskana Zoe wstała i wyjrzała przez okno. Blok lodu we framudze był tak gruby, że niewiele przezeń widziała, poza rozmazanymi plamami bieli, zieleni i brązu. Wzięła głęboki oddech.

- Zanim ruszymy do Horvatha, rozważmy jeszcze kilka drobiazgów. Założmy, że będzie stawiał opór, że zacznie nam grozić i będę musiała go zastrzelić. Następnie założmy, że policja konna przyjedzie, żeby mnie zaaresztować za zabójstwo, a ciebie za współudział.

Juliette niecierpliwie bębniła palcami po stole.

- No i co?
- Jeśli mnie zaaresztują, to kto zabije Jeana Jacques'a?
- Nic trudniejszego! Dasz Clarze strzelbę, a ona pojedzie do Dawson i go załatwi.

- Kiedy ona, tak jak ty, nigdy nie miała do czynienia z bronią!

- Może się chyba nauczyć, co? W ostateczności niech go otruje. Albo wynajmie płatnego zabójcę - Juliette wzruszyła ramionami.

- Czasami mnie zadziwiasz... - Dziewczynie trudno było uwierzyć, że niegdyś lekceważyła Juliette, widząc w niej słabą, lękliwą cnotkę bez odrobiny ikry!

- Clara zajmie się Jeanem Jacques'em. Jest przedsiębiorcza i coś na pewno wymyśli. O niego nie musimy się martwić.

- Jeszcze jedno... Nie wiem, co Kanadyjska Konna Policja robi z morderczyniami. Może nas powieszą albo postawią przed plutonem egzekucyjnym? Tak czy inaczej, Juliette, nie sądzę, by uszło nam bezkarnie zabicie człowieka z zimną krwią!

- O czym ty mówisz? Przecież nie zamierzamy ot, po prostu, iść do niego i go zastrzelić! To byłoby... niewybaczalnym dowodem złych manier. Nie, grzeczność nakazuje ostrzec go zawczasu i wyjaśnić, czemu musimy go zabić.

Zoe zatrzepotała powiekami. Może jednak Juliette nie zmieniła się tak bardzo, jak jej się wydawało?

- Ach, już to widzę! On powie: „Och, nie mogę pozwolić, by mnie panie aresztowały”, na to ty oświadczysz: „Proszę stać spokojnie, bo zamierzamy pana zastrzelić, ach... ale powinien pan wiedzieć, czemu to robimy: bo pan usiłuje zabić naszych przyjaciół”.

- Mniej więcej. Muszę cię jednak uprzedzić, że może dam się ponieść wzburzeniu i nie zachowam do końca właściwych manier. Absolutnie nie mogę się zgodzić na zabicie

go z zimną krwią, ale nie przysięgnę, że uniknę nieprzystojnych obelg!

- Wiesz co? Im dłużej się zastanawiam, tym jaśniej widzę, że lepiej, żebyś została z Clara, podczas gdy ja załatwię sprawę z Horvathem.

- To nie byłoby sprawiedliwe. To mój pomysł i ja powinnam dać się aresztować razem z tobą, jeśli tak się skończy cała sprawa.

- Ale to się nie skończy prostym aresztowaniem. Naprawdę jesteś zdecydowana zastrzelić Horvatha, nawet ryzykując, że cię za to powieszą?

Patrzyły na siebie nad sosnowym blatem. Wreszcie Juliette odchrząknęła i wbiła zakłopotany wzrok w swój kubek.

- Żadną z nas nie czeka przyszłość, jaką byśmy sobie wymarzyły, więc co nas obchodzi, co się z nami stanie? Tak, przemyślałam to. Sądzę, że łatwiej mi będzie umrzeć na szubienicy, niż żyć ze świadomością że przyglądałam się beczynnemu, jak jakiś szaleniec zabija dwoje ludzi, których kochałam! Jeśli będę zmuszona zabić Horvatha, trudno, zrobię to i chętnie zapłacę karę. Ufam, że Clara zrobiłaby to samo dla nas...

- Owszem, zrobiłaby. - Zoe wiedziała dokładnie, co czuje Juliette, bo sama myślała dokładnie to samo co ona. Zerknęła w kierunku lodowej szyby... Czy jej się tylko wydawało, czy za oknem przemknął cień? Najbardziej ze wszystkich argumentów Juliette przekonał ją ten, że Horvath nie będzie zwlekał z działaniem. Sama w głębi serca czuła, że

zagrożenie jest blisko... - Musimy znaleźć kogoś do opieki nad Clary.

- Pani Weber chyba się zgodzi.

Zoe zerwała się na nogi.

- Idź po nią a ja naładuję strzelbę. - Temu sukinsynowi nie uda się zabić Clary i Niedźwiedzia! Już jej i Juliette w tym głowa, by jego haniebne zamiary spełzły na niczym!

- Przepraszam pana najmocniej, gdzie możemy znaleźć pana Horvatha? - spytała Juliette uprzejmie jego kumpla, który stał przed namiotem, oparty niedbale na trzonku siekiery.

Zmierzył obie panie od stóp po czubek głowy i kąciki jego ust wygięły się w pogardliwym uśmiešku. Wskazał kciukiem przez ramię.

- Tem gdzieś na zboczu, rąbie drzewa na swoją chatę. A coście od niego chciały?

- Dziękujemy panu za informację. - Juliette szturchnęła swą towarzyszkę i obie pomaszerowały ścieżką przekopaną w zaspach, w których tonęły szeregi namiotów. Zoe poczuła rozczarowanie na myśl, że po drodze nie będą miały namiotu Bena ani Toma. Jakaś część duszy pragnęła, by ktoś wybił im z głowy szaleńczy plan. Nie miała pojęcia, czy zdoła zastrzelić człowieka... Ale może wcale nie będzie musiała? Może wystarczy trafić go w niewymowną część anatomii? W ten sposób unieszkodliwi go aż do dnia, gdy przybędzie oddział policji, a one będą mogły kontynuować wędrowkę do Dawson. Z drugiej strony stróże prawa mogli w ogóle się nie zjawić, a wtedy Horvath dopadnie ich w Dawson. Publicznie oświadczył,

że ma zamiar skończyć dzieło. Teraz nie pozostawało mu nic innego, jak dotrzymać słowa, inaczej dorobi się opinii tchórze, a złośliwe języki nie dadzą mu spokoju po kres życia na Północy.

- Czy widać, że mam pod płaszczem strzelbę? - rzuciła Zoe kątem ust.

- Nie upuść jej tylko, na litość boską! - Juliette zerknęła na nią z niepokojem. - Denerwujesz się?

- Troszeczkę... Dotychczas strzelałam tylko do wiewiórek.

- Więc się nie martw, Horvath jest dużo większy i zdecydowanie bardziej odrażający. Nie będziesz miała trudnego zadania!

- Chyba widzę tę jego chatę tam, za sosnami. - W miarę jak wspinały się stromą ścieżką, ich oczom odsłaniał się coraz lepszy widok na siedzibę Horvatha. Zdażył już wznieść ściany i zbudować kamienny komin, choć konstrukcji brakowało jeszcze dachu. Z daleka słyszały walenie młotka i przekleństwa, ale wypowiedane tylko jednym głosem... Był więc sam. Dobrze! - Mówienie pozostaw mnie.

Ostrożnie posuwały się między belkami i odłamkami zaścielającymi ostatnie metry ścieżki.

- Panie Horvath?! Panie Horvath! Chcemy się z panem rozmówić!

Wyłonił się z chaty i podszedł do nich zuchwałym krokiem.

- Patrzcie no, kogo tu diabli przynieśli!

Juliette zatrzęsała się z gniewu, aż zadrżało pokryte szronem pióro na kapeluszu. Wyprostowała się dumnie.

- Przyszłyśmy pana aresztować za podstępłą napaść na pana Barretta i pannę Clare Klaus. Powinien się pan wstydzić, panie Horvath!

Zoe syknęła:

- Ja miałam mówić! - Pełna czarnych przeczuć, rozejrzała się i przykucnęła za głazem, który osłaniał ją aż po łokcie. W ten sposób mogła ukradkiem wyjąć strzelbę spod płaszcza, a kiedy będzie strzelać, głaz posłuży za podpórkę dla lepszego celu. Mężczyzna przypatrywał się im przymrużonymi oczami.

- Znam was obie. Pani jest ta głupia geś, co wylazła na kruchy lód, a ty - przeniósł spojrzenie na Zoe - złamałaś mi nos!

- Juliette, odsuń się o krok i schowaj za tę skałę! - Zoe wyjęła już broń spod płaszcza, lecz wciąż trzymała ją schowaną za głazem. - Panie Horvath, ułatwi pan życie sobie i wszystkim innym, wracając grzecznie z nami do swego namiotu. Zamierzamy trzymać pana pod aresztem domowym do czasu przybycia patrolu policji konnej.

Na obliczu mężczyzny pojawiło się osłupienie, które wnet ustąpiło rozbawieniu.

- Czemu miałbym pozwolić się aresztować dwóm latawicom?

- Częściowo przez dbałość o własną skórę - wyjaśniła Zoe. - Musi pan wiedzieć, że Niedźwiedź zrobi z pana sito, gdy tylko całkiem wydobrzeje. Nie puści panu płazem podpalenia jego chaty i zranienia narzeczonej!

- Miałem słuszne powody! - Horvath zaklął brzydko, a w dłoni zaciśniętej na trzonku młotka zbieleły kłykie. - Ten sukinsyn oszukał mnie i zapłaci za to życiem!

- Opowie pan o swoich powodach przedstawicielom Kanadyjskiej Policji Konnej, kiedy przyjadą po pana. Do tego czasu będzie najlepiej dla wszystkich zainteresowanych, jeśli nie będzie pan wytykał nosa ze swojego namiotu.

Zoe stwierdziła ku swemu zdumieniu, że jej głos nie zdradzał ani śladu zdenerwowania, które czuła. Wprost przeciwnie, był głosem osoby pewnej siebie i zdecydowanej. Trochę pomógł fakt, że Horvath miał jedynie młotek, podczas gdy ona dysponowała strzelbą, i to, że całe życie spędziła, walcząc. Ludzi pokroju Horvatha - nędznego tchórza, który winił wszystkich dokoła za swoje niepowodzenia i umiał jedynie strzelać w plecy, lecz nie odważył się stanąć do uczciwego boju - bynajmniej się nie bała. No, w każdym razie nie umierała ze strachu przed nim.

- Cóż, moje panie, nie mam zamiaru dać się aresztować. Nie będę tkwić w namiocie, a policja konna tu nie przyjedzie. Gdyby zresztą się pojawili, uznają moje prawo, by ukarać człowieka, który mnie podstępem pozbawił szynku.

- Pan sam postawił szynk w grze w karty, panie Horvath - odezwała się Juliette tonem głębokiej dezaprobaty. - Niezbyt to szlachetnie obwiniać innego za swoją błędną decyzję! Ani tym bardziej oskarżać go o oszustwo, bo nie sprzyjało panu karciane szczęście. Nie jest pan dżentelmenem, mój panie!

Z małych oczek strzeliły promienie nienawiści.

- Idźcie sobie, panie, ale to już! Zabierać się! I przekażcie Niedźwiedziowi i tej jego dziwce, że następnym razem nikt ich nie uratuje! Dopadnę ich i załatwię na dobre!

Zoe zwięzła oczy i przemówiła stanowczym tonem:

- Proszę rzucić ten młotek, panie Horvath, i zacząć schodzić ścieżką do obozu.

- Nie mam zamiaru! Nie słuchałaś, głupia? - Spojrzał na jedną, potem na drugą. - Już was tu nie ma!

Juliette wyprostowała się pod osłoną skały.

- Jeśli nie pójdzie pan z nami dobrowolnie, panna Wilder będzie zmuszona pana zastrzelić. Szczerze żałujemy, ale to nieuniknione, i mam nadzieję, że pan nas rozumie. Z góry przepraszamy, ale skoro grozi pan śmiercią naszym przyjacielom, nie mamy wyboru. - Skinęła na Zoe. - Sądzę, że nadszedł czas na strzał ostrzegawczy!

Dziewczyna omiotła płaski wierzchołek głazu ze śniegu i oparła na nim strzelbę, by Horvath mógł ją wyraźnie zobaczyć. Pomyślała, że niewinne kłamstwo może tylko pomóc.

- Zastrzeliłam już tuziny ludzi, panie Horvath, więc nie zawaham się zabić i pana, jeśli zostanę zmuszona. Wolalabym jednak, by obeszło się bez tego. Proszę zrobić to, o co prosimy, i wrócić do swojego namiotu.

Zerknął na lufę, po czym wbił gniewne spojrzenie w oczy Zoe.

- Wygląda na to, żeście mnie dopadły... - wykrztusił. - Dajcie mi tylko odłożyć narzędzia i wziąć kurtkę, a pójdę z wami.

Gdy tylko zniknął w chacie, Juliette odezwała się zniżonym głosem:

- Idzie nam doskonale, nie sądzisz?

- Chyba że poszedł po broń. - Zoe zagryzła wargi, wpatrzona w niewykończony otwór drzwiowy. - Być może wymyślił jakiś podstęp...

- Och, nie! - wzdrygnęła się Juliette. - Skoro sądzisz, że trzyma w chacie broń, to czemu do niego nie strzelałaś?

- Bo może jest naprawdę gotowy się poddać?

Nie był. Pojawił się na progu, trzymając w każdej dłoni pistolet, i zanim Zoe zdążyła zareagować, pocisk trafił w głaz, a koło jej twarzy przeleciał odprysk granitu. Drugi drasnął ją w policzek. Przykucnęła, czując ściekającą po brodzie strużkę krwi. Usłyszała wołanie Juliette:

- Teraz naprawdę wszystko układa się po naszej myśli! On próbuje nas zabić, więc wolno nam zastrzelić go w obronie własnej! Zdaje się, że tak mówi prawo. Nikt nas nie aresztuje za zabicie kogoś, kto usiłował zabić nas. W dodatku on wystrzelił pierwszy! - Krzyknęła do Horvatha: - To doprawdy bardzo nie po dżentelmeńsku, że strzela pan do kobiet, panie Horvath! Czy zupełnie brak panu wstydu? Żądam, by pan odłożył broń i poddał się bezwarunkowo. To pana ostatnia szansa!

W odpowiedzi na ochraniające ich skały posypał się deszcz kul. Juliette zawołała do Zoe:

- Masz ci los! Ten gość nawet nie zna zasad stosownego zachowania. To niepoprawny drań! Ostrzegłyśmy go i wyjaśniłyśmy nasze zamiary. Czemu więc go nie zastrzelisz?!

- Chciałabym, uwierz mi! Ale muszę widzieć cel, zanim wystrzelę, a boję się wystawić głowę, żeby mnie nie trafił!

- Nie przewidziałaś tej trudności? Naprawdę, Zoe...!

Dziewczyna zazgrzytała zębami i próbowała policzyć, ile razy wystrzelił Horvath. Straciła rachubę, ale jasno widziała, że sytuacja się odmiała i obecnie to przeciwnik ma w ręce wszystkie atuty. Trzymał ją i Juliette pod ogniem. Nie mogły się nawet wycofać bez narażania życia. Nie wątpiła, że przy najmniejszej sposobności zastrzeli je obie. Kłęcząc za głazem, uniosła się nieco, wystawiła lufę strzelby i na oślep nacisnęła spust. Niezwłocznie, nie komentując entuzjastycznych oklasków Juliette, wystrzeliła po raz drugi. W gruncie rzeczy nie wiedziała nawet, czy nie celuje w niebo. Może udało jej się trafić w chatę, ale szansa zastrzelenia w ten sposób Horvatha była bliska zeru.

Skały ponownie zasypał grad pocisków i rozległ się rechotliwy śmiech, najlepszy dowód, że nie wyrządziła mu krzywdy.

- Wy sukil! Kiedyś musicie wyjrzeć zza tych kamieni, a wtedy będzie po was! Słyszycie? Już jesteście martwe!

- Zoe, słyszałaś? - zapiała Juliette. - Grozi nam! Teraz go mamy! Lepiej jednak uporaj się szybciej z zastrzeleniem tego draba, bo całkiem już zdrętwiałam z zimna.

- Ależ próbuję!

Dziewczyna oddała jeszcze kilka strzałów, po czym zaczęła analizować ich położenie. Dopóki będzie ostrzeliwać pole przed chatą, przeciwnik nie ośmieli się wytknąć nosa zza węgła, ale

ani ona, ani Juliette nie mogły się bezpiecznie wycofać. Zoe też czuła, jak mróz przenika do szpiku jej kości.

- Utknęliśmy! - powiadomiła wreszcie swą towarzyszkę.
- Nie uda mi się wycelować, jak należy, a jeśli zaczniemy się cofać, on nas zabije.

Przybyła do tej krainy odarta ze złudzeń. Zamierzała zastrzelić Jeana Jacques'a Villette'a i spodziewała się, że w konsekwencji zawiśnie na szubienicy. Pogodziła się ze śmiercią Jeana Jacques'a i swoją własną, zanim jeszcze opuściły Seattle. Ale kiedy tak tkwiła skulona za granitowym głazem, a nad głową gwizdały kule, pojęła, że wszystko się zmieniło. Nie chciała umierać! Ani na szubienicy, ani od broni palnej. Chciała dożyć szczęśliwej starości z Tomem Price'em i nawet nie dbała już, czy koniec końców wyląduje w Newcastle, byle być razem z nim. Usłyszała niepewny głos Juliette:

- Więc sytuacja obróciła się przeciw nam... Zdaje się, że jesteśmy w opałach. Ten opryszek może nas zastrzelić albo poważnie zranić, chyba że w obozie usłyszą strzały i ktoś przyjdzie nam z pomocą.

- Nie licz na to! Codziennie stu mężczyzn wyrusza w góry na polowanie, więc odgłos strzałów nie wzbudzi większego zainteresowania.

- Sprawy zaczynają wyglądać niezbyt różowo...

Zoe ugryzła się w język, tłumiąc uszczypliwe komentarze na temat różowych sytuacji. Juliette bywała niesłychanie irytująca, ale jako przyjaciółka dowiodła lojalności i odwagi. Ostatecznie przysłała na wzgórze razem z Zoe i tak jak ona tkwiła pod ostrzałem. Niegdyś dziewczynie nie przysłoby do

głowy, że któregoś dnia przyzna jej i Clarze posiadanie wielu zalet. Nawet się nie spostrzegła, gdy dwie najbardziej znienawidzone kobiety stały się drogie jej sercu! Przymknęła oczy i oparła się o głaz. Pora postawić pytanie, jak dobrym przyjacielem jest ona - Zoe Wilder? Przyszła tu, by ocalić Clare, a udało jej się jedynie narazić na niebezpieczeństwo Juliette. Teraz nie pora wypominać, czyj pierwotnie był ten poroniony pomysł... Zoe знаła się na strzelaniu i mogła przewidzieć, jak mogą potoczyć się sprawy. Powinna okazać się bardziej przezorna. Juliette nie zasługiwała na to, by umrzeć od kuli tego łajdaka. To Zoe wybierała się nad Jukon ze świadomością, że idzie na śmierć. Przypomniała sobie, że jej znajomość z Tomem i tak nie ma żadnej przyszłości... Zacerpnęła powietrza. W gruncie rzeczy śmierć z broni palnej mniej ją przerażała od widma szubienicy. Zresztą może uda jej się wykaraskać z opałów? Pewną ręką załadowała ponownie strzelbę.

- Posłuchaj, Juliette! Kiedy wstanę i wyceluję, zacznij uciekać. Nie ścieżką, ale przez las, między drzewami! Wiem, że tam jest wysoki śnieg i będzie ci trudno biec, ale zostań pod osłoną drzew, aż chata nie zniknie ci z oczu, dobrze?

- Nie chciałabym okazać się niegrzeczna, ale... Czyś ty straciła rozum? Jeśli wstaniesz, Horvath ma cię jak na dłoni!

- Jeżeli nie wstanę, zamarzniemy na kość!

- Zoe, właśnie doszłam do pewnego wniosku... To był poroniony pomysł i ja jestem winna, że cię w to wpakowałam i teraz zginiemy... - Juliette załamał się głos.

- Nie, to moja wina. Dałam się ponieść impulsowi, zamiast staranniej przemyśleć sprawę. - Dziewczyna machnęła przecząco ręką, choć jej towarzyszka nie mogła tego widzieć. - Teraz to nie ma znaczenia, przygotuj się tylko do ucieczki!

- Zoe...? Cokolwiek się wydarzy... Kocham cię!

Dziewczynę zatkało.

- I ja cię Kocham! - Zagryzła wargi. - Powiedz Tomowi... i Clarze... Sama wiesz co. Dobierz ładne słowa.

- Och, Zoe, niech to cholera!

- Teraz się sprężaj. Policzę do trzech i wstaję, a ty uciekaj! - Zoe zaczerpnęła haust lodowatego powietrza i spróbowała wyobrazić sobie chatę i otwór drzwiowy, obramowany nie-heblowaną ościeżnicą. Jeśli Horvath nie dosłyszał ich prowadzonej półgłosem rozmowy, może uda jej się wystrzelić pierwszej. Kto wie, może jeszcze wszystko dobrze się skończy... - Raz... - przyłgnęła policzkiem do skały i przesunęła stopy, szukając lepszego oparcia. - Dwa... - Uspokoila ramię i podniosła strzelbę. - Trzy! - Wynurzyła się wprost pod gesty ostrzału. Kule świszczały wszędzie koło niej. Widziała Horvatha, który mierzył nie w nią, lecz w stronę ścieżki. Nagle usłyszała głos Toma:

- Schowaj się!

Całkowicie zbита z tropu Zoe opadła na kolana za osłoną głazu i zerknęła w dół stoku. Ujrzała grupę kilkunastu mężczyzn, biegnących ku niej ścieżką. Odsiecz prowadził Niedźwiedź z Tomem i Benem u boku. Wszyscy byli uzbrojeni i strzelali nieprzerwanie w chatę Horvatha. Zauważyła, że żaden z nich nie okazał dość przezorności, by szukać schronienia

przed strzałami tamtego, i serce podeszło jej do gardła. Niedźwiedź miał rękę na temblaku i twarz purpurową od wysiłku wspinaczki, ale raz po raz naciskał spust.

- Ty nicponiu, ty tchórze, ty nędzny śmieciu! Najpierw strzelasz mi w plecy i próbujesz zabić moją kobietę, potem nastajesz na życie jej przyjaciółek! Bezbronnych kobiet!

Góry grzmiały odgłosem strzelaniny tak gęstej, że nie dało się odróżnić poszczególnych wystrzałów. Zoe zasłoniła uszy. Widziała przebiegające koło głazu sylwetki. Wreszcie zapadła cisza... Obie kobiety dzwignęły się powoli z kłeczek. Horvath leżał zabity, a mężczyźni stali kręgiem wokół jego ciała i poszeptywali cicho między sobą zastanawiając się, czyja kula okazała się tą celną. Tom obrócił się i napotkał spojrzenie Zoe. Wziął Bena pod rękę i obaj wycofali się z kręgu.

- Jesteś cała? - wydusił ze ściśniętego gardła.

- Tak... zapewniła Zoe. Ben minął ją spiesząc do Juliette. - Odlamek skały zranił mnie w policzek, ale to tylko zadrapanie.

- Dobrze. Cud, że nikomu nic się nie stało. Coście wy sobie myślały, u diabła?! - Podparł się pięściami pod boki, a jego zielone oczy zionęły prawdziwym ogniem. - Bóg jeden wie, co by tu się stało, gdyby kilku z naszych nie tkwiło w pobliżu, trzymając Horvatha na oku! Wpakowałyście się w taką kabałę, że mogłyście się dać zabić!

Gapiała się na niego z otwartymi ustami.

- Pilnowaliście Horvatha?

- Oczywiście! - W jego głosie zabrzmiała zdumiona irytacja. - Przecież groził, że znowu napadnie Niedźwiedzia i

Clarę. Myślisz, że byśmy mu na to pozwolili? - Zerwał z głowy kapelusz i przeczesał włosy palcami. - Do licha, Zoe! Gdyby Abner nie pospieszył do obozu i nie zaalarmował reszty, mogłyście obie marnie skończyć!

- Nie sądziłyśmy, że ktokolwiek coś robi, żeby powstrzymać tego opryszka.

Podszedł do nich Niedźwiedź.

- Abner widział tylko część całego przedstawienia, ale Cal Rye był świadkiem od początku do końca i słyszał każde słowo - rzekł. - Te damy próbowały dokonać obywatelskiego aresztowania, któremu Horvath stawiał opór. - Komicznie przewrócił oczami. - Potem wystrzelił pierwszy. - Zerknął na strzelbę w dłoni Zoe. - Od tej chwili panie działały w samoobronie, a mężczyźni przyszli im z odsieczą, więc nie będzie żadnych kłopotów z policją. Tuzin mężczyzn zaświadczy, że widziało, jak Horvath strzelał do Zoe i Juliette.

Tom nie spuszczał z dziewczyny oczu.

- Zaczynam rozumieć, coście chciały osiągnąć. Myślałyście, że w ten sposób ocalicie Clarę i Niedźwiedzia, tak?

Zadarła buntowniczo brodę.

- Owszem, tak! I nie zamierzam przepraszać!

- Gdybyś przedtem porozmawiała ze mną, do cholery, byłbym ci powiedział, że Horvath nie zrobi nawet kroku bez naszej wiedzy!

- Niech to diabli! Ta kobieta powinna leżeć w łóżku. - Niedźwiedź patrzył w dół zbocza, ku Clarze, która, posapując, wspinała się ścieżką.

Jej ubiór zdradzał pośpiech; kapelusz miała na bakier, a ramię na temblaku ledwie osłaniał płaszcz zarzucony na lewą stronę. Szal odwinął się z głowy i ześlizgnął na śnieg. Clara dosłownie rzuciła się ku Juliette, nieomal przewracając ją na ziemię.

- Pani Weber wreszcie mi powiedziała, gdzieście obydwie poszły i dlaczego! Nikt nigdy nie zrobił dla mnie czegoś tak miłego... Dziękuję, z całego serca wam dziękuję i kocham was!

Juliette wyplątała się z fałd grubego płaszcza przyjaciółki, z trudem łapiąc oddech. Clara podbiegła kilka kroków i złapała Zoe.

- Dziękuję! - Przycisnęła ją zdrowym ramieniem tak mocno, że dziewczynie zabrakło w płucach powietrza. - Obie was kocham nad życie! Nigdy nie miałam takich przyjaciółek jak ty i Juliette! Jestem naprawdę szczęśliwą kobietą... - Popatrzyła na Niedźwiedzia, który objął ją zdrowym ramieniem.

Tymczasem Ben otoczył Juliette w talii i pomagał jej schodzić po zasneżonym stoku. Tom jednak nie ruszył się z miejsca, wciąż podparty pod boki, wpatrzony w Zoe.

- Tu dzieje się coś niezrozumiałego - oświadczył w końcu i machnął kapeluszem w kierunku strzelby opartej o głaz. - Potrafię zrozumieć, czemu przybiegłaś stawić czoło Horvathowi. Ale dlaczego w ogóle targłaś na Północ strzelbę? A już całkiem nie pojmuję, czemu dzisiaj gotowa byłaś dać się zabić!

Był wściekły i zraniony, że z własnej woli ryzykowała ich wspólną przyszłość. Ujrzała to w jego oczach... ujrzała

niewypowiedziane pytanie. Wiedziała, że potrafi wymyślić odpowiedź, która by go usatysfakcjonowała, choć nie byłaby prawdziwa. Tymczasem Tom ciągnął, jakby byli na stoku zupełnie sami.

- Posłuchaj, Zoe, szanowałem twoje prawo do prywatności, ale dzisiaj byłaś blisko tego, by dać się zabić. Do śmierci dręczyłyby mnie wyrzuty sumienia, że nie nalegałem, byś wyjawiała mi swój problem, tylko pozwoliłem, by tak cię przygniótł, że lekceważąc własne życie, wdałaś się w nierówną strzelaninę. Kochanie, nie sądzisz, że nadszedł czas, byś nie poskapiała mi odpowiedzi?

Znużonym ruchem zgarbiła ramiona i przetarła czoło dłonią zwiniętą w pięść.

- Jestem zmęczona oszukiwaniem... — szepnęła i rzuciła udręczone spojrzenie Clarze i Juliette. - Proszę was, dłużej tego nie zniosę! Muszę powiedzieć prawdę, bo ten człowiek zasługuje, by ją usłyszeć!

Odpowiedziały jej poważnym spojrzeniem i z wolna skinęły głowami. Clara jakby mimowolnie wysunęła się z ramion Niedźwiedzia.

- Ja, i mnie się zdaje, że nadszedł już czas...

Juliette odsunęła się od Bena i spuściła oczy na ścieżkę, a na jej policzkach zakwitły jaskrawe rumieńce.

- Przez cały czas ze strachem myślałam o tej chwili, lecz zarazem tęskniłam do niej całym sercem.

Tom zmarszczył czoło i zaskoczony przenosił spojrzenie na wszystkie trzy po kolei, wreszcie utkwił wzrok w Zoe.

- Kochanie...?

Wyprostowała ramiona i uniosła głowę. Serce waliło jej tak, że była pewna, iż wszyscy słyszą jego przyspieszony rytm. Zerknęła na mężczyzn, którzy wciąż kręcili się wokół niedokończonej chaty Horvatha. Miała nadzieję, że są zbyt daleko, by słyszeć jej wyznanie. Spojrzała prosto w oczy Toma.

- Wiesz, że przyjechałam na Północ, by kogoś odnaleźć. Chodzi o mężczyznę o nazwisku Jean Jacques Villette, którego zamierzam zabić. Dlatego przywiozłam strzelbę.

Nikt nie odezwał się ani słowem. Wreszcie Tom przerwał milczenie:

- Czemu chcesz zabić tego Villette'a?

Powieki dziewczyny zadrżały, lecz po chwili odzyskała panowanie nad sobą.

- Kiedyś wspomniałeś, że doszły cię słuchy o moim małżeństwie, a ja wyjaśniłam, że nie stanęłam przed ołtarzem... ale skłamałam, Tom. Moim mężem jest właśnie Jean Jacques Villette!

- To jednocześnie mój mąż - uzupełniła niechętnie Clara, wpatrzona w czubki swoich butów.

Juliette nie podnosiła oczu ze ścieżki.

- I mój...

Nadszedł czas wyjaśnień, ale podwórko przed chatą Horvatha nie było dla nich odpowiednim miejscem, powrócili więc do domku pani Dame i zasiedli w kuchni, mężczyźni stłoczeni po jednej stronie stołu, kobiety naprzeciwko. One miały na twarzach wyraz bezradnej rozpacz, w oczach mężczyzn niedowierzanie stopniowo przechodziło w gniew.

- Oto nasza historia - zakończyła Zoe i spuściła wzrok na dłonie przyciśnięte płasko do blatu. - Dlatego wyruszyliśmy na szlak do Dawson, żeby zdemaskować Jeana Jacques'a Villette'a i zastrzelić go za to, co nam zrobił.

- Teraz ukaranie go nie wydaje nam się tak ważne. - Clara westchnęła, odsuwając z czoła chmurę rudych kędziorów.

Juliette zerknęła na kamienne oblicze Bena i szybko odwróciła wzrok.

- Wiem, co masz na myśli... i ja już nie dbam o to, czy kiedykolwiek dowiem się, czemu Jean Jacques poślubił nas wszystkie. Gdyby tu teraz wszedł, nie miałabym mu nic do powiedzenia.

- Ani pan Villette tu nie wejdzie, ani nie odnajdziecie go w Dawson - oświadczył Tom martwym głosem, a zielonkawe oczy utkwione w Zoe nawet nie drgnęły. Dziewczyna zwilżyła usta.

- Czemu?

- Bo doskonale wiem, gdzie jest, i mogłem was zabrać do niego pierwszego dnia po waszym wylądowaniu na plaży w

Dyea, gdybyś zamiast kłamać, zaufała mi, jak przystało w stosunku do starego przyjaciela rodziny, który cię kochał!

Wszystkie trzy wciągnęły ze świstem powietrze i pochyliły się do przodu, otwierając szeroko oczy.

- A więc był w Dyea? - wykrztusiła Zoe, a serce podeszło jej do gardła.

- Villette wynajął moich Indian do transportu bagaży przez przełęcz Chilkoot i dalej, ale nie dotarł nawet do przełęczy i wrócił do Dyea. Poznałem go, kiedy przyszedł do mnie, domagając się zwrotu części zapłaty, bo tragarze nie musieli wnosić pakunków w góry. Wyjaśnił, że jest chory, a ja posłałem go do starego doktora Popowa, który stwierdził u niego gruźlicę i poradził powrót pierwszym statkiem, jaki zawinie do Dyea.

- Zdaje się, że zaczynam odgadywać ciąg dalszy tej historii - szepnął Ben zduszonym głosem.

Niedźwiedź przytaknął.

- Sukinsyn odpłynął na pokładzie Annasett!

Kiedy Tom potwierdził ich domysły, twarz Zoe pobladła jak śnieg, a Clara i Juliette wydały cichy okrzyk.

- Jean Jacques był w Dyea, kiedy tam dopłynęliśmy, więc cała wyprawa była daremna! Cały koszmar szlaku: utrata wagi i groźba szkorbutu, zimna strawa i bezsenne noce, zęby szczękające z zimna, wypadek Juliette, rana postrzałowa Clary... wszystkie niedogodności, siniaki i zadrapania, niepokój i znój wędrówki - wszystko na próżno! I to z mojej winy - biadała Zoe.

Tom przytaknął bez cienia litości:

- Owszem, wszystko przez twój brak zaufania, bo gdybyś mnie nie okłamała...

- Nie ona jedna skłamała - wtrącił Ben surowym głosem i oczami zwięzonymi w szparki świdrował Juliette. - Zwodziły nas przednio! Pozwoliłaś mi sądzić, że jesteś wolna.

Niedźwiedź napiął mięśnie twarzy, aż szczeka zadrżała mu konwulsyjnie.

- Opowiedziałem ci o swoich dziejach, żebyś mogła wybierać, czy chcesz się ze mną zadawać, czy akceptujesz mnie z moją nieszczęsną przeszłością! Niczego przed tobą nie zataiłem... - Clara spuściła smętnie głowę. - Gdybyś odplaciła mi tą samą monetą szczerością, z całym szacunkiem uchyliłbym kapelusza i zostawiłbym cię w spokoju. Robiłem w życiu rzeczy, które nie napawają mnie dumą, Claro, ale dotąd nie pohańbiłem się uwodzeniem zamężnej kobiety! - Na jego obliczu pojawił się grymas wstretu.

Tom wstał i obrzucił Zoe spojrzeniem wypranym z wyrazu.

- Chciałbym się z tobą rozmówić na osobności.

Dziewczyna skinęła głową i powiodła go do salonu. Po chwili wahania Clara gestem zaprosiła Niedźwiedzia do sypialni, zostawiając Juliette z Benem w kuchni.

W salonie Zoe stanęła przed kominkiem i odwróciła się twarzą do Toma.

- Zataiłam prawdę o Jeanie Jacques'u z dwóch powodów... -Zacisnęła dłonie w pięści, by ukryć ich drżenie, i ciągnęła opowieść, jak to nie chciała, by mama dowiedziała się niefortunnych szczegółów o małżeństwie córki ze sklepowych plotek.

Tom podniósł brwi aż po linię włosów.

- Nie ufalaś mi nawet, że zachowam dyskrecję, jeśli mnie o nią poprosisz? Co ty sobie właściwie o mnie myślisz? Że dałbym ci obietnicę i złamał ją przy pierwszej lepszej sposobności? Czy sądzisz, że nie potrafię dotrzymać słowa?

Ranił jej serce!

- Jest coś jeszcze: nie chciałam, żebyś wiedział, jaka byłam głupia i łatwowierna. Dlatego skłamałam, że do małżeństwa nie doszło. Nie chciałam ci wyjawić, jak dałam się nabrać na gładkie słówka i że zamiast dojrzeć, kto naprawdę kryje się pod fałszywymi pozorami, widziałam tylko jego czyste paznokcie!

- Widziałaś siebie samą, jak rozpierasz się w powozie jadącym ulicami Newcastle, i pysznisz się, żeś lepsza od nas, górniczej gawiedzi - syknął.

Zoe drgnęła, jakby ją uderzył.

- Zasluguje na te okrutne słowa... może naprawdę właśnie o tym marzyłam. - Jak mogła być tak płytka i ślepa? Teraz widziała jasno całą marność swoich fantazji i nienawidziła ich. - Oczywiście Jean Jacques dostrzegł mój snobizm i go wykorzystał, ale to było dawno temu, Tom! Popatrz na mnie teraz - na takiego pięknoducha jak Jean Jacques nie pofatygowałabym się nawet spojrzeć po raz drugi. Wiem, że liczy się natura człowieka, nie jego pochodzenie czy stosunki.

- Nie obchodzi mnie ten drań ani powody, dla których go poślubiłaś, ale dotknął mnie twój brak zaufania, Zoe. Myślałem, że skoro oboje jesteśmy z Newcastle i znamy się od

tylu lat, możemy sobie wzajemnie zaufać. - Patrzył na nią jak na obcą istotę, a jej serce lkało żałośnie na ten widok. - Tamtej nocy, gdy zaskoczyła nas zadymka, powierzyłaś mi życie, ale nie potrafiłaś zawierzyć sekretu. Jeśli nie miałaś do mnie tyle zaufania, by wyjawić mi dość ważki szczegół dotyczący swojego stanu cywilnego i zdradzić, że jedziesz ustrzelić mężusia, co jest warta łącząca nas rzekomo więź?

- Och, Tom! - Wezbrane łzy spływały po policzkach dziewczyny.

On tymczasem okręcił się na pięcie i odszedł od kominka.

- Wychodzę. Muszę sobie to wszystko przemyśleć.

Kolana ugięły się pod nią. Osunęła się na fotel i zapatrzyła wzrokiem pozbawionym nadziei w zamierające płomyki. Od początku wiedziała, że to nie skończy się dobrze! Przewidywała nawet, czym zasłuży na jego niechęć: nie tym, że całowała go, będąc mężatką, ale tym, że odmówiła mu zaufania. Kiedy teraz spoglądała wstecz, nie pamiętała już, dlaczego wydawało jej się to właściwe; dawne powody brzmiały trywialnie, a nawet obelżywie. Zgięła się w pół i ukryła twarz w dłoniach. Gdyby mogła cofnąć wskazówki zegara i znowu znaleźć się naprzeciw Toma na plaży w Dyea!

- Nie chcę nic o nim wiedzieć! - warknął Ben. - Wszystkie trzy powinnyście były bez najmniejszej zwłoki skontaktować się z adwokatem, ale to mnie w tej chwili ani ziębi, ani parzy. -Przerwał niespokojną wędrówkę po kuchni i rzucił jej przenikliwe spojrzenie. - Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jaki wybuchłby skandal, gdyby doszło do czyichś uszu,

że właściciel i prezes banku Bay City uwiódł mężatkę, na domiar złego jedną z inwesterek i depozytorek banku?

- Ben...

- Opinia publiczna domaga się, by bankierzy pozostawali poza wszelkimi podejrzeniami. Muszą wieść nieposzlakowane życie. Nawet wyjawienie wszystkich okoliczności naszej niefortunnej znajomości nie uchroniłoby banku przed upadłością, a mnie przed ruiną!

- Chciałam ci powiedzieć... - Mruganiem odpędziła łzy z oczu i załamała ręce. - Chyba jednak rozumiesz, czemu nie mogłam tego zrobić?

- Nie, Juliette, właśnie tego nie rozumiem! Sądziłaś może, że zdradzę twoje tajemnice? A komuż to miałbym je wypaplać, u diabła?! Wyobrażałaś sobie może, że opublikuję biuletyn z informacją, jak to zakochałem się w żonie bigamisty? Na Boga jedyne, komu można zaufać, jeśli nie własnemu bankierowi?

Nie udało jej się stłumić łez.

- Kocham cię, Ben. Myślałam, że gdybyś się dowiedział o Jeanie Jacques'u, usunąłbyś się i ja... - Zakryła twarz chusteczką.

- Być może rzeczywiście trzymałbym się na odległość, ale to nie jest pewne. Biorąc pod uwagę siłę moich uczuć do ciebie, chyba przemyślałbym sprawę i doszedł do wniosku, że za nic mam ryzyko skandalu, bo ty jesteś dla mnie ważniejsza. Ale powinnaś była zostawić mi możliwość wyboru.

Nie znalazła słów na swoją obronę. Ben miał rację. Przypatrywał jej się oczami twardymi jak błękitne kamyki.

- Wszystko, co mam, gotów byłbym postawić w zakład, że jesteś uczciwa i niezdolna do kręactwa. Teraz resztę życia będę się głowił, jak mogłem się tak pomylić w ocenie twojej osoby!

Jego słowa trafiały prosto w serce Juliette, raniąc je boleśnie.

- Ben, błagam. Proszę... - Nie miała pojęcia, o co chce go prosić. O zrozumienie? O drugą szansę? Wiedziała tylko, że jest chora z niepokoju i udręki. Od początku przewidywała konieczność konfrontacji, ale nie mogła odgadnąć, jaką męką będzie spoglądanie na siebie jego oczami i usłyszenie z jego ust, że go straciła!

Patrzył na nią zaskoczony i zagubiony. Nagle ramiona mu obwisły, a twarz stężała. Skłonił się lekko.

- Do widzenia, pani Villette! Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

Nie odwracając głowy, opuścił kuchnię, chatę i jej życie. Osunęła się na podłogę jak złamana kukielka. Niewidzące oczy utkwiała w nogach stołu, a w głowie miała tylko jedną myśl: szkoda, że Horvath jej nie zastrzelił! Śmierć od kuli byłaby tysiąc razy lepsza niż ta udręka...

W innych okolicznościach Clara wykorzystałaby fakt, że ręce obojga tkwiły na temblakach, jako okazję do żartu o parce zranionych ptaszków czy coś podobnego. Niestety, skończył się dla nich czas przekomarzanek. Nigdy już nie odzyskają swobody wzajemnych stosunków...

- Przepraszam - szepnęła i usiadła na skraju łóżka. - Powinnam ci była opowiedzieć o Jeanie Jacques'u.

- Nie chcę wysłuchiwać zwierzeń o sukinsynie, który chadzał z tobą do łóżka! Natomiast gorąco życzę sobie dowiedzieć się, czemu nie powiedziałaś mi, że jesteś mężatką!

- Nie wiem, czy nią jestem. Nie może tak być, by wszystkie trzy śluby były ważne.

Olbrzym podszedł do osadzonego w ościeżnicy okna bloku lodu i wyrżał w szarość nadciągającego zmierzchu.

- Claro, do diabła! - Walnął pięścią w ścianę ze świerkowych bali, aż zatrzęsa się chata. - Sądziłem, że należysz do uczciwych, godnych szacunku kobiet. Taki byłem dumny, że jedna z nich wybrała właśnie mnie! Wszystko ci o sobie opowiedziałem, ale ciebie to nie zraziło... - Uderzył się w pierś. - Niech mnie diabli porwą, jeśli w tamtej chwili nie poczułem się o niebo lepiej! Twoja akceptacja uleczyła jakąś ranę, którą nosiłem tam w głębi przez całe życie, sam o niej nie wiedząc i nie potrafiąc jej nazwać.

- Och, Niedźwiedziu... - Ona potrafiła: to był wstyd. Ten sam, który takim ciężarem spoczął teraz na jej sercu! Z wszystkich bolesnych wyrzutów, które mogła od niego usłyszeć, ten był najgorszy. Kiedy wspomni kiedyś tę chwilę, najbardziej będzie ją ranić świadomość krzywdy, jaką mu wyrządziła. Najpierw mu ulżyła, bo mógł odrzucić poczucie wstydu haniebnego pochodzenia, a potem z powrotem mu je zwracała!

- I nie opowiadaj andronów, że niby nie jesteś mężatką. Złożyłaś ślubowanie. Nie wzięłaś rozwodu i nie jesteś wdową. Wiedziałaś, że gdzieś po świecie pałęta się żyjący mąż,

przyjechałaś go tu odnaleźć. Mimo to pozwoliłaś mi zakochać się w tobie.

Na te oskarżenia nie było obrony.

- Czy wiesz, dlaczego nigdy się nie ożeniłem? - zapytał ją nagle.

- Chyba wiem - odrzekła szeptem.

- Uczciwa kobieta nie wyszłaby za mężczyznę z moja przeszłością a ja sam nie chciałem związku z żadną inną. - Głos zmiękł mu na chwilę. - Mój skarbie... zdawało mi się, że słońce nigdy nad tobą nie zachodzi! Wydawało mi się, że jesteś czymś najpiękniejszym, co mogło mi się przydarzyć!

Teraz poczuła lży, cicho toczące się po policzkach.

- Ale ty... nie jesteś w niczym lepsza ode mnie.

- Nie byłam lepsza od ciebie ani nikogo i wtedy, gdy mnie ustawiłeś na piedestale swoich ideałów, Niedźwiedziu! - Wyciągnęła do niego zdrowe ramię, ale się zawahała i ręka opadła jej na kolana. - Przepraszam...

- Nigdy nie udawałem kogoś lepszego, niż jestem. Gotów byłem życie postawić w zakład, że jesteś tak samo uczciwa. Od początku domyślałem się, że wasza trójka dzieli wspólny sekret, ale spodziewałem się czegoś w tym rodzaju, że uciekłyście od rodzin w poszukiwaniu przygód... albo wszystkie jesteście starsze lub młodsze, niż mówiłyście. No wiesz, takie tam... Bo kombinowałem, że gdyby chodziło o coś poważnego, przecież byś mi zaufała i wyjawiała swój kłopot, skoro ja to zrobiłem wobec ciebie?

- Chciałam, och, jak chciałam! Nawet nie wiesz, jak bardzo... - Lży płynęły coraz szybciej. Nieznośna była dla niej

świadomość, że zapamięta ją płaczącą. Odejdzie z obrazem jej zaczerwienionej twarzy, zapuchniętych powiek i ciekącego nosa!

- Moglibyśmy coś razem obmyślić, Claro! Gdybyś mi zaufała, jak ja tobie. Nie wiem... teraz czuję tylko wściekłość i gniew oszukanego. Myślę, że miałaś rację wtedy, na zboczu góry, kiedy powiedziałaś, że spotkało cię szczęście. Villette okradł cię przecież tylko z pieniędzy. Gdybym i ja to mógł o sobie powiedzieć...!

Kiedy wreszcie odważyła się podnieść wzrok, jego już nie było. I wtedy zaczęła się jej udręka.

Tej nocy żadna nie zmrużyła oka. W końcu porzuciły udawanie i zasiadły razem przed ogniem, szukając wzajemnie wsparcia. Słabą pociechę przyniosło ciepło płynące z piecyka i towarzystwo przyjaciółek. Płakały, aż oczy zapuchły i utworzyły się z nich szparki, które dotkliwie bolały przy byle mrugnięciu. Przemoczyły do szczytu wszystkie chusteczki. Miały wrażenie, że płaczem wyzbyły się ostatniej kropli wilgoci.

Nic nie zdołało wyrwać ich z biernego smętku do chwili, gdy tuż nad ranem wrócił Tom. Clara i Juliette podniosły się, by zostawić Zoe i jego sam na sam.

- Nie musicie się trudzić... Siadajcie - odezwał się markotnie. Mówił ze wzrokiem wbitym w ścianę nad głową dziewczyny. - Kiedy Villette wrócił do Dyea, zostawił na przełęczy Chilkoot wszystkie swoje bagaże. Moi Indianie zdecydowali, że pierwszeństwo transportu przysługuje innym klientom, którzy podążali dalej szlakiem, i woleli zająć się nimi,

niż odnosić do Dyea pakunki kogoś, kto zrezygnował. Villette, zanim wsiadł na „Annasett”, polecił mi wysłać jego własność najbliższym parowcem do Lorna Grande w Kalifornii. Wykonałem jego polecenie.

- Kalifornia... - westchnęła Juliette.

- Czy był poważnie chory? - spytała Clara.

- Widziałem bardziej chorych od niego, którzy pokonywali przełęcz Chilkoot i dochodzili do Dawson - skwitował oschle. - Ale doktorek rozpoznał suchoty i rzeczywiście doradził mu powrót najbliższym parowcem. - Wzruszył ramionami i wepchnął ręce do kieszeni. - Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie, czy Villette jest jedną nogą w grobie, czy też wyolbrzymiał ataki kaszlu, by móc się wycofać, zachowując honor.

Zoe odwróciła się twarzą do ognia. Juliette zaczęła masować sobie skronie, jakby dopadła ją migrena. Clara przycisnęła do ciała rękę na temblaku.

- Kiedy chcecie wracać? - spytał Tom.

Wszystkie trzy zastygły w bezruchu i popatrzyły na niego zaskoczone.

- Chyba rzeczywiście nie mamy powodu iść do Dawson - przyznała w końcu Clara.

Juliette dotknęła ust drżącymi palcami.

- Nie, najmniejszego.

- Powinnyśmy chyba wyruszyć, gdy tylko ręka Clary się zagoi i rana w boku przestanie jej dokuczać na tyle, by mogła biec za saniami - odezwała się Zoe, patrząc na ogień w piecyku.

Tom stał między nimi: przystojny, ogorzały, naznaczony znojem życia mężczyzna, pełen łatwo wyczuwalnego autorytetu. Patrzyły na nie surowe oczy z twarzy stężałej jak lód na jeziorze.

- Skoro nie idziecie do Dawson, nie potrzeba wam zapasów żywności na cały rok i innego wyposażenia. Możecie znacznie odciążyć sanie, sprzedając wszystko, co jest zbędne w krótkiej podróży powrotnej do Dyea. Jeśli zmniejszycie ładunek, da się położyć Clare na saniach, więc bez przeszkód możecie wyjechać nawet jutro.

Zoe popatrzyła na Clare i Juliette i zacisnęła dłonie na kolanach.

- Chyba zdążymy się przygotować... - Jej towarzyszki skinęły potakująco. Podniosła na Toma oczy, przez które przeziarało zbolełe serce. - Wyruszysz z nami?

- Nie. Zleciłem Lucowi dowiezenie was do Dyea. On też zajmie się załadowaniem was na najbliższy statek - Tom wreszcie skierował wzrok wprost w oczy dziewczyny. - Bądź zdrowa, Zoe. Pozdrów Jacka, gdy go znowu zobaczysz.

Zawahał się nieznacznie, jak gdyby jeszcze coś chciał powiedzieć, zamruczał pod nosem, skłonił się Clare i Juliette i cicho zamknął za sobą drzwi.

- Wracamy do domu - szepnęła Zoe, by przerwać nieznośną ciszę. - Jutro... - Na jej rzęsach zadrżała wielka ła, oderwała się i spłynęła w dół policzka.

Juliette ponownie przytknęła chusteczkę do twarzy.

- A myślałam, że już wypłakałam wszystkie łzy!

Clara podeszła do okna i oparła na nim czoło, jak gdyby mogła przebić wzrokiem mętną ciemność lodowej bryły.

- Miałam nadzieję, że to się tak nie skończy. To zbyt nagle, zbyt... Sama nie wiem... - Jej głos zdławiała rozpacz. - W jednej chwili jestem czymś słońcem, a godzinę później okazuję się jego piekłem. Jak mogło do tego dojść? Jak mam z tym żyć?

Clara wzruszyła się, widząc, ilu ludzi przyszło je pożegnać i życzyć szczęścia. Pani Eddington przywiodła męża. Stawiły się wszystkie kobiety ze szlaku. Rozpoznawała twarze mężczyzn, których zwyciężyła w turnieju. Wymieniła uśmiechy z kilkoma, których położyła w czasie niesławnej bijatyki nad jeziorem. Nie dojrzała w tłumie tylko jednej twarzy: tej, za którą najbardziej tęskniła.

Aż do chwili, gdy Luc zapiał rzemienne pasy na przykrywających ją kocach, miała nadzieję, że przyjdzie. Dopiero gdy sanie ruszyły, przyznała, że jego widok nie mógłby zmienić jej decyzji wyjazdu. Kiedy ruszyli na szlak, poczuła nadzieję, że Niedźwiedź podaży za nimi. Juliette, jako najślabszy członek grupy, nadawała zółwie tempo. Nie byłoby mu trudno doznać ich pochód, ale nie zrobił tego.

Miała jeszcze słabą nadzieję, że kiedy dojadą do pierwszego postoju, ujrzy go przy poczerniałym miejscu na ognisko, jak niecierpliwie wygląda ich, zadowolony, że udała mu się niespodzianka.

- Wiem, o czym myślisz... - usłyszała smętny głos Juliette, która widziała, jak przyjaciółka rozgląda się po polanie. - Oni nie przyjadą.

- Popatrzcie! - krzyknęła Zoe dziwnym głosem. - Chilkaci rozbijają namiot, a Henry... chyba wziął się za gotowanie kolacji!

Podszedł do nich Luc, który usłyszał zdziwiony komentarz.

- Pan Tom polecił nam zaopiekować się paniami należycie, jak byście były najbogatszymi klientami.

Twarz Zoe zbieleła pod maską z tłuszczu i popiołu. Dziewczyna odwróciła się i odeszła bez słowa.

- To nie była aluzja do Jeana Jacques'a - upierała się Clara nieco później, gdy leżały już na połowych łózkach, a znajomej ciasnoty namiotu dopełniał rozgrzany do czerwoności piecyk.

- A właśnie, że była!

- Clara ma rację. - Juliette podniosła się nieco i oparła na łokciu. - Tom cię kocha, Zoe. Pragnie, by podróż powrotna była dla ciebie jak najwygodniejsza, więc poinstruował Indian, by się zajęli nami jak bogatymi klientami. Użył tego wyrażenia, by Chilkaci pojęli, czego od nich żąda. Przecież inaczej nie zajęliby się rozbijaniem obozu! Tylko o to chodziło.

- Nie chcę od niego żadnych przysług - parsknęła Zoe, rzuciła się na posłanie i utkwiała wzrok w suficie.

- A ja owszem! Chcę wszystkich możliwych przysług. - Clara zasłoniła dłonią ziewnięcie. - Ciekawa jestem, czy Niedźwiedź opłacił i ten odcinek naszej podróży?

- Nie, ja zapłaciłam - odezwała się Juliette, a na jej twarzy wykwitły jaskrawe rumieńce. - Tom co prawda nie wspomniał ani słowem o pieniądzach, ale pomyślałam... -

Wzruszyła ramionami. - Pani Eddington pewnie już mu wręczyła kopertę, którą dla niego zostawiłam.

Zoe usiadła prosto jak świeca na swoim posłaniu i zaklęła brzydtko.

- Do licha, Juliette! Nie życzę sobie twojej dobroczynności!

- Powiedz po prostu dziękuję i zamknij się - poradziła Clara, krzywiąc gniewnie wargi.

- Nie zginiesz, przyjmując drobną przysługę od Toma czy ode mnie - dodała Juliette.

- Nie dość, że zmuszasz mnie do przyjmowania nieproszonej jałmużny, to jeszcze gadasz tym swoim głosem cnotki świętoszki! Sama nie wiem co gorsze!

Juliette przerwała szczytkowanie włosów i zwróciła się do Clary:

- Czyś ty słyszała w tych słowach podziękowanie?

- Nie słuchałam. Myślałam o statku i o tym, że znowu będziemy musiały znosić jej rzyganie. - Westchnęła ciężko. - Pamiętasz, jak trzeba było po niej sprzątać, szorować podłogę z wymiocin i prać jej koszulę w miednicy wielkości naparstka? W porównaniu z tymi przysługami i naszą samarytańską opieką taka drobnostka jak ułatwienie podróży właściwie nie zasługuje na podziękowanie. Mnie się wydaje, że ona i tak nie zdoła się do końca swoich dni wypłacić z długów, jakie wobec nas zaciąga, więc możemy ją irytować dalszymi podarunkami i przysługami!

- Tak to ujmujesz, jakbym była głupia i niewdzięczna!

- Bo jesteś! - krzyknęły jednocześnie Clara i Juliette.

Zoe wbiła w nie rozplomieniony gniewem wzrok i nagle wybuchnęła śmiechem.

- Och, Boziu, Boziu, rzeczywiście się wyglupiam! Jestem zła na Juliette, że zapłaciła Tomowi, zła na Toma, że usiłował nam ułatwić koszmarną wędrówkę... To naprawdę głupie. - Wskoczyła na posłanie Juliette i mocno ją uściskała, po czym objęła Clarę nieco ostrożniej, by nie zerwać temblaka. - Dziękuję wam obu!

Clara uśmiechnęła się blado.

- Jakoś nie spodziewałam się, że już dzisiaj będziemy się śmiać.

- Ja myślałam, że to nigdy nie nastąpi - wyznała Juliette.

- Na waszym miejscu nie byłabym taka skora do radości. - Zoe zaczęła grzebać w torbie w poszukiwaniu chusteczki. - Ależ jestem pokręcona! To się śmieję, to wybucham płaczem! Czy tak już teraz będzie zawsze?

Na nic innego się nie zanosilo. Tak samo było przez następne cztery tygodnie każdej nocy, kiedy wsuwały się do śpiworów, znużone trudami pochodu przez zaśnieżone leśne pustkowia, wyczerpane sprzecznymi emocjami i nagłymi zmianami nastroju. Czasami zaczynały rozmowę płaczliwym: A pamiętasz, jak... i kończyły zrywając boki w szaleńczym śmiechu. Ale wystarczyło westchnienie którejkolwiek, a zaczynały łać łyzy, by kilka minut potem znowu zgodnie rechotać.

Na początku szóstego tygodnia na szlaku Clara zaczęła nalegać, że czuje się wystarczająco dobrze, by się zamieniać z

nimi za saniami. W ten sposób każda co trzeci dzień miała okazję wypocząć i znój wędrowki nieco mniej dawał im się we znaki. W te dni, kiedy na saniach jechała Juliette, tempo pochodu wydatnie rosło. Powrotna podróż okazała się więc o wiele łatwiejsza.

- Luc liczy, że oszczędzimy przynajmniej dwa tygodnie, jeśli pogoda nam dopisze i utrzymamy obecne tempo - napomknęła Zoe, gdy stały kręgiem wokół piecyka Henry'ego, grzejąc dłonie o kubki gorącej kawy. Tupały zawzięcie, by rozgrzać zmarznięte palce u stóp. W czasie długich godzin ciemności temperatura spadała przeraźliwie nisko; nocami dochodziła do trzydziestu stopni poniżej zera, choć w dzień podnosiła się do piętnastu.

Clara pomachała ręką nad kubkiem, by gorąca para owiała jej twarz.

- Nigdy nie zapomnę piękna tej krainy. Góry, śnieg... dech zapiera! I ta obfitość zwierzyny; dzisiaj widziałam orła, losia i wilka.

- Wiosną musi tu być uroczo - mruknęła Juliette zza szalika zakutanego na brodzie. Znad wełnianego rąbka widać było tylko oczy. - Co zrobimy po powrocie do Seattle? Będziemy kontynuować poszukiwania Jeana Jacques'a?

- Mnie się już odechciało go mordować. Nie teraz...

- Wciąż mi zależy na odzyskaniu pieniędzy, ale pewnie on i tak już je wydał!

- Sama myślałam, czy mam ochotę go szukać, i postanowiłam, że jednak pojedę do Lorna Grande - oświadczyła

Juliette, kiwając głową jakby sama do siebie. - Nie mam nic innego do roboty, więc go odnajdę i napluję mu w twarz!

- Och, mein Gott! - zdumiała się Clara. - Ty się wybierasz do Lorna Grande? Więc i ja tam pojedę! - Obie spojrzały na Zoe.

- Wicie... znowu zaczynam być na niego wściekła. Być może jednak nie minęła mi do reszty chęćka, by go nafaszerować ołowiem! Przez niego porzucił mnie mężczyzna, którego naprawdę kochałam. Wiem, wiem... okłamałam Toma i to dlatego. Ale do tego kłamstwa doszło przez Jeana Jacques'a!
- Wylała resztkę kawy na śnieg. - Tak, mam kilka słów do powiedzenia temu obwiesiowi... i owszem, jadę z wami do Loma Grande!

- Ustawimy się rzędem i każda napluje mu w twarz! - zaproponowała Juliette. - Nie mogę pojąć, jak byłam zdolna uwierzyć, że go kocham. Nie wiedziałam, co to miłość, aż do dnia, gdy spotkałam Bena!

Wtedy właśnie przekonały się, jak nierozsądnie jest płakać na mrozie. Przy minus trzydziestu stopniach lzy po prostu zamarzają na policzkach!

Choć wydawało się to wszystkim trzem paniom Villette niemożliwe, powrotna podróż morzem okazała się jeszcze potworniejszym przeżyciem niż rejs na Alaskę. Pierwszym parowcem, jaki zawinął do Dyea, była „Biała Gwiazda”, której następnym portem miało być San Francisco. Mogły wyjechać, nie zwlekając, lecz oznaczałoby to dodatkowo tydzień na morzu - prawdziwą męczarnię dla Zoe. Mogły też siedzieć przez miesiąc w Dyea, czekając na statek, który płynąc na południe, zawinie po drodze do Seattle. Clara i Juliette głosowały za niezwłocznym opuszczeniem Alaski i niemal przemocą wciągnęły Zoe na pokład „Białej Gwiazdy”. Dziewczyna zaczęła chorować, zanim statek podniósł kotwicę.

Do niedogodności pierwszego rejsu doszedł jeszcze gwałtowny szkwał, szarpiący statkiem na wszystkie strony. „Biała Gwiazda” skakała na falach jak korek. Wszystkie trzy niemal uwierzyły, że tym razem śmierć rzeczywiście zagłąda Zoe w oczy; sama chora uznała ją za błogosławieństwo i głośno domagała się rychłego wybawienia z bolesti. Doszło do tego, że Clara i Juliette rozważały, czy nie spełnić jej życzeń, gdyż same wychudły jak szczapy, dogładając chorej, która wrzeszczała i obrzucała je obelgami, wymiotowała na ich suknie i, ogólnie rzecz biorąc, nieustannie działała im na nerwy.

Kiedy „Biała Gwiazda” rzuciła kotwicę w zatoce San Francisco, wszystkie trzy łkały z ulgi, a gdy wreszcie postawiły stopę na suchym lądzie, zaczęły szlochać z żalu, że mroźna Północ została tak daleko za nimi. Tysiąc razy wołałyby cierpieć

chłód i niewygodę surowej krainy, która skradła ich serca, niż wygrzewać się w słonecznej Kalifornii, gdzie dni wydały im się nieskończenie długie.

Spędziły tydzień w hotelu Astor, by dać Zoe czas na powrót do zdrowia. Juliette uparła się, by wynająć apartament, i opłaciła ten luksus z własnej kieszeni.

- Ten krem do twarzy nie umywa się do tłuszczu wytopionego ze słoniny - utyskiwała Clara, gładząc policzki, gdy pewnego dnia wylegiwały się w saloniku. - Popatrzcie tylko! Skórę mam spierzchniętą i wysuszoną, jakbym właśnie spędziła kilka godzin, gnając za saniami!

Juliette podniosła wzrok znad książki, w lekturze której usiłowała się od jakiegoś czasu bezskutecznie zagłębić.

- Masz prześliczną cerę...! A jak pysznie dobrałaś nową suknię! Zdecydowanie zaczynasz wyrabiać sobie gust. Gdybyśmy tylko zdołały cię przekonać, żebyś coś zrobiła z tymi nieszczęsnymi buciorami...

Zoe odepchnęła Clarę od lustra i przyjrzała się krytycznie własnemu odbiciu.

- Włosy zaczynają odzyskiwać dawny blask. Ale kości policzkowe wciąż jeszcze wystają... - Przeniosła wzrok na odbicie Juliette. - Za to twoja fryzura przedstawia się dzisiaj bardzo elegancko!

- Ależ z nas milusie szczebiotki, posłuchajcie tylko, jakie sobie prawimy komplementy! - Zrezygnowana Juliette odłożyła powieść. - Chyba to dobra pora na prośbę o radę... - Zmarszczyła czoło i wbiła wzrok w złocony stiuk na suficie. -

Żadna z nas nie może liczyć na spełnienie marzeń, więc zastanawiałam się nad przyszłością, jaka mnie czeka.

Clara i Zoe zajęły stojące naprzeciw siebie fotele i skupiły całą uwagę na twarzy przyjaciółki. Widząc, że Juliette się waha, Clara przynagliła:

- Dalejże, mów! O jakiej przyszłości myślisz?

- Tak mi przyszło do głowy, że nigdy właściwie nie miałam przyjemności z odziedziczonej fortuny ani nie wykorzystałam jej do niczego pożytecznego. Chciałabym to zmienić. Postanowiłam, że nie wrócę do Linda Vista, częściowo dlatego, że nie chcę się narażać na małomiasteczkowe plotki, częściowo zaś, gdyż boję się, że łatwo wpadłabym w stare nawyki i pozwoliła ciotce Kibble podejmować za siebie wszystkie decyzje. - Zaczepnęła tchu i brnęła dalej: - Więc zdecydowałam się kupić dom w jakimś dużym mieście... może w Seattle?

- Seattle! Czemu nie tutaj, w San Francisco? - Zoe zamilkła raptownie. - Och, przepraszam. Ben i jego bank...

- Zamierzam poświęcić się poważnym zagadnieniom. - Jak zmarła żona Bena. Juliette wiele myślała o Helenie Dare, która czynnie uczestniczyła w sprawach otaczającego ją świata. Doszła do wniosku, że chce się przekonać, czy jest dość odważna, by stawić czoło nierównościom społecznym i włączyć się do walki o sprawiedliwość. Posiadając znaczne środki finansowe, mogła wiele zrobić dla poprawienia sytuacji gnębionych i poniżanych przez los.

- O jakich zagadnieniach mówisz? - zainteresowana Clara pochyliła się ku niej.

- Jeszcze się dokładnie nie zdecydowałam. Właśnie w tym względzie chciałam zasięgnąć waszej rady. Jak myślicie, czy kobieta może żyć i mieszkać sama, czy też to raczej skandaliczne prowadzenie? A co z podróżami, czy wolno mi podróżować samotnie? I zajmować się kwestiami publicznymi? - wiedziała z całą pewnością że nigdy nie wyjdzie za mąż. Skoro nie mogła mieć Bena, nie chciała żadnego innego.

Clara oświadczyła z całym przekonaniem:

- Nie będzie w tym nic skandalicznego! Szczególnie w wielkim mieście, gdzie ludzie mają szersze horyzonty. W dodatku jako bogata filantropka, łożąca wielkie środki na godne sprawy...

Zoe uśmiechnęła się.

- Odkąd stałaś gołą, jak cię pan Bóg stworzył, na plaży, na oczach kilkuset mężczyzn, nie sądzę, byś miała się jeszcze kiedy przejmować plotkami czy groźbą skandalu.

- Masz rację! - Juliette zachichotała radośnie. - Mimo to nie pozbyłam się tego głosiku, który szepcze mi do ucha napomnienia... - Uśmiechem podziękowała Zoe. - Czy ty już myślałaś, co chcesz robić, gdy rozprawimy się z Jeanem Jacques 'em?

Przez cały miniony tydzień niemal nieprzerwanie roztrząsały planowaną konfrontację i zgodnie postanowiły, że Zoe nie zastrzeli niewiernego męża. Zabicie go nie było warte kary, którą musiałyby ponieść. Zarazem jednak wiedziały, że nie są gotowe zaprzestać poszukiwań, które kosztowały je już prawie siedem miesięcy życia. Musiały doprowadzić sprawę do końca. Każda obiecywała sobie solennie, że uprzytomni

Jeanowi Jacques'owi bezmiar jego łotrostwa, ukazując mu ruinę życia oszukanych kobiet i utracenie przez nie wszelkich szans na szczęście. Każda chciała wyrzucić z siebie starannie hołubione pretensje. Każda czuła, że ma prawo zobaczyć jego skruchę.

- To, co powiem, może was zaskoczyć - zaczęła Zoe -ale kiedy już znajdziemy Jeana Jacques'a i mu nawymyślamy, chciałabym wrócić do rodziców. Zostanę u nich kilka miesięcy, żeby zobaczyć Newcastle niejako odrodzonymi oczami. Chcę odnowić korzenie i odszukać utraconą radość człowieka, który wie, kim jest.

- Masz nadzieję, że Tom powróci jednak do Newcastle? - spytała łagodnie Juliette.

Zoe szepnęła ledwie dosłyszalnie:

- Może... trudno mi się pogodzić, że potrafię głęboko odczuwać miłość i wiedząc, że jest odwzajemniona...

- Wiem, co masz na myśli - poparła ją Clara. - Co do mnie, gdybym mogła wybierać, podążylabym w ślad za tymi, którzy odpowiedzieli na złoty zew. Założyłabym na Północy kilka porządnych hoteli i szynków, gdzie serwowano by przyzwoitą strawę. Zbiłabym na tym majątek! - Westchnęła ponuro. - Ale jeśli bym wróciła nad Jukon, niechybnie prędzej czy później natknęłabym się na Niedźwiedzia, a takie spotkanie złamałoby mi serce. Może więc kupię po prostu mały pensjonat w Seattle.

Juliette oparła kędzierzawą głowę na fotelu i przymknęła oczy.

- Co za hańba! Byłaby ze mnie doskonała żona bankiera. Tom pasował do ciebie jak ulał, Zoe... A Clara! Razem z Niedźwiedziem stanowilibyście cudowną parę.

- Obiecałyśmy sobie nie mówić takich rzeczy - zaprotestowała Zoe zdławionym głosem i raptownie wstała, wygładzając spódnice. - Muszę dokończyć pakowania. Mówiłaś, zdaje się, że powóz przyjeżdża po nas o siódmej rano? - Rzuciła Juliette nieco wymuszony uśmiech. - Dziękuję za ten tydzień w apartamencie; było bosko! I dziękuję, że wynajęłaś powóz do Lorna Grande. Będzie wygodniej niż dyliżansem.

- To była czysta przyjemność - odwzajemniła uprzejmość Juliette.

- No i co, czy to takie trudne? - W oczach Clary zamigotały iskierki przekory.

Zoe, chociaż dziękując, mimowolnie zacisnęła zęby, przyznała:

- Za każdym razem jest nieco łatwiej...

Wszystkie trzy wybuchnęły swobodnym śmiechem i zamrugały powiekami, pod którymi wezbrały łzy wzajemnego przywiązania. Długa wspólna wyprawa zbliżała się do końca. Wiedziały, że już nigdy nie poznają tak intymnych sekretów drugiej kobiety i do żadnej tak się nie zbliżą jak do domniemanych rywalek.

Nic w Lorna Grande nie usprawiedliwiało drugiego członu nazwy „grande”. Jak wiele innych kalifornijskich miasteczek, wyrosło wokół katolickiej misji, założonej tu dziesiątki lat temu. Była to senna osada o mile zacienionych drzewami uliczkach,

które raz w tygodniu ożywały z okazji targu, by zapaść w drzemkę w południowym słońcu na następne sześć dni.

- Przypomina Linda Vista - zauważyła Juliette, wysiadając z powozu i rozglądając się.

Okazałe drzewa rosły wzdłuż głównej ulicy, na której nie widać było śladu chodników. Juliette zauważyła urząd pocztowy, sklep bławatny - raj dla pań ze stoiskiem perfumeryjnym i galanteryjnym. Dalej ciągnęły się magazyny z zaopatrzeniem rolniczym i paszami. Łatwo przyszło jej wyobrazić sobie resztę miasteczka: od głównej ulicy po obu stronach odchodziły alejki, przy których wzniesiono kilkanaście większych rezydencji. Na tyłach osady tłoczyły się skromniejsze i uboższe domki, a w dolinach gór otaczających Lorna Grande przycupnęły farmy, zajmujące się uprawą warzyw i owoców, dzięki którym osada mogła w ogóle istnieć.

Clara strzepnęła nieco stłamszoną długą jazdą spódnicę i obrzuciła jedyny zajazd Lorna Grande bystrym, szacującym spojrzeniem.

- Weranda aż piszczy, żeby ją odmalować, ale kwiaty w ogrodzie wyglądają całkiem miło.

- Pomyślcie, że gdzieś tutaj jest Jean Jacques - wtrąciła Zoe i zwilżyła wargi. - Niesamowite uczucie!

- Chyba że znowu wyjechał. Być może wyzdrowiał na tyle, by udać się na łowy dalszych żon - rzuciła kwaśno Clara. Gestem odprawiła woźnicę, który schylał się po ich bagaże, i sama dzwignęła torbę. Zdecydowanym krokiem podeszła do werandy, której drzwi otworzyły się szeroko, ukazując niską szeroko uśmiechniętą kobietę.

- Jestem pani Wilson - oświadczyła i zaprosiła je do cieniściego hallu. - Czy panie zatrzymają się u nas na dłużej? - Popchnęła księgę meldunkową w stronę Zóe.

- Z pewnością zostaniemy dzisiaj, z możliwością przedłużenia pobytu na dzień jutrzejszy.

Juliette podpisała się w księdze i oddała pióro Zoe, która z kolei przekazała je Clarze. Ta posłała pani Wilson koleżeński uśmiech - jak właścicielka pensjonatu właścicielce pensjonatu.

- Kiedy dojeżdżaliśmy do miasta, przypomniało mi się, że mamy tu pewnego znajomego o nazwisku Jean Jacques Villette. Być może pani potrafi nas objaśnić, jak odnaleźć jego rezydencję? Chciałybyśmy sprawić mu niespodziankę!

Oczy pani Wilson zaokrągliły się jak spodki. Uciekła spojrzaniem gdzieś za ich plecy.

- Ojejku, jejku!

Clara nie potrafiła zinterpretować pojękiwań gospodyni; nie ulegało jedynie wątpliwości, że kobieta знаła nazwisko Jeana Jacques'a. Zmieszana nie wiedząc czemu właścicielka pensjonatu raptownym ruchem odwróciła księgę meldunkową i przyjrzała się ich nazwiskom.

- Nic nie wiem o tej całej sprawie, panno Klaus...

- Proszę?

- ...ale wiem, kto mógłby paniom wszystko wyjaśnić. Poślę niezwłocznie po pana Glascona! - Uderzyła dłonią w dzwonek i z zaplecza wychynał mężczyzna, który jakby czekał na sygnał. Pani Wilson poleciła mu zabrać bagaż przyjezdnych do ich pokoi, po czym zwróciła się do nich twarzą opromienioną najbardziej sztucznym uśmiechem, jaki można było sobie

wyobrazić. - Macie panie dość czasu, by się odświeżyć. - Wskazała dłonią wysokie oszklone drzwi we wnęce hotelowego hallu. - Obiad będzie dopiero za kilka godzin, więc chętnie udostępnię jadalnię na użytek rozmowy pań z panem Glasconem. - Posłała im jeszcze jeden uśmiech, uniosła spódnice i wymknęła się z hallu przez drzwi w ścianie za recepcyjną ladą.

Zbita z tropu Clara zmarszczyła czoło i zwróciła się do Juliette:

- Ty tak świetnie posługujesz się językiem dyplomatycznych grzeczności. Potrafisz nam wytłumaczyć, co miała na myśli nasza zacna gospodyni?

- Już trochę utraciłam biegłość w tych słownych lansadach, ale jeśli dobrze zrozumiałam, pani Wilson doskonale się orientuje, czemu tu przyjechałyśmy.

Zoe potrząsnęła niedowierzająco głową.

- To niemożliwe!

- Ponadto dostała wyraźne instrukcje na wypadek naszego przyjazdu. Wie, co powiedzieć, gdyby ktoś pytał o pana Villette. Wykonała polecenie i nie chce już mieć z nami nic wspólnego.

Podążyły za służącym schodami na piętro i wzdłuż korytarza. Clara wykrztusiła zdumionym głosem:

- Ależ to absurd, że nas się tu oczekuje! Zgadzam się z Zoe... nikt nie mógł przewidzieć naszego przyjazdu. Jean Jacques nie miał pojęcia, że go ścigamy, czemu więc miałby dawać pani Wilson jakiegokolwiek wskazówki na tę okazję?

- Kim jest ten pan Glascon? - zastanawiała się Zoe głośno, zanim zniknęła we wskazanych przez służącego drzwiach, za którymi znalazła schludną i przytulną sypialnię.

Usłyszała, jak Juliette woła ze swojego pokoju:

- Wkrótce się dowiemy! Spotkajmy się w jadalni za dziesięć minut.

Clara i Zoe równocześnie wytknęły głowy na korytarz.

- Zachowujesz się jak dowódca wyprawy! Nigdy nie obejmowałaś dowodzenia.

- Nie spostrzegłyście, że stałam się innym człowiekiem? Podróżowałam i zwiedziłam szmat świata. Wspięłam się na przełęcz Chilkoot. Nie lubuję się w przejmowaniu dowództwa, lecz jeśli zajdzie potrzeba, poradzę sobie i z tym - oświadczyła z energicznym uśmiechem. - Dziesięć minut!

Pani Wilson przygotowała dla nich stół z serwisem do kawy przy oknie z widokiem na opromioną słońcem dolinę. W upalnym powietrzu unosiła się delikatna mgielka kurzu.

- To winnice, tak? - spytała Clara.

Juliette przytaknęła.

- Ktoś próbował założyć plantację winorośli pod Linda Vista, ale mu się nie udało. Tu jest widać bardziej sprzyjający klimat.

Zoe naląła kawę ze srebrnego dzbanuska i rzuciła swym towarzyszkom niechętnie spojrzenie.

- Jak możecie rozprawiać o scenerii w takiej chwili! Wy to macie nerwy! Zanim dopijemy kawę, pojawi się pewnie ów pan Glascon i powie nam, gdzie szukać Jeana Jacques'a. - Wyciągnęła dłoń nad stolikiem. - Patrzcie, ręce mi drżą!

Promienie słoneczne z okna wykrzesaly srebrzyste iskry z obrączki ślubnej na jej palcu - z owego jedyne go w swoim rodzaju pierścionka w kształcie splecionych serduszek, rzekomej pamiątki rodzinnej. Juliette ze smutkiem spojrzala na swój klejnocik i poczuła lzy pod powiekami. Kiedyś srebrne caczuszko wydawało jej się największym cudem świata, teraz widziała w nim jedynie tandetną obrączkę z nieco zmatowiałego kruszcu.

Podwójne drzwi otworzyły się na oścież i do jadalni wsunął się zdyszany mężczyzna o gładko ogolonych policzkach i brodzie. Trzymał pod pachą aktówkę, a Juliette w mig zauważyła wysoki wzrost, posiwiałe włosy na skroniach i godną postawę. Spoglądał na nie z łagodną uprzejmością, pytając, czy może się do nich przysiąść.

- Jestem Henri Glascon, panno March... - Skinął głową Juliette. - Panno Klaus, panno Wilder. - Identyfikował je bezbłędnie.

Gapiły się na niego oniemiałe.

- Nie, to nie żadna magia. Pani Wilson powiedziała mi jak się panie nazywają, a ponieważ słyshałem poprzednio opis każdej z pań, nie było mi trudno prawidłowo połączyć nazwiska i osoby.

A więc jednak...! Nikt poza Jeanem Jacques'em nie mógł ich opisać temu mężczyźnie. Ich poszukiwania dobiegły końca.

- Gdzie on jest? - odezwała się Clara rozkazująco po długiej chwili milczenia.

Juliette wzięła głęboki oddech.

- Rozumiem, że jest pan adwokatem pana Villette'a, panie Glascon?

- I ja chyba wszystko pojmuję - włączyła się wzburzona Zoe. - Jean Jacques pana przysłał na negocjacje, tak? - Machnęła ręką, jakby odpędzając dokuczliwego owada. - Ten drań nie może nam zaoferować nic, co by mogło nam wynagrodzić zrujnowane życie!

- Moje panie! - Wzrok pana Glascona przesunął się po trzech obrączkach na palcach dam. - Rzeczywiście jestem prawnikiem. Wiem, kim jesteście i z jakiego powodu tu przybyłyście. - Jego spojrzenie stało się jeszcze serdeczniejsze, jakby w pełni rozumiał ich udrękę i współczuł sytuacji, w jakiej się znajdowały. - Każda z pań poślubiła pana Villette'a w dobrej wierze, nie mając pojęcia o istnieniu pozostałych żon. W jakiś sposób spotkałyście się, rozpoznałyście pierścionki i przyjechałyście do Lorna Grande, by zdemaskować pana Villette'a.

- Tak jest! - zawołały jednocześnie i utkwily trzy pary płonących oczu w jego twarzy.

- Do konfrontacji nie dojdzie - ciągnął kojącym tonem. - Pan Villette zmarł niedługo po powrocie do domu z Północy.

Juliette poczuła, jak powietrze uchodzi z jej płuc, a ciało oklapło w fotelu. Ciche odgłosy po obu stronach stolika zdradziły, że jej przyjaciółki doświadczyły tego samego.

- Niech się pan nie spodziewa ode mnie łez żałoby - oświadczyła szorstko Clara.

- Ani ode mnie - przytaknęła Zoe.

- Skąd pan o nas wie? Czy z wyznania uczynionego na łożu śmierci? - Juliette usłyszała gorycz w swoim głosie.

- Najpierw pewnie chciałyby się panie dowiedzieć, kim był pan Villette. - Prawnik skinął w stronę równych rządków winorośli w dolinie.

Trzy głowy poszły za kierunkiem jego spojrzenia jak marionetki poruszane sznurkiem.

- Oto winnica Villette! Winorośl zasadził tu Luis Villette, ojciec Jeana Jacques'a. Było to jakieś dziesięć lat temu, a krótko po tym Luis zmarł. Uprawa nigdy nie dała dobrych plonów. - Ramiona prawnika uniosły się w nieznacznym geście pożałowania. - Ojciec i syn wierzyli, że w Kalifornii można produkować wina przedniej jakości, ale obaj nie doczekali spełnienia marzeń. Być może ziemia nie jest tu odpowiednia, a może źle dobrano winorośl albo użyto poślednie sadzonki. Trudno cokolwiek wyrokować w tej sprawie. Jedno jest pewne: mężczyzna, który mienił się waszym mężem, przybył do Kalifornii z Francji, by zostać tu wytwórcą win.

Zoe zakryła oczy ręką.

- Czy którekolwiek z naszych małżeństw jest ważne?

- Przykro mi... nie, żadne.

Stół obieгло westchnienie i zapadła cisza, którą przerwał głos Clary:

- Czemu miałybyśmy uwierzyć w to, co nam pan tu opowiada? Skąd wiemy, że Jean Jacques nie siedzi na swoim ganku, czekając, aż pan wróci i opowie, jak udało się panu omamić nas kolejną porcją kłamstw?

Pytanie nie zaskoczyło pana Glascona.

- Przed zajazdem czeka powóz. W każdej chwili mogę panie zawieźć na miejscowy cmentarz, gdzie zobaczycie grobowiec pana Villette'a. Może widok jego nazwiska na płycie rozproszy wątpliwości i pomoże paniom pogodzić się z jego stratą.

- Dziękujemy panu za troskę, ale z jego stratą radzimy sobie doskonale - oświadczyła oschle Juliette. - Nie omieszkam jednak obejrzeć grobu, żeby się upewnić, iż pan Villette naprawdę odszedł.

- Zanim pojedziemy... - Pan Glascon otworzył aktówkę i wyjął z niej trzy cienkie koperty. - Pan Villette zostawił to dla pań.

Juliette poczuła prawdziwy wstrząs na widok eleganckiego pisma na jej kopercie: Dla pani Juliette March Villette. Nie była wcale pewna, czy ma ochotę odczytać ostatnie przesłanie Jeana Jacques'a. Usłyszała obok siebie szept Clary:

- Tego się nie spodziewałam... - I ujrzała jej szeroko otwarte, oszołomione oczy. - To jakby głos zza grobu.

- Jak śmiał! Powinnyśmy podrzeć te listy na strzępki i napluć na nie! - oburzyła się Zoe.

Juliette wzięła głęboki oddech.

- Panie Glascon, czy... Ile dokładnie listów zostawił panu Jean Jacques?

Przez poważne oblicze adwokata przebiegł cień uśmiechu.

- Nie jestem uprawniony do podawania tego rodzaju informacji.

- To oznacza, że były jeszcze inne takie listy! - krzyknęła zgryźliwie Zoe.

- Powiem paniom tyle: Jean Jacques Villette adorował kobiety. Znał zdumiewająco wiele wspaniałych dam i osobiście wierzę całym sercem, iż szczerze kochał was wszystkie...

- Zniszczył nas wszystkie, ot, co ma pan chyba na myśli! - syknęła Zoe.

Popatrzyły na siebie i zgodnym ruchem, jakby przedtem omówiły sprawę, zdjęły ślubne obrączki z serdecznych palców i wrzuciły je do aktówki pana Glascona. Potem rozdarły koperty i zajęły się lekturą listów.

Moja najdroższa, maleńka Juliette!

Nie, Kochanie: to nie była wyłącznie kwestia pieniędzy. Gdybym tylko ich pragnął, zażądałbym więcej, a Ty, szczodre serce, dałabyś mi je bez wahania. Nie chodziło o pieniądze, moja piękna Juliette! Zawsze chodziło o Ciebie!

Twoja naiwność, monotonia Twoich dni - oto, co mnie do Ciebie przyciągnęło, a współczucie nad Twoim losem łamało mi serce. Jakże marzyłem, by Cię porwać z Linda Vista, pokazać wielki świat, poszerzyć Twoje horyzonty! Chciałem być u Twego boku, obserwując, jak Twe wielkie, świetliste oczy otwierają się niczym pączek kwiatu, jak zaczynasz dostrzegać pełnię swoich możliwości... Jeśli czytasz ten list, to znaczy, że wyjechałaś z Linda Vista i wyruszyłaś w podróż pełną odkryć. Ufam, że ta wędrówka nigdy się nie skończy. Zazdroszczę mężczyźnie, którego wybierzesz, by wędrował wraz z Tobą - wiem z całą pewnością że szybko go znajdziesz.

Dziękuję Ci, moja ukochana, za dar miłości, jaki mi złożyłaś. Będę Cię wiecznie kochał.

Twój na zawsze, Jean Jacques Villette.

Moja Piękna Claro!

Tak często o Tobie myślę! Jakaż jest w Tobie porywająca chęć życia, moja najdroższa! Jesteś taka bystra, energiczna, przedsiębiorcza! Spodziewam się, że już zdążyłaś sprzedać zajazd i wyruszyłaś na spotkanie nowych cudownych szans. Znając Cię, wiem, że odniesiesz sukces na każdej ścieżce życia, jaką wybierzesz.

Nie polecałem na lep zajazdu, moja miłości. Zawsze chodziło mi wyłącznie o Ciebie. Serce mi się łamało, gdy widziałem, że uważasz się jedynie za część ruchomego inwentarza. Nie, skarbie! Zajazd był tylko planetą krążącą wokół słońca Twojej żywotności... Gdzieś tam czeka mężczyzna, w którego oczach odbije się Twój prawdziwy wizerunek, a jego serce odplaci Twemu uczuciu równie wielką miłością. W lepszym świecie zapewne mógłbym być owym mężczyzną...

Dziękuję Ci, moja ukochana, za dar miłości, jaki mi złożyłaś. Będę Cię wiecznie kochał.

Twój na zawsze, Jean Jacques Villette.

Kochana Zoe!

Jakże żałuję, że tak niewiele czasu spędziliśmy razem! Chciałbym poznać Twoją rodzinę, odwiedzić Newcastle, miejsca, w których dorastałaś, i ludzi, którzy Cię ukształtowali, byś wyrosła na wspaniałą, silną kobietą, jaką się stałaś. Boli mnie serce, kiedy wspominam, jak chciałaś strząsnąć z siebie swoją prawdziwą istotę. Moja miłości! Ci małostkowi ludzie w

eleganckich powozach powinni czcić ziemię, po której stąpasz, gdyż oni przeminą a Ty będziesz trwać.

Nie ma hańby w tym, że człowiek zblądził, moja kochana Zoe. Wybrałaś łajdaka na męża, ale to bynajmniej nie umniejsza Twojej wartości ani nie dowodzi głupoty. Natomiast byłoby hańbą powtórzyć ten błąd, a jakoś nie wierzę, byś go popełniła ponownie. Ach, prześliczna Zoe o płonących oczach i włosach jak jedwab barwy nieba o północy! Twojemu następnemu księciu może zbywać na złocie w kieszeniach, ale - szczęśliwy człowiek! - odnajdzie złoto w Tobie, jak mnie się udało na tak krótką chwilkę.

Dziękuję Ci, moja ukochana, za dar miłości, jaki mi złożyłaś. Będę Cię wiecznie kochał.

Twój na zawsze, Jean Jacques Villette.

W powozie wymienili się listami, przeczytały je, po czym siedziały w milczeniu, dopóki pan Glascon nie kazał woźnicy skręcić w cienistą alejkę prowadzącą na cmentarz.

- Może i nie był z niego taki skończony drań... - odezwała się Juliette niepewnym głosem.

- Przyznaję, że miał pewien urok osobisty... - Clara zagryzła wargi i wepchnęła swój list do torebki.

Zoe westchnęła:

- Nigdy nie sądziłam, że to powiem, ale chyba... cieszę się, że go nie zastrzeliłam.

- Wiecie co? Małżeństwo z Jeanem Jacques'em i jego konsekwencje odmieniły moje życie na lepsze - ciągnęła Juliette w zamyśleniu. - Gdyby nie on, nigdy nie wyjechałabym z Linda Vista. Nigdy nie pokonałabym przełęczy Chilkoote, z czego będę dumna do końca życia. Nigdy nie dowiedziałabym się, że potrafię na własną rękę podejmować decyzje... no i nie spotkałabym Bena. Nie spotkałabym żadnej z was.

Zoe ujęła jej dłoń, kiwając głową.

- Ja nie spotkałabym ponownie Toma i może nigdy nie odkryłabym, kim naprawdę jestem i kim chcę być. Nie zaznałabym radości posiadania sióstr!

- Gdyby nie Jean Jacques, wciąż byłabym właścicielką zajazdu i pewnie wyszłabym za Hugona Boscha. - Clara wzdrygnęła się. - Tymczasem zwiedziłam szmat świata i dokonałam tego, na co nie zdobyłaby się większość kobiet.

Spotkałam też mężczyznę, uczciwego i dobrego człowieka, i dwie kobiety, których nigdy nie zapomnę.

- Jean Jacques wyrządził nam krzywdę - Juliette mówiła powoli, jakby przez sen - ale niewątpliwie coś nam dał w zamian. Być może dał więcej, niż zabrał.

Clara przytaknęła.

- Kto pojmie tajniki ludzkiego serca? Może na swój sposób rzeczywiście nas kochał... - Kiedy powóz dojechał do bramy cmentarza, wysiadła pierwsza, machnięciem dłoni rezygnując z pomocy pana Glascona.

Starannie przystrzyżony trawnik usłany był nagrobkami. W promieniach południowego słońca cmentarz tchnął niezmaconym spokojem i sprawiał przyjazne wrażenie. Lekki wietrzyk poruszał liśćmi drzew i krzewów, przyjemnie chłodząc rozgrzane upałem policzki. Zoe ruszyła w ślad za panem Glasconem.

- To miejsce przypomina mi nieco cmentarz w Newcastle, tyle że u nas rośnie więcej sosen niż drzew liściastych.

W skupionej ciszy podeszli do bloku białego marmuru. Na szczycie wyrzeźbiono winne grono, a wyrastające z niego pnącza oplatały ozdobnymi arabeskami górną część płyty. Poniżej widniał napis: Niech spoczywa w spokoju, a jego grzechy niech mu nie zakłócają snu. W. Szekspir.

- A jego grzechy niech mu nie zakłócają snu - powtórzyła Juliette i przymknęła oczy, kierując twarz ku słońcu. Poczula, że gniew ją opuszcza, pozostawiając spokój. Było już po wszystkim. Koniec bólu, wściekłości, nienawiści.

Kiedy otworzyła oczy, ujrzała wyraz podobnego ukojenia na twarzach Zoe i Clary. I one pożegnały się i uwolniły od uczucia gniewu.

Ciszę zakłócił zgrzyt kół powozu, który podjeżdżał pod bramę. Pan Glascon zerknął w kierunku żelaznych wrót i podniósł brwi. Wyprostował się i spojrzał jakby ze skruchą na trzy kobiety.

- Moje panie, przepraszam za to, co się za chwilę stanie.

Niestety, Lorna Grande to niewielka miejscina i nowiny szybko się tu rozchodzą.

- O co chodzi?

- Pewna dama dowiedziała się o waszym przybyciu i życzy sobie was poznać.

- Któż mógłby...?

Odjęło im mowę na widok kobiety we wdowiej czerni, która wysiadła z powozu i pospieszyła przez trawnik prosto ku nim. Twarz i sylwetka nowo przybyłej nie budziły w nich żadnych skojarzeń, ale natychmiast rozpoznały chłopców, idących za nią sznureczkiem. Juliette, Clara i Zoe zapatrzyły się w oszołomieniu na czterech małych Jeanów Jacques'ów - każdy chłopiec stanowił wykapany wizerunek ojca!

Pan Glascon przyoblekł oblicze w nieco wymuszony uśmiech i przedstawił im panią Villette. Usłyszawszy nazwiska Klaus, March i Wilder, kobieta w żałobie rozpromieniła się, najwyraźniej nie spostrzegając osłupienia na twarzach kobiet.

- Wydaje mi się, jakbym każdą z pań znała osobiście! - paplała zachwyconym głosem, w którym dźwięczał wdzięczny

francuski akcent. - Znam wszystkie prześliczne kuzynki Jeana Jacques'a... zawsze mówił o was tak czule.

- Kuzynki... - powtórzyła Clara słabym głosem.

- Oui! Aż do niedawna nie miałam wprawdzie przyjemności poznać dalszych krewnych męża, ale mam poczucie, jakbym wszystkie was doskonale znała, dzięki jego opowieściom. -Marie Villette wygięła kąciki ust w uśmiechu, który ujawnił wdzięczne dołeczki w pulchnych policzkach. Clara pomyślała, że gdyby kazano jej wymienić tę cechę pięknej Marie, która wzbudziła największy podziw Jeana Jacques'a, byłyby nią niechybnie owe czarujące zagłębienia.

Chyba że zakochał się w lśniących kasztanowych puklach, które podskoczyły żwawo na ramionach kobiety, gdy wypchnęła przed siebie synów i zaczęła ich przedstawiać. Wszyscy odziedziczyli po ojcu proste, ciemne włosy i błękitne oczy pełne szatańskiego wdzięku. Okazali się nieskazitelnie wychowanymi dżentelmenami, podnosząc koniuszki palców dam do ust w dwornym powitaniu, po czym grzecznie odstepili do tyłu. Na skinienie matki zaczęli krzątać się przy grobie ojca, poprawiając otaczające go malowane kamienie, wyrывая chwasty i przycinając źdźbła trawy wokół nagrobka.

Juliette zwilżyła wargi i wykrztusiła z trudem:

- Co pani mówiła? Raczy pani wybaczyć, ale podziwiałam pani synów i nie dosłyszałam...

- Pani jest tą dziedziczką która uwielbia czytać, panno March. Panno Klaus, jeśli mnie pamięć nie myli, zarządza pani wspaniałym zajazdem na wybrzeżu oceanu w Oregonie,

prawda? A panna Wilder to ta, która ma taką liczną rodzinę. Mój mąż wielce sobie cenił każdą z pań jako krewną.

Juliette rzuciła ukradkowe spojrzenie na pana Glascona. Miała nadzieję, że prawnik wkroczy do akcji i pomoże im w tej niezręcznej, iście szokującej sytuacji. Ale ten założył ręce na plecy i stał nieporuszony, kołysząc się lekko na piętach, zapatrzonego w przestrzeń. Nie miał zamiaru interweniować. Jeśli żony Jeana Jacques'a z odległych stron życzą sobie wyjaśnić, że nie są kuzynkami zmarłego, jeśli zamierzają wyjawic swoja prawdziwą pozycję i zaznajomic pania Marie Villette ze wszystkimi szczegółami wymyślnego oszustwa, jakiego dopuścił się wobec niej niegodziwy małżonek, muszą podjąć działania na własną rękę. Pan Glascon postanowił nie wtrącać się w tę sprawę.

- Proszę was bardzo! - Uśmiech na twarzy Marie przybrał błagalny wyraz. - Zajedźcie do nas, do winnicy! Napijecie się herbatki i pogawędzimy sobie...

Zoe wzdrygnęła się, jakby niewidzialna ręka pociągnęła sznurek umocowany do jej kapelusza.

- Och, dziękujemy bardzo, pani... pani Villette, ale... - Posłała Clarze rozpaczliwy niemy sygnał.

Ta bezradnie zwilżyła wargi.

- Wprost umieramy z ochoty, by poznać pania bliżej, ale... cóż, widzi pani, my... - Zwróciła błagalne oczy na Juliette.

- Z prawdziwym żalem musimy odrzucić pani łaskawe zaproszenie. Przerwałyśmy raczej pilną podróż, by zajechawszy tutaj, odwiedzić grób kuzyna - powiedziała gładko Juliette. - Być może następnym razem, gdy znajdziemy się w tej precudnej

okolicy i czas nie będzie naglił, przyjmiemy je z ochotą. -Los doprawdy z nich zakpił, każąc im w tak osobliwych okolicznościach nadal chronić Jeana Jacques'a, choć może bardziej chodziło o Marie i małych Jeanów Jacques'ów? Jedno Juliette wiedziała z całą pewnością: robiły to, co należało. Jak we śnie postąpiła krok do przodu i ujęła dłonie w czarnych rękawiczkach. - Przykro mi niewymownie z okazji straty, jaka pani poniosła, pani Villette.

Clara i Zoe wbiły w nią zdumione oczy, po czym przełknęły pospiesznie ślinę i powtórzyły kondolencje. Marie Villette wyszeptwała:

- To był kochany, dobry człowiek. Wspaniały mąż i troskliwy ojciec.

- Tuszę również, iż zapewnił wam dostatni żywot - odezwała się markotnie Clara.

- W rzeczy samej, mąż zostawił nas sownie zaopatrzonych na wszelkie wypadki losu.

Zanim Clara mogła wtrącić coś uszczypliwego o metodach zdobywania przez Jeana Jacques'a środków na zabezpieczenie egzystencji rodziny, Zoe szturchnęła ją pod żebro i wymamrotała trochę niewyraźnie:

- Proszę przyjąć ode mnie wyrazy najgłębszego ubolewania. - To było całkowicie szczere, bo naprawdę czuła współczucie dla Marie Villette. Żadna uczciwa kobieta nie powinna zostać poślubiona mężczyźnie, który ma tak liczne grono „kuzynek”.

- Naprawdę sprawiłybyście mi wielką radość, wstępując do naszej winnicy. Nie mogłybyście poświęcić chociaż kilku minut? Dla mnie oznaczałoby to...

- Och, jej, spójrzcie, która to już godzina! - wpadła jej w słowo Juliette. - Panie Glascon, musimy bezzwłocznie... jeśli nie ma pan nic przeciw temu... - Prawnik przytaknął, nastąpiło ogólne zamieszanie pożegnań, uścisków dłoni, muśnięć policzków w „rodzinnych” pocałunkach i nieszczerych obietnic ponownej wizyty. Nareszcie Juliette, Clara i Zoe wspięły się po schodkach powozu, a pan Glascon przycupnął na ławeczce obok woźnicy.

- Cóż... - odezwała się Juliette wypranym z wszelkiego wyrazu głosem. - A więc to tak!

Clara skrzywiła się.

- Ponownie zmieniałam zdanie. To był jednak nic niewarty drań, zdradziecki wąż! Jak mógł ją tak haniebnie traktować? I nas też!

- Teraz ciekawi mnie tylko, ile jeszcze miał „kuzynek” - mruknęła Zoe dość głośno, by ją usłyszał pan Glascon, ale ten zmilczał. Nigdy nie dowiedzą się, ile jeszcze kobiet pojawi się pewnego dnia w Lorna Grande, nosząc na serdecznym palcu „jedyny w swoim rodzaju” pierścionek ze srebrnych splecionych serduszek.

- Czuję się niemal tak źle jak wtedy, kiedy zdałam sobie sprawę, że Jean Jacques nie wróci do domu. - Juliette dotknęła skroni palcami. - Nawet chyba gorzej...

- Nie mówisz serio! - Clara spojrzała na nią powątpiewająco. - Nie wierzę, że jeszcze miałaś choć szczyptę uczucia dla tego skończonego obwiesia!

- Nie, nie o nim myślę. Tęsknię za Benem - wyjaśniła Juliette bez owijania w bawełnę. - Gdybym wcześniej wiedziała, że Jean Jacques nie żyje...

Zamilkły wszystkie. Wreszcie Zoe szepnęła:

- Wszystko bym oddała za jedną chwilę z Tomem. Gdybym go mogła jeszcze raz zobaczyć...

- Przestańcie natychmiast! Albo się rozplączę! - krzyknęła Clara.

- Szanowne panie, raczcie wyjrzeć na drogę! Podąża za nami grupa konnych, wzniesając straszliwy kurz! - zawołał przez ramię pan Glascon.

Zoe wyjrzała i raptownie cofnęła głowę do wnętrza powozu.

- Mój Boże! - Ponownie wyjrzała przez okno i nabrała pełne płuca powietrza. - Chyba śnię albo mam przywidzenia!

- Mówisz, jakbyś... - Clara wychyliła się nad ramieniem towarzyski. - To oni! Niebiosa litościwe, to naprawdę oni! Widzę Niedźwiedzia... To oni!

- A Ben? Czy jest tam z nimi? - Juliette dosłownie wspięła się im na ramiona, by też wyjrzeć na drogę. - Och, na Boga! - Zwróciła się do pana Glascona: - Proszę zatrzymać powóz, znamy tych panów!

Czterech konnych podjechało bliźutko i ściągnęło lejce. Razem stanowili w oczach pasażerek powozu imponujący obraz dziarskiej męskości - świeżo ogoleni i ostrzyżeni, mieli na sobie

nieskazitelnie skrojone garnitury, okryte pokrowcami dla ochrony przed pyłem. Wszyscy byli uzbrojeni po zęby.

Clara nie rozpoznała czwartego jeźdźca, lecz nie przeszkadzało jej to. Napawała się widokiem swojego olbrzyma, jakby się obawiała, że lada chwila rozplynie się w powietrzu.

- Niedźwiedziu, czy to naprawdę ty? - szeptwała.

- Aż tydzień trwało, moje maleństwo, zanim odzyskaliśmy rozum... - Podniósł jeden kącik ust w nieśmiałym uśmiechu. - Potem Tom zebrał nas do kupy i powiada: „Panowie, co myśmy narobili? Cośmy sobie myśleli, odsyłając je precz?” A Ben dodał: „Musimy je odnaleźć!” Na to ja gadam: „W mig rozwiążemy nasz problem, zabijając sukinsyna. Wtedy wszystkie staną się wdowami i będą mogły bez przeszkód nas poślubić!”

Ben wpatrywał się w Juliette, dosłownie upajając się jej widokiem, ale miał tyle przytomności, by spytać:

- Gdzie jest Villette?

- Jedźcie dalej tą drogą i skręćcie w lewo we wrota z kutego żelaza!

Zanim odjechali w tumanie pyłu, Tom końcami palców posłał Zoe całusa.

- Jesteś śliczna, świetnie gotujesz... i, niech to licho! Przepraszam cię!

Gdy tylko odjechali, Clara i Zoe zwróciły się do Juliette:

- Czemu wysłałaś ich na cmentarz?

- Potrzebujemy trochę czasu, by ochłonać - tłumaczyła i sama dziwiła się, jak spokojnie brzmi jej głos, zadając kłam wewnętrznemu roztrzęsieniu. - Musimy się zastanowić, czy

naprawdę chcemy im przebaczyć... - Rzuciła panu Glasconowi zwięzłe polecenie: - Proszę jechać dalej, jeśli łaska. Życzymy sobie powrócić do zajazdu.

Clara odetchnęła głęboko i położyła dłoń na sercu.

- Według ciebie, to my mamy się zastanawiać, czy im przebaczyć?

Zoe zmarszczyła czoło.

- Juliette, przecież wina leży po naszej stronie!

- Nie sądzę. - Juliette zadarła wojowniczo brodę. - Ostatecznie wszystko im wyznałyśmy, ale próżno czekałyśmy ich przebaczenia... cały tydzień trwało, zanim zrozumieli, że źle postąpili, nie próbując pojąć naszego dylematu. Zawiedli nas!

- W końcu przecież zrozumieli, czemu nie mogliśmy powiedzieć im o Jeanie Jacques'u, no i przyjechali! Chcę się rzucić Niedźwiedziowi na szyję!

- I powinnaś, bez dwóch zdań, ale dopiero, kiedy usłyszysz, jak błaga cię o przebaczenie, i postanowisz zrobić mu tę łaskę. - Juliette wiedziała, że znowu odezwał się w jej głosie ton cnotliwych pouczeń, lecz nie mogła się powstrzymać. - Ciotka Kibble powtarzała mi zawsze, że początki są najważniejsze, bo wyznaczają dalszy kurs. Uważam, że tym razem miała rację! Czy macie ochotę całe życie być stroną która wiecznie przeprasza i żyje nadzieją, że otrzyma przebaczenie? - Uniosła sceptycznie brwi. - Wolałybyście chyba rolę osoby przepraszanej, która ma przywilej przebaczenia?

Zoe skinęła głową w zamyśleniu.

- Claro, mam wrażenie, że Juliette trafiła w dziesiątkę.

- I ja to widzę. Ile czasu powinnyśmy się ociągać, zanim im przebaczymy? - Clara nerwowymi ruchami zaczęła skubać policzki, by przywrócić im rumieńce. Sięgnęła pod kapelusz i ściągnęła na czoło kilka rudych loczków.

- Pięknie wyglądasz, aż dech zapiera! - Zoe wygrzebała z torebki flaszeczkę perfum, skropiła się za uszami i podała ją Juliette. - Wytrzymaj, jak długo zdołasz, Claro, zanim udzielisz mu tej łaski... Juliette, czy włosy nie wymykają mi się ze szpilek?

- Kilka kosmyków uciekło, ale ten nieład dodaje ci uroku - oceniła Juliette i skropiła wonnościami skórę szyi, po czym oddała flaszeczkę Clarze. - Powiedźcie, czy mam uduchowiony wyraz twarzy? - Zatrzepotała rzęsami, ćwicząc minę kobiety zranionej, lecz kochającej mimo wszystko. - Czy wyglądam na femme fatale?

- Ben padnie na kolana na twój widok i serce mu się rozplynie!

Popychając się i poszturchując, wyskoczyły z powozu, pospiesznie pożegnały pana Glascona i wbiegły do hallu zajazdu.

- Przyjadą lada chwila!

- Do licha! Nie mamy czasu, by się należycie odświeżyć!

Clara podeszła śmiało do zaskoczonej pani Wilson.

- Niebawem złożą nam wizytę pewni dżentelmeni. Będziemy ponownie potrzebować odosobnienia, najlepiej posłużą pani jadalnia.

Nie czekając na przyzwolenie gospodyni, podniosły spódnice i pchnęły na oścież dwuskrzydłe oszklone drzwi.

Niemal w tym samym momencie drzwi wejściowe zajazdu otworzyły się z trzaskiem, a na posadzce hallu zadźwięczały stanowcze męskie kroki. Po chwili do jadalni wtargnął Niedźwiedź, pożerając wzrokiem Clare.

- Nie ulega wątpliwości, że należysz do kategorii przyzwoitych kobiet i jesteś lepsza ode mnie! Taki układ mi odpowiada, i na tym koniec! - Mówił, jakby podjął rozmowę przerwana zaledwie kilka minut temu. - Co do reszty, okazałem się patentowanym idiotą!

- Wytrzymałam, jak długo mogłam... przebaczam ci! - Clara popędziła przez całą długość pokoju i rzuciła mu się w ramiona, a on porwał ją wysoko do góry i okręcił się w koło, zanim postawił ją na nogi i objął muskularnymi ramionami.

- Rozumiem, czemu nie mogłaś mi powiedzieć... - zaczął, ale zdusiła resztę przeprosin deszczem pocałunków.

Ben postąpił przed Juliette i zamiótł podłogę kapeluszem w kornym ukłonie.

- Byłem zły i źle ująłem sprawę. W gruncie rzeczy nic mnie nie obchodzi, czy do opinii publicznej dotrze jakaś pokrecona wersja tej historii, wywołując skandal, od którego zatrzęsie się całe San Francisco! Nie dbam też o samego pana Villette'a. Jedyne, co mnie obchodzi, to ty, Juliette. Kocham cię i pragnę spędzić z tobą resztę życia. Czy potrafisz mi przebaczyć to, że nie usiłowałem spojrzeć na sprawę z twojego punktu widzenia?

- Och, Ben... zawsze i wszystko ci wybaczę i zawsze będę cię kochać! - Na jej twarzy wykwitł radosny uśmiech, gdy pędziła w jego ramiona. - Tak bardzo za tobą tęskniłam!

Tom skłonił głowę i popatrzył na Zoe.

- Kocham cię i wierzę, że i ty mnie kochasz. Razem dogadamy się i rozwiążemy wszystkie niezgodności, prawda?

- Ależ Tom, moje kłamstwo pozostaje faktem.

- Wiem i wcale nie pochwalam, więc nie rób tego nigdy więcej!

- Nigdy więcej! - obiecała, uniosła głowę i popatrzyła na niego, myśląc, jak bardzo kocha surowe rysy jego twarzy i iskierki temperamentu w zielonych oczach. - Ach, więc zabrało ci to tydzień... tak?

Zaśmiał się i przyciągnął ją do siebie.

- Nie widziałaś chyba nigdy trzech równie markotnych mężczyzn! Boże, jakże mi cię brakowało, kochanie! Czy mi przebaczysz to, że nie zaufałem, iż miałaś poważne powody, by postąpić właśnie tak, a nie inaczej?

- Przebaczam.

- Panowie? Panie? - Czwarty mężczyzna odchrząknął i wprowadził do jadalni cokolwiek oszołomioną panią Wilson. - Proszę zająć miejsca!

- Kim jest ten człowiek? - spytała Clara, ledwie łapiąc oddech po łapczywych pocałunkach. Miała nabrzmiałe wargi i zaróżowione policzki.

- To wielebny Wainwright. - Ben uśmiechnął się do Juliette. - Wynajęliśmy go, by odprawił rytuał pogrzebowy dla Villette'a i ceremonię zaślubin dla nas.

Tom przycisnął usta do czoła Zoe.

- Mieliśmy taki plan: przyjeżdżamy do osady, zabijamy Villette'a, żenimy się z wami, zanim oprzytomniawszy, zdołacie się sprzeciwić. Właśnie nadszedł czas na fazę zaślubin.

Wielebny Wainwright niecierpliwym machnięciem dłoni kazał im podejść bliżej.

- Pani Wilson zgodziła się służyć jako świadek. Panny młode, proszę stanąć po tej stronie, a narzeczeni ustawią się tutaj.

- Nie jestem pewna, czy dostatecznie rozważyliśmy sprawę... we wszystkich należnych szczegółach - sprzeciwiła się słabo Juliette, ale jej szare oczy tańczyły z uniesienia.

- Kochanie moje, mamy całe życie przed sobą na dokończenie tych rozważań. - Ben ujął ją pod ramię, przycisnął, jakby już nigdy nie miał zamiaru jej puścić, i poprowadził do przodu.

- Maleństwo moje... powiedz, że mnie kochasz! - Niedźwiedź ujął dłoń Clary i przycisnął ją do swej szerokiej piersi. - Całe życie czekałem, że taka kobieta jak ty powie mi te słowa!

- Kocham cię - szepnęła Clara czule, wpatrzona w brązowe niedźwiedzie oczka. - Kochałam cię od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałam.

- No, to dziś wieczorem poruszymy dom w posiadach! - obiecał nieco wstydliwie, uszczęśliwiony, i nie spuszczać z niej oczu, powiódł ją przed oblicze pastora.

- Zoe... od kiedy pamiętam, pragnałem cię poślubić. - Tom założył ręce na plecy i kurczowo zacisnął dłonie. -Ale jedno musisz wiedzieć: niezależnie od tego, gdzie wylądujemy, jestem

na wskroś człowiekiem z Newcastle i nic tego nie zmieni! Nie jestem księciem, który ci przyobieca tęczę.

- Ależ tak, jesteś nim! - szepnęła, mrugając. Oczy miała zamglone przez łzy. - Ja też jestem całą duszą z Newcastle, Tom, nikim mniej ani więcej!

- Tego tylko zawsze pragnąłem...

- I ja, kochanie. U mnie po prostu dłużej trwało, zanim się tego dowiedziałam. Och, tak bardzo cię kocham!

Pocałował ją żarliwie i uśmiechnięty od ucha do ucha, powiódł tam, gdzie stały już jej przyjaciółki.

Wielebny Wainwright odpowiedział uśmiechem trzem promiennym narzeczonym i skinał głową trzem ochoczym panom młodym.

- Kochani! Zebraliśmy się tutaj, by w obecności tego oto świadka złączyć...

- Czy ty, Juliette March, bierzesz Benjaminą Dare'a za swego prawowitego małżonka i ślubujesz mu...

- Ślubuję!

- Czy ty, Claro Klaus, bierzesz Bernarda T. Barretta za swego prawowitego małżonka i ślubujesz mu...

- Ślubuję!

- Czy ty, Zoe Wilder, bierzesz Toma Price'a za swego prawowitego małżonka i ślubujesz mu...

- Ślubuję!